



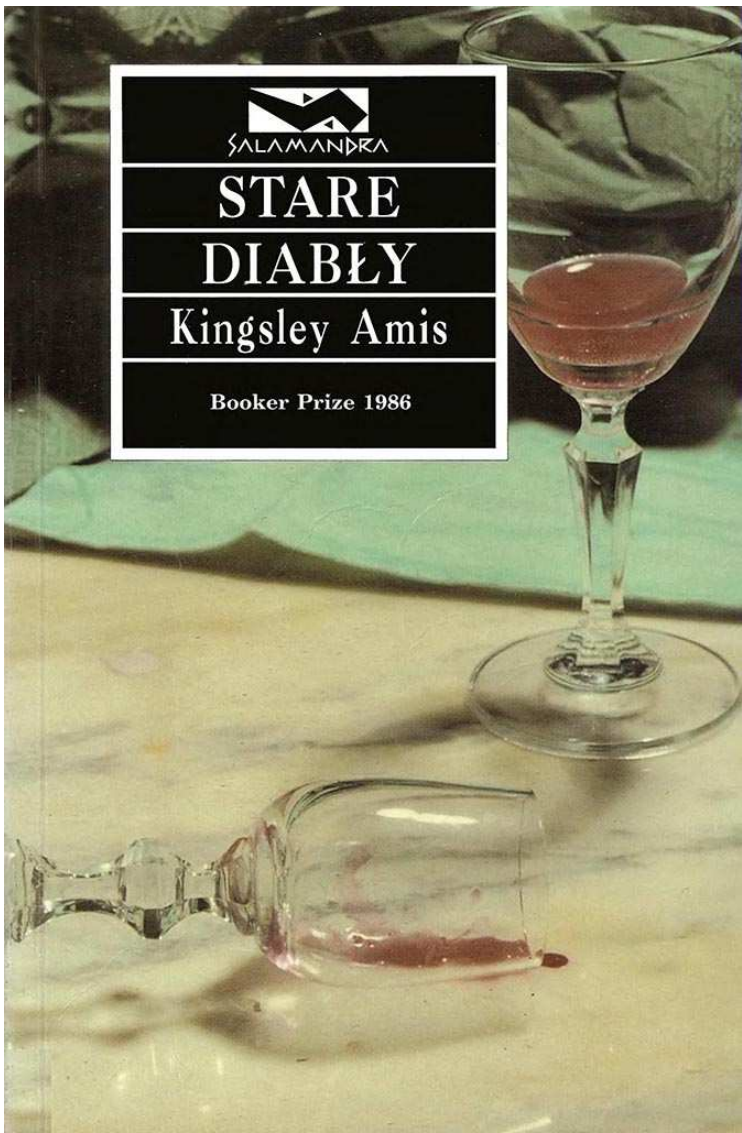
SALAMANDRA

STARE

DIABŁY

Kingsley Amis

Booker Prize 1986



Kingsley Amis
**STARE
DIABŁY**

Przełożyła Barbara Odymała



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ 1996

Dla Louisa i Jacoba

NOTA AUTORA

W powieści tej wymienia się wiele miejsc rzeczywiście istniejących (Carmarthen, Cowbridge), ale też wiele fikcyjnych (Birdarthur, Caerhays). Dolny Glamorgan nie ma swego odpowiednika w żadnym okręgu. Fikcyjne miejsca nie są zakamuflowaną wersją noszących inne nazwy miejsc realnych; gdyby, na przykład, ktoś chciał udać się z wybrzeża południowej Walii na wyspę Courcey, musiałby niechybnie wylądować w Kanale Bristolskim. Courcey tak naprawdę nie istnieje, podobnie jak żadna ze sportretowanych tutaj postaci.

K.A.

Swansea, Londyn

ROZDZIAŁ I

Malcolm, Charlie, Peter i inni

1

– Jeśli chcesz znać moje zdanie – powiedziała Gwen Cellan-Davies – ten chłopak jest nader wybitnym obywatelem Walii. W każdym razie za takiego uchodzi.

Jej mąż okrawał skórkę z grzanki.

– Cóż, powiedziałbym, że nie ma co do tego wątpliwości.

– Podobnie jak Reg Burroughs po trzydziestu latach gryzipiórkowania, najpierw w Radzie Miasta, a później w Radzie Hrabstwa, za co został należycie uhonorowany.

– To chyba trochę zbyt krzywdzący osąd. Jakkolwiek by na to spojrzeć, Alun ma na swym koncie kilka zasług. Bądźmy sprawiedliwi.

– Zasług – tak, ale głównie wobec siebie samego, czyli *Walię Brydana* i ten drugi zbiorek, zapomniałam tytułu. Oba wciąż się nieźle sprzedają, już tyle lat. Bez Brydana, bez całego tego brydanowskiego przemysłu Alun byłby niczym. To samo dotyczy jego twórczości: wszystkie te jego wiersze są pisane pod Brydana.

– Trzymanie się akurat takiego wzorca nie jest znowu takim strasznym...

– O tak, Amerykanom albo Anglikom to się może podobać, nie wątpię, ale... – Gwen przechyliła głowę i posłała mu chmurny uśmiezek, jaki towarzyszył zazwyczaj referowaniu przez nią negatywnych opinii osoby trzeciej – ...nie możesz zaprzeczyć, że naśladuje Brydana na... hm, powiedzmy, niższym poziomie wyobraźni i rzemiosła?

– Nie zaprzeczę, że w porównaniu z Brydanem w jego najlepszym okresie, Alun nie ma...

– Wiesz zatem, co mam na myśli.

W tym wypadku Malcolm Cellan-Davies rzeczywiście wiedział. Wstał i raz jeszcze napełnił czajniczek, a następnie swoją filizankę i dodał kropelkę odtłuszczonego mleka oraz jeden z tych nowych słodzików, które ponoć nie pozostawiają niesmaku w ustach. Wróciwszy na swoje miejsce przy śniadaniowym stole, umieścił pomiędzy lewymi trzonowcami przygotowany wcześniej mały trójkącik grzanki z miodem dla diabetyków i zaczął go ostrożnie, acz stanowczo przeżuwać. Odkąd sześć lat temu stracił na plasterku wątrobianki górną środkową koronkę, niczego już nie nagryzał przednimi zębami. Prawa strona jego uzębienia również stanowiła strefę zakazaną, a to za sprawą dziury gdzieś w dolnych rejonach, w którą zawsze coś wchodziło, oraz zabawnego kawałeczka dziąsła, który zdawał się jakby luźny i majtał się niepokojąco, gdy tylko miał ku temu okazję. Podczas gdy szczęki Malcolma pracowały, oczy prześlizgnęły się ku „Western Mail” i sprawozdaniu z meczu Neath kontra Llanelli.

Zapaliwszy papierosa, Gwen ciągnęła w tym samym co wcześniej, pokrętnym stylu:

– Nie przypominam sobie, abyś kiedykolwiek był wyznawcą poglądu, jakoby Alun Weaver uosabiał walijską świadomość.

– Cóż, w pewnym sensie, wzięwszy pod uwagę występy w telewizji i tym podobne, jest w nim trochę z szarlatana, tak, możliwe.

– Możliwe! Boże wszechmogący! Ależ on jest szarlatanem. I niech sobie będzie. Czy to ważne? Lubi się zabawić i nie jest nudny. Przydałoby nam się tu z tuzin takich jak on, żeby potrząsnąć okolicą. Potrzebujemy paru falsyfikatów, aby zrobić wyłom w tej cholernej autentyczności.

– Nie wszyscy się ucieszą na jego widok – zauważył Malcolm, poddając standardowej obróbce kolejny kawałek grzanki.

– To znakomita wiadomość. Kogo masz na myśli?

– Na przykład Petera. Zabawne, ale poruszyliśmy ten temat nie dalej jak wczoraj. Mówił z goryczą, co mnie trochę zdziwiło. Z wielką goryczą.

W głosie Malcolma nie było ubolewania – raczej zrozumienie dla owej goryczy, zupełnie jakby w pewnej mierze podzielał to uczucie. Gwen zerknęła na niego uważniej przez brązowe szkła okularów. Zaraz potem nastąpiła seria ruchów i odgłosów mających oznaczać, że pora kończyć i ruszać w drogę. Mimo to nie wstawała, lecz – chyba od niechcenia – sięgnęła po list, który zapoczątkował rozmowę, i nie podnosząc go ze stołu, przerzuciła kartki.

– Będzie... hm... zabawnie znów zobaczyć Rhiannon – powiedziała.

– Uhm.

– Kopa lat, prawda? Chyba z dziesięć?

– Co najmniej. Raczej z piętnaście.

– Nigdy później nie przyjeżdżała tu z Alunem na te jego wycieczki. Tylko tamten jeden raz, a może dwa?

– Kiedyś odwiedzała matkę w Broughton, ale starszej pani zmarło się dość dawno, więc przypuszczalnie...

– Wiedziała, że będziesz pamiętał. To zabawne, ale ona właściwie w ogóle nie podtrzymywała kontaktów z kolegami ze studiów. Ani z nikim innym, o ile mi wiadomo.

Malcolm nie odpowiedział. Zakołysał się na krześle, jakby chciał dać do zrozumienia, że życie zaskakuje takimi małymi zagadkami.

– Cóż, teraz będzie mieć sporo czasu, a raczej będzie go miała od przyszłego miesiąca. Mam nadzieję, że po Londynie tutejsze życie nie wyda jej się zbyt niemrawe.

– Zastanie tu mnóstwo ludzi, których niegdyś znała.

– I w tym cały kłopot – zauważyła Gwen i zaśmiała się leciutko. Rzuciła mężowi przelotne spojrzenie, po czym, uśmiechając się i spuszczać wzrok, ciągnęła: – To musiał być szok... ten jej pomysł z przyjazdem i osiedleniem się tu na stałe po tym wszystkim.

– Powiedzmy: zaskoczenie. Nie myślałem o niej od Bóg wie kiedy. To było tak dawno temu.

– Namnożyło się ostatnio takich spraw, prawda? Ale nie szkodzi. Nie masz nic przeciwko temu, abym pierwsza skorzystała z łazienki?

– Ależ nie, proszę bardzo – odrzekł jak każdego ranka.

Odczekał, aż usłyszy skrzypnięcie na piętrze, po czym westchnął głęboko. Na dobrą sprawę Gwen potraktowała go w związku z Rhiannon ulgowo, nie należy wszakże zapominać, iż była to dopiero pierwsza runda. Gdyby zszedł dziś na dół pierwszy, miałby parę minut na ochłonięcie po szoku (trafnie to określiła) na widok pisma na kopercie – nie zmienionego i nie do pomylenia z innym, nawet po trzydziestu pięciu latach. List wciąż leżał na stole. Zerknąwszy najpierw na sufit, Malcolm ponownie przeczytał niektóre fragmenty. „Serdecznie ściskam Was dwoje” nie dawało szczególnego powodu, by czuć się wyróżnionym, lecz z braku czegokolwiek innego musiał się zadowolić przynajmniej tym. Może po prostu zapomniała. W końcu od tamtej pory wiele się jej przydarzyło.

Kończąc herbatę, zapalił pierwszego i ostatniego tego dnia papierosa. Palenie nigdy nie sprawiało mu szczególnej przyjemności, a od z górą pięciu lat, kiedy to posłuchał rad lekarza i zerwał z nałogiem, nie palił wcale, wyjąwszy tego jednego po śniadaniu, który przecież nie mógł mu w znaczący sposób zaszkodzić, a który, o czym był przekonany, pomagał puścić w ruch wewnętrzną maszynę. Jak co dzień, wypełnił czas sprzątaniem ze stołu – ruch dobrze mu robił. Jego płatki z otrębami oraz zawieszista, wzbogacona whisky marmolada Gwen powędrowały do ściennego kredensu, a pestki po jego śliwkach z nie słodzonego kompotu oraz skorupki po jej dwóch jajkach na miękko – do czarnego plastikowego worka w pojemniku na odpadki. Pomyślał chwilę o jajkach, o tej miękkiej eksplozji, gdy łyżeczka wdziera się w żółtko, i o tym smaku, który czuje się w ustach. Jego ostatnie jajko, ostatnie gotowane jajko, było tak samo odległą przeszłością jak dzień, kiedy w najlepsze palił papierosy. Powszechnie wiadomo, że te rzeczy sprzyjają zaparciom, nie aż tak bardzo, troszeczkę, niemniej jednak wystarczająco, aby trzymać się od nich z daleka. Naczynia znalazły się w końcu w zmywarce, po naciśnięciu przycisku zamigotało czerwone światelko i kuchnię wypełniło głośne buczenie.

Nie była to żadna wielka czy wydajna zmywarka, a kuchnia nie należała wcale do ładnych. Przy Werneth Avenue, a ściślej mówiąc, w domu, w którym Cellan-Daviesowie mieszkali do 1978 roku, kuchnia prezentowała się dość okazale, z długim dębowym stołem, przy którym bez trudu zmieściłoby się czternaścioro stołowników, i pięknym walijskim kredensem, obwieszonym kolorowymi kubkami i dzbankami. Tutaj nie było nic, czego nie można by znaleźć w milionach innych zagraconych domach w całym kraju: linoleum na podłodze, plastikowe blaty, metalowy zlew, a zamiast masywnego pieca Rayburn, który ogrzewał cały parter na Werneth Avenue, zawieszony na ścianie owalny grzejnik elektryczny z dwiema spiralami. Przez większość poranków mniej więcej o tej porze Malcolm zastanawiał się przez chwilę, czy przeprowadzając się tutaj, nie posunął się aby odrobinę za daleko, ale nie było sensu teraz się tym gryźć. Później zresztą też nie.

Przez jego wnętrzości przeszedł delikatny dreszcz. Malcolm wziął „Western Mail” i bez pośpiechu, co było nie bez znaczenia, udał się do ubikacji we wnęce pod schodami. Teraz nastąpiła stara, dobrze znana sekwencja: nie wysilać się wcale, bo tak jest zdrowo i naturalnie; wysilić się tylko troszeczkę, bo to nie może mieć przecież żadnego zgubnego skutku; wysilić się ze wszystkich sił – bo co? – bo nic innego nie można było zrobić. Sukces został w końcu osiągnięty, chociaż w dość ograniczonym zakresie. Żadnych godnych wzmianki śladów krwi – będąc sumiennym, można by je zakwalifikować w przedziale pomiędzy „nieznaczne” a „bardzo nieznaczne”. Usiadł na baczność i zasalutował dziarsko.

Gwen siedziała w sypialni przy toalecie i наносiła na twarz podkład pod makijaż. Malcolm, który zbliżył się do drzwi na swój cichy, duchopodobny sposób, schwytał w lustrze jej obraz. Coś nieokreślonego, może kąt patrzenia albo światło, kazało mu przyjrzeć się jej baczniej niż zwykle. Zawsze była z niej zaokrąglona, puszysta istota, niezbyt delikatna, lecz miękka, zarówno w wyglądzie, jak i w ruchach. To nie uległo zmianie: choć miała, podobnie jak on sam, sześćdziesiąt jeden lat, jej policzki i broda zachowały kształtność, a skóra pod oczami była nadzwyczaj jędrna. Teraz jednak te głęboko osadzone oczy miały wyraz, jaki kiedyś już chyba widział: zawzięty, niemal twardy. Również jej usta, kiedy wygładzała skrzydełka nosa, były stanowczo zaciśnięte. Możliwe, że to tylko z powodu skupienia, bo chwilę później dostrzegła go i rozluźniła się, ot, swobodna, młodzieńczo-starszawa pani o delikatnie podkolorowanych jasnobrązowych włosach, ubrana w spodnium w biało-niebieską kratkę, jakiego można by się wprawdzie spodziewać na osobie odrobinę młodszej, bynajmniej jednak wcale nie śmiesznie niestosowny.

– Życie towarzyskie kwitnie? Nie ma mowy o wyhamowaniu?

– To tylko kawka u Sophie – odparła tonem niewinnego ożywienia.

– Tylko kawka, hę? Dla odmiany. Wiesz, to nadzwyczajne, ale właśnie uświadomiłem sobie, że nie widziałem Sophie chyba od prawie roku. Aż się nie chce wierzyć. Cóż. Bierzesz samochód, prawda?

– Jeśli nie masz nic przeciwko. A ty idziesz do „Biblii”?

– Tak, chyba tam zajrzę. – Chadzał do „Biblii” każdego dnia bez wyjątku. – Nie przejmuj się, pojedę autobusem.

Zapadła cisza. Gwen nanosiła róż – karmin, jak się kiedyś mówiło – na kości policzkowe. Po chwili opuściła ręce na kolana i po prostu siedziała. Potem nagle zaczęła się śpieszyć.

– A ty jak się dziś czujesz, chłopcze?

– Znakomicie, dziękuję. – Malcolm powiedział to bardziej szorstko, niż zamierzał. Był przygotowany na dalszy ciąg roztrząsania tematu Rhiannon, zatem dopytywanie się o jego fizjologię, acz całkiem zwyczajne i wyrażone w zwyczajnej formie, wytrąciło go z równowagi. – Zupełnie dobrze – dodał nieco łagodniejszym tonem.

– Nic...

– Nie. Ani trochę.

Tak jak się spodziewał, Gwen wolno potrząsnęła głową.

– Czemu nie możesz po prostu temu zaradzić? Taki inteligentny człowiek jak ty. W sklepach nie brakuje dziś tych rzeczy.

– Nie pochwalam środków na przeczyszczenie. Nigdy nie pochwaląłem. Bardzo dobrze o tym wiesz.

– Na przeczyszczenie. Boże, przecież nie chodzi mi o strąki senesu! Na przykład kalifornijski syropek z suszonych fig. Bardzo starannie opracowana receptura, wypróbowany i przetestowany. To już nie mikstura z prochu strzelniczego, jak kiedyś.

– Nic z tych rzeczy, to i tak zakłóca delikatną równowagę organizmu. Wypacza obraz. Chemikaliami.

– A ja myślałam, że właśnie o to ci chodzi, Malcolmie, o wypaczenie tego, co masz. Ale jak się to wobec tego ma do tych wszystkich śliwek, którymi się objadasz? Czy one cię nie wypaczają?

– Są czymś naturalnym. To oczywiste.

– A jak twoim zdaniem działają? Chemicznie, tylko w innej formie.

– To naturalne chemikalia. Chemikalia występujące w naturze.

– A jak twoje kiszki rozróżniają tę odrobinę chemikaliów w śliwce od odrobiny tego samego związku w pigułce albo kapsułce?

– Nie mam pojęcia, kochanie – odparł bezradnie. Przyszło mu na myśl, że to trochę poniżające dla mężczyzny: nie móc wygrać sprzeczki na temat własnych wnętrzości, nawet jeśli była to tylko sprzeczka z własną żoną. – Ale przecież nie muszę wiedzieć.

– Nie musisz mi wierzyć, umów się na wizytę u Dewiego. Tak, tak, z lekarzami też się nie zgadzasz. Czemu muszę na ciebie naskakiwać? Bo jesteś głuptasem, oto dlaczego. I sam sobie nie pomagasz. Niewyuczalny. Wiesz, czasami można cię wziąć niemal za cholernego Walijczyka.

– Nie ma po co umawiać się z Dewim. Nic mi nie jest. Żadnych objawów, żadnych objawów niczego.

– Poproś go tylko o receptę. Nic więcej. Dwie minuty.

Malcolm potrząsnął głową i zapadła cisza. Po chwili zapytał:

– Mogę już iść?

Uścisnęli się lekko i ostrożnie, a Gwen wydała z siebie serię pomruków. Miało to oznaczać, że choć nadal uważa swego męża za głuptasa w sprawach dotyczących jego samego, zostawi go na razie w spokoju. Była w tym także pewna doza uczucia.

Tak jak wiele razy wcześniej, Malcolm miał w zanadru mocne argumenty przeciwko rozpoczynaniu dnia od napomykania o jego wypróżnieniach. Nigdy nie chodziło mu o nic więcej, jak tylko o odrobinę pokrzepienia. Jako najwyraźniej nieusuwalna część ich codziennego rozkładu zajęć, temat ten miał też swoje złe strony, bo nie pozostawiał cienia wątpliwości co do niedostatków Malcolma jako mężczyzny, męża, znawcy kobiet, głowy domu oraz innych, mgliście już tylko majaczących mu w pamięci określeń z przeszłości.

W łazience po drugiej stronie korytarza umył zęby, najpierw tych dwadzieścia, które zostały się w jego szczęce w takiej czy innej formie, a następnie siedem w górnej protezie. Była tak ściśle dopasowana, że włożenie jej z powrotem zawsze nastęczało kłopoty. Ugięcie kolan i poruszanie nimi od siebie i do siebie zdawało się ułatwiać tę operację. Co do pięciu przednich koron – każda spod innej ręki i różnej daty – to stanowiły zestaw przypominający atlas kolorów, ale za to nikt by ich nie wziął za sztuczną kłapaczkę. Trzeba będzie się ich pozbyć któregoś dnia, co oznaczało, że nie teraz, Bogu niech będą dzięki. Myśl o usunięciu zęba, nawet takiego rozchwianego jak niemal wszystkie pozostałe na posterunku, trafiła go w sposób, o jakim sądził, że już dawno z niego wyrósł.

Stanowiąca oprawę tych zębów twarz wyglądała jednak całkiem nieźle. Miała wydłużony kształt, szczególnie pomiędzy końcem nosa a czubkiem brody, ale rysy były niczego sobie i Malcolm bez zarzucia świadom był, że przy swym wzroście i posturze oraz ze strzechą siwiejących już nieco rudawych włosów uchodził zwykle za dobrze prezentującego się mężczyznę. Zauważył jednocześnie, że obcy, najczęściej mężczyźni, niekiedy dziwnie na niego spoglądają, może nie tyle wrogo, co z niechęcią, jakoś chłodno.

Napatrzył się na tego rodzaju spojrzenia już w szkole, gdzie gnębiono go dużo bardziej, niżby się należało chłopcu, który w końcu nie był ani nietutejszy, ani zbyt drobny czy słabowity. Pamiętał, jak kiedyś spytał Grubego Watkina, jednego ze swych czołowych prześladowców, czemu tak jest. Gruby odpowiedział bez zastanowienia, że wygląda na takiego, bez względu na to, co miało to znaczyć. Później dwukrotnie jeszcze – raz na Street's End w sobotni wieczór, a potem w pociągu, w drodze z międzynarodowego turnieju w Cardiff Arms Park – w obu przypadkach niczym się nie wyróżniając – wyłowiony został z tłumu kolegów i bez żadnych wstępów zaatakowany przez nieznajomego łotrzyka. Być może bezwiednie przybierał czasami wyraz twarzy, który ludzie mylnie brali za lekceważenie albo coś w tym rodzaju.

Cokolwiek jednak jego twarz wyrażała, zamierzał ją teraz ogolić. Nienawidził całego tego kramu: mycia zębów, golenia, kąpieli, czesania, ubierania się, nienawidził tak bardzo, że często miał wrażenie, iż zbliża się do momentu, gdy rzuci w diabły wszystkie te zabiegi i zacznie chodzić po domu w piżamie i szlafroku przez cały dzień. Gdyby nie Gwen, dawno by już do tego doszło. Nie dawała mu spokoju, namawiając do słuchania ich przenośnego radia, więc nadal bywało, że to robił, ale pogaduszki interesowały go tyle samo co nowomodna muzyka, a tam zdawali się nadawać tylko to, jeśli nie liczyć Radia Cymru, które było w sam raz dla kogoś pragnącego podszkolić się w walijskim. Kłopot jednak w tym, że gadali za szybko.

Sprawa walijskiego wyłoniła się ponownie, i w nieco bardziej konkretnej formie, kiedy słysząc, że Gwen odjeżdża, Malcolm usadowił się w swym gabinecie, aby spędzić tam trochę czasu przed wyjściem do „Biblii”. Gabinet ów mieścił się na pierwszym piętrze i był małym, nieprzytulnym pokoikiem, w którym słychać było hałas rur wodociągowych. Stała tu orzechowa biblioteczka, która na Werneth Avenue wcale nie przytłaczała ogromem, tu zaś, żeby ją ustawić, trzeba było wyjąć okno z futryny. Jedną półkę wypełniała wyłącznie poezja: imponujący wybór angielskiej klasyki – niektóre tomiki dość mocno podniszczone; kilka tekstów walijskich – wszystkie w znakomitym stanie; oraz parę tuzinów woluminów poezji angielskiej, popołnionej przez dwudziestowiecznych autorów walijskich. Jeden z nich, wcale nie rozpaczliwie cieniutki, był opatrzony na grzbiecie nazwiskiem Malcolma, tudzież znakiem firmowym małego wydawnictwa mieszczącego się w obecnym Górnym Glamorgan. Wraz z odejściem z Królewskiego Kambryjskiego na wczesną emeryturę Malcolm zamierzał przystąpić do zostawiania po sobie śladu, już to kończąc wiersze, które czekały nie ukończone od wielu lat, a to pisząc nowe, które na razie istniały tylko w jego głowie albo jeszcze nigdzie zgoła. Powinien był jednak mieć na tyle rozsądku, by wiedzieć, że w takim wypadku same chęci nie wystarczą. Przez cały ten czas nie powstała ani jedna nowa linijka. Niewykluczone

jednak, że pewnego dnia powstanie, a tymczasem trzeba ćwiczyć, trenować, by ponownie nabrać wprawy. Stąd walijski.

Pośród leżących na biurku książek znajdowało się wydawnictwo Towarzystwa Tekstów Wczesnowalijskich – na angielski przekładało się to jako *Wiersze oraz fragmenty poetyckie Llywelyna Bacha ab yr Ynad Coch* (1310) – otwarte na elegii o Cadwaladrze, kawałku całkiem okazałym, bo składającym się z jakichś trzystu wersów. Był tam też Malcolmowy przekład pierwszych dwu części, w postaci rękopisu z nielicznymi poprawkami, oraz broszurka zawierająca jedyne znane mu tłumaczenie tego utworu na angielski, dokonane i opublikowane przez dyrektora szkoły w Carmarthen w latach dwudziestych, ale w stylu o półwiecze wcześniejszym. Nieważne. Bez względu na to, czego owemu tekstowi brakowało w sensie poetyckim, jako materiał do plagiatu okazał się cholernie poręczny.

Malcolm powoli otworzył broszurkę na pierwszej stronie. Jego wzrok przeskakiwał między walijskim oryginałem a obiema wersjami angielskiego przekładu, wyławiając w jednym lub drugim języku słowa i zwroty, których – miał wrażenie – nigdy wcześniej nie spotkał: grobowiec królewskiego herszta... czerwone ogiery... wojowie Gwyneddu... ja, śpiewak, minstrel... stosy saksońskich ubitych... szkaplerz... pawęż... błonie...

Wyprostował się gwałtownie. Przewaliła się przez niego wielka nuda i obrzydzenie. Ta papka, babranie się w czymś takim – to nie miało nic wspólnego z życiem, z przeżywaniem życia. W każdym razie nie po dzisiejszych nowinach. Na pewno nie, bo wiersze nie brały się przecież z samych chęci. Brały się, być może, z nadziei.

Już miał się wziąć do darcia manuskrytu, powściągnął jednak rękę. Pomyślał o tym, ile godzin życia pochłonęło to dzieło, i o tym, że może przecież wrócić do niego kiedy indziej i zrobić z tego coś wspaniałego. Na razie jednak nie mógł usiedzieć w miejscu. Tak, ale gdyby wyszedł teraz, zjawiłby się tam grubo za wcześnie, czy raczej wyraźnie za wcześnie. Trochę za wcześnie. Hm, mógłby wysiąść z autobusu przy Beaufoy i resztę drogi odbyć pieszo. Podążając dalej tym tokiem rozumowania, wyglansował swoje trzewiki – nic wielkiego, co prawda, ale w końcu rzecz godna pochwały.

Kiedy wreszcie wyszedł z domu, okazało się, że jest pochmurno i już wilgotno, choć powietrze było dość łagodne, a lekki wiaterek rozwiewał mgłę – ot, typowo walijska pogoda. Jeśli widać Cil Point, to znaczy, że za jakiś czas będzie padać; jeśli nie widać, to znaczy, że właśnie pada. Gdy zaczął schodzić ze wzgórza, widział Cil Point ledwo, ledwo, ciemnoszary ryj pomiędzy szeregami skośnych czarnych dachów, połyskujących od wilgoci. Wkrótce w dole wyłoniła się zatoka. Rozciągała się daleko na zachód, gdzie kiedyś wydobywano węgiel – na wybrzeżu i w głębi lądu, wzdłuż nadmorskiej niziny – i gdzie nadal, przynajmniej na razie, wyrabiano stal i blachę cynkową i rafinowano ropę. Jeszcze dalej wznosiła się ledwo widoczna w pomroce kanciasta bryła Mynydd Tywyll, drugiego co do wielkości wzniesienia południowej Walii.

Było przedpołudnie w środtku tygodnia, a mimo to na chodnikach aż roiło się od ludzi, wchodzących i wychodzących ze sklepów lub po prostu przechadzających się niczym wakacjusze – tutaj, w lutym? Wokół nóg plątały się dzieciaki i psy. Przejście na drugą stronę ulicy było nie lada wyczynem, a to z powodu śmigających w jedną i drugą stronę samochodów i motocykli. Na przystanku dwudziestki czwórki stała już kolejka, lecz mimo to autobus długo nie nadjeżdżał. Braki kadrowe, jak twierdzono. Nie ma chętnych do tej roboty, odkąd wprowadzono automaty z biletami, co oznaczało koniec czasów obfitości i prosperity, kiedy to konduktor skręcał do własnej kieszeni połowę należności za bilety na liniach podmiejskich, dzieląc się później pół na pół, albo prawie pół na pół, z kierowcą, kiedy zjeżdżali do zajezdni. Kolejkę rozrywali idący na skróty młodzi ludzie – zawsze jak na złość tuż przed nosem Malcolma. Nadjechał autobus. Kiedy Malcolm wchodził po usianych śmieciami schodkach, poczuł ostry ból w lewym jądrze, który nadszedł i odpłynął niemal w jednej chwili, jak za przekręceniem wyłącznika. Powtórzyło się to, gdy usiadł. To nic. To tylko jedna z tych dolegliwości, które przychodzą i odchodzą. Bez znaczenia. Nie od zawsze przyjmował takie chłodne i wyważone stanowisko – prawdę mówiąc, były czasy, kiedy wizja raka jednego albo obu jąder była jego główną zmorą, zapewne z powodu bardzo intymnej lokalizacji oraz przypuszczalnej złośliwości. Kiedyś

zdarzyło się nawet, że po całym dniu i większości nocy nieustających bólów w obu jądrach spędził poranek na układaniu w głowie listy książek, które trzeba by zabrać do szpitala: głównie tomików poezji angielskiej oraz jednego czy dwóch opracowań na temat Walii, naturalnie po angielsku. Kolejnego zaś ranka, za sprawą jednego z najbardziej gwałtownych i całkowitych ozdrowień w historii medycyny, dolegliwości zniknęły jak ręką odjął. I jak dotąd wszystko było w porządku, o tyle o ile. Kiedyś przeczytał w „Guardianie”, że najnowsze osiągnięcia medycyny zwiększyły współczynnik przeżycia w przypadku nowotworów jądra aż do ponad dziewięćdziesięciu procent, więc przez resztę dnia czuł się o dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat młodszy, i coś z tego uczucia pozostało mu na dłużej.

Podobne rozmyślenia sprawiły, że przegapił swój przystanek, i mało brakowało, a zapędziłby się aż do Dinedor. Z niewinnym wyrazem twarzy, co na szczęście umknęło czyjejkolwiek uwagi, wysiadł przy jadłodajni „U Paola”. Tuż za rogiem znajdowała się „Biblia”, ściślejsz, pub „Pod Biblią i Koroną”, jedyny pub o tej nazwie w całej Walii. Jeśli wierzyć miejscowym badaczom przeszłości, nazwa ta pochodziła od toastu rojalistów, stronników Karola I, jednak w badaniach historycznych nie zdołano, niestety, sięgnąć w przeszłość dalej niż do roku 1920, po którym to bezpieczne stało się deklarowanie lojalności wobec króla we wszystkich jego dominiach, a więc również tutaj.

Gdy Malcolm przekroczył próg, poczuł, jak wstępuje w niego otucha, jak zawsze, gdy miał w perspektywie godzinę lub dwie niemyślenia o chorobach i o tym, co się robi, kiedy jest się chorym. Było jeszcze wcześniej, ale nie na tyle, by się tym przejmować.

2

– Ale jeszcze brzydszy jest garb, jakiego dostajemy z braku czegoś do roboty. Wiesz, kto to powiedział?

– Nie.

– Kipling. Joseph Rudyard Kipling. A on się zwykle nie mylił. Miał jakiś sposób na to, aby racja była zawsze po jego stronie. Nie ma sensu wyczekiwać beczynnie, mówił, albo gnuśnieć z książką przy kominku. Świetne słowo – gnuśnieć – prawda? Ciekawe, skąd się wzięło. Nieważne, rzecz w tym, żeby wyjść na świeże powietrze i zrobić parę ćwiczeń. Pospacerować szybkim krokiem, co najmniej ze dwie mile, najlepiej trzy. Wtedy nie trzeba żadnych pigułek nasennych. Ja sam nie wziąłem pigułki nasennej od... Zgadnij, kiedy ostatni raz wziąłem pigułkę nasenną.

– Nie mam pojęcia.

– W 1949. Wtedy ostatni raz wziąłem pigułkę nasenną. W 1949. Witaj, Malcolm. Jeszcze jeden ranny ptaszek.

– Witaj, Garth. Witaj, Charlie. Co wam postawić?

Obaj mieli niemal pełne kieliszki, więc podziękowali, pytanie to należało jednak do rytuału powitalnego. Malcolm poszedł zamówić sobie przy okienku w korytarzu półlitrowe gorzkie Troeth. Pod jego nieobecność Garth Pumphrey zapoznał Charliego Norrisa z dalszymi korzyściami płynącymi z ćwiczeń fizycznych oraz dowodami na zbędność pigułek nasennych. Charlie przysłuchiwał się tym wywodom niezbyt uważnie, niemniej jednak działały na niego kojąco. Wiedział, że cokolwiek usłyszy nic nie będzie dla niego niespodzianką, a przy jego samopoczuciu, identycznym jak każdego dnia o tej porze, nawet przyjemną niespodziankę lepiej było odłożyć na później. Wzdrygnął się nieznacznie, gdy Malcolm pojawił się z powrotem, bardziej nagle, niż można się było spodziewać.

– Prosimy, prosimy – zawołał Garth wylewnie, gestem zapraszając Malcolma do zajęcia miejsca. – No. Dawałem właśnie naszemu Charliemu wysoce pouczający wykład na temat zdrowia fizycznego i psychicznego. Moja zasada numer jeden brzmi: nigdy nie przesiaduj długo przy posiłku. Zwłaszcza przy śniadaniu.

To zdumiewające, pomyślał Malcolm, jak niezmiennie i kompletnie zapominał zawsze o Garcie, kiedy wybierał się do „Biblii” albo zastanawiał, czy się tam wybrać. Zapominanie o takich rzeczach było przypuszczalnie jednym ze sposobów, dzięki którym Natura zapewniała sobie podtrzymywanie życia. Podobnie jak instykt macierzyński.

– Angharad twierdzi, oczywiście, że w kwestii kondycji robi się ze mnie istny stary nudziarz. Typowa pułapka starości, jak mawia. – W ciszy, jaka zaległa, Garth pociągnął solidny łyk ze swej szklaneczki, która zdawała się zawierać jakieś ciężkie *vin rose*, a tymczasem był to gin z angosturą. Potem dość zasadniczym tonem zwrócił się do Malcolma: – Byłeś kiedyś, zdaje się, nie lada graczem, Malcolm, no nie? Stara dobra rakietka, jeśli można tak powiedzieć. Właśnie mówiłem, że pamiętam, jak grzmociłeś tę piłkę. Jak ją piekielnie rąbałeś na drugi koniec boiska. I ten twój serw. Sławny. Całkiem zasłużenie.

– To było tak dawno, Garth.

– Wcale nie aż tak bardzo, nie przesadzaj. W listopadzie 1971, bo to wtedy staruszek zamknął podwoje. – Garth miał na myśli Rakietowy Klub Squasha w Dinedor, którego członkami byli wszyscy trzej od małego. – Koniec pewnej epoki. Wiesz, ty i ja graliśmy jeszcze w ostatnim tygodniu istnienia klubu. Dostałem niezłe ciągi, jak zwykle. Tamtego wieczoru naprawdę się przyłożyłeś. Potem wypiliśmy drinka z biedaczną Rogerem Andrewsem. Pamiętasz?

– Tak – odparł Malcolm, choć ten szczegół zupełnie wyleciał mu z pamięci.

Charlie kiwał głową, aby zaznaczyć, że bierze udział w rozmowie.

– Wtedy wydawał się taki pełen życia. A potem, ile to mogło być, jakieś sześć tygodni po tym, jak zaczęliśmy tu przychodzić, no, najwyżej osiem, i już go nie było. Ot tak, po prostu. A siedział tu, gdzie ty teraz, Charlie.

To Malcolm dobrze pamiętał. Charlie również. Roger Andrews niczym się nie wyróżniał: zwykły, przeciętnie nieuczciwy przedsiębiorca budowlany. Nawet niezbyt dobry kumpel, ale jego śmiertelne zejście w tak zwanym saloniku w „Biblii” wywarło na nich silne wrażenie, umacniając w części byłych członków nie istniejącego już klubu zwyczaj wpadania tam regularnie tak za dnia, jak i wczesnym wieczorem. Z biegiem lat pomieszczenie to stało się czymś w rodzaju reliktu owego klubu czyjego formy zastępczej. Ściany pokryły się fotografiami zapomnianych zdobywców pucharów, drużyn, ceremonii wręczenia nagród i uroczystych kolacji, na stołach pojawiło się kilka okropnych, starych popielniczek, które, gdy pozbywano się klubowego mienia, jakimś cudem nie zostały sprzedane albo skradzione. Bywalcy tego miejsca uzyskali nawet coś w rodzaju niepisanego prawa do niewpuszczania intruzów. Właściciel knajpki nie zgłaszał obiekcji, można nawet powiedzieć, iż był zadowolony, że około tuzina stosunkowo grzecznych pijaczków bez przerwy zajmuje najmniej przyjemny i wygodny kąt w całym lokalu. Od czasu do czasu zdarzało się, że staruszkowie utyskiwali na niewygody, lecz trwali na posterunku, bo dziura ta prawie sąsiadowała z klubowym budynkiem, co zresztą swego czasu ich tutaj ściągnęło. Poza tym zimą łaskawy gospodarz pozwalał im korzystać bez żadnych dodatkowych opłat z dobrodziejstw małego elektrycznego piecyka.

Po chwili zadumy czy też namysłu Garth Pumphrey ponownie zwrócił twarz w stronę Malcolma, ciemną, poważną, pobrużdżoną, z nikłym cieniem stłumionych namiętności – twarz aktora, jak ktoś mógłby ją określić.

– Jaki rodzaj aktywności fizycznej obecnie uprawiasz, Malcolmie? – zapytał.

– Na dobrą sprawę żadnego.

– Żadnego? Facet o twojej posturze? Urodzony sportowiec? Niedooobrze.

– Urodzony eks-sportowiec. Nie zamierzam uprawiać w moim wieku biegów przełajowych.

– Nawet bym cię o to nie podejrzewał, zresztą i tak za późno na takie rzeczy. – Garth zagwizdał pod nosem i przesunął ręką po blacie stołu. – A jak tam z jedzeniem? Sądzisz, że dobrze się odżywasz? Nie masz mi chyba za złe tych pytań, jesteśmy tu przecież wszyscy starymi kumplami.

Charlie pomyślał, że jest pewna różnica pomiędzy przechwałkami Gartha na temat własnego ciała, jeśli już musiał to robić, a wypytywaniem o to samo innych, ale nie należał do ludzi, którzy zaraz ubieraliby takie myśli w słowa. Druga duża szkocka z wytrawnym imbirowym zaczynała działać i mógł już obrócić głowę bez konieczności uprzedniego przemyślenia tego dokładnie. Jeszcze trochę i przestanie to być dzień, w którym człowiek żałuje, że wciąż pozostaje przy życiu.

– Nie, wszystko w porządku, Garth – odparł Malcolm skwapliwie. – Nie, mój problem polega na czymś zgoła przeciwnym: jak tu nie być zbyt doskonałym.

– Świetnie, świetnie. – Drobnej postury Garth wtulony był w obite splekaną skórą krzesło i odwrócony nieco bokiem do Charliego. Uśmiechnął się i pokiwał głową. – A jak tam... eee... – Uniósł brwi.

Malcolm uświadomił sobie błyskawicznie, z całkowitą albo prawie całkowitą pewnością, że w następnej sekundzie Garth zapyta go o wypróżnienia. Poczuł, że powinien, że musi zrobić coś – cokolwiek – żeby temu zapobiec. Wspomnił więc o czymś, o czym nawet nie myślał mówić, w każdym razie nie tam, nie teraz, nie, dopóki sam się z tym nie oswoi.

– Alun i Rhiannon za parę miesięcy przeprowadzają się z powrotem w te strony – powiedział szybko. – Wracają do Walii.

Poskutkowało. Upłynęło trochę czasu, zanim niedowierzanie Gartha zostało wyciszone, podobnie jak jego głód informacji. Kiedy się to stało, Garth wyjaśnił, że tkwiąc na prowincji, w Capel Mererid, nie miał okazji znać ich w tamtych czasach, ale wielokrotnie zdarzyło mu się spotykać Aluna, kiedy ten przyjeżdżał tu na te swoje wycieczki.

– Ten gość to narodowa postać, spójrzmy prawdzie w oczy – zakończył z afektacją.

– Sam sobie spójrz – odrzekł Charlie, który miał swoje powody, aby nie czuć wszechogarniającej radości z powodu wieści Malcolma. – To prawda, często występuje w telewizji, choć nie dociera to tutaj, do Walii, i kiedy komuś potrzeba barwnej historyjki na taki czy inny walijski temat, oczywiście walą do niego jak w dym. A do tego dorzuca trochę nadętych rzewnych kawałków, na przykład na Boże Narodzenie albo kiedy coś nie idzie w polityce. Z niego jest pierwszorzędny Walijszyk na pokaz, dla telewizji, dla prasy, dla radia. W porządku. W tej roli jest do przyjęcia. Ale jako pisarz, a szczególnie poeta... to ja przepraszam.

– Nie jestem krytykiem literackim – oświadczył Garth. – Powtarzam tylko to, co mówi większość. I słyszałem, że w Ameryce mają o nim bardzo dobre zdanie. No, ale przecież mamy tu pisarza.

– Och, nie – zaprotestował Malcolm z zażenowaniem. – Nic podobnego. Co ja tu mogę powiedzieć? To prawda, że spora część jego utworów wydaje się pisana pod wpływem Brydana, lecz nie widzę w tym nic szczególnie wstydliwego. Problem jest bardziej złożony. Nie twierdzę, że nie wziął wiele od Brydana, ale przecież obaj czerpali z tego samego źródła, tyle tylko, że z dość różnym skutkiem. Tak bym to ujął.

– Wszystko to może i prawda – powiedział Charlie z szyderczym uśmiechem. – Mnie tam nic do tego. Brydan, Alun, co za różnica. A wsadźcie ich sobie.

– Ależ, Charlie – zaprotestował Garth. – Tylko nie Brydana, nie jego *Opowieści z poszycia lasu*, znane i uwielbiane na całym świecie.

– To w szczególności. Pisz o własnych ziomkach, nie oszczędzaj ich, nie pobłażaj, zamień ich w błaznów, jeśli musisz, ale nie traktuj ich protekcyjnie, nie sprzedawaj za bezcen, a przede wszystkim nie wystawiaj na pokaz jak jakieś eksponaty w sklepie z pamiątkami.

– Nie wiedziałem, że jesteś tak przewrażliwiony na tym punkcie – zauważył Malcolm po chwili milczenia.

– Nie jestem. Wcale nie jestem na tym punkcie przewrażliwiony. Nie moja działka. Sądzę jednak, że jeśli facet decyduje się żyć z tego, że jest Walińczykiem, to lepiej, żeby to robił w telewizji. I Alun chyba zdaje sobie z tego sprawę, przynajmniej częściowo.

– O rany. – Malcolm również zdawał się przygnębiony. – I widzisz to wszystko w poezji, również w poezji Brydana?

– Zgadza się. Bo o czym to jest, he? Człowiek w masce i człowiek na żelaznej ulicy. Jedyne, co zrobił, to zręcznie żonglował tymi dwoma zlepkami słów i zrobił niesamowite wrażenie na Amerykanach, którzy odtąd nie przestają gadać o dziecięcej wizji Walii. I pewnie jeszcze surowej. To niezbyt poważne, musicie przyznać.

Malcolm, w swej sumienności, zabrał się do rozważania zasadności tych zarzutów. Wkrótce Garth, który niecierpliwie przenosił spojrzenie z twarzy na twarz, odchrząknął, jakby prosząc o głos. Charlie skinął przyzwalająco głową.

– Ja tylko chciałem zapytać, co z... co z nią? Spotkałem ją kiedyś, a jakże, ale to było tylko raz i dość dawno temu.

– Co z nią, pytasz? – rzekł Charlie. – To po prostu bardzo miła...

– Rhiannon Rhys, tak się nazywała, kiedy ją poznałem – powiedział Malcolm gładko, unosząc się w krześle niczym uczestnik debaty telewizyjnej odpowiadający na pytanie z sali – i była to najbardziej olśniewająca dziewczyna, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Wysoka, jasnowłosa, pełna wdzięku, o delikatnej karnacji i szarobłękitnych oczach. Istna angielska róża. I przemilego usposobienia: skromna, bezpretensjonalna. Nie starała się być ośrodkiem zainteresowania – ale była nim, w każdym towarzystwie. Ja także nie widziałem jej od bardzo dawna. Teraz może wyglądać odrobinę inaczej, ale są rzeczy, które nie ulegają zmianie nawet po trzydziestu latach. Cieszę się, że wraca do Walii.

Malcolm miał nadzieję, że powiedział to wszystko swobodnym, konwersacyjnym tonem. Garth przysłuchiwał się ze skupieniem. Charlie ponownie opróżnił szklaneczkę, osuszając ją do ostatniej kropli.

– Cóż... – odezwał się Garth. – Brzmi to cudownie. Dzięki, Malcolm. Z niecierpliwością będę oczekiwał odnowienia znajomości z panią Weaver.

Zanim skończył, Charlie zaczął namawiać Malcolma, by napił się czegoś porządnego, i zapewniając go, że to, co ma przed sobą, to siuski, jął wstawać od stołu. Nie była to czynność tak prosta, jak by się mogło wydawać, zważywszy sam stół i krzesło, i wszystkie te przynależne do nich nogi, jego własne cielsko i aktualny stan. Opuszczając pokój, wydał stłumiony okrzyk, gdy uderzył piętą o futrynę, jednak postawszy chwilę bez ruchu i skupiwszy się, zdołał później wyjść cało z pułapek, jakie czyhały na niego w korytarzu, gdzie od paru lat w posadzce brakowało części płytek. Jego ramię trąciło, lecz nie strąciło wiszącej na ścianie, oprawnej w ramki fotografii, która przedstawiała rząd mężczyzn w kapeluszach na tle pokrytej strzechą chaty gdzieś w Irlandii czy innym podobnym miejscu.

Kiedy czekał przy okienku, aż Doris wyda przy barze resztę z dwudziestu funtów, zadumał się nad wygłoszoną właśnie przez Malcolma przemową. Niemal każde jej zdanie było samo w sobie w porządku, a przynajmniej byłoby, gdyby je wypowiedziano innym tonem albo wyrzucono z siebie, przeplatając paroma soczystymi bluźnięciami, albo gdyby było napisane. To dlatego, że ten stary głupiec wyglądał i brzmiał jak ktoś bardzo ukontentowany własnym brakiem fałszywej skromności. Żeby mówić takie rzeczy! Słuchając go, miało się ochotę rzucić się do wyjścia z pianą na ustach, głową naprzód przez zamknięte okno albo, bardziej przyziemnie, wywrócić na niego stół. I jeszcze to spojrzenie świętego...

Przyczłapała Doris i Charlie zamówił duży różowy gin dla Gartha, a także trzy duże szkockie z wodą. Jedną wychylił do dna, gdy Doris kasowała należność, i natychmiast gdzieś w głębi jego gardła zawirowała stara, pierzasta miotełka do kurzu. Zaniósł się spazmatycznym kaszlem, jakby miał wykaszać własne serce, ryczał i charczał niczym zwierz, zgięty wpool, wciskając pięści w brzuch, a po policzkach ciekły mu łzy. Wokół zaległa cisza. Kiedy usiłował się rozejrzeć, wydało mu się, że widzi kogoś, jakichś ludzi, smarkaczy, przechylających się przez bar, by się pogapić. Doris podała mu szklankę wody. Siorbnął ostrożnie, odetchnął kilka razy i wypił. Z głębokim westchnieniem wyprostował się i otarł oczy; czuł się teraz niemal dumny z siebie, jakby dzięki swojej osławionej krzepie i wytrzymałości po raz kolejny wyszedł zwycięsko z jakiejś ciężkiej opresji.

Nie zdążył jeszcze sięgnąć po tacę z drinkami, gdy w końcu korytarza trzasnęły drzwi i z półmroku zaczęła się wyłaniać zwalista postać, w której Charlie rozpoznał po chwili Petera Thomasa, parokrotnego zdobywcę drugiego miejsca w otwartym turnieju RKS w Dinedor w latach czterdziestych, a także, a może przede wszystkim, golfiarza. Teraz już, oczywiście, ani jednego, ani drugiego.

– Cześć, Peter. Wcześniej przychodzisz.

– Nie, chyba nie. Poproszę gin z tonikiem.

Jeśli Charliego Norrisa uznać za wielkiego, grubego i ogorzonego, a taki właśnie opis aż cisnął się na usta, trzeba by dokonać gruntownej rewizji słownictwa na widok jego przyjaciela. Zadek Charliego rozsuwał na boki poły jego tweedowej marynarki, a brzuszysko spychało pasek spodni w okolice kroku, to prawda, lecz Peter mógłby mu oddać dobrych parę funtów, a i tak pozostałby cięższy. Można by się tego nie domyślić, oglądając go z przodu lub tyłu, bo krój ubrania świetnie go maskował, ale widok z boku nie pozostawiał co do jego tuszy żadnych wątpliwości. W porównaniu z jaskrawością jego lic policzki i czoło Charliego wydawały się zaledwie rumiane. Ich twarze zresztą znacznie się różniły: Charliego – okrągła, o płaskim, szerokim nosie i wyrazie molestowanego uczniaka; Petera – dystyngowana, o rysach pięknych pomimo fałdów i bruzd. W tej chwili Charlie się uśmiechał, Peter nie.

– I jak się dziś czujesz? – spytał Charlie. Kiepskie pytanie, jeśli się dobrze zastanowić.

– A jak myślisz? Ale, jak widzisz, udało mi się wyjść z domu. Kto przyszedł?

– Tylko Garth i Malcolm.

Peter pokiwał głową i westchnął z rezygnacją. Jego duża, ciężka głowa obróciła się raptownie, gdy ze środka gruchnęła salwa śmiechu i rozbawionych okrzyków. Głosy brzmiały młodo. Z pochmurną miną podszedł ciężko do okienka i wetknął w nie głowę.

– Według Malcolma... – zaczął Charlie, ale przerwał, bo Peter odwrócił się do niego, mówiąc:

– Wydawało mi się, że jesteśmy w samym środku kryzysu. Zaglądałeś tam? Trzy czwarte miejsc zajęte, o tej godzinie. – Brzmiało to jak reporterska relacja na żywo. – Większość to dwudziestolatki albo nawet młodszy. Bezrobotni absolwenci, to pewne. Czy którykolwiek chciałby być kimś innym, gdyby tylko mógł, hę? A co będzie, jeśli nagle wyjdziemy z kryzysu? Przypuszczam, że będą upijać się w trupa od świtu do nocy. Jak w osiemnastym wieku. Słyszałeś o Hogarcie.

Charlie chciał się uśmiechnąć, gdy Doris postawiła na tacy obok ginu (dużego) butelkę toniku slimline. Kropla w morzu. Jak słoń, który odmówił sobie jednego banana, pomyślał. Pomyślał też, że Peter chyba znacznie utył, od kiedy widzieli się ostatni raz, choć było to bardzo wątpliwe, bo od tego czasu minęło nie więcej niż kilka dni. Nie wyglądał najlepiej. Ciężko dyszał i zdawał się pocić, chociaż na dworze wcale nie było gorąco. Wysokie ciśnienie. Niedobrze.

Peter szedł korytarzem przed Charliem, nie przestając gadać.

– Powinieneś zobaczyć te stare kwoki, jak wychodzą z supermarketów z wózkami wyładowanymi po brzegi frykasami, zupełnie jak na Boże Narodzenie. – Zawadził biodrem o krawędź stołu, aż zdrząły listeczki płożącej się tam roślinki doniczkowej. – I nie chodzi mi wcale o centrum miasta, mówię o takich zabitych dechami dziurach jak Greenhill czy Emanuel. – Otworzył drzwi do saloniku. – I rzecz w tym, że nikomu nie można o tym powiedzieć. Nikt nie chce wiedzieć.

Peter Thomas musiał przytrzymać drzwi, które z powodu niegdysiejszego brakoróbstwa zatrzaśkiwały się same, bowiem Charlie, po wykonaniu kilku gwałtownych ruchów, które miały zapobiec zsunięciu się szklanek z tacy, a omal do tego nie doprowadziły, był teraz zbyt zajęty. W końcu dotarli bezpiecznie na miejsce i usiedli, a Garth mógł wreszcie przywitać Petera.

Rzut oka na Petera wystarczył, aby mieć pewność, że na razie nie można się niczego po nim spodziewać. Po trosze, aby go sprowokować, Charlie zagaił:

– Czy ktoś przechodził ostatnio koło Świętego Pawła? Niezłą tam mają teraz zabawę.

– Czy mówimy o katedrze Świętego Pawła w Londynie?
– zapytał Malcolm.

– Nie, nie, o kościele niedaleko Strandu, u nas. Kościele starego... jak mu tam? Starego Joego Craddocka.

– Tego, który nosił zieloną tweedową czapkę do kompletu z koloratką?

– Właśnie tego. Powinien to teraz zobaczyć. I wy także. Kino „tylko dla dorosłych” tam zrobili. Nie wpadlibyście na to, prawda? Nie mielibyście śmiałości. Nikt by nie miał.

– Daj spokój, Charlie – odezwał się Garth. – Nie chcesz chyba tu siedzieć i...

– Chcę, chłopie, do cholery. Pornosy w sali jeden i dwa. To znaczy, odpowiednio: w nawie bocznej i w prezbiterium. *Zabaw się ze mną* i inne perełki.

– Śmiem twierdzić, że dokładają wszelkich starań, aby zbeczczyć ten budynek – rzekł Peter.

Ty stara, gruba, zakłamana walijska cipo, pomyślał Charlie, powiedział natomiast:

– Joemu by się to spodobało. – Po czym dodał ku uciesze Gartha: – Stary Joe rznął wszystko, co się ruszało. Istny był z niego fenomen. Ale też przyciągał ogromną rzeszę wiernych. Za kołnierz też nie wylewał. Oczywiście mówię o czasach sprzed jakichś dwudziestu lat.

– Nic o tym nie wiedziałem – wyznał Malcolm, starając się ukryć zaszokowanie. – Mam na myśli jego prowadzenie się.

– No cóż... – Charlie ponownie zachował dla siebie własne spostrzeżenia. Wciąż się uśmiechając, napotkał wzrok Petera – tylko na mgnienie, wystarczyło jednak, by mieć pewność, że Peter stara się nie przyłączać do wywołanego wspomnieniami śmiechu na poły podziwu, na poły zgrozy, do którego z pewnością przyłączyłby się jeszcze nie tak dawno temu. – I jakie zdumiewające szczęście do koni miał ten Joe. Twierdził, że może liczyć na pięć do sześciu setek rocznie, co w tamtych czasach było niebagatelną sumką. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto by uważał, że to w porządku.

Znów zapadło milczenie. Chwile ciszy miały kapitalne znaczenie dla spotkań w „Biblii”. Peter siedział z dłońmi wspartymi o mięsiste uda. Pociągał nosem i pojękiwał z cicha, być może porządkując swoje odczucia na temat losu, jaki spotkał kościół Świętego Pawła. W końcu odezwał się Garth, tym swoim przejętym, gdaczącym głosem:

– Malcolm właśnie mówił nam, że Alun i Rhiannon wracają tutaj na stałe. Oni...

Peter zwrócił się w stronę Charliego niemal z wściekłością.

- Wiedziałaś o tym? I nawet mi nie bąknęłaś.
- Nie dałaś mi okazji.
- Na stałe, powiadasz.

– Najwyraźniej. Tak – odparł Charlie, usiłując mimiką dać Malcolmowi do zrozumienia, żeby się włączył, co też ten bez wielkiej zwłoki uczynił, wyjaśniając, że Weaverowie wynajęli już dom w Pedwarsaint, z którego będą robić wypadu po okolicy. Peter gapił się na niego, czy raczej w jego kierunku, przez grube szkła swoich okularów, a Garth łowił każde słowo, jakby wszystko to słyszał po raz pierwszy.

Malcolm nie zdradził, że kiedy Peter był młodszym wykładowcą na miejscowym uniwersytecie, a Rhiannon studentką drugiego roku, połączył ich romans. Rhiannon zaszła w ciążę i na koszt Petera poddała się w Harriston aborcji u jakiegoś doktora, którego wkrótce potem za podobne praktyki wykreślono z rejestru lekarzy i który od dawna już nie żył. Jak na południową Walię przełomu lat 1947 i 1948 był to niezwykle ciąg wypadków – a jeszcze bardziej niezwykle było to, że Peter nie został usunięty z posady na uczelni i właściwie oficjalnie nikt się w tej sprawie nie wypowiedział. Tym, co się wówczas w gruncie rzeczy liczyło, i to nie tylko w południowej Walii, było nie tyle to, co wiedziałeś, ile to, kto mógł udowodnić, że to wiesz. Niedługo potem Peter porzucił jednak obiecującą karierę akademicką na wydziale inżynierii chemicznej dla innego rodzaju kariery, w bardziej realnym życiu, i to całkiem niedaleko, bo o parę mil na zachód wzdłuż wybrzeża, w Port Holder. Rhiannon zniknęła gdzieś w Londynie, gdzie po jakimś czasie dostała pracę recepcjonistki w BBC i gdzie z kolei po roku czy dwóch spotkała Aluna Weavera.

Nie było to, oczywiście, wszystko, co się wówczas wydarzyło. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Rhiannon zaszła w ciążę, Peter zainteresował się inną kobietą, kimś spoza uniwersytetu. Po upływie paru miesięcy rozniosło się, że jest zaręczony, przypuszczalnie z tą drugą. Jego narzeczoną była niejaka Muriel Smorthwaite, córka jednego z dyrektorów walcowni blachy cynkowej, w której Peter teraz pracował. W tamtych czasach uważano, iż Peter ma szczęście, że ze swoją przeszłością w ogóle zdołał się zaręczyć z kimkolwiek na zachód od Offa's Dyke, bo chociaż Smorthwaite'owie pochodzili z Yorkshire, a więc nie byli tutejsi, jakiś życzliwy sąsiad niewątpliwie szepnął im słówko. Narzeczeni pobrali się i zamieszkali w Port Holder, by po paru latach osiąść w Cwmgwyrdd, na przedmieściach miasta.

Charlie studiował na tym samym roku co Rhiannon – choć z powodu służby wojskowej był od niej nieco starszy – więc dobrze znał ją samą i jej kolegów. Słyszał wówczas o tym wszystkim tyle samo co inni i niczego więcej się od tamtej pory nie dowiedział. Nie szukał informacji i nikt go nie informował; nie pamiętał o całej sprawie aż do dzisiejszego dnia. Zastanawiał się, ile wiedzą dwaj pozostali: Malcolm zapewne dość dużo, co dawało się odczuć w każdym jego geście, a także w sposobie mówienia; Garth przypuszczalnie nic.

Malcolm zakończył swoje krótkie wystąpienie. Peter, widząc wyczekujące spojrzenie Gartha, najwyraźniej nie był w stanie nic wymyślić. Jego połyskująca łysiną głowa kiwała się na boki w zaafierowaniu.

Charlie posłał mu łatwą piłkę.

– *Ty*, oczywiście, nigdy nie byłeś wielkim miłośnikiem Aluna, prawda? Ani jako człowieka, ani jako pisarza, jeśli dobrze pamiętam.

Peter znów obrócił się w jego stronę, tym razem z wdzięcznością.

– Cholerny Walińczyk – rzekł z lubością. Bez wątpienia miało się to odnosić do Aluna.

– Och, daj spokój – wtrącił Garth ze śmiechem. – Wszyscy tutaj jesteśmy Walińczykami. Nie wyłączając ciebie, jeśli się nie mylę.

– Tym gorzej – odparł Peter, wychylając do dna szklaneczkę.

Niemal w tej samej chwili drzwi rozwarły się z impetem, który przed półgodziną niechybnie zabiłby Charliego. Ich krawędź uderzyła w tył jego krzesła, jakkolwiek niezbyt silnie. W ciszy, jaka zaległa, do środka wkroczyła para – oboje młodzi, oboje w wysokich do kolan butach i ubraniach z jakiegoś syntetyku, oboje z kaskami motocyklowymi w rękach. Było oczywiste, że owo hałaśliwe wejście spowodowane zostało raczej bezmyślnością niż jakąkolwiek wrogością. Nieświadomi ani ciszy, jaka zapadła, ani czworga spojrzeń, jakie jej towarzyszyły – od pałającego ogniem wzroku Petera do łagodnego zdumienia w oczach Malcolma – goście wolnym krokiem przemierzali pokój i zaczęli oglądać fotografie zawieszane na ścianach i na kominku ponad zabitym deskami paleniskiem. Kiedy się odezwali, okazało się, że mają nietutejszy, przypuszczalnie liverpoolski akcent.

– Tabela na dzień 31 grudnia 1949 – odczytał młodzieniec i pociągnął ze szklanki pełnej prawdopodobnie piwa. – Co to za tabela? – ciągnął ze szczerym zainteresowaniem.

– To muszą być rzeczy właściciela – myślała na głos dziewczyna. W dłoni trzymała szklaneczkę z mętną zielonkawą mieszaniną, w której pływały kawałki lodu i owoców.

– Doroczna kolacja...

Dziewczyna wpatrywała się w nieco wyblakłą fotografię.

– To nie z tych okolic.

– Prezes... komitet... Wiesz, to wygląda na coś w rodzaju klubu.

– Ale nas podsumowali, co?

Para zaczęła właśnie nieśmiało odwracać się ku grupie starszków, gdy Garth, uznawszy, że Peter i Charlie są zbyt otyli, Malcolm zaś zbyt płochliwy, by się ruszyć, wstał i z rozmachem zatrasnął drzwi, które wszakże nie trzasnęły zbyt głośno, bo same niemal się już zamknęły.

– Ooo... przepraszam... – zaczął młodzieniec. Garth patrzył na niego bez słowa. – Czy to coś w rodzaju klubu?

– Niezupełnie – odrzekł Garth, potrząsając głową i robiąc porozumiewawcze miny. – Raczej, hm, mieliśmy właśnie zamiar rozpocząć zebranie, prywatne zebranie komitetu. W sprawach osobistych. Więc jeśli... eee...

– Och, cóż, przepraszamy.

Wymieniwszy spojrzenia, para intruzów nie zwlekając, ruszyła ku wyjściu. Dziewczyna, dość wysoka, poruszająca się sprężystym krokiem, na odchodnym obrzuciła siedzącą trójkę szybkim spojrzeniem.

– I zamknijcie, proszę, drzwi! – zawołał za nimi Garth.

Kiedy drzwi się zamknęły, niemal bezgłośnie, Garth wypuścił ze świstem powietrze, Charlie powiedział: „Dobra robota, Garth, jesteś wielki”, a Peter wydał z siebie krótki pomruk, niczym lew tłumiący ryk.

Malcolm siedział cicho. Pomyślał, że wzrok dziewczyny napotkał na mgnienie jego oczy – z pewnością nie było w tym nic innego poza odruchem albo grzecznością, a jednak dało mu to do myślenia. Ile to już lat minęło, odkąd zwrócił uwagę na jakąś dziewczynę? I co dokładnie dostrzegł w tej tutaj? Wcale nie była taka znów atrakcyjna. Młoda, to prawda, chociaż w trudnym do określenia wieku, a właściwie nie tyle młoda, ile świeża, nowa, dopiero co rozpakowana, taka, która nie zdążyła jeszcze ulec niszczącym wpływom niczego. Trudno uwierzyć, że był taki czas, kiedy on sam wiódł życie pośród takich właśnie ludzi, ze sporadycznymi wtrętami w postaci jakiejś ciotki lub nauczyciela, lub konduktora w autobusie.

– To... to pokolenie niekoniecznie zostało źle wychowane. Oni z natury są grubiańscy i prostaccy. – Peter zdawał się sądzić, że sprawa została załatwiona o wiele za łagodnie.

– Wręcz przeciwnie – odparł Malcolm, dość ostro jak na niego. – Zaplątali się tu dość bezceremonialnie, bo się zagapili, ale gdy zorientowali się w sytuacji, przyzwoitość wzięła górę i zachowali się jak najbardziej grzecznie.

– Pójdę i zaproszę ich z powrotem, jeśli chcesz – rzekł Charlie.

– To moja broszka – wtrącił Garth.

– Nie, moja – zaprotestował Peter.

Nie zdążył jednak jeszcze dobrze wstać, kiedy drzwi znów się otworzyły, niemal tak szeroko jak poprzednio, lecz tym razem gładko i cicho. Nastąpił moment zatrzymania akcji, który postronnemu obserwatorowi mógłby się wydać niepokojący. Wreszcie do pomieszczenia wszedł mężczyzna, który ceremonialnie zamknął za sobą drzwi – mężczyzna w tym samym przedziale wiekowym co reszta towarzystwa, wysoki i barczysty, ale nie otyły, ubrany w bardzo grubą kamizelkę z nie farbowanej wełny, ze zniszczonymi skórzanymi guzikami. Był to Tarquin Jones, znany jako Tarc, właściciel „Biblii”, odkąd sięgali pamięcią. Kiedy Malcolm ujrzał go po raz pierwszy stojącego za barem i nalewającego piwo, a było to chyba około roku 1950, pomyślał, że temu człowiekowi musiało się owego ranka przydarzyć jakieś nieszczęście i że on, Malcolm, jest w jakimś sensie za to odpowiedzialny. Nie zrejterował wtedy jednak, a wkrótce okazało się, że Tarc zawsze ma taki wyraz twarzy, przynajmniej na użytek klientów. Teraz, chwytając za oparcia krzeseł Charliego i Petera, Tarc pochylił się nad stołem i zajrzał im wszystkim w oczy, jednemu po drugim.

– A więc udało się wam przepędzić nieznośnych intruzów – powiedział ponurym tonem, rozpraszając tym samym chmurę niepewności co do tego, z czym przychodzi.

– Poszli potulnie jak baranki – odparł Charlie. – Żadnych problemów.

Tarc pokiwał ze zniecierpliwieniem głową, uznając sprawę za wyjaśnioną.

– Ubiegłego wieczoru – ciągnął, ścisząc głos – kręcili się przed lokalem jeszcze godzinę po zamknięciu, grzejąc silniki swoich motorów, puszczając na cały regulator muzykę z radia i wrzeszcząc jak opętani. Oni...

– To nadzwyczajne – wtrącił Malcolm. – Jak Charlie powiedział, przed chwilą zachowywali się nad wyraz układnie. Ani śladu...

Głos mu zamarł, gdy Tarc rozejrzał się ponownie, tym razem ze znużeniem.

– Właściwie miałem na myśli... – zaczął, przybierając nagle minę wyrażającą anielską wyrozumiałość – ...całkiem inną grupę młodzieży. Nie tych dwoje, którzy tu weszli i wyszli przed chwilą. Nie. Innych. W których naturze leży takie zachowanie, jak opisałem. Jak już mówiłem... – zdawał się nawiązywać do przerwanej myśli, lecz zamilkł na kilka sekund, zanim podjął wątek: – Oni są nietutejsi, wicie, większość z nich. Zjeżdżają się autostradą M4 z Cardiff albo Bristolu niczym zgraja z piekła rodem, o każdej porze dnia i nocy, każdy z lalunią z tyłu. Powiem wam, którejś niedzieli wracałem od córki z Penarth, kiedy otoczyła mnie taka zgraja i zaczęła podpuszczać, tak się to chyba mówi, wyprzedzając i wymachując rękami, trzymając się tuż obok i zaglądając mi głęboko w oczy przez, nie wiem, całe minuty, a wszystko to przy prędkości siedemdziesiąt na godzinę. Siedemdziesiąt. Gadając na mój temat, nawołując się, wymieniając o mnie uwagi i pokazując mnie sobie palcami. Nie wstydzę się przyznać – jeszcze bardziej zniżył głos – że byłem przerażony, naprawdę. Przeważony.

Gdy przerwał, nikt się nie poruszył, nie zareagował.

– Bo to nie jest takie tam zwyczajne dawanie upustu młodości, chęć wyszumienia się, do tego jesteśmy przyzwyczajeni. Nie, nie, tu mamy do czynienia z dobrze zaplanowaną i sterowaną napaścią na całą naszą kulturę i sposób życia. A dotyczy to zwłaszcza was, panowie. Sądzę, że w waszej sytuacji wypada wziąć pod uwagę i rozważyć, co należałoby zrobić. Jeśli tacy jak wy nie podejmą działań, nie wiem, co się z nami stanie.

– Jeśli chcecie znać moją opinię – rzekł Malcolm – w grę wchodzi tu wrogość wobec samej struktury społecznej.

Uwaga ta, zda się, całkiem rozbroiła Tarca. Kiedy się ponownie odezwał, jego głos był drżący i łzawy:

– Cieszę się niezmiernie, że pan tak sądzi, panie Cellan-Davies, wyjął mi pan te słowa z ust. – Zebrawszy puste szklanki, udobruchał się nieco i przez chwilę był nawet przyjazny. – Chyba tu nie za zimno, panowie, he? Bo na dworze paskudna pogoda. Pamiętajcie wszyscy, wystarczy słowo, i każę przynieść tu piecyk. – Nikt nie wypowiedział tego słowa, więc wycofał się ku drzwiom, gdzie przystanął, by wygłosić końcową kwestię: – Bardzo was proszę, panowie, abyście rozważyli wszystko to, co wam tutaj powiedziałem.

– A to ci dopiero postać – westchnął Garth, tak jak czynił po każdej wizycie Tarca.

– Chyba udało mi się go trochę uciszyć – zauważył skromnie Malcolm.

– O tak, niewątpliwie – przytaknął Peter.

– Czasami nasz stary Tarc posuwa się za daleko – skonstatował Charlie. – Wiemy, że będziemy musieli to przełknąć, i on także o tym wie. Nie powinien był gadać tego wszystkiego, o tej napaści i o tym, co my powinniśmy zrobić. Zwłaszcza o tym, co my powinniśmy zrobić. Nie, to było nieładne.

– Przepraszam, ale nie wiem, o co ci chodzi – powiedział Malcolm.

– O co? On się z nami drażnił. Prowokował nas, żebyśmy kazali mu przestać.

– Chcesz powiedzieć, że to było udawane? Wiem, że on ma skłonność do przesady, ale...

– Tarc sam nie wie, ile w tym było z udawania – wtrącił się Peter. – Już nie. Tak się zapędził, że nie potrafiłby powiedzieć, czy naprawdę myślał tak, jak mówił, czy nie. I chyba nie był w tej mierze odosobniony.

– Tak czy inaczej – odezwał się Garth – obaj, ty i on, zdajecie się bardzo zorientowani we współczesnym świecie, w problemach młodzieży i w całej reszcie.

Na szczęście, nim Peter zdołał odpowiedzieć, na scenę wkroczył stary Owen Thomas (nie spokrewniony z Peterem) wraz z kolegą, emerytowanym księgowym z Brecon, a zaraz po nich zjawił się stary Arnold Spurling, i jeszcze stary Tudor Whittingham, który w 1953 roku pokonał na Wembley Amatorskiego Mistrza Imperium Brytyjskiego 9:3, 14:12, 9:7. Arnold wygrał właśnie parę funtów w jednym z gazetowych konkursów bingo i koniecznie chciał postawić wszystkim kolejkę. Charlie zaczynał czuć się coraz lepiej i nawet Peter wydawał się pogodzony z obecnością Arnolda oraz pozostałych.

Owen Thomas poszedł do baru po bułki z szynką i przyniósł wszystko, co tam mieli do jedzenia: talerz zapiekanek z jajkami i serem przygotowanych przez wnuczkę Tarca, która miała na uniwersytecie zajęcia z zasad żywienia. Peter, Malcolm i Charlie nie jedli, każdy z innego powodu. Wszyscy trzej postanowili wyjść po następnej kolejce, a raczej tak postanowił Peter, którego samochód stał przed lokalem, zaś pozostali do niego dołączyli. Wypili ową kolejkę, i jeszcze jedną szybką, ale już bez Malcolma, a potem wyszli. Garth mieszkał niedaleko, więc zamierzał pójść do domu spacerkiem, gdy tylko skończy wyjaśniać koledze Owena Thomasa, dlaczego tak ważną rzeczą jest nie oddawać się rozmyślaniom.

Peter jeździł morrisem mariną w staromodnym żółtawopomarańczowym kolorze, urozmaiconym tu i ówdzie niewielkimi archipelagami rdzy. Charlie bez słowa usiadł z przodu, obok kierowcy, a Malcolm na tylnym siedzeniu. Malcolmowi z jego długimi nogami niezbyt tam było wygodnie, bo Peter maksymalnie cofał fotel, aby się zmieścić za kierownicą ze swoim ogromnym brzuszyskiem. Drugą połowę tylnego siedzenia zajmowały płytkie drewniane skrzynki, z których sypał się piasek i drobne kamyczki. Piętrzyły się na nim także ziemniaki, pory, pasternak i chyba rzepa, wszystko świeżo wyciągnięte z ziemi, a w każdym razie nie ruszane od chwili wyrwania. Wszędzie wałały się puste kartoniki po chusteczkach higienicznych, bardzo brudne szmatki do wycierania okien, broszury techniczne z oślimi uszami, jakieś wykresy, gruby plik kalki technicznej o dość archaicznym wyglądzie, katalogi wydawnicze, pusta tubka po dropsach, opakowanie po herbatnikach, kilka książek oraz ulotki na temat odchudzania. Gdy Peter ruszył, spod jego siedzenia wytoczyła się mała butelka bez kapsla, która kiedyś przypuszczalnie zawierała tonik slimline.

Malcolm odkleił od podłogi jedną z broszurek dotyczących diety i zaczął ją przeglądać. Chciał sobie przygotować temat zastępczy na wypadek ewentualnego ponownego roztrząsania sprawy Rhiannon, a poza tym interesowało go zdrowe żywienie. Jego własne zwyczaje kulinarne stanowiły mieszaninę kilku różnych szkół, często ze sobą sprzecznych. I tak na przykład dwie kwarty piwa dziennie, które, jak utrzymywał, pomagały mu w regularnych wypróżnieniach, oznaczały konieczność redukcji kalorii w jednym z posiłków, a to z kolei groziło deficytem błonnika. Ogólnie rzecz biorąc, nigdy się nie wiedziało, jaką to kolejną świetną koncepcję zmniejszenia łaknienia albo bezpiecznego ograniczenia objętości masy pokarmowej zaproponuje ten czy inny program dietetyczny. A poza tym trzeba było coś czytać.

Niebawem Malcolm zorientował się, że wybrana przez niego broszurka nie była wcale dużo lepsza od innych, a jej jedyną zaletę stanowiło to, że dała mu zajęcie na całe pięć minut. Zabraniając picia wszelkiego alkoholu, wyjąwszy małą lampkę białego wytrawnego wina raz do roku, przedstawiano tam nad wyraz bogatą i pełną fantazji listę wszystkiego, co ludzie lubią jeść – by tego również zakazać, chociaż istniało, oczywiście, pewne, ryzyko niesubordynacji. Wystarczyło jednak świadectwo własnych oczu, by stwierdzić, że jeśli nawet stary Peter – słuchający teraz wywodów Charliego na temat ceny jakiegoś domu w Beaufoy – kiedykolwiek przestrzegał tych ograniczeń, to nie dłużej niż przez kilka godzin, po których z kretesem o wszystkim zapomniał. Czemu jednak w takim razie zadawał sobie trud czytania, a przynajmniej kupowania literatury na temat diet? Żeby polepszyć samopoczucie, ograniczając się do wyłożenia pieniędzy. Żeby czynić sobie obietniki, niczym ktoś przeglądający prospekty turystyczne z egzotycznych krajów. Nie, raczej jak ktoś czytający o polarnikach żywiących się śniegiem, mchem i skórą z butów. Albo o torturach stosowanych przez czerwonoskórych.

Malcolm się rozmarzył. Podobnie jak w dzieciństwie, kiedy to specjalnie oddawał się myślom o szkole albo odrabianiu lekcji, aby odsunąć nieco perspektywę czekającej go zabawy lub zbliżających się urodzin, zanim pozwolił sobie zanurzyć się w rozkosznym oczekiwaniu, tak teraz pozwalał, aby rozmyślanie o nadwadze Petera przysłoniło mu wspomnienia o Rhiannon. Kłopot jednak w tym, iż nie były one w jego pamięci tak wyraziste jak *Lettres de mon Moulin* albo występy trupy Południowoafrykańczyków w Gloucester. Zabrał go na nie jego wujek, duchowny.

– Miękki jak wosk – rzekł Peter, kiedy wysadzili Malcolma przed jego domem. – Przemięły, zgoda, ale piekielnie miękki.

– Tak, chyba masz rację – przytaknęła Charlie.

– Założę się, że sumiennie notuje miesiąc i rok na wszystkich odcinkach kontrolnych w swoim bloczku czekowym.

– Aha. I wypisuje pensy słownie.

– I wysyła wieczka od pudełek, żeby dostać za darmo ozdobny dzbanek ręcznej roboty za trzy pięćdziesiąt.

– No nie, nie posuwajmy się za daleko. Ale założę się, że ogląda filmy dokumentalne.

– Po walijsku. – W głosie Petera brzmiała czysta złośliwość.

– I przysięgnę, że wymachuje ramionami w takt marsza.

– Wiesz, że na tym nowym kanale nadają teraz po walijsku sprawozdania z zapasów? Zupełnie jak po angielsku, tylko ten koleś odlicza *un-dau-tri*. A potem ci idioci mogą się chwalić, że wzrasta oglądalność programów w języku walijskim. Do czterech tysięcy jedenastu.

– Komentarz również powinien być po walijsku.

– Niewątpliwie, niewątpliwie. Domyśliłeś się, że za młodu Malcolm miał... powiedzmy, słabość do Rhiannon?

– Tak, chyba masz rację – zgodził się Charlie. – Ale nie mówił o żadnych konkretach.

– Moim zdaniem z tego, jak o niej opowiadał, wynika, że w jakimś sensie był z nią związany. Tylko ciekawe, kiedy.

– Zanim przyszedłeś, palnął o niej niezłą liryczną mówkę. Ale, jak mówiłem, żadnych konkretów. To niezbyt miłe, prawda?

– Uhm. Brak konkretów może mieć dwojaką wymowę. Może znaczyć, że nawet jej nie dotknął, ale chce, żebyśmy myśleli, że to zrobił. Albo że to zrobił, ale z jakiegoś powodu nie chce, żebyśmy o tym wiedzieli, więc zachowuje się tak, jakby tego nie zrobił. Musisz pamiętać, że pn także jest Walijszczykiem.

– Chryste, za to ciebie, Peter, po tej drobiazgowej analizie nikt by nie wziął za Walijszczyka. Ale tak czy owak, nie sądzę, aby Malcolm był Walijszczykiem tego rodzaju.

– Tak? A jest jakiś inny rodzaj? Właściwie to, wiesz, miałem...

Głos Petera zamarł tak raptownie, że trudno było mieć pewność odnośnie do jego ostatnich słów. Siedział przygarbiony, ale napięty, wyciągając przed siebie ramiona, by móc dosięgnąć kierownicy, z ledwo sięgającymi pedałów stopami. Po chwili łypnął okiem na Charliego, choć zważywszy, że zatrzymywali się właśnie na światłach, bardziej na miejscu byłoby spokojne spojrzenie. Jęknął z wysiłku, kiedy zgniatając brzuszysko, sięgnął jeszcze dalej przed siebie, by włączyć wycieraczki. Zaczęło się śnieżyć.

– Oczywiście, nigdy nie ma pewności, że facet nie dobrał się do dziewczyny – stwierdził Charlie w zadumie. – Nawet Malcolm za młodu. Ja nie robiłbym z tego...

– Wiesz, ja także miałem z nią romans. Musiałeś o tym słyszeć, Charlie.

– Tak.

– I jeszcze trochę więcej. Nie wypadłem wtedy najlepiej. Nie zachowałem się jak należy, rozumiesz.

Po chwili milczenia Charlie zaczął:

– Sądzę, że my wszyscy...

– Nie aż tak źle, jak niektórzy sobie wyobrażają, ale jednak źle. Całkiem źle. Jakkolwiek by jednak na to spojrzeć, kiedy usłyszałem, że ma się tu znowu zjawić, było to trochę jak grom z jasnego nieba. Oczywiście, będę się starał nie pakować się jej na oczy.

– To wcale nie jest takie oczywiste. Po tych wszystkich latach.

– Nie, nie, jest jeszcze strasznie dużo takich spraw... Powiem ci później. A na razie prosiłbym cię tylko, abyś, no wiesz, wykazała cierpliwość. Poza tym chodzi tu o coś więcej niż tylko o niepakowanie się jej na oczy. Chodzi o to, że oprócz tego jest jeszcze on, rozumiesz?

– Tak, jest jeszcze on.

– Nie pora na roztrząsanie tego. Ale spodziewam się, że możesz sobie wyobrazić, jak ja się czuję. Przynajmniej częściowo.

– Mogę. I jestem pewien, że ty również możesz sobie częściowo wyobrazić moje samopoczucie – odrzekł Charlie, dając do zrozumienia zarówno tonem głosu, jak i spojrzeniem, że teraz on napomyka o czymś, co było wiadome, lecz nie nazwane.

– A jakże. – W zachowaniu Petera pojawiło się coś na kształt serdeczności. – Czy... eee... czy Sophie czasem o tym wspomina? To znaczy, nie było to nigdy nic wielkiego, prawda?

– Moim zdaniem nie. A co do Aluna, to niezupełnie był on tym jedynym, chociaż z drugiej strony jeden taki Alun w zupełności wystarczy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. W każdym razie kiedy ja nastąpiłem, tamta historia była już skończona, a jednak... Hm, było takie popołudnie, kiedy przyjechał tu na jedną z tych swoich wycieczek, pięć albo sześć lat temu. Zadzwonili wtedy po Sophie ze sklepu, ale nie można jej było znaleźć, a jednocześnie całkiem przypadkowo usłyszałem, że nikt nie wiedział, gdzie w tym samym czasie podziewał się on. Wiem, to przypuszczalnie nic nie znaczy. W każdym razie nie było nic więcej, a to najważniejsze. Bo w końcu to nie jest takie ważne. Tylko te cholerne efekty uboczne. Geniusz z tego Aluna, jeśli idzie o efekty uboczne. Nawet obezwładniająco żenujący poemat byłby jedynie bardzo łagodnym tego przykładem.

– Rozumiem. Niech mnie diabli, jeśli nie rozumiem. A pamiętasz, jak się załamał na tym nabożeństwie za Brydana w St. Illtyd?

– Ma się rozumieć. I w jaki sposób się załamał! *Gwae och*, jam niegodzien wysławić jego chwałę i tak dalej.

– Mile widziany przebłysek realizmu – rzekł Peter.

– O, naprawdę tak sądzisz? Moim zdaniem nikt nie byłby bardziej odpowiedni.

– No tak, zgoda. Kiedy więc przyjeżdżają?

– Jeszcze nie teraz. Za kilka miesięcy. Możesz mnie wysadzić przy „Glendower”?

– Pewnie. Co mam powiedzieć Sophie? – Peter zamierzał jechać do Norrisów, żeby zabrać żonę, która wybrała się tam na kawę.

– Po prostu, że wysadziłeś mnie przy „Glendower”. Nie będzie zdziwiona.

Kiedy dojechali, Charlie zaprosił Petera na jednego, lecz ten wolał nie zbaczać z kursu, więc Charlie wszedł sam do „Glendower”, którego pełna nazwa brzmiała „Tawerna i Grill Owena Glendowera” (a nie Owaina Glyndwnsracza, o nie, wielkie dzięki). Jako współwłaściciel restauracji, Charlie szybko znalazł towarzystwo. Do baru podeszło zaraz paru kolesiów z Rady Hrabstwa, którzy troskliwie zaproponowali mu siedemnaście gatunków szkockiej whisky, i nie minęło wiele czasu, nim Charlie poczuł się w szczytowej formie.

Dwie puste półtoralitrowe butelki Soave Superiore (DOC) stały na szklanym blacie stołu obok srebrnej tacy z dziesięcioma czy jedenastoma filiżankami. W niektórych była nie dopita kawa. W przestronnym salonie Sophie Norris było biało od papierosowego dymu i huczało od rozmów. Większość pań, wiernych walijskiej punktualności, przybyła przed jedenastą lub nieco wcześniej, by nie stracić ani chwili z tego, co się będzie działo. Z kawą oraz towarzyszącymi jej ciasteczkami, które niejako uprawomocniały owo zgromadzenie, rozprawiono się szybko – część gości nawet pominęła ten punkt programu – i po niespełna dwudziestu minutach przystąpiono do zasadniczego dzieła: odkorkowywania i nalewania. Później, oczywiście, pito w rozmaitym tempie, choć można się było domyślić, że niektóre panie już wcześniej były po kilku szklaneczkach Soave albo Frascati. Ale w końcu to tylko wino.

Sama Sophie do tych pań nie należała. Stojąc nie opodal oszklonych drzwi, za którymi rozciągał się widok na ogród, pola golfowe, a w oddali morze, robiła wrażenie pewnej siebie i swobodnej, zupełnie jak żona dobrze prosperującego dostawcy żywności tuż przed emeryturą i zupełnie nie jak ktoś, kto w swoim czasie był chyba najłatwiejszą zdobyczą pomiędzy Bridgend a Carmarthen – a to wielka różnica. W tweedowej spódnicy i sweterku z angory jej figura nadal wyglądała imponująco, choć piersi nie sterczały już tak wyzywająco, z czego kiedyś słynęły. Sophie omawiała właśnie z Gwen Cellan-Davies temat dnia.

– To całkiem przystojny mężczyzna, temu, jak sądzę, nie zaprzeczysz – stwierdziła Gwen głosem osoby bezstronnej.
– A w każdym razie taki był.

– Tak, całkiem niezły, jeśli się gustuje w takich efekciarskich typach. – Sophie mówiła tym trudnym do naśladowania, trochę piskliwym, harristońskim tonem, który świetnie się nadawał do wygłaszania nijakich uwag. – Ona za to jest urocza.

– Uważaj, straszny z niego blagier.

– Słucham?

– Chodził do szkoły z Brydanem, akurat! Cóż, chodzili do tej samej podstawówki, to fakt, ale były między nimi trzy lata różnicy. Niemożliwe, żeby go znał. A jeśli tak, to znaczy, że Brydan interesował się chłopaczkami o trzy lata młodszymi. Wiele o nim słyszałam, ale czegoś takiego nigdy. Zapytaj Muriel. Powie ci, że Peter jest dokładnie w tym samym wieku co Alun, bo chodzili do jednej klasy, i on wcale nie pamięta Brydana z tamtych czasów.

– Tak, no cóż...

– I według Petera ta cała historia z imieniem Alun także była dla hecy. Peter mówi, że w szkole Alun miał na imię Alan, w wersji angielskiej. No, ale to było, zanim postanowił zostać „zawodowym” Walińczykiem.

Niewiele tak zwanych ogólnych tematów przemawiało Sophie do wyobraźni, a Walia i walijskość zajmowały wysoką pozycję wśród jej antykoników.

– Naprawdę? – skwitowała tak beznamiętnie, że z pewnością odstraszyłaby kogoś mniej namolnego niż Gwen.

– To znaczy wtedy, kiedy po wojnie wrócił z wojaży po świecie i odkrył korzyści płynące z walijskości.

– Zaklinam cię na wszystko, Gwen, wyjaw mi, jakie to korzyści, a ja to przekażę mojemu mężowi – rzekła Muriel Thomas swym pełnym werwy, donośnym głosem, podchodząc bliżej. Trzymała w ręce świeżo odkorkowaną butelkę Soave, tym razem zaledwie litrową, z której napełniła kieliszek Gwen. – Bo on, zdaje się, myśli, że walijskość ma raczej coś wspólnego z piętrem Kaina.

– Wiesz, Muriel, tak naprawdę chodziło mi tylko o zrobienie wrażenia na Anglosasach, na wzór Brydana. Rozmawialiśmy jednak o Alunie.

– O Boże, doprawdy? Obawiam się, że masz przed sobą Anglosasa, który zdołał oprzeć się urokowi zarówno Brydana, jak i Aluna. Nic więcej nie powiem, bo w końcu jestem gościem w tym kraju.

– Jesteś jedną z nas, kochanie – zapewniła ją Sophie.

Było to prawdą w tym sensie, że pomimo całej swej tak często deklarowanej angielskości, pod względem fizycznym Muriel, ze swymi ciemnymi włosami i oczami oraz szczupłą figurą, na co w Walii zwraca się szczególną uwagę, pasowała do walijskiego typu urody. Jeśli nawet przyszło jej to teraz do głowy, nie dała po sobie nic poznać. Zachowując dla siebie ewentualne uwagi, powiedziała:

– Nie przyszłam do was, koleżanki, po to, aby dyskutować o wielkim Alunie, lecz po to, żeby skrzyknąć ekspedycję ratunkową dla biednej Angharad, która popadła w niewolę *la belle* Dorothy.

Wszystkie trzy ruszyły powoli przez pokój. Poziom zanieczyszczenia powietrza chyba nieco wzrósł. Współczynnik spożycia alkoholu mógł wykazywać nieznaczące wahania, ale zainteresowanie papierosami było dość wyrównane i głębokie, a dym z tych, które były właśnie palone, dzielnie wspomagały trzy lub cztery zostawione w popielniczkach nie zgaszone niedopałki. Wszędzie wały się puste lub porzucone rozmaite opakowania.

Przed włączonym kominkiem gazowym – wielkim i eleganckim urządzeniem ze świetnie podrobionymi węgielkami – siedziała na dywanie Dorothy Morgan, która przybyła tu za dziesięć jedenasta. U jej boku stała opróżniona do połowy litrowa butelka kalifornijskiego Pinot Chardonnay oraz pełna po brzegi popielniczka z niebieskiego szkła, w której leżały dwa dopalające się papierosy. Dorothy perorowała zapamiętałe, chociaż niezbyt głośno, w stronę Angharad Pumphrey, która, by cokolwiek usłyszeć, musiała wychylać się ze skórzanego fotela.

Angharad nie była głucha ani pod żadnym względem gorsza od większości z nich. Nie była pijana ani nawet nie piła. Tym, co wyróżniało ją spośród pozostałych, był jej wygląd – wygląd prawdziwej damy, chociaż wcale nie była z nich najstarsza. Częściowo brało się to z jej stroju – żadnych jaskrawych spodniów – a częściowo z nieskazitelnej i nie retuszowanej fryzury, choć jednocześnie nic nie można chyba było poradzić na jej obwisłe wargi czy nazbyt wydatną żuchwę, czy zwiotczałą skórę wokół oczu. Mówiono o jakiejś deformującej chorobie, na którą zapadła, zanim przybyła w te strony z Capel Mererid, przypuszczalnie już po poślubieniu Gartha, lecz nikt nie wiedział nic pewnego albo nie kwapił się z opowiadaniem.

– Ale nie tylko o to chodzi – mówiła Dorothy Morgan. – Cały ich światopogląd jest inny, cały styl życia. – Schludne, krótko ostrzyżone włosy i okulary w prostych czarnych oprawkach przydawały jej pozorów intelektualności. – Można to poznać po samej strukturze ich języka. Czy choć trochę znasz rosyjski? Cóż, pełno w nim koniugacji i końcówek. Na przykład...

Tymczasem przybywała odsiecz: Muriel usiadła na poręczy fotela, Gwen na wyściełanym taboreciku z przyborami do ręcznych robótek, a Sophie – na dywanie. Kiedy zakończyły zajmowanie pozycji, przywitały się z Angharad, spytały ją o zdrowie i oznajmiły, że miło im ją tutaj widzieć, ona zaś każdej coś odpowiedziała.

W trakcie tej wymiany uprzejmości Dorothy uniosła się na kolana i nieco głośniej niż przedtem powiedziała:

– Mówiłam Angharad o rosyjskim i o tym, jak zdumiewająco bardziej skomplikowany jest od walijskiego. No i, oczywiście, od angielskiego, co wcale nie znaczy... – Mówiła z przylepionym do twarzy bladym uśmiechem i ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie. – ...że oni są bardziej wyrafinowani od nas, a w każdym razie nie przez cały czas... – Zagadką było, kiedy sypiała, bo nikt nigdy nie widział, żeby udawała się na spoczynek. Nikomu, kto przebywał z nią pod jednym dachem nie zdarzyło się też, aby schodząc na śniadanie, nie zastał jej już przy stole z papierosem w dłoni, a jeszcze częściej ze szklaneczką wina. – ...bardzo prymitywni, bo gdy tylko się da, opuszczają czasownik „być”. Zupełnie jak Indianie. – Podobno kiedyś przyłapano ją, jak wyjaśniała fachowcowi kładącemu u nich wykładzinę podłogową, co to jest *eohippus*.

Zazwyczaj potrzeba było sporo czasu, by wyprowadzić Dorothy z takiego transu, toteż gdy przerywała na chwilę, tak jak to uczyniła po słowie „Indianie”, nikt nie wiedział, co powiedzieć, i dopiero Sophie w ostatniej niemal chwili wpadła na koncept, żeby zapytać ją o podróż do Leningradu. Chyba nie chcecie znowu o tym słuchać? Tak, chcemy nalegała Sophie, i nie trzeba było długo czekać, żeby usłyszeć pełną relację z podróży Aeroflotem, przedstawioną z nie mniejszą niż poprzednio swadą.

Pod tym ogniem osłaniającym Muriel, Gwen i Angharad mogły się bezpiecznie wycofać. Instrukcja obsługi Dorothy głosiła, że kiedy ta wpadała w tego rodzaju trans i ktoś musiał się poświęcić dla dobra ogółu, tym kimś miała być gospodyni domu. Obowiązek ów zdawał się rozkładać dość równomiernie, wyjąwszy sytuacje rozgrywające się na gruncie neutralnym, na przykład na własnym terytorium Dorothy, tak się jednak składało, że częściej niż innym przypadał w udziale właśnie Sophie. Pozostałe kobiety przyznawały z niejakim zakłopotaniem, że Sophie robi wrażenie, jakby nie było to dla niej szczególnie uciążliwe.

Na stoliku z drinkami nie było ani śladu po ledwo napoczętej litrowej butelce Soave, którą Muriel zostawiła tam parę minut temu. W zasięgu ręki stała za to nietknięta gigant-flaszka Orvieto, więc nie tracąc czasu, z papierosem w zębach i obłędem w oku, Muriel zabrała się zręcznie do jej odkorkowania.

– Długośmy cię tutaj nie widziały, Angharad – rzekła Gwen.

– To prawda, i dzisiaj także byście nie zobaczyły, gdybym przypadkiem nie wybrała się z zegarem do naprawy do tego warsztatu na Hatchery Road. – Głos Angharad nie brzmiał staro, w każdym razie był taki, że różni dostawcy i w ogóle nieznanymi próbowali czasem flirtować z nią przez telefon. – I tam natknęłam się na Sian Smith, która akurat tu szła.

– Oczywiście, to kawałek drogi od ciebie.

– Właśnie, i chyba niezbyt się oplącała fatyga, jeśli to, co tu widzę, jest miarodajną próbką.

– Och, przepraszam cię za Dorothy. My się już do niej w jakimś stopniu przyzwyczaiłyśmy. Zauważyłyśmy, że cię dopadła.

– Mam nadzieję, że mnie się nigdy nie uda do niej przyzwyczaić. Skąd jej strzeliło do głowy, że mogę mieć ochotę na wysłuchiwanie tych żalonych, idiotycznych uwag na temat Rosji, rosyjskiego czy Rosjan? Czy czegokolwiek innego?

Nie było widać, żeby uświadamiała sobie fakt oswobodzenia, nie mówiąc już o jego docenieniu. Wręcz przeciwnie, jej oburzenie zachowaniem Dorothy rosło, w miarę jak stawało się jasne, że nikt nie zamierza za nie przeproszać. Z uwagą i niekłamanym zainteresowaniem przyglądała się, jak Muriel wyciąga korek z butelki Orvieto, później zaś z pewnym niedowierzaniem śledziła każdy ruch towarzyszący nalewaniu wina, trzymając skromnie z boku własny, pusty już niemal kieliszek. Ludzie mieli skłonność do zapominania o jej obecności w takim samym stopniu, jak zapominali o obecności jej męża, którego, nawiasem mówiąc, nigdy nie widywano w jej towarzystwie, podobnie jak nie było chyba człowieka, który widział wewnątrz ich domu. Życie rodzinne i małżeńskie Pumphreyów stanowiło częsty temat takich jak to spotkań przy kawie, jak również rozmów w „Biblii”.

– Cóż, taka już ona jest – westchnęła Gwen, z niejakim opóźnieniem i bez zapału biorąc Dorothy w obronę. – Zawsze taka była, a ostatnio się jej w tym względzie pogorszyło. Jak zresztą wszystkim.

– Chodzi mi o to, że ja przecież nie jestem wcale jakąś jej wielką przyjaciółką – ciągnęła oskarżycielsko Angharad. – Właściwie prawie jej nie znam. Prawie nigdy wcześniej z nią nie rozmawiałam.

– Po prostu nawinęłaś się jej pod rękę, to wszystko – wyjaśniła Muriel.

– Jakiego męża może mieć taka kobieta?

Muriel zapaliła kolejnego papierosa.

– Stary Percy Morgan to bardzo miły facet – powiedziała.

– Jemu ona tego nie robi. W każdym razie nie przy nas. Strasznie są do siebie przywiązani.

– On jest budowniczym – dodała Gwen.

– Budowniczym?

– Tak, buduje na przykład ratusze – odparła Muriel.

Przyjrawszy się uważnie, jak Muriel wciąga kolejny haust dymu, Angharad wróciła do swojej myśli.

– Ale ona nawet nie dała mi wtrącić słowa, jednego słowa! Chociażby po to, żeby jej powiedzieć, jak bardzo fascynujące rzeczy opowiada!

– Na każdym ubawie zawsze się trafi ktoś taki jak ona – stwierdziła Gwen.

Angharad uniosła krzaczaste brwi.

– O, a więc tak to się nazywa. Szczerze mówiąc, jeśli by się miało skończyć na jednej takiej osobie, to nie przejmowałabym się tak bardzo – oświadczyła, spoglądając wyniośle ponad ramieniem Gwen. – Właściwie nie zawaham się powiedzieć, że moja noga nieprędko tu postanie. Ten rodzaj ubawu, jak to określasz, zupełnie mi nie odpowiada. Chyba lepiej już się pożegnaj. Gdzie jest... gdzie Sophie?

Obie kobiety obserwowały, jak Angharad krótko i bez *wylewności* żegna się z gospodynią i nie rzuciwszy Dorothy ani nikomu innemu nawet jednego spojrzenia, człapie ciężko ku drzwiom.

– To właśnie nazywam łagodnieniem wraz z wiekiem – rzekła Muriel, napełniając kieliszki po brzegi. – I jestem doprawdy wstrząśnięta, że nie zawahała się powiedzieć nam tego, co powiedziała.

– Zawsze sądziłam, że jedynie urodziwi ludzie mogą sobie pozwolić na takie zachowanie. Mimo to szkoda mi biedaczki. Prawdopodobnie cierpi.

– Mam taką nadzieję. Niewiele osiągnęliśmy, nadstawiając karku za Dorothy.

Gwen wykrzywiła twarz.

– Ale w końcu, bądźmy szczerze, nie urobiliśmy się po łokcie.

– Wiesz, właściwie masz rację, nie urobiliśmy się zbyt. Nie najprzedniejsza to linia obrony mówić, że nasz klient-włamywacz zawsze był włamywaczem.

– Powinnyśmy były zgodzić się, że Dorothy jest okropna.

– Wtedy miałyby do nas pretensje, że się z kimś takim zadajemy. Niektórych ludzi nie sposób zadowolić, jak się zapewne sama zorientowałaś.

Dało się zauważyć ogólne poruszenie. Osuszano kieliszki, żeby je znowu napełnić, zdawało się bowiem panować przekonanie – przypuszczalnie za sprawą jakiegoś walijskiego przesądu – iż żadna otwarta butelka nie może pozostać nie dopita. Sprawy mogłyby się potoczyć całkiem inaczej, a może dokładnie tak samo, gdyby Sophie napoczęła beczułkę zawierającą trzy litry Wybornego Bałkańskiego Rieslinga, stojącą z przodu barku, którego zawartości w postaci ginu, whisky oraz innych mocnych trunków nie zagrażało, oczywiście, żadne niebezpieczeństwo ze strony większości albo nawet którejkolwiek z obecnych. Kilka pań poszło się pożegnać z Sophie, która tak się ucieszyła, że może wreszcie mówić, iż nie chciała im pozwolić odejść, dopóki nie zobaczy, kto dzwoni do drzwi. Sian Smith upadła w drodze do wyjścia, ale się pozbierała i dotarła do przedpokoju. Kiedy Sophie wróciła, towarzyszył jej Peter Thomas. Już widząc go w progu, domyśliła się, że wysadził Charliego przed „Glendower”. Bez słowa podeszła do barku.

Peter, który wyglądał na poruszonego, po chwili wahania ruszył za nią w głąb pokoju. Zrobił to z prawdziwą niechęcią, którą usiłował pokryć – ponieważ i niezbyt przekonująco – niechęcią udawaną. Oboje z Muriel pomachali do siebie, podobnie z Gwen i z Dorothy, i z paroma innymi paniami. Wreszcie, odganiając sprzed twarzy dym, odezwał się żartobliwie:

– A więc to tak zabawiają się zapracowane gospodynie domowe, kiedy ich mężowie robią co w ich mocy, żeby zalać się w trupa w pubie.

Nie zabrzmiało to najlepiej, choć z pewnością było lepsze niż nic, jako że w końcu postarał się być miły – i był miły, przynajmniej we własnym mniemaniu, nikt go chyba jednak nie usłyszał i nie podszedł, nawet Dorothy. Po chwili zjawiła się Sophie z ginem z tonikiem i zaproponowała, że przyniesie mu lód. Odmówił. Zaczęli rozmawiać, przypuszczalnie więcej niż o jednej sprawie, a później podeszła do nich Muriel i zabrała go ze sobą. Wyraz poruszenia, który zniknął tymczasem z jego oblicza, teraz znów powrócił.

Goście wyszli i została tylko Dorothy. Miała czekać, dopóki, zgodnie z kolejnym punktem instrukcji jej obsługi, nie nadciągnie z Pedwarsaint Percy, żeby ją ruszyć z miejsca – przypuszczalnie, choć nie na pewno – mocą swoich słów. Na to w instrukcji nie było, niestety, stosownej wskazówki.

5

– Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś w poczciwej, starej „Biblii” – powiedziała Muriel. – Kto dziś przyszedł?

Peter wyliczył nazwiska.

– I zastanawiasz się, czemu, u licha, tam chodzisz, zwłaszcza gdy już tam jesteś i widzisz, że jest dokładnie tak jak zawsze i wtedy uświadamiasz sobie, że właśnie dlatego. Kiedyś, w starych dobrych czasach robiliśmy dla urozmaicenia różne rzeczy. Malcolm zapewne aż kipiał od nowin o Weaverach, co?

– Hm, tak, chyba tak.

– I co ty na to?

– Nie byłem zaskoczony. Alun zawsze się odgrażał, że wróci do swych walijskich korzeni, jak być może pamiętasz.

– Być może pamiętam. Co wcale nie znaczy, że chcę pamiętać.

– Ani ja. A jak tam było u Sophie?

– Już mówiłam, że normalnie. To znaczy, dość przyjemnie, dziękuję. – Bez pauzy czy wyraźniejszej zmiany tonu Muriel ciągnęła: – Z całą pewnością nie było to zgromadzenie głupich, nudnych i obłąkanych kobiet, za jakie, nie ukrywałeś, nas bierzesz, i to od chwili przekroczenia progu. Wypłoszyłeś towarzystwo w ciągu sześćdziesięciu sekund. Gratulacje. Jak dotąd to twój rekord.

Jechali w stronę Cwmgwyrdd. Peter, siedząc za kierownicą, pomyślał nie po raz pierwszy o pewnym filmie, który widział około pół wieku wcześniej. W filmie tym sadystyczny sierżant łamał ducha w żołnierzu odsiadującym karę w wojskowym więzieniu, bijąc go systematycznie, lecz w różnych odstępach czasu: od całego dnia do kwadransa, po to, by ofiara nie wiedziała, kiedy nastąpi kolejny atak, i nigdy nie czuła się bezpieczna. Życie z Muriel, jak mu się zdawało, w ciągu ostatnich siedmiu, ośmiu lat zaczęło się stawać coraz trudniejszą do zniesienia wersją tamtej sytuacji. Zdarzało się wprawdzie, i tak było tym razem, że coś zapowiadało zbliżające się baty – nie tyle to, co mówiła czy robiła, ile to, że dawało się zauważyć w niej coś nieprzyjemnego. Owo coś wypływało z wolna na powierzchnię przez ostatnie pięć minut, jednak z jakiegoś powodu ów rodzaj wczesnego ostrzegania tylko nieznacznie ułatwiał zniesienie następującego w końcu uderzenia. Peter czuł, jak pot występuje mu na czoło.

– Czy mógłbym cię prosić, żebyś z tym poczekała, aż dojedziemy do domu? Jeśli tego nie zrobisz, mogę spowodować wypadek. To nie groźba, po prostu cię uprzedzam.

– Mógłbyś. Tu się z tobą zgadzam, bo brzuch odpycha cię niebezpiecznie daleko od kierownicy i sprawia, że przybierasz idiotyczną pozę. – Styl tej wypowiedzi pozwalał przypuszczać, że obmyślała ją od tygodni. – Nie sądzę, abyś był zdolny w pełni ocenić, jak nieatrakcyjnym jesteś obiektem. Nie mówię jedynie o stronie fizycznej, choć, oczywiście, o niej mówię na początek. Emanuje z ciebie beznadziejność i niechęć do ludzi, i nuda, i śmierć. Nic dziwnego, że wszyscy uciekają na twój widok.

I znów dobrze znany, przykry podtekścik. Gdyby Peter naprawdę pragnął spokoju, powinien był zmilczeć albo co najwyżej błagać o litość. On jednak okazał tyle buntu, na ile umiał się zdobyć.

– Tak się złożyło, że wszedłem na koniec imprezy. One zaczęły się rozchodzić przed moim przyjściem.

– A ty na odchodne popsuleś im humory. Co teraz robisz także i mnie. Nie wiem, jak długo jeszcze z tobą wytrzymam.

– Co było, nie wróci. Rozpamiętywanie przeszłości to strata czasu.

– A kto tu mówi o przeszłości?

– Ty Oczywiście, że ty. To twój ulubiony temat.

Nie zadziałało. Muriel mówiła dalej, tyle że nieco szybciej, o tym, co jego rzekomi przyjaciele o nim wygadują, i o podobnie nieszkodliwych sprawach. Peter skupił się na prowadzeniu samochodu. Gdyby miał pewność, że zabije ich dwoje na miejscu, byłby skręcił pod nadjeżdżający autobus albo ciężarówkę. Zamiast tego przejechał bezpiecznie obok pomnika Ofiar Wojny, przez dzielnicę irlandzką, na drugą stronę rzeki Iwerne – do miejsca, które kiedyś było osadą górniczą o nazwie Cwmgwyrdd, a teraz uchodziło za quasi-eleganckie przedmieście. Jakże często uspokajał siebie – wiedząc, że to prawda – że Muriel nie będzie tak nadawała w nieskończoność i po paru minutach niejako mechanicznie powróci do dawnej przystępności (do następnego razu), ale jakoś nie mógł w to uwierzyć.

Dotarli do domu i wysiedli z samochodu w garażu dobudowanym do ich całkiem przyzwoitej willi z lat trzydziestych, usytuowanej w droższej, nadmorskiej części dzielnicy. Kiedy Peter zamknął samochód, Muriel posłała mu wystudiowane neutralne spojrzenie, będące sygnałem swoistej zmiany frontu. Peter pogratulował sobie, że posłuchał głosu instynktu i zostawił w samochodzie warzywa (tym razem z działki starego Vaughana Mowbraya). Paradowanie z nimi mogłoby te raz sprowokować prośby w rodzaju: „No dalej, wyduś z siebie, co ci się nie podoba w posiłkach, które dla ciebie przygotowuję”.

Kiedy wchodzili na ganek, Muriel powiedziała:

– Wiesz, wydaje mi się, że te nowiny na temat Weaverów nie są dobrymi nowinami, dla nikogo.

Po wszystkich tych spędzonych razem latach rozumieli się naprawdę dobrze. Wypowiedzenie tych słów normalnym tonem oznaczało, że wszelka wrogość w tej mierze zostaje zawieszona, i co więcej, że temat został odblokowany i wolno go teraz poruszać w dowolnej chwili bez groźby represji. Poza tym – co był w stanie odczytać jedynie Peter – było sygnałem, że słowa te należało traktować jako formę przeprosin, najlepszą, na jaką Muriel zamierzała się zdobyć.

Takie to myśli zaprzętały jego uwagę w drodze do lodówki po kilka zimnych paluszków rybnych, które miały stanowić jego lunch – nie mógł się więc skupić i rozważyć, czy zgadza się z tym, co powiedziała, czy nie. Muriel włożyła kalosze i poczłapała do ogrodu. Nie jadała lunchu.

ROZDZIAŁ II
Rhiannon, Alun

Kilka tygodni po tym, jak Peter Thomas postanowił zostawić w samochodzie ziemniaki i pory, pociąg, który o piętnastej piętnaście opuścił stację Paddington, wjechał przez tunel Severn do Walii. Obszar ten nosił kiedyś miano Monmouthshire, ale na podstawie decyzji podjętej gdzieś w Londynie zwał się teraz Gwent, na pamiątkę pradawnego walijskiego królestwa czy czegoś, co się w tej okolicy pierwotnie znajdowało. W każdym razie, jak sądziła na podstawie widoku z okna pociągu Rhiannon Weaver, była to najprawdziwsza Walia. Nie było żadnych widomych tego oznak, dwujęzycznych tablic informacyjnych czy pozamykanych fabryk, niemniej jednak było tam coś – soczystsza zieloność trawy, łagodniejsze światło – coś wprawdzie bardzo angielskiego, lecz jednocześnie bynajmniej nie angielskiego. Można to było raczej poczuć, niż zobaczyć: jakieś zużycie i smutek, a jednocześnie mimo wszystko coś prostszego i bardziej swobodnego niż Anglia. Dziesięć minut do Newport, później jeszcze godzina w pociągu i dziesięć, piętnaście minut szosą.

Podróż owa była ostateczną przeprowadzką Weaverów, a dzisiejsza noc miała być ich pierwszą nocą na walijskiej ziemi w charakterze stałych mieszkańców, chociaż zaplanowali ją spędzić u Gwen i Malcolma Cellan-Daviesów. Rhiannon spodziewała się, że odbędą tę podróż raczej samochodem, poza wszystkim innym oszczędzając sobie wielkiego pakowania, szybko jednak zorientowała się, że dla kogoś, kto pragnie, by jego przyjazd został zauważony, pociągi posiadają tę wielką zaletę, że przybywają w określone miejsce w określonym czasie. Na pewno wygodniej by było przylecieć samolotem, lecz niestety loty rejsowe docierały nie dalej niż do Rhoose.

Rhiannon odwróciła twarz od okna i napotkała wzrokiem promienny uśmiech siedzącego obok Aluna: oczy półprzymknięte, kąciaki ust nieznacznie uniesione. Uśmiech ten oznaczał mniej więcej, że pomimo wszystko jest jej oddany i że ona wie, iż – znów pomimo wszystko – nie ma takiego drugiego jak on. Rhiannon musiałaby się zgodzić z Gwen, że Alun jest dosyć przystojnym mężczyzną, a nawet bardziej niż dosyć – wybitnie, biorąc pod uwagę życie, jakie prowadził. Twarz gładka, zaledwie lekko zaróżowiona, jakby po dniu spędzonym na oglądaniu rozgrywek krykieta, sławna grzywa włosów, przez długie lata ciemnobrązowa, teraz śnieżnobiała, a w każdym razie znacznie bielsza, niż gdyby ją pozostawić samej sobie. Większość jego przyjaciół żywiła przekonanie, iż w tym względzie, podobnie jak w innych, poprawia on naturę, jednak niewielu odgadłoby, że podczas gdy oni dowcipkują i popijają drinki, Rhiannon własnoręcznie nakłada mu na włosy środek wybielający.

Nagle Alun poderwał się i zaczął gwałtownie wymachiwać w stronę kelnera, który pojawił się w polu widzenia na drugim końcu korytarza. Mężczyzna uśmiechnął się, skinął głową i ruszył pośpiesznie w ich stronę, Alun jednak nie przestawał machać. Z końca wagonu ruszył ku nim jeszcze jeden, młodszy i niższy rangą kelner – ten jednak nieco mniej skwapliwie.

– Przepraszam, że musiał pan czekać, panie Weaver. – Pierwszy kelner wyglądał i zachowywał się jak ktoś naprawdę zdruzgotany, gdy wyładowywał ze swej tacy miniaturową flaszkę Whyte & McKay, puszkę piwa imbirowego Idris oraz pozostałe artykuły. – Przed Newport zawsze są tłumy – dodał. W jego zachowaniu pojawiła się konsternacja. – Zamawiał pan bez lodu, panie Weaver, prawda? Teraz już ma pan wszystko, prawda? A pani, pani Weaver? Jest pani pewna? Nic dojedzenia? – Przesunął wzrokiem ponad ich ramionami i na boki, po czym ciągnął półgębkiem, aby zaznaczyć, że jego słowa nie są przeznaczone dla postronnych uszu: – Może zapiekanką kanapkę z bekonem albo z serem Danish Blue i korniszonami? Na pewno nie?

Alun potwierdził, że nie, po czym rozwinął wachlarz werbalnych serdeczności, płacąc i dając umiarkowany napiwek.

Zapewniając, że było mu bardzo przyjemnie, Emrys powiedział:

– Pozwoli pan przedstawić sobie tego oto młodego człowieka, który ubłagał mnie niemalże na kolanach, abym dał mu szansę poznania pana. Darren Davies. A to jest pan Alun Weaver, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego.

Niższy rangą kelner wystąpił naprzód. Wyglądał na zmieszanego i nie robił wrażenia kogoś, kto pali się do zapoznania z podstarzałym Walijszczykiem, sławnym dzięki czemuś trudnemu do zrozumienia. Zdobył się jednak na uśmiech.

Alun poderwał się i wyciągnął rękę.

– Właściwie to Komandor Orderu. Jak się pan ma, Darren? Z jakich stron pan pochodzi?

– Z Llangefni. W Anglesey.

– Tak, Darren jest z północnej Walii – wtrącił Emrys beznamyślnym głosem, jakiego mógłby użyć do zakomunikowania, że chłopiec jest piłkarzem albo katolikiem.

– Anglesey to piękne strony. Byłem tam dwa lata temu. W Aberffraw. No, ale nie mogę cię, Emrys, dłużej zatrzymywać, to nie byłoby w porządku wobec innych pasażerów.

– Dobrze, panie Weaver. Ale zanim odejdę, chciałbym coś powiedzieć. Wszyscy bardzo się cieszymy, że pan i pani Weaver zdecydowaliście się wrócić do nas, do południowej Walii, na stałe. Jesteśmy dumni. I zaszczyceni.

Kiedy Alun oznajmił, że jest wdzięczny i wzruszony, po czym odprawił Emrysa i Darrena i zlekceważył natrętne spojrzenia kilku siedzących nie opodal pasażerów – a niektóre z nich nie wyrażały bynajmniej podziwu czy zrozumienia – zwrócił się do Rhiannon, unosząc brwi ze smutkiem i rezygnacją.

– Nie można tego uniknąć – powiedział, jak zwykle był mawiać w takich razach.

– Oczywiście, że nie można – przytaknęła, jak wielokrotnie wcześniej.

– Dziś wieczorem będzie opowiadał w pubie, jak to obsługiwał w pociągu tego starego nudnego pryka, Aluna Weavera. – Takie uwagi również wypowiadał wcześniej, tyle że nieco rzadziej.

– Bzdura, on naprawdę był poruszony, sam widziałeś.

– W każdym razie bardziej poruszony, niż gdybym go naprawdę poprosił o przyniesienie kanapki z cholernym bekonem.

Na stacji przy Cambridge Street przez dobrą minutę wyglądało na to, że nie będzie tam chyba dla Aluna nic do roboty, ale potem pojawił się przysadzisty mężczyzna w białym deszczowcu, trzymający w ręku coś, co według Rhiannon było niezwykle małym urządzeniem.

– Alun Weaver?

– W istocie. BBC?

– Jack Mathias. Nie, Glamrad – odburknął mężczyzna szorstko, Glamrad było lokalną komercyjną stacją radiową.

– O... Cóż. – Alun jeszcze przez chwilę, acz na próżno, błędził wzrokiem wkoło, po czym powiedział: – Miło mi pana widzieć, panie Mathias, dziękuję, że pan przyszedł. Mam nadzieję, że nie musiał pan długo czekać. Słucham, czym mogę panu służyć?

Mathias zdawał się sugerować, że on i Alun powinni załatwić sprawę na peronowej ławeczce. Byli wprawdzie pod dachem, lecz wiatr wpędzał tam mżawkę i nadmiernie hałasowali ludzie i pociągi.

– Może poszlibyśmy w jakieś cieplejsze miejsce? – zapytał Alun. – I spokojniejsze? – Przechylił głowę w dość nienaturalny sposób, aby uniknąć rozwiania fryzury przez wiatr.

– Przepraszam, ale potrzebujemy hałasu, aby podkreślić autentyczność. – Mathias ustawił magnetofon na ławeczce obok siebie. – Atmosferę. Raz, dwa, trzy, próba mikrofonu. Raz, dwa, trzy.

– Czy moja żona będzie panu do czegoś potrzebna?

– Nie – odparł Mathias. Pytanie to najwyraźniej go zaskoczyło.

– Dobrze. – Na twarzy Aluna malowało się niezadowolenie, ale i przyzwolenie. Zwrócił się do Rhiannon: – Idź się napić herbaty, kochanie. Nie ma potrzeby, abyś tu tkwiła.

Ona miała podobne odczucia, ale uważała, że powinna zostać i posłuchać przynajmniej początku wywiadu. Wkrótce, na tyle szybko, że powstało niejasne wrażenie bagatelizowania sprawy, Mathias był gotowy. Do tej pory nie spojrział jeszcze w oczy żadnemu z nich.

– Alun Weaver, stacja przy Cambridge Street, nagranie pierwsze – powiedział w przestrzeń. – Proszę mi powiedzieć, panie Weaver, jakie to uczucie: wracać na stałe do Walii po wszystkich tych latach spędzonych daleko stąd?

– Och, wiąże się z tym wiele uczuć, poważnych i radosnych, i wielobarwnych, ale jedno nade wszystko: wracam do domu. To krótkie, dźwięczne słowo jest dla kogoś takiego jak ja, Walijszyka, urodzonego i wychowanego na tej ziemi, pełnej rzek i wzgórz, równoznaczne z jedną prostą rzeczą. Tą rzeczą, tą cudowną rzeczą jest Walia. Nawet pięćdziesiąt lat wygnania nie zdołałoby nadszarpnąć tej silnej więzi. Twe serce jest tam, gdzie twój dom, a serce Walijszyka...

Ciepły, pełen życia głos utonął wkrótce w zgiełku, gdy Rhiannon zaczęła się oddalać w stronę barierki, dźwigając walizeczkę z niezbędnymi na jedną noc rzeczami, której niesienie Emrys tak usilnie starał się wyprosić dla Darrena. Trzymała się prosto i fizycznie nadal w znacznej mierze odpowiadała opisowi Malcolma, choć jej szare oczy nigdy nie posiadały owego błękitnego odcienia, o którym mówił.

Swoje dwie niedawne wyprawy w te strony odbyła samochodem, dworca nie oglądała więc od ponad dziesięciu lat. Jeśli nie liczyć tablic informacyjnych, jak na razie nie widać było większych zmian. Rozciągający się przed nią widok był dokładnie taki sam – rozległe wzgórze z charakterystycznymi niewielkimi domkami, które stały w szeregach biegnących to z prawa na lewo, to z góry na dół pośród łąki trawników poznaczonych gdzieś tam łąkami litej skały i nielicznymi drzewami. Nigdzie śladu żywych kolorów. Zawsze jej się to wydawało nieprawdopodobnie typowe – ot, kwintesencja południowej Walii, choć nie nadająca się na pocztówkę – i przyglądając się teraz temu poprzez zasłonę mżawki, poczuła, że tak właśnie zapamiętała to miejsce.

Pomieszczenie zwane halą dworcową było z kolei nie do rozpoznania: kawiarnia, biuro podróży, punkt fotograficzny i wyglądająca na elektroniczną tablica przyjazdów i odjazdów. Tuż pod nią Rhiannon dostrzegła płytę pamiątkową – niewykluczone, że właśnie tę, o której odsłonięcie, ku swemu świętemu oburzeniu, Alun nie został w zeszłym roku poproszony. Porozglądawszy się przez chwilę, weszła do kawiarni, w której wszystko, co nie miało jaskrawej niczym z dziecięcej książeczki do kolorowania barwy czerwonej, niebieskiej lub żółtej, było czarne. Serwowano tu nader skromny asortyment potraw i napojów, a gości obsługiwała zaledwie jedna kelnerka, która zdawała się czekać na coś lub na kogoś, kim Rhiannon nie była, i która, podobnie jak tamten dziennikarz, nie raczyła nawet na nią spojrzeć. Kiedy Rhiannon straciła już nadzieję na cokolwiek, dziewczyna bez słowa przyniosła i podała jej filiżankę herbaty.

Zarówno stoliki, jak i krzesła przymocowane były do przytwierdzonych do podłogi podpórek, co miało zapobiec ich podnoszeniu i rzucaniu nimi. Rhiannon nie przypominała sobie, aby Walińczycy mieli skłonność do podobnych zachowań, ale, być może, i to uległo zmianie. Herbata okazała się równie, choć w nieco inny sposób, paskudna jak ta, którą podawano w poprzednim starym i obskurnym bufecie, ale była gorąca. Popijając ją, Rhiannon zastanawiała się, czego też Alun tak naprawdę oczekiwał, skoro ów dziennikarz okazał się dla niego rozczarowaniem. Burmistrza? Członka parlamentu? Przewodniczącego Walijskiej Rady Sztuki? Tłumu wielbicieli z tomikami jego wierszy do podpisu? A może ekipy telewizyjnej? Często współpracował z telewizją i wiedział o niej znacznie więcej niż ona, ale...

Rhiannon nie udało się jak dotąd zbyt ściśle ustalić, jak ważną i sławną osobistością Alun jest we własnym mniemaniu lub nawet faktycznie, a w takich jak ten razach przychodziło jej na myśl, że jej mąż być może się przecenia. Możliwe, że wiązało się to z byciem tego rodzaju pisarzem, jednak i to stanowiło swoistą zagadkę, bowiem sam zawsze utrzymywał, że chce być postrzegany przede wszystkim jako pisarz, a jednocześnie wciąż się pokazywał w telewizji i udzielał wywiadów.

Właśnie pojawił się na horyzoncie. Zmierzał wielkimi krokami ku przeszklonym drzwiom, ale raptownie przystanął: oto ktoś go rozpoznał. Nastąpiły uściski dłoni, uśmiechy, entuzjastyczne potrząsanie głową i zapisywanie czegoś – nie w kajeciku na autografy, ale mniejsza z tym. I tak mu się poszczęściło. Kiedy jednak dotarł do niej, miał na twarzy dobrze jej znany wyraz niezadowolenia: ściągnięte brwi i drgające nozdrza.

– Ten facet to palant – oznajmił, wpatrując się w nią. – Palant. Wiesz, o co mnie zapytał? Czy według mnie moje książki nadal sprzedają się zadowolająco dobrze. Możesz sobie wyobrazić? A kiedy odpowiedziałem, że tak, i to najbezczelniej jak potrafiłem, bo cóż innego mogłem zrobić, wtedy on dodał, że chodzi mu o to, czy w Anglii tak samo jak w Walii. Chryste! – Wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, zanim pozwolił sobie na rozluźnienie i parsknięcie nosowym śmiechem. Rhiannon również zaczęła się śmiać. – Zabierajmy się stąd. Przepraszam, dokończ herbatę. Nie? Jesteś pewna?

Wyszli na zewnątrz i stanęli pod tablicą, na której niegdyś widniał napis „Taxi”, a teraz: „Taxi/Tacsi”, a to na użytek Walińczyków, którzy przecież nigdy nie zetknęli się z literą x. Zaczynało się ściemniać. Tu i ówdzie zapalały się światła odbijające się w mokrych trotuarach. Część z tego, co napotykali, nie zmieniła się wcale, lecz pewne miejsca, które doskonale pamiętała, począwszy od starego hotelu „Mountjoy Arms” z fryzem zielono-brązowych klasycystycznych figur, a skończywszy na owym pseudorustykalnym sklepiku, gdzie można było kupić świetne pączki, zniknęły tak całkowicie, że niemożliwe stało się określenie, gdzie się kiedyś znajdowały. Jednak miasto pozostało nadal tym samym miejscem, w którym zaistniały i odeszły w przeszłość pewne istotne wydarzenia jej życia.

Kiedy po upływie trzydziestu sekund nie pojawiła się żadna taksówka, Alun zaczął cmokać z dezaprobatą.

– Jestem przekonany, że Malcolm mógł wyjść nam na spotkanie. Leniwy drań.

– Sama słyszałam, jak go przekonywałeś, żeby tego nie robił, bo pociąg może się spóźnić. I tak się też stało, prawda?

– Doprawdy? Wobec tego przypuszczalnie dlatego go tu nie ma. W każdym razie przynajmniej częściowo z tego powodu.

Po upływie kolejnej minuty, która była tak samo długa, jak każda inna minuta w towarzystwie Aluna, nadjechała taksówka, wypisz, wymaluj taka sama jak w Londynie – co w tej części świata było raczej rzadkością. Nie wiedzieć czemu fakt ten nie spodobał się Alunowi. Kiedy ruszyli, skwapliwie usadowił się na sprężynującym siedzeniu za kierowcą i przez otwarte okienko w szklanej przegrodzie próbował – pośród nawoływań i próśb o powtórzenie – nawiązać z nim rozmowę. Możliwe, że spodziewał się zwykłej taksówki z siedzeniem dla pasażera obok kierowcy. W końcu zaniechał wysiłków i usiadł spokojnie obok Rhiannon.

– W tych warunkach nie można się normalnie porozumieć – powiedział.

– Oczywiście, że nie można. A czego chciałeś się dowiedzieć?

– No wiesz, kiedy tutaj jestem, zawsze lubię porozmawiać z kierowcami i w ogóle z ludźmi. To bardzo walijskie. Takie odmienne od tego, czego doświadczasz w Anglii. To trudno wyjaśnić.

– Mnie nie musisz tego tłumaczyć. Tak się składa, że ja również jestem Walijką.

– Och, daj spokój. – Uśmiechnął się, ściskając jej dłoń.

Kiedy Alun i Malcolm wyszli do „Biblii” na parę piw przed kolacją, Rhiannon i Gwen usadowiły się w kuchni. Za czasów uniwersyteckich były bliskimi przyjaciółkami, członkiniami tercetu, który dopełniała Dorothy Morgan. Gwen dołożyła niemałych starań, aby wykluczyć Dorothy z wydarzeń tego wieczoru, lecz Rhiannon wyraziła kategoryczny sprzeciw, opierając argumentację na tym, że w końcu to była jej, nazwijmy to, inauguracja. Tak więc rada w radę podano fałszywą godzinę przyjazdu i dzięki temu miały teraz jakąś godzinkę dla siebie.

W oczach Rhiannon, podobnie jak w oczach Malcolma, kuchnia nie wyglądała imponująco: długa, wąska, ledwie mieszcząca przy stole sześć osób. Trudno by było znaleźć tam dość wolnego miejsca, aby przygotować imbryk herbaty: zlew pełen garnków, bynajmniej nie odmakających, lecz ciśniętych tam z braku innego miejsca, z haczyków na filiżanki zwisały dwie czy trzy koszule Malcolma. Widok ten przeniósł ją do pokoju Gwen w żeńskim internacie w Brook Hall – ślicznego i czyściutkiego w każdy poniedziałkowy rano, lecz przed podwieczorkiem w stanie absolutnego nieładu, pełnego sandałów, dżemu i notatek z wykładów oraz sporej ilości piasku, wnoszonego butami podczas letniego semestru. Gwen zawsze wypadało coś, co, jak sama zwykła mawiać, okazywało się pilniejsze. Teraz wyglądało to nieco inaczej, ale i wówczas nie tylko o to chodziło.

Z niejakim zaskoczeniem Rhiannon spostrzegła, że stojąca przed nią na stole butelka białego wina nie jest tą samą butelką, którą napoczęły całkiem niedawno. Ta miała zieloną nalepkę zamiast niebiesko-białej i była już niemal w połowie opróżniona. Podniecenie z powodu bycia tutaj, a także z racji nagłego, niejasnego, niemniej całkiem realnego uczucia, że mimo wszystko nie przestały się jej przydarzać różne rzeczy, że są jeszcze jakieś nieznanne, czekające na nią możliwości – wszystko to poniosło ją jak fala. Czyżby wypila dwa kieliszki? A może trzy? Cóż, w każdym razie więcej, niż nakazywał rozsądek. Nie było sensu iść w ślady Dorothy – jeśli to prawda, co opowiadała przed chwilą i o czym nadal mówiła Gwen.

– ...absolutne piekło. Sophie musiała jej powiedzieć, że nie ma już wina, a Charlie odegrał scenkę, że niby namawiają na whisky. Oczywiście, gdyby tylko spróbowała...

Jeśli ktokolwiek szedł w ślady Dorothy, pomyślała Rhiannon, to chyba właśnie Gwen. Od początku wieczoru w to gardło spłynęła cała butelka wina – a licho wie, ile wcześniej. Zresztą historyjka o Dorothy i whisky przewinęła się już raz tego wieczoru. Wydawało się, że popijającą shandy¹ Gwen z Brook Hall dzieli od jej obecnego wcielenia spory dystans. Pod innymi jednak względami była nie zmieniona: trochę wścibska, trochę zawistna, ale rozsądna, bystra, mocno stąpająca po ziemi, tak teraz, jak i przedtem zdolna czytać między wierszami i odróżniająca pobożne życzenia od rzeczywistości. Była idealnie taka sama jak przedtem, kiedy z mieszaniną niepewności i zuchwalstwa powiedziała:

– Nie miałam wcześniej okazji cię spytać, staruszek, ale... hm, jakie to uczucie: wracać tu po latach?

Rhiannon chciałyby usłyszeć, jak na to pytanie odpowiada Alun.

– Zawsze myślałam, że w końcu to zrobię – odparła powściągliwie. – Niemal każdy Walijszyk, z jakim rozmawiałam w Londynie, mówił mi to samo. – I w końcu tu jestem, do cholery, miała ochotę dodać.

¹ Shandy (ang.) – napój zrobiony z piwa i lemoniady (przyp. tłum.).

– Ale nie wracają, w każdym razie większość, prawda? Zbyt głęboko zapuszczają korzenie, jak można by powiedzieć. A wiesz, ja zawsze sądziłam, że ty i Alun jesteście całkiem mocno związani z Highgate. Zwłaszcza ty, Rhi. Ty naprawdę odcięłaś się od wszystkiego tutaj, przynajmniej w ostatnich latach. Nie to co Alun. On utrzymywał kontakty, och, z całą masą ludzi, tu i tam.

– Tak, cóż, przykro mi, ale wiesz, jak to jest: wciąż odkładasz to na potem i zanim się zorientujesz, już jest za późno, a w każdym razie trzeba by mnóstwo wyjaśniać.

– Tak, rozumiem. Zresztą, kiedy umarła ci matka, nie miałaś tu do kogo przyjeżdżać. Ale szybko odnowisz stare znajomości.

Zapadło milczenie, które miało stanowić pauzę przed dalszym ciągiem. Rhiannon pozwoliła ciszy trwać – nigdy nie czuła się nią skrępowana. Tym razem wypełniła ją spostrzeżeniem, że jedną z przyczyn, dla których nie towarzyszyła Alunowi w jego walijskich eskapadach, tą, która zawsze pierwsza przychodziła jej na myśl, było to właśnie, żeby dać mu wolną rękę w kontaktach z pewnymi ludźmi. Na przykład takimi jak żona doktora z okolic Beaufoy i kobieta o niesamowitej fryzurze, zastępca dyrektora szpitala dla psychicznie chorych. Po powrocie stamtąd Alun był wzorowym mężem przez całe tygodnie. Rhiannon nie zamierzała jednak zdradzać tego Gwen ani też wtajemniczać jej w nadzieję, że kiedy już się tu osiedlą, ludzi, z którymi będzie utrzymywał kontakty, Alun znajdzie sobie gdzieś w Capel Mererid albo jeszcze dalej.

Gwen rzuciła jej spojrzenie pełne zrozumienia i troski.

– Ty jednak chciałaś, ty chciałaś tu wrócić? To znaczy, nie zostałaś do tego w żaden sposób namówiona?

– Nie – odrzekła Rhiannon, starając się, aby nie zabrzmiało to nazbyt oschle.

– I tak bez wzdragania się? Wiem, że masz z dawnych lat pewne bolesne wspomnienia. – Gwen przybrała ton smutku, jak gdyby wspomnienia te dotyczyły częściowo także jej. – Nie obawiasz się ich rozgrzebywać?

Bez względu na to, ile wina się już polało, chyba było cokolwiek za wcześnie na poruszanie takich tematów, chociaż ostatecznie nie można było ich uniknąć.

– Trochę. Lecz to takie dawne dzieje. Jeśli masz na myśli tę sprawę z Peterem. Wiesz, nigdy do tego nie wracam.

– Naprawdę? Ale przecież nie zapomniałaś, prawda?

– Nie, ale można przestać to przeżywać, to znaczy ja przestałam. To nie miało sensu.

– Nie miało sensu, oczywiście, ale kobietom bardzo trudno jest przestać przeżywać rzeczy, których nie ma sensu przeżywać.

– Doskonale rozumiem, co masz na myśli. Przypuszczam, że mnie się poszczęściło. – I znowu Rhiannon miała ochotę coś powiedzieć, na przykład, że zdarza się, iż jeden człowiek może drugiemu wybaczyć morderstwo, i nawet kiedy wszystko zmieniło się na lepsze, pod tym względem zostało po starym. Nigdy jednak nie powiedziała tego nikomu. Zamiast tego zapytała, chociaż niekoniecznie chciała się tego dowiedzieć od Gwen: – Co u Petera? Często go widzisz?

– Niezbyt często, nie. Malcolm spotyka go czasami w pubie. Ma się dobrze, o ile mi wiadomo, jak na swój wiek, oczywiście. Sporo utył. I, cóż, mam wrażenie, że nie jest zbyt zadowolony z życia.

– Chyba już jest na emeryturze.

– Według Malcolma, ten człowiek nie powie dobrego słowa o nikim i o niczym.

– Nie on jeden. A Muriel? Mieszka tu nadal?

Na dźwięk tego imienia zerknęły na siebie i jak na komendę zrobiły taką samą minę: nadąsaną, z trzepotem rzęs i buzią w ciup. Instynktownie przysunęły się bliżej siebie.

– O, tak – odparła Gwen. – Tak, mieszka tutaj. Niebywałe, można by powiedzieć.

– Cóż, prawie jej nie znam. Naprawdę, nie mogę powiedzieć, żebym ją znała.

– Nigdy nie wiem, co ta kobieta myśli. Mówi coś niby zwyczajnie i miło, a ja nie wiem, co w niej siedzi. Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, co jej chodzi po głowie.

– Obrzuca cię takim spojrzeniem, jakby taksującym, podsumowującym. Właściwie nie widziałam jej od Bóg wie jak dawna.

– Możliwe, że bardzo nas wszystkich lubi, ale ja osobiście jakoś nie mogę w to uwierzyć.

– To nie tyle chłód, prawda? Bo w pewien sposób jest bardzo przyjacielska. Jednak to nie idzie w parze z jej głosem.

– Zastanawiam się, jak tych dwoje radzi sobie razem. Stanowią zabawną parę. Niczym znajomi z pracy, którzy w biurze muszą jakoś znosić własne towarzystwo, ale założyłybyś się, że poza biurem nawet nie siadają w pobliżu siebie. Jak w obecności służby.

– Co? – Rhiannon miała wrażenie, że zasypia. – Czy Malcolm coś na ten temat wie? W końcu są kumplami.

– Nie wiem. Czasami, kiedy Peterowi się wydaje, że nikt nie patrzy, dostrzegam na jego twarzy straszny wyraz. Znękania. Przybicia.

– Och, znam ja ten wyraz jeszcze z dawnych lat. Mawiałam mu, że on tylko...

Kiedy dalszy ciąg nie nastąpił, Gwen powiedziała:

– Chryste, Muriel nie przyhamowała nawet odrobinę. Oczywiście nie robi tego regularnie, codziennie, tylko od czasu do czasu, ale kiedy już zacznie, to... uff! Na całego. Nie poznać tego po niej, ale ilekroć widzę jej kieliszek, jest albo całkiem pełny, albo całkiem pusty. Nie chcę przez to powiedzieć, że bardzo się w tym względzie wyróżnia. Jest jeszcze Dorothy... – Gwen zrobiła pauzę, być może starając się sobie przypomnieć, czy mówiła już Rhiannon o tej historii z whisky. Jeśli tak było; wysiłek zaowocował sukcesem, bo ciągnęła: – ...i, oczywiście, Charlie.

– Nie widziałam Charliego od...

– Nie można się po nim spodziewać wiele rozsądku po osiemnastej. Ma teraz restaurację na Broad Street. Jest współwłaścicielem, prowadzi ją do spółki z bratem. Ciekawe, czy pamiętasz Victora. Całkiem nie w moim guście. Absolutnie nie mój typ. Jest... no wiesz.

– Co? Chcesz powiedzieć...

– Wiesz – rzekła Gwen, kiwając powoli głową. – Cóż, w dzisiejszych czasach nie ma się już nic przeciwko takim, aleja jakoś nie mogę. Chyba zbyt późno to do mnie dotarło. Bardzo długo w ogóle nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. I kiedyś na dobrą sprawę nie istniało, przynajmniej w Walii. Kiedy po raz pierwszy o nich usłyszałam, dotyczyło to takich miejsc jak Paryż czy Londyn. No wiesz, Oskar Wilde. Wiele można powiedzieć o Kościele, ale przynajmniej trzymał ich w ryzach. To, że wszyscy wtedy biedowali, też nie było bez znaczenia. Nie mogli się fantazyjnie przebierać ani nic takiego.

Rhiannon pamiętała Gwen przemawiającą w tym samym stylu w swoim pokoju w Brook Hall – między innymi na temat mężczyzn – mówiącą przypuszczalnie to, co myśli, lecz jakby żartobliwie, jak gdyby chciała podkreślić, że trzyma się od tego z daleka. Według Dorothy, która zawsze uchodziła za znawczynię psychologii, miało to zdradzać poczucie braku bezpieczeństwa. Cokolwiek jednak zdradzało, zabawnie było tego posłuchać. Zazwyczaj jednak, tak jak w tym wypadku, spowalniało to nieco rozmowę. Gwen zamilkła, choć nie przejawiała oznak poczucia zagrożenia.

– Ach, ten dziwaczny brat Charliego – westchnęła Rhiannon.

– Victor, tak. Prowadzi tę restaurację razem ze swoim... z przyjacielem. Charlie nie ma tam nic do roboty, wyjąwszy pogaduszki z klientami, wlewanie w siebie szkockiej i utwierdzanie się w przekonaniu, że pracuje. Niezbyt to sprzyja zdrowiu. W końcu urywa mu się film przy stoliku albo przy barze i Victor wysyła go taksówką do domu.

– Nieciekawe życie dla Sophie.

– Och, nie sądzę, żeby się tym tak bardzo przejmowała. Ma ten swój sklep. Coś w rodzaju butik – wyjaśniła Gwen w odpowiedzi na spojrzenie, jakie rzuciła jej Rhiannon, po czym ciągnęła: – Rzecz w tym, że Charlie nie ma nic więcej do roboty i może sobie na to pozwolić. To niemały problem dla ludzi na emeryturze, świetnie to rozumiem. Ni stąd, ni zowąd wieczór zaczyna się zaczynać już po śniadaniu. Wszystkie te godziny nie wypełnione niczym, dla czego warto by było pozostać trzeźwym. Albo niczym, co wymagałoby trzeźwości, jeśli wiesz, co mam... Kiedyś śmialiśmy się z taty Malcolma, z tego, jak zaznaczał kolorowymi ołówkami programy w „Aktualnościach Radiowych”. Nigdy wprawdzie nie przyłapaliśmy go na słuchaniu żadnej z nich, ale przez godzinę miał się czym zająć. Biednemu staremu nie służyło picie. Niektórzy z nas mają wiele powodów, by odczuwać wdzięczność wobec losu.

Przyglądając się, jak Gwen znów napełnia swój kieliszek, rozlewając wino na stół, Rhiannon zastanawiała się, co tu właściwie robi. Czyżby istotnie nie wiedziała, co naprawdę robi? Będąc żoną Aluna, Rhiannon przywykła do ludzi upijających się, do ludzi popijających drinki, ale też dowiedziała się, że jest jeszcze jedno, następne stadium. Trochę niemiło było się przekonać – i to po zaledwie kilku godzinach od przybycia tu na stałe, by wśród nich zamieszkać – że wszyscy w okolicy zdają się namiętnie i regularnie zaglądać do kieliszka albo mają jakieś dziwactwa. Albo (jak Muriel) trochę jednego i drugiego.

Gwen znów przybrała ton powagi i dociekliwości.

– Jak właściwie zareagowałaś na pomysł osiedlenia się w tych stronach? – Nie była to jeszcze jedna próba zboczenia z tematu, była to znana sztuczka Gwen, polegająca na uporczywym powracaniu do jakiegoś problemu, dopóki jej ciekawość nie zostanie zaspokojona albo póki nie oberwie po głowie. Zdaniem Rhiannon niewiele było to lepsze od wariantu zbaczenia z tematu.

– Byłam urzeczona – odparła dość głośno.

– Ale nie masz mi za złe, że pytam? Przypuszczam, że zanim podjęliście decyzję, przedyskutowaliście to gruntownie.

– Nie, właściwie nie. W parę minut było po wszystkim.

– Tak? A które z was pierwsze wpadło na ten pomysł?

– Okazało się, że oboje myśleliśmy o tym od jakiegoś czasu.

– Ale kto pierwszy o tym wspomniał? Ty? Jestem po prostu ciekawa.

– Nie, Alun. Zaproponował to któregoś ranka przy śniadaniu.

– A ty natychmiast na to przystałaś.

– Tak. Miałam wrażenie, że już wcześniej się na to zdecydowałam. Naprawdę nie wiem, dlaczego.

– Aha. Domyślam się, że miałaś tam, w Highgate, mnóstwo przyjaciół.

Rhiannon przytaknęła, niemal zginając się wpół.

– Tak, całkiem się tam zadomowiłam. Posłuchaj, staruszko, jeśli próbujesz mnie zmusić do przyznania, że to Alun zapragnął się tu przenieść i zdołał mnie do tego nakłonić, to marnujesz czas. Na początku jemu zależało bardziej niż mnie, ale i mnie zależało wystarczająco mocno. Chociaż to wcale nie miało wpływu na ostateczną decyzję, czy tu przyjedziemy, czy nie.

– Czy zawsze robiłaś to, czego on chciał?

– Tak, oczywiście, że tak, w każdym razie w tego rodzaju sprawach. To on zarabia pieniądze.

– Pozwalasz mu wchodzić sobie na głowę, Rhi. Uprowadzałam cię, że będzie tego próbował.

– Uprowadzałaś? Cóż, tym razem nie musiał.

Miało się wrażenie, że Gwen dała za wygraną. Zmięła w dłoni strzępki obwolot z pudełek po papierosach i upchnęła je w popielniczkę, po czym ostrożnie zdmuchnęła popiół z blatu.

– Jak się miewa Alun? – zapytała z przewrotnym uśmiechem.

Zabrzmiało to mile, niczym łatwe pytanie egzaminacyjne: cokolwiek masz ochotę powiedzieć na ten temat, będzie dobre. Rhiannon kusilo, aby przedstawić wyczerpujący raport z ostatnich badań lekarskich Aluna, podkreślając zwłaszcza tę część, w której lekarz zapewnił go, dość chłodnym co prawda tonem, że zarówno jego wątroba, jak serce i płuca są w doskonałym stanie. Czula jednak, że powinna się wykazać odrobinę większą gotowością do współpracy. Spozrzęła, że twarz Gwen układa się do uśmiechu z uniesionymi brwiami. Ileż min potrafiła robić!

– Mniej więcej tak samo jak zwykle – odpowiedziała Rhiannon. – Zawsze radosny i ożywiony, chyba że ja sobie tego nie życzę. To moim zdaniem jego główna cecha.

Zabrzmiało to mniej niż dobrze. Gwen wstała szybko i niepewnym krokiem ruszyła w stronę pojemnika na śmieci, który stał za plecami Rhiannon. Wrzuciła do niego z łoskotem pustą butelkę, a potem długo opróżniała popielniczkę, stukając jej krawędzią o brzeg śmietnika. Po chwili milczenia odezwała się ponownie, stojąc tyłem. Rhiannon poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Wiesz, Malcolm był całkowicie wytracony z równowagi, kiedy nadszedł twój list. Wcześniej chodziły jakieś słuchy, ale nic pewnego. To go całkowicie wytraciło z równowagi.

– Mam nadzieję, że nie z przerażenia.

– Oczywiście, że nie z przerażenia. Z uciechy. Z radości.

– Donośne ni to cmoknięcie, ni to pyknięcie zdradziło, czym się zajęła. – Ale i z czegoś więcej, Rhi, dobrze o tym wiesz.

– Ponownie pojawiła się w polu widzenia, z nową butelką i opróżnioną, ale nadal brudną popielniczką. Bardziej rzuciła się na krzesło, niż na nim usiadła. – Byłaś jego pierwszą miłością – stwierdziła rzeczowo.

– Miło mi to słyszeć. To jeden z najmilszych mężczyzn, jakich poznałam. – Rhiannon mówiła dokładnie to, co myśli, nie mogła zatem zrozumieć, dlaczego wypowiedanie tych słów sprawia jej taką przykrość.

– Nigdy o tym nie opowiada – rzekła Gwen, spoglądając na zegarek. – Nie wspomina, co się wydarzyło.

– Gwen, uwierz, nie ma o czym opowiadać. Nic się nie wydarzyło.

Rhiannon czuła dla przyjaciółki coś w rodzaju podziwu, a jednocześnie chętnie dałaby jej kuksańca za sposób, w jaki tamta przyjęła tę wiadomość – bez niemądrych komentarzy. Gwen przestała kiwać głową i siedziała jakiś czas, bawiąc się kieliszkiem, który ponownie napełniła, i poruszając raz po raz brwiami, jakby chciała dać do zrozumienia, że pora na puentę. Właśnie nabierała powietrza, by ją wygłosić, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi: nie znoszący sprzeciwu, urzędowy dźwięk. Chwilę później, słysząc dobiegający z przedpokoju głos Dorothy, Rhiannon zachichotała pod nosem.

Potem weszła Dorothy, wylewnie uściskała Rhiannon, przeprosiła za spóźnienie, zapytała o nowiny i wysłuchiwała ich, a w każdym razie siedziała cicho i obserwowała. To zdumiewające zachowanie zaintrygowało Rhiannon i wyraźnie zbiło z tropu Gwen, która przynajmniej dwukrotnie zdawała się już, już otwierać usta, aby zaprotestować przeciwko tej mistyfikacji obliczonej na zniesławienie jej – mistyfikacji niegodziwej i prędzej czy później skazanej na zdemaskowanie. I w tym ostatnim punkcie niewątpliwie by się nie przeliczyła, bo Dorothy wychyliła pierwszy kieliszek w trochę ponad dziesięć minut, drugi w niespełna dziesięć i zanim Alun, Malcolm i Percy wrócili z „Biblii”, lecz grubo przed końcem wieczoru, zaczęła opowiadać im, później już tylko Gwen, o pewnym plemieniu, chyba na Nowej Gwinei, o którym gdzieś czytała. Plemię owo miało budować na drzewach domy, w których zresztą nie mieszkało – być może kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, domy takie przeznaczano dla duchów przodków, chociaż może wcale nie, i inne podobne rzeczy. Wszelako, kiedy zrobiło się późno, odeszła całkiem potulnie, a pokonanie dystansu pomiędzy wewnętrzną i zewnętrzną krawędzią progu zabrało jej zaledwie kwadrans. W tym czasie więcej niż raz zaprosiła Gwen i Rhiannon do siebie na kawę następnego ranka.

– Nie wiesz, czy ona teraz zawsze się tak zachowuje? – spytał Alun, kiedy on i Rhiannon rozbierali się do snu w małym pokoiku gościnnym. – Malcolm coś o tym wspominał.

– Chyba dość często, ale myślę, że dzisiaj przynajmniej częściowo spowodowane to było podekscytowaniem na nasz widok.

– Raczej na twój widok. Dla mnie ona nigdy nie miała czasu. – Alun stał na jednej nodze, a drugą potrząsał wściekle, aby wyswobodzić ją z nogawki spodni. – Nie mam pojęcia, czemu.

Rhiannon weszła do łóżka i zaczęła uklepywać i układać poduszki.

– Kiedy przyszła, była trzeźwa – powiedziała.

– Taak. Kiedy ktoś codziennie i od rana tankuje, popada w stan swoistego dryfowania albo może balansowania. Wtedy wystarczy kropelka i już się odpływa. Osiąga plateau.

– Biedactwo.

– Biedactwo, niech ją szlag – rzekł Alun śpiewnie, kładąc się do łóżka. Zgasił światło, ułożył się i otoczył Rhiannon ramionami, jak to czynił każdej nocy, albo raczej każdej nocy, którą spędzał w domu. – To my jesteśmy biedactwami, że musimy to znosić. I biedny stary Percy, najbiedniejszy ze wszystkich biedactw.

– Myślę, że można nad nią zapanować. To znaczy, chciałam powiedzieć, że ona musi sobie zdawać sprawę z tego, jaka jest. Nie piła przez cały dzień, bo chciała być w dobrej formie na spotkanie ze mną, jej starą przyjaciółką. A to znaczy, iż zdaje sobie sprawę z tego, że zazwyczaj jest w marnej formie. Nie mam racji?

– Może tak, a może nie, ale z całą pewnością ma to w nosie, bo w przeciwnym razie by tego nie robiła.

– Nie sądzę, by mogła wiele na to poradzić, jest już chyba trochę za późno.

– Jeśli raz mogła sobie z tym poradzić, może to zrobić ponownie. – Alun zmagął się z potężnym atakiem kichania, pokasływania i chrząkania. Kiedy skończył, powiedział: – Stara Gwen również niezbyt się oszczędzała, nie sądzisz?

– Absolutnie. Kiedyś tego nie robiła. Chyba w ogóle się trochę zmieniła.

– Cóż, przemawiając z wyżyn starego dobrego przemądrzalstwa, domyślam się, że całe dziesięciolecia praktykowania sztuki zalewania się nie mogą pozostać bez wpływu na charakter. Chryste wszechmogący, w jaką to kompanię wpadliśmy. Hm, będzie niezła zabawa. Przynajmniej w pewnym sensie. Jedno chcę ci powiedzieć, kochanie: ty nigdy nie będziesz sprawiała tego rodzaju kłopotów. Ani żadnych innych. To cudowne wiedzieć to.

Po upływie minuty lub dwóch cofnął ramiona i odwróciwszy się, powrócił na swoją stronę łóżka. Nie każdej nocy tak robił.

Kilka dni później stacja telewizyjna Cambria umówiła się z Alunem na nagranie wywiadu w wynajętym przez Weaverów domu w Pedwarsaint, niegdyś wiosce rybackiej, obecnie podmiejskiej dzielnicy, w której lub w pobliżu której Weaverowie zamierzali się osiedlić. Zanim, jeszcze przed Wielką Wojną, nadmierne połowy i zatrucie środowiska nie wytepiły ławic ostryg, od nie istniejącej już kei odcumowywały całe rzesze kutrów. Wypływały na połów na mieliznę rozciągającą się aż do wyspy Courcey po jej wschodniej stronie, a później sprzedawały swój towar od Bristolu po Barnstaple. Teraz znajdowała się tam ukończona zaledwie zeszłego roku marina, miejsce wypoczynku właścicieli średniej klasy kasyn albo niewielkich sieci samoobsługowych pralni z Birmingham i innych, bardziej na północ wysuniętych miejscowości. Ściągali tu na weekendy autostradą M5-M4 lub – i to coraz częściej – taksówkami powietrznymi lądującymi na niewielkim lotnisku w Swanset na wyspie Courcey. Tam, gdzie nie tak dawno temu można było dostać dorsza z frytkami, pasteryzowane sercaki, pierożki z mięsem i półkwaterki gorzkiego Troetha, teraz serwowano cannelloni, paellę, stifado, puszkowane piwo Foster's, butelki wina Rioja oraz, oczywiście, wielkie lampki Courvoisiera i długie cienkie cygara panatella, tak samo jak wszędzie indziej.

Wyjąwszy może szczegół na temat ostryg (ze względu na elegijny łądunek), żadna z powyższych obserwacji nie byłaby dla Aluna warta nawet sekundy refleksji, a już na pewno nie tego dnia. Był naładowany obecnością ekipy telewizyjnej: bardziej może zwyczajnym oczekiwaniem na pojawienie się przed kamerami niż mobilizowaniem się do przeprowadzenia jakiegoś mistrzowskiego posunięcia, by obronić swoją pozycję – nawet gdyby miała to być pozycja gwiazdora w programie „Tydzień w Walii”, Cóż, to konieczne. Chociaż, jeśli się dobrze zastanowić, wcale nie takie istotne. Wszak zawojował Anglię, wycisnął z niej wszystko, co było tam dla niego do wyciśnięcia. Nigdy się nie spodziewał, że stanie się tam wszechobecny. A w Walii, cóż, mógł i zamierzał spróbować zrobić to samo, czemu nie.

Dom należał do niezwykle majątnego urzędnika miejscowego wydziału mieszkaniowego, obecnie spędzającego wraz z żoną wakacje na Karaibach, człowieka, z którym przyszła znajomość nie mogła się okazać niczym niewłaściwym. Podobnie jak sfilmowanie się w jego okazałym salonie, przynajmniej w oczach gminu. Natomiast lewicujący ortodoksi, którzy być może dopatryliby się tu zbyt wiele srebra, szkła i drewna tekowego, zostaną, kiedy padnie pytanie na temat planów na przyszłość, ugłaskani zapowiedzią rychłej przeprowadzki do własnego, skromniejszego domu oraz lekko rozbawionym zerknięciem na boki. Na tym etapie nie opracował jeszcze do końca tak drobnych szczegółów, chociaż był zagorzałym wyznawcą potęgi obmyślania z góry wszelkich możliwych tematów.

Teraz przystąpił do obłaskawiania ekipy, ostrożnie jednak, bynajmniej nie w stylu, który był dobry dla Emrysa. Wyczuwał, że z tego rodzaju młokosami wiele można zdziałać przy użyciu dość skromnych środków, a zwłaszcza odrobiny czegoś, co określiłby, być może niesprawiedliwie, jako walijskie pustosłowie, celtyckie bzdury itp. Uczyniwszy na tym polu co w jego mocy, skierował swą uwagę na mającego przeprowadzić z nim wywiad redaktora, jasnowłosego młodzieńca w marynarce koloru wina, w którym nie było nic wyraźnie walijskiego i który niezwłocznie i bez niedomówień dał wszystkim do zrozumienia, że zadanie, jakie ma tego ranka wykonać, jest jedynie małą rozgrzewką przed czekającą go gdzieś, daleko stąd, właściwą pracą. W innych okolicznościach Alun nie potrzebowałby więcej niż pięć sekund, aby go usadzić, ale teraz skupił się na udawaniu, że niczego nie zauważa, i na usiłowaniu niepodlizywania się temu gówniarzowi – a to musiało albo wypaść naturalnie, albo wcale.

Wywiad przebiegał całkiem dobrze. Alun szybko zorientował się, że facet nie ma żadnej koncepcji, a jego jedyną troską jest wykazanie własnej wyższości i dyrygowanie. Należało zatem, skoncentrować się na tym, aby dużo wiedzieć, dużo widzieć, dużo się przejmować – ale tylko w sposób nieprzewidywalny albo taki, który za nieprzewidywalny mógł uchodzić. Nie była to najlepsza okazja, aby zabłysnąć, ale już pod koniec, puściwszy wielkodusznie mimo uszu dowody ignorancji młodego człowieka na temat polityki wewnętrznej rządu premiera Attlee² szczególnie wobec południowowalijskiego przemysłu, Alun przystąpił do kontrnatarcia.

2 Attlee Clement Richard (1883-1967) – przywódca Partii Pracy, wice-premier, a później premier pierwszego większościowego rządu laburzystowskiego Wielkiej Brytanii, który znacjonalizował podstawowe działy przemysłu, wprowadził rozległe świadczenia społeczne, wzmocnił kraj militarnie na wypadek komunistycznej agresji i zacieśnił stosunki z USA (przyp. tłum.).

– Jakże łatwo powracającemu po latach wygnańcowi pozostać tam, gdzie rzuci go los, uprawiać swój ogródek i nigdy nie zerkać za żywopłot, samemu stać się czymś w rodzaju warzywa. Obawiam się jednak, że to nie dla mnie. Będę wychodził na zewnątrz, będę podróżował w poszukiwaniu Walii, będę się przyglądał ludziom, sprawom. Taka mała, prywatna wyprawa badawcza. Jestem pewny, że napotkam mnóstwo zmian – na gorsze, na lepsze – ale znajdę również miejsca, gdzie zmiany nigdy nie docierają...

Zaczął wymieniać owe miejsca, chyba trochę zmyślając na poczekaniu. Zazwyczaj niemal natychmiast zapominał wszystko, co powiedział w wywiadzie, i dobrze na tym wychodził – gdyby to przechowywał w pamięci, przy kolejnej okazji mogłaby ucierpieć jego spontaniczność. Tym razem jednak zapamiętał niektóre własne słowa. „Uprawianie ogródka” może wyrzucić od razu, jak zrobiłby każdy, kto tak jak on preferował raczej rozrywki pod dachem. Z kolei „w poszukiwaniu Walii” brzmiało nad wyraz dobrze i, być może, pewnego dnia będzie to *W poszukiwaniu Walii*. Jaka szkoda, że stary Brynford tak niedawno prowadził cykliczny program pod takim właśnie tytułem. Mglista zapowiedź podróży może się przydać, kiedy przyjdzie się wyłgać z jakiegoś niewygodnego zaproszenia, a także jako parawan dla wszelkich nagłych zniknięć, jakie niebawem może się poczuć zmuszony popełnić.

Kiedy po wyjściu ekipy telewizyjnej Rhiannon weszła do salonu, zastała go przepełnionego entuzjazmem dla swoich projektów, a także pełnego nowych pomysłów: wycieczki na wyspę Courcey, do Carmarthen, do Merthyr Dafydd, do Brecon; zwiedzanie hut metali w Port Holder i Caerhays; peregrynacje po pubach w Harriston, w Cwmgwyrdd, w Bargeman's Row; pielgrzymka – połączona z urzędowaniem się – do Birdarthur, gdzie po swej ostatniej podróży do Ameryki osiadł Brydan. Gdy mówił, Rhiannon nerwowo chodziła po pokoju.

– Co robisz? – przerwał swój wywód.

– Nic. Słucham. Upewniałam się tylko, czy wszystko w porządku.

– Co? W jakim porządku?

– Ze nic się nie stłukło ani nic w tym stylu.

– Uspokój się – powiedział bez irytacji. – Chodzisz tu na paluszkach, jakbyś się obawiała wyszczerbić jakiś cholerny talerzyk. Te palanty zachowują się bardzo fachowo, nie poznałabyś, że tu byli, gdybyś o tym nie wiedziała.

– W porządku, ale ja naprawdę obawiam się wyszczerbić jakiś cholerny talerzyk, i ty także powinieneś. Ludzie przywiązują się do swoich rzeczy. A tak poza tym, jak poszło?

– Hm? A, prawda. – Potrząsnął głową, co miało oznaczać, że wywiad, o który zapewne chodziło, to nic, żaden problem, coś bez znaczenia, o czym już zapomniał, choć poszło świetnie. – Zastanawiałem się... pomyślałem, że może by na lunch zajrzeć do „Glendower”, no wiesz, tak na próbę. Przekonać się, jak tam teraz jest. Może byś...

– Dzisiaj ma się zjawić ta sprzątaczką, a poza tym pociąg Rosemary będzie o drugiej czterdzieści – odparła. Rosemary, ich młodsza, niezamężna córka, miała przyjechać na długi weekend z Kolegium Świętego Jana w Oksfordzie, gdzie studiowała prawo, aby pomóc matce obejrzeć w okolicy domy do wynajęcia. – Trzeba by się było śpieszyć.

– O Boże, znowu cztery do jednego. No, ale to tylko na parę dni.

– Dalej, dokończ, niech to usłyszę.

– Już ci kiedyś mówiłem, więc przede wszystkim nie udawaj, że nie wiesz, bo wiesz cholernie dobrze. Każdy mężczyzna w towarzystwie dwóch kobiet jest jak jeden do czterech, bez względu na to, jak przyjazne są owe kobiety. Z definicji.

– Zatem kiedy jesteś tylko ze mną, mam przewagę dwa do jednego, zgadza się?

– Najzupełniej. Ale to nie jest proste podwajanie. No wiesz, gdyby dołączyła do nas Frances, stosunek wynosiłby jeden do dziewięciu. Nazywają to potęgowaniem.

– Możesz sobie żartować, a ja ci będę wtórowała z przyjemnością, ale tylko wtedy, gdy dla wszystkich będzie jasne, że to żart. Ty w mniejszości. Dobrze sobie.

– Och, dobrze już, dobrze, uspokój się, dziewczyno. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Wyglądź nastroszone piórka. – Otoczył ją ramieniem.

– *Ty* też się odpręż – odparła.

Mieli japoński samochód, a czemu nie? Alun przyznawał się do iście walijskiego poczucia braku obowiązku posiadania angielskiej marki. Ściągnął go z Londynu na początku tygodnia przy pomocy jednego z pomniejszych współpracowników swojego wydawcy, właściwie całkiem mało ważnego i do tego płci męskiej, a więc zasługującego na uwagę nie bardziej niż wypity przed podróżą łyk whisky. Alun pojechał do miasta i zaparkował na tyłach Broad Street, na placyku należącym do przedsiębiorcy budowlanego. Z szopy wyszedł długonosy mężczyzna w żółtym kasku, chyba z zamiarem przepędzenia go stamtąd, ale twarz Aluna z charakterystycznym zalotnym loczkiem była na tyle popularna, że zdawała się znajoma, nawet jeśli nie do końca rozpoznana, a poklepanie po ramieniu oraz tubalne, choć niezbyt zrozumiałe pozdrowienie załatwiło resztę.

Wesoła wrzawa w części sali, gdzie w „Glendower” serwowano mięso z rusztu, wypełnionej w co najmniej połowie o tak wczesnej, przedlunchowej porze w środku tygodnia, świadczyła dobitnie o tym, że interes prosperuje zadowalająco. Niebagatelną częścią profesjonalnych umiejętności Aluna była między innymi zdolność określania, jakiego pokroju ludzie zasiadają przy stolikach, lecz w przypadku tej gromadki wolałby się raczej nie wypowiadać, po części dlatego, że nikt się już nie ubierał jak należy. Rozejrzał się. Kupcy, stwierdził stanowczo. Gospodynie domowe. Postawszy tak minutę czy dwie i nie przyciągnąwszy niczyjego zainteresowania lub choćby spojrzenia, ruszył ku drzwiom. Po drodze zauważył, że poczyniono tu wysiłki – dość żałosne, lecz wcale nie mniej przez to obraźliwe dla szacownych uczuć narodowych – aby nadać lokalowi edwardiański charakter: plusz, żelazo, mosiądz, lustra do sufitu, kelnerzy w długich białych fartuchach. Na ścianie pomiędzy oknami wisiała „starożytna” (ok. 1980) mapa południowej Walii.

Na piętrze, w pomieszczeniu o nazwie koktajlbar, było podobnie: na ścianach pokrytych płowymi tapetami fotografie w kolorze sepii, przedstawiające osobistości z dawnych czasów, kelner w pasiastej kamizelce z mosiężnymi guzikami. Kelner wyglądał właściwie jak dziewczyną ze szkolnej trupy teatralnej, którą obsadzono w roli Toby'ego Belcha w *Wieczorze Trzech Króli*. Rozmawiał z jakimś starszawym mężczyzną stojącym po drugiej stronie kontuaru. Mężczyzna ów miał bardzo starannie ostrzyżone falujące siwe włosy, smukłą sylwetkę i niespotykane białe białka oczu – z powyższych oraz paru innych powodów nie był wyjątkiem od wyznawanej przez Aluna reguły głoszącej, iż dbającym o siebie mężczyznom po pięćdziesiątce nie należy ufać. Łatwo było odgadnąć, że to Victor Norris, jak się zresztą po chwili przedstawił, trąkając z wielką szybkością. Tak samo szybko zamówił Alunowi drinka. Później poddał Aluna bardzo gruntownemu „wazelinowaniu”, zdumiewająco gruntownemu jak na takie prowincjonalne miasteczko, nawet jeśli leżało ono w Walii. Kiedy „wazelinowanie” dobiegło końca, Alun zapytał:

– Spodziewasz się tu dziś Charliego?

Victor podrapał się po karku, odginając przy tym rękę znacznie dalej niż przeciętny mężczyzna, i zerknął na duży stojący zegar, który tykał głośno tuż obok.

– Jeśli ma zamiar dziś przyjść, to powinien się zjawić lada moment.

– Powiedział mi, że bywa tu około południa.

– Tak, czuje się tu jak w domu. Co wszystkim się podoba.

– Miałem wrażenie, że on czuje się jak w domu w większości miejsc z koncesją.

– Uhm. – Victor uśmiechnął się, nie rozchylając warg. – Tak, to bardzo bezpośredni człowiek. Lecz za tą maską, och, Boże, kryje się całkiem inna osoba. Nie byłbyś... nigdy tego nie widziałeś.

– Czego nie widziałem? – spytał Alun, który właśnie zaczynał dochodzić do siebie po przełkniętej porcji wazeliny. – Znam go, prawdę mówiąc, od dość dawna.

– Naturalnie, że tak, często mówi o tobie. Ale mój brat, biedaczysko, jest strasznie wrażliwy na wszelkiego rodzaju naciski i bardziej niż większość ludzi potrzebuje ustabilizowanego, spokojnego życia. Podejrzewam, że twoim zdaniem brzmi to głupio, ale to prawda.

– Rzeczywiście.

– Tak, rzeczywiście. – W tym momencie Victor odebrał niemą wiadomość od kogoś przy drzwiach, niewątpliwie od wiadomego przyjaciela, i w jednej chwili jego zachowanie uległo zmianie: od lekkiej uszczypliwości z powrotem do pełnej serdeczności. – A złoczyńca nigdy nie zazna spokoju. Strasznie miło było cię znowu spotkać, Alun. A, właśnie, wpadłeś na lunch? Lubisz małże?

Kiedy Alun potwierdził, zresztą zgodnie z prawdą, Victor gestem dłoni uciął rozmowę i oddalił się dość pewnym, męskim krokiem. Wróciwszy do baru, Alun zamówił jeszcze jednego drinka, ale odmówiono przyjęcia odeń zapłaty, co zwiększyło jego szacunek do Victora o kolejny stopień. Rozejrzał się tak samo, jak to zrobił na dole: również kupcy i gospodynie domowe, dość dowolna próbka. Kiedy zaczął już smętnie przemyśliwać nad solowym lunchem, z lekka okraszonym widokiem Victora, zjawił się Charlie. Zaraz za nim wszedł ktoś, kto z początku wydał się Alunowi niewiarygodnie obraźliwą, lecz aż nazbyt wiarygodną karykaturą Petera Thomasa w wieku około osiemdziesięciu pięciu lat i o wadze pół tony. Przyjrawszy się bliżej, stwierdził, że to Peter Thomas we własnej osobie.

Wszyscy trzej zamarli na moment w bezruchu, po czym Alun podniósł wysoko szklankę, Charlie pomachał, a Peter skinął głową. Ruszyli sobie na spotkanie. Alun potrząsał dłonią Petera niezbyt silnie, uśmiechał się niezbyt szeroko – starał się nie przesadzić. Trudność, jak sobie uświadomił, polegała na tym, że tak się przyzwyczaił do udawania wszystkich tych przyjaznych uczuć i sympatii, że ta konfrontacja trochę go nadwreżyła. Miał wszakże jak najlepsze chęci: żywił głęboko zakorzenioną i szczerą awersję do wszelkich kłopotów, których nie sprowokował on sam.

– Nie zastanawiajmy się, jak dawno to było – rzekł do Petera dość przekonywująco. – Napijmy się. – W oczekiwaniu na drinki, wskazał wielkie brzuszysko. – Nie wiem, jak ty to robisz. Domyślam się, że to za sprawą jedzenia i picia wszystkiego, na co masz ochotę.

– Owszem, ale główną odpowiedzialność ponosi tonik. Właściwie udało mi się już zredukować współczynnik wzrostu współczynnika wzrostu.

– Sympatyczne miejsce. – Alun zwrócił się do Charliego, niczym okiem kamery prześlizgując wzrokiem po otoczeniu. – Nie pozwalają mi tutaj płacić za siebie.

– O, widziałeś się z Victorem.

– Taaak – przyznał Alun, tym razem entuzjastycznie. – Niezwykły facet. Zna się na swoim fachu. Zawodowiec.

Charlie raczej w to powątpiewał, ale uniósł szklaneczkę.

– Za nas wszystkich. Witaj w Walii, stary draniu.

Trzech mężczyzn z powagą spojrzęło sobie w oczy i ochoczo spełniło toast. Alun zaczął się odprężać. Odprężał się nadal przy następnym drinku, kiedy zeszło na tematy polityczne i zaczęli się prześcigać w kalumniach pod adresem ogólnonarodowej Partii Pracy, miejscowej Partii Pracy oraz pod adresem sterowanych przez tę partię związków zawodowych, Rady Okręgu, systemu kształcenia, systemu wymiaru sprawiedliwości, systemu opieki zdrowotnej, BBC, Murzynów i młodzieży. (Tym razem obyło się bez tematu homoseksualistów.) Urozmaicali te uwagi pochwałami pod adresem prezydenta Reagana, Enocha Powella, południowoafrykańskiego rządu, izraelskich jastrzębi oraz tego kogoś, mniejsza o nazwisko, kto rządził Singapurem. Nie przestali rozprawiać z ożywieniem, kiedy zasiedli do lunchu, albo raczej kiedy Charlie, wyjaśniewszy pozostałym, że stara się ograniczyć do jednego, wieczornego posiłku dziennie, zasiadł z nimi przy stoliku i przysposobił się do picia, podczas gdy oni mieli spożywać. Charlie przyniósł z baru kolejnego drinka, aby zapewnić sobie płynność dostaw.

Ledwie usiedli na krzesłach, kiedy zjawił się jeden z ufartuszonych kelnerów i zaczął rozkładać im na kolanach płócienne serwetki, niezwykle duże, wykrochmalone i... blad różowe. Podczas tych zabiegów Alun podniósł ręce i ostentacyjnie trzymał je wysoko w górze, po czym oświadczył przemądrzałym tonem:

– To jest serwetka. Jej zadaniem jest chronić ubranie przed poplamieniem większymi kawałami pożywienia, które przez niezręczność wypadną wam z ust lub też spadną w drodze do nich. Służy również ona – a nie rękaw lub zgoła dłoń – do wytarcia ust. Wyjaśnienie tego waszym szarym komórkom zabrałoby sporo czasu, a nawet wówczas mogłoby się okazać bezskuteczne, więc siedźcie, do cholery, cicho i zamknijcie się.

– O, Chryste – jęknął Peter ze wzrokiem utkwionym w menu. Przy barze wręczono im po jednym egzemplarzu, ale dotąd do nich nie zajrzeli. – Cholernie walijski lunch i obiad. Cóż, do dzieła. – Rozglądając się za kimś, kogo można by oskarżyć, zaatakował Charliego. – O co tu chodzi? – Zdawał się szczerze zbity z tropu.

– Właściwie to konieczność – wyjaśnił Charlie. – Ludzie zaczynają tego oczekiwać. My w każdym razie robimy to tylko w piątki. W piątki i w Dzień Świętego Dawida³. Ale nawet wtedy można zamówić również coś innego, co jest chyba uprzejmością z naszej strony, bo to wszystko jest raczej obrzydliwe, chyba że ktoś ma akurat apetyt na kurczaka w miodzie.

– Chcesz powiedzieć, że wy naprawdę dajecie ludziom do jedzenia takie rzeczy? – zdziwił się Alun.

³ Św. Dawid – patron Walii (przyp. tłum.).

– Jest tego tylko trochę. Ale wcale nie o to chodzi. Chodzi o to, że oni chcą to widzieć w menu. To tak samo jak z tablicami informacyjnymi.

– Ale tu nie ma tłumaczeń na angielski – zauważył Peter.

– Cóż, rozumiecie, to by w pewnym sensie zepsuło cały efekt. Oni lubią sądzić, że to rozumieją, albo raczej, że zrozumieliby, gdyby poświęcili temu wystarczająco dużo uwagi. I przypuszczalnie częściowo nawet rozumieją, na przykład takie słowa jak „pyry” czy „kulebiak”.

– Chryste – jęknął znowu Peter, tym razem ze smętną odrazą.

– Ale nie będziemy chyba z tego powodu kruszyć kopii. To przecież całkiem nieszkodliwe, nieprawda?

– Nieprawda. Tu się właśnie mylisz. Stanowi to część, niewielką wprawdzie, niemniej jednak część, przeogromnego chińskiego muru głupoty, która... albo raczej wału Offy⁴, w każdym razie głupoty, która...

– ...zagroza zalaniem nas wszystkich – podpowiedział Charlie. – Wiem. Mam jednak wrażenie, że tych parę walijskich słów w jadłospisie nie jest w stanie aż tak bardzo pogorszyć sytuacji. Znajdź jakąś sprawę naprawdę wartą obrony, a wtedy z chęcią się do ciebie przyłączę.

4 Wał Offy (Offa's Dyke) – konstrukcja ziemna wzniesiona przez króla Offę, władcę Mercji (757-796), ziem w środkowej Anglii, na granicy pomiędzy Mercją a Walią (przyp. tłum.).

– Ale nic takiego nie istnieje. W tym cały kłopot.

– Potrzeba nam więcej drinków – wtrącił Alun. – I radzę ci zamówić dla odmiany coś innego, Peter. Ten tonik chyba ci nie służy.

– Czy mógłbym polecić zupę? – spytał Charlie. – Zauważyliście, mam nadzieję, że w jadłospisie figuruje jako zupa, a nie polewka. Może nawet sam zjadłbym trochę. Dzisiaj ziemniaczano-porowa, całkiem nieźle im się udaje. Chyba że Peter podejrzewa, iż por został dodany z jakichś nieczystych powodów.

– Już dobrze, Charlie – westchnął Peter.

Ledwie złożyli zamówienie, gdy do stolika podszedł Victor, krokiem nieco mniej stanowczym niż wtedy, gdy wychodził z baru.

– Bądź łaskaw mi wybaczyć, Alun, ale ktoś z grona twoich wielbicieli prosi o zaszczyt zamienienia z tobą paru słów.

– Co to za wielbiciel?

– Nie wiem, jak byś ją nazwał, ale gdybyś zostawił to mnie, określiłbym ją jako młodą osobę. O tam, w rogu, właśnie się odwraca.

Z tego, co Alun mógł dostrzec bez okularów, wielbicielka wyglądała nie tylko młodo, ale i urodziwie.

– Zgoda, tylko uprzedź ją, proszę, że mam teraz małe prywatne przyjęcie.

– W porządku, dam jej to wyraźnie do zrozumienia, Alun, możesz być spokojny.

– Będziesz musiał jakoś to zrobić – dodał Alun po chwili milczenia. Czuł się odrobinę zażenowany.

– Nie przejmuj się – uspokajał go Charlie.

– Cóż, zawsze można się wykręcić, jeśli się nie dba o to, czy się wyjdzie na chłama, ale ja jestem chyba zbyt tchórzliwy, żeby to robić, jeśli naprawdę nie muszę.

– Rozumiemy.

Z bliska wielbicielka wyglądała zdecydowanie dobrze: na jakieś dwadzieścia siedem lat. Alun dał Victorowi znak, a ten z nerwową skwapliwością posłał kelnera, aby doniósł czwarte krzesło. Wielbicielka z gracją uściśnęła wszystkim dłonie i zgodziła się wypić kieliszek wina.

– Czym zatem mogę pani służyć? – Alun doszedł do wniosku, że nie było sensu ukrywać zadowolenia z takiego obrotu spraw.

– Chciałabym pana zaprosić na spotkanie z moją grupą.

– Proszę mi coś o niej opowiedzieć.

Grupa okazała się kółkiem literackim, gromadzącym zwykle około trzydziestu osób, ale dla kogoś takiego na pewno przyjdzie dużo więcej, tylko dwadzieścia minut samochodem, honorarium raczej nie wchodzi w rachubę. Tak, jeśli woli, może być wykład.

– Zastanowię się nad tym – rzekł Alun. – Może zechciałaby pani przesłać mi liścik zawierający wszystkie te informacje. Pod adresem lokalnej stacji BBC. Bardzo dziękuję za zaproszenie.

– Miło było pana poznać. – Jej głos brzmiał również nieźle.

Charlie obejrzał się za nią.

– I to wszystko? – zapytał z wyrzutem w głosie.

– Wszystko? Możliwe, że spotkam się z tą jej grupą, jeśli będę miał dobry humor. O co ci chodzi?

– O co? Szczerze mówiąc, moim zdaniem było to raczej nie na miejscu.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– To wszystko, na co cię stać? Nawet jej nie zapytałeś o pieprzony numer telefonu. – Charlie potrząsnął głową.

– O, zaczynam cię rozumieć. Uważasz, że powinienem był ją chwycić za biust. Oczywiście.

– No cóż, tego się wszyscy po tobie spodziewają, prawda?

– To dla mnie zbyt wielki zaszczyt, Charlie. Lata robią swoje.

Przyniesiono kolejne drinki: whisky i gin miały zrekompensować względną cienkość wypitego wcześniej wina. Zaraz potem podano małże – niezłe, a w każdym razie dla Aluna wystarczająco strawne, aby chwalał je pod niebiosa, kiedy Victor przyszedł zapytać, jak im smakuje. Alun skorzystał z okazji, żeby mu wyłożyć swój punkt widzenia na płacenie rachunku, mianowicie, że aby mieć swobodę wyboru potraw, musi sam za nie płacić, na co Victor z wdziękiem przystał oraz przyjął kieliszek wina z drugiej butelki Chablis grand Cru. Z oczywistych powodów Alun dość mocno podkreślał swoją niewiedzę w materii win, lecz każdy głupi mógł zauważyć, że to wino wygląda i nazywa się całkiem niezłe. W stosownej chwili ujawnił fakt, że tego ranka miał nagranie telewizyjne – stąd, jak stwierdził, jego pragnienie, aby się wyrwać na kilka głębszych w towarzystwie paru kumpli. Dodał, że po czymś takim zawsze miewał podobną ochotę, nawet jeśli było to mało ważne wystąpienie w lokalnej telewizji.

– W Londynie musiałeś to robić chyba dość często – powiedział Charlie.

– Owszem, jasne. Są tam tacy, no wiesz, cholerni intelektualiści, typy z Hampstead, którzy patrzą na ciebie z góry, jeśli pokażesz się w pudełku częściej niż raz na sto lat. Że niby się pospolitujesz. Cóż, ja tak nie sądzę. Nie uważam, żebym się pospolitował, występując w telewizji. Do czego się jeszcze nadaje? W końcu jestem tylko starym aktorzyną, czemu więc nie miałbym zagrać swej roli tak, by paru ludzi mogło mnie zobaczyć?

– Ależ daj spokój, Alun, naprawdę – zaprotestował natychmiast Charlie, a Peter dodał:

– Nie, nie jesteś w stosunku do siebie sprawiedliwy.

– To bardzo uprzejme z waszej strony, ale po tych wszystkich latach nie mam już złudzeń. Jestem może i dość popularnym – niemniej jednak aktorzyną. Starym łgarzem. – Zrobił małą pauzę, jakby się zastanawiał, czy tym razem nie jest aby faktycznie do pewnego stopnia niesprawiedliwy w stosunku do siebie, po czym ciągnął dzielnie: – Tak czy owak, nie warto o tym mówić. Do diabła z tym. Kto ma ochotę na ser? I na konieczny do sera kieliszek przedniego portwajnu?

Charlie zgłosił się natychmiast, a Peter po chwili. Alun poprosił o zestaw serów, dwie duże lampki portwajnu i kieliszek czerwonego wina, wyjaśniając, że ostatnio portwajn mu nie służy, po czym wyszedł do ubikacji, mrużąc coś o byciu starym człowiekiem i o tym, jak zazdrości im, młodzieńcom.

– Aleśmy się dostroili do siebie, co? – spytał Charlie. – Kiedyśmy go besztali za tę niesprawiedliwość wobec siebie.

– Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Czy on myśli, że my myślimy, że on naprawdę uważa się za aktorzyneę i łgarza? Że widzi siebie w takim świetle?

– Nie wiem. Wątpię. Nie byłbym zdziwiony, gdyby sobie wyobrażał, że mówiąc takie rzeczy, nieważne, jak przez nas odbierane, zwiększa własną wiarygodność. W pewnym sensie. Bo łgarz, który się do łgarstw przyznaje, jest bardziej przekonujący niż łgarz potajemny.

– Być może. Ale tak czy owak funduje nam świetny lunch. Albo raczej funduje go mnie.

– No pewnie. I może głupio się do tego przyznać, ale jakoś tak różnie się robi w jego towarzystwie.

– Wiem, co masz na myśli. Nawet ja to wiem.

Alun wrócił do stolika, w momencie gdy kelner serwujący wina – odziany w fantazyjną marynarkę z kiściami winogron wyszytymi na klapach (urwał się zapewne z tej samej choinki co barman) – podawał zamówione trunki. Sery już stały na stole. Charlie wziął kawałeczek cheddara.

– Co to za portwajn? – spytał Alun.

– Portwajn to wzmocnione wino z Portugalii – odrzekł kelner, który chyba trochę źle usłyszał pytanie – a robi się je z...

– Nie prosiłem o cholerny wykład na temat winoróbstwa, okropny człowieczku – zaśmiał się Alun. – Niech mi pan poda dostawcę i rok produkcji, a później wraca do swojej dziury i zatrzaśnie za sobą klapę.

Młodzieniec zdawał się wcale tym nie zrażony.

– Graham, proszę pana, rocznik 1975 – odparł z tym swoim rurytańskim⁵ akcentem i wycofał się.

– Jeśli się chce mieć dobrą obsługę w restauracji, nie można poprzestawać jedynie na budzeniu szacunku – wyjaśnił Alun z uśmiechem. – Potrzebny jest także element zastraszenia.

– Być może umknęło to twojej uwagi, że jestem współwłaścicielem tej restauracji – zauważył Charlie.

– Ależ skąd, właśnie dlatego się odezwałem. Wiedziałem, że trudno ci będzie coś powiedzieć.

– Przepraszam na chwilę. – Charlie wstał nieśpiesznie i podążył za kelnerem od win.

Alun obserwował go, jak chwiejnym krokiem przemierza salę, po czym odwrócił się do Petera i zajrzał mu głęboko w oczy.

5 Rurytania – urojone, imaginacyjne małe królestwo bałkańskie a. śród-kowoeuropejskie, gdzie toczą się operetkowe, melodramatyczne sprawy po-lityczne i knują intrygi w czasach przed I wojną światową; miejsce akcji po-wieści *The Prisoner of Zenda* (1894) i *Rupert of Hentzau* (1889) Anthony’ego Hope’a Hawkinsa (1863-1933) (przyp. tłum. za: Wł. Kopalinski, *Słownik mitów i tradycji kultury*).

– Pozwól, że sam ci to powiem. To, co wydarzyło się wiele lat temu, było i minęło, przynajmniej dla mnie. Nie żywię wobec ciebie żadnych nieprzyjaznych uczuć. Co do Rhiannon, pewnie będziesz wolał usłyszeć to od niej, więc przepraszam, że się wtrącam, ale jestem przekonany, że ona myśli tak samo. Nigdy już nie powiem nic więcej na ten temat.

– To bardzo wielkodusznie z twojej strony, Alun. – Peter spuścił wzrok. – Dziękuję.

– Jedna względnie ciekawa rzecz wynikła z tego porannego telewizyjnego zawracania głowy. Kiedy tak paplałem, przyszło mi na myśl, że nie od rzeczy byłoby przedsięwziąć kilka eskapad po okolicy.

Wrócił Charlie i usiadł przy stoliku, znów w nienagannym stylu.

– Utrzymać personel to dziś nie lada sztuka – powiedział pojednawczo.

– Bez wątpienia – zgodził się uprzejmie Alun i ciągnął jednym tchem: – Właśnie mówiłem Peterowi o moim pomysle, żeby w nadchodzących tygodniach wybrać się na parę wypadów po okolicy. Nic szczególnego, ot, taki krajoznawczy spacer po pubach. Z myślą o mogącym z tego wynikać jakimś literackim tworze. Może nawet wierszu lub dwóch, jeśli ta cholerna stara muza potrafi jeszcze fruwać.

Charlie i Peter spojrzeli po sobie.

– Jest to jakiś pomysł – przyznał Charlie.

– Trochę żałosny, gdybym miał się szwendać samotnie.

Może dotrzymalibyście mi czasem towarzystwa. Moglibyśmy dokooptować starego Malcolma. Zrobić sobie wycieczkę.

W ciągu tych kilku sekund twarze tamtych dwóch zastygły: Charliego w wyrazie radosnego niedowierzania, Petera – niedowierzania gniewnego. Niedowierzenie w odniesieniu do Aluna było reakcją dość naturalną, lecz w tym wypadku nie na miejscu. Bo Alun lubił towarzystwo, lubił publiczność i lubił niemal każdy rodzaj wycieczek. Tak było, i już. Przynajmniej na razie. Kiedy więc złożył powyższe zapewnienia, zaczęli mu ulegać, może nie tyle z przekonania o prawdziwości jego słów, ile dlatego, że każda próba oparcia się pokusie słabnie w miarę upływu czasu, a poza tym cóż lepszego mieli zapisane w terminarzach?

Charlie ustąpił jako pierwszy. Peter trzymał się odrobinę dłużej, powtarzając, że musi się zastanowić, że nie powinien się przemoczać, ale szybko dał się przekonać, że ruch na świeżym powietrzu każdemu dobrze zrobi. Duch kumplostwa, który osłabł nieco podczas zajścia z kelnerem, począł znów nabierać rumieńców. Z ożywieniem jęli proponować konkretne miejsca, omawiać ich atrakcyjność, snuć wspomnienia. Alun zamówił kolejne dwie duże lampki portwajnu i jeszcze jeden kieliszek czerwonego wina, który sączył tak wolno, jakby stracił dla niego zainteresowanie. Nim minęło parę minut, poprosił o rachunek, zapłacił, dał suty napiwek i ruszył w drogę. Odprowadzić samochód do warsztatu, żeby naprawili rozrusznik, jak powiedział.

Kiedy jednak Alun dotarł do samochodu i zabrał się do jego uruchamiania, silnik zaskoczył w parę sekund. Alun nie pojechał ani nawet nie przejechał obok żadnego warsztatu przed tym, nim zaparkował na poboczu drogi w bardzo eleganckiej dzielnicy willowej. Przemaszerował szybkim krokiem jakieś sto jardów i zatrzymał się przed krótkim podjazdem. Stojąc nieruchomo, zapatrzył się przed siebie nieobecnym wzrokiem, który jakiś przechodzień, a zwłaszcza przechodzień narodowości walijskiej, mógłby wziąć za wyraz filozoficznej zadumy, która wymaga zaprzestania wszelkich działań. Po chwili w okolicy dolnych partii jego ciała dało się słyszeć coś w rodzaju warknięcia, po którym nastąpiło przeciągłe rzenie i głuchy grzmot, zdający się nie mieć nic wspólnego z żywą istotą, zwłaszcza ludzką. Cisza, przerywana tylko świergotem ptaków. Teraz, niczym postać w ponownie puszczonej w ruch filmie, Alun ruszył rażno przed siebie i niebawem naciskał dzwonek u drzwi na okazałym ceglany ganku.

Drzwi otworzyła Sophie Norris, odziana w mocno dopasowaną wełnianą sukienkę w miodowym kolorze. Gdy dotarło do niej, kto przed nią stoi, rutynowy półuśmiech spełzył z jej warg.

– Masz cholerny tupet, Alunie Weaver – przywitała go dobrze znanym, świdrującym w uszach głosem. – Powinnam zatrzasać ci te drzwi przed nosem, ty bezczelny draniu.

– Ale nie zrobisz tego, prawda, kochanie? I właściwie po co miałabyś to robić? Wpadłem tylko na filiżankę herbaty. Przecież to nic złego, prawda?

Westchnąwszy ciężko i mlasnąwszy językiem, przepuściła go w drzwiach.

– Dziesięć minut, pamiętaj. Najwyżej dziesięć minut. Później muszę iść do sklepu. Miałeś szczęście, że jeszcze mnie zastałeś.

– Pewnie. A więc Charliego nie ma?

Tu chyba odrobinę przesadził.

– Za kogo ty mnie masz, Weaver? Za jakąś cholerną kretynkę? – warknęła bardziej pogardliwie niż poprzednio, wbijając w niego wzrok. – Myślisz, że nie wiem, że nawet byś nie pomyślał o zjawieniu się tutaj, gdybyś nie miał absolutnej pewności, że go nie będzie? Ty obłudniku.

– Daj spokój, tylko żartowałem. Przyznaję, właśnie wracam z „Glendower”. Peter był tam również. Zjedliśmy w trójkę lunch. Całkiem niezły lunch. Pozwolisz, że usiądę?

Zgodziła się bez entuzjazmu.

– Czemu wtedy, u Morganów, nie zdobyłeś się na to, żeby coś powiedzieć? Poza tym wystarczyłoby tylko sięgnąć po słuchawkę...

– Nie miałem sposobności. Nie, nie, to nieprawda. Przyznaję, że mogłem to zrobić. Ale wtedy jakoś o tym nie pomyślałem.

– A kiedy pomyślałeś, jeśli wolno spytać?

– Hm... dziś rano. Nie pamiętam, o której. Jeszcze chwilę wcześniej nic nie było bardziej odległe, i nagle poczułem się tym owładnięty.

– I wydaje ci się, że możesz zjawić się ot tak, jak gdyby nigdy nic?

– Zawsze możesz mnie wyrzucić. Odejdę potulnie. Wiesz o tym.

– Ciągłe ten sam stary Alun, co?

– W dużej części. – Zrobił pauzę. – Może byśmy się przejechali?

W tym na pozór niewinnym zaproszeniu pobrzmiwały echa przejażdżek sprzed trzydziestu z górą lat, kiedy to ich celem był przytulny zakątek tuż za szpitalem dla obłąkanych, a przy sprzyjającej pogodzie las na odległym krańcu pól golfowych albo – sporadycznie – „Prince Madoc” w Capel Mererid. W jego zaciszu nie raz, nie dwa robili rzeczy, na których wspomnienie Alun nigdy nie przestał czuć się zmieszany, nawet dzisiaj.

– Nie ma potrzeby – odparła Sophie. W jej zachowaniu nadał dawało się wyczuć cień niechęci. – Nikt tu nie przyjdzie.

– Skąd ta pewność?

- Mam ją.
- Tak, ale skąd ją czerpiesz?
- Później ci powiem.
- Nie, powiedz teraz.

– Dobrze – uległa. – Kiedy Victor wsadza go do taksówki, zawsze uprzedza mnie telefonicznie. Bo kiedyś zdarzyło się, że gdy został do późna, zasnął na stołku w kabinie z automatem do robienia zdjęć na przystanku przy Cambridge Street. Na szczęście stary Tudor Whittingham wracając akurat z Londynu, natknął się na niego i zabrał go do domu taksówką, inną taksówką. On nawet nie pamiętał, jak go wsadzano do tej pierwszej.

Alun zadumał się na chwilę.

– Ale przecież telefonując do ciebie, Victor nie uchroni go przed zasnąnięciem na jakimś przystanku albo gdzie indziej, prawda?

– Nie, ale w ten sposób poniekąd przekazuje w moje ręce odpowiedzialność za Charliego. I ja go rozumiem.

– Ja również. A co Victor o tym myśli? O tym, jak ten układ może... hm, wpływać na twoje osobiste plany na... cokolwiek by to było?

– Nie wiem. Nie wiem, co myśli którykolwiek z nich.

– A kto wie? Czy to ci się już kiedyś przydarzyło?

– Jeśli w ogóle ci to powiem, to, do cholery, zrobię to później.

– Czy ten układ z Victorem okazał się już kiedyś przydatny? – zapytał później.

– A wydaje ci się, że masz jakieś prawo spodziewać się odpowiedzi?

– Absolutnie nie. Absolutnie żadne. Ja tylko żeruję na starej przyjaźni.

– Straszny z ciebie łajdak. Cóż, w pewnym sensie tak, ale tylko od czasu do czasu. Nic wariackiego. Nie tak jak wtedy, kiedy...

– Ależ oczywiście, że nie. Jak dobrze jest poinformowany?

– Jak zawsze: wie wszystko i nic.

– Powiedziałbym, że ty i on wieciecie razem całkiem niezły żywot.

– Nie mam pewności co do tego „razem”, ale tak, chyba mogę się z tobą zgodzić. Większość wieczorów, kiedy on jest poza domem, ja spędzam w sklepie.

– Tak, ten przydatny sklep. Dobrze go pamiętam. Co ty właściwie w nim robisz?

– Od czasu do czasu przeglądam katalogi z nowymi wzorami, odwiedzają mnie tam przyjaciele, piję sporo kawy. Robię mniej więcej to samo, co on robi w „Glendower”. Całkiem na luzie. Kiedy się ze mną żenił, oczywiście wszystko o mnie wiedział. A w każdym razie dużo.

– Nie jesteście wcale tak strasznie długo po ślubie, prawda?

– Nie, nie aż tak długo, żeby się to wydawało straszne: zaledwie dwadzieścia dwa lata.

– Dobry Boże, to już tyle czasu? – powiedział Alun z roztargnieniem. – No tak, ale nie mieliście dzieci, prawda? Przypuszczam, że to...

– A w każdym razie na to wyszło i nikt nie ująłby tego lepiej, zresztą całkiem słusznie. Zapomniałaś. Dopiero teraz ci się przypomniało, że ja nigdy nie miałam dzieci. Nie wiem... są mężczyźni, którzy zanim wtargnęliby do kogoś na krótkie przytulanki, odrobiliby lekcje albo przynajmniej troszkę by sobie odświeżyli pamięć. – Przez chwilę znów była nieco nadąsana. – A jak tobie się układa?

– Świetnie. Bez zmian.

– Tak? W takim razie przypuszczam, że niebawem zaczniesz składać wizyty starym przyjaciółkom w sąsiedztwie. Jakimś paru tuzinom przyjaciółek. Zawsze tak z tobą było, prawda?

– Cóż, syndrom Don Juana. Zawsze mi się wydawało, że to dość przereklamowana postać. Wiesz, co ludzie mówią? Ze to się bierze z pragnienia poniżenia i upokorzenia kobiet. Cóż, możliwe, że coś w tym jest, ale jeśli tak, to powinienem być szczególnie napalony na kobiety, które mają fioła na punkcie poniżania i upokarzania, które się wręcz o to dopominają, jak Muriel czy rybiogęba Eirwen Spurling. Ale powiem ci szczerze: są mi obojętne.

Sophie nie słuchała go zbyt uważnie.

– Nie mogę pojąć – powiedziała – czemu facet, który ma taką żonę, musi koniecznie zabawiać się z kim popadnie.

– Wspomniałaś coś o odrabianiu pracy domowej. Pamiętam, jak mawiałaś troszkę ponad dwadzieścia lat temu: odrobić dobrze albo wcale. A teraz ci przypomnę, co ja wówczas mówiłem: guzik prawda, że nie możesz tego pojąć, rozumiesz to doskonale. I wiesz, że się nie mylisz: ten facet musi się tak zabawiać. Żadnego wyboru, czysta konieczność. Zatem łatwiej, mądrzej, uprzejmiej... zaakceptować to. Ale do diabła z dawnymi czasy! Zapomnij o upływie lat. W twoim przypadku nie stanowi to problemu. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądałaś kiedyś. Ilekroć próbuję, widzę cię taką jak dziś. Po prostu za mało się zmieniłaś. Czyż to nie zdumiewające, nie... wspaniałe, nie... cudowne...

O wiele za późno, aby zepsuć efekt tych słów, na podeście schodów zadzwonił telefon.

– Możliwe, że to już Victor – powiedziała Sophie.

Zostawiony samemu sobie, Alun szybko i bez zainteresowania rozejrzał się po obszernej sypialni. Tak duże, jak i małe, wypełniające ją przedmioty robiły wrażenie, że jedyną zasadą ich doboru była cena, włączając w to wytłaczane, najwyraźniej zdobione złotem tapety. Przez myśl przemknęła mu banalna, lecz nieunikniona refleksja o przemijaniu. Faktycznie, upłynęło całkiem sporo czasu, lecz jak dotąd z zaskakująco miernymi efektami. To, co przed chwilą powiedział Sophie o jej wyglądzie, było oczywiście nieprawdą, choć trzeba przyznać, że w odniesieniu do większości osób, znanych mu od tak dawna, twierdzenie takie byłoby nieprawdą. Ale w ogólnym sensie miał podstawę, by tak mówić. Rozmaite sprawy, na przykład to, co działo się trochę wcześniej, zdawały się takie jak niegdyś, a w każdym razie nie na tyle inne, by kruszyć o to kopie. Możliwe, że taki stan rzeczy nie będzie trwał wiecznie, ale na razie niewątpliwie im mniej się zmienił, tym bardziej był ten sam, a najłatwiej zauważalną cechą przeszłości, przynajmniej w jego oczach, było to, że w teraźniejszości znajdowało się jej dużo więcej niż kiedyś, z niewielkimi wtrąceniami z czasów odległych bardziej, niż się to kiedyś wydawało możliwe. Alun poszedł zrobić siusiu.

Kiedy wrócił do sypialni, Sophie już tam była. Ubierała się.

– Ile mamy czasu?

– Co najmniej kwadrans – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku.

– Swego czasu robiłem to w dwie i pół minuty, łącznie z mankietami i sznurowadłami.

– Wielkie rzeczy.

Zawiązując krawat, Alun spostrzegł w lustrze toaletki coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi, a mianowicie, że naprzeciwko podwójnego małżeńskiego łóża, w którym wcześniej leżeli, stało zaścielone jednoosobowe łóżko.

– Kto tam sypia? – zapytał.

– On. Zazwyczaj.

– Zazwyczaj? Chcesz powiedzieć, że czasami przychodzi i...

– Nie, nie, chcę powiedzieć, że tam w końcu ląduje. Nad ranem zaczynam się kręcić, rozumiesz, więc się tam wynosi, kiedy mu to zaczyna przeszkadzać.

– Cóż za rozkosznie zmyślne rozwiązanie.

Coś mu w tym wyjaśnieniu nie pasowało, ale jako że nigdy nie należał do osób, które można by posądzić o wścibstwo, dawno już nie pamiętał o całej tej sprawie, kiedy mając jeszcze w zapasie sześć minut, zeszli do przedpokoju, aby się pożegnać. (Sześć minut, he? Tb wcale nie tak dobrze.)

– Cudownie było cię znów zobaczyć – zawołała za nim, jakby rzeczywiście wpadł tylko na filiżankę herbaty, po czym dorzuciła z pewną rezygnacją: – Ty draniu.

Odrzuciwszy pierwszą nasuwającą się myśl, Alun powiedział:

– Jesteś cudowna. Wkrótce znów wpadnę. Ale najpierw zadzwonię.

Gdy samochód nie zapalił, powiało parszywą ironią, jednak zaraz potem silnik zaskoczył. Alun musiał wykonać manewr nawracania – w przyszłości trzeba będzie pamiętać, żeby zrobić to wcześniej – po czym zjechał ze wzgórza. Poszło gładko. Sześć minut, he? Jak za starych dobrych czasów. Wspomnienie Sophie niebawem uleciało, ale jak zawsze w takich momentach Alun poczuł się całkowicie wolny – wcale nie zwycięski – po prostu bardziej wolny niż kiedykolwiek.

Miękko i melodyjnie zaśpiewał przyjemnym, niezbyt silnym tenorem:

*Czy to młódka Denise rozniosła zarzę
wśród wszystkich panów obecnych tu?
Ach, nie, to nie Denise,
to przecież pani Rosenbloom...*

Pojechał drogą powyżej Beaufoy, skąd rozciągał się widok na morze oraz położone po drugiej stronie zatoki bursztynowe i ciemnozielone połacie Courcey, z niewyraźnymi w półmgłę zarysami urządzeń przemysłowych. Na moment wyszło słońce i nadało wodzie barwę nieco bardziej atrakcyjną niż szarobura. Tarasowo położone budynki, do których docierało się po ciągach stromych schodów, ustąpiły miejsca ceglany dwurodzinnym willom wzniesionym w okresie międzywojennym, później osiedlu dwupiętrowych wielkopłytowców z lat pięćdziesiątych, a jeszcze dalej rozrzuconym w regularnych odstępach murowanym rezydencjom właścicieli kopalń i hut z czasów prosperity.

Alun zmniejszył nacisk na pedał gazu, przybierając na twarz wyraz znudzenia, niezadowolenia, a nawet rozczarowania w ramach przygotowań do inspekcji, jakiej niewątpliwie podda go jego córka Rosemary. Było coś zdecydowanie przyprawiającego o ciarki na plecach w tym, że ta dziewczyna mogłaby pomyśleć, iż zajęcia i zainteresowania jej ojca są mało ważne. Że miał zamiar coś przeszkrobać – takiego oskarżenia mógł się spodziewać, gdy w chwilach takich jak ta okazywał uczucie nieco bardziej pozytywne niż butna rezygnacja. Pod tym względem Rosemary była gorsza nawet od swej starszej siostry, teraz już bezpiecznie zamężnej albo przez większą część roku bezpiecznie usuniętej z drogi. Alun nie potrafiłby wyjaśnić, czemu te ich prowokacyjne zachowania tak bardzo go niepokoiły.

W salonie matka i córka za pomocą filiżanek, blaszanego pojemnika na herbatniki, pudełka czekoladek, pudełka papierowych chusteczek, torebek, etui do manicure, kosza na papiery, mapy najbliższej okolicy oraz całych tuzinów broszurek z agencji obrotu nieruchomościami wytyczyły na niskim stoliku oraz na dywanie przed kominkiem terytorium swej kobiecej enklawy. Alun wiedział, że jeśli uda mu się przetrwać w jednym kawałku przez pierwszą minutę, nic mu już nie będzie groziło. Przemierzył bezpiecznie dwadzieścia stóp pola minowego i wziął córkę w objęcia. Jak zawsze był to serdeczny uścisk.

– Udany lunch? – spytała Rhiannon, kiedy pocałował również ją.

– Niezbyt. Ale całkiem znośny. Pójdziemy tam kiedyś razem.

– Widziałeś się z Charliem? Chcesz kawy?

– Nie, dziękuję. Tak, był tam. Peter również.

– O, naprawdę? – zawołała z ożywieniem i zainteresowaniem. – Jak wyglądał?

– Moim zdaniem nie najlepiej. Bardzo utył. Mimo to jest... no wiesz... rozpoznawalny.

– Aha. No cóż, nigdy nie grzeszył smukłością, prawda?

Rosemary, bardziej śniada i bardziej krzepka wersja Rhiannon, odczekała, aż ta część rozmowy dobiegnie końca. Od dość dawna wiedziała, że zanim matka poznała ojca, coś łączyło ją z wykładowcą uniwersyteckim o nazwisku Thomas, Peter Thomas. Co jeszcze mogła gdzieś usłyszeć albo czego się domyślić, nie było wiadomo, a teraz nie dała po sobie nic poznać. Wskazując na jedną z broszurek, powiedziała:

– O piątej idziemy z mamą zobaczyć pewien dom w Kinver Hill, z atrakcyjną przeszkloną werandą w szwedzkim stylu i niezwykłym, otoczonym murem ogrodem. Zjawiłeś się w samą porę, aby nas tam zawieźć.

– Zaiste. Ale powiedz mi, jak byście sobie poradziły, gdybym się nie pojawił?

– Wzięłybyśmy taksówkę, czyli zrobiłybyśmy to, co ona robi od tygodnia, podczas gdy ty wozisz się po pubach i gdzie tam cię jeszcze fantazja prowadzi. No, powiedz, ile domów zdążyłeś już obejrzeć?

– Chryste Panie, nie mam pojęcia. Niewiele. Najmniej jak się dało. Trzy? Nie przepadam za tym. Cokolwiek byś powiedziała, nie odwiedzisz mnie od przekonania, że jest to zajęcie typowo kobiece. – Alun bardzo się starał ukryć ulgę, że ostatecznie uniknął wypytywania o to, co do tej pory porabiał, nawet pomimo ostatniej nieprzyjemnej uwagi córki.

– Chcesz powiedzieć, że skoro musimy to robić, równie dobrze mogłybyśmy to polubić? Cóż, tym razem jednak się nie wykręcisz, drogi kawalerze. A właściwie te dwa razy. Tak jest, dom przy Mary Tweed Lane będzie do obejrzenia od szóstej, zgadza się, mamó? – Rosemary przerzucała broszurki. – Obszerny hol z kominkiem o rzeźbionym wiktoriańskim gzymsie. Mama mówiła, że ułożyłaś sobie jakiś plan historyczno-krajoznawczych wycieczek po okolicy. – Ostatnie słowa wymówiła z kwaczącym miejscowym akcentem, całkiem nawet udatnie jak na kogoś, kto nigdy nie mieszkał w Walii. – Pojedziemy tam innym razem, bo przecież kiedy odwiedzasz „Bargeman’s Row”, aby badać miejscowe zwyczaje i upijać się, nie możesz być w Pedwarsaint czy Holland, aby oglądać domy. A zatem, tato, pogódź się z tym, że przez następne kilka dni będziesz miał wiele domów do obejrzenia. Póki ja tu jestem, nie uda ci się zrzucić wszystkiego na mamę. Nadążasz?

Alun przytaknął bez słowa. One zawsze miały ci za złe wszystko, cokolwiek robiłeś sam, bez nich, choćby było to zajęcie tak niewinne jak przeglądanie gazety. A skoro o tym mowa, to już wcześniej się zorientował, że jedną z korzyści płynących z wypraw „w poszukiwaniu Walii” będzie uniknięcie obowiązku oglądania tych wszystkich domów. Poza tym „cztery do jednego” należało do przeszłości: teraz to było cztery i pół, przy czym Rhiannon, która właśnie mrugnęła do niego ukradkiem, to było owo pół, a Rosemary – cztery.

Było tak przynajmniej z grubsza rzecz biorąc. Styl oracji Rosemary, daleki od jakiegokolwiek złośliwości, zdradzał bowiem swoistą czułość, taką jednak, która bynajmniej nie łagodziła sensu wypowiedzianych przez nią słów. Kiedy wreszcie ruszyli do wyjścia, podeszła, wzięła go pod rękę, pocałowała w policzek i posłała uśmiech, który stanowił mieszaninę sympatii i dezaprobaty. To było wszystko, na co, racjonalnie myśląc, mógł liczyć.

ROZDZIAŁ III
Charlie

1

Kiedy Charlie Norris zauważył, że najmniejszy w podwodnym wagonie kolejowym człowieczek ma twarz z wykładziny dywanowej, uznał, że czas wracać. Miotając się i oddychając spazmatycznie, zdołał się wydostać i dotrzeć w ciemnościach z powrotem do łóżka. Jak zwykle rozpaczliwie spragniony, sięgnął zaraz po jedną ze szklanek z wodą, ustawionych na niskim stoliku przy łóżku, lecz zanim ją odszukał, jego dłoń pochwyciła jakaś istota o bardzo długich i wąskich szczękach. Wydawała przy tym rehotliwe, skrzekliwe odgłosy. Krzyknął, a może tylko mu się tak wydawało, i rzucił się raptownie niczym nurek wynurzający się na powierzchnię, i wtedy naprawdę powrócił.

Słyszał spokojny oddech Sophie leżącej w łóżku naprzeciwko, więc zaczął skopywać z siebie kołdrę, aby pójść do jej łóżka, położyć się tuż obok niej i ciasno przytulić. Uświadomił sobie jednak, że w ciągu ostatnich dziesięciu dni robił to już dwukrotnie i że ten trzeci raz to byłaby przesada. Sophie zawsze się wtedy budziła, bez względu na to, jak ostrożnie się zachowywał, czy się przytulał, czy nie, i chociaż zawsze potem zapewniała, że po paru minutach znów zasnęła, trudno mu było w to uwierzyć. W końcu tym razem nie znalazł się na krawędzi jednej z tych wielkich, jaskrawo oświetlonych łąk ze zrujnowanymi kolumnami i wodą płynącą pod górę i wijącą się we wszystkie strony, ani nie musiał stawić czoła tym maleństwom – tycim, nierozpoznawalnym zwierzętom albo mechanizmom zachowującym się jak zwierzęta. Więc na razie został w swoim łóżku i wsparł się na łokciu.

Właściwie wcale nie było ciemno. W świetle zakapturzonej nocnej lampki mógł nawet dostrzec część zarysu ciała Sophie. Poświata wpadała również z korytarza i odbijała się w wysokim lustrze koło okna. Jakiś samochód przejechał w stronę miasta. Charlie był całkiem bezpieczny, ale spragniony w tym realnym świecie nie mniej niż w nierealnym, a poza tym uciskał go pęcherz. Dopiero kiedy zaspokoił te potrzeby, spojrzął na zegarek: 5.10. Nieźle. Miał wrażenie, że odcięto mu jedną trzecią głowy, serce łomotało gdzieś w okolicy żołądka, ale poza tym czuł się świetnie – wsłuchiwał się w swój oddech przez następną godzinę, aż wreszcie zapadł w coś w rodzaju drzemki, nie da się ukryć, że raczej mało przyjemnej.

Kiedy się ocknął, było już jasno i wcale nie czuł się najlepiej, nawet w przybliżeniu. Jak zwykle o tej porze jego poranne ja przeklinało ja nocne za celowe zostawienie butelki szkockiej w szafce na dole. Bez tego rodzaju wsparcia nie było nawet co marzyć o wstaniu z łóżka. Kubek herbaty oraz plastikowa butelka z zapasową porcją stały na nocnym stoliku. Nie będzie trzeba męczyć się wstawaniem. Wsparł się na łokciu i popił trochę, po czym wytrąbił wszystko aż do dna, bo było letnie, i znów klapnął na wznak. Nie minęło wiele czasu, a płyn wydrążył nową, bardziej bezpośrednią drogę do jego pęcherza. Charlie przewrócił się na bok, utkwiał wzrok w solidnym drewnianym obramowaniu tapicerowanego wezglowia, policzył do stu i uchwycił się go konwulsyjnym rzutem ramienia, jakby ciskał kulę na kręgielni. Znów policzył do stu i wkładając w to wszystkie siły, podciągnął się do półpionu.

W tej pozycji, nadal trzymając się kurczowo ramy, odczekał chwilę, powiedział: „Z ciężkim mozołem, wśród jęków przeciągłych pod górę toczy kamień przeogromny” i spuścił jedną nogę na podłogę. Obiecywał sobie oczywiście, że jeśli w ogóle dotrze do łazienki, to gdy tylko znajdzie się w okolicy łóżka, znowu w nie zapadnie. Wróciwszy, podszedł do toaletki, położył dłonie na blacie po obu stronach oprawnego w tłoczone srebro ręcznego lusterka Sophie i wyjrzał przez okno – patrząc, lecz nie widząc. Z przekonaniem wcale nie osłabionym tym, że nieskończenie wiele razy wychodził cało z takich zapasów, poczuł, że wszystko, co miał, przepadło, a wszyscy, których znał, odeszli. Jedynie dlatego, że nie miał nic innego do roboty, stał wciąż, zbierając siły, aby się poruszyć, aby zacząć się ubierać – trochę jak narciarz szykujący się do niebezpiecznego zjazdu. Gotowy? Dobrze... Naprzód. W górę. Obrót. Jazda!

– Wpadnę dziś do Rhiannon – powiedziała Sophie w kuchni. – Chyba znaleźli wreszcie dom, ale ona chce, żebyśmy z Gwen poszły z nią najpierw go obejrzyć. To jeden z tych na skraju lasów Holland, no wiesz, gdzie kiedyś mieszkali Aubreyowie. Dilys będzie tu o jedenastej, a pan Bridgeman już przyszedł, jest teraz gdzieś od frontu, więc wszystko będzie w porządku. – Dilys była dochodzącą pomocą domową, a pan Bridgeman byłym dokerem, który opiekował się ogrodem, a czasami także mył okna. – Możesz się mnie spodziewać od około wpół do czwartej. Mam nadzieję, że ty również będziesz się dobrze bawił. To na razie, kochanie – zakończyła oficjalnie, pocałowała go w czubek głowy i wyszła.

Dziesięć minut zajęło Charliemu pokonanie odległości pomiędzy stołem w jadalni a lodówką w kuchni. Stał tam, pijąc wielkie ilości soku jabłkowego i chrupiąc dziurawą, przypaloną grzanekę, którą Sophie wzgardziła. Zrobienie świeżej – pojemnik na chleb, opiekacz i tak dalej – wydawało mu się niewykonalne. Do tego połknął kilka łyżek marmolady prosto ze słoika. Widok paczki kawy stojącej tuż obok czystego kubka nie był dla niego wystarczającym impulsem, by podjąć decyzję, ale fakt, że elektryczny imbryk był już w połowie napełniony, przeważył szalę. Doprowadził rzecz do końca, a nawet wsypał trochę cukru i pomieszał łyżeczką od marmolady. Kiedy odrobina śliny uwięzła mu gdzieś w tchawicy, zdołał jeszcze odstawić kubek, zanim wściekły napad kaszlu zaczął nim miotać po pokoju, aż w końcu rzucił go twarzą w twarz z panem Bridgemanem, pracującym na tyłach domu – a w tej chwili o kilkanaście cali od niego po drugiej stronie okiennej szyby. Zaraz potem zadzwonił telefon, jak zawsze o tej porze.

– Charles, mówi Victor. Jak się dziś czujesz?

– Mniej więcej jak zwykle.

– Przykro mi to słyszeć. – Czasami Victor mówił właśnie to, a czasami, że się cieszy, że nie jest gorzej. – Słuchaj, Charlie, mam już po dziurki w nosie tych z Griffiths & Griffiths, potąd, mój drogi. Połowa z tego, co wczoraj przysłali, nie nadaje się do użytku. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że może by spróbować z Lower Glamorgan Products? Mogę zacząć działać w tym kierunku?

– Proszę bardzo. – Charlie dawno już przestał się zastanawiać, dlaczego brat wciąż podtrzymywał fikcję ich wspólnej odpowiedzialności za funkcjonowanie „Glendower”. Płynąca z tego nuda miała jednak działanie terapeutyczne.

– Świetnie, dzięki. Następna sprawa: zrezygnowałem z białego domowego. Paskudne wińsko. Jeśli chodzi o to, co w zamian, to mam ze dwa pomysły, które muszę wypróbować na tobie. Przyjdiesz?

– Właściwie to nie jestem taki pewny. U Świętego Dogmaela jest pewna uroczystość, a po niej bankiet w „Prince of Wales”.

– Nie przypominaj mi, za żadne skarby bym tego nie opuścił. Oczywiście mam na myśli uroczystość – okazję, aby ujrzeć pana Nadętego Bałwana w całej krasie. Ale mam kłopot z tym chłopakiem, Chrisem. Biedactwo, złapał jakieś paskudztwo i posłałem go do łóżka, nie mam więc kogo zostawić, żeby przypilnował interesu. Posłuchaj, Charlie, jeśli będziesz mógł, zgarnij trzech albo czterech notabli i przyprowadź ich tutaj na lunch. Oczywiście, jeśli będziesz mógł. Wcześniej zadzwoń. *Coq au vin* będzie dziś prawdziwą poezją. Dobrze?

– Będę musiał zbadać teren, ale się postaram.

– Dobry chłopiec. Wydaje mi się, że trochę poweselałeś. Uważaj na siebie, Charles.

Kubek kawy nie stał się wcale cieplejszy, mimo to Charlie wypił go w słusznym zamiśle uzupełniania płynów ustrojowych. Wkrótce uraczył się także słabiutką whisky z wodą, a zwlekał z tym tak długo, bo obiecał sobie w miarę możliwości unikać picia o wczesnej porze. O jedenastej przyjechała taksówka, aby zabrać go do miasta. Kiedy wsiadał do niej, ziewając jak smok, powiedział sobie, co czynił zawsze w takich chwilach, że naprawdę musi sprzedać swoją starą renówkę, która od lat, jeśli nie liczyć momentów, gdy Sophie oddawała swój samochód do naprawy, stała w garażu nie używana. Jutro się tym zajmie.

Po drodze mijali wiele obiektów, z których najbardziej interesujący był ratusz okręgu Dolny Glamorgan, kilkakrotnie większy od starego ratusza okręgu Glamorgan w Cardiff – ot, takie samo w sobie miniaturowe miasteczko. Mówiono, że jego pracownicy mają do dyspozycji niezliczone koktajlbary, gustownie oświetlone jadalnie, dyskoteki, jacuzzi, salony fryzjerskie, gabinety masażu i odnowy biologicznej, a wszystko to dogodnie zlokalizowane: jeśli nie w pobliżu Jenkyn's Farm, to tuż koło więzienia. Godne uwagi były również doki, gdzie pan Bridgeman zarabiał niegdyś całkiem niezłe pieniądze i gdzie wzbogacił się na kilka innych sposobów. Tam, gdzie kiedyś cumowały liczne statki przywożące drewno, rudę i surówkę oraz zaopatrujące w węgiel, koks i cynk, stał teraz kuter do połowu ostryg, który wyglądał tak, jakby tego roku wcale nie wychodził w morze, oraz samotny, niewielki i brudny frachtowiec pod niebiesko-biało-czerwoną jugosłowiańską banderą.

Charlie wciąż miał pod powiekami obraz Sophie widzianej przed godziną, dziarskiej i schludnej, w ciasno przepasanym jasnoniebieskim deszczowcu. Wystarczyło na nią spojrzeć, aby mieć pewność, że człowieczki o twarzach z wykładziny dywanowej nie odgrywały w jej życiu żadnej roli. Trzeba było przyglądać się nieco dłużej, żeby się przekonać, że miała wiele wyrozumiałości dla każdego, kto z tego typu człowieczkami mógł mieć do czynienia.

Podczas tych dwudziestu dwu lat małżeństwa być może nie poznał jej dostatecznie dobrze, niemniej najsilniejszym chyba uczuciem, jakie do niej żywił, silniejszym od zawiści, był szacunek, wręcz podziw. Gdyby wszystko pozostawić w jej rękach, nigdy nie byłoby żadnych kłopotów, nawet w kwestii Aluna. Jeśli Charlie już wówczas, gdy zasiadali do lunchu w „Glendower”, nie miał stuprocentowej pewności, dokąd Alun zamierzał się potem udać, świeże prześcieradło w jej łóżku w środku tygodnia byłoby mu o tym powiedziało. Ale mniejsza o to. Jak zawsze wymienił tylko z Sophie krótkie spojrzenie. Nieważne. Mniej więcej w połowie tego dwudziestodwuletniego okresu sam przecież w dużej mierze zrezygnował z prawa do mówienia czegokolwiek w kwestii jej prywatnego życia.

Od strony lądu jego oczom ukazał się kościół św. Dogmaela, kolejny zsekularyzowany kościół w mieście. Ten uniknął wprawdzie przekształcenia w kino pornograficzne, ale, co zdaniem niektórych było nie mniej uwłaczające, przemianowany został na Centrum Sztuki. Budowla była w znacznej części zrekonstruowana w 1895 roku, chociaż niektóre jej fragmenty nosiły ślady czternastowiecznej przebudowy, wykonanej na zlecenie Henry'ego de Courcy. Dane owe, tudzież wiele innych, można było znaleźć w broszurce sprzedawanej na dużym straganie i w punkcie informacyjnym w zachodniej kruchcie. Tuż obok wejścia do niej stał niegdyś niewysoki, grubo ciosany kamienny postument, dźwigający na sobie naturalnych rozmiarów figurę, tak bardzo poobtłukiwaną i zniszczoną przez erozję, że trudno było w niej rozpoznać ludzką postać. Od niepamiętnych czasów uważano ją za posąg świętego. Dziś rzecz cała osłonięta była wielką płachtą czerwonego sukna, a stojący nie opodal kilkudziesięcioosobowy tłumek emitował donośny jazgot, urozmaicany typowym dla tych okolic piskiem kobiet.

Charlie omal się nie spóźnił. Kazał zatrzymać samochód kilka jardów wcześniej, zapłacił kierowcy, Chińczykowi z niepokojącym akcentem z Greenhill, i podkraść się do tłumu. Jakiś grubas około pięćdziesiątki z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami, pociągłą ciastowatą twarzą i szeroko rozwartymi oczami odwrócił się do niego.

– Dzień dobry, sir – powiedział głośno z amerykańskim akcentem.

– Dzień dobry – odpowiedział Charlie i poczuł ochotę, by się natychmiast ulotnić. Przez ostatnie pół godziny zaczynał już wychodzić na prostą, ale nie był to bynajmniej proces nieodwracalny, a ten facet wyglądał na bardziej niż kompetentnego, jeśli idzie o psucie nastroju.

– Pozwoli pan, że się przedstawię? Nazywam się Llywelyn Caswallon Pugh.

Na dźwięk tego zaklętego imienia całe zgromadzenie zamilkło. A przynajmniej takie wrażenie odnosił przez moment Charlie, zupełnie jakby trafił w sam środek *Mabinogion*⁶. Zaraz jednak uświadomił sobie, iż czynnikiem uciszającym musiał być ktoś z centralnej grupki notabli oraz innych osób, wśród których – teraz dopiero to spostrzegł – znajdował się i Alun. Wokół tej grupki roило się od fotoreporterów. Znalazł się tam również człowiek dźwigający coś, co wyglądało na małą, przenośną kamerę telewizyjną.

6 Mabinogion – zbiór walijskich legend spisanych w XIV i XVw., jedno ze źródeł legend arturiańskich (przyp. tłum.).

Z głośników popłynęła seria na wpół zrozumiałych zapowiedzi. W tym czasie facet o nazwisku Pugh, który teraz wydał się Charliemu absolutnie obłąkany, nie przestawał posyłać mu znaczących spojrzeń, będących zapowiedzią dalszych atrakcji. W oddali, nie opodal okrytego sukniem kształtu, elegancko odziany młodzieniec, który był ani chybi burmistrzem, zaanonsował ministra (a może zaledwie jednego z ministrów) stanu w Biurze do spraw Walii. Mężczyzna ów, który wyglądał równie młodo jak burmistrz, wypowiedział jakąś formułkę i szarpnął za bogato zdobiony koniec sznura, którego Charlie wcześniej nie zauważył. Czerwone sukno cudownie gładko rozchyliło się i opadło, ukazując stojący na cokole z oliwkowozielonego marmuru czy czegoś w tym rodzaju połyskliwy kształt z żółtego metalu, mniej więcej wielkości człowieka, lecz nie bardziej do człowieka podobny niż ów noszący ślady erozji i poobtłukiwany kawał kamienia, który stał tam poprzednio.

Zaległa cisza, bardziej niż zgrozą, spowodowana zwykłym osłupieniem, po czym zerwały się oklaski. Drobnny człowieczek, zarośnięty niczym artysta z komiksu, przypuszczalnie twórca dzieła, pojawił się w polu widzenia i przez parę sekund stanowił centrum zainteresowania. Inny młodzieniec, który oświadczył, że reprezentuje Walijską Radę Sztuki, zagaił coś o pieniądzach. Zaczęło padać, ale nie na tyle mocno, aby zniechęcić tłum Walijszyków. Na drugi rzut oka kształt na cokole zdawał się jednak mieć w sobie coś z człowieka, jakkolwiek styl dzieła wykluczał portret realistyczny, i Charlie odniósł wrażenie, iż nie jest jedynym, który się zastanawia, czy aby jakaś poręczna abstrakcja, dajmy na to Duch Walii, nie zepchnęła na plan dalszy zamierzonego tematu dzieła. Ci, którzy stali dostatecznie blisko, mogli jednak odczytać na tabliczce nazwisko Brydana i daty: 1913-1960.

Przyszła kolej na Aluna. Rozpoczął w wyważony sposób, unikając emocji i trzymając się faktów w rodzaju tych, że Brydan był największym poetą, jakiego wydała Walia, jak również największym współczesnym poetą angielskojęzycznym; a także faktów pomniejszych, lecz nie mniej istotnych, jak chociażby bezgraniczne oddanie Brydana dla sztuki; z pominięciem innych faktów, takich jak jego bezgraniczne oddanie dla whisky Jack Daniel's oraz pisma „Astounding Science Fiction”. Llywelyn Caswallon Pugh najwyraźniej uznał, że tę część uroczystości może sobie darować. Zwiększył częstotliwość zerknięć na Charliego i zaczął się do niego przysuwać. Kiedy się odezwał, zrobił to niewiele ciszej niż poprzednio.

– Przepraszam, sir, ale czyżby to był Alun Weaver, kawaler Orderu Imperium?

– Tak – odparł Charlie z lekką zadyszką. – To on.

– A czyżby pan był w jakiś sposób osobiście z nim związany?

– Tak, to znaczy... chciałem powiedzieć, że go znam.

– Czy byłby pan tak dobry i przedstawił mnie po tej uroczystości?

On to musi robić celowo, pomyślał Charlie, i to się źle dla niego skończy. Najwyższy czas się ulotnić, a przynajmniej oddalić zdecydowanym krokiem, tak będzie szybciej, łatwiej, uprzejmiej – nie był jednak w stanie przedzierać się przez niewielki, lecz zwarty tłumek, który oddzielał go od wolności. Wybąkał więc coś w rodzaju potwierdzenia i usiłował w miarę możliwości nie zauważać ani pana Pugh'a, ani nikogo innego, tęsknie wracając pamięcią do tych odległych poranków, kiedy to dręczyły go jedynie mdłości i ból głowy.

Alun zaczynał się rozkręcać. Przemawiając, toczył powoli wzrokiem przez tłum, tak by nikt nie czuł się pominięty.

– Czasami przykłada się zbyt wielką wagę – ciągnął – do niezaprzeczalnego faktu, że Brydan nie mówił po walijsku, że, ściślej biorąc, wcale nie znał tego języka. Ale to była jedynie kwestia zwykłego przypadku, kwestia mody. Ówczesnym południowowalijskim rodzicom wydawało się, że ich dzieci nie potrzebują żadnego innego języka prócz angielskiego. Ale nikt, kto zna twórczość Brydana i kto zna Walię i walijski język, nie może mieć wątpliwości, że ta ziemia i ten język żyją w jego utworach. Nie można tu mówić o dosłownym rozumieniu walijskiej mowy, lecz o jej rozumieniu na głębokim, instynktownym, pierwotnym poziomie. On czuł i wyczuwał to, co kryło się za słowami...

Kiedy Alun skończył, ktoś inny wygłosił kilka słów podziękowania albo dziękczynienia, a w każdym razie zakończenia. Wszyscy obecni odprężyli się i zaczęli rozglądać, lecz nikt nie ruszał się z miejsca. Charlie był uwieszony, fizycznie i niejako sytuacyjnie, ale i z powodu ciekawości: oto będzie obecny przy tym, jak ten Walijczyk zza oceanu stawi czoło Alunowi i... no, może nie tyle polegnie, co dostanie za swoje. Poczul się jednak mniej pewnie, gdy Pugh znów obrócił się w jego stronę i nabrał powietrza, by mówić dalej. Ze też był na tyle głupi, by nie wstąpić do „Glendower” i nie pokrzepić się przed takim dopustem. Czy nigdy nie nabierze rozumu?

– Czy wolno spytać, jak się pan nazywa, sir?

Charlie podał swoje nazwisko i całkiem bezmyślnie, jak ostatni głupiec, dorzucił informację o profesji.

– Ja jestem urzędnikiem Stowarzyszenia Walijczyków w USA – oświadczył Pugh.

W tym momencie coś straszego stało się z mózgiem Charliego. Pugh mówił dalej jak poprzednio, nie zmieniając tempa ani akcentu, lecz Charlie nie był teraz w stanie rozróżnić słów, słyszał jedynie niezrozumiałe dźwięki. Oczy zaczęły mu uciekać na boki, zrobił krok w tył i nastąpił ciężko na czyjąś stopę. Wtedy do jego uszu dotarły wreszcie jakieś znajome brzmienia, więc z poczucia ulgi omal się nie przewrócił. Nie, to nie w porządku oczekiwać, aby taki stary zakapior jak on, który nigdy nie przekroczył poziomu walijskiego elementarza, był w stanie pojąć cały ten bełkot, zwłaszcza jeśli spadał na niego bez zapowiedzi i do tego w amerykańskim wydaniu.

– Uhm – przytakiwał gorliwie. – Uhm.

Szeroko otwarte oczy Pugh'a rozwarły się jeszcze szerzej, tak iż Charlie jął się zastanawiać, na cóż to takiego się zgodził, lecz niebawem było już po wszystkim i ponownie zabrzmiał angielski.

– Kluczowym celem Stowarzyszenia jest wykuwanie oraz podtrzymywanie więzi z macierzą.

Podmuch wiatru orzeźwiająco chlusnął Charliemu w twarz deszczem, a nad głową przeleciała mu mewa, tak blisko, że aż się wzdrygnął.

– Brzmi nieźle.

– Uhm. I właśnie z myślą o tym chciałbym dziś prosić pana Weavera, aby zechciał łaskawie złożyć przyjacielską wizytę w filii Stowarzyszenia w moim mieście, Bethgelert w Pensylwanii, w jakimś ustalonym terminie. Stąd moja chęć zapoznania się z nim.

Charlie docenił tę próbę przedstawienia wyjaśnień. Wydawało mu się również, że pojmuje, w czym rzecz – wszystko zaczynało się układać. Kiedy rozglądał się za Alunem, poczuł, że z łatwością może sobie wyobrazić – możliwe nawet, że kiedyś już to słyszał – jak Alun mówi, że jedyne, czego potrzebuje, to darmowe zaproszenie w tamte strony, nieważne do jak zapadłej dziury: byle tylko mieć podkładkę, a polecą tam bez namysłu. Cóż, stary walijski łapacz okazji chyba wreszcie trafił na właściwą. No, no, ci zamorscy Walijszczyki muszą go darzyć wielką estymą. Tylko skąd im się to wzięło?

Alun w towarzystwie nie odstępujących go na krok trzech czy czterech oficjeli począł właśnie zmierzać w stronę rzędu bardzo oficjalnie wyglądających samochodów, kiedy drogę zastąpił mu Charlie z panem Pughiem u boku.

– Pan Pugh ma coś wspólnego ze...

– Stowarzyszeniem Walijszczyków w USA. To wielki zaszczyt poznać pana, sir. Pisałem do pana pod adresem pańskiego...

– Jakże mi miło, panie Pugh. Skąd dokładnie pan pochodzi?

– Z Bethgelert w Pensylwanii, miasteczka leżącego...

– No proszę! W każdym miejscu na świecie można spotkać Walijszyka, prawda? Anglosasi, porzućcie nadzieję, że uda wam się znaleźć takie ciasto, w które my, prosty i nieszkodliwy naród, nie zdołaliśmy już wetknąć paluszków. Proszę zawieźć Celtom z Bethgelert, panie Pugh, moje najgorętsze ziomkowskie pozdrowienia. A teraz...

– Pan Pugh chciałby cię tam zaprosić – pośpiesznie wtrącił Charlie.

To, jak płynnie i gładko bezmyślność spojrzenia Aluna w kierunku oczekującego samochodu przeszła w usilne błaganie o pomoc, o to, by ktoś się zajął tym całym panem Pughiem, było czymś, czego Charlie – był tego pewny – nigdy nie zapomni. Nieży też był malujący się na twarzy Aluna wyraz wyważonej gotowości usłyszenia tego, co facet ma do powiedzenia. Ktoś przed nimi, niezadowolony z organizacji imprezy, zatarasował im na chwilę drogę.

– Bethgelert to miasteczko położone w tej części stanu, gdzie istnieje duże skupisko elementu walijskiego. Prawdę mówiąc, William Penn życzył sobie, aby cały ten obszar nazwany został Nową Walią, ale sprzeciwił się temu angielski rząd.

Pugh położył szczególny nacisk na ostatnie słowa, jeśli jednak nawet udało mu się wzbudzić w słuchaczach uczucia separatystyczne, to nie dali tego po sobie poznać. Wyraz oczekiwania na twarzy Aluna nieco zgasł, powrócił jednak, gdy Pugh zaczął wygłaszać następną kwestię.

– My, mieszkańcy Bethgelert, niejednokrotnie mieliśmy honor gościć znakomitości z Walii. W 1954 roku zaszczytzeni zostaliśmy odwiedzinami samego Brydana. Fakt ten upamiętnia tablica w języku walijskim i angielskim, wmurowana w ścianę „Neuadd Taliesin”, naszego domu spotkań. Wisi tam również olejny portret Brydana, dzieło pani Bronwen Richards Weintraub, członkini naszego zarządu.

– Jak pan sądzi, mogłoby... – zaczął Alun, lecz Pugh uniósł dłoń, ot, zaledwie cal lub dwa powyżej nadgarstka, i ciągnął jak poprzednio:

– Pani Weintraub zajmuje się głównie fotografią, ale ci, którzy znali Brydana osobiście, orzekli, że portret odznacza się wyjątkową wiernością.

W wygłoszeniu oraz wysłuchaniu tej uwagi było coś ostatecznego i kończącego. Gdzieś z przodu znalazł się wreszcie brakujący człowiek czy samochód, i ruch został przywrócony.

– Proszę mi powiedzieć, panie Pugh – odezwał się Alun z namysłem – gdzie miałbym się zatrzymać w Bethgelert?

– Och, u mnie, panie Weaver. To kawalerskie gospodarstwo, ale mogę pana zapewnić, że całkiem wygodne. Z radością pokażę panu całą okolicę.

– Będę tego wyglądał z utęsknieniem. – Alun stał już przy tylnych drzwiach samochodu. – Sądzę, że wiosna 1995 roku byłaby stosownym terminem.

– Pan chyba...

– Nie, nie, powiedzmy, jesień. Tak, jesień. W tej chwili jestem naprawdę bardzo zajęty. Miło było pana poznać. Życzę udanego dnia. Charlie, wsiadaj z drugiej strony.

Zanim Charlie dał nura do środka, po raz ostatni mignął mu widok pana Pugh'a, wyglądającego wypisz, wymaluj jak nadmuchiwana gumowa figura, z której przed sekundą wyciągnięto korek. Charlie mógłby nawet odczuć coś na kształt współczucia, gdyby nie to, że całkowicie wypełnił go podziw dla Aluna.

– Cholernie zgrabne posunięcie – powiedziało, kiedy już usadowili się na tylnych siedzeniach.

– Uhm, i to z pewną nadwyżką punktową, ale wcale nie byłoby trudno usadzić go raz na zawsze. A tak przy okazji, mam wrażenie, że ten nudziarz jest jakiś niewyraźny, nie sądzisz? Zwietrzyłem to, zanim jeszcze napomknął o tym swoim kawalerskim gospodarstwie.

– Możliwe, ale zbyttno byłem pochłonięty jego występem, aby zauważyć coś więcej.

Samochód jeszcze nie ruszył. Alun rzucił okiem przez szybę.

– O, idzie tam, biedny mądrała. Powinienem był mu polecić ten szalet niedaleko remizy. Chociaż pewnie interes przestał się już tam kręcić. Jak zresztą wszędzie.

Z czystego szelmostwa Charlie zapytał:

– Jak sądzisz, dobrze zrozumiał twoje intencje?

– Co? O co ci chodzi?

– Cóż, potraktowałeś go strasznie uprzejmie. I serio.

– Możliwe, że odrobinę.

– Ale nie chcesz, aby do ciebie wydzwaniał i prosił, żeby to jeszcze raz omówić? Żeby rozwiać twoje obiekcje?

– Nie, skądże znowu, na Boga!

Samochód ruszył wzdłuż krawężnika. Alun ponownie zerknął przez okno i spojrzął na drogę przed nimi. Potem lewą ręką opuścił szybę, a prawą dłoń ułożył tak, że kciuk i dwa kolejne palce były rozczapierzone, a pozostałe dwa zwinięte.

– To po angielsku – poprawił go szybko Charlie. – Amerykanie pokazują tylko jeden, środkowy.

– Chryste, masz rację, dzięki. Teraz będzie dobrze. Jazda.

– Alun wystawił głowę i rękę przez okno i ryknął: – Albo raczej dwa tysiące! Niech to będzie rok dwutysięczny! I odpieprz się!

Samochód skoczył do przodu. Cudem niemal Charliemu udało się jeszcze raz schwytać przez tylną szybę ostatni kadr z panem Pughiem, znacznie mniej zrównoważonym niż parę chwil wcześniej. Jakąż to opowieść będzie snuł na ten temat w Bethgelert?

– W Ameryce mówią „odpieprz się”, prawda?

– Z pewnością to rozumieją.

– I nie znaczy to: „Jak się ma twój tata?”, ani nic w tym rodzaju?

– Nic mi o tym nie wiadomo, nie.

– Pomyślałem, że lepiej jednak nie zostawiać żadnych niedomówień. Takie podwójne zabezpieczenie.

– Rozumiem, teraz nie wyobrażam sobie, żeby cię nachodził.

Alun chichotał przez chwilę cichutko, potrząsając głową z pobłażliwą autonaganą. Kierowca, z kołnierzykiem kraciastej, sportowej koszuli wyłożonym na niebieski serżowy uniform, zauważył:

– Chciał się załapać na darmową przejażdżkę, co? Ten tam gość?

– Poniekąd.

– Zabawnie wyglądał. Przypominał mi...

– Tak jest, ale teraz zapomnijmy już o nim i skupmy się na jak najszybszym dojechaniu do „Prince of Wales”. – Alun najwyraźniej nie życzył dziś sobie wchodzić w żadne szczególne, „walijskie” stosunki z taksówkarzami, jak to kiedyś określił w rozmowie z Rhiannon, toteż zniżywszy głos ciągnął: – To było konieczne. Oczyszczało sytuację. Kiedyś w Kilburn wpakowałem się w tarapaty, przez dwie czy trzy minuty mówiąc pewnemu bułgarskiemu noweliście, który nawiasem mówiąc, rzeczywiście próbował się załapać na darmową przejażdżkę, żeby się odpieprzył, podczas gdy facet za kierownicą kabrioletu, którym jechałem, skręcił przez nieuwagę w ślepą uliczkę. Zdumiewające, jak szybko się dewaluuje takie „odpieprz się”. Powiedz tak kilka razy z rzędu i zużyjesz je niemal do cna.

– A nie ma zbyt wiele zastępników – dodał Charlie.

– Święta racja.

– Co tak naprawdę zraziło cię w panu Pughu? Co kazało ci go tak stanowczo spławić? Pomijając jego zainteresowanie dla męskich zapasów. No i oczywiście to, że był nieodparcie amerykański.

– Nic na to nie mógł poradzić. To jeszcze byłbym w stanie znieść, z większą łatwością niż tę jego nieokiełznaną walijskość. Słyszałem o tych typach z Pensylwanii. Ty też zresztą wiesz, co to za jedni, prawda? Cholerni kwakrzy. Będziesz miał szczęście, jeśli ci pozwolą zapalić papierosa. A wiesz, jaką mają ambicję? Mówić po walijsku. Rozmawiają z sobą po walijsku.

– Zgadza się, do mnie też mówił po walijsku.

– Sam widzisz – sapnął Alun, sypiąc iskry z oczu. – I jak tu można się dogadać z takim draniem?

– W takim razie nie rozumiem, czemu nie posłałeś go do diabła, gdy tylko usłyszałeś, skąd pochodzi.

– O, tego nie mogłem zrobić. To by było nieuprzejme. A poza tym wtedy jeszcze nie byłem pewny, czy aby nie zamierza... nie wiem... na przykład powiedzieć „kurwa” albo coś w tym rodzaju i okazać się istotą ludzką. Myślę, że drink dobrze by mi teraz zrobił.

Przeszli przez westybul hotelu „Prince of Wales”, który za sprawą jakiegoś reakcyjnego kaprysu miał na podłogach normalne dywany, a na ścianach obrazki przedstawiające łatwe do rozpoznania widoki. Ozdobioną fotografiami windą wjechali na górę i znaleźli się w połyskliwym, nad wyraz banalnym wnętrzu o smukłych błyszczących kolumnach, które niewątpliwie nosiło nazwę sali bankietowej. Ale, bądźmy sprawiedliwi, znajdował się tam bar oraz stół, przy którym serwowano wyłącznie wina, co pozwalało uniknąć towarzystwa niezbyt poważnych pijaków. Jedną z korzyści płynących z profesji Charliego – teraz już tylko nominalnej, ale przez długie lata wykonywanej faktycznie – było to, iż znał kelnerów. Z tej to przyczyny podano mu poza kolejnością whisky z wodą, w ilości, która innym wystarczyłaby za cały lunch; odkrycie, jak bardzo jej potrzebował, zdumiało go niepomiarnie. Ściskając w dłoni następczynię pierwszej szklaneczki, ruszył prosto w stronę Aluna, który na obcym terytorium wyraźnie potrzebował moralnego wsparcia. W pobliżu byli też Cellan-Daviesowie, a Malcolm właśnie zadawał Alunowi pytanie.

– Nazywał się jak? Llywelyn jaki Pugh?

– Nie jestem pewny, Charlie wie.

– To brzmiało jak Caswallon.

– Aa, Caswallon – rzekł Malcolm, starannie wymawiając

L. – Lepiej znany jako Cassivellaunus.

– Wsiadł na swego konika – mruknęła Gwen, kiwając głową.

– Wódz Brytów, który walczył z Rzymianami w...

– Chwileczkę, chłopcze, opanuj się, dobrze? – przerwał Alun. – Jak na jeden poranek, mieliśmy dość historii. Najpierw William Penn, teraz Cassivellaunus, a za chwilę Patagończycy, spośród których wielu włada zarówno walijskim, jak i hiszpańskim.

– Moim zdaniem wielka szkoda, żeś odprawił pana Puga – rzekła Gwen. – Zdaje się, że on i Malcolm zostali dla siebie stworzeni. Nie mógłbyś go jakoś odzyskać?

Charlie odniósł wrażenie, że był w tym jakiś podtekst, ale kiedy podniósł wzrok, zaabsorbował go fakt, iż zamierza się do nich przyłączyć ktoś znamienity. Nikt nie spytał, kto to taki, tamten zaś zdawał się wiedzieć wszystko co trzeba o tym, kim są oni. Z wyglądu, nie wyłączając fryzury i ubioru, przypominał przeciętnego przyzwoitego urzędnika magistratu, bardziej z Yorkshire niż z południowej Walii, ze starego czarno-białego filmu sprzed dwudziestu pięciu lat. Towarzyszyły mu dwie osoby pomniejszej ważności.

– A zatem – odezwał się dość ochryplym altem, kojarzącym się zazwyczaj ze wzmożonym spożyciem ginu – jaki jest stan społecznych odczuć na temat naszego nowego dzieła rzeźbiarskiego?

– O Chryste – jęknął Alun tak, jakby mu się to wyrwało.
– Eee... właściwie jeszcze o tym nie rozmawialiśmy, prawda, koledzy? A poza tym to nie moja dziedzina. Gwen, ty jesteś dobra w tej materii.

– Jakiś ty słodki, Alun, dzięki. Cóż, nie ma w niej żadnych dziur. Tyle można powiedzieć z całą pewnością.

Nastąpiła krótka zgadywanka, której finałem było ujawnienie, że całkowity, od zamysłu do przemyślenia, koszt przedsięwzięcia zamknął się kwotą dziewięćdziesiąt osiem tysięcy funtów.

– To daje do myślenia, nieprawdaż? – rzekł Alun. – Za tę sumę można by kupić kilka torped.

– O, z pewnością byłyby znacznie droższe – zaproponował Malcolm. – Czytałem gdzieś, że...

– Do diabła z tym, wobec tego pół torpedy. Ćwierć. Co za różnica?

– No właśnie – stwierdziła Gwen.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu – zaskrzeczał wypytywacz – może byśmy zapomnieli na chwilę o torpedach i wrócili do rzeźby? Pan, panie... – zwrócił się do Charliego – pan nic dotąd nie powiedział.

– Nie, no cóż... moim zdaniem nie można tego określić mianem sztuki figuratywnej – odparł Charlie z niejakim ukontentowaniem.

– Czy to wszystko? Czy ktoś chciałby może dodać coś... eee... bardziej... eee... bardziej konstruktywnego?

Nikt nie chciał.

– Zatem nikt z obecnych nie podziela mojej opinii, że pomnik Brydana to ekscytujący przełom dla nas wszystkich w tym mieście?

Podobnie jak pozostali, Charlie od razu wykluczył możliwość istnienia w tym stwierdzeniu jakiegokolwiek ironii. Wszyscy zamilkli, wbijając wzrok w podłogę. W końcu przemówiła Gwen, aczkolwiek głosem niezbyt stanowczym:

– Jeśli na określenie tego, czy czegokolwiek podobnego, używa pan słowa „ekscytujące”, to jak pan określi puszczony w kinie nocnym horror? Jeśli odrobinę odbiega od przeciętnego? – Zmarszczyła brwi i uśmiechnęła się promiennie.

Alun skinął głową.

– Trafna uwaga – powiedział.

– Moi koledzy i ja oczekiwaliśmy odrobiny zachęty. Oto wychodzimy społeczeństwu naprzeciw, walczymy o to, aby dotrzeć ze sztuką współczesną do mas, bo do nich w końcu ona należy, nie zaś do jakiejś snobistycznej elity, a tymczasem tacy ludzie jak wy, ludzie wykształceni, wcale nie chcą jej poznać. Bo nie chcecie, prawda? Jesteście dużo szczęśliwsi z waszymi przytulnymi, zmurszałymi wiktorianizmami. I chyba czujecie się z nimi bezpieczniej. Trzymacie się z dala od rzeczy prowokujących. Cóż, pozwolę sobie wątpić, czy wasza reakcja jest typowa. Do widzenia państwu.

Ruchem głowy przywodzącym na myśl bossa z całkiem innego filmu osobistość dała asystującym panom sygnał do odwrotu, ale jeszcze przed odejściem dodała:

– Macie prawo do własnych sądów, tego nie muszę mówić, lecz ich podstawą jest najwyraźniej ignorancja, podczas gdy rzeczonoego artystę wybierało i wspierało radą gremium specjalistów. Proszę łaskawie wziąć to pod uwagę.

Kiedy zostali sami, Alun powiedział z emfazą, głosem z lekka drżącym:

– Wszystko w porządku, kiedy jacyś gówniarze i gówniary, zwłaszcza one, gadają o pasjonujących przełomach w reklamie i w rubrykach na temat sztuki... nie, oczywiście, że nie jest to w porządku, ale zdążyliśmy już do tego przywyknąć, mamy na to mechanizmy obronne. I wszystko było w porządku, kiedy tacy właśnie mądrale walczyli zaciekle przeciwko wystawieniu w Teatrze Królewskim *Pożądania w cieniu więzów* i robili co w ich mocy, aby zdjąć z półek bibliotek publicznych Joyce’a i Lawrence’a, i T. S. Eliota. Jesteście zbyt młodzi, aby pamiętać pewnego cholernego głupca i kanalię o nazwisku Bevan Hopkin, który wezwał policję na wystawę Renoira w galerii Trevora Knudsena – i to nie w 1903, ale w 1953 roku. Tego bowiem od niego oczekiwano. Wyobraźcie go sobie opowiadającego się za czymś prowokującym. Wyobraźcie sobie, że w ogóle zna to słowo. Kiedy laburzystowscy urzędnicy w południowej Walii plotą o docieraniu ze sztuką do prostych ludzi, jesteśmy w tarapatkach. Wracaj, Bevanie Hopkinie, wszystko, powtarzam, wszystko zostało ci wybaczone. Jezu Kryste!

– Gryste – poprawiła Gwen. – Jezu Gryste.

– Och, do diabła. Poddaję się. Mam dość. Boże, nadciąga następna ekipa. – Alun odwrócił się do Charliego. – Lepiej czym prędzej się stąd zabierajmy.

– Ja się teraz zabiorę, ale za chwilę wrócę.

Charlie ominął drużynę burmistrza i chwyciwszy po drodze czystą szklanę, przemknął się do toalety. Odczekał, aż wszyscy wyjdą, napełnił szklanę przy umywalce, zamknął się w kabinie i dał upust niesłychanemu atakowi kaszlu, który wisiał nad nim już od godziny. Ktoś wszedł i skorzystał z pisuaru, pojękując przy tym jakby ze współczuciem. Charlie wypił trochę wody i wziął parę głębokich oddechów. Czuł się słabszy, ale za to przejaśniło mu się w głowie niczym facetowi z książki Johna Buchana po ataku febry. Wychodząc, zauważył, że – jak to później określił – pomieszczenie cuchnęło jak burdel w Aleksandrii.

Przemierzył korytarz, stąpając po dywanie bardzo miłym dla oka, lecz nieprzyjemnym do chodzenia, aż dotarł do rzędu aparatów telefonicznych, odgradzonych od reszty pomieszczenia jedynie daszkami w kształcie romańskich łuków.

Telefon odebrał Victor. Zdawał się ucieszony.

– Jak się masz, Charles? Co podają w najświeższych wiadomościach?

– To jeden z cudowniejszych dni. Ale teraz poważnie. Słuchaj, obawiam się, że nie zdołam zrealizować tego pomysłu z lunchem. Zupełnie zapomniałem, ale umówiłem się wcześniej na randkę po knajpach w Harriston. Przepraszam.

– Charlie, nie bardzo rozumiem, o czym mówisz. Jaki pomysł z...?

– Prosiłeś mnie, żebym zebrał do kupy para frajerów i przyprowadził ich...

– A, o to ci chodzi. Nie ma sprawy, to była tylko taka luźna propozycja. Innym razem. A jak wypadł nasz pan Nadęty Bałwan?

– Właściwie całkiem nieźle. Przy odsłanianiu był okropny, ale później spisywał się dzielnie. Był tam pewien okaz, walijsko-amerykański dziwoląg, którego pogonił w pięknym stylu.

– Pogonił? Chcesz powiedzieć, że...

– Nie, nie. Tamten zaprosił Aluna do siebie, do swej kawalerskiej kwatery w Pensylwanii czy Filadelfii, czy diabli wiedzą gdzie.

– Spodziewam się, że nie ma szans tam pojechać? Bo to by naprawdę mógł być materiał na książkę. – W nagłym śmiechu głos Victora przeszedł w falset. – Nasz N. B. w Pensylwanii z jednym z nich. – Pomiedzy sobą bracia zawsze używali określenia „oni”. – Nie można prosić o tak wiele. Cóż, baw się dobrze na tej swojej rundce. Ale wpadniesz później, prawda?

– Prawdopodobnie, ale tym razem nie jestem pewien kiedy.

– Kiedy tylko zechcesz, Charles.

Gdy Charlie wrócił do stolika, stwierdził, że towarzystwo chyba nieco się skurczyło albo raczej rozproszyło na wszystkie strony. Tak czy inaczej, drużyna burmistrza właśnie zbierała się do wyjścia. Nigdzie nie było widać faceta, któremu podobała się rzeźba. Jakiś staruszek o białoróżowej cerze – różowej wokół nosa i oczu, białej wszędzie indziej – stał pod ścianą, otwierając i zamykając usta. Wielkie owalne półmiski z niespotykane okropnymi przekąskami w jaskrawozielonym i pomarańczowym kolorze stały niemal nietknięte; i całkiem słusznie, pomyślał Charlie, to się rozumie samo przez się, skoro teraz wszyscy są albo zbyt otyli, albo żywią się wyłącznie otrębami i maślanką.

Sporą popularnością cieszył się natomiast alkohol – do tego stopnia, że zabrakło szkockiej. Zresztą i tak nie miałby jej kto nalać. Charlie usadowił się w rogu baru, gdzie mógł złapać powracającą kelnerkę. Było tam dwóch mężczyzn z pustymi szklankami: jeden po sześćdziesiątce, z drobną twarzyczką, która wydawała się jeszcze drobniejsza z powodu pracowicie, domowym sposobem ponaprawianych okularów, drągi – młodszy, śniady, o melancholijnym, zadumany spojrzeniu, trochę podobny do Gartha, ot, pospolity, niczym szczególnym się nie wyróżniający Walijczyk. Kiedy Charlie się zbliżył, tamci spojrzeli na niego i skinęli głowami dość sztywno, lecz przyjaźnie, jakby go znali, co zresztą było całkiem możliwe – mogli go znać z widzenia albo z racji jego zawodu, z podobnych do tej okoliczności, z klubu lub baru. W takich miejscach miało się na ogół dość dobre rozeznanie, kto jest kim, co po prostu ułatwiało swego rodzaju kontakty, i nic poza tym.

Mężczyźni kontynuowali bez skrępowania rozmowę, nie starając się wcale wykluczyć z niej Charliego.

– Wszędzie jest tak samo – mówił starszy – nie tylko na naszym skromnym podwórku. Widziałeś ten kawałek o jednym głąbie, ambasadorze, który przywiózł do kraju za dużo wina?

– Nie, nie widziałem, musiałem przeoczyć – odparł śniady, zerkając na Charliego, który pokiwał głową na znak, że także to przeoczył.

– Cóż, trudno o lepsze zilustrowanie tego, o czym mówimy. Kiedy się szło na emeryturę, rozumiecie, opuszczało ambasadorską posadę, dostawało się na zasadzie przywileju wolny od cła kontyngent, tak zwaną „piwniczkę”, czyli pozwolenie na wwóz do Anglii pewnej ilości wina. Nigdy nie określono dokładnej liczby butelek, pozostawiając to do własnego uznania, i wszystko było cacy. Dopóki pewnego pięknego dnia nie okazało się, że sir Taki-to-a-taki pozwolił sobie na dziesięć- czy dwudziestokrotnie więcej, niż było przyjęte. Przebrał miarkę i sprawa się ryła. Nazajutrz szlaban, żadnych kontyngentów. Koniec z „piwniczkami”.

– Zaszкодził wszystkim. Co za przerażający egoizm.

– To prawda. Morał możecie sobie dośpiewać. W innych sferach także ukuł się z czasem zwyczaj, że ludziom na określonych stanowiskach przysługują określone przywileje. W pewnym, i to jest tu najistotniejsze, określonym i rozsądnym wymiarze. I wszystko jest cacy, dopóki...

– Dopóki ktoś nie przebierze miarki.

– Dokładnie. Ludzka pazerność. – Starszy mężczyzna zapatrzył się w przestrzeń. – Ludzka pazerność. Ale, cóż – podjął z żartobliwą niecierpliwością – gdzie jest ta cholerna szkocka, o której tak wiele słyszeliśmy?

– Jaki sens siedzieć w aptece, kiedy nie ma nic na chore gardło?

– Nie przesadzajmy, powiedział ogrodnik – rzekł Charlie.

– Zaraz, zaraz, lekarstwo na horyzoncie. W samą porę. Radujmy się nawet najmniejszą łaską. To jak odsiecz pod Mafeking⁷. Wiedziałem, że masz do mnie słabość, kochanie.

Komentowali tak, dopóki szklanki nie zostały znów napełnione.

– Na szczęście – odezwał się starszy – na szczęście obraz nie jest jednolicie czarny. Mam na myśli zwłaszcza jeden jasny punkt. Aneirin Pignatelli. – Śniady zaczął z przymkniętymi oczami kiwać potakująco głową. – Wiecie, oczywiście, o kim mówię?

– Naturalnie – odparł Charlie, również kiwając głową. Był niemal pewny, że kiedyś już słyszał to nazwisko.

– Zakładam, że większość ludzi jest dostatecznie dobrze poinformowana, co mu się przytrafiło.

Charlie dalej kiwał głową.

– Zaprezentował się jako człowiek o najwyższych cnotach. Kiedy wyszedł... – tu mężczyzna zrobił pauzę, która wcale nie była potrzebna – ...nie mógł się dostać do frontowego pokoju z powodu kwiatów.

⁷ Mafeking – miasto w Republice Południowej Afryki, w którym podczas wojny burskiej siły brytyjskie pod wodzą Baden-Powella oblegane były przez siedem miesięcy, zanim nadeszła odsiecz (przyp. tłum.).

W tym momencie Charlie okazał pewne zakłopotanie, całkiem niewielkie, przelotne, niezamierzone. W jednej chwili starszy zwrócił w jego stronę swoją drobną twarz.

– Od wszystkich tych, których za sobą nie pociągnął – wyjaśnił drugi z nutą rozdrażnienia.

Charlie pośpieszył przytakiwać z zapalem, robiąc gest z gatunku jakiz byłem niemądry”, ale było już za późno. Aura porozumienia się rozwiąła. Intruz musiał zwinąć żagle, aczkolwiek nie wcześniej, niż napełnił ponownie szklaneczkę. Odprowadziły go lodowate spojrzenia.

Rozglądając się niepewnie wokół, Charlie ujrzał Aluna i Gwen w odległym końcu głównej sali. Kiedy stanął za plecami Gwen, usłyszał, jak Alun mówi w ten swój nerwowy sposób:

– Staram się obecnie w miarę możliwości unikać wygłaszania wykładów. Czy mógłby to być raczej odczyt?

– Och... hm, chyba tak – odparła Gwen, odwracając się.
– Dam ci znać.

– Ale nie martw się, przyjdę. Charlie, czas na nas, stary.

– Czemu nie idziesz na lunch do burmistrza? – spytał Charlie. – Bo na pewno wydają lunch.

– Tak, wydają, ale ja jestem umówiony z moimi kumplami, prawda? Gdzie się podział Malcolm? Zresztą nawet gdybym nie był umówiony, nie mógłbym znieść jeszcze jednego wystąpienia burmistrza. Dość oficjalności jak na jeden dzień.

– Musisz pamiętać, że to artysta – wtrąciła Gwen.

– A poza tym, co niewątpliwie wydaje się całkiem prawdopodobne, z lunchu nie będzie relacji, a z ceremonii będzie. Do zobaczenia w „Pictonie”, Charlie. Muszę jeszcze przedtem gdzieś wpaść. To jedna z tych spraw, które nie zabierają dużo czasu.

Charliemu, który czekał przy wyjściu, wydawało się, że wyprowadzenie samochodu z piętrowego parkingu mieszczącego się naprzeciwko Tesco zabrało Malcolmowi tyle samo czasu, ile potrzebowałyby Wielka Brytania na wyplątanie się ze Wspólnego Rynku. Wszelako, nie mając specjalnego wyboru, Malcolm pojawił się w końcu i w to stare, dobre, deszczowe walijskie popołudnie ruszyli przez przedmieścia. Minęli ruiny zamku, a zaraz potem ruiny starej huty miedzi. Tu i ówdzie widać było stożkowate, pokryte trawą lub nawet zaroślami i młodymi drzewkami pagórki – zarośnięte hałdy dawno nieczynnych kopalń. Droga wiodła w górę, wzdłuż biegu rzeki Iwerne. Zbocza doliny poczęły się wznosić, a w oddali mgliście zamajaczyły wysokie wzgórza. Potem, gdy wydawało się, że już zaraz powinien być jakiś kawałek wiejskiego krajobrazu, znów pojawiły się ludzkie siedliska, sklepy, biura, knajpki – a wszystko równie ponure i zasmolone jak wówczas, kiedy powietrze gęste było od węglowego pyłu.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Malcolm, skręcając za róg.

– Ale czy na pewno? Nie widzę żadnych...

– O co chodzi? – spytał Charlie, wykręcając szyję, by wyjrzeć na zewnątrz.

– Tutaj, gdzie powinien się znajdować sztyld „Pictona”, jest napisane „Ulice”. Ulice? O co tu chodzi?

– Rozejrzyjmy się.

Malcolm zaparkował przed pomalowanym na liliowo butikiem, w którego pomieszczeniach, Charlie był niemal pewny, mieściła się niegdyś marksistowska księgarnia, tylko że to było trochę zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Wszędzie handlowano sprzętem elektronicznym albo ogromnymi kanapkami z mięsem i pieczonymi w łupinach ziemniakami z serem i cebulą. Niewykluczone, że okrzyk gazeciarza sprzedającego „Evening Post” pochodził z innego świata.

Kiedy osłaniając się przed siąpiącym deszczykiem, przemierzali konieczną do przejścia niewielką odległość, Malcolm powiedział coś do Charliego, a ten po raz drugi w ciągu niespełna dwóch godzin doświadczył wrażenia, że oto zwraca się do niego całkiem niezrozumiale ktoś, kto jeszcze chwilę wcześniej mówił całkiem normalnie.

– Wybacz, Malcolm, muszę chyba dostawać bzika, bo nie rozumiałem ani jednego słowa z tego, co powiedziałaś. Mógłbyś powtórzyć?

– To moja wina – wyznał Malcolm, rumieniąc się mocno.

– Wszedłem w rolę twego przyjaciela, Cassivellaunusa Pugh, pytającego o drogę do „Pictona”. Nie słyszałem go wprawdzie, ale zakładałem, że miał amerykański akcent. Obawiam się jednak, że nie wyszło mi najlepiej.

– Pochodził z Pembrokeshire, no nie? Ten Picton? – spytał Charlie uprzejmie.

– Tak, chyba z okolic obecnego Dyfed.

– Niech diabli porwą tę całą zgraję – powiedział Charlie ze spokojem.

– Kogo? Kogo niech porwą?

– Tych drani z Londynu, którzy pomieszali wszystkie walijskie hrabstwa. Nawet takiemu Walińczykowi jak ja jest to wstrętne. A potem nadali im te gówniane starożytne nazwy.

– Zrobiono to dla wygody. – Malcolm starał się zachować obiektywizm.

– I tu się mylisz. Zrobiono to dla wygódki.

Uciekli przed deszczem do ciemnego, dudniącego echem tunelu czy pasażu, który prowadził do bocznego wejścia – w przeszłości, bywało, pełnego śladów nocnych libacji, teraz schludnego i w miejsce dawnych kocich łbów wybetonowanego. Wewnątrz lokalu mrok rozjaśniało coś, co przypominało staromodne uliczne latarnie – i co faktycznie nimi było. Z przeszklonego sufitu padała poświata, która miała markować światło dzienne. Ściany były imitacją sklepowych witryn, ceglanych bram i ogrodzonego parczku z plastikowymi krzaczkami i białym pawilonem z drewnianą podłogą do tańca. Gdzieś z tyłu rysowała się zwałista bryła Petera Thomasa, siedzącego na ogrodowym krzeselku w biało-zielone pasy tuż obok studni z kamienia i kutego żelaza. Kiedy szli w jego stronę, posadzka z terakoty pod ich stopami ustąpiła miejsca żwirowi.

– Szykowny lokal – powitał ich Peter. – W starych, dobrych czasach tylko bogacze mogli się rozkoszować takimi widokami. Teraz może to robić każdy.

Charlie podszedł do wielobocznego baru na samym środku sali i poprosił o obsługę.

– Zaraz podejdzie! – zawołał głos z zaplecza.

A zatem nie wszystko się tu radykalnie zmieniło.

– Całkiem odmienili to miejsce – powiedział Malcolm, gdy otrzymali już drinki.

– Nawet nie poznasz, gdzie co było – dodał Charlie. – Pamiętasz, gdzie był bar w tej drugiej sali? Gdzie były do niej drzwi?

– Teraz chyba wszędzie się tak dzieje, może z wyjątkiem kilku enklaw zacofania, takich jak „Biblia” – westchnął Malcolm. Spowaźniał i zamyślił się. – Bardzo mocno przypomina mi to miejsce, do którego wybrałem się nie tak dawno temu. Ale gdzie, u diabła, to było?

Peter zaczął ciężko oddychać.

– Wszędzie wszystko się zmienia – powiedział. – Przyjechałem tu autobusem, bez pośpiechu, a po drodze wstąpiłem do „Pendle Inn”, pamiętacie tę starą knajpę? Nie uwierzycie, ale teraz jest cała z metalu. Ściany, podłogi, stoliki, krzesła, bar, wszystko. Goły metal. Matowy, bez połysku. Łącznie z tym urządzeniem do wydawania gotowych, podgrzewanych dań. Łysy metal. Z wyjątkiem jednego czy dwóch ekranów telewizyjnych do wyświetlania wideoklipów. Zgodzę się jednak, że różnica pomiędzy tym tutaj i tamtym nie jest zbyt duża.

Jak na Petera było to długie przemówienie, ale Malcolm miał już gotową odpowiedź.

– Sądzę, że to się podoba młodzieży. Tak samo jak ten wystrój.

Prawdą było, że o ile mrok pozwalał się zorientować, większość obecnych nie przekroczyła trzydziestki. Niektórzy nie przekroczyli nawet lat dziesięciu i biegali po pomieszczeniu, objając się o meble.

Przez twarz Petera przemknął wyraz niewysłowionej odrazy, ale z jego ust nie padł żaden komentarz.

– To wcale nie ma się podobać – odezwał się Charlie. – Nie w tym rzecz. Otóż przychodzi taka chwila, kiedy knajpiarz musi zrobić remont, i oczywiście zżyma się na myśl, że trzeba będzie wyłożyć na to parę milionów, ale jakoś to wytrzyma, jeśli zaciśnie zęby i nie będzie musiał o tym myśleć. Więc zatrudnia renomowanego dekoratora i każe mu się wszystkim zająć. Renomowany dekorator staje się renomowanym dekoratorem dzięki temu, że w szwedzkich czasopismach ukazują się fotografie zakomponowanych przez niego wnętrz, i pozostaje renomowanym dekoratorem dzięki temu, że zdobywa nagrody międzynarodowych komisji z siedzibą w Brasili. Oto cała prawda. A biedny stary...

Głos uwiązał mu w gardle, kiedy Peter, który coraz szybciej przenosił wzrok z niego na Malcolma i z powrotem, dał do zrozumienia, że chce wreszcie coś powiedzieć.

– Gdzie jest Alun? – spytał niecierpliwie. – Myślałem, że ma przyjechać z wami.

– Bo miał – odpowiedział Charlie. – I przyjedzie. Ale trochę później.

Kiedy to mówił, zadzwieczał telefon. Zza baru wyszedł młodzieniec, który nieśpiesznie ruszył w stronę staromodnej, ale w pełni wyposażonej czerwonej budki telefonicznej, ustawionej pośrodku sali na betonowym postumencie.

– Ale był obecny, a nawet aktywny, na tej uroczystości ku czci Brydana – powiedział Peter z niejaką urazą w głosie – na której, jak się dowiaduję od Malcolma, obyło się, niestety, bez większych upokorzeń dla żadnej ze stron.

– Tak, zgadza się, ale później coś mu wypadło.

– Co takiego?

– Nie wiem.

Sposób, w jaki zostało to powiedziane, kazał Peterowi zerknąć na Charliego bacznie, a na Malcolma ostrożnie. Siedzieli w milczeniu pod pomarańczowo-białym plażowym parasolem i przyglądali się dość bezradnie, jak zbliża się do nich ślamazarny młodzieniec.

– Czy któryś z panów nazywa się Cellan-Davies? – zapytał, wymawiając pierwszy człon nazwiska całkiem nietypowo dla Walijszyka.

Charlie miał szczerą nadzieję, że Malcolm nie pośpieszy go poprawiać, i faktycznie nie pośpieszył – odpowiedział, nie zwlekając dłużej niż zwykle, a więc kiedy dotarł do niego sens pytania.

– Pański przyjaciel mówi, że jest już w drodze. – Towarzystwo temu rzuciło głową do tyłu, żeby usunąć wszelkie wątpliwości co do źródła informacji.

Z powodów, których Charlie nie byłby w stanie określić, wiadomość ta żadnego z nich nie ucieszyła, przeciwnie, niemal ich przygnębiła, a już z pewnością odebrała ochotę do rozmowy. Tylko stary dobry Malcolm stanął na wysokości zadania i przedłożył Peterowi sprawozdanie z tego, co wiedział o wydarzeniach u św. Dogmaela oraz garść uwag na temat pana Puga. Charlie bliski był zapadnięcia w błogą drzemkę na swym obciążanym płótnem krześle.

Alun rzeczywiście zjawił się całkiem rychło, żwawo krocząc ku nim po posadzce i po żwirze, robiąc przepaszające miny, rzucając pogardliwe spojrzenia na wystrój i niosąc drinki. Chociaż usta mu się nie zamykały, niewiele miał do opowiedzenia na temat tego, jak spędził ostatnią godzinę. Charlie, pobudzony znów do stanu bliskiego pełnej świadomości, doszedł do wniosku, że spowolnienie reakcji oraz ogólne rozluźnienie ogarniające go przez ostatnie minuty jeszcze bardziej pogłębiły w nim poczucie upojenia alkoholowego. Zaczekał, aż Alun skończy się rozwodzić nad tym, jak to dawno czy też niedawno temu dawali w gaz w tym samym składzie, po czym zwrócił się do niego:

– Moim zdaniem to, co powiedziałeś dziś w przemówieniu, było całkiem do rzeczy.

– Hm, cóż, czasami trzeba...

– Z wyjątkiem tego kawałka, że Brydan, chociaż w rzeczywistości nie rozumiał ani w żąb walijskiego, to mimo wszystko rozumiał.

– Na litość boską, to było tylko...

– Chcę ci to powiedzieć, zanim zapomnę i zanim za dużo wypiję. Kiedy ktoś ci mówi po walijsku: „Ala ma kota”, to nie masz szans zrozumieć, o co mu chodzi, jeśli nie znasz walijskich odpowiedników dla „Ala”, dla „ma” i dla „kot”. Cóż, może jeszcze narysować ci obrazek. W innym razie dociera do ciebie tylko bezsensowny bełkot.

– Cóż, niewątpliwie...

– Rzecz w tym, że to nie jest potrzebne. Ich w zupełności zadowoli, jeśli się powie, że Brydan pisał po angielsku z żarem i z pasją, i w duchu zastrzeżonym jedynie dla prawdziwego czy autentycznego, czy jakiego tam sobie życzyście Walijszyka, co – jeśli w ogóle cokolwiek oznacza – w najlepszym razie jest dość trudne do zdefiniowania. Czymkolwiek by jednak było, należy to traktować jak dyrdymałki, a nie absurd. Trzymajmy się lepiej „durdymałek”, bo to najrozsądniejsze.

– Tylko ilu spośród tam obecnych dostrzegłoby tę różnicę?

– Nie wiem, ale ja bym dostrzegł. I ty też.

Alun westchnął.

– Masz rację, Charlie. Nie pomyślałem. To niedopatrzenie z mojej strony.

– Bądź dobrym chłopcem i pamiętaj o tym następnym razem.

– Hej, Alun! – Malcolm pochylił się nad stołem z bladym uśmiechem. – Czy pańskim zdaniem, panie Weaver, to tutaj jest typowym czy też charakterystycznym walijskim pubem? – Jego amerykański akcent był tym razem całkiem wyraźny, choć mocno nieudolny.

Rozległ się odgłos, który początkowo mógł się wydać dziarskim pierdnięciem, a który okazał się chrupnięciem rozdartego raptownie płóciennego siedzenia krzesła pod Peterem. Na szczęście Peter był zbyt otyły, aby wpaść w metalową ramę, utknął więc w niej, nie uroniwszy wszakże ze swej szklaneczki ani kropli. Zanim on czy ktoś inny zdążył się ruszyć, głośniki huknęły przeraźliwie muzyką rockową.

– Wiejemy! – ryknął Alun. – Do dna i w nogi.

Wychyliwszy swoją szklanę, przytrzymał krzesło Petera, który szarpnięciami i podrzutami ciała wyswobodził się i wstał. Obaj ruszyli za kolegami do wyjścia. Nikt nawet na nich nie spojrział.

– Niewiele brakowało – sapnął Charlie, kiedy stanęli u wylotu tunelu. Deszcz, oczywiście, padał jeszcze mocniej.

– Hm. – Alun rozglądał się na boki. – Teraz lunch. Mam! Hinduskie bistro „Pod Tygrysem Bengalskim”, na miejscu i na wynos. To będzie w sam raz. Albo prawie w sam raz. Zaczekajcie chwilę. Zbadam grunt.

Popędził na drugą stronę ulicy w iście sprinterskim stylu, wcale nie psując efektu trzymaną nad głową gazetą. Trzej pozostali spojrzeli po sobie markotnie.

– Trzeba go pilnować, wiecie?

– Co on nam szykuje?

– Nie jestem pewien. Była jakaś mowa o wycieczce do Courcey.

– Trochę późno jak na coś takiego, nie sądzicie? To kawał drogi, i do tego powrót.

– Nie ma jeszcze pół do pierwszej.

– Czy wyglądam jak należy? – zapytał Malcolm.

– Tak, wyglądasz świetnie – odpowiedzieli. – A co? Nie czujesz się dobrze?

– Nie, czuję się świetnie. Po prostu chciałem wiedzieć, czy wyglądam jak należy. Wyglądałem jak należy.

– Tak, wyglądasz jak należy.

– Chryste, idzie nareszcie.

Alun wracał pośpiesznie, już z daleka sygnalizując fiasko swej misji.

– Kiepska sprawa. Nie ma co tam wchodzić, ale o tym później. Lepiej zabierajmy się stąd. Nie sądzę, aby udało nam się znaleźć w okolicy coś znośnego, więc ruszajmy prosto do Courcey. Tam teraz nie brakuje różnych turystycznych atrakcji. Malcolm, gdzie twój samochód?

– To ty nie masz swojego?

– Przyjechałem taksówką. Będzie większa frajda, jak pojedziemy wszyscy razem.

W samochodzie było tłoczno, ale całkiem miło w ciepłku i półmroku. Charlie ułożył się wygodnie z tyłu, tuż obok cielska Petera. Alun, jako grający pierwsze skrzypce, zajął siedzenie obok kierowcy, ale niebawem odwrócił się do tyłu, żeby kontynuować rozmowę.

– Wiecie, to było koszmarne miejsce. Zupełnie jak nadmorski pensjonat, ze sznurami kolorowych lampek i prostacką muzyczką. Oczywiście całkiem pusto, żadnych oznak, żeby w ogóle ktokolwiek tam bywał. Zaraz zjawiała się całkiem do rzeczy osóbką i na pytanie, co mógłbym zjeść, powiedziała, że mógłbym zjeść coś na ciepło, to znaczy danie wołowe albo jagnięce, a potem sery, albo mógłbym zjeść sałatkę z kurczaka, i pan dostajesz do tego zestaw hinduskich przystawek, jeśli pan sobie życzysz, i marynowane cebulki. A potem sery.

– Tak jak podają w „Chittagong” – zauważył Charlie.

– A czy nie mógłbym zjeść curry? Niestety, przykro mi, do wieczora mamy w karcie tylko angielskie potrawy. A hinduskie? Oni nie są podawani przed szóstą. Biedactwo, mówiła mi to z przykrością. Zwróciłem jej dość uszczypliwie uwagę, że na zewnątrz wisi szyld z napisem: „Kuchnia hindusko-kontynentalna”, a ona przyznała, że tak jest w istocie. A potem... potem zapytałem ją, kto jest właścicielem tej knajpy, i och, jakaż była zakłopotana. I wiecie co? Należy do Arabów!

Rozległ się chóralny okrzyk gniewu i obrzydzenia, dodatkowo wzmocniony wstrząsem samochodu, który podskoczył na wybrzuszeniu jezdni.

– Chodzi o to, że, mój Boże – ciągnął Alun z całą powagą – kiedy Arabowie są właścicielami linii lotniczych, Arabowie są właścicielami połowy Londynu, można to sobie w jakiś sposób... Ale Arabowie jako właściciele bistra „Pod Tygrysem Bengalskim” w jakiejś zapadłej dziurze na skraju rozpadającego się i butwiejącego niegdysiejszego centrum przemysłowego i wydobywczego na zapomnianej przez Boga i ludzi prowincji, to przyprawia o... sam już nie wiem o co. O poty. Albo coś w tym guście.

– To wina nie tylko prowincji – wtrącił Malcolm. – Może nawet nie przede wszystkim prowincji.

– Nikt tak nie twierdzi, chłopie, nikt tak nie twierdzi.

Zapadła cisza. Malcolm prowadził może odrobinę szybciej niż miał w zwyczaju, niemniej jednak bezpiecznie. Charlie zdrzemnął się na chwilę. Kiedy się ocknął, usłyszał, jak Alun podśpiewuje pod nosem:

*Czy to mała Nelly, której brzydki zapach
Wprowił wszystkich w przygnębienia stan?
Och, nie, to nie mała Nelly...*

Gdyby ktoś miał okazję porównać tę produkcję z poprzednią, wykonaną tuż za drzwiami domu Sophie, z łatwością by zauważył spadek, ubytek werwy i pewności siebie. Charlie ledwie chwycił sens tych słów. Zanosilo się na to, że będzie to jeden z jego dobrych dni. Deszcz przestał już padać – a może po prostu zbliżając się do wybrzeża, uciekli spod chmury – i powietrze rozświetlało zażawione słońeczko. Minęli drogowskaz na Courcey. Wokół panowała cisza i spokój.

Zanim ludzie w ogóle zaczęli sobie zawracać głowę takimi sprawami, uważano powszechnie, że wyspa Courcey wzięła swoją nazwę od normandzkiego rodu de Courcy, panów na pobliskich włościach Locharne. Różni utytułowani eksperci wywodzili natomiast ową nazwę od zniekształconego słowa *carsey*, będącego zbitkiem walijskiego *cors* – „bagno, moczary”, i staroangielskiego *ey* – „wyspa”, albo, być może, od eponimu Kori z częstką *ey*, bądź też od angielskiego słowa *causeway* lub *causey*⁸, lub *cawsai* czy *cawsi*, czyli analogicznego zapożyczenia z walijskiego. I jak to z wszelkimi ekspertami bywa, nie udało im się uzgodnić wspólnego stanowiska, choć pozostawało bezspornym faktem, że rzeczywiście była tam grobla, przebudowana w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, po której odbywał się ruch kołowy na odcinku mniej więcej tysiąca jardów pomiędzy stałym lądem a wyspą, po pięknej szerokiej drodze. Do 1965 roku była ona dwa razy węższa. Później zamknięto na Courcey trzy kolejowe stacje pasażerskie i towarowe i zaanektowano pod jezdnię pojedyncze torowisko.

⁸ *Causeway* (ang.) – szosa na grobli, grobla, podwyższona ścieżka wzdłuż drogi; *causey* (fr. przestarzały) – j.w. (przyp. tłum.).

Charlie miał niegdyś nieco wiedzy na ten temat, a niewątpliwie jeszcze więcej pamiętał Malcolm. Z jakąż przyjemnością podzieliliby się tymi informacjami z kimś takim jak pan Pugh, i jakże szczęśliwie się dla wszystkich złożyło, że nie miał ku temu okazji. Dla wszystkich, może z wyjątkiem Petera, śpiącego teraz smacznie i wydającego od czasu do czasu pomruki przywodzące na myśl gburowate wyrazy zdumienia.

Gdy znaleźli się już na wyspie i minęli Holmwood, sławny gaj pradawnych dębów, pomawiany niegdyś, całkiem zresztą błędnie, o związku z druidyzmem, Malcolm skręcił w lewo. Wschodnia część Courcey uchodziła zawsze za walijską połowę wyspy, co znajdowało odbicie w nazwach miejscowości, ale, choć nieliczne, były wśród nich także zangielszczone, jak chociażby Treville, dokąd się udawali. Zachodnia część wyspy była angielska lub w większości angielska od czasów, gdy około 1160 roku Henryk II wysłał tam osadników. Był tam dawny port Birdarthur oraz wszystkie niemal plaże, latem rojące się od turystów. Wzdłuż tej, przy której jechali, ciągnął się ciemny pas urwisk wiszących nad wąskim skrawkiem usianego otoczakami lądu bądź opadających wprost do morza. Miejscami wznosiły się one do paruset metrów, a najwyższe z nich nie odbiegało wiele wysokością od najwyższego punktu wyspy. Za ogólnym przyzwoleniem Malcolm zatrzymał samochód, a pasażerowie poczęli wywlekać się na zewnątrz, tak dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, jak i dla zrobienia siusiu.

Charliemu pierwszy haust przyniósł jakąś woń – soli, wrzосу, kory sosnowej – która uleciała, nim zdołał nadać jej nazwę. Wysiusiał się do trawiastego rowu nie opodal drogi. Wokół panowała ogromna cisza, a w każdym razie tak właśnie pomyślał, kiedy za jego plecami zahuczał mały szkarłatny samolocik, lecący w stronę plaży w Swanset. Wgramolił się po wilgotnej, porośniętej kępami traw pochyłości na niewielkie wzniesienie, oznaczone dość starym, pseudoceltyckim, usianym cętkami porostów krzyżem oraz nieco nowszą kamienną tablicą.

Chociaż wiedział od razu, gdzie się kierować, nie mógł sobie przypomnieć żadnej z poprzednich wizyt w tym miejscu. Całkiem zapomniał, że stoki wzniesienia z każdej strony łagodnie opadają, tak że ponad kępą szkockich świerków rozciąga się widok na stały ląd, a patrząc w przeciwnym kierunku, można w miejscu, gdzie znajdują się krainy Devon i Kornwalia, dostrzec nieregularne pasmo mgły, która teraz przysłaniała samą wyspę. Właściwie z jednej tylko strony rozciągał się swobodny widok na wijącą się dolinę, a wyżej – na płataninę krzewów i niskich drzew, pasmo siwej skały i zalane słońcem, rozległe połacie darni, tak gęstej i zielonej, że przywodziła na myśl sukno na stole bilardowym. Urzekł go ów widok. Kiedyś wydawało mu się, że takie pejzaże muszą mieć w sobie coś więcej, niż udawało mu się dostrzec – może nie tyle one same, ile to, co się za nimi lub poza nimi kryło, a stanowiło w jakimś sensie ich nierozzerwalną część. Większość wierszy zdawała się to potwierdzać. Jednak mimo że czujnie wyglądał owego czegoś niewidzialnego, nigdy nawet przelotnie nie objawiło mu się nic, co odpowiadałoby tym wyobrażeniom czy przeczuciom. Wszelako ilekroć zdarzyło mu się przechadzać poza miastem albo przeczytać jeden z takich wierszy, zawsze czuł się poruszony, nawet jeszcze dzisiaj. Odwrócił się i zaczął schodzić po zboczu.

– Pośpiesz się, na litość boską – zawołał Alun lekko poirytowanym tonem. – Nie mamy przecież całej nocy.

– Rzeczywiście, nie mamy – odrzekł Charlie, jako ostatni wsiadając do samochodu. Zgodnie z jego oczekiwaniami świeże powietrze rozjaśniło mu w głowie. – Posłuchaj, musiałem być w jakimś amoku czy otępieniu, kiedy się zgodziłem, żebyś nas tutaj przywiózł. Niczego nie znajdziesz w Treville, tam wszystko jest pozamykane na głucho.

– Puby będą otwarte.

– I jeśli dopisze nam szczęście, okażą się równie miłe jak ten, z którego właśnie uciekamy.

– Tak czy inaczej, ruszajmy w drogę. Nie, nie sądzę, żeby przerobiono je w nowomodnym stylu. To nie jest tego typu miejsce.

– O czym ty mówisz? – spytał Charlie, kiedy samochód ruszył. – Wszędzie teraz jest nowomodnie, chyba że panuje głód.

– Ja wiem, do czego on zmierza – włączył się Peter. – On chce powiedzieć, że tam jest bardziej autentycznie. Po walijsku, niech Bóg ma nas w swej opiece.

– Stosowniej dla tych jego seriali telewizyjnych. Kurczę, chyba masz rację.

– To dokąd mam jechać? – spytał Malcolm.

– Za jakieś pół mili będziemy mieli ostatnią okazję, aby zjechać na zachodnią stronę. To na pewno lepsze rozwiązanie.

– I spodziewasz się zastać tam coś czynnego o tej porze roku? – W głosie Aluna wyczuwało się urazę i niechęć, jakby spotkała go niewdzięczność.

– Nie wiem, to ty jesteś tu odkrywcą – odparł Charlie.

– Hej, zaraz wam powiem, co zrobimy – zawołał Alun z nagłym ożywieniem, które wskrzesiłoby w Charliem podejrzenia, gdyby wcześniej zdążyły wygasnąć. – Moglibyśmy wpaść do starego Billy’ego Mogera, który mieszka niedaleko stąd. On będzie wiedział, na co możemy liczyć.

– Nie widziałem go od stu lat. Gdy się wyprowadził, zniknął z widoku, i to całkiem skutecznie. Jesteś pewny, że jeszcze tam mieszka?

– Cóż, mieszkał tam jeszcze w zeszłym tygodniu, kiedy do niego dzwoniłem.

– Naprawdę? – Charliemu zamajaczyła w pamięci jakaś związana z Mogerem kobieta, nie żona, a jeśli żona, to druga, ale bardziej prawdopodobne, że stara przyjaciółka, która również miała w dawnych czasach coś wspólnego z Alunem. – Miło to słyszeć.

– Przeglądałem stary notes z adresami.

– Rozumiem. – Laura jakaś tam, tak się nazywała.

– Mam skrócić w prawo czy nie? – spytał Malcolm.

Charlie spodziewał się widoku przedmieść Treville, lecz przebywszy niespełna kilkaset jardów, samochód zatrzymał się przed stojącym tuż przy drodze parterowym domkiem. Ktoś, kto zaprojektował i zatwierdził pierwotną konstrukcję tego domu – według pomysłu z jakiejś cudacznej książki dla dzieci – raczej nie należał do ludzi tego samego pokroju co Billy Moger. Przypuszczalnie Billy albo ktoś taki jak on wyrwał z futryn staromodne wypaczone okna oraz drzwi frontowe i wstawił w ich miejsce wyroby ze stali i drewna sosnowego, a na dachu umieścił rozsądne kominy zamiast frymuśnych rurek i kołpaków, które zdobiły go wcześniej.

– Paskudne miejsce sobie wybrał – zauważył Charlie, kiedy Alun poszedł zadzwonić do drzwi.

– Kto to jest ten Moger? – spytał Peter.

– Przez całe lata miał sklep sportowy na Cambridge Street, zaraz koło monopolowego. Całkiem poręcznie, no nie? Przyjemny gość. Przed wojną grał trochę w drużynie z Glamorgan. Na pewno go pamiętasz.

– Po wojnie też – dodał Malcolm. – Lewoskrzydłowy. Zawsze zbierał piłki autowe.

– Zgadza się, ale już nas wołają – rzekł Charlie. – Nie trwało to zbyt długo.

Ukradkowe zerknięcie na ogród obok domu ukazało mu otoczoną murem przestrzeń przypominającą wybieg jakiegoś małego ssaka w zoo, łącznie z suchym korytem sztucznego strumyka. Nie było tam jednak żadnych zwierząt, niewiele też było roślin. W progu powitał go silny, lecz nie natrętny zapach perfum, bardziej leśny i orzeźwiający niż słodki. Laura, którą teraz bez trudu rozpoznał, drobna i szczupła kobieta w ciasno dopasowanej, czarnej aksamitnej sukience, z upiętymi wysoko jasnymi włosami i całkiem nieprzeciętną ilością biżuterii wokół szyi i nadgarstków, zgotowała im niezwykle serdeczne powitanie. Alun wziął na siebie obowiązek prezentacji.

Podobnie jak wielu mieszkańców Walii, i nie tylko Walii, Charlie znacznie częściej miał do czynienia z domami i pomieszczeniami paskudnymi niż atrakcyjnymi lub chociażby znośnymi. Nie był więc zbytnio ciekaw szczegółów, gdy przygotowany na najgorsze po tym, co ujrzał na zewnątrz, natknął się na wnętrze bynajmniej nie odpychające dla jego wprawnego oka, chociaż inni na jego miejscu dostrzeżliby pewnie dobrze zaopatrzone barek zajmujący jeden kąt salonu. Zauważył natomiast kwiaty, mnóstwo kwiatów w całym domu: były różnorodne, świeże i prawdę mówiąc, cholernie śliczne, i jak mu podpowiadało innego rodzaju znawstwo, w takiej masie raczej dość kosztowne. Ależ tak, pamięć podsunęła mu teraz, że swego czasu Billy radził sobie w interesach całkiem dobrze – nawet zbyt dobrze jak na kogoś chorobliwie praworządnego – zaopatrując w sprzęt sportowy miejscowe szkoły oraz inne placówki edukacyjne, nie wyłączając więzienia. Tak, w ten sposób rozkręcił interes.

Ale gdzie Billy jest teraz? Laura wróciła po chwili i oznajmiła, że Billy niebawem do nich dołączy. Charliemu umknął moment jej wyjścia, bo skupiony był na barku, przy którym na jej prośbę Alun zaczął już nalewać drinki. Stojący z boku Peter rozejrzał się wkoło z – jak się Charliemu wydawało – wyczekująco krytycznym nastawieniem. Gotów wyłapać każdy przejaw wulgaryzmu, afektacji czy tandety, pomarudził podejrzliwie przy jakiejś akwareli, po czym rozczarowany ruszył niechętnie w głąb pokoju. Malcolm, najwyraźniej zadowolony z tego, co ujrzał, albo raczej z tego, co do niego dotarło, świetnie się bawił. Nadal dobrze się prezentował, choć typowa dla jego zachowania powaga i stateczność zaczynały zdradzać oznaki rozluźnienia, podobnie jak węzeł jego krawata.

Alun przystąpił do wyłuszczenia rzekomego celu ich wizyty, ale gdy tylko wspomniał o posiłku w Treville czy innym podobnym miejscu, Laura oznajmiła, że nie chce o tym słyszeć. Jej oczy miały iskry, kiedy mu przerwała, by położyć kres tym ryzykownym i bezsensownym pomysłom.

– Nie ma co do tego dwóch zdań – oznajmiła stanowczo, niepokojąco głębokim, nieco ochryplym głosem. – W życiu nie słyszałam podobnych bzdur. Dzięki Bogu, że się wygadaliście, to wszystko, co mam do powiedzenia.

– Mieliśmy na myśli jedynie przekąskę – tłumaczył Malcolm.

– Przekąskę – powtórzyła, zamykając w ten sposób sprawę. – Spójrzmy na to od strony praktycznej. Biorąc pod uwagę czas i kłopotliwość, odpowiedź jest oczywista: kanapki dla czterech osób to żadna fatyga, prawda? – Prawda, rzekł Charlie w duchu, a z jego pamięci wyłonił się następny fragment informacji: Laura Makins, bufet z zimnymi przekąskami w „Trzech Piórach” w Kinver Hill. – Żadna fatyga, panowie. Nalej jeszcze jedną kolejkę, Alun, a ja zajmę się resztą.

– Nie możemy ci na to pozwolić – zaproponował Malcolm, szukając wzrokiem oparcia u kolegów.

– Tylko mi nie mówcie, co możecie, a czego nie możecie mi zrobić, chłopcy. – Po raz pierwszy dorzuciła do swych oświadczeń szczyptę dowcipu. – Nieczęsto mam okazję popisać się moimi talentami. W robieniu kanapek, oczywiście – dodała, łobuzersko kiwając zaobrączkowanym palcem. – A, tutaj jesteśmy, kochanie, chodź do nas.

Drobny siwowłosy staruszek sunął wolno, ale pewnie w ich stronę, uśmiechając się i przesuając wzrokiem po ich twarzach. Ubrany był w jedwabny szlafrok w kolorze ciemnego burgunda w małe białe kropeczki, na szyi miał podobną apaszkę, maskującą zaczerwienioną opuchliznę po jednej stronie. Alun i Laura przedstawili mu pozostałych, a on ścisnął dłonie i odpowiadał cieniutkim głosem. Laura podała mu szklaneczkę mocno rozwodnionej whisky, którą zaczęła przygotowywać, gdy się pojawił. Uniósł szklanekę i ponownie rozejrzał się po obecnych.

– Widzicie, jeszcze nie mam tego za sobą – powiedział.

– Co sądzisz o szansach Anglii w zawodach kręglarskich w tym sezonie? – spytał Malcolm. – Nie są chyba w najlepszej formie, prawda?

Billy zachichotał, zamrugnął i przytaknął.

– Zrobiłem z niej uczciwą kobietę.

– Najwyższy czas – dodała Laura.

– Tak, pomyślałem sobie, że to najwyższy czas.

Laura pomogła mu usiąść w niskim skórzanym fotelu z drewnianymi poręczami, obciągniętym pokrowcem z tajlandzkiego jedwabiu w czerwone, zielone i płowożółte kwadraty. W pobliżu ustawiony był okrągły stół, na którym leżało pudełko chusteczek higienicznych, pudełko miętówek, srebrny ołówek oraz misa żonkili o krótko przyciętych łodyżkach. Goście kręcili się po pokoju.

Laura powiedziała wyraźnie, ale nie głośno:

– Alun wrócił właśnie w te strony na stałe. Mówił mi, że zauważył mnóstwo zmian.

Alun opisał niektóre z tych zmian, z pomocą Charliego i Malcolma. Robił pauzy na ewentualne uwagi Billy’ego, lecz ten ograniczył się do monosylab, chociaż, o ile można to było ocenić, nadążał za tokiem rozmowy. Po upływie paru minut Laura zabrała wszystkich do kuchni. Posadziła Billy’ego u szczytu długiego wyszorowanego stołu, a po jego lewej i prawej stronie – Aluna i Malcolma. Alunowi przydzielono zadanie otwarcia i nalania wina. Szybko i zręcznie Laura przyrządziła kanapki – z serem i cebulą, z ozorem i korniszonami – dla wszystkich prócz Billy’ego, który z apetytem zjadł pieczoną fasolę oraz kilka lekkostrawnych herbatników i wypił jeszcze jedną cieniutką whisky. Kanapki okazały się dość smaczne, co wzbudziło w Charliem zawodowy szacunek i skłoniło go nawet do zjedzenia dwóch z nich. Wkrótce wszystkie zniknęły z talerza. Laura zaproponowała kawę, ale zaraz sama się z tego wycofała.

– Nie macie wiele czasu, jeśli chcecie się napić w Treville.

– Do diabła z Treville! – zawołał Alun. – Z rozkoszą napijemy się kawy, prawda, chłopaki?

– Nie teraz, mój drogi. Niektórzy z nas są trochę zmęczeni.

– O. No tak.

Pożegnali się z Billym w kuchni. Kiedy przyszła kolej na Charliego, uderzyła go myśl, że ani razu nie dostrzegł w tym mężczyźnie tamtego Billy’ego Mogera, którego znał kiedyś. Laura odprowadziła ich do samochodu.

– Niech wam Bóg błogosławi za tę wizytę – powiedziała.

– Mam nadzieję, że szok nie był zbyt wielki.

– Ależ na litość boską! – wykrzyknął Alun.

– Nie, naprawdę wam dziękuję, to było strasznie miłe z waszej strony. Teraz przez wiele dni będzie dużo weselszy. Będzie to wspominał setki razy. Cóż, i ja razem z nim. Moglibyście... hm, gdybyście spotkali któregoś z jego starych kolegów, moglibyście mu powiedzieć, że nie jest aż tak źle, rozumiecie. Myślę, że wielu z nich trzyma się z daleka, bo się obawia, że jest gorzej niż w rzeczywistości. Powodzenia w Treville. Muszę powiedzieć, że na waszym miejscu nie liczyłabym tam na zbyt wiele.

Na mocy milczącego porozumienia nie odzywali się, dopóki nie osiągnęli punktu, skąd nawet najbardziej nadprzyrodzone siły ani najwymyślniejsze technologie nie pozwoliłyby Laurze usłyszeć ich słów.

– A zatem mam rozumieć, że nie wiedziałeś, w co się pakujemy – zaczął Charlie.

– Mniej więcej. – Alun znowu odwrócił się twarzą do tyłu, chociaż tym razem nieco mniej ochoczo i beztrąsko niż poprzednio. – Przecież to jasne. Gdybym wiedział, nie byłoby mnie stać na udawanie, że nie wiedziałem. Nie, ona powiedziała mi po prostu, żebyśmy wpadli, gdy będziemy przejazdem. Ze miło im będzie nas zobaczyć.

– I co odpowiedziałeś?

– Powiedziałem, że może dzisiaj wybierzemy się na wycieczkę w te strony i że jeśli nam się uda, wpadniemy na drinka. Nie przypuszczałem, że będzie nas oczekiwała.

– Zastanawiałem się nad tym – włączył się Malcolm. – Mogła przecież mieć akurat w domu wszystkie te rzeczy: ozór, ser, cebulę. Nie chcę przez to powiedzieć, że mi nie smakowało ani odmawiać jej gościnności.

– Wszystko, z wyjątkiem chleba – stwierdził Charlie. – Dwa wielkie bochenki. Kupiła je tak na wszelki wypadek. To godne pochwały, przyznaję. I całkiem możliwe, że na co dzień chodzi po domu taka wyfiokowana.

– Biedaczysko – westchnął Peter.

– Tak, nie zaszkodzi i jemu poświęcić choć chwilę zadumy.

– Rzeczywiście, ale miałem na myśli jego żonę. Ile razy musiała sobie powtarzać, że oczywiście nikt się nie zjawi. I jaka musiała się czuć zawiedziona, kiedy rzeczywiście nikt się nie zjawiał. Na pół godzinki z całych dwudziestu czterech godzin, raz na Bóg wie jak długo. Tak, posprzątała trochę w domu na naszą cześć. To znaczy, na wypadek gdybyśmy jednak mieli wpaść. Nie śmiać mu powiedzieć, czemu to robi. Ale żadne robione naprędce porządki nie załatwiłyby tego, co widzieliśmy. To całe lata pracy, każdego dnia.

– Czy dobrze się czujesz, Peter? – spytał Charlie.

– Zamknij się, Charlie – zgasił go Alun.

– Przepraszam. Hm, wiele można by chyba o niej powiedzieć. O Billym zaś niewiele.

Nikt nie zamierzał się z tym spierać.

– Jedyne pocieszenie – ciągnął Charlie – że nie było z nami Gartha i nie miał nam kto powiedzieć, co w takiej sytuacji jest najodpowiedniejsze.

Udało mu się tym wywołać całkiem gromki śmiech. Inne spostrzeżenia zatrzymał dla siebie, jak na przykład to, że Laura dobrze wiedziała, co robi, nie mówiąc Alunowi przez telefon, w jakim stanie jest jej mąż. Przyszło mu też do głowy, że jeśli Alun uknuł to wszystko i z góry o wszystkim wiedział, nie mógł zapewnić sobie lepszej sytuacji: miał sposobność nie tylko zbadać grunt, ale również zbić przy okazji ogromny kapitał dobrej woli i wypracować poczucie obowiązku powrotu na scenę. Cholerna *carte blanche* po zerowych kosztach. Billy na pewno sam nalega, żebyś od czasu do czasu wzięła sobie wolne popołudnie, skarbie. Tam do czarta!

Gdy zbliżali się do opłotków Treville, na drodze pojawiło się parę pojazdów. Zjeżdżając z ostatniej przed wioską niewielkiej pochyłości, dostrzegli wypłowiały napis: „WOLNA WALIA”, nabazgrany wapnem do bielienia na ceglanym murze. Wzbudziło to zaprawioną ironią wesołość.

– Czyżby to było... – zaczął Malcolm, okropnie naśladowując amerykański akcent, lecz Alun go uciszył.

– Przymknij się, stary nudziarzu. Co się z tobą dzieje? Raz zaledwie rzuciłeś okiem na tego pajaca i teraz wszystko ci go przypomina. Przestań o nim myśleć.

– Pamiętaj, co się stało, kiedy go ostatnio przywołałeś – dodał Charlie.

– Usuń pana Cadwalladera Figo-fago Pugha ze swej pamięci.

– Hej, przyszło mi do głowy coś, co mógłbym mu powiedzieć w związku z tym sloganem. „Pokaż mi walijskiego nacjonalistę, a ja ci pokażę cipę”.

– Wcale by ci za to nie podziękował – zauważył Alun rzeczowo.

– Właśnie o to chodzi, ty głupcze.

– O Boże, to ten drink. Spowolnił mi procesy myślowe.

– A już na pewno spowolnił moje – dorzucił Malcolm, ściskając ze wszystkich sił kierownicę. – Wybaczcie.

– I moje też, dzięki Bogu – dodał Peter.

Pomimo wszystko, co zostało powiedziane, tak teraz, jak i przedtem, w miarę jak zbliżali się do celu, rosło w nich napięcie. Minęli zabudowania dworca kolejowego i niektóre spośród jedenastu wyeksploatowanych już kopalń, dotarli do wybrzeża i jechali dalej. Jeszcze do niedawna wylawiano tu sercaki i jadalne wodorosty. W samej wiosce rzucały się w oczy zardzewiałe blaszane dachy i proszące się o farbę fasady sklepów. Pierwsza knajpa, do jakiej weszli, wyposażona była w dwa razy mniejszy od standardowego stół bilardowy i telewizor ze ściszoną głośnością, w którym szedł program dla dzieci. Było tam tylko dwoje ludzi: barmanka i jej chłopak, który mówiąc do niej, podjadał orzeszki ziemne z pojemnika z nieprawdopodobnym napisem „Peanut Colonel”⁹. Naturalnym odruchem było wycofać się natychmiast, ale Charlie zauważył, że nie ma żadnych gwarancji, iż dostaną coś do picia gdzie indziej. Żaden z nich nie był pewny obowiązujących tu godzin otwarcia lokali z wyszynkiem.

⁹ *Colonel* (ang.) – pułkownik; homofon słowa *kernel* (ang.) – jądro orzecha, ziarno (przyp. tłum.).

Dwadzieścia lat wcześniej Charlie wytrzymał cały dzień, od wstania z łóżka do udania się na spoczynek, bez kropli alkoholu. Właściwie to omal nie pozostał wtedy w łóżku przez cały dzień: wierzył wówczas święcie, i powiedziała by to każdemu, kto by go spytał, że śmierć zagięła na niego parol. W takim stanie ducha poszedł mimo wszystko na rozgrywany w Cardiff popołudniowy mecz Walia-Francja i nie dał się zdeptać tłumowi kibiców. Tego samego wieczora wydawali z Sophie, wówczas dopiero co poślubioną, przyjęcie, którego już nie można było odwołać. Ze szklanką soku pomarańczowego w dłoni Charlie przyglądał się zafascynowany, jak jego koledzy – ze zdumiewającą szybkością i totalnie – jeden po drugim osuwali się w stan upojenia alkoholowego, jak ich twarze rozmazywały się coraz bardziej pomiędzy kolejnymi łykami. Teraz, kiedy wychylali swoje drinki nie opodal połyskliwego jednorękiego „bandyty”, zauważył, że coś takiego dzieje się z Malcolmem, że jego oczy wybałuszają się do wtóru czegoś, co zachodzi w jego wnętrzu. Z trudem złapał równowagę.

W czasie dwuminutowego marszu do innej knajpy na nabrzeżu, którą Alun wcześniej wyśledził, Charlie trzymał się blisko Malcolma. Był odpływ i od strony słonych błot, ku którym zmierzali, dolatywał silny, niezbyt przyjemny zapach. Nikt nie miał pojęcia, co można by na to poradzić, podobnie jak na deszczyk, który znowu zaczął padać. O ile mogli się zorientować, w okolicy zaparkowano jedynie trzy lub cztery samochody, niewiele jak na zamieszkaną część Królestwa. Jakiś mężczyzna w średnim wieku otworzył frontowe drzwi i zniknął za nimi; był to, jeśli nie liczyć całkiem świeżutkich śmieci na ziemi, jedyny przejaw życia, i to w porze, zdawałoby się, największej aktywności. Panowała tu taka sama cisza jak tam, na wzgórzu.

– Co oni tu porabiają? – zastanawiał się głośno Malcolm, gdy przechodzili przez ulicę, na której absolutnie nic się nie poruszało, nawet gnany wiatrem papier. – To znaczy, czym się zajmują?

– Nie mam pojęcia. Może wyrabiają lemoniadę. Albo dezodoranty.

– Niektórzy na pewno dojeżdżają do miasta.

– Nie mam pojęcia.

– Zwróć uwagę, że stopa bezrobocia jest tu równie wysoka, jak wszędzie indziej w całej Wielkiej Brytanii, łącznie z Merseyside i regionami w północno-wschodniej Anglii.

– Uhm.

– Wiesz, Charlie, to okropna rzecz. Naprawdę... potworna rzecz. No bo wyobraź sobie, że tkwisz w takiej dziurze, gdzie nic się nie dzieje, bez żadnych perspektyw, bez przyszłości. Sam zresztą widzisz. Żadnych... żadnych perspektyw.

– Aha.

– Chciałbym wiedzieć, Charlie, tak z czystej ciekawości, czy Maggie Thatcher kiedykolwiek tu zajrzała.

– Wydaje mi się, że nie, jeśli ma choć odrobinę oleju w głowie. A już na pewno nie, odkąd zamknęła tu pierwszą kopalnię, chyba w 1910 to było.

Gawędząc tak, dotarli do drzwi gospody „Ship”, które, sądząc z wyglądu, równie dobrze mogłyby prowadzić do sali wykładowej albo siedziby jakichś lokalnych władz. Po wejściu do środka nie miało się już takiego wrażenia: był to zwyczajny staromodny, prowincjonalny pub, z elektrycznymi organami, z okrągłymi stolikami o powgniatanych miedzianych blatach, z trzywarstwowymi kanapkami oraz paskudnie zaprojektowanymi i wykonanymi lokalnymi ogłoszeniami. I z wielką ciżbą ludzi. To tutaj się wszyscy podziiali.

Na widok czterech przybyszów gwar osłabł nieco – niektóre głowy odwróciły się w stronę drzwi. Zdawało się to dość naturalne w odniesieniu do grupki wyraźnie obcych ludzi w nietypowych ubraniach (marynarki i krawaty), spośród których część – czyli Peter i być może Charlie – skądinąd zasługiwało na uważniejsze zlustrowanie. Zanim jednak nowo przybyli dotarli do odleglejszego i mniej zatłoczonego końca sali, a Charlie począł do szynkwasu, poziom natężenia gwaru wrócił do normy.

– Dla mnie nic – oświadczył Malcolm.

– Wypij coś bezalkoholowego.

– Nie, chyba tylko sobie usiądę. Rozumiecie.

Osunął się na pokryty luźnym pomarańczowym pokrowcem fotel, który wyglądał, jakby go wyciągnięto prosto z saloniku jakiejś miejscowej ciotki – miejsca pochodzenia większości elementów umeblowania w tej części sali, nie wyłączając abażurów. Już po chwili wyglądał, jakby zapadł w drzemkę. Trzej pozostali bez słów pokiwali głowami.

– To miło – rzekł Alun. – Nie ma mowy, żeby nadal prowadził.

– On nie z tych, którzy by się upierali – zauważył Charlie.

– Nie, ale dobrze by było załatwić to w kulturalny sposób.

Odczekawszy niecierpliwie nieco dłużej, niżby nakazywały zasady równości społecznej, Charlie dostał wreszcie zamówione drinki. Przyniósł je jeden z facetów zza baru, ten, któremu loki opadały do ramion po obu stronach łysej pały. Gość, skompletowawszy niespiesznie napitki, w stosownym czasie podał je bez kurtuazji.

– No, na razie mamy się nieźle – sapnął Charlie. – Może więcej wody? Hm, a jak tam Gwen?

– O Chryste – jęknął Alun, a potem tonem zmienionym na tyle, na ile to było możliwe, powtórzył: – O Chryste. – Wpatrywał się w Charliego nienawistnym spojrzeniem. – Ty głąbie.

– Uspokój się, stary draniu, wszystko pozostaje w rodzinie, nie będzie przecieków. W każdym razie nie z mojej czy Petera strony. Między innymi dlatego właśnie wspominam o tym teraz, kiedy jestem jeszcze absolutnie trzeźwy, żeby cię całkiem poważnie ostrzec: nie dopuść, broń Boże, do tego, aby w Malcolmie zrodziło się najmniejsze choćby podejrzenie. On jest...

– Wielkie nieba, za kogo ty mnie masz?

Błąkający się wokół ust Aluna uśmiech może i nie zirytowałby Charliego, gdyby nie to, że sam miał ochotę się uśmiechnąć.

– Nie próbuj mnie zbyć. Posłuchaj: żadnych szelmowskich żarcików albo uszczypliwości, żadnego podpuszczania czy smakowitych aluzji, których twoim zdaniem pewnie by nie chwycił, rozumiesz? On nie jest tak... jak by to powiedzieć? Nie jest tak odporny jak niektórzy.

Alun nie okazał szczególnego zakłopotania, mimo że można się go było w takiej sytuacji spodziewać.

– Nie, oczywiście, bez obawy. Ale po pierwsze, to był jej pomysł, nie mój. Zahaczyła mnie w „Prince of Wales”. Miałem nadzieję, że się nie zorientujesz, ale niestety...

– Jednak posunąłeś się dalej. Tak, tak, widziałem. No, i jak było?

Mówiąc to, zerknął na Petera, z nadzieją, że ujrzy ciekawość, trochę jakby chciał z tego zrobić sprawę wagi państwowej, tamten jednak błędził roztargnionym spojrzeniem. Żadnego cholernego pożytku.

– O Chryste – westchnął znów Alun. – To było... Po prostu rwałem do domu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Kiedyś była z niej zabawna kobitka, ale teraz, cóż, nieco oklapła. Czy tyle wystarczy?

– W zupełności, dzięki. W jakim stanie ducha ją zostawiłeś?

– Trochę przygaszoną.

– Uhm. Myślę, że się ożywi, kiedy ujrzy Malcolma, tego starego poczciwego drania. Wiesz co, Alun, dobrze by nam wszystkim zrobiło, gdybyś przyjął wreszcie do wiadomości, że cię rozszyfrowaliśmy. Przejrzeliśmy cię, stary.

– Jeśli chodzi ci o Laurę...

– Nie, wcale nie chodzi mi o Laurę. Diakonat wystawił ci certyfikat zdrowia moralnego. To więcej, niż zasługujesz. Ogólnie rzecz biorąc. Czy mógłbyś nieco skoncentrować swoje zainteresowania? Trochę je zawęzić?

– To wszystko przez te cholerne pokusy. Ich amplituda rośnie z każdym rokiem. Mało prawdopodobne, aby odsetek kobiet w przedziale wiekowym od pokwitania do moich lat, z uwzględnieniem obu skrajności, jakoś znacząco się zwiększył.

– Niższa skrajność chyba cię zbyt nie niepokoi. Tę wielbicielkę z „Glendower” odprawiałś bez problemu. Przynajmniej o ile zdołałem się zorientować. A była całkiem... cóż, pamiętam czasy, kiedy sam mógłbym nieźle dać się jej we znaki.

– Niższa skrajność jest w znacznej mierze czysto hipotetyczna. To trochę jak niewidzialny stożek, który teoretycznie wyrasta w górę ze szczytu zwykłego, prawdziwego, bogobojnego stożka. Tyle że w tym wypadku wszystko to odbywa się w odwrotnym kierunku. A podchodząc do tego z praktycznego punktu widzenia... tym młodym brak elementarnej, wzbudzającej poczucie bezpieczeństwa nutki wdzięczności, jakiej można się doszukać u starszych. Z oparciem się tamtej pokusie nie ma problemu.

Charlie wpatrywał się zdumionym wzrokiem w swą pustą szklanę.

– Chryste, co to się porobiło? Bo z tego, co wcześniej mówiłeś, nie wywnioskowałem, żeby Gwen była jakoś szczególnie wdzięczna. Ty będziesz chyba trzymał buzię na kłódkę, ale jest jeszcze ona. Hę?

– Tak, wiem.

To prawda, że Peter był niekiedy niekomunikatywny, nawet nieobecny myślami, ale kiedy przychodziło mu krzyknąć, nigdy nie robił tego nieśmiało. Zajmował teraz przy szynkwasię miejsce Charliego i bawił się pięciokątnym kawałkiem plastyku, w którym zatopionych było pięć jednofuntowych monet, ot, dziecinna zabawka za dziecinne pieniądze. Nagle jego uwagę przykuło coś pomiędzy brudnymi szklankami a puszką na datki dla chorych na zanik mięśni, pochylił się więc, aby lepiej się przyjrzeć, gmerając jednocześnie po kieszeniach w poszukiwaniu okularów. Chwilę później wydał z siebie coś w rodzaju warczącego ryku, na tyle głośnego, że kilka głów odwróciło się w jego stronę.

– Coś takiego! – zawołał wcale nie ciszej. – Popiół *yn*g cholerne *Nghymru*. *Diolch am...* Czy to jakiś dom wariatów, czy...

– Mniejsza z tym, i tak nikt tego nie rozumie – uspokajał go Charlie.

– Nie wystarczy im już, że nie pozwalają mi palić. Mają jeszcze czelność robić to po walijsku! To może człowieka doprowadzić...

Machnął ręką, prawdopodobnie jedynie w pogardliwym oburzeniu, jednak koniuszkami palców zawadził o kartonik i strącił go na podłogę. Zanim zdążył sobie uświadomić, że oznacza to dla niego konieczność schylenia się do samej ziemi, do akcji wkroczył mężczyzna o dziwacznej fryzurze.

– Niech pan to łaskawie podniesie. – Mówił wcale nie po walijsku, tylko typową, monotonną, środkowopółnocną angielszczyzną.

Peter wpadł w popłoch, na górnej wardze wystąpił mu pot, nie poruszył się jednak, i dopiero Alun, który najwyraźniej uznał siebie za jedyne w tym towarzystwie zdolnego do wykonania skłonu, podniósł kartonik i postawił go na kontuarze.

– Jeśli chce pan palić, będzie się pan musiał przenieść na drugi koniec sali.

– Wcale, do cholery, nie chcę palić – odparł Peter. – Nie w tym rzecz. Ja tylko...

– I proszę powściągnąć język, jeśli łaska. – Barman posłał im taksujące spojrzenie. – Walijszczyki – mruknął w końcu, po czym się odwrócił.

Jak się później okazało, ten drobny incydent wcale nie obudził Malcolma, ale wówczas tak właśnie to wyglądało – w każdym razie jego powrót na scenę był bardziej spektakularny niżli wcześniejsze wycofanie się. Tym razem nie można go było zapewnić, że wygląda świetnie, chociaż najgorzej też się nie prezentował. Z mówieniem również wszystko było w porządku, przynajmniej jeśli szło o samą wymowę. Dziesięciominutowa drzemka nie mogła go jednak znacząco zregenerować, i Charlie od razu rozpoznał objawy rzekomego „poranka”, jako że sam miał z tego rodzaju porankami spore doświadczenie.

Mimo to Malcolm włączył się do rozmowy całkiem poprawnie: był poruszony, to prawda, ale w dość kontrolowany sposób.

– Przypomniało mi się wreszcie. Już wiem, z czym mi się skojarzyło to okropne miejsce w Harriston, no, to z barierkami i latarniami ulicznymi. Wiedziałem, że z czymś mi się kojarzy, ale nie pamiętałem z czym. Tak, chodziło o pewien pub w Chester, do którego poszliśmy, będąc w zeszłym roku w odwiedzinach u syna. Bardzo podobny. W tym samym guście.

Na reszcie towarzystwa zrobiło to zaledwie umiarkowane wrażenie.

– Nie rozumiecie? Chodzi mi o to, że knajpa w Harriston wyglądała zupełnie tak samo jak angielska knajpa. Właśnie to wszędzie robią. Wszystko, co nowe, wygląda tutaj tak samo jak nowe w Anglii, nieważne, czy to uniwersytet, czy restauracja, supermarket, czy to, co w nim kupujesz. Albo to miejsce, gdzie teraz siedzimy. Czy jest tu coś, co wskazywałoby na to, że jesteśmy w Walii? W końcu znaleźli sposób, aby zniszczyć nasz kraj – nie biedą, lecz bogactwem. Nie obchodzi mnie zbytnio schyłek i rozpad, mieliśmy z tym do czynienia już wcześniej i jakoś udawało nam się wyjść cało. Nie, tym, co budzi moją odrazę, są przyprawiające o mdłości owoce obfitości. To nie gruzy oplakuję, lecz nikczemny plon, jaki się z tych gruzów rodzi. Zapowiada to koniec...

Kiedy zrobił pauzę, bardziej dla złapania równowagi niż oddechu, wtrącił się Charlie:

– Siadaj tu z nami i wypij szklaneczkę ziółek.

– Może jestem pijany, ale to wszystko, co mówię, jest bardzo ważne.

– Nie ma sensu wałkować tego tematu – rzekł Peter.

– Tak, oczywiście, nie ma. Tobie to wcale nie będzie przeszkadzało, kiedy wszystko zniknie, a nam zostanie jedynie język, którym się już nikt nie posługuje, i Brydan, i parę chórów, a Walia będzie zaledwie miejscem na mapie i niczym więcej. Wtedy wszystko będzie w porządku, no nie?

– Nie – zaproponował Peter.

– A więc...

– Gdybym to ja przemawiał w takim duchu – zauważył cierpko Alun – powiedzielibyście, że pieprzę głodne kawałki.

– I tak by w istocie było – odparł Peter. – Nie jesteś Malcolmem.

– W górę serca.

Później Malcolm powiedział, że wydawało mu się, iż parę osób się z niego śmiało. I zważywszy dalszą chwilową przemianę jego charakteru, zachowywał się tak, jakby faktycznie coś takiego dostrzegł.

– Możecie się śmiać, jeśli chcecie – zaczął znów tonem nie znoszącym sprzeciwu, choć nie zwracał się do nikogo konkretnego. – Bo to całkiem śmieszny widok: Walińczyk podniecający się tematem Walii. Głupi stary nudziarz, rozgorączkowany tym, że Walia idzie na dno. Oczywiście, szczególnie to śmieszne dla Anglików. Głupi, stary, walijski nudziarz. Ale już za chwilę będą się śmiać baranim głosem. Bo teraz przyjdzie kolej na nich. Prawdę mówiąc to już...

Zdażył powiedzieć tylko tyle – a więc niezbyt wiele i rzeczy niezbyt obraźliwe, a już na pewno nie zaczepne, a jednak wystarczyło. Charlie zorientował się, że w ogóle coś się dzieje, dopiero gdy rzecz miała się ku końcowi. Kilku mężczyzn otoczyło Malcolma ciasnym kręgiem. Rozległy się podniesione głosy, a później hałas szamotaniny. Malcolm przetoczył się po drewnianym stole. Na podłogę spadły szklanki. Barman, który wcześniej zrugął Petera, z trzaskiem podniósł ruchomy blat szynkwasu i ruszył ku nim, wysuwając do przodu raz jeden bark, raz drugi.

– Wyoście się stąd! – ryknął. – Wy też. No, dalej, wszyscy czterej. Wynocha, zanim zawołam policję.

Charlie dotarł już do Malcolma i stwierdził, że tamten ma rozbity nos, a twarz, ręce i marynarkę umazane krwią.

– Pozwoli pan, że pomogę mu się ogarnąć, co? – powiedział do barmana.

– Dobrze, ale zaraz potem jazda stąd. Tamci dwaj niech się wynoszą od razu. Ciebie, grubasie, także to dotyczy.

W męskiej ubikacji nie było ręczników, tylko suszarka do rąk. Charlie zrobił co mógł, posługując się chusteczkami do nosa, swoją i Malcolma. Krwawienie już prawie ustało.

– Nie powiedziałem przecież niczego okropnego, prawda? – spytał Malcolm.

– Ja w każdym razie nie słyszałem.

– O co więc poszło?

– To byli dość grubiańscy panowie, którzy uznali, że nieładnie zachowujemy się na ich terenie. – Charlie zrezygnował z wygłoszenia satyry na temat demoralizujących skutków bezrobocia oraz niedostatku obiektów rekreacyjnych. – Dla nas było jasne, że nie masz nic złego na myśli, ale dla nich nie.

– To trochę nie w porządku, żeby nas tak wyrzucać. Przecież to oni zaczęli, miejscowi.

– Może to i prawda.

– Rozumiem, oczywiście, że nie było sensu tak mówić. Wiesz, Charlie, ja chyba jestem trochę wstawiony. Gdybym nie był, odebrałbym to jeszcze boleśniej. Nie, dzięki, poradzę sobie.

– Aleśmy sobie urządzili rundkę po knajpach.

– Przepraszam.

– Nie twoja wina. Przypuszczam jednak, że Alun nie stracił czasu. Przynajmniej po części.

W drodze do wyjścia musieli przejść przez całą długość baru.

- Jak tylko weszliśmy, wiedziałem już, co to za ludzie.
- Sądząc po ich wieku; można by się spodziewać, że potrafią zachowywać się właściwie.

ROZDZIAŁ IV

Peter

Rytuał wstawania, któremu hołdował Peter, był wprawdzie raniej wyczerpujący niż rytuał Charliego czy Malcolma, ale nie mniej sztywny. Dawno przestał już być tym, przez co należy jak najszybciej przebrnąć, żeby zająć się nareszcie czymś ciekawym, i stał się najważniejszym wydarzeniem dnia, tym bardziej że Peter żył właściwie samotnie i musiał borykać się z tym wszystkim sam. To właśnie okazywało się najbardziej wyczerpujące. Działaniem wyciskającym z niego siódme poty było samo przywdziewanie ubrania – z biegiem lat coraz bardziej skomplikowane – a czynność początkowa, czyli wkładanie skarpetek, odznaczała się wyjątkowym stopniem trudności. Kiedyś poprzedzało ją włożenie majtek, ale zauważył, że ubierając się w tej kolejności, niszczy je paznokciami u nóg.

Paznokcie u nóg same w sobie stały się również utrapieniem. Rozrywały majtki, bo były ostre i poszczerbione, a zrobiły się takie, bo urosły zbyt długie i nierówne, a pozwalał im tak rosnąć, bo obcinanie ich przestało być prostą sprawą. Nie mógł tego robić w domu, bo nie sposób było uniknąć odprysków i Muriel musiałaby prędzej czy później natknąć się na nie, na przykład bosą stopą, a do tego, oczywiście, nie wolno było dopuścić. Po kilku zakończonych upadkiem próbach ze stołkiem turystycznym w garażu zdecydował się na ławeczkę w ogrodzie, pod rozłożystą wisienką. To ograniczyło jego poczynania do cieplejszych miesięcy, bo akrobacje w płaszczu, ze względu na sporą liczbę koniecznych skłonów, były raczej wykluczone. Przynajmniej jednak mógł sobie pozwolić na bagatelizowanie obcinanych kawałków paznokci, toteż fruwały na wszystkie strony, zwłaszcza te od paluchów, na tyle duże i śmigłe, że mogłyby utracić wróbelka w locie, chociaż nigdy nic takiego się nie zdarzyło.

Skarpetki zakładał w łazience, a pomocny okazał się tu niski stolik. Pięta na blat, skarpetka na palce, palce na blat, skarpetka na piętę i wyżej. Całkiem niedawno trafił wreszcie na typ skarpetek, jakich mu było trzeba: krótkie i bez gumek. Odpowiadały jego opuchniętym kostkom, nie tyle dlatego, że kostki mniej puchły, lecz dlatego, że skarpety nie uciskały nóg, dzięki czemu, rozbierając się wieczorem, wyglądał nieco mniej odrażająco i odstraszająco. Majtki zakładał w sypialni – pięta i palce jak przy skarpetkach, tyle że na podłodze, potem odrobina talku na pachwiny, później spodnie, i tak przez jakieś dwa poranki z rzędu. Mniej więcej trzeciego ranka okazywało się, że spodnie umazane są czekoladą, śmietaną, dżemem albo też ich kombinacją – w rezultacie wieczornego podjadania – i że trzeba wrócić do łazienki, a w szczególności do tamtejszego lustra, żeby móc zapiąć szelki na przodzie świeżej pary spodni, bo nie trzeba chyba wspominać, że rejonny te od wielu już lat znajdowały się poza zasięgiem bezpośredniego oglądu Petera.

W pozostałej części jego zwyczajów dotyczących ubierania się nie było nic niezwykłego, wyjąwszy może jeszcze stosowanie długiej łyżki do butów, dość rzadkiego i cennego urządzenia. Kiedyś zdarzyło mu się gdzieś je zawieruszyć na cały bolesny tydzień, zmuszony więc był zapęłnić tę lukę najlepiej jak potrafił za pomocą posrebrzanej chochli z kuchni Muriel, dokąd, oczywiście, musiała być każdorazowo odkładana. Od lat nosił wciąż te same, bezkształtne już, nie wymagające zawiązywania trzewiki, i miał nadzieję, że prędzej umrze lub zostanie przykuty chorobą do łóżka, nim się rozpadną, zmuszając go do udania się do jednego z tych samoobsługowych sklepów obuwniczych, poza którymi nie było już w tych czasach żadnych innych.

Nieco mniej skomplikowany był rytuał mycia i golenia. Pianę nakładał na policzki dwoma pacnięciami, pociągnięcia brzytwą były pewne i szybkie, a co do szczoteczki do zębów, to jej zadanie ograniczało się do rozprowadzenia pasty po dziąsłach. Mimo to jednak pewna porcja pochylania się, napinania i wyciągania ramion była nie do uniknięcia i zanim doprowadził się do gotowości stawienia jak co dzień czoła światu, był zasapany i zlany potem, zwłaszcza na głowie. Próbował kiedyś ograniczyć ten niepożądany efekt, tylko częściowo wycierając się po kąpieli, lecz po ciągnących się tygodniami przeziębieniach zrozumiał wreszcie ich przyczynę i zarzucił te praktyki. Zszedł na dół, niosąc w ręce bezrękawnik, który miał zamiar ostrożnie wciągnąć przez głowę, kiedy już trochę ochłonie.

Gdzie jest Muriel? Tego ranka, podobnie jak w niektóre inne, należało to ustalić na samym początku. Nie w jej sypialni: drzwi były otwarte, a poza tym był z niej ranny ptaszek. Nie w samochodzie: usłyszałyby to. W ogrodzie? Całkiem możliwe, bo nie padało – jak często powtarzała, ta jedna trzecia akra wymaga sporych nakładów pracy, gdy do pomocy ma się tylko pana Mayhew, który kiedyś pracował w fabryce metalowych pudełek, a teraz przychodził we wtorki i czwartki, aby wykonać cięższe prace. W chwilach takich jak ta Peter przypominał sobie dość krótki okres, kiedy to sam zaofiarował się służyć od czasu do czasu pomocą, i za każdym razem zlecano mu przeniesienie donic objętości jakichś pięciuset galonów z jednego końca ogrodu na drugi. Wyglądało to tak, jakby Muriel bardziej wolała uskarżać się na to, że nikt jej nie pomaga, niż żeby ktoś jej faktycznie pomagał. No cóż, niektórych ludzi nie sposób zrozumieć.

Tak, była tam, klęczała przy odległym żywopłocie i przygotowywała miejsce pod jakieś nowe rośliny, a może już je sadziła. Z okien jadalni nie można było tego dostrzec, zresztą niewiele go to obchodziło – nie przepadał za ogrodami od czasów, kiedy kazano mu się w nich bawić inaczej niż wyrywając rośliny. Było to jedno z jego najwcześniejszych wspomnień (musiał mieć wówczas około czterech lat), a ogród jego rodziców był znacznie mniejszy niż ten, ale lekcja została zapamiętana i wyciągnął z niej wnioski. W ogrodach, jak zauważył już dawno temu, w gruncie rzeczy rozgrywa się walka o władzę – poczynając od onieśmiania cię wspaniałością (i naigrawania się z twojej lichości), a skończywszy na wytykaniu ci opieszałości, małoduszności, barbarzyństwa etc. Domy nie były pod tym względem lepsze, choć nieco bardziej powściągliwe, jako że musiało w nich przecież mieszkać mnóstwo ludzi.

O jego własnym domu można było powiedzieć dużo, dużo więcej. Obecnie mieszkało w nim zaledwie dwoje ludzi, nigdy nie nocowało tu więcej niż pół tuzina osób naraz, a na przyjęcia przychodziło najwyżej ze dwadzieścia, choć niemal dla nich wszystkich znalazłoby się w razie potrzeby łóżko, nie mówiąc już o paruset miejscach do siedzenia. W jadalni, na przykład, wspomniana dwudziestka miałaby dość miejsca na wspólne śniadanie, podczas gdy znacznie większa rzesza mogłaby czekać na swą kolej na ustawionych pod ścianami krzesłach. Ściany obwieszane były obrazkami, z których każdy wydawał się Peterowi absolutnie straszny: albo nie przedstawiał niczego rzeczywistego, albo wcale nie przypominał tego, co rzekomo miał przedstawiać. Z biegiem lat przywykł do nich na tyle, na ile to było możliwe, chociaż ciągle przybywały nowe. Muriel odbywała co jakiś czas podróż do Londynu i następnego dnia po jej powrocie w miejsce dwóch facetów z fioletowej modeliny pojawiała się kompozycja złożona z falujących linii i kleksów. Mógł się też pojawić jakiś nowy dywanik albo stoliczek. Peter nie mógł nic na to poradzić, ponieważ – jak wielu się domyślało, a prawie tyluż samo wiedziało – to Muriel miała pieniądze, a więc dom i wszystko, co się w nim znajdowało, należało do niej. Zastanawiał się czasem, czy byłoby inaczej, gdyby rzecz miała się dokładnie odwrotnie.

Jego śniadanie czekało na tacy na brzegu stołu, przygotowane i postawione tam przez panią Havard, która przychodziła codziennie rano w dni powszednie. Jak zawsze składało się z połówki grejpfruta, płatków, grzanki oraz kawy w termosie. Peter zabrał się do oporządzania grejpfruta za pomocą nożyka z piłką, oddzielając cząstki i klnąc, gdy natrafiał na oporną. Wydłubanie ich przed spożyciem także nie było łatwym zadaniem: niektóre mocno trzymały się przegródek, mimo że z pozoru zostały już odcięte, inne dawały się wyjąć tylko do połowy, bo nadal łączyło je z owocem jakieś włókienko. W takich przypadkach chwycił za wydobywaną cząstkę, a resztę grejpfruta wprawiał w wirowanie, dopóki więź nie pękła i owoc nie spadł na talerzyk albo w jego pobliże. Jakże różniło się to od tych niekłopotliwych, ustępliwych porcyjek z przeszłości, które zawsze zawierały doskonałe geometrycznie cząstki. Teraz złośliwcy stawiają opór, mrucał pod nosem. Zresztą tak samo jak wszystko inne.

Walka z grejpfrutem, choć kłopotliwa, nie była wszakże zacięta i wkrótce po jej zakończeniu Peter poczuł, że utracił już dość ciepła, aby przywdziać bezrękawnik, który czekał przewieszony przez oparcie sąsiedniego krzesła. Sięgając poń, chybił jednak i wdzianko ześlizgnęło się skwapliwie na podłogę. W tej samej chwili spostrzegł za oknem jakiś ruch i ujrzał Muriel zmierzającą w stronę domu. Pośpiesznie wychylił się z krzesła, ale nie udało mu się dosięgnąć celu, wstał więc, przykucnął, złapał bezrękawnik, włożył, usiadł i wziął trzy głębokie wdechy. Wtedy ból, znany ból, chwycił go z lewej strony klatki piersiowej.

Postaraj się zmierzyć czas ich trwania, poradził mu Dewi, tonem sugerującym po trosze, iż jest to sposób na zapewnienie sobie czegoś do roboty równie dobry jak każdy inny. Peter odsłonił zegarek na przegubie i utkwiał w nim wzrok, z nadzieją, że Muriel nie wejdzie teraz do pokoju. Zwykle tego nie robiła, bo w końcu podawano mu tutaj śniadanie właśnie po to, żeby w takim czy innym sensie nie wchodził jej w drogę, czasami jednak przychodziła, a jeśli już to czyniła, to wcale nie po to, żeby go rozweselić i podnieść na duchu. Opisując Dewiemu naturę bólu, wspominał o wrazeniu chwytania i ściskania i odczuł wielką ulgę, gdy Dewi określił to jako objawy typowe. Dewi powiedział też, że jeśli stan się pogorszy, rozważy, czy nie przepisać jakichś pigułek, dodając, że uśmierzą one wprawdzie ból, lecz w najmniejszym nawet stopniu nie polepszą sytuacji.

Parę lat wcześniej, kiedy zaczęły się te bóle, czy raczej ich serie, Dewi spytał go o ewentualne źródła stresów. Stresy? Tak, no wiesz, napięcia, niepokoje, zdenerwowanie. Odpowiedział wówczas, że Muriel nie jest osobą najłatwiejszą we współżyciu, a Dewiemu nie udało się ukryć uśmiechu, bo oczywiście w oczach świata to on, Peter, był tym trudnym. Cóż, możliwe, że był trudny, zgoda, ale, na Boga, na pewno nie w taki egzaltowany sposób jak Muriel. Zaś co do niepokoju, to i owszem. Odpowiedniejszym słowem był tu lęk, zwykły lęk przed jej językiem, lęk, którego w żaden sposób nie umiałby wytłumaczyć. Zwłaszcza ten największy: że któregoś dnia Muriel spełni powtarzaną co jakiś czas groźbę i sprzeda dom, który bezsprzecznie zapisany był na jej nazwisko, po czym wróci do Yorkshire, do swego rodzinnego miasta, a jemu pozostanie znaleźć sobie jakieś skromne mieszkanie w Emanuel albo gdzie indziej. Zdawał sobie sprawę, że ten strach niewiele ma wspólnego z poczuciem godności, ale i na to nie było lekarstwa.

Po upływie czterech minut i dwunastu sekund ból ustąpił. Peter wiedział, jeszcze zanim otworzył dziennik, że tendencja spadkowa, jaka zaznaczyła się od Bożego Narodzenia, wciąż się utrzymuje, jeśli to w ogóle miało jakieś znaczenie. Lepiej jednak zadzwonić później do Dewiego, pomyślał, starając się odpędzić inne myśli. Najlepiej jutro.

Zabrał się do płatków, które zgodnie z jego życzeniem nie należały do najprzedniejszych, a zatem ubogie były w takie składniki, jak naturalny błonnik. W holu rozległ się dzwonek telefonu, a potem dał się słyszeć głos Muriel – z tej odległości raczej niezrozumiały bełkot. Po chwili umilkł, po czym rozległy się jej ciężkie kroki zmierzające ku drzwiom, które tuż przed nimi ucichły. Peter wziął kilka następnych głębokich wdechów. Jak dotąd nie przyznał się jej do bólu w piersiach ani do diagnozy Dewiego, bo po pierwsze wątpił, aby ta wiadomość zrobiła na niej jakieś wrażenie, a poza tym... Następnej myśli wołał nie rozwijać.

Kiedy jednak najwyraźniej zmieniła po raz drugi zdanie i weszła do pokoju, Peter niemal się uśmiechnął. Widząc ją, trudno było uwierzyć, że ta niewysoka, żwawa istota z ostrzyżonymi na pazia włosami i (w tym momencie) w zielonych plastikowych ochraniaczach na kolanach mogłaby w kimkolwiek wzbudzić strach, no, może jedynie strach przed łagodną nudą. Chociaż widzieli się dzisiaj po raz pierwszy, nie podeszła do niego, nie mówiąc już o pocałowaniu go. Nie dotknęli się od niemal dziesięciu lat.

– William – oznajmiła, mając na myśli ich syna jedynaka, który bez szczególnych starań z ich strony przyszedł na świat w 1955 roku.

– Aha... dobrze. – Peter chwycił się poręczy krzesła.

– Nie, nie, nie przeszkadzaj sobie – zawołała, unosząc dłoń. – Rozłączyłam się. Chciał tylko dać znać, że będzie tu w okolicy na lunchu i być może wpadnie po drodze, jeśli tymczasem nie rozpęta się ulewa.

– O, to świetnie. Ale dzisiaj przecież nie sobota. Ani niedziela. Jakim cudem...

– Ma wolny dzień. – Agencje obrotu nieruchomościami pracują przez cały tydzień, ale pracownicy mogą brać sobie wolne. Co ważne jest o tyle, że wzmiankowany William Thomas jest pracownikiem agencji obrotu nieruchomościami.

Peter bez słowa skinął głową. Na chwilę stracił wątek, a ona natychmiast to wykorzystwała.

– Przypuszczam, że ludziom, którzy nie są nigdzie zatrudnieni, łatwo przychodzi zapomnieć, że inni miewają wolne dni – stwierdziła tak, jakby doznała olśnienia. – Domyślam się, że później poniesie cię do „Biblii”?

– Tak, myślę, że tak, ale będę...

– Ja też tak myślę. On, mam na myśli Williama, zapowiedział się na pierwszą, więc jeśli zamierzasz wtoczyć się tu pijany około trzeciej, nie naoglądasz się go zbyt długo.

– Dobrze, w porządku.

– Zastanawiałam się, czy mógłbyś wstąpić po drodze do tego sklepu ogrodniczego niedaleko Hatchery Road i przywieźć mi trochę roślin. Wszystko jest już zamówione i gotowe do zabrania. Miałbyś coś przeciwko temu?

– Nie, to prosta sprawa.

– Bo gdybyś miał coś przeciwko, to powiedz. – Muriel przyglądała mu się z powagą.

– Nie, nie mam nic przeciwko temu. To żaden problem.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem, najwyraźniej zadowolona, rozbłysła uśmiechem (w tym sensie, że pojawił się on i zniknął błyskawicznie) i wyszła, człapiąc.

Peter powoli wypuścił z płuc powietrze. No, poszło nie najgorzej, jego uśmiech całkiem się opłacił. Wszystko zależy od tego, jak Muriel czuje się w danej chwili, tłumaczył sobie. Nie jest znowu taka zła.

Skończył śniadanie i przeszedł do salonu, który pani Havard zdążyła tymczasem posprzątać i opuścić. Jak zwykle w dowód swej skrupulatności poprzestawiała wszystko, co można było przestawić: od pudełek zapalek po kanapy. Przywróciwszy – również jak zwykle – wszystkim przedmiotom ich dawne miejsca, Peter usadowił się wygodnie z czasopismem technicznym w ręku i spędził jakiś czas na udawaniu, że poszerza swoje zawodowe horyzonty w dziedzinie inżynierii chemicznej, aż wreszcie nadeszła pora udania się do „Biblii”.

Przyjmuje się, że większość z tych, którym małżeństwo ułożyło się, powiedzmy, nie całkiem dobrze, raczej wie, jak do tego doszło i dlaczego, nie ma natomiast bliższego pojęcia, kiedy. Według własnej opinii Peter stanowił w tym względzie wyjątek. Gdyby go zapytać, umiałby podać co najmniej miesiąc i rok, w którym pewnej nocy on i Muriel kochali się po raz ostatni i kiedy – według jego oceny, z grubsza biorąc, w połowie akcji – ona zapytała go, jak długo jeszcze zamierza to robić. Wstał wtedy z łóżka, pozbierał rzeczy, ubrał się w łazience, wsiadł w samochód i pojechał do Morrisów. Przesiedział z Charliem prawie całą noc nad butelką szkockiej, słuchając zapewnień, że wcale nie jest egoistycznym draniem i że nie powinien obarczać siebie winą za to, że Muriel tego nie lubi albo że jest oziębła. Chyba jednak nie zdołał przyswoić sobie tych argumentów, w każdym razie nie do końca. Ani wtedy, ani później.

Tak czy inaczej, od tamtej nocy stosunki między Thomasami nigdy już nie były takie jak przedtem. I nieścisłością byłoby tu mówić o zanikaniu ich intymnych kontaktów, tak pod względem częstotliwości, jak i czasu trwania. Po paru latach Peterowi zaświtało w głowie, że bez względu na to, jak bardzo Muriel tego nie lubiła czy jak głęboko była obojętna, oczekiwała od niego, że nadal będzie zachowywał się tak, jakby tego pragnął – a właściwie nie tyle tego, ile jej samej. Nastąpiło dalsze pogorszenie stosunków, potem sporadyczne potyczki słowne, i tak to się zaczęło: osobne pokoje, żadnych uścisków, żadnych czułości. Nawet miłość doskonała, zwykł sobie powtarzać, bywa odrzucona z powodu strachu. Pewne, choć niewielkie, ukojenie płynęło ze spostrzeżenia, iż nawet w jej najbarwniejszych docinkach nigdy nie było żadnych aluzji seksualnych, na przykład wspomniania o kochankach czy podawania w wątpliwość jego ojcostwa, co było wielkim i jakże znaczącym niedopatrzaniem z jej strony.

Peter odtwarzał sobie w pamięci niektóre takie chwile, wracając z „Biblii” przez niewielki lasek. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Częściowa przyczyna statystycznie wcześniejszych w porównaniu z umieralnością kobiet zgonów mężczyzn – niewykluczone zresztą, że całkiem znacząca – może leżeć w praktykowanym przez żony własnoręcznym doprowadzaniu mężów do choroby wieńcowej poprzez ustawiczne wywoływanie w nich niepokoju i złości. Trzeba o tym wspomnieć Dewiemu. Ale teraz mniejsza o Dewiego. Na razie skupił się na zakończonym właśnie spotkaniu w „Biblii”: stary Tudor Whittingham, stary Owen Thomas, stary Vaughan Mowbray i stary Arnold Spurling, nie mówiąc już o starym Garcie Pumphreyu, który zachowywał się tak, jakby przewodniczył komitetowi ekspertów od sztucznych szczęk, przedstawiając, choć wcale go nie pytano, pełne sprawozdanie z wydarzeń poprzedzających ostateczne zamontowanie jego własnego najnowszego garnituru. Na to wspomnienie Peter poczuł łaskotanie w ustach i złapał się dłonią za policzek. Nie było natomiast Charliego, Aluna i Malcolma. Zły znak, jeśli idzie o tego ostatniego.

Eleganckie audi Williama stało zaparkowane tak, aby nie blokować wjazdu do garażu. Była pierwsza dwadzieścia trzy, w sam raz, aby jedynie otrzeć się o spóźnienie, pozwoliwszy jednocześnie matce i synowi na tych kilka minut we dwoje. Zastał ich stojących przy oknie w salonie, patrzących na ogród i rozmawiających o czymś, co nazywali mierzwą – a raczej mówiła o tym Muriel. Ciągnęła ten temat jeszcze przez krótką chwilę po tym, jak Peter do nich dołączył. Nie odsunęła się też od syna ani o cal, tak że jakiegokolwiek uściski pomiędzy Peterem a Williamem nie wchodziły w grę. William nadrabiał tymczasem gestami i przyjaznymi grymasami.

W końcu Peter dotknął ramienia syna.

– Cześć, Willie, mój chłopcze. Jak leci?

– Kochanie, musisz się czegoś napić – zwróciła się do Williama Muriel. – Na co masz ochotę?

– Cześć, tato, dzięki, świetnie. Jest piwo?

– Pewnie. A tobie, kochanie, co podać?

– Och... eee... cokolwiek. Dla mnie cokolwiek, wszystko jedno.

– Ale przecież możesz wybrać. Gin z tonikiem? Wódka?

– Czy jest wytrawna sherry?

– Obawiam się, że nie. – Peter sam nigdy nie pił wytrawnej sherry i nie pamiętał, kiedy Muriel o nią pytała.

– Cóż, nic nie szkodzi.

– Nie ma o czym mówić – rzekł Peter najswawolniej jak tylko potrafił. – Dla chcącego nic trudnego. Co powiedziałaabyś na kropelkę...

– Może jest otwarte jakieś wino?

– Nie, ale zaraz mogę...

– Och, nie, nie trzeba.

– Ależ, mam, wypij kieliszek wina – wtrącił się William.

– Jeśli zamierzasz przybierać taki ton – odparła Muriel – nie pozostaje mi nic innego, jak ulec z gracją.

Oczywiście, kiedy Peter wrócił z drinkami do salonu, już ich tam nie było – wyszli do ogrodu. Zdążyliby wyjść i wrócić z pół tuzina razy, podczas gdy on zajęty był szukaniem czegoś, czym udałoby się otworzyć nową skrzynkę muscadeta, a potem wnoszeniem jej na górę. Kiedy do nich dołączył, spacerowali ramię w ramię wzdłuż trawnika, z Williamem po wewnętrznej stronie – gdyby więc chciał znaleźć się obok niego, musiałby albo odciągnąć ich o dobry jard w prawo, albo stąpać po grządkach. Żadne z tych rozwiązań nie wydawało się w tych okolicznościach godne zastosowania, wobec tego zajął miejsce u boku Muriel. Doszedłszy do końca ścieżki, nie zawrócili, lecz obrócili się na piętach, a zatem pozostali w tym samym ustawieniu względem siebie aż do powrotu do domu. Podczas lunchu było tak samo: Muriel na rogu stołu, William obok niej, a Peter na końcu, po przekątnej. Siedzieli tak, gdy zadzwonił telefon i Peter poszedł go odebrać.

Na jego mruknięcie w słuchawce odezwał się kobiecy głos:

– Czy to ty, Peter?

Omal nie upuścił słuchawki. Zabrakło mu tchu.

– Pan Peter Thomas?

– Tak. To ja.

– Peter, mówi Rhiannon. Dzwonię tylko, żeby zapytać, czy przyjdziecie dziś wieczorem na przyjęcie, które wydajemy w Klubie Golfowym. Należałeś kiedyś do stałych bywalców. Wysłałam wam zaproszenie.

– W pierwszej chwili nie zaskoczyłem. Przepraszam.

– Przyjdźcie, proszę. To nasza parapetówka, tylko że dom nie jest jeszcze całkiem gotowy, zdecydowaliśmy się więc na przyjęcie w klubie. Czekamy od szóstej trzydzieści. Bardzo byśmy się ucieszyli, gdybyś przyszedł z Muriel.

– Obawiam się, że nie będziemy mogli. Przykro mi.

– Naprawdę nie możecie?

Chciał skłamać, ale nie potrafił. Nie potrafił też powiedzieć, co czuje.

– Po prostu nie sędzę, aby to był dobry pomysł.

– Posłuchaj, Peter. Nie możesz, mój drogi, w nieskończoność trzymać się z dala ode mnie. To niewiarygodne, że do tej pory jeszcze się na siebie nie natknęliśmy. Pomyśl tylko, czy nie lepiej nie zdawać się na przypadek i zrobić to w obecności całej masy ludzi? Nie pamiętam, czy poznałeś naszą córkę, Rosemary. Przyjechała do nas z Oksfordu. Proszę cię, przyjdź.

– Dobrze. To znaczy, dziękuję, przyjdę. Nie wiem tylko, czy Muriel zechce.

– Ale na ciebie mogę liczyć, prawda? A więc do zobaczenia.

Peter posiedział jeszcze chwilę na pseudochippendalowskim krześle koło telefonu, na które opadł zaraz po usłyszeniu głosu Rhiannon. Nie było stamtąd widać butelki Famous Grouse stojącej na kuchennej szafce, więc się wahał, w końcu dźwignął się jednak na nogi, pośpieszył do jadalni i przerywając Muriel w pół słowa, oznajmił, zanim zdążył się rozmyślić:

– To była Rhiannon Weaver. Zaprosiła nas na przyjęcie. Dziś wieczór w Klubie Golfowym. O wpół do siódmej.

– Jaki rozkoszny pomysł – rzekła Muriel. – Takie lubię najbardziej. Dwustu doborowych Walińczyków stojących i rozmawiających na cały głos. Moja ulubiona rozrywka. Idź sam.

– Dobrze. Myślę, że pójde.

– Nie chciałabym zepsuć spotkania dwojga starych przyjaciół.

– Powiedziałeś, tato, o wpół do siódmej? O tej porze i tak będę musiał już jechać, a to dokładnie po drodze, mam na myśli klub. Będą tam chyba jakieś panie? Inne niż stu pięćdziesięcioletnie?

– Tak, na przykład ich córka – odpowiedział Peter.

– Świetnie. Mogę cię zastąpić, mamó. Zawiozę ojca, a z powrotem weźmie sobie taksówkę. Uniknie się w ten sposób jeszcze jednego przypadku prowadzenia pojazdu pod wpływem alkoholu.

– Musisz być strasznie spragniony odrobiny spódniczki, jeśli wyobrażasz sobie, że Klub Golfowy „Holland” to odpowiedni teren łowiecki – zauważyła Muriel.

– Bycie strasznie spragnionym odrobiny wielu rzeczy to stan, jaki tam, w Capel Mererid, szybko się osiąga – odparł William. – Z wyjątkiem nudy. Tego tam nie brakuje.

Krótko przed szóstą trzydzieści Peter wsiadł do audi. Czuł to, czego nie czuł od wielu lat: syndrom przedegzaminacyjny. William – poważny, śniady i z początkami łysiny na skroniach, w raczej paskudnym, pożyczonym od ojca krawacie – usiadł za kierownicą. Peter bardzo lubił syna, w każdym razie o wiele bardziej niż kogokolwiek innego spośród znanych mu ludzi, lecz mimo to czuł się skrępowany, ilekroć zostawali sam na sam, bowiem wszystko, co przychodziło mu wtedy do głowy, przypuszczalnie by Williama zanudziło. Byłoby to istotne, gdyby przebywali sam na sam często albo przez dłuższy czas – tym razem jednak niepotrzebnie się denerwował.

William zapuścił silnik.

– Pasy, tato.

– Przepraszam.

– Widzę, że najchętniej byś się obywatel bez nich. Jesteś okropnie gruby, tato. Znowu utyłeś? Bardzo poważnie gruby. Zresztą sam o tym wiesz, no nie? Trudno by było tego nie zauważyć. To przez picie, prawda? Głównie przez to? Tylko nie myśl, że mam ci za złe, nie.

– Przez to i przez jedzenie. Nie daj się zwieść tym, co zjadłem na lunch. W ciągu dnia jestem bez zarzutu: tu listek sałaty, tam pół sardynki, a potem, kiedy skończy się program w telewizji, siadam na tyłku i się opycham. Głównie ciastkami. Eklerami. Markizami. Wszystkim, co zawiera krem, dżem albo czekoladę. Także ciastami, genueńskim i migdałowym. Albo keksem, a do tego kieliszek Malmsey. Zupełnie jak jakaś wiktoriańska dama, tyle że robię to o pierwszej w nocy.

– Ale przecież nie jesteś głodny, nie o takich porach. Nie aż tak bardzo.

– To częściowo dlatego, że rzuciłem palenie. Minęły już cztery lata, a mimo wszystko nadal czuję, no wiesz... czy to już wszystko na dzisiejszy wieczór? Czy nic więcej się nie wydarzy? I wtedy zaczynam jeść. Po części jest w tym także coś... nie wiem, jak to nazwać... chyba coś ze strachu, w jakimś sensie. Mam nadzieję, że nie brzmi to tak, jakbym przez cały czas skręcał się w udręce. – William nie odpowiadał, więc Peter ciągnął: – Cóż, kiedy się jest w moim wieku, ma się spory wybór powodów do strachu, jak zapewne możesz sobie wyobrazić.

– I nie tylko wtedy – powiedział William. – Czytałem kiedyś wypowiedź takiego faceta, notabene również Walijczyka, który powiedział, że węglowodany, bo o nich przecież mówimy, mają działanie uspokajające, łagodnie uspokajające. Cóż, to wszystko wyjaśnia. Ale dobrze się czujesz, tato? Nie miej mi za złe, że ci to mówię, ale kiedy cię dzisiaj zobaczyłem, pomyślałem, że nie wyglądasz najlepiej. Nic ci nie jest? Głupio by było, gdybyś mi nie powiedział.

Peter zaczął mówić, trzymając się wyłącznie strony fizycznej zagadnienia i nie czyniąc najmniejszej nawet aluzji do Muriel. Kiedy skończył, poczuł się odrobinę lepiej, ale tylko odrobinę, bowiem zmuszony był słuchać własnych słów, jakby był Williamem, a z takiej pozycji brzmiały one dość zniechęcająco. Przez kilka minut jechali w milczeniu.

– Mama nadal praktykuje te swoje wycieczki do Londynu, prawda? – odezwał się w końcu William.

– O tak, jak szalona. Co parę miesięcy. Prawdę mówiąc, mniej więcej teraz wypadałby termin następnej.

– Zgadza się. Więc kiedy pojedzie, zadzwoń do mnie, a wtedy wpadnę i wybierzemy się gdzieś na lunch albo cokolwiek zechcesz. Tylko zadzwoń. Jak mama będzie w Londynie.

– Dobra.

– Albo ty mógłbyś do mnie wpaść, gdybyś miał ochotę. Nigdy u mnie nie byłeś, prawda? Nie, żeby było tam co oglądać. To tylko kąt, który dzielę z kolegą z pracy. Dawna chałupa górnicza, ale całkiem przyjemna, z małym ogródkiem z tyłu. I coś ci powiem o tym ogródku: mieszkamy tam już od dwóch lat bez paru tygodni i przez cały ten czas ani razu nie wsadziłem w ziemię łopaty. Nie sądzisz, że to ciekawe?

Rhiannon była pierwszą osobą, jaką Peter ujrzał w Klubie Golfowym, kiedy weszli do środka bocznymi drzwiami prowadzącymi z parkingu i znaleźli się w wielkiej staroświeckiej sali, do której mieli wstęp również nieczłonkowie. Stała w drugim końcu, ale spostrzegła go chyba nawet wcześniej niż on ją. Natychmiast się uśmiechnęła – najwyraźniej z przyjemnością, z czułością, chociaż nie miał pojęcia, jak to było możliwe – i ruszyła ku niemu. Zdał sobie sprawę, że obawiał się, iż jej po tylu latach nie rozpozna, ale kiedy się pojawiła w zasięgu jego okularów (które miały wprawdzie służyć jedynie do czytania, ale przez zapomnienie tkwiły ciągle na jego nosie), przekonał się, że jej twarz wcale się nie zmieniła: cóż, przybyło kilka zmarszczek, zaokrąglił się podbródek, nic wielkiego, i włosy miała chyba troszeczkę podkolorowane. Oczy pozostały te same. Z pewnością nie zamierza go teraz pocałować. A jednak zamierzała. I pocałowała.

– Poznaj Williama – powiedział niemal bezwiednie. – Mojego syna. – Uświadomił sobie teraz coś jeszcze: że kiedy była po temu okazja, William nie wspomniął słowem o niej ani o Alunie. A przecież musiał wiedzieć, w każdym razie coś niecoś.

– Witaj, Williamie. Rosemary kręci się gdzieś w okolicy.

Głos również był ten sam, ale o tym miał się już okazję przekonać przez telefon. Powiedział coś, a potem ona zapytała o Muriel. Wszyscy troje rozmawiali przez kilka minut, popijając, po czym dołączyła do nich Rosemary. Do Petera dotarło bardzo niewiele: zbytnio był zajęty ukradkowym przyglądaniem się Rhiannon i wsłuchiwaniem w jej głos, by zastanawiać się nad tym, o czym mówiła. Raz po raz usiłował bez powodzenia wyjaśnić sobie, co chciał osiągnąć (lub czego uniknąć) zjawiając się tutaj. Ledwie pytanie to powróciło z nową ostrością na widok Williama uprowadzającego gdzieś Rosemary, podszedł do nich Alun i powitał go ze swą normalną ponadnormalną serdecznością. Prezentował się nieprzyzwoicie dziarsko: włosy bardziej śnieżne niż kiedykolwiek, nowy perłowoszary garnitur z jakiejś niewątpliwie modnej tkaniny, różowy goździk w klapie. Ogólnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie znamienitszego spośród drugoplanowych aktorów, ale to musiało być całkiem przypadkowe skojarzenie.

– Masz szczęście – stwierdził z wielkim ożywieniem – albo raczej, jak niewątpliwie określiliby to niektórzy, masz pecha zastać mnie w stanie euforii. Co więcej, jej podstawą nie są bynajmniej sztuczne bodźce, lecz niezbite fakty. Dwa fakty. Dzisiaj otrzymałem zamówienie na siedem półgodzinnych programów telewizyjnych, tytuł do uzgodnienia, ale ma to być coś związanego z Walią... co jeszcze? aha, i co ważniejsze, nieporównywalnie ważniejsze, napisałem wiersz, a właściwie ukończyłem szkic wiersza. Długo to trwało. Nie mam pojęcia, czy jest dobry, ale cała rzecz w tym, że go napisałem, że przelałem go na papier, przekonałem się, że nadal potrafię to robić. Cholernie miłe uczucie. Tak jak przekonać się, że nadal możesz... hm...

Zamilkł nagle i jakoś tak ostatecznie, po czym zamrugał, wpatrzony w podłogę. Po paru sekundach poderwał tryumfalnie głowę.

– Śpiewać w chórze, śpiewać w chórze. Myślałeś, że już... hm... – nastąpiła kolejna pauza, tym razem krótsza niż poprzednio – ...zapomniałeś, co to harmonia, jak idzie melodia, ale nadal to posiadasz, to wciąż tkwi w tobie. Całkiem jak... Aaa, oto i oni, nareszcie, wy stare diabły.

Odwrócił się z rozbudzonym na powrót entuzjazmem ku Charliemu i Sophie, Garthowi, Sian Smith i Dorothy Morgan, tak, nie skąpiąc go nawet Dorothy – stosownym określeniem byłyby tu euforia. Kiedy skończyły się powitalne okrzyki i uściski, Dorothy odciągnęła na bok Rhiannon i powiodła ku jakiejś naburmuszonej kobiecie, która wyglądała jak emerytowany wykidajło w damskich fatałaszki i krótkawej srebrnej peruce. Czyjaś matka, domyślił się Peter – należało zawsze mieć na względzie, że dość sporo osób wciąż ma matki.

Garth, całkiem schludny w swoich tweedach, zachwycał się garniturem Aluna:

– Jaki świetny ciuch sobie sprawiłeś, chłopie. Piękny. Musiał cię trochę kosztować. – Odwrócił klapę marynarki Aluna. – Oczywiście, domyślałam się, że to wszystko po to, aby się dobrze prezentować w tych twoich telewizyjnych wystąpieniach. Takie rzeczy odlicza się od podatku, prawda?

– Wcale bym się nie zdziwił. Pilnuje tego mój księgowy. No dobrze, ale co...

– Wiecie, jak długo chodzę w tym garniturze, który mam na sobie? – Garth zadał to pytanie ponurym, wyzywającym tonem. – Trzydzieści siedem lat. Widzicie, mam tyle rozsądku, żeby dbać o siebie. Nie tak jak niektórzy, co? Cóż, ty, Alun, nie masz się tak kiepsko jak ci dwaj, to prawda, ale odrobineczkę sobie odpuściłeś, no, sam przyznaj. W tym miejscu – poklepał się po brodzie – i tutaj, i...

– Nic nie mogę poradzić na twój piekielny umysł, Garth – odparł Alun, uśmiechając się nieco Wadliwiej niż poprzednio. – Nic nie mogę poradzić na to, że nie jesteś w stanie zauważyć niczego, co nie dotyczy bezpośrednio twojego żalosego ja – ciągnął, zaczynając drzeć z uciechy – ale kiedy zaczynasz się obnosić z tą swoją rzekomą wyższością moralną, ty cholerny domorośły szarlatanie z obory – i tutaj wybuchnął gromkim śmiechem – mogę ci tylko poradzić, żebyś zamknął kłapaczkę, zanim ci wepchnę w gardło te twoje niewątpliwie nienaganne, pieprzone protezy zębowe.

Kiedy kończył to mówić, obaj z Garthem obejmowali się przyjaźnie za ramiona i zgięci wpool, z zaczerwienionymi twarzami, zanosili się śmiechem: dwaj kumple, którzy tak długo spoglądali na życie z tej samej perspektywy, że teraz mogli bezpiecznie unosić się w rejony niedostępne nikomu z zewnątrz. Charlie przyglądał się temu z niepewnym uśmiechem, Peter – bez wyrazu.

Pierwszy uspokoił się Alun.

– No, dobra – powiedział. – Tyle powinno draniowi wystarczyć, co? Aa, witamy! – Żwawym krokiem ruszył przez salę, aby powitać starego Owena Thomasa z żoną, oboje właśnie pojawili się w głównym wejściu, obok którego stał również fotograf.

– O, rany – westchnął Garth – ale popis, nie ma co. Ten chłopak ma dar wymowy, no nie? Słuchać, jak używa języka, to istna rozkosz. Boże wszechmogący, nie pamiętam, kiedy się tak uśmiełem.

– Jak się ma Angharad? – spytał Charlie.

– O, całkiem nieźle, dziękuję – odparł Garth. – Eee... całkiem nieźle.

– Nie bardzo zrozumiałem ten kawałek o oborze – zagadnął Peter, kiedy Garth się oddalił.

– Jest, a raczej był, weterynarzem. W Capel Mererid. Zajmował się bardziej owcami niż krowami, ale na jedno wychodzi. Myślałem, że wszyscy to wiedzą. On sam nie pozwala o tym zapomnieć.

– Tak, wiedziałem. Cóż, w końcu z czasem pamięć musi zacząć się zużywać.

– Niezbyt miłe, nieprawdaż? Mam na myśli to przed chwilą – zauważył Charlie. – Prawdę mówiąc, zupełnie niemiłe. Dziwne, ale właśnie coś takiego miało się zawsze ochotę mu powiedzieć, czekając, aż ktoś mu wreszcie wygarnie, a później, kiedy do tego dochodzi, okazuje się, że nie jest to wcale taka wielka przyjemność. Cholerny... cholerny domorośli szarlatan z obory? Uhm. Mocne, co?

– Myślisz, że do Gartha to dotarło?

– Nie. Gdyby powtórzył to Angharad, ona by to zrozumiała, ale on nie opowiedział jej niczego od dwudziestu lat. Nie, gdyby coś do niego dotarło, znaczyłoby to, że wszystko, co powiedział o tym krasomówstwie i tak dalej, miało wymowę ironiczną, a jednocześnie było dość celnym zagranem. Chociaż nigdy chyba nie można mieć pewności, czy aby Walijczyk nie ironizuje, nawet ten tutaj, to jeśli idzie choćby w przybliżeniu o taktowne zachowanie, Garth Pumphrey nie wchodzi w rachubę. Nie. Ale Alunowi się wydaje, że zgrabnie się wyślizgnął, i to mi się nie podoba. Jakby...

– Albo wisi mu, czy zrobił to zgrabnie, czy nie.

– No właśnie. Kiedyś chyba nie pozwalał sobie aż na tyle. Ale czy to ważne? Wypijmy jeszcze po jednym.

– Czemu nie, to może być nasz ostatni.

– Zdrówko.

Wskrzeszając w pamięci swoją młodość – tylko w tym jednym aspekcie, z całkowitym pominięciem wszelkich innych – Peter przez pewien czas próbował znaleźć się z Rhiannon sam na sam. Jakże wątpliwe to było jednak wskrzeszenie: w tamtych czasach szybko by sobie poradził. Wystarczyłoby po prostu szepnąć słówko sugerujące wycofanie się w jakieś ustronne miejsce albo, gdyby to było konieczne, wziąć ją pod rękę i delikatnie, lecz stanowczo odciągnąć na bok. Dzisiaj chodził za nią pokornie, a i to tylko przez jakiś czas. Pojawiła się Dorothy Morgan. Pobyła, znikła, znów się pojawiła, a dopóki była obecna i w ferworze konwersacji, dopóty ten najkorzystniejszy scenariusz, to znaczy jego i Rhiannon ulotnienie się, nie miał żadnych szans powodzenia, bo nie ulegało kwestii, że Dorothy będzie się za nimi snuła. A jeśli nie Dorothy, to Percy i Dorothy, potem znowu Sophie i Sian, potem przez chwilę Alun, potem stary Tudor Whittingham z żoną i przyjaciółka starego Vaughana Mowbraya. Cóż, powtarzał sobie Peter, taki los gospodyni przyjęcia. Kiedy ujrzał zbliżającą się Gwen, dał za wygraną. Ta przejrzałaby go zaraz na wylot i nie omieszkałaby dać mu tego do zrozumienia jednym spojrzeniem.

Z kieliszkiem w ręce, prawie zupełnie trzeźwy, stał albo spacerował. Ciężkie meble, ciemne boazerie, wyblakły dywan w tureckie wzory, taki, jakie widywało się na każdym kroku dawniej, teraz zaś już nigdzie – albo tylko tak mu się zdawało – utwierdzały go w przekonaniu, że nic się tutaj nie zmieniło. Przysadzisty piecyk gazowy w głębi sali przypuszczalnie ukrywał palenisko otwartego kominka, lecz jeśli w istocie tak było, to musiał je ukrywać od niepamiętnych czasów. Peter analizował to wszystko w drodze do męskiej ubikacji. Również tam, mimo że odnowiono to i owo, wszystko wyglądało jak dawniej, do tego stopnia, że znajomo zabrzmiały dochodzące z jednej z kabin odgłosy torsji. Wtedy wszyscy mieli po dwadzieścia parę lat, no, może trzydzieści. Teraz, z perspektywy zbliżającej się siedemdziesiątki, owe początkowe lata dorosłości, ów najlepszy wiek, czy jak by to jeszcze nazwać, zdawały się czymś na kształt przerwy pomiędzy dwiema falami mdłości. Mniej więcej. Ale to nie jego styl – bardziej Charliego.

Wrócił do holu, starając się przywołać wspomnienia sprzed czterdziestu lat. Bardzo możliwe, prawie pewne, że przy co najmniej jednej takiej okazji, popijając z kumplem w kacie, do którego zawsze się szło, ilekroć był wolny, albo czekając na ojca, który siedział w barze, myślał o Rhiannon, czuł z jej powodu podniecenie, tęsknił za jej widokiem. Niewątpliwie, ale to minęło, odeszło tak nieodwołalnie jak dzieciństwo. Jednak zdobyty w 1948 roku *eagle*¹⁰ na szesnastce wciąż wydawał się realny, tak jak butelka szampana, którą postawił potem w barze. Jakie to wszystko okropne, pomyślał.

10 *Eagle* (ang.) – w języku golfowym: umieszczenie piłki w dołku, w rezultacie mniejszej o dwa od przeciętnej dla tego dołka liczby uderzeń (przyj. tłum.).

Tymczasem dotarł do małej jadalni, przez którą przechodziło się do sali bankietowej i która również była otwarta dla nie członków, choć po zachodzie słońca korzystali z niej głównie członkowie klubu, traktując ją jako miejsce pijackich drzemek. Teraz było tu pusto i ciemno. Wyciągnął rękę, aby zapalić światło, ale się rozmyślił i wzdłuż nie przykrytego serwetą stołu jął przeciskać się w stronę okna. Na zewnątrz kolory już zszarzały, ale spory kawałek pola golfowego był nadal dobrze widoczny, łącznie z sosnowym lasem na jego najdalszym skraju i zupełnie niemal prostą linią wierzchołka klifu, spoza którego w słoneczne dni dostrzec można było migotliwą poświatę na powierzchni morza. Cokolwiek widok ten znaczył dla niego w przeszłości, teraz widział w nim jedynie nagie i opuszczone miejsce, więc nawet mu się dobrze nie przyjrawszy, zawrócił i włączył światło. Roztargnionym wzrokiem przesunął po spisie członków klubu, którzy polegli na obu wojnach: trzech Thomasów w drugiej światowej, jeden kuzyn z Marlowe Neath, pozostałych nie znał. Uświadomił sobie, że czeka na Rhiannon. Cóż, jeśli nawet coś takiego zdarzyło się wcześniej w jego życiu, to teraz z pewnością nie miało nastąpić. Czas zbierać się do wyjścia.

Tłum w sali trochę się przzerzedził. Przedzierając się przezeń, co rusz na kogoś wpadał, niewątpliwie częściowo z powodu wypitego tak przez siebie, jak i przez innych alkoholu, ale głównie dlatego, że właściwie nie przywykł jeszcze do monstrualnych rozmiarów swego cielska po dramatycznym skoku wagi, jaki nastąpił w 1984 roku, kiedy to odstawił wszelkie regulatory, z wyjątkiem paru osobliwych przeżytków w rodzaju toniku slimline. Udało mu się jednak dotrzeć do drugiego końca sali i podejść do telefonu bez zwalania kogokolwiek z nóg. Owszem, taksówka przyjedzie za pięć lub dziesięć minut, a w każdym razie tak obiecał dziewczęcy głos, który zdawał się wyrażać niemal upojenie tą perspektywą.

Rozmawiając przez telefon, Peter zdał sobie sprawę z jakiegoś zamieszania. Za masywnymi drzwiami, które oddzielały go od bawiącego się towarzystwa, słychać było podniesione głosy. Po powrocie na salę przekonał się jednak, że cokolwiek to było, skończyło się już. Dostrzegł Rhiannon z czujną córką u boku, Aluna, który tłumaczył coś, potrząsając głową i wymachując rękami, a także Williama w pełnej gotowości. Malcolm i Dorothy Morgan obejmowali ramionami Gwen, która chyba płakała, i towarzyszyli jej, a może nieco popychali w stronę bocznego wyjścia. Wszyscy pozostali bez skrepowania obserwowali tę scenę i trajkotali w podnieceniu.

– Niezłe przedstawienie, co? – zwrócił się do niego Charlie. – Oczywiście, załała się w trupa.

– Byłem przy telefonie.

– Twoja strata. Nie trwało to dłużej niż parę sekund, ale wykorzystwała je całkiem niezłe. Cholerne to i pieprzone tamto, i co byś ty zrobił, i samolubny potwór, i bufon, i hipokryta, i podupadły donżuan, i pseudo-Walijczyk. Nic szczególnie obraźliwego.

– Kawalek o podupadłym donżuanie zabrzmiał chyba w tych okolicznościach dość obraźliwie.

– Nie, raczej nie, kiedy wymieszała go z całą resztą. Ale ta cała... Chodzi o to, że z sytuacji i ogólnego tonu wynikało jasno, iż coś musiało zajść albo teraz, albo kiedyś. Bo faktycznie zaszło.

– Jasno dla Malcolma, chcesz powiedzieć?

– Nie wiem. To jego wybór, nieprawdaż? Ja go w każdym razie ostrzegąłem, to znaczy Aluna, kiedy byliśmy na tej cholernej wycieczce do Treville. Można by pomyśleć, że do tej pory facet powinien był nabrać w tych sprawach doświadczenia.

– Przejdzie mu – powiedział Peter. – Myślisz, że to z powodu nieudanej randki?

Charlie puścił pytanie mimo uszu.

– Ten pieprzony stary głupiec narobi tu nie lada bigosu, zanim się wykończy. Ma na tym punkcie hopla.

– Całe szczęście, że Gwen tak do końca... no wiesz, nie wygadała wszystkiego...

– Tak, podziwu godna powściągliwość, co? Podziwu godne draństwo. Rozegrała to tak, że w każdej chwili może powiedzieć, że nie powiedziała tego, co powiedziała. To się nazywa niezamykanie sobie drogi odwrotu. Hej, nie gap się tak, Peter. Nie myślisz chyba, że kiedy kobieta traci panowanie, to traci panowanie, co?

– Nie, nie nabrałem dotąd takiego przekonania.

– Utrata panowania jest jedynie jedną z rzeczy, jakie one robią. Chryste, oto następny, który nie połapał się w tym, co się wokół niego dzieje. Hej, dałbym parę szylingów, żeby się tam przed chwilą znaleźć, kiedy Alun mówił, że nie zrobił tego, co to nikt nie twierdzi, że zrobił. Ale można chyba być spokojnym, że wypłacze się bez trudu. Myślę, że i ja się trochę wstawiłem. Wychodzisz?

– Chciałbym jeszcze zamienić z kimś słówko.

Charlie zerknął na Weaverów i znów na Petera.

– Powodzenia.

Kiedy Peter przyłączył się do gromadki, Alun oddalił się, wciąż potrząsając głową ze zdumieniem. Stojąc znowu twarzą w twarz z Williamem, Peter po raz pierwszy w pełni zdał sobie sprawę z tego, co syn powiedział mu w samochodzie i co to oznaczało. Wpadł w popłoch, co sprawiło, że zapomniał, co chciał powiedzieć. Rosemary przyglądała mu się z uwagą, jakby niepewna, czy powinna go tolerować, czy nie. Rhiannon skinęła mu głową, nic więcej, zupełnie jakby kwitowała jego obecność na jakimś pogrzebie. Czekał. Nic innego nie potrafił wymyślić.

– Mówiłem właśnie, tato – odezwał się William – że zgorzkniała młodzież musi przymknąć oko na wysoki nieroztropnych staruszków.

Szczerozłota myśl, przyznał w duchu Peter, i znacznie lepsza od czegokolwiek, z czym sam mógłby wystąpić.

– Chciałeś powiedzieć: starej, głupiej krowy – wtrąciła Rosemary z pogardą. – Nie przejęłabym się zbytnio, gdyby nie to, że wydawało jej się, iż jest niezmiernie interesująca. – Rzuciła okiem za siebie, kwitując z zadowoleniem, że Gwen już sobie poszła. Nigdzie nie było widać Aluna.

– Zauważyłam, że ostatnio nie wylewa za kołnierz – powiedziała Rhiannon rzeczowym tonem, po czym się ożywiła. – Peter, mój drogi, wcale jeszcze z tobą nie porozmawiałam. Chodźmy gdzieś na bok i utnijmy sobie pogawędkę. Tylko szybko, zanim wróci Dorothy.

– Zaraz wychodzę, tato – zawołał za nim William. – Będziemy w kontakcie, dobrze? Ty i ja.

– Tak, Willie, dzięki.

Rhiannon dała córce jakieś znaki, po czym skierowała Petera ku drzwiom frontowym, okrążając zgrabnie matronę, którą Peter już wcześniej zauważył. Było jasne, że staruszka pała chęcią pochwylenia Rhiannon, ale nie udało jej się na czas dopaść ofiary. Jako że napomknął o taksówce, Rhiannon uznała, że bezpieczniej będzie poczekać na zewnątrz. Żadne nie miało płaszcza ani kapelusza. Kiedy schodzili po schodach, wzięła go pod ramię. Noc była piękna – pochmurna, ale powietrze było suche i łagodne. W ciągu tych paru minut, które minęły od chwili, gdy wyszedł z jadalni, zrobiło się zupełnie ciemno. Z okien za nimi padało światło, a na nowej dwupasmowej autostradzie (za wiele milionów funtów), która biegła łukiem w stronę miasta, panował spory ruch.

– Szybko poszło – rzekł Peter. – Dokąd idziemy?

– Chyba nie zachowałam się niegrzecznie, wychodząc w ten sposób? Ze wszystkimi już porozmawiałam. Pomyślałam, że to taki świetny pomysł: wymknąć się i wypić kieliszeczek na osobności. No, w moim przypadku lepiej pół kieliszeczka, bo mam już na koncie trzy lampki wina. Masz jakiś miły kąt, do którego uciekasz, kiedy chcesz mieć spokój?

– Chciałbym go mieć. Teraz wszędzie jest tak hałaśliwie.

– Przyszło mi na myśl to miejsce przy Hatchery Road, taka włoska knajpka, chyba „U Maria”?

– Aha, żeby pójść na kolację?

– Niestety nie, mój drogi, Alun zamówił na wieczór stolik w „Glendower”. Będę musiała się tam zjawić, ale przedtem możemy gdzieś wpaść na jednego. Wiesz, tam na tyłach jest coś w rodzaju baru, gdzie nie musisz zamawiać nic do jedzenia. Eee... Gwen zna właścicieli. Porozmawiamy o niej i całej reszcie innym razem, ale prawdę mówiąc, nie wypadło to zbyt miło. – Rhiannon zawahała się. – Chciałam powiedzieć, że to było w kiepskim stylu. Tandeta, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Peter zrozumiał, zanim weszli do baru „U Mario”, najwyraźniej niedawno przerobionego ze sklepu nakładem dość skąpych środków finansowych i takiejże inwencji. Z przodu ustawiono parę rzędów byle jakich stolików dla czterech osób, przykrytych bardzo czystymi obrusami w biało-czerwoną kratkę. Na każdym były serwetki, zestaw buteleczek z sosami i musztardami oraz talerze z długimi, opakowanymi w przezroczystą, prążkowaną folię bułkami. Pulchny, wąsaty kelner w marynarce w szkocką kratę zamasyście i raczej hałaśliwie podawał czwórcę milczących młodych ludzi talerze z dość brytyjsko kojarzącymi się potrawami mięsno-warzywnymi. Patrząc na ich miny, niepewne jak na pierwszej randce, Peter poczuł się stu pięćdziesięcioletnim starcem. Spostrzegł, że Rhiannon przygląda mu się, jakby badała jego reakcje, więc uśmiechnął się i skinął wesoło głową.

Oto w ich stronę śpieszył już inny pulchny, wąsaty mężczyzna w przedziwnej marynarce, przypominającej krótki szlafrok. On również ciął powietrze zamaszystymi ruchami. Oświadczył, że jest właścicielem lokalu i że posiada jeszcze jakąś włoską restaurację. Witając się z Rhiannon, omal nie posunął się do pocałowania jej w rękę. Jeśli nie był rodowitym Włochem, a w tej części południowej Walii i w dodatku w gastronomii nie byłoby to wcale dziwne, to na pewno był równie jak Włoch dobry, albo i lepszy: Walińczyk udający Włocha ze wszystkich sił. Peter został potraktowany całkiem inaczej, z powagą należną senatorowi albo cieszącemu się międzynarodową sławą tenorowi. „Mario”, a może faktycznie Mario, poprowadził ich za zasłonę z kolorowych pasków błyszczącego plastyku do pomieszczenia na zapleczu. Tutaj, we wnętrzu przypominającym salonik pensjonatu, siedzieli grupkami schludnie ubrani ludzie w średnim wieku i popijali czerwone albo żółtawe alkohole. Ich kieliszki miały na krawędziach obwódki z cukru, w niektórych były słomki i mieszadełka. Rhiannon i Peter usiedli przy orzechowym stoliku o nóżkach niczym pałeczki z cukru, który okazał się bardzo wygodny, kiedy przyszło postawić na nim drinki: kieliszek białego wina dla niej i tonik slimline dla niego (żałował, że nie odmówił sobie w klubie ostatniego drinka albo dwóch).

– Nie najgorzej tu, nie sądzisz? – szepnęła Rhiannon.

– Będziesz musiała mówić nieco głośniej, jeśli chcesz, żebym cię usłyszał – z każdym dniem coraz bardziej głuchnę. To prawda, miło tu, ale mnie smakowałby drink nawet w szopie na opał, byleby tylko nie grała tam muzyka.

Tak naprawdę jednak po raz pierwszy w życiu poczuł, że nie miałby nic przeciwko muzyce, która złagodziłaby przytłaczającą ciszę. W samochodzie mu to nie przeszkadzało, bo był tam kierowca, w którego obecności milczenie zdawało się usprawiedliwione. Po upływie trzech sekund pomyślał, że nie zdobędzie się na powiedzenie czegokolwiek, zaraz jednak przypomniał sobie, że wszystkie matki, oczywiście z wyjątkiem Muriel, lubią rozmawiać o dzieciach i podoba im się, kiedy ojcowie również to robią. Zaczął więc mówić o Williamie, co pozwoliło mu wpleść nieco uwag o domach, sąsiedztwie i podobnych bzdurach. Rhiannon odwzajemniła mu się informacjami o Rosemary. Tak dotarli do tematu przyjęcia, a wtedy ona przybrała dość specyficzny, niedbały ton.

– Wydaje mi się, że Rosemary wpadła Williamowi w oko, nie sądzisz? Nie odstępował jej na krok.

– Na mnie także zrobiła spore wrażenie – odparł Peter. Nie błagował. Prawdę mówiąc, zatkało go, kiedy ujrzał nagle replikę młodzieńczej Rhiannon, ale wypowiedziana przed chwilą uwaga zabrzmiała diabło nieszczerze. – Uderzyło mnie, że ona... że...

– Mówiłam ci, że zamierza zostać adwokatem? Zabierać głos w sądzie? Zawsze miała dar wymowy. Chyba po Alunie. – Posłała mu ukradkowe, badawcze spojrzenie. – William ma jakąś dziewczynę, prawda?

– Naprawdę nie mam pojęcia. Ale w tej chwili chyba nie. Miewał... no wiesz, różne dziewczyny.

– No tak, a Rosemary miewała chłopaków. W każdym razie tak było, jak przypuszczam.

– Jeśli chodzi o Williama, nie pozostaje nic innego, jak tylko przypuszczać. Jest absolutnie normalny i absolutnie zdrowy, i chadza z dziewczynami. Ma prawie trzydzistkę. To tyle.

– Tak, i jest dość pewny siebie, w tym pozytywnym sensie. Myślę, że to w zupełności wystarczy. Na razie. Z twojego punktu widzenia.

– Chyba tak – powiedział i dodał bez namysłu: – Jestem przekonany, że mój staruszek miał dużo lepsze wyobrażenie o tym, na co mnie stać, niż ja mam o moim synu.

– Być może. Ale jeśli tak było, to wątpię, żeby mu ono w rezultacie wyszło na lepsze – mam na myśli twojego tatę. Cóż, trudno się uchronić przed porównywaniem, ja sama łapię się na tym nieustannie. Teraz sprawy mają się dużo lepiej. Nieskończenie lepiej niż kiedyś.

– Ty i Rosemary jesteście ze sobą bardzo blisko, jak sądzę. – Peter robił teraz wrażenie nie tylko głupkowatego, ale cikliwego. Żeby poprawić swój wizerunek, dodał: – Podobno tak jest łatwiej i matkom, i córkom.

– To żadna wielka poufałość, ot, kilka drobnych uwag, które mi rzuca od czasu do czasu.

– I które pozwalają ci sądzić, że... nastąpiła poprawa.

– Uhm. Tak.

Temat zdawał się wyczerpany. Peter nie bardzo wiedział, dokąd ich zaprowadził, ale niewątpliwie dokądś, o czym świadczyło choćby niewielkie napięcie w okolicy ust Rhiannon, którego wcześniej nie widział, a które teraz nie uszło jego uwagi. Potem zauważył, że Rhiannon rzuca niespokojne spojrzenia na ich najbliższych sąsiadów, którzy, był o tym przekonany, siedzieli zbyt daleko, aby cokolwiek usłyszeć, a zresztą niewiele ich to obchodziło. O Boże, jakież to walijskie, pomyślał: trzydzieści lat w Londynie albo jeszcze dalej, a kiedy przychodzi do pewnych tematów, udaje się mumię w obecności lub chociażby tylko na widok obcych, ot tak, na wszelki wypadek. Uśmiechnął się. Po sekundzie łagodnego zdziwienia Rhiannon uśmiechnęła się również.

W tym krytycznym momencie rozmowy na scenę z impetem wkroczył Mario, który oznajmił:

– Stolik państwa jest już do dyspozycji. – Rozciągał zdanie tak, jakby składało się z co najmniej trzydziestu sylab.

Podnieśli się natychmiast, jakby nie chcieli go urazić. Rhiannon najwyraźniej wykorzystała tych parę chwil, aby zdecydować, że może sobie pozwolić na kontynuowanie tematu. Jeszcze poprzedni biesiadnicy nie zdążyli na dobre zniknąć, kiedy zaczęła:

– Mówiąc o porównywaniu, miałam na myśli zwłaszcza to, że teraz nie przechodzi się przez ten cały okropny rytuał, przez jaki my musieliśmy za każdym razem przechodzić. Nie twierdzę, że oni teraz robią sobie dużo mniej z... no wiesz, z tego, albo dużo więcej, ani że to lepiej albo gorzej, ale że przynajmniej jest im to oszczędzone. Czasami, kiedy spoglądam wstecz, nie mogę w to wprost uwierzyć. To było jak postępowanie zgodnie z instrukcją obsługi, nic więcej, tak było, na Boga. Etap pierwszy: objęcie; etap drugi: pocałunek; etap trzeci: dalsze pocałunki; etap czwarty: dotykanie górnych partii przez ubranie; etap piąty: to samo pod ubranem; etap szósty, bardzo niegrzeczny, ale jeszcze nie na całość, choć z taką perspektywą. I najwyżej jeden etap na randkę. Zupełnie na tej samej zasadzie, na jakiej pewne plemię murzyńskie postępowało, chcąc wywołać deszcz, dopóki nie poznało lepszych sposobów. Tyle że to musiało się ciągnąć miesiącami. I zwykle do niczego się nie dochodziło. Dotyczyło to wszystkich bez wyjątku. Ale może przesadzam?

– Nie – odrzekł Peter, który przez ostatnie pół minuty dochodził do wniosku, że wcale wszystkiego nie zapomniał.
– Ani trochę. I funkcjonowały też pewne wskazówki, jak obchodzić obowiązujące zasady.

– O, my także miałyśmy wskazówki, jak nie dopuścić do tego, aby druga strona obchodziła zasady. Uff. Czyżby to była kwestia klasowa?

– Nie wiem.

– Nie. Chyba tylko w tym sensie, że arystokracja miała inne rozwiązania, bo w Brook Hall było mnóstwo dziewcząt z dolin, pamiętasz? I one były dokładnie takie same. Może tylko trochę frywolniejsze, jak mi się czasami zdawało. Bardziej cyniczne. Przesadzam teraz, bo wtedy to nie było takie jasne i oczywiste, nie mogło być. Ale ostatecznie rzadko się zdarzało, żeby ten schemat nie obowiązywał. Pamiętam, że przyszło mi raz albo dwa do głowy, że to może taka walijska osobliwość, z przyczyn religijnych i tak dalej, ale niebawem się przekonałam, że i angielska. I to w szerszym wymiarze. Pomyślałam więc wtedy, o ile w ogóle się nad tym zastanawiałam, że to musi być cecha brytyjska. Bo przecież nie francuska. Nic nie wiedziałam o Irlandczykach. I w końcu rzecz ostatnia: pamiętasz te książki Amerykanina o nazwisku O’Jakiś-tam? Charliemu strasznie przypadł do gustu. Coś jak Sahara...

– O’Hara. A powieść, o którą ci chodzi, miała tytuł *Spotkanie w Samarze*. Kiedyś miałem wszystko, co napisał. John O’Hara. Dobry Boże.

– Tak, to ten, ale nie jestem pewna, czy chodziło mi o tę książkę. W każdym razie zaczęłam ją czytać, nieważne, która to była, i omal nie wyskoczyłam ze skóry, bo to było dokładnie to samo. Ta sama strona życia. A bohaterowie byli zwykłymi, przeciętnymi ludźmi: nie jakimiś milionerami czy aktorami, ale i nie prostytutkami. Przypominam sobie jednego takiego faceta i jego ukochaną: pierwsza randka – nic, może jedynie pocałował ją na do widzenia, nie pamiętam. Potem, kiedy umówili się na następną, można się było spodziewać jakichś konkretów, ale nic z tych rzeczy, dochodzili do pewnego etapu i ani kroku dalej. Oczywiście, szło im dużo prędzej niż nam tutaj, ale w końcu to tylko książka, prawda? Rzecz w tym, że tam się to działo dokładnie tak samo. A dotyczyło Ameryki.

Peter wciąż nie bardzo wiedział, czego się po nim spodziewano, jeśli w ogóle spodziewano się czegoś.

– Czy nazwałabyś to może przejawem starych wiktoriańskich przesądów? – zasugerował, starając się, niestety bez powodzenia, aby nie zabrzmiało to jak pytanie egzaminacyjne. – Jak myśmy w ogóle mogli się zgodzić na branie w tym udziału?

Rhiannon pokiwała głową w zamyśleniu i ułożyła paczkę papierosów i pudełko zapalek równiutko wzdłuż biegnących w poprzek obrusa wzorków.

– Żeby nie być zbyt łatwą, o to w tym wszystkim chodziło. A w każdym razie tak się mówiło.

– Taka udawanka.

– W pewnym sensie tak, ale było w tym także wiele z nieudawania. Na tym polegał cały kłopot. Raz mówiłeś coś bardzo... hm... cynicznie, a po chwili okazywało się, że powiedziałeś to całkiem poważnie. Łatwość. Myślę, że mężczyźni także mieli na to swoje określenie, prawda? Na ten cały system?

– Pewnie tak. Moim zdaniem brali to po prostu za składnik istnienia, coś, z czym musisz się pogodzić, jak na przykład wstawanie bladym świtem, żeby zdążyć na autobus na uczelnię. I czuło się ulgę, wiedząc, że wszyscy inni jadą na tym samym wózku. Albo sądząc, że jadą, co na jedno wychodziło.

– O, z nami było tak samo. Ale powiedz mi teraz jedną rzecz, Peter. Załóżmy, że jakaś dziewczyna zgodziłaby się od razu na wszystko. Czy jej chłopak uważałby ją przez to za łatwą?

– Nie, chyba że byłby dupkiem, w przeciwnym razie tylko by się ucieszył. Kiedy by już ochłonął. Ale, gdyby ona zaczęła...

– O, właśnie! Chodząc z jednym tylko facetem, nie naraża się na opinię łatwej. Ale nie bądźmy tacy śmiertelnie poważni. W końcu oprócz tych koszmarnych, miało to również zabawne strony, nieprawdaż? – Najwyraźniej jednak żadne zabawne kawałki nie przychodziły jej jakoś w tej chwili na myśl. Zapaliła papierosa i gdy podjęła temat, zrobiła to jakby w zwolnionym tempie. – Tak więc cieszę się, że w cokolwiek Rosemary się wda albo mogłaby się wdać, nie będzie myśleć o tym, czy wyjdzie na łatwą. Takie zaloty zbyt wiele kosztowały. Sprawiały, że ludzie skupiali uwagę na niewłaściwych rzeczach. A i bez tego zbyt łatwo było zboczyć z drogi. Poza tym ja widziałam tylko jedną stronę medalu. Ta druga, męska, musiała być dużo gorsza.

– Bo zachowywaliśmy się dużo gorzej – odparł Peter. – Statystycznie rzecz biorąc.

– Za wiele z tego, a w każdym razie za sporą część, nie powinieneś się obwiniać. Wiem, że twoim zdaniem, mój drogi, potraktowałeś mnie okropnie, ale to nieprawda, wierz mi. – Po raz pierwszy napotkał wzrokiem spojrzenie jej szarych oczu i zabrakło mu tchu. – Wprawdzie brzmi to źle, ale tylko zanim wniknie się w to, co faktycznie zaszło: a zaszło to, że mieliśmy romans, niezbyt długotrwały, chociaż miał szanse potrwać dłużej, gdybym się o to postarała, a potem ty zainteresowałeś się kimś innym i zerwaliśmy ze sobą. I dopiero wtedy, nie zapominaj o tym, dopiero wtedy okazało się, że jestem w ciąży, i ty zająłeś się wszystkim, a potem... Potem byłeś już zakochany w kimś innym. Nie mogłam oczekiwać, abyś rzucił wszystko i wrócił do mnie. Jak w tamtych okolicznościach mogłabym tego oczekiwać?

– Szkoda, że tego nie zrobiłem.

– To całkiem inna sprawa. Przepraszam, wiem, że trochę za szybko przeszliśmy do tego tematu, ale mogą upłynąć wieki, zanim znowu będziemy sam na sam, i w dodatku ja po czterech kieliszkach alpagi. A poza tym nigdy nie wiadomo, ile nam czasu zostało. Chciałam ci to powiedzieć, zanim któreś z nas zacznie umierać. Tylko tyle, że było uroczo.

Peter wyciągnął rękę nad blatem stołu, a ona ją uścisnęła.

– Tak, to prawda.

– I lepiej postaraj się, żeby dotarło do ciebie, że nie wszystko było takie okropne, jak ci się zdawało.

Niedługo potem stali już na ulicy przed wejściem do „Glendower”, on obejmował ją w pasie, a ona opierała mu głowę na ramieniu. Wcześniej, w taksówce, która teraz czekała w pobliżu, aby powieźć go dalej, ku domowi, przez całą drogę trzymali się za ręce, ale mówili niewiele.

Po chwili milczenia Rhiannon zapytała:

– Chciałbyś wejść na drinka?

– Nie, lepiej pojedę już do domu. Chyba że tak byłoby łatwiej.

– Nie, tym się nie przejmuj. Posłuchaj, mam nadzieję, że nie sądzisz, by cokolwiek z tego, co mówiłam, miało coś wspólnego z wydarzeniami na przyjęciu. Albo z czymkolwiek innym.

– Nie, nic takiego nie pomyślałem, kochana. Co prawda kiedyś, gdy byliśmy razem, nie wszystko dotarło do mnie tak jak należy, ale tyle zrozumiałem. A więc nie, absolutnie tak nie sądzę.

– To dobrze. I wiesz, nie ma żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy wybrać się razem na kolację.

– Będę z tobą w kontakcie.

– Rosemary wraca w czwartek do szkoły. Po jej wyjeździe.

Pocałowała go szybko w usta i odeszła. Został tam jeszcze przez chwilę, spacerując po chodniku z opuszczoną głową i rękoma splecionymi z tyłu, patrząc niewidzącymi oczyma. Potem wyprostował się, podszedł do samochodu i wsiadł na tylne siedzenie.

– Teraz do Cwmgwyrdd, tak? – spytał kierowca, starszy gość ubrany w ciuchy jak po wnuczku. – Gdzie dokładnie pan sobie życzy?

– Powiem, kiedy będziemy dojeżdżać.

– Ale to nie wszystko jedno, którądy pojedę, bo zamykają ten stary most nad...

– Niech mnie pan tam po prostu zawiezie, dobrze? Najrozsądniejszą trasą.

Siwa, dawno nie strzyżona głowa mężczyzny odwróciła się do tyłu.

– Dobrze się pan czuje, sir?

– Nie umieram. A teraz proszę uprzejmie zrobić, o co prosiłem.

– Dobra, dobra, przepraszam, że się w ogóle odezwałem. Pan nietutejszy?

– Nie, jestem z... z...

– Jeśli chce pan znać moje zdanie, wszyscy prawdziwi Walińczycy wynoszą się z Walii.

– Coś takiego, naprawdę? Cóż, to doprawdy doskonała wiadomość. A teraz jedźmy już.

Kiedy podjechali pod dom, w którym nie paliło się ani jedno światło, przypomniał sobie, że Muriel wybrała się na kolację do Cowbridge, gdzie miała zostać na noc z przyjaciółmi z Anglii. Był zatem wolny na ponad dwanaście godzin.

ROZDZIAŁ V

Rhiannon

1

Następnego ranka Rhiannon i Rosemary siedziały przy śniadaniu w nowym domu. Zaledwie chwilę wcześniej Alton wyjechał porozglądać się trochę do zachodniej Walii. Na znacznej części pozbawionej dywanów i zasłon przestrzeni, pośród otwartych puszek z farbą oraz innych akcesoriów stały drabiny malarskie, których wierzchołki połączone były ciężkimi, starymi deskami i które spokojnie oczekiwały powrotu wynajętych robotników, którzy nie wiadomo gdzie się podziewali przez ostatnie kilka tygodni. Można było siedzieć w wydzielonej części salonu oraz gotować i jeść w kuchni. Tutaj zawieszono już były białe bawełniane firanki w maki, ale, na przykład, kilka pudeł z zastawą stołową nadal czekało na rozpakowanie i ustawienie na półkach. Nelly, nowo nabyty szczeniak czarnego labradora, leżała rozciągnięta w swoim koszyku i leniwie przeżuwała jego krawędź, wzgardziwszy fioletową kością z plastyku.

– Czy to nie ja dałam ci ten kubek? – spytała Rosemary.

– Kiedy byłeś malutka. To całkiem ładny kawałek porcelany.

Naczynie, o którym mówiły, miało kształt łagodnie zaokrąglonego, rozszerzającego się ku górze wieloboku, ze złotą obwódką wokół krawędzi i na uchwycie oraz wymalowanym z boku kwiatem jabłoni i słowem MAMA wykaligrafowanym ozdobnymi, wijącymi się literami. W tej chwili kubek wypełniony był herbatą rozpuszczalną o smaku cytrynowym. Na powierzchni pływał plasterek prawdziwej cytryny. Przed Rhiannon stał również talerz z pomarańczą i bananem oraz miseczka z kawałkami ananasa z puszki.

Rosemary przebiegła wzrokiem po tych produktach.

– Czy to, co masz przed sobą, to całe twoje śniadanie? Nie chciałabyś, żebym ci usmażyła jajecznicę?

– Pewnie, że bym chciała, ale one są okropnie szkodliwe, mam na myśli jajka. Pełno w nich tego paskudztwa, no wiesz, tego, co przyprawia o zawał. I tuczy.

– A te rzeczy mają być nieszkodliwe, tak?

– Tak. W pomarańczach i bananach jest mnóstwo potasu, który ma duże znaczenie dla wątroby.

– Kto tak twierdzi?

– Dorothy. Ona bardzo dużo wie o o zdrowym odżywianiu. Przeczytała na ten temat całą masę książek. Można powiedzieć, że jest z tym na bieżąco.

– Mówisz tak, jakby to była fizyka jądrowa. Przypuszczam, że jej nic nie przekona. Ale w tym – Rosemary wskazała brodą miseczkę z ananasem – nie zostało zbyt wiele potasu.

– Trochę jednak zostało. I w końcu to nadal owoc.

– Cóż, rozumiem, że twoja wątroba może potrzebować wszelkiej dostępnej pomocy po nocy szaleństw, jaką właśnie masz za sobą.

– Ale chyba nie zachowałam się okropnie?

– Nigdy nie widziałam, żebyś zachowywała się okropnie. Mam nadzieję, że się dobrze bawiłaś.

– Ucięłam sobie miłą pogawędkę z Peterem. Chyba ci kiedyś mówiłam, że dręczą go wyrzuty sumienia w związku z czymś, co zaszło wiele lat temu.

– Całkiem możliwe – ucięła Rosemary, ale zrobiła to łagodnym tonem.

– Nie ma potrzeby roztrząsać teraz tego wszystkiego. Tak czy owak, wyjaśniliśmy sobie parę spraw.

– To dobrze. Tylko pamiętaj, że masz zjeść przyzwoity lunch. Coś gotowanego, a nie przekąskę.

– Dobrze, zjem przyzwoity lunch. Na starym Malcolmie można w tych sprawach polegać. On dba o takie rzeczy. Nawet za bardzo.

– Co chcesz przez to powiedzieć, mammo?

– Och, nic takiego. Popatrz tylko, to się nazywa życie na pełen gaz: wczoraj wieczór piłam drinka z jednym moim byłym chłopakiem, dzisiaj jadę na lunch i wycieczkę z drugim. Niezłe ze mnie ziółko.

Wiedząc, że matka nie widzi jej twarzy, Rosemary uśmiechnęła się przelotnie, bez wielkiego rozbawienia, wręcz ze smutkiem, ale powiedziała tylko:

– Zrobię, co do mnie należy, kiedy sobie pojedziesz.

– Najważniejsze jest, oczywiście, to małe stworzenie. Wyprowadzaj ją co dwie godziny. O jedenastej zadzwonią w sprawie kosztorysu robót dekarских.

– Każę im zadzwonić jeszcze raz. O której wrócisz?

– Nie wiem. Czy mogłabyś im powiedzieć...

– Wobec tego jutro rano.

– Rzecz w tym, że przyjęliśmy już kosztorys innej ekipy, niższy, i teraz trzeba powiedzieć tym, że ich nie chcemy. Mogłabyś to zrobić? Tylko przekażesz wiadomość.

– Bo gdyby się okazało, że rozmawiają z tymi, którzy nie chcą ich zatrudnić, mogliby wpaść w złość? Rozumiem. Tak, mogę to zrobić. Coś jeszcze?

– Raczej nie. Ale to chyba za mało, skarbie, żeby usprawiedliwić trzymanie cię tutaj przez pół dnia.

– Nie przejmuj się, mnóstwo rzeczy wymaga tu przyłożenia ręki.

I zrobienia wrażenia na tym szczeniaczku, żeby dać się zapamiętać i rozpoznać przy następnych odwiedzinach, co jest całkiem rozsądne, pomyślała Rhiannon, lecz zmieniła zdanie na widok milczącej skwapliwości, z jaką Rosemary pobiegła odebrać telefon.

Na stole leżało pismo ilustrowane, otwarte na horoskopie, którego lektura stanowiła świetną rozrywkę, chociaż nic w tym nie było, to znaczy w astrologii – bez względu na to, co Dorothy miałyby na ten temat do powiedzenia. To właśnie styl, w jakim redagowano tę kolumnę – przejrzyste rozplanowanie stron i wkładka z programem telewizyjnym, kącik poświęcony nowożeńcom i ukazujący się dwa razy w tygodniu komentarz polityczny pióra starego Jimmy’ego Gethina – wiele lat temu dały tej gazecie przewagę nad konkurencją, przynajmniej w oczach Rhiannon. Nadal ją kupowała, mimo że tymczasem wątroba starego Jimmy’ego całkiem odmówiła posłuszeństwa – choć nie wiadomo, czy akurat z powodu braku potasu. Właściwie był on bardziej kumplem Aluna niż jej i nigdy nie czytywała do końca jego artykułów, jeśli pierwszy akapit nie obiecywał ataku na któregoś z lewackich polityków, których działalność śledziła z niepokojem. Na tym jednak kończyły się jej polityczne zainteresowania, a jeśli idzie o literaturę, było niewiele lepiej: interesowała się jedynie tym, co dotyczyło Aluna, a i nawet tego, bądźmy uczciwi, nie śledziła zbyt pilnie.

Na uniwersytecie, pod opieką i kierownictwem Gwen i Dorothy, dokładała wszelkich starań, aby nie mieć w tym względzie zaległości: czytała albo starała się czytać książki z obydwóch tych dziedzin, a także opracowania o sztuce, w których było całkiem sporo ładnych ilustracji. Nigdy jednak nie zaraziła się prawdziwą pasją i mniej więcej w tym samym czasie, kiedy opuściła uczelnię, zarzuciła te wysiłki z mieszaniną ulgi i zażenowania. Zażenowanie pozostało. Nadal rumieniła się na wspomnienie randki z pewnym szczupłym studencikiem, który robił specjalizację z germanistyki i który pod koniec wieczoru rzekł z niedowierzaniem: „Ty się przecież tak naprawdę niczym nie interesujesz”. Nie umiała znaleźć na to odpowiedzi, ani wtedy, ani później – problemy, które ją interesowały, były zbyt drobne i rozproszone, aby można je było pozbierać w temat nadający się do studiowania. Ot i wszystko. Ale to nie było żadne wyjście – machnąć ręką. Nigdy.

Rhiannon usłyszała Rosemary pod drzwiami i z poczuciem winy schowała do kieszeni papierosa, którego już zaczynała wyjmować. Udając pochłoniętą horoskopem, przeczytała, że dla Lwów (czyli dla niej) będzie to odpowiedni dzień, aby sfinalizować transakcję, pod warunkiem wszelako, że swym osławionym rykiem nie zerwą negocjacji.

– Dzwonił William. No wiesz, William Thomas.

– A, tak – rzekła Rhiannon, starając się dobrać stosowne proporcje zainteresowania i zdziwienia.

– Najwyraźniej ma wolny dzień, zaprosiłam go więc do nas. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Ależ nie, oczywiście, świetny pomysł. To... – W ostatniej chwili powstrzymała się przed powiedzeniem: „da ci jakieś zajęcie” i dokończyła dość niepewnie: – ...miło.

– Jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję, kochanie. Chyba już pójdę na górę.

– Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

W łazience Rhiannon powiesiła na wieszaku swój ulubiony obszerny męski szlafrok. Kiedyś podarowała go Alunowi, lecz ten po tygodniu wrócił do swego paryskiego, z morowanego jedwabiu w kolorze szartrezy. Bambosze, zrobione na drutach przez Dorothy z czerwonej włóczki i ozdobione zielonymi R, były odrobinę przyciasne, zwłaszcza lewy przy podbiciu, zrzucała je więc zawsze z pewną ulgą. Koszula nocna była z kolei po prostu biała i bawełniana, wykończona lamówką haftu angielskiego. Na szklanej półeczce nad umywalką stała nie napoczęta plastikowa butelka szamponu ziołowego z tekturową zawieszką wokół szyjki. Za sześć takich zawieszek, jak się przekonała, sięgnąwszy po okulary, można było dostać zupełnie za darmo koszyk na rośliny doniczkowe, więc ostrożnie zdjęła ową zawieszkę i wsunęła do szuflady łazienkowej szafki. Ostatnimi czasy nawet najdziwniejsze oferty spotykały się z jej całkowitą przychylnością. Odpowiadanie na nie miało w sobie coś z grania na wyścigach: można było przegrać, jak choćby w przypadku tych firmowych noży kuchennych (osiem etykietek z pasztecików wieprzowych i czek na 8,55, wliczając w to koszt przesyłki), które zachowały ostrość przez mniej więcej dwadzieścia minut.

Weszła pod prysznic, przeszklony, z masywnym pokrętleń ze skalą i kodem kolorów, które wyglądało jak urządzenie na mostku atomowej łodzi podwodnej. Razem z centralnym ogrzewaniem oraz niektórymi elementami wyposażenia kuchni, natrysk ów stanowił świeżą inwestycję poprzedniego lokatora, właściciela warsztatu samochodowego, który nie zdążył się nią nacieszyć, zanim prowadzone przez niego volvo zderzyło się czołowo ze ścianą (w chwili zderzenia kierowca jednak już nie żył – zmarł wcześniej, jak ich pocieszono, na atak serca). Rhiannon jeszcze nie przyzwyczaiała się do tej kabiny i nadal obsługiwała pokrętleń metodą prób i błędów, choć nie obawiała się już zlania siebie lodowatym strumieniem lub syczącym ukropem. Szampon, który, jak głosiła etykieta, był na tyle łagodny, że można go było stosować codziennie, został rozprowadzony na włosach, spłukany i rozprowadzony ponownie. Pozostał tam przez niezbędne dwie minuty, podczas których Rhiannon namydliła się, a w końcu spłukała dokładnie, po czym zrosiła całe ciało zimnym tuszem dla ujędrnienia skóry.

Stojąc na szybko schnącej macie i wycierając się ręcznikiem kąpielowym, oceniała jednocześnie jaskrawość słonecznego światła wpadającego do łazienki przez matową szybę. Wreszcie podjęła decyzję: delikatnym poklepywaniem osuszyła nieco nogi i na jeszcze wilgotne naniosła nieco pudru w kremie, rozprowadzając go równo i maskując tym samym między innymi nieciekawe żyłki. Jeszcze kropelka „Sure” tu i ówdzie, muśnięcie talkiem góra-dół, a potem w szlafroku i bamboszach przez korytarz, wołając po drodze Rosemary.

Jeśli nie liczyć paru pękatych waliz pod oknem oraz jakiejś sukienki czy kostiumu, sypialnia wyglądała schludnie: na pierwszym planie jej wspaniała, stara wiktoriańska toaletka na marmurowym postumencie, z ciężkim, owalnym stojącym lustrem i wysokim dzbanem malowanym w paki róż, w którym stały róże z ogrodu. Tutaj rozczesała włosy, powtarzając sobie jak zwykle, że pod tym względem należy do szczęściarzy, bo los obdarzył ją włosami gęstymi i podatnymi na układanie, i nawet teraz wystarczała jedynie odrobina podkolorowania. Ciągle jeszcze się nimi zajmowała, gdy weszła Rosemary.

– Co masz na nogach, mamó?

– „Sheer Genius”. Tak to się nazywa. Zwróciłam na to uwagę – Maxa Factora. Kupiłam to na twarz, ale okazało się zbyt ciemne. Nazywają to też „ton miodu”. Przypuszczam, że chodzi o kolor.

– No dobrze, ale co to robi na twoich nogach?

– Hm, miałam do wyboru to albo pończochy, ale pomyślałam, że na dworze jest zbyt ładnie na pończochy.

– A zdajesz sobie sprawę, że odcień nóg jest teraz inny niż odcień rąk?

– Oczywiście, ale mężczyźni nie zauważają takich rzeczy. Z reguły.

Rosemary dała za wygraną. Podczas tej wymiany zdań przygotowywała suszarkę, a teraz skierowała ją na włosy matki, nie zanadto wprawnie czy gorliwie, lecz wystarczająco niezawodnie. Operując dmuchawą i grzebieniem, rozglądała się jednocześnie po pokoju, szczególnie uwagą darząc leżące na wierzchu damskie ubrania, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, drzwi uchyliły się i do pokoju niezdarnie wbiegła Nelly. Zdawała się niezbyt ukontentowana tym, że jej przybycie nie zostało skwitowane okrzykami zachwyty i radości, które to uczucia powinno było przecież wzbudzić. Dopełniwszy szybko formalności powitalnych, wpęzła prosto pod łóżko i zaczęła warczeć zapalczywym dyszkantem.

– Powinam była ją zamknąć na dole – powiedziała Rosemary.

– Wszystko w porządku. Musi się przecież nauczyć poruszać po domu.

– A nie lepiej by było, gdyby zaczęła się tego uczyć po wytresowaniu?

– Cóż, to wszystko należy do tresury: nauczyć się nie popuszczać, kiedy jest tu, na górze.

Rosemary zajrzała pod łóżko, żeby sprawdzić, co też szczeniaczek tam porabia.

– Wiesz, że wzięła sobie twój bambosz?

– Nie szkodzi – odparła Rhiannon, upewniwszy się, że bambosze od Dorothy tkwią bezpiecznie na jej stopach. – Ten może sobie brać.

– Nie możesz jej pozwalać przeżuwać wszystkiego, na co ma ochotę. W ten sposób jej nie wytresujesz.

– To się samo dotrze. – Rhiannon zastanawiała się, czy powiedzieć córce, że zmieni zdanie, kiedy już sama będzie miała dzieci, ale dała sobie spokój. – Nie można ich przez cały czas pilnować. Dobrze, kochanie, świetnie, dzięki. Lubię, kiedy są odrobinę wilgotne.

– Co? Aha, w co zamierzasz się ubrać na ten wypad, mamo?

– Myślę, że w ten niebieski dżinsowy kostium.

– Uhm. – Towarzyszące temu skinienie głową nie wyrażało żadnej opinii. – A co do tego?

– Mam białą bawełnianą koszulę z długimi rękawami, które wystają z mankietów żakietu. A jeśli się zrobi gorąco, mogę zdjąć żakiet i podwinąć rękawy. Ale oczywiście tylko wówczas, kiedy nie będzie widać moich nóg.

– Hej! – zawołała Rosemary na Nelly, która bezwstydnie przykucnęła na dywanie. – Fu! – dodała, chwytając szczeniaka na ręce i wynosząc z pokoju.

– Nie zapomnij powiedzieć jej...

– Wiem, wiem, mamó.

Rhiannon zerknęła w lustro i poprawiła włosy. Miała sobie za złe, że nie może się wprost doczekać tej wycieczki. To, jakim głosem Malcolm zapraszał ją najpierw przez telefon, a później jeszcze, jak potwierdzał wszystko minionego wieczoru w klubie, zaintrygowało ją i zaniepokoiło, i nie miało to nic wspólnego z jego dawną niezdarnością, która zresztą nigdy nie stanowiła problemu. Nie, w tym coś było – być może brało się to z pauz, które robił w trakcie mówienia, a które kazały się jej domyślać, że podczas planowanej na pół dnia wycieczki szykuje się coś więcej, niż można z pozoru sądzić. Splotła dłonie.

Dobiegający z dołu głos córki, stosownie podniesiony w nieskrywanym zachwycie i radości, otrzeźwił ją i popchnął do działania. Zanim Rosemary wróciła do sypialni, Rhiannon siedziała już w staniku i majtkach przed lustrem i nanosiła na twarz podkład.

– Pozostaje mi tylko powiedzieć, że możesz się uważać za szczęściarę, że nie uroniła tego czegoś tutaj.

– Dobrze, kochanie, dziękuję.

– W porządku. A teraz rzućmy okiem na to, na ten kostium, o którym już tyle słyszeliśmy. Chyba go lubisz, prawda?

– Hm, dobrze się w nim czuję.

– Uhm. – Rosemary przyjęła to do wiadomości. – A co z butami?

– Myślałam o tych. – Rhiannon wskazała na sznurowane, również z niebieskiego džinsu.

Było trochę kontrowersji wokół bluzki, i nawet rozważano jako alternatywę ceglastą, z falbankami, jedwabną, ale po krótkiej przymiarce wrócono do poprzedniej wersji, i w końcu, pokropiwszy się otrzymaną na gwiazdkę wodą kolońską, Rhiannon zeszła dziarskim krokiem po schodach, niosąc na ramieniu płócienną torbę w piaskowym kolorze. Nie włożyła żadnej biżuterii z wyjątkiem ślubnej obrączki.

W kuchni Rosemary zrobiła kawę i w dość beztróskim nastroju przejrzała zawartość torby Rhiannon: puderniczka, zapasowa chusteczka, portmonetka z najważniejszymi numerami telefonu w okienku, szczoteczka do zębów – wszystko to odkładane było z powrotem w wyrozumiałym milczeniu. Aż tu naraz...

– Wielkie nieba, a cóż to takiego? – zawołała jakby w najwyższym zdumieniu.

– Plastykowy deszczowiec. Zwinięty.

– Nie jestem ślepa, widzę. Doprawdy, mam, czemu nie weźmiesz parasolki?

– Wciąż je gubię. Zostawiam w różnych miejscach.

– Są takie, które można tak poskładać, że mieszczą się w torebce. I wcale nie kosztują fortuny.

– Aleja takiej nie mam.

– Aha. Domyślam się, że do kompletu jest jeszcze kapelusz?

– Nie, jest dopinany do kołnierza kaptur, który opada mi na oczy. Będę go miała na sobie przez cały lunch, jeśli nie przestaniesz mi dokuczać.

Rosemary jeszcze raz zerknęła do torby.

– Dziwne, ale nie widzę tu żadnych kaloszy.

– Poczekaj, zaraz przyniosę gumki ojca.

– Już lepiej pożyczę ci moją parasolkę.

– Nie, bo zgubię. A poza tym nie ma powodu, aby traktować mnie jak czternastolatkę.

– Ależ jest. Bo z ciebie istna czternastolatka. Kiedy ja miałam tyle lat, ty byłaś dużo starsza, ale się cofnęłaś. Teraz masz czternaście lat. Może nie?

– Uhm – pisnęła Rhiannon i zaczęła krzywić się i tupać nogami.

Zadzwonił telefon. Rosemary dopadła go pierwsza i spytała, kto mówi. Z kamienną twarzą wręczyła matce słuchawkę.

– Gwen.

– Cześć, Gwen.

– Rhiannon, kochanie, mówi Gwen. – Słowa te oraz sposób, w jaki zostały wypowiedziane, rozwiewały nadzieję na to, że po nich nastąpią serdeczne przeprosiny albo słowa skruchy. – Dziękuję za wystrzałowe przyjęcie. Świetnie się bawiłam, a właściwie pod koniec to już nawet zbyt świetnie, bo chyba urwał mi się film. Mam nadzieję, że nie było to dla ciebie zbyt kłopotliwe.

– Wszystko w porządku.

– Obawiam się, że mam niejakie skłonności do złości się czasem troszeczkę na naszego biednego drogiego Aluna z powodu... z jakiego to, u licha, powodu się na niego złościę? Aha, chyba można to objąć wspólną nazwą: Walia, z przeproszeniem. Rzecz w tym, rozumiesz, że moim zdaniem jest w nim coś, odrobineczka, z Walijczyka na pokaz, sam to zresztą przyznaje, co mu się chwali. Może nawet nieco więcej niż odrobineczka. Tak czy inaczej, on ma mnie za starą zasuszoną belfrzącą. Cóż, w ten sposób dochodzimy do sedna sprawy. I wszystko jest w najlepszym porządku, dopóki nie zdarzy się, że piję zbyt szybko, bo się dobrze bawię, i Alun nie powie czegoś, co ma coś wspólnego z nie wiem już czym, i wtedy okazuje się, że już...

– Wszystko w porządku, moja droga. Było, minęło.

– Hm... obawiam się, że nie wypadło to zbyt ładnie. Kiedy piję, czasem robię się nieprzyjemna. Jest tam gdzieś Alun w pobliżu?

– Nie, wyjechał na cały dzień.

– Później z nim porozmawiam. Przyjęcie naprawdę się udało. Zadzwoń jeszcze raz.

– Do zobaczenia, kochanie.

– Szczęśliwie się złożyło, że macie ładną pogodę na tę waszą wycieczkę. Malcolm jest cały podminowany. Bawcie się dobrze.

Rosemary, która po chwili wahania pozostała jednak w zasięgu głosu, posłała matce pytające spojrzenie, a ta odwzajemniła się jej udawanym rozżaleniem.

– Rozzłościła się z powodu czegoś, co tatuś powiedział o Walii.

– Ach, rozumiem. Co za ulga! Musiało ją to sporo kosztować, ale w końcu gładko wybrnęła.

– Cóż, faktycznie. Mam na myśli ulgę. Ostatecznie jedna z nas musiała znaleźć sposób, abyśmy mogły nadal być przyjaciółkami.

– Musiała? Ona nie jest wystarczająco miła, aby być jedną z twoich przyjaciółek.

– Nie jest taka najgorsza. Kiedy ludzie znają się tak długo, tego rodzaju sprawy przestają mieć znaczenie.

– Zbyt łagodnie się z nią obeszłaś.

– Już za późno, żeby zaczynać obchodzić się ostro z ludźmi pokroju Gwen. Wyjdźmy na zewnątrz. Malcolm najwyraźniej wyruszył już w drogę.

Rhiannon wzięła torbę. Kiedy wychodziły, Rosemary objęła ją w płu.

– Czy ty się w ogóle nie przejmujesz... tym wszystkim?

– Ależ jak najbardziej, przejmuję się, i to jak diabli. Ale na tym koniec, nie pozwalam sobie na nic ponad to. Żadnych rozpamiętywań czy wspominków, czy szukania powiązań. To bez sensu. Dopóki nie wiem. A jak na razie nie wiem.

– Mamo, szkoda, że nie pozwolisz mi...

– Nie rozmawiajmy teraz na ten temat. Ogród przed domem był niewielki. Rosła tam soczystozielona trawa, jaką często widziało się w tych stronach, i trochę kwiatków na zaniedbanych klombach – na jednym z nich pyszniła się wielka kępa kanterberyjskich dzwoneczków. Nelly otarła się o nie w pędzie, następnie zawróciła ścieżką i bez wysiłku pokonała przeszkodę w postaci szerokich na trzy cale stopni. Daleko na południe rozciągał się piękny widok na las i cieniste trawniki, i dalej, ponad niewidocznym klifem, aż do szerokiej łąchy połyskującego wilgotno w słońcu piasku, i do morza z kilkoma żaglami, ciągnącego się jak okiem sięgnąć. Tuż nad linią horyzontu było trochę białych chmur – nic nie zapowiadało brzydkiej pogody.

– Nie możesz się już doczekać, mamo, prawda?

– O tak. Cóż... tak.

– A co jest tą łyżką dziegciu?

– No cóż, on jest... To bardzo miły człowiek. Nie ma w głowie brzydkich czy nieżyczliwych myśli, ale jest troszkę za bardzo pochłonięty samym sobą. Ma skłonność do mówienia różnych rzeczy tylko dlatego, że ma ochotę je powiedzieć, nie zastanawiając się, jakie wrażenie zrobią na innych ludziach. Rzuca je ot, tak sobie.

– Jak na przykład to, że przez całe życie nie kochał nikogo innego prócz ciebie.

– Na przykład.

– Cóż, jeśli nie jest to nic gorszego, to sędzę, że nie musisz się zbytnio przejmować. Z pewnością dasz sobie z tym radę. Niewątpliwie masz sporą wprawę.

– Och, daj spokój, kochanie!

Rosemary przyglądała się matce przez chwilę, zanim podjęła:

– Może, oczywiście, wprowadzić cię w zakłopotanie na przykład w kwestii Gwen.

– Raczej nie. On rozumie, że takich rzeczy nie należy robić, a zresztą pewnie nie zdaje sobie sprawy, że cokolwiek zaszło.

– Co chcesz przez to powiedzieć, mammo?

– Już ona go przekona do swojej wersji.

– Przekona?

– Tak, jeśli się będzie upierać, że to nie miało z nim nic wspólnego. A będzie – powiedziała Rhiannon i zwróciła się do suczki, która w napięciu śledziła jej ruchy: – Dziś ze mną nie jedziesz. Przykro mi, ale nie.

– Mój Boże! – zawołała Rosemary. – Chyba nie wyobrażasz sobie, że ona to rozumie?

– Nigdy nie wiadomo. Teraz prawdopodobnie nie, ale zanim dorośnie, nauczy się rozumieć takie rzeczy, i naprawdę nie wiadomo, kiedy się to zaczyna. Wszystko jest częścią tresury.

– Hm, ostatecznie jest twoja. Ale, ale, czy to nie on?

– Myślę, że... tak.

– Jeśli zamierzasz, mamu, wyglądać przez cały czas tak ładnie jak teraz, obawiam się, że będziesz musiała zacisnąć zęby i przygotować się na miłosne wyznania.

Nie czekając na polecenie, Rosemary poszła wyciągnąć szczeniaczka spod krzewu laurowego, pod którym się zaklinał, i wzięła go na ręce. Rhiannon odwróciła się i poprawiła włosy, przeglądając się w szybie okna salonu, po czym zręcznie urwała ledwie rozkwitłą żółtą różę, którą sobie wcześniej upatrzyła, lecz do ostatniej chwili pozwoliła jej zostać na krzaku. Na koniec obie kobiety odsunęły się od siebie troszeczkę, aby nie wyglądać na zbyt upozowane.

Malcolm wysiadł ze swego lśniącego jaskrawoniebieskiego samochodu i za drugim podejściem zatrzasnął drzwiczki. Ubrany był w marynarkę do konnej jazdy w odrobinę za dużą ciemnoczerwoną, zieloną i beżową kratę, bryczesy, do których musiał być niezwykle przywiązany, bladozielony fular czy apaszkę, która wyglądała, jakby wypisano na niej: „Na łono natury z była lubą”, oraz, dzięki Bogu, gładką koszulę i zwykłe, brązowe sznurowane trzewiki. Z bliska można było dostrzec na jego policzku ślad po zadraśnięciu brzytwą, który jemu musiał doskwierać tak, jakby to był wielki pryszcz na czubku nosa, dla innych zaś niewart był ponownego spojrzenia. Niósł opakowany w folię bukiet czerwonych róż i różowych goździków wartości dobrych czterdziestu funtów, który wręczył Rhiannon pośpiesznie i z odległości wyciągniętego ramienia.

– Strasznie miło cię widzieć – wymamrotał, najwyraźniej wyrzucając z siebie przygotowaną wcześniej kwestię, po czym z niezamierzoną szorstkością zawołał: „cześć!” do Rosemary, którą widział już kilka razy, ale zawsze przelotnie, i której zupełnie się tu nie spodziewał. Wreszcie zauważył szczeniaczka i rozluźnił się trochę. – O, doprawdy, jaki wspaniały towarzysz.

– Jak się masz, Malcolm – powitała go Rhiannon. – To towarzyszka, jeśli chodzi o ścisłość...

Dodała jeszcze parę zdań: że musiałyby widzieć psiaka chwilę wcześniej, że przeżuwa wszystko, co popadnie, itd. Mówiąc to wszystko, wsunęła mu żółtą różę do butonierki, a bukiet przekazała Rosemary, która tymczasem, uznawszy widać, że Nelly się uspokoiła, postawiła ją na trawie.

– Wstaw je do tego ślicznego wazonu od Wedgwooda, będą w nim wyglądały cudownie, i znajdź im jakieś chłodne miejsce. – Rhiannon czuła się zbyt onieśmielona, aby przystąpić do rytualnych podziękowań. – Kiedy wrócę, zdecydujemy, gdzie je postawić. Nie spodziewaj się mnie przed piątą, bo mam jeszcze do załatwienia w mieście parę spraw.

Ostatnie zdanie wypowiedziała, patrząc ponad ramieniem córki.

Gdy Rhiannon usiadła w samochodzie obok Malcolma, zauważyła na półeczce przed nim zwiniętą czapkę z daszkiem z materiału prawie takiego samego jak marynarka. Mogła jedynie mieć nadzieję, że już ją przymierzał i że się rozmyślił, więc jej znienacka nie zaskoczy. Westchnęła rozluźniona, a w każdym razie starała się rozluźnić. W powietrzu unosił się delikatny, przyjemny zapach, a całe wnętrze zdradzało ślady wielogodzinnego porządkowania i czyszczenia. W pewnym sensie trudno jej było to zrozumieć, zupełnie tak samo jak coś, co zapamiętała sprzed wielu lat: pochwaliła go kiedyś za wyraźny i schludny charakter pisma, a on podziękował i powiedział, że bez względu na to, jak nudne lub mało ważne miałyby się okazać to, co pisze, przynajmniej oszczędzi czytającemu mozołu odcyfrowywania liter. Podobnie jest z lektorem i jego obowiązkiem doskonałej dykcji, dodał.

Pierwsze minuty upłynęły w miarę gładko na pogawędce o Rosemary, potem przelotnie o Alunie, potem nie mniej przelotnie o Gwen. Był to pomysł Rhiannon – wałkować temat, aż stanie się zwyczajny. Następne parę minut minęło jeszcze gładziej, bo jako że zbliżali się do wyspy, wymieniali uwagi na temat krajobrazu. Rhiannon całkiem niedawno była w tych stronach i razem ze sporą grupą poszła na poobiedniego drinka do „Króla Artura”, tuż przy zjeździe z autostrady. Wypad okazał się krótki, bowiem w barze pełno było tłustych młodych aktywistów lewicowych z sobotnio-niedzielnymi kursów, którzy składali zamówienia w rodzaju: Blue Curaçao z sokiem z owoców passiflory. Teraz jednak szybko minęli to miejsce, zmierzając tam, gdzie nie była od przynajmniej dziesięciu lat, a może i dłużej.

W oczach Rhiannon zieleń zdawała się zieleńsza i bujniejsza niż kiedyś, zaś wierzchołki wzgórz chyba niższe, choć trudno było to stwierdzić, kiedy wokół panował taki okropny tłok. Zbliżając się do zatoki Chaucer od zachodu, poczuli się jak w środku miasta w sobotni poranek: samochody, autobusy z Cardiff i – była niemal pewna – z Hamburga, rowery i oczywiście wozy kempingowe, których setki stały szeregami, niczym baraki jakiegoś wojskowego obozowiska, na całej szerokości porośniętego janowcem zbocza opadającego do zatoki.

– Przykro mi – powiedział Malcolm, kiedy znowu musieli się zatrzymać. Nie wyglądał jednak na zmartwionego. Zdawał się raczej cieszyć na myśl o tym, o ile gorzej sprawy by się miały, gdyby musiał teraz podjąć jakąś decyzję czy cokolwiek zrobić.

– Mamy mnóstwo czasu. – Rhiannon z przykrym niepokojem uświadomiła sobie, jak wielkie mnóstwo.

– Cieszę się, że wzięłam to w rachubę. Hm, zastanawiające: wpół do dwunastej w środku tygodnia, a przecież semestr się jeszcze nie skończył.

Rhiannon wspomniała coś o pogodzie, wzdychając w duchu. Taki już był ten poczciwy stary Malcolm. Nawet by mu nie przyszło do głowy, żeby zacząć utyskiwać: a to, że ciekawe, skąd ci ludzie mają tyle pieniędzy, a to, że na tym właśnie polega recesja, a to, że szara strefa i porozumienia w sprawie płac minimalnych, i nie dla psa kiełbasa, i kto by się tam troszczył o emerytów. Wszyscy, którzy w tej chwili przychodzili jej na myśl, z wyjątkiem Rosemary, dawno by już to wałkowali. Nawet Alun, chyba że w pobliżu byłiby jacyś ludzie.

Podjechali jeszcze kilka jardów i minęli zakręt. Mimo że Malcolm cały czas trzymał się zderzaka samochodu przed nimi, Rhiannon miała dobry widok na zaśmieconą kamienistą drogę do plaży oraz poruszających się po niej półnagich ludzi, jak jeden mąż obładowanych pojemnikami z prowiantem i napojami, namiotami, łódkami, akcesoriami sportowymi, wszelkimi drobiazgami niezbędnymi lub przydatnymi dzieciom, których kręciło się tam mnóstwo – czy to w czasie roku szkolnego, czy wakacji. Już po chwili mijali istne miasteczko plastikowych straganów i budek, w których plażowicze mogli się zaopatrzyć w dobra wszelkiego asortymentu: kosmetyki, ozdoby i licho wie co jeszcze. Niektóre nawet nie takie znów plastikowe, lecz z pewnością... Butik z konfekcją plażową na plaży? W południowej Walii? Teraz?

Potem zmieniły się światła i jęli przeciskać się pod górę, pomiędzy grupkami młodych ludzi opuszczających parking bez koszul na grzbietach i nawet w najmniejszym stopniu nie przejmujących się swym okropnym wyglądem. Ze szczytu roztoczył się przed Rhiannon widok, jakiego nigdy przedtem nie widziała, na cały – jak plaża długa i szeroka – bezmiar piasku usianego ruchomymi lub nieruchomymi figurkami. Niektóre zapuściły się aż po zatokę Rundle, skąd będą musiały zawrócić, gdy nadejdzie przypływ, albo też podjąć stromą wspinaczkę ku szosie. Za dnia, jak sobie przypomniała, nie przedstawiało to trudności, ale po zmroku, z próbującym ci pomóc nachalnym facetem, nie było wcale zabawne.

– Jak to dawno temu, prawda?

Taki przejaw telepatii był u Malcolma czymś niezwykłym. Rhiannon rzuciła mu pełne uznania spojrzenie, po czym powiedziała:

– Tak, dzięki Bogu.

– Co? Och, miałem na myśli chodzenie na plażę, kąpiele w morzu i tym podobne rzeczy, które kiedyś wszyscy robiliśmy.

– Ja też. Tak, wszyscy kiedyś to robiliśmy. Masz ochotę popływać? – Zanim zdążył pomyśleć, że ona proponuje mu kąpiel w morzu, Rhiannon ciągnęła: – Masz ochotę pojechać z nami do Courcey? I już się leciało, bez zastanowienia. Tak jak... hm, jak w przypadku wielu innych rzeczy w tamtych czasach. Nigdy nie przepadałam za pływaniem.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, byłeś w tym całkiem dobra.

– Niezła. Oczywiście, w wodzie czułam się nawet przyjemnie, kiedy już udało mi się do niej wejść. Ale po wyjściu – paskudnie. Ta nadzieja, że się wygląda świetnie z mokrymi włosami, i to uczucie, że na wietrze zamieniają ci się w siano.

– No tak, ale czy dziewczyny nie nosiły wtedy czepków? Czepków kąpielowych?

– Tylko te, którym nie przeszkadzało, że ich twarze wyglądają jak księżyc w pełni. Zdumiewające, że teraz mi się to przypomina, aż trudno uwierzyć. I ta półsiedząca pozycja, z nogami na bok, kiedy się uśmiechało, a jednocześnie próbowało wyczuć, czy pośladki nie wystają poza kostium kąpielowy. Nie tylko ja to przeżywałam, również Gwen i Sian, i Dorothy, my wszystkie. Zwykliśmy...

– Ale wtedy wydawałyście się tak cudownie...

– Upozowane? Szkoda, że nie wiesz, jak to naprawdę wyglądało. I to okropne opalanie się. Pamiętam poważną dyskusję w Brook Hall o tym, na jaki stopień zaczerwienienia twarzy można sobie pozwolić za jednym razem. I co należy zrobić z włosami na nogach i pod pachami. Trudny wybór. I każde rozwiązanie miało mankamenty.

– Ale przecież lubiałaś to – wtrącił niecierpliwie Malcolm.
– Częściowo.

– O tak. Zauważało się takie rzeczy jak włosy, i że piasek to takie paskudztwo, ale nie ogarniało się tego wszystkiego. Człowiek analizował, jak toczą się sprawy, co się później wydarzy i czy da sobie z tym radę. Tak naprawdę to nie byliśmy upozowane, starałyśmy się jedynie z niczym nie zdradzić. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że i dla chłopaków to nie była bułka z masłem – zakończyła w zamyśleniu.

– Nie. – Malcolm obrzucił czujnym spojrzeniem pustą teraz szosę. – Nie, absolutnie nie – dodał.

Odczekawszy chwilę, Rhiannon podjęła:

– Dotyczyło to nie tylko chodzenia na plażę. Plaża to była ważna rzecz, ale gdzie jej tam do tańców. – Kiedy spostrzegła, że Malcolm uśmiecha się i mruga niepewnie, ciągnęła: – No, rozumiesz, chodzenie na potańcówki. Z orkiestrą i partnerami, i fokstrotem, i tym wszystkim. Trzymanie się razem, to było to. Przed wyjściem z Brook Hall Dorothy robiła zbiórkę w szeregu i upewniała się, że wszystkie byłyśmy w ubikacji, po to, aby później nie było żadnego wymykania się. Potem stało się w grupce i czekało, aż ktoś cię poprosi do tańca. A jednocześnie miało się ochotę obgryzać paznokcie i rozważało się, czy ramiączko od stanika, które powinnaś była sobie przypiąć, nadal ukryte jest pod ramiączkiem sukienki. W każdym razie ja tak robiłam. A ty nie przejmowałaś się takimi sprawami?

– Tak, chyba się przejmowałam.

Rhiannon pomyślała, że później spróbuje jeszcze raz. Jak dotąd, najwyraźniej nie podążała właściwą drogą do celu, jakim było doprowadzenie go do przyznania się do tych samych udręk, przez jakie przechodziła ona sama i wszyscy inni, co pomogłoby mu zrozumieć, że reguła działała w obie strony, że ona była na swój sposób tak samo zażenowana i niewprawna, jak on na swój. Miała zamiar mu udowodnić, że nie jest dziwaczną istotą, czymś pomiędzy Królową Śnieżką a dziką bestią, za jaką on zdawał się ją uważać, lecz jego prawdziwą przyjaciółką, można już nawet powiedzieć – starą. Cóż, nadal pozostawało im mnóstwo czasu.

– Takie były tamte czasy – odezwał się Malcolm, jakby nagle doznał oświecenia. – Mogę jedynie powiedzieć, iż mam nadzieję, że mimo wszystko były pewne... że się tak wyrażę... okoliczności łagodzące.

– Ależ tak, Malcolm, nie zrozum mnie źle, to straszne, ja tylko...

– Bo oto dzisiaj, jakkolwiek na to spojrzeć, urządzamy sobie przechadzkę po „alei wspomnień”. – Powiedział to tak, jakby to on sam wymyślił to określenie albo przynajmniej był pewien, że go ostatnio nie słyszała.

– Tego tutaj nie było – rzuciła tak szybko, że dobrą chwilę zabrało mu uświadomienie sobie, iż miała na myśli coś konkretnego, coś, obok czego właśnie przejeżdżali: rodzaj chaty czy baraku z prefabrykatów, obwieszzonego mnóstwem tabliczek z krzykliwymi napisami reklamującymi jedzenie. Wokół pełno było śladów opon, ale w tym momencie nie było widać żywej duszy. W zaskakująco ostrym słońcu budynek ów robił wrażenie miejsca, które podziwia się z daleka i bez ochoty, aby się w nim znaleźć, zupełnie jak jakieś nowe osiedle mieszkaniowe w Meksyku.

– To wstrętne – zauważył Malcolm z przekonaniem. – Też to widzę po raz pierwszy. One wprost wyrastają spod ziemi. Teraz wszędzie jest tak samo.

To ostatnie zdanie wciąż obijało jej się o uszy, często w parze z innym, o grochu i ścianie. Wszystkich ich to chyba w końcu, prędzej czy później, dopadało, nawet kogoś takiego jak stary, poczciwy Malcolm, który nigdy nie utyskiwał, skąd ci ludzie mają tyle pieniędzy. Ale skoro już zaczął ten temat, to przynajmniej odwlekło się trochę dotykaniu tych drażliwych. Nie było jednak kontynuacji, a gdy się znowu odezwał, zrobił to całkiem nowym, marzycielskim tonem, co w jego przypadku nie było dobrym znakiem.

– Podobno z biegiem lat ludzie się zmieniają – zaczął, i już się wydawało, że na tym koniec, kiedy pośpiesznie dodał: – I rzeczywiście często tak bywa. Pamiętasz faceta nazwiskiem Garrod? Miles Garrod? Sporo występował na scenie. I był całkiem niezły. Grał Marlowa w *Triumfie w uniżeniu* Goldsmitha w „Arts Theatre”.

– A, tak – skłamała Rhiannon. Kiedy nie miało to specjalnego znaczenia, robiła tak często, tylko z Alunem nigdy nie próbowała. Postępować inaczej wydawało się zbyt dużą drobiazgowością i zarozumiałstwem, a poza tym w końcu i tak padały wyjaśnienia. Taką miała taktykę. Ludzie czasami zastanawiali się z wdzięcznością, jak to możliwe, żeby nigdy wcześniej nie słyszała historyjek, które zamierzali jej opowiedzieć.

– Cóż, ręczę, że nie poznałabyś go teraz, Rhi. Wpadłem na niego przypadkiem parę miesięcy temu, na pewnym ślubie w Caerhays. A właściwie nie wpadłem, dzięki Bogu, lecz ktoś mi go wskazał i powiedział, że to stary Miles Garrod. Spytałem: gdzie, a facet powiedział: o, tam, więc popatrzyłem, i rzeczywiście, stał tam, tylko całkiem inny. Inny człowiek. Nawet nie specjalnie postarzały czy niesympatyczny. Po prostu inny. Ktoś inny.

Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, mógł sobie teraz pozwolić na dorzucenie paru słów o tym, co Miles Garrod obecnie porabia – jednak nie: powracając do marzycielskiego tonu i ani chybi rozpoczynając od nowego wiersza, ciągnął:

– Ale niektórzy ludzie się nie zmienili, a w każdym razie nie w zauważalny sposób. Ty, Rhiannon Weaver, ty się nie zmieniłaś, ty nie. Nadal jesteś tą samą osobą, którą znałem... hm, powiedzmy, wtedy.

– Co za głupstwa, przytyłam co najmniej...

– Nie, nie, w gruncie rzeczy się nie zmieniłaś. Twój sposób poruszania się, spojrzenie, wszystko. Na twój widok tego pierwszego wieczoru...

Pozwoliła mu mówić, lecz zachowała czujność, na wypadek gdyby zdarzyło mu się zboczyć na zakazany teren. Przeciwno nagłym wynurzeniom, o jakich napomknęła Rosemary, nie sposób się było zabezpieczyć – mogła jedynie być w pogotowiu.

– ...kiedy cię widziałem po raz ostatni osiem lat temu...

Trochę dawniej, ale powiedział to z takim przekonaniem, a w końcu co to za różnica. Teraz już niewielka, to pewne.

– ...nigdy dłużej niż przez kilka minut...

Cóż, pamiętała te wieczory, nawet jakieś weekendowe odwiedziny raz czy dwa, a z pewnością jedną wizytę, podczas której zdarzyło jej się uciąć sobie z Gwen pogawędkę na temat mającego się narodzić w 1959 dziecka, czyli starszej siostry Rosemary, ale skoro on wolał to widzieć w ten sposób, nie miała nic przeciwko temu.

– ...widziałem cię po raz pierwszy od... wtedy. Gdy czytałem o ludziach, którzy mają uczucie, jakby lata przeciekały im przez palce, myślałem, że to tylko takie wyrażenie, tylko przenośnia. Ale mnie się to właśnie zdarzyło. – Rzucił na nią spojrzenie kątem oka. – I ja wiedziałem, że tak będzie. Nie pytaj, skąd – zakończył, na wszelki wypadek.

STOGUMBER 1 PETERSTOW 2½, informował drogowskaz. W Peterstow mieli zamówiony lunch. Ile to minut?

Pięć? Jedna i ćwierć? Rhiannon skrzyżowała palce lewej ręki. To okropne z jej strony, tak myśleć, ale nie myśleć tak nie sposób: jeśli tylko sprawy nie zabrną dalej niż do tej pory, to wszystko w porządku. Do punktu, w którym się obecnie znajdowali, dotarli całkiem szybko, to fakt, i w dodatku bez wsparcia w postaci alkoholu, ale możliwe, że ośmieliło go to, że jako kierowca nie musiał napotykać jej spojrzeń, a poza tym właściwie nic takiego jeszcze nie powiedział i niewykluczone, że na tym się skończy.

Samochód zbliżył się do szczytu wzniesienia, jakieś sto stóp powyżej wioski Stogumber, i nic pomiędzy bezkresnym teraz morzem po prawej a gęstą zielonością po lewej nie wskazywało na upływ czasu.

– Nie chodzi mi jedynie o to, że nie zmieniałaś się zewnątrz – powiedział Malcolm, rozwiewając i tak przecież wątłą nadzieję. – Nie trzeba lupy, żeby to zauważyć. – Zrobił pauzę i nabrał powietrza. – Mam również na myśli twoje wnętrze. Ale pod tym względem wszyscy chyba nie zmieniamy się zanadto, nie sądzisz? Wewnętrznie?

Rhiannon starała się to rozważyć.

– Nie, chyba nie.

– Co do mnie, to zdaję sobie sprawę, że zewnątrz bardzo się zmieniłem. Stary, zramolały dureń, oto, czym się stałem. Żadnych skarg, ale tak wygląda prawda. – Siedząc za kierownicą, pokiwał głową.

– Wcale tego tak nie widzę – obruszyła się. – Zramolałość to dokładne przeciwieństwo twojego stanu. Jesteś w znakomitej formie i świetnie wyglądasz, i zachowałeś bujną strzechę, i w ogóle. Z powodzeniem mógłbyś uchodzić... za dużo młodszego.

W naturze Malcolma nigdy nie leżało ukrywanie uczuć w rodzaju zadowolenia z komplementu, i była to cecha, której z pewnością nie zatracił. Inną taką cechą była zdolność zręcznego sugerowania innym, kiedy mają powiedzieć komplement i jak mniej więcej ma on wyglądać, a potem mimo wszystko umiejętność odczuwania radości z jego usłyszenia.

– Och, doprawdy, Rhi – powtórzył parokrotnie, po czym dokończył: – W każdym razie w środku jestem nadal w dużej mierze taki sam.

Taki sobie hetka-pętelka, pomyślała, czekając, aż usłyszysz, jak bardzo hetka-pętelkowy, i na wszelki wypadek znowu zaciskając kciuki. Ale potem, kiedy zaczął mówić, wypadło to przyzwoicie, w takim samym stylu jak kiedyś, tylko na nieco szerszą skalę: nieuleczalny romantyk... zawsze miał skłonność zbyt wiele oczekiwać od życia... dość praktyczny człowiek, który dobrze sobie radził z różnymi sprawami, czego mu raczej zazdrozczono... triumf nadziei nad doświadczeniem... nieuleczalny romantyk... nie zapominajmy o tym, czym nas Bóg obdarzył... pomagają nam przejść przez życie... nigdy tak naprawdę nie chciał być kimś przyziemnym, kimś kto trzyma się tego, co ma... Zbyt stary, aby się teraz zmienić, zakończył stanowczo. Sprawy przybrały nieco gorszy obrót po tym, jak wyznał, że z utęsknieniem oczekiwał tego dnia i że nadal ma nadzieje na przyszłość, choć w tej kwestii wyrażał się dość mgliście, a zaraz potem zamilkł. Uff, koniec wstępu.

Wjechali i wyjechali ze Stogumber w tempie, które pozwoliło im zauważyć jedynie płataninę flag, plakatów i nalepek w kolorach jaskrawozielonym, żółtym, różowoczerwonym i czarno-białym. Potem skręcili w lewo, przejechali kawałek niewielką dolinką i dotarli do kolejnego drogowskazu, tym razem nowszego typu: ciemnozielonego, z rysunkiem wigwamu i wątłym białym napisem, który z bliska był całkiem łatwy do odczytania. Informował, że Peterstow znajduje się w odległości 0,8 km, i niewątpliwie, gdyby udać się we wskazanym kierunku, dotarłoby się tam prędzej czy później.

Kiedy dojeżdżali, Rhiannon miała nadzieję rozpoznać wioskę, ale się jej, niestety, nie udało. Był tam trawnik z rozrzuconymi gdzieniegdzie bryłami szarobiałego kamienia i stara fontanna zdrojowa, jakby wbudowana w zbocze – w każdym razie pozostałość czegoś takiego, wraz z miejscem, gdzie kiedyś mógł wisieć umocowany na łańcuszku kubek. Na tablicy obok udało jej się odczytać cztery czy pięć nazwisk, co uświadomiło jej, że patrzy na pomnik ku czci ofiar wojny. Wokół rozsiane były zwarte bryły chat z ciemnego kamienia lub cegły, widoczne ponad niskimi białymi furtkami. Na skraju stała większa budowla, wykończona belkami i kaflami. Szyld głosił, iż jest to karczma „Powys Arms”, i uzupełniał tę informację innymi staroświeckimi szczegółami w rodzaju: „Najprzedniejsze trunki, krzepkie piwo i jabłecznik”. Stały tam już jakieś samochody, naprzeciwko wejścia było jednak jeszcze sporo wolnego miejsca.

Malcolm zaparkował i energicznym ruchem zaciągnął ręczny hamulec.

– Cóż – powiedział, obracając się w stronę Rhiannon i posyłając jej uśmiech, od którego jego oczy otoczyła siateczka zmarszczek. – Jesteśmy na miejscu.

Zachowywał się tak, jakby podarował jej jakiś cenny prezent, który tylko on ze swoją wrażliwością zdolny był dla niej wybrać. Wyglądał rozkosznie, kiedy tak siedział wyprostowany i dopraszał się, żeby go strzelić w ucho.

– Cudownie – odparła.

Wysiadł i obszedł samochód, aby otworzyć jej drzwi; poruszał się dość rażno, ale nie na tyle, aby nie zdołała go ubiec. Nie lubiła teraz zbytnio, kiedy ludzie „pomagali” jej wstać lub wysiąść, chyba że mogła przy takiej okazji odegrać zgiętą wpół starowinę – ale i wtedy nie zanadto. Malcolm zjawił się przy niej sekundę po tym, jak postawiła na ziemi obie stopy, lecz w samą porę, żeby przypomnieć jej o torbie, po którą właśnie sięgała. Kiedy szli w stronę pubu, ujął ją za łokieć – na wypadek, gdyby się miała zacząć przewracać albo próbować wejść na ścianę. Przypomniła sobie, że za starych dobrych czasów, raz czy dwa, kiedy zabierał ją gdzieś wieczorem, również zdarzyło mu się sygnalizować w ten sam wypróbowany sposób: „ta jest moja”. Tym razem okazało się to o tyle przydatne, że wyhamowała nieco i nie wpadła z impetem do pubu.

Malcolm znów zerknął na nią i powiedział:

– Niewiele tu się zmieniło, prawda?

– Zdaje się, że niewiele.

– Jeśli nie liczyć tej nowej licówki zaraz pod dachem i włączenia przybudówki do reszty budynku, i wybrukowania placzyku, gdzie kiedyś była stara studnia. Nie mówiąc już o murku wokół parkingu. A czy przypadkiem w tamtym rogu nie stał jakiś barak?

Rhiannon nie potrafiła odpowiedzieć. Pokiwała tylko głową i wymamrotała coś pod nosem.

– I oczywiście stoły. Ale nadal w dużej mierze jest tu jak dawniej. W samej swej istocie, można by powiedzieć.

– Uhm.

– Te śmietniki nie grzeszą urodą, ale przynajmniej są praktyczne.

Obrzuciwszy wszystko ostatnim zadowolonym spojrzeniem, zamierzał przeprowadzić ją przez drzwi wejściowe, ale ona znów okazała się zbyt szybka, chociaż tego, czyli bycia zbyt szybką dla mężczyzny, na ogół już od niej nie wymagano. Wszedłszy do środka, rozejrzała się z ostentacyjną ciekawością. Czy było tam tak samo w dużej mierze, czy nie, trudno było stwierdzić, w każdym razie jeszcze niezbyt tłoczno i niezbyt głośno. Jediną rzeczą, która rzuciła jej się w oczy, były niewielkie mosiężne szyny czy balustradki wokół blatów niektórych stolików – żeby pomóc utrzymać się na nogach, kiedy... nie, do licha, powiedziała sobie, dziesięć do jednego, że Malcolm będzie chciał jej to wyjaśnić. On jednak pominął bariery milczeniem i stwierdził jedynie, że nie ma pojęcia, czy ten lokal należy obecnie do przyzwoitych, co było niezłym łgarstwem.

Pod względem jedzenia i picia, które on nazywał wiktuałami, lokal można było zaliczyć do przyzwoitych, ale nie bardzo dało się z tego skorzystać, przychodząc tu w jego towarzystwie. Spośród wszystkich znanych jej mężczyznom ten wyjątkowo nadawał się do tego, aby zostać potraktowany przez barmana jak powietrze, dostać stolik, o który uderzały wahadłowe drzwi do kuchni, czekać jeszcze na pierwsze danie, podczas gdy ci, którzy przyszli później, pili już kawę, i mieć dopisany do rachunku numer kołnierzyka. Tym razem jednak udało mu się zaliczyć jedynie drobne maźnięcie masłem po tym jego krawacie. Lunch dobiegał końca, a ona siedziała, popijając z niewielkiego kieliszka ostrożnie, małymi łydkami, swój smakołyk – zieloną szartrezę – i czuła się odprężona. Niektóre elementy lunchu, jak chociażby odkrycie przez Malcolma plamki na kieliszku do wina i przywoływanie kelnera, aby go wymienił, albo żądanie „właściwego” młynka do pieprzu i wyczekiwanie w napięciu, aż go przyniosą, były raczej materiałem na opowiestkę dla Rosemary niż jakąś szczególną rozrywką, ale już rozmowa, czy raczej to, co Malcolm mówił, kwalifikowało się jako coś niewybaczalnego, nudnego aż do bólu. Rhiannon zapominała o swych obawach, w miarę jak wtajemniczał ją w historie związane z coraz to nowymi ludźmi, których nazwiska i imiona kompletnie nic jej nie mówiły. Doszli nawet do tematu Walii – cóż, jej angielscy przyjaciele też mieli skłonność pomarudzić czasem trochę o

Anglii. Kiedy Malcolm oświadczył, że ryzykownie jest mówić głośno o tym, jakoby w Walii źle się działo, natychmiast przyszedł jej na myśl jego nos, i to, jak mu go w Treville rozbito. Teraz nos wyglądał już całkiem dobrze, choć nie zbliżył się do ust ani na jotę.

Skończywszy wreszcie wałkować temat Walii, Malcolm słusznie zauważył, że jest jeszcze całkiem wcześnie, zamówił bez pośpiechu kolejną kawę i poprosił, żeby mu opowiedziała o sobie. Opowiedziała mu więc trochę o Alunie i o córkach. Mówiła dość ostrożnie z uwagi na to, co Gwen powiedziała, czy raczej czego nie powiedziała, zapytana o ich dwóch synów, teraz już trzydziestoparoletnich. Jeśli Malcolmowi leżało w związku z tym coś na sercu, zachował to dla siebie. Chociaż słuchał jej z uprzejmą uwagą, już po kilku chwilach stało się jasne, że rozmowa rozwija się w niewłaściwym kierunku.

– Czy masz ochotę na jeszcze jeden kieliszek czegoś słodkiego? – zaproponował, gdy tylko przestała mówić.

– Nie, dziękuję, mój drogi.

– Z tego, co mi powiedziałaś, wnioskuję, że jesteś całkiem zadowolona z życia, jakie prowadzisz.

– O tak. O wiele bardziej niż z życia, jakie prowadziłam kiedyś.

– Och, naprawdę?

– Zważywszy, iż bawiłam się wtedy równie dobrze jak inni, śmieszne, jak często łapię się na tym, że jestem strasznie zadowolona na myśl, że cokolwiek by się działo, nie muszę już więcej tego robić – powiedziała. – Chodzić na plażę, chodzić na potańcówki, chodzić z chłopakami, chodzić na kolacje... – Dodała jeszcze coś w tym guście, po czym spostrzegła, że on słucha jej niezbyt uważnie: uśmiecha się, kiwa od czasu do czasu głową i nie spuszcza z niej oczu, ale w jakiś roztargniony sposób.

W jej odczuciu to, że mężczyzna nie słuchał tego, co mówiła, mieściło się w całkiem zdrowym schemacie, nieważne, z której strony by na to spojrzeć, a i teraz niekorzystny aspekt tej sytuacji był stosunkowo niewielki. W przeszłości ktoś taki miał znacznie większe szanse wyśledzenia nadmiaru pudru albo śladu po pryszczu, ale słabnący z wiekiem wzrok przypuszczalnie wykluczył tę ewentualność, chyba że delikwent nietaktownie skorzystałby z okularów, czego Malcolm nie uczynił. Przyszło jej jednak do głowy, że takie zamykanie uszu mogło wynikać z niechęci do widzenia w niej jednego ze swych kumpli, z pragnienia, by pozostała w jakimś sensie nie poznana – po to, żeby mógł snuć na jej temat domysły i fantazje. Myśl ta usztywniła jej na jakiś czas język.

Podczas gdy Malcolm prosił jedną z kelnerek o rachunek, inna już go przed nim kładła.

– Nieźle – powiedział, przeliczywszy wysokość napiwku w pamięci, na papierze i znów w pamięci, co zabrało mu kilka minut.

– O tak, świetnie. Doskonale jedzenie.

Nie zdobyła się na zamówienie mięsa w sosie „nie własnej roboty”, musiała zrezygnować z wołowego curry z powodu ryżu, nie skusiła się na jagnięce ragoût, podejrzewając, że będą w nim straszyć pestki z pomidora, i w końcu zdecydowała się na pasztecik drobiowy. Mięso było soczyste, jednak ciasto zdecydowanie mydlane, kleiste i oczywiście ociekało tłuszczem, ale zjadła przynajmniej całą sałatę i trochę zielonej papryki, która skropiona obficie sokiem z cytryny prawie wcale nie smakowała śluzem.

Kiedy znalazła się w bardzo ładnej toalecie dla pań, usiłowała się odprężyć, wzięła więc kilka głębokich wdechów, zanim przystąpiła do robienia porządku ze sztuczną szczęką. Czyszcząc ją, wyprostowała się, odrzuciła do tyłu włosy i spróbowała przybrać dumny, pogardliwy wyraz twarzy. Efekt tych starań zdumiałby Malcolma nachalną sztucznąścią, lecz ich celem było dodanie sobie animuszu, nadrobienie miną na wypadek, gdyby ktoś wszedł tu znienacka i zastał ją z protezą w ręce, co mógłby uznać za widok szczególny lub żenujący, a w każdym razie niecodzienny. Jak się okazało, żadnych problemów: miniaturowa tubka kleju „Dentu-Hold” dawno już leżała bezpiecznie na dnie torby, kiedy do toalety wślizgnęła się chyłkiem jakaś nieszkodliwa małolata w dżinsach i zniknęła w ubikacji. Rhiannon wyszła przepełniona pewnością siebie.

Na zewnątrz wciąż jeszcze było gorąco. Malcolm stał nie opodal samochodu, z przechyloną głową, chyba podziwiając widoki, jednak w jego pozie było coś wyrozumowanego, co ostrzegło ją przed tym, na co się zanosi. Kiedy podeszła, szybko zajął pozycję u drzwi po stronie pasażera. Ależ tak, zamierzał to zrobić. W ściśle obliczonej chwili otworzył je, wyprężył się z zadartą brodą i zasalutował z rozmachem niczym sierżant ze starego filmu. Czując, jak policzki zaczynają jej płonąć, Rhiannon zdobyła się na cień pełnego wdzięku uśmiechu królowej matki oraz uniesienie dłoni, po czym czmychnęła do środka. Popisy tego rodzaju miały na celu unaocznic, jak swobodnie dwoje ludzi czuje się ze sobą, ale tak naprawdę zdradzały jedynie niezręczność, a czasami wręcz wzajemną niechęć. Cóż, pocieszające przynajmniej, że Malcolmowi nie przyszło do głowy wystąpić w owej czapce.

– A zatem mogę z dużą dozą pewności założyć, że nie pałasz chęcią zanurzenia się w oceanie – powiedział, kiedy samochód ruszył.

– Rzeczywiście, możesz tak założyć.

– Mimo to wydaje mi się, że nie będziesz bardzo przeciwna małej wycieczce krajoznawczej nad brzeg morza?

– Och, nie, bynajmniej, cóż za świetny pomysł! A dokąd?

– To się w stosownym czasie okaże.

Wyjechali z powrotem na drogę wzdłuż wybrzeża i ruszyli znów na południe, ku bardziej wiejskim terenom, gdzie przeważały farmy i lasy i gdzie sporadycznie trafiały się wielkie domostwa otoczone parkami. Gdy przez fantazyjną bramę przekroczyli mur graniczny jednej z takich posiadłości, Rhiannon zaczęła rozpoznawać pewne charakterystyczne szczegóły: staromodny kamień milowy informujący o odległości do Carmarthen, Cardiff i „Brecknock”, widoczny przez chwilę zamek, wśród którego ruin, jak mówiono, rośnie kwiat, jakiego nie spotkasz nigdzie poza Pirenejami, tablica pamiątkowa National Trust¹¹, szczytowa ściana – przypuszczalnie stodoły – z postrzępionym trójkątem wyblakłego plakatu, trwającym tam od zawsze i na zawsze, wreszcie nagły stromy zakręt w dół, prowadzący do Pwll Glan i dalej, do Britain’s Cove. To właśnie tam, do Pwll Glan, zmierzał Malcolm, nad jedyną spośród całego mnóstwa na tym wybrzeżu zatokę o walijskiej nazwie, i jeśli nie najpiękniejszą, to każdy przyzna, że najbardziej niezwykłą, a także dobrze znaną Rhiannon z licznych tam bytności.

¹¹ National Trust – powołana w 1895 r. i zatwierdzona przez parlament w 1907 r. organizacja stawiająca sobie za cel ochronę zabytków i pomników oraz miejsc o szczególnych walorach krajobrazowych w Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

Pierwsze kilkaset jardów zbrocza było tak pochyłe, że pierwszeństwo na krętej wąskiej drodze mieli jadący pod górę, dwukrotnie więc Malcolm musiał zjechać na pobocze i zatrzymać się. Za drugim razem, akurat na zakręcie w prawo, przed Rhiannon otworzył się widok na około półmilowy pas równiny przed samą plażą oraz na większą część zatoki: jej niski łuk na południu, potem podłużną łąkę piachu i odległy zalesiony cypel z wieżyczką kościoła. Droga wiodła ich do podnóża skarpy i dalej, przez mokradła, niegdyś słone, teraz od lat słodkowodne i porośnięte trzciną o szczególnej, pięknej bladopomarańczowej żółtości. Jechali jeszcze przez chwilę wzdłuż wybrzeża, gdzie z rzadka rosły chłostane wiatrem bladozielone roślinki, aż wreszcie dotarli do rozległego parkingu, niewidocznego z góry i zupełnie nieoczekiwanego, dopóki się nań niemal nie wjechało, lecz oczywiście pełnego zjawisk dobrze znanych, takich jak jedzący i pijący ludzie albo hałasujący ludzie, albo kręcący się tu i tam ludzie.

Nie tracąc czasu, Malcolm wycofał samochód i zjechał wprost ku morzu, na pustą plażę, której piasek usiany był wodorostami, a tu i ówdzie przezierały spod niego łaty nagiej skały. Całkiem przypadkowo było to również miejsce, gdzie pewnej nocy dawno temu Rhiannon i Dorothy próbowały łowić flądry na płyciźnie, albo raczej nie przeszkadzać w tym zbytnio dwom czy trzem młodym ludziom, którzy podobno umieli to robić i, o ile Rhiannon dobrze pamiętała, nawet coś złowili. Wtedy w okolicy nie było żywego ducha. Teraz również było tu pusto – nie było tu gdzie się wykąpać, nie było też gdzie usiąść ani się położyć, ani pograć w piłkę, ani pobiegać. Niewiele mówiąc, choć przyglądając się jej bacznie, Malcolm poprowadził ją przez skalistą równinę na ścieżkę wiodącą w górę, ku porośniętemu mchem murowi wokół kościoła.

Tutaj, za bramą, z morskiego brzegu nie dobiegał żaden dźwięk z wyjątkiem uderzeń fal. Znajdowali się na wąskim granitowym przylądku, nie dłuższym niż sto jardów. Jeśli stało się twarzą ku morzu, na lewo rozciągała się zatoka Pwll Glan, na prawo zaś jakaś inna, zbyt mała, aby mieć nazwę – bardziej zatoczka przybrzeżna usiana kamieniami różnej wielkości i kształtu i zawsze pusta. Wprawdzie kiedyś, dawno temu, Rhiannon widywała tu parokrotnie rybaków, takich prawdziwych, stojących daleko od brzegu w nieprzemakalnych ubraniach i wysokich gumiakach, ale teraz można się było założyć, że nikt tu nie przychodzi.

Na przyłładku ledwie starczało miejsca dla samego kościółka, trzech czy czterech rzędów mogił i kilku tuzinów starych drzew, głównie jaworów, wysokich i bujnych pomimo zasolonego powietrza, a o tej porze roku rzucających głęboki cień. Tutaj również nikt nie przychodził, choć nie dosłownie, bo przecież teraz było tu ich dwoje, a i ktoś inny musiał niedawno uprzątnąć groby i sprawić, że miejsce to nie robiło wrażenia całkiem opuszczonego, mimo iż prawie żaden nagrobek nie ostał się w całości. Niektóre nazwiska i daty nadal były czytelne – nazwiska walijskie, nazwiska angielskie, a żadne z czasów późniejszych niż rok 1920. Kościół był zamknięty na cztery spusty.

– Nadal to jednak kościół – rzekł Malcolm, pozwoiliwszy tej myśli dość długo uleżeć się w głowie. – Chodzi mi o to, że nie uległ sekularyzacji.

– Ale nie jest już używany.

– Ostatnie nabożeństwo odbyło się tu w 1959. Dawniej niż połowa tutejszych plażowiczów sięga pamięcią. – Uśmiechnął się i ciągnął tonem zwierzenia: – Sprawdziłem tę informację. Być może niektórzy myślą, że coś się tutaj ostało.

– Kto? Co masz na myśli?

– Hm... nie wiem – odparł łagodnie. – W tej chwili to za daleko, aby ktokolwiek tu przyjeżdżał, rozumiesz. Za daleko samochodem. A ile to lat upłynęło od czasu, kiedy nie było nam za daleko na piechotę? Gdy na koniec czekała nas jeszcze wspinaczka? Główna nawa mogła pomieścić osiemdziesiąt cztery osoby, zgodnie z tym, co przeczytałem.

– A ty sam w to wierzysz, Malcolmie?

– Bardzo trudno na to odpowiedzieć. W pewnym sensie chyba tak. A już na pewno przykro mi patrzeć, jak to wszystko znika. Kiedyś myślałem, że tutaj różne rzeczy będą trwały tak długo, jak gdzie indziej w kraju, ale wiesz, wątpię, czy tak się rzeczywiście stało.

– Jedno jest pewne: nic na to nie można poradzić. – Rhiannon starała się, aby również zabrzmiało to łagodnie. – I jeszcze jedno: wandalom też jest tu za daleko, co widać na załączonym obrazku.

– Tak. Dobre i to. Lubię tu od czasu do czasu przyjeżdżać. Pomaga mi to... nie, cokolwiek bym powiedział, zabrzmiałby pompatycznie. Tak czy inaczej, to cudowne miejsce. Spokojne. Ustronne.

– Ale trochę zapomniane. I wietrzne.

– Och, przepraszam, Rhi, czy nie jest ci...

– Nie, nie, wszystko w porządku. – Rozejrzała się wkoło.

– Ma ono z pewnością swoją aurę.

– Pamiętasz, jak kiedyś tu przyjeżdżałaś?

– O tak, oczywiście.

Chciała dodać: „wiele razy”, ale Malcolm wtrącił pośpiesznie:

– A pamiętasz ten okropny betonowy barak? Tak myślę, że był z betonu. Ten na końcu drogi? Jego też już, oczywiście, nie ma. Cóż, czasami dobrze, że to czy owo wyburzą. Ale wówczas to było jedyne miejsce, gdzie dawali coś dojedzenia.

– Zgadza się. A właścicielka zmywała tak głośno, że trudno było rozmawiać, i trzymała klucz od ubikacji w kieszeni fartucha.

– Pamiętasz lunch, który tam jadłaś?

– O tak – odparła, podobnym jak wcześniej tonem.

– Wzięliśmy, co nam przyniosła: kiełbaski i frytki, i sos OK.

– Uhm. Był tam też taki beznadziejny kot, który kiedy go głaskałeś, patrzył na ciebie jak na wariata.

– Tego nie pamiętam. Piłaś wtedy mocny porter, Mackesona, prawda? To był twój ulubiony trunek w tamtych czasach.

– Tak było. Teraz nigdzie nie można go dostać.

– A potem wybraliśmy się na spacer.

Czuła, że powinna coś powiedzieć, ale nie miała pojęcia, co, uśmiechnęła się więc i czekała, i w myślach zaciskała kciuki na szczęście. Malcolm odsunął się od niej na krok, po czym ciągnął:

– Kiedy znaleźliśmy się tutaj, odkryliśmy, że poprzedniej nocy albo dzień wcześniej musiała tu szaleć burza, bo wszędzie leżało mnóstwo liści i połamanych gałązek, a morze wciąż było bardzo wzburzone. Weszliśmy na samą górę, aż tam, gdzie występ skalny zwisa nad wodą, właśnie tam, pamiętasz? Było to dość niebezpieczne, jak sądzę, ale za młodu robi się takie rzeczy. Teraz pewnie nie ma już tego urwiska. I powiedziałem wtedy: „Wiem, że nigdy nie będę znaczył dla ciebie tyle, ile ty znacysz dla mnie”, coś w tym rodzaju, „ale nie skarzę się”, mówiłem, „chcę jednak, żebyś wiedziała, że nikt nie będzie znaczył dla mnie tyle ile ty, i chcę, żebyś o tym pamiętała”. A ty obiecałaś, że będziesz, i myślę, że być może pamiętałaś. Pamiętałaś, Rhiannon?

Jeśli przed chwilą za wcześnie było, aby wycofać się z tych wspominek, to teraz, oczywiście, było już o wiele za późno. Nie mając pewności, czy uda się jej wydobyć z siebie choćby jedno słowo, skinęła potakująco głową.

– Wspaniale. Och, to cudownie. – Z jego zachowania znikła sztywność. – Mogę ci tylko powiedzieć, że okropnie dużo rzeczy wydaje mi się teraz, po twoim wyznaniu, wartych zachodu. Dziękuję ci, że pamiętałaś o mnie, mając w życiu tyle innych spraw.

Posłał jej uśmiech pełen zwykłej życzliwości i zasygnalizował gestem, że powinni wracać. Kiedy zaczęli schodzić po łagodnym zboczu w stronę bramy, po przyjacielsku objął ją w talii ramieniem.

– Namówilem mojego kumpla, Douga Johnsona, żeby pożyczył mi na tamten dzień swój samochód. Nigdy wcześniej go nie prowadziłem, więc się trochę denerwowałem, ale mam nadzieję, że nie było tego widać.

– Niczego nie zauważyłam – odparła.

– Zatrzymaliśmy się, żeby zatankować, a ten gbur nie mógł wydać z piątki, pamiętasz?

– Tak, oczywiście. – Kiedy już opadło napięcie, Rhiannon skłonna była przyznać, że pamięta lądowanie generała Tate’a w Fishguard.

– I nie ujechaliśmy jeszcze stu jardów, kiedy oberwała się chmura i musiałem się zatrzymać, bo nie działały wycieraczki.

– Zgadza się.

– I chyba potrafiłbym podać dokładną datę. Australijczycy grali wtedy w Cardiff, a w ich...

Zatrzymał się i zapatrzył w dal. Rhiannon poczuła, że stało się coś okropnego. Zmieszana, spojrzała w bok, na niemal całkowicie poczerniały kamień, i przeczytała o niej jakim Thomasie Godfreyu Pritchardzie, który odszedł z tego świata 17 czerwca 1867 roku, ku wielkiej żałości bliskich. Kiedy znów odwróciła się do Malcolma, ten wciąż trwał zapatrzony, ale teraz w nią.

– Doug Johnson był przez całe tamto lato we Francji – powiedział. – Na praktyce nauczycielskiej. Nie mógł więc pożyczyć swego samochodu ani mnie, ani nikomu innemu. A zatem musiało to być kiedy indziej.

– Uhm. – Rhiannon zmusiła się, aby nie uciec od niego wzrokiem.

– Musieliśmy tu przyjechać autobusem. Niemożliwe, żebyś zapamiętała to tak, jak mówiłaś, że zapamiętałaś.

– Nie.

– Nie pamiętasz ani trochę z tego wszystkiego, prawda? Ani lunchu, ani spaceru pod górę, do kościoła Świętej Marii, ani tego, co mówiłem, ani w ogóle nic.

Nie było jak się wycofać ani uciec. Ta wieńcząca napięcia całego dnia bezwstydna intensywność jego rozczarowania – to było dla niej za wiele. Ukryła twarz w dłoniach, odwróciła się i rozplakała.

Malcolm natychmiast zapomniał o swoich uczuciach.

– Co ci jest? O co chodzi?

– Jestem taka głupia, taka beznadziejna, nikomu nie potrafię zrobić nic dobrego, ciągle tylko myślę o sobie, nie zauważam innych. A tak niewiele się ode mnie oczekuje, jedynie tego, abym pamiętała pewien uroczy dzień spędzony za miastem, ale mnie nawet na to nie stać! – Otoczył ją ramieniem, a ona oparła czoło o jego bark, choć nadal zakrywała oczy dłońmi. – Każdy, kto ma choć za grosz przyzwoitości, pamiętałby, tylko nie ja, ale jest mi bardzo przykro, że nie pamiętam, bardzo przykro, bardzo.

– Nie mów takich głupstw. Chyba się nie spodziewasz, że wezmę je poważnie. To strasznie miło z twojej strony, że się tak martwisz czymś, co uleciało ci z pamięci, ale ja sam niezbyt dokładnie to pamiętałem, prawda? Pomyliłem przecież dwie różne wycieczki. Ale w końcu pamiętasz, że tutaj przyjeżdżałaś? Do Pwll Glan?

– Uhm.

– I być może również to, że ze mną? No wiesz, tak mgliście?

– Uhm. – Może i pamiętała.

– Tak troszeczkę? Tylko...

Nagle poczuła, że nie może potwierdzić nawet tej troszeczki.

– Nie... – Potrząsnęła głową z udręką. – Odeszło bez śladu. Przepraszam.

– Och, doprawdy, Rhiannon, czemu miałybyś mnie przeproszać? – Spojrzał ponad jej głową, gdzieś w przestrzeń. – Cóż, ujmijmy to tak: to, że tak bardzo przejęłaś się tym, że zapomniałaś, warte niemal jest tyle samo, co gdybyś pamiętała.

To przywróciło nieco równowagi, ale w końcu był to zaledwie oczyszczający deszczyk. Poszły w ruch chusteczki i grzebień, a on zaczął rozważać, czy aby nie wspomnieć na przykład o tym, że ten kościół przypuszczalnie pochodzi z XII wieku i że na południowej ścianie prezbiterium znajdują się wizerunki członka rodziny de Courcy oraz jego małżonki, a wokół wierzchołka wieży – malowidło przedstawiające jakąś bitwę, czyli dokładnie to, co pragnęła teraz usłyszeć, bez żadnego sarkazmu. Kiedy się zorientował, że jest gotowa, rzucił zatoce ostatnie, pożegnalne spojrzenie.

– Dawno temu, zanim morze wdarło się w ląd, było tu mnóstwo domostw – powiedział. – Cała wieś.

Rhiannon pomyślała, że ktoś jej już mówił o tym, że w dawnych czasach morze przykrywało mokradła, a później ustąpiło, ale chyba słyszała to przy jakiejś innej okazji.

– Myślę, że pozostały jakieś ślady.

– Dwa razy do roku w czasie odpływu, kiedy morze się uspokaja, można zobaczyć to, co kiedyś było ulicami. Nawet domy. I może jakiś inny kościół.

– Nadal pisujesz wiersze?

– Pamiętałaś o tym. – Uśmiechnął się z ukontentowaniem. – Rzeczywiście, pisuję. I mam zamiar dalej to robić. Szczęśliwie się składa, że jest jeszcze kilka spraw, które mi ciążyą na sercu.

Zanim zdążył przystąpić do opowiadania, jakie to sprawy, Rhiannon usłyszała własny głos, mówiący w nagłym natchnieniu, które zdumiało ją samą:

– Był tu taki śliczny ogród różany, z ceglany murem i... no wiesz, z pergolami wzdłuż ścieżek. Należał do jakiegoś okazałego domu i można go było zwiedzać po południu. Ciekawe, czy nadal można.

– Zastanówmy się, czy był to może Mansel Hall? Niedaleko Swanset?

Lepiej się teraz zbyt nie śpieszyć.

– Nie jestem całkowicie...

– Nie, już wiem, co miałaś na myśli... eee... Bryn House, tak jest. Oczywiście, że Bryn House. Kamień z wykończeniem z cegły. To niedaleko stąd. Chciałabyś tam pojechać, prawda?

– Uhm. Czy przypadkiem nie byliśmy tam któregoś lata, w niezbyt ładną pogodę? – Tak, niezbyt ładna pogoda słusznie utkwiała jej w pamięci: nie padało wprawdzie, ale było przenikliwie zimno i pochmurno.

– Chyba tak – odparł Malcolm, jak zresztą można się było spodziewać. – Tak, jestem pewny, że byliśmy. Pojedźmy tam i rozejrzyjmy się. Możliwe, że przywoła to jakieś wspomnienia, nigdy nie wiadomo.

– A może tego ogrodu już nie ma, jak tylu innych rzeczy.

– Mimo wszystko jedźmy.

Znów mówił rozmarzonym głosem, jakby czuł, że wszedł czy weszli na coś w rodzaju ścieżki przeznaczenia, i spoglądał na nią wzrokiem, który mówił, że jeszcze może być niebezpieczny. Cóż, będzie musiała mu pozwolić powiedzieć to, co będzie chciał. Kiedy szli w stronę cmentarnej bramy, wzięła go za rękę i mocno ścisnęła. W geście tym zawierała się ulga, a może skrucha, a może coś, co chciałaby, żeby wziął za zrozumienie albo sygnał, że bez względu na to, czemu mają stawić czoło, stawiają je razem. Malcolm odwzajemnił uścisk, ale się nie odezwał, dopóki nie znaleźli się znowu na drodze przez mokradła, i wtedy jedyny raz w życiu nie mówił o niczym szczególnym.

ROZDZIAŁ VI
Malcolm, Muriel, Peter, Gwen, Alun,
Rhiannon

1

– Hotel „Biblia i Korona”, Tarquin Jones przy telefonie.

Było to wielce charakterystyczne dla Tarca, aby tak określać swój lokal, mimo iż, a może właśnie dlatego, że miejsce to nigdy nie pełniło funkcji hotelu w sensie zapewnienia noclegów i wyżywienia, ani też, zanim Tarc tam nastał, przez nikogo nie było tak nazywane. Co do tego wszyscy byli w miarę zgodni, ale, jak kiedyś zauważył, czy raczej wytknął Charlie, znacznie trudniej było określić, dla jakiej cechy charakteru Tarca jest to charakterystyczne. To w iście walijskim stylu, dodał Garth, wcale nie wywołując tym kontrowersji.

Kiedy indziej Malcolm byłby skłonny zastanawiać się nad takimi sprawami, zwłaszcza nad tą ostatnią, lecz nie teraz. Powoli i wyraźnie podał swoje pełne imię i nazwisko.

– Kto? – rozległo się coś na podobieństwo ryknięcia, z którego bynajmniej nie wynikało, żeby Tarc nie dosłyszał albo nie zrozumiał.

Przedstawiwszy się zatem ponownie, jeszcze wyraźniej, Malcolm zapytał, czy jest w lokalu pan Alun Weaver, na co odpowiedziało mu całkowite milczenie, przerwane w końcu przez odległe damskie popiskiwanie udawanego zaskoczenia czy zdziwienia oraz coś, co brzmiało jak dmuchanie bez opamiętania w gwizdek sędziowski. Czekał. Wziął kilka głębokich wdechów i powiedział sobie, że wcale nie jest rozdrażniony. Minęło parę minut, po czym w słuchawce odezwał się głos Aluna wypowiadający jakąś niewyraźną kwestię, czego zresztą można się było spodziewać po kimś wystrzegającym się niespodziewanych telefonów.

Malcolm przedstawił się raz jeszcze, po czym spytał:

– Tłoczno dzisiaj?

– Większość już wyszła. Prawdę mówiąc, ja sam też się już zbierałem. Nieczęsto bywam tutaj o tej porze, rozumiesz.

W tonie jego głosu słychać było pytanie, toteż Malcolm powiedział:

– Rhiannon wspomniała, że cię tam zastanę.

– Ach tak, rozumiem. – Tym razem w głosie Aluna zabrzmiało szczere pogodzenie z losem człowieka (Peter przypuszczalnie sprecyzowałby: Walijczyka), który szykuje się do szybkiego przebierania nogami.

– Słuchaj, Alun, pomyślałem, że zapytam cię, czy nie miałbyś ochoty po drodze do domu wpaść do mnie na kieliszek przed snem. Żadnego pijaństwa ani nic w tym stylu, po prostu na jednego.

W słuchawce dał się słyszeć odgłos wciąganego powietrza.

– O, to bardzo miło z twojej strony, chłopie, ale robi się późno, więc chyba się nie pogniewasz...

– Prawdę mówiąc, jestem dziś wieczór sam. Gwen zachowywała się dość dziwnie, zupełnie nie wiem, co w nią wstąpiło. To całkiem do niej niepodobne, żeby tak nagle wybuchać. W każdym razie uprzedziła mnie, żeby na nią nie czekać.

Malcolm usłyszał perlisty kobiecy śmiech.

– Aa, to całkowicie zmienia postać rzeczy. Będzie mi, oczywiście, niezmiernie miło osłodzić twoją samotność. Ruszam za jakieś pięć minut.

Perspektywa towarzystwa sprawiła, że Malcolm przez chwilę czuł się nieco lepiej. Wziął ze stołu szklaneczkę whisky z wodą – nieczęsty element jego wieczorów – i zaniósł do salonu. Pokój ten, wypełniony mnóstwem bardzo „niemęskich” przedmiotów, takich jak luźne pokrowce i talerze nie przeznaczone wcale do tego, aby z nich jeść, był tak wąski w stosunku do całkiem przyzwoitej długości, że niektórzy brali go za prywatny kącik Gwen, w którym mogła urządzić swoje herbatki tylko dla wybranych gości. W rzeczywistości nie było w tym domu żadnego innego miejsca, w którym można by trochę pobyc, jeśli nie liczyć kuchni i wyjąwszy gabinet Malcolma, do którego nawet on sam chadzał tylko z bardzo ważkich powodów.

Tego wieczoru widać tu było nieznaczną obecność elementu męskiego, może nie tyle w postaci gramofonu, chociaż ten jest przecież rodzaju męskiego, ile płyt przyniesionych tu wcześniej z malowanej na biało szafki w gabinecie. Urządzenie o nazwie „Playbox”, czarne, z wypłowiałym już, delikatnym chińskim ornamentem, stanowiło w latach sześćdziesiątych przykład zaawansowanej technologii. Płyty pochodziły z tego samego lub nieco wcześniejszego okresu – były to „odświeżone” wersje dawnych, drobnorowkowych i całkiem już zapomnianych siedemdziesiątek ósemek z lat czterdziestych, z muzyką, która królowała dwie lub trzy dekady wcześniej. W większości były to nagrania grupy o nazwie „Doc Pettit i jego Niezwykły Zespół ze Storyville”, chociaż byli tam też indywidualni wykonawcy, tacy jak Garbaty Mose i Czerwony LeRoy Kuternoga, którym akompaniowali nieznani wirtuozi harmonijki ustnej albo drumli.

Malcolm miał zamiar posłuchać niektórych z tych płyt w ramach dalszego ciągu wywoływania duchów, czyli kontynuować zabawę, którą rozpoczął wcześniej tego dnia z Rhiannon. Zmuszony był jednak odłożyć ów zamiar na później, czekając, aż Gwen powie, co ma do powiedzenia i wybiegnie z domu. Teraz można go było wcielić w życie. Ale tylko można, bo najpierw trzeba odwiedzić łazienkę, a raczej ubikację, i sprawdzić, jak się mają sprawy w tej materii. Nie zostały bowiem w zadowalający sposób załatwione z rana, i w ciągu dnia musiał raz czy dwa bardzo się starać, aby myśl o nich nie zaprzętała całej jego uwagi i nie położyła się cieniem na wycieczce. Dolegało mu również lewe jądro, ale zaczynał się już do tego przyzwyczajać.

Odstawił drinka i ruszył na górę, i nie do wiary – wszystko poszło gładko. Kiedy już kończył, pomyślał, że w takich chwilach jest faktycznie dwiema osobami – cholerną starą babą i jęczyduszą oraz cudownym, rozpatrującym wszystko na chłodno mechanizmem – i żadna z tych dwu osób nigdy nie słucha tej drugiej. W gruncie rzeczy prawdziwie rozszczepiona osobowość, dwóch całkiem osobnych gości.

Wróciwszy do salonu, włączył gramofon i wyjął z koperty nagranie przypisywane Papie Boileau i jego „New Orleans Feetwarmers”. Patrzył na nich, a oni na niego z tekturowej okładki: stojący rzędem staruszkowie w ciemnych garniturach i krawatach, sześć, siedem twarzy czarnych jak noc, smutnych i absolutnie indywidualnych, bez żadnych związków z twarzami, które Malcolm widywał teraz na ekranie telewizora. Umieścił płytę na trzpieniu, a ta w stosownym momencie opadła na obracający się już talerz, do którego podjechała dźwigienka, odnajdując po serii szarpnięć i podskoków najbardziej zewnętrznie położony rowek. Poprzez szum zdartej płyty przebiły się dźwięki *Cakewalkin' Babies*. Malcolm podkręcił głośność.

Igła była zużyta, tak samo jak powierzchnia płyty, ale wcale mu to nie przeszkadzało, w każdym razie nie bardziej niż to, że nagranie, nawet jak na tamte czasy, miało dość nędzne brzmienie: klarnet był odrobinę spłaszczony, trąbka w górnych rejestrach drżąca. Muzyka urzekła go od pierwszego taktu. Jak zawsze słuchał jej z uwagą, starając się zarejestrować każdy dźwięk w wykonaniu każdego instrumentu, nie pozostawiając sobie czasu na rozpamiętywanie przeszłości ani niczego innego. Zbyt podniecony, aby usiąść, stał naprzeciwko gramofonu i przestępował do taktu z nogi na nogę. W odpowiednich miejscach odgrywał solówki na niewidzialnym banjo, wybijając równomiernie takt na cztery, rozciągał jęklivé dźwięki na puzonie i uderzał w czynele. Dokładnie w momencie zakończenia, które dla nie wtajemniczonego następowało nieoczekiwanie i bez ostrzeżenia, zamarł w bezruchu, wstrzymując oddech, i powrócił do życia, kiedy rozbrzmiały pierwsze takty *Struttin'* w wykonaniu „Barbecue”.

Teraz już kompletnie odpłynął, jak sam by to określił w starych, dobrych czasach. Wiedział, że barbecue ma coś wspólnego z przyrządzaniem potraw na świeżym powietrzu, ale założył, że w tym przypadku chodzi o jakieś inne znaczenie, albo nawet o całkiem inne słowo, być może zniekształcone, i że oznacza ono bez wątplenia jakąś powabną i niezwykłą kobietę. Na jej widok ludzie szeptałiby z zachwytem i podziwem: „Och, to istna barbecue”. Malcolmowi nigdy nie zdarzyło się kroczyć dumnie jak paw¹², a nawet gdyby *struttin'* miało oznaczać jakiś rodzaj tańca, to i tak nie miałyby w tym względzie doświadczeń, bowiem nie tańczył nigdy z taką kobietą w żadnym rytmie. Teraz też nie udawał, że to robi, lecz jedynie przesuwiał się po pokoju w tanecznym *pas*.

Dzwonek do drzwi zaskoczył go w pół kroku i wytrącił z równowagi. Dopóki się nie upewnił, uff, że zasłony są zaciągnięte, przeżył chwilę paniki na myśl o tym, że mógł być obserwowany z zewnątrz. Nie lada gratka dla sąsiadów: hasający w samotności staruszek! Obciągnął marynarkę, otarł oczy, wyprostował ramiona i ruszył do przedpokoju.

12 *Strut* (ang.) – stapać dumnie, chodzić dumnie jak paw (przyp. tłum.).

Zza drzwi dobiegały czyjeś głosy. Otworzył, a wtedy próg przekroczyły jednocześnie dwie osoby, i to z taką pewnością, jakby były oczekiwane. Jedną z nich okazał się Garth Pumphrey, drugą zaś nieco wyższy i chyba młodszy mężczyzna, którego Malcolm z początku nie rozpoznał. Miał opaloną twarz i gęstą siwą czuprynę, starannie ostrzyżoną i uczesaną. Kombinacja ta wywoływała skojarzenie z negatywem fotograficznym albo po prostu ze starym krykiecią – jednak te „negatywne” skojarzenie niwelowało spojrzenie wielkich i spokojnych brązowych oczu. Mężczyzna odwrócił głowę na dźwięk muzyki dobiegającej z salonu.

– Nie zamykaj jeszcze, Malcolm – rzekł Garth – bo nadchodzi Peter.

– Och, dobrze.

– Pamiętasz Percy’ego, prawda?

Oczywiście, od razu sobie przypomniał: Percy Morgan, przedsiębiorca budowlany, mąż Dorothy, którego widywało się czasem, jak włókł ją po przyjęciu do samochodu, i znacznie rzadziej w „Biblii”, a chyba od około roku wcale. Tym razem okazjonalna usłużność Gartha mogła mu zostać poczytana na plus, w przeciwieństwie do innych podobnych i dość częstych przejawów demencji, kiedy to zdarzało mu się przedstawiać Charliego Alunowi, Aluna Malcolmowi, Malcolma Tarcowi Jonesowi etc.

Po krótkiej chwili wypełnionej niezręcznym wyczekiwaniem u drzwi, na ogrodowej ścieżce pojawił się Peter, pojękujący i mamroczący coś pod nosem, po czym cała grupa udała się do salonu, gdzie na pełny regulator ryczeli Feetwarmersi – zaczęli już kawałek pod tytułem *Wild Man Blues*. Malcolm trochę ich ściszył, zanim zaproponował drinki, zastanawiając się jednocześnie, jak podzielić tę trochę ponad połowę butelki Johnniego Walkera pomiędzy ich czterech, a raczej – co jeszcze pogarszało sprawę – pięciu.

– Alun też przyjdzie, prawda? – spytał Petera.

– Tak? Nie mam pojęcia. Wiesz co, mógłbyś trochę ściszyć ten łomot?

– Wydawało mi się, że kiedyś lubiłeś te nowoorleańskie kawałki, Jelly Roli Mortona, George’a...

– Jeśli lubiłem, to przestałem. Więc mógłbyś?

Percy Morgan podniósł wzrok znad przeglądanych płyt.

– Masz jakiegoś Basiego albo Ellingtona? Albo może Gila Evansa? Dzięki. – Podziękowanie dotyczyło podanej szklaneczki whisky z wodą. – Widzę, że nie ma sensu pytać o Coltrane’a ani Kirka, ani nikogo w tym rodzaju.

– Najmniejszego, bracie – odparł Malcolm z odrobiną wrogiej satysfakcji. – A co do Basiego, to mam tylko płyty sprzed 1939, a Ellingtona sprzed 1934. I żadnego Evansa. Przypominam sobie, że ktoś o takim samym albo podobnym nazwisku grał kiedyś z Donem Redmanem, ale chyba nie o tego ci chodzi.

Sięgnął do gałki, by zgodnie z życzeniem ściszyć gramofon, lecz Percy Morgan wyciągnął rękę w niemym proteście, prosząc gestem, by Malcolm wsłuchał się w muzykę. Trwała właśnie solówka na klarncie.

– Chyba nie nazwałbyś tego nowatorstwem melodycznym? – spytał, kiedy wybrzmiał refren.

– Nie. Nie nazwałbym tego niczym szczególnym. Może tylko czymś cholernie cudownym.

– Facet ślizgał się po tym *arpeggio*, dorzucając niewiele nut przejściowych. – W głosie Percy’ego nie było śladu narzekania czy niezadowolenia. Zdawał się całkowicie zrezygnowany, pogodzony z faktem, że wykonanie nie mogło przecież być lepsze.

– Doprawdy. – Malcolmowi udało się pokręcić gałką. – Niewątpliwie, nie przeczę.

– Och, nie ściszej, Malcolm – zawołał prosząco Garth. – Uwielbiam te stare dixielandowe kawałki, one naprawdę potrafią człowieka rozkołysać, prawda? – Wykonał kilka uderzeń w wyimaginowaną perkusję i zagwizdał do taktu. – Co to za kapela? – Malcolm podał mu kopertę płyty. – Aa, tak, Papa... no jasne. Masz coś Glenna Millera?

– Obawiam się, że nie.

– A Artiego Shawa?

– Nie.

Malcolm bliski był złości, do jakiej zwykle doprowadzało go to, że spokojna, lekka pogawędka z kumplem przy kielichu przybierała taki właśnie obrót, to znaczy zmieniała się w posiedzenie jazzowego klubu dyskusyjnego. I wcale nie chodziło o to, że miał cokolwiek przeciwko poświęceniu jego płytom należnej uwagi – miała ona jednak mieć formę pełnej szacunku ciszy, przerywanej jedynie przez nieśmiałe dociekania lub jeden czy dwa, ale nie więcej, okrzyki zachwytu. Uświadomił sobie, że w jakimś sensie takiej właśnie reakcji oczekiwał od momentu, kiedy cała trójka przekroczyła próg salonu, zwłaszcza ze strony Aluna. No właśnie, a gdzież, u diabła, podziewał się Alun?

Alun stanął w drzwiach kilka minut później, z Charliem u boku, tudzież z nieskładnym powitaniem oraz przeprosinami na ustach, wciskając gospodarzowi butelkę Black Label – jak za starych dobrych czasów, tyle że wtedy był to orzechowobrzowy John Upjohn Jones.

– Chyba nie masz mi za złe, że przyprowadziłem ze sobą chłopaków – powiedział. – Kiedy Tarc zakręcił kurek, wszyscy mieli ochotę na jeszcze jednego.

– Rozumiem. Nie ma sprawy. Pewnie.

Charlie przekroczył próg z wielkim dostojeństwem.

– Nawet tego, że posłał ich przodem. To taka taktyka, zwana strażą przednią albo działaniem osłaniającym.

– Przepraszam – zaczął Malcolm – ale nie bardzo...

– O, a cóż to za stare, rzetelne brzmienie! – zawołał Alun, śpiesząc w stronę „Playboxa”. – Założę się, że znam ten kawałek. Czy przypadkiem nie było wersji tego utworu w wykonaniu Louisa i... i Johnny’ego Doddsa? A na drugiej stronie... chyba *Skip the Gutter*?

– *Ory’s Creole Trombone*, jeśli chodzi o ścisłość.

– No pewnie, i to na starym Parlophone 78, zgadza się?

– Zgadza się. – Malcolm zaczynał się uśmiechać.

Alun z entuzjazmem zabrał się do przeglądania stosu płyt. Percy Morgan bez szczególnej nadziei zerkał na spisy treści co trzeciej lub co czwartej spośród tych, które brał do ręki. Malcolm wyszedł po szklanki. Charlie odwrócił się do Petera i skinął przyjaźnie głową w jego stronę, jakby się nie widzieli od tygodni.

– Rozchmurz się – powiedział. – Rozchmurz się i ciesz się muzyką.

– Obawiam się, że wysiłek rozchmurzenia się na tyle, abym mógł cieszyć się tą akurat muzyką, przerasta moje możliwości.

– A pod jakim względem jest ona gorsza od innej?

– Chyba pod żadnym szczególnym. Wiesz, kiedy oglądam się wstecz, muzyka staje się czymś takim jak szachy albo zbieranie monet, albo... podania ludowe; czymś, co interesowało mnie wtedy, kiedy interesowało mnie również wszystko inne.

– Przede wszystkim nigdy w życiu nie poszedłbym do „Biblii”, gdyby nie to, że „Glendower” była nieczynna.

– Bo instalują nowy piec. Tak powiedziałaś.

– Gdzie są te cholerne drinki? – Charlie potoczył wkoło wzrokiem. – I gdzie jest ten cholerny Garth? Wydawało mi się, że miał tu być.

– Bo miał i jest. Przed chwilą widziałem, jak wchodził na górę, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa udawał się do ubikacji.

– Hej, jedno jest dobre, jeśli chodzi o Gartha – zawołał Charlie, zwracając się także do Percy’ego, który porzucił w końcu grzebanie w płytach, i powtarzając tę myśl na użytek Malcolma, który nadchodził właśnie z obiecanyymi drinkami. – Słuchajcie uważnie. Kiedy widzi się... – Zmarszczył brwi i przesunął wzrokiem po ich twarzach. – Kiedy widzi się Gartha, ma się najcudowniejsze poczucie bezpieczeństwa. Można się odprężyć. Wiecie czemu? Bo ma się pewność, że się nagle nie natknie na Angharad. Żadnych szans. Spokojna głowa. Pełen relaks. Nieprawdaż? A dużo mniejsza korzyść ze spotkania z Angharad... to pewność, że się nagle nie natknie na Gartha. Tak.

Słyszając to, Peter odwrócił raptownie głowę, pozostali dwaj jednak okazali, że rozumieją, o czym mowa, a mianowicie, że nieczęsto widuje się Pumphreyów razem. Dało to asumpt zwykłym w takich okolicznościach i dobrodusznym spekulacjom na temat opanowanego morderczą manią wuja albo dwugłowego syna, który wymaga stałej opieki. W każdym razie Charlie dosiadł swego konika.

– Wiecie, rozmyślałem kiedyś o tej parze – ciągnął. – Gdyby byli bohaterami kryminału, to wystarczyłoby tylko jedno z nich. Wiecie, co mam na myśli? Tak naprawdę byłby tylko on albo tylko ona. Jedno zaciukałoby drugie wiele lat wcześniej, a później odgrywało przed światem jego rolę. Całkiem możliwe, prawda? Przez pewien czas. Są przecież mniej więcej tego samego wzrostu.

– Ale czemu tylko przez pewien czas? – spytał Malcolm, spoglądając na Percy’ego, który kiwał bardzo powoli swą siwą głową.

– Co? Ależ, na Boga, przecież przez resztę czasu ten ktoś musiałby odgrywać siebie samego, prawda? Albo siebie samą, oczywiście, gdyby to była Angharad.

– Zdaje mi się, że pomiąłem Aluna – zauważył Malcolm i wyszedł.

Alun tymczasem wysunął z koperty jakąś płytę i wpatrywał się w naklejkę, a że był bez okularów, więc pewnie na próżno.

– Tam do licha, drogi chłopcze. Nie mogę się zorientować, czy to *remake*, czy oryginalne...

– Czy mógłbym wtrącić słówko?

– Nawet całe zdanie, sir. – Alunowi wyrwało się westchnienie. – Chciałem powiedzieć, że możesz mówić, jak długo ci się spodoba.

– Dzięki, Alun. Chciałem cię zapytać... Cóż, Gwen powiedziała coś, co mnie bardzo nieprzyjemnie zaskoczyło...

2

– Hm, ja traktuję to jako żart – oznajmiła Muriel. – Na co zawsze mogę się zdobyć, jeśli tylko odpowiednio mocno zacisnę zęby. Spokojnie, dziewczyno, mówię sobie, kiedy poziom adrenaliny zaczyna się podnosić, już kiedyś widziałas to wszystko i udało ci się wyjść z tego bez szwanku. A przynajmniej wyjść. Powiedz powoli i spokojnie: jesteś w Walii, kraju pieśni, kraju uśmiechu i kraju oszustwa. Taffy to Walijszyk, Taffy to złodziej, no pewnie, ale przecież Taffy w wielkim stylu podtrzymuje tradycję, ho, ho, patrzcie no tylko. – Ostatnie słowa wypowiedziała z akcentem przypominającym jakiś zachodnioafrykański, może ghański albo nigeryjski. – Dopóki się tu nie przeprowadziłam, myślałam, że liczenie łyżeczek to tylko takie wyrażenie, nic więcej niż zabawne powiedzonko.

Dorothy Morgan, mgliście wyczuwając koniec wypowiedzi i mając jeszcze bardziej mgliste wrażenie, że już kiedyś słyszała coś podobnego, podniosła wzrok. Jakąś minutę czy dwie wcześniej straciła inicjatywę. Niebawem, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie żadnych spontanicznych wypowiedzi na temat Nowej Zelandii – nowej, przybranej ojczyzny jednego z synów Morganów, krainy całkowicie i przez to cudownie nie znanej nikomu spośród tych, na których miała szansę się natknąć, mogącej przeto służyć jako czarodziejska różdżka albo zaklęcie, dzięki któremu zamieniali się w słuch. Teraz straciła również szansę wtrącenia czegoś równie bezdyskusyjnego, na przykład o tym, co Percy odpowiedział sekretarzowi rady miasta albo co zapamiętała z artykułu o DNA, który ostatnio przeczytała w jakimś czasopiśmie. Oczywiście, wcale nie w tym rzecz, że słuchała tego, co mówi Muriel – po prostu jednostajne brzmienie cudzego głosu uspiło jej uwagę, zniechęciło nawet do tak łatwego zadania jak sformułowanie jednego z tradycyjnych zagajień.

Tym, znad czego Dorothy podniosła wzrok, był stylowy skandynawski stół, wykonany z różnych gatunków drewna i stanowiący część wyposażenia zagraconej kuchni Sophie. Stół ów był usłany resztkami nagromadzonymi podczas dwunastogodzinnego picia wina, palenia papierosów i niejedzenia najróżniejszych herbatników, kanapek, kawałków sera i małych zeppelinów pasztetu. Na placu boju pozostały jedynie Muriel i Dorothy: Sian Smith podobno spała gdzieś na górze, a sama Sophie, która nigdy nie należała do miłośniczek takich zebrań, już dobrą chwilę temu wyszła do salonu na telewizję, chociaż w tym właśnie momencie rozmawiała w holu przez telefon, usiłując po raz drugi czy trzeci złapać pilnie potrzebnego Percy'ego.

– Zdaje się, że opowiadałam ci o pewnym „długoterminowym” wojaku, na którego natknęłam się w Monmouth – odezwała się Muriel. – Spędził dwadzieścia lat pośród walijskich górali, zajmując się czymś związanym ze zbiornikami wodnymi i rurami. Normalnie, to znaczy kiedy jest się u siebie, ludzie z Yorkshire nie cieszą się przychylnością mieszkańców Derbyshire, ale kiedy jest się za granicą, wszystko wygląda inaczej. Tak czy siak, świetnie się rozumieliśmy, a on dość dobrze orientował się w tym, no wiesz, co Jaś Walińczyk ma za uszami. Dość frapujące. Ktoregoś razu – nie wyjaśnił, jakim cudem, ale domyślałam się, że wymagało to sporej tolerancji wobec miejscowych obyczajów – zatem ktoregoś razu zdarzyło mu się znaleźć pośród zgromadzenia, które słuchało kazania wygłaszanego po walijsku przez miejscowego kaznodzieję. Tobie bez wątpienia zrozumienie tego nie sprawiłoby żadnego problemu... – W tym miejscu Muriel zrobiła wymowną pauzę, ufając, że zdoła ocenić, jak długo Dorothy będzie dochodzić do siebie, po czym podjęła: – ...ale w jego przypadku facet równie dobrze mógłby nadawać w jakimś indiańskim narzeczu. Jedno nie uszło jednak uwagi mojego rozmówcy: otóż ten kaznodzieja, Walińczyk, wciąż powtarzał jedno słowo, które brzmiało zupełnie jak angielskie słowo *truth*¹³. Płynie sobie potok niezrozumiałej

13 *Truth* (ang.) – prawda (przyp. tłum.).

paplaniny, nagle bęc! *truth*, i znów ten sam bełkot. Jak się później dowiedział, rzeczywiście było to angielskie słowo. Czemu nie walijskie, zapytał. Cóż, usłyszał – akcent Muriel znów nabrał podobieństwa do nowogwinejskiego – nie ma walijskiego odpowiednika, słowa o tym samym znaczeniu oraz sile wyrazu, jakie ma angielskie słowo „prawda”. A jeśli to nie wydaje ci się wystarczająco zabawne, to istnieje walijskie słowo *truth* – takie samo, a w każdym razie o tej samej pisowni – które oznacza „fałsz”. Pomieszenie z poplątaniem. Jak zresztą sama dobrze wiesz. I co tu mówić o wychodzeniu naprzeciw. Zawsze obiecywałam sobie to sprawdzić w słowniku angielsko-walijskim – bo coś takiego musi przecież istnieć – po prostu, żeby wiedzieć, gdzie na przyszłość szukać informacji.

Sophie weszła do kuchni w samą porę, aby usłyszeć ostatnie słowa. Jej widok podziałał na Muriel nadspodziewanie dobrze, bowiem choć jak każdy, lubiła być przy głosie, wołała jednak normalniejszą publiczność, taką, której można od czasu do czasu pozwolić wtrącić trzy grosze. Dobrze by było, gdyby Dorothy również słuchała, zwłaszcza rozwijanego właśnie wątku – ale przecież słyszała, fale dźwiękowe obijały się wszak o błonę bębenkową jej uszu, i to parokrotnie, istniała więc szansa, że dotarło coś do niej taką czy inną drogą, być może z pominięciem świadomości. Tak się składało, że mówienie do Dorothy, czy raczej mówienie w jej obecności, miało w sobie coś z sytuacji faceta, którego zamknięto w więziennej celi w jakimś nieprzyjemnym miejscu razem z szalonym i krwiożerczym Arabem do towarzystwa. Niewielka była jednak korzyść z takiej kompanii, bowiem jedynym sposobem utrzymania Araba w ryzach było wpatrywanie mu się prosto w oczy – wystarczyło mrugnąć albo, nie daj Boże, przysnąć, i już po tobie.

Muriel zapaliła papierosa.

– Udało się złapać Percy'ego?

– Nikt nie podnosi słuchawki. To do niego niepodobne.

Przed chwilą rozmawiałam z Gwen. Dzwoniła z tej makaroniarskiej knajpki przy Hatchery Road.

– Wiem, „U Maria”. Co mówiła?

– Była wkurzona, a przynajmniej tak twierdziła. – Sophie i tak zamierzała przekazać tę wiadomość, nawet gdyby jej nie spytano. – Malcolm zrobił jej wielką awanturę.

– Nie, naprawdę? To zupełnie nie w stylu naszego układnego Malcolma. Nie mogę go sobie wyobrazić robiącego chociażby wymówkę sprzedawcy na straganie.

Po krótkiej pauzie Sophie rzekła:

– Hm, zapytała, czy może tu przyjść, więc...

– I co odpowiedziałaś?

– Czemu nie, pomyślałam. Im nas więcej, tym weselej. – Sophie zerknęła na Dorothy. – Prawda?

– Ależ jak najbardziej.

– Może będzie miała coś ciekawego do powiedzenia o tej wielkiej całodniowej wycieczce. – Temat wspólnej wycieczki Malcolma i Rhiannon był drążony już wcześniej.

– Bardzo możliwe. Muszę stwierdzić, że nasza Rhiannon trochę się ostatnio rozhulała. Najwyraźniej jeszcze nie całkiem się pozbierała po tej historii z moim starszym.

Tym razem Sophie odczekała z odpowiedzią nieco dłużej.

– Zawsze sobie myślę, że ta twoja niechęć do Walijczyków, Muriel... To musi być fantastyczne, kiedy ty i Peter wymieniacie szczerze opinie w tej kwestii.

– Muszę dać temu upust – odparła Muriel. – Ale nie tak bardzo, jak można by sądzić. To najzupełniej możliwe, żeby zgadzać się z kimś całkowicie w jakiejś kwestii i nagle stwierdzić, że w innej dosłownie utopilibyście się nawzajem w łyżce wody. To najłatwiejsze w świecie. – Podniosła niemal pełną butelkę Corvo Bianco, stuknąwszy nią lekko o nie napoczętą puszkę ciasta z jadalnych wodorostów (z Devon), a że Sophie odmówiła, hojnie nalała sobie. – Ale oczywiście w moim przypadku to nie idzie daleko. To raczej coś jak mała niegrzeczność w gronie przyjaciół. – Z reguły załatwiała to szyderczym: „Gdzie się podziało twoje poczucie humoru?”, co było jej ulubioną kwestią na wypadek, gdyby jakiś Walińczyk poczuł się dotknięty określeniem: kłamca, oszust, tępak, tyran, hipokryta, donosiciel, snob, wałkoń, lizus, gwałciciel rodzeństwa, lub jakimkolwiek innym, które przyszłoby jej na myśl. – Tak, daleko mi do tego, aby okazać się godną wstąpienia do Antywalijskiego Bractwa Petera Thomasa, a to nie tylko z uwagi na płęć, na co, śmiem twierdzić, przewodniczący spojrzalby obecnie przez palce. Nie, trzeba by...

– Och, jest jeszcze jedna przyczyna, dla której się nie nadajesz, Muriel – wtrąciła Sophie z promiennym uśmiechem. – Należać może do niego tylko Walińczyk. Rodowity. Peter na pewno ci o tym wspomniał. Pamiętam, jak rozprawiał na ten temat po bożonarodzeniowej kolacji u Dorothy. Bardzo stanowczo się wtedy wyrażał. Dwoje dziadków nie-Walińczyków to zbyt wiele, jak powiedział.

Jakby na dźwięk własnego imienia, Dorothy po raz drugi w ciągu dziesięciu minut uniosła głowę. Rozmowa pomiędzy Sophie i Muriel, z początku ożywiona, straciła impet, i to również mogło się przesądzić przez jej system nerwowy. Za soczewkami w czarnych oprawkach jej rozbiegany wzrok ustabilizował się i skupił w jednym punkcie. Z majestatyczną powagą wciągnęła do płuc powietrze. Pozostałe dwie kobiety usiłowały w popłochu wymyślić coś, co można by powiedzieć, lecz przypominało to raczej próbę uruchomienia motocykla w obliczu szarżującego słonia.

– Wiecie, oczywiście, że w Nowej Zelandii obchodzą święta tak samo jak u nas – powiedziała Dorothy, dając tym dowód, że nie straciła wątku. – Pieczony indyk i pudding śliwkowy, i pieróg z mięsem w samym środku antypodycznej zimy. – Ostatnie słowo wymówiła dobitnie, z akcentem na drugiej sylabie od końca, czyli najzupełniej poprawnie, co zresztą dotyczyło wszystkich innych słów, i co robiła niezmiennie, jeśli tylko w ogóle zdolna była mówić. – To znaczy lata, antypodycznego lata. Wyobraźcie sobie pieczonego indyka z nadzieniem i gorący pieróg w lipcu. Howard i Angela mają kilkoro przyjaciół w Wanganui. To na tak zwanej Wyspie Północnej...

– Chyba jeszcze raz spróbuję złapać Percy'ego – powiedziała Sophie.

3

– Po prostu chciałbym usłyszeć wyjaśnienie – rzekł Malcolm. – Choćby cień wyjaśnienia. Tylko tyle.

– Jesteś najwątleszą istotą, w jaką Bóg kiedykolwiek tchnął życie – odparł Alun. – Czemu jakaś kobieta miałaby pozostać z tobą w małżeństwie choćby trzydzieści trzy godziny, to przerasta ludzkie pojęcie. Nie masz bladego pojęcia, co sprawia kobiecie przyjemność. Powiem inaczej – miało się wrażenie, że starannie dobiera słowa – jesteś nie tylko beznadziejny jako organizator życia w ogóle, ale jesteś też nudnym towarzyszem, druzgocąco i w dodatku trwale upośledzonym w sferze intymnej. Zgadza się?

– To z grubsza moja charakterystyka. O, i jeszcze jestem odcięty.

– Odcięty?

– Odcięty od autentycznych ludzi, żyjąc we własnym, żalonym, wyimaginowanym świecie dyletanckiej walijskości, średniowiecza i poezji. – Malcolm osuszył swoją szklanę.

– Poezji? Powinieneś się wstydzić, taki duży, ciężki i niezdarny facet jak ty. Jakie jeszcze masz wady?

– Nic więcej mi na razie nie przychodzi do głowy. I jak już powiedziałem, bardzo chciałbym usłyszeć wyjaśnienie. Wcześniej nie było żadnej awantury, żadnych niepokojów, nic. To takie osobliwe. Właściwie anachroniczne. Ona nie mówiła do mnie w ten sposób od Bóg wie jak dawna.

– Uhm. – Alun zasznurował usta i mrugając, spojrzął na ścianę, jakby się zastanawiał nad jakimiś teoretycznymi ewentualnościami, przygotowując się do wyeliminowania jednej z nich, ot tak, dla formalności. – Ale czy przypadkiem nie... hm, nie wspomniała o nikim innym? Nie napomknęła o kimś, kto w jakiś sposób mógłby...?

– Absolutnie. Pamiętałbym przecież, gdyby to zrobiła.

– Tak. – Przez twarz Aluna przemknęła ulga. Dodał szybko: – To jest... to musi być dla ciebie znaczna ulga. Przynajmniej ulga.

Malcolm skinął głową i westchnął. Bolała go szyja, powykrczał więc trochę ramiona, aby sobie ulżyć.

– Ale, oczywiście, tym, co mnie trapi, co próbuję zrozumieć, jest związek pomiędzy jej dzisiejszym zachowaniem i tą napaścią na ciebie. Z której powodu, muszę powiedzieć, jest mi bardzo przykro.

– Napaścią?

– Zeszłej nocy w Klubie Golfowym – podpowiedział Malcolm. On też zaczął mrugać.

– Aa. A, tak. Tak. Zastanawiałem się, kiedy do tego dojdziemy. Nieźle mi wygarnęła, prawda? Co ci potem powiedziała na ten temat?

– Cóż, musiałem to z niej wyciągnąć. Ale nie zamierzałem przejść nad tym do porządku.

– Całkiem słusznie, to się nie opłaca. Nigdy. Niemniej jednak...

– Cóż, była zmęczona, trochę wypila, miała kiepski humor, a poza tym, tak zupełnie szczerze, Alun – zważ, że staram się być teraz całkiem szczerzy – była na ciebie wściekła, nie, nie wściekła, zła. Rozdrażniona. To jakiś problem językowy, z którym, wyznam, niezupełnie jeszcze sobie...

– Och, rozumiem. Ona wychowała się w Capel Mererid, gdzie mówiono po walijsku, a ja nie. Rozumiem. Żeby odwzajemnić ci się za szczerłość, Malcolm, powiem, że ona uważa mnie za oszusta, nawet więcej niż oszusta, za kogoś, kto przehandlował Walię Anglosasom, nic zatem dziwnego, że ją drażni mój widok. Nie, nie, nie musisz... Nie będziemy się o to spierać, to nie jest temat do dyskusji. A skoro o tym mowa... – Alun pochylił się i rzekł z uczuciem, zniżywszy głos: – Nie bierz dosłownie tego wszystkiego, co ona mówi. Tutaj w grę wchodzi coś bardziej podstawowego, i owszem, masz rację, że związane to jest z tym, co powiedziała ci dziś wieczór. A teraz napijmy się, whisky jest w tamtym pokoju. – Na czas tej rozmowy on i Malcolm usunęli się do kuchni. – Pozwól, że ci doleję. To ci dobrze zrobi.

– Naprawdę tak myślisz? No, dobrze, ale tylko trochę. Dzięki.

Alun wstał i delikatnie położył rękę na ramieniu Malcolma.

– Wszystko w porządku, chłopcze. Zaraz ci wyjaśnię. To niełatwe, ale nic nie szkodzi.

Malcolm został sam. Uświadomił sobie, że musi być pijany, przynajmniej troszeczkę, co było stanem obcym mu od ponad trzydziestu lat, to znaczy od czasu poślubienia Gwen – aż do momentu, kiedy Alun ponownie wkroczył w jego życie. Czuł się zmieszany, ale nie w przygnębiający sposób, na wpół uspokojony, jeśli chodzi o Gwen, na dnie duszy chowający myśl o Rhiannon. Nie łączył w myślach tych dwu kobiet ani tego, co każda z nich mogła dla niego znaczyć. Jak to poczciwie ze strony Aluna, że zechciał go wysłuchać i – jak się zdawało, z dużymi szansami na powodzenie – poukładać wszystko, co było do poukładania. A jednak gdzieś w środku czuł trwogę, która zanikała, kiedy próbował ją sobie wytłumaczyć, i podkradała się cichcem z powrotem, gdy tylko przestawał.

Odkąd wynieśli się do kuchni, z salonu nieprzerwanie dobiegały stłumione odgłosy rozmów, muzyka, najpierw ledwie słyszalna, później zupełnie niesłyszalna, raz czy dwa głośny śmiech Gartha. Teraz dał się słyszeć podniesiony głos Aluna, po którym nastąpiła ogólna wesołość. Nie, nie bawił towarzystwa jego, Malcolm, kosztem, to nonsens, pomysł paranoika. A oto i on, wraca niezwłocznie, taszcząc – zacna dusza – obiecane drinki. Wszystkie jego ruchy były równie obojętne jak zawsze.

Z poważną miną, gotów przejrzeć rzecz całą na wylot, Alun przyciągnął krzesło do stołu, z którego całkiem przypadkowo Malcolm, uprzątnął pozostałości po kolacji oraz innych, wcześniejszych posiłkach i przekąskach Gwen. Usiadł wyprostowany.

– Dobrze – warknął w nieco wojskowym stylu. – Dobrze. Określę to jednym słowem. Zazdrość. Zwykła, staromodna zazdrość. Także zawiść, która jest absolutnie czym innym, ale i niczym lepszym. Czytałem o tym niedawno: zawiść jest w małżeństwie dużo gorsza od zazdrości. Napisał to pewien walijski pisarz. Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. Nieważne. A więc tobie przydarzyło się coś miłego, coś odrobinę romantycznego, mam na myśli Rhiannon. Gwen, biedaczki, nic takiego nie spotkało – ciągnął, wpatrując się twardo w Malcolma. – Ty miałaś swą nostalgiczną wycieczkę, wróciłaś zwycięski, więc ona cię karze. Jasne jak słońce. Nie miej jej tego za złe. Tak zawsze się dzieje z kobietami. To jest jak odruch.

– Ale ja wcale nie wróciłem zwycięski, zastanawiałem się już nad tym, nie jestem głupcem, pilnowałem się. Powiedziałem, że było całkiem miło, jedzenie nie najlepsze, trochę chłodno i tak dalej, i tak dalej.

Jak było do przewidzenia, zanim jeszcze Malcolm zdążył skończyć, Alun zaczął potrząsać głową.

– Posłuchaj, wracasz z takiej wycieczki bez czegoś z wyjątkiem głowy, i już wracasz zwycięski, rozumiesz? One wszystkie tak... O Chryste!

– Ale ty mówisz, że ona chciała mnie zranić.

– Właśnie.

– Ale ja jej nie usiłowałem zranić.

Efektowny jęk miał wyrażać bezcelowość jakiegokolwiek odpowiedzi.

– Ale ona...

– Do jutra rana zapomni, co powiedziała.

– Ale ja nie zapomnę.

– Ależ zapomnisz, może nie do jutra, ale zapomnisz, a im wcześniej, tym lepiej. Powtarzaj za mną, nie, nie musisz robić tego dosłownie, ale słuchaj uważnie. Ona nie myślała tego, co mówiła. Używała słów zamiast zawodzenia i krzyków. Była zdenerwowana – słusznie czy niesłusznie, to bez znaczenia. Musisz to przełknąć. To rozkaz.

– Cóż, ty chyba znasz się na tym. – Malcolm znowu westchnął. – No, dobrze, postaram się. Ale jak to się ma do tego, co powiedziała tobie?

– Hm... – Alun miał usta pełne whisky, podniósł więc palec do góry, sygnalizując to i przełykając. – To wciąż to samo, tyle że o wektorze przeciwnym. Mam na myśli widok Rhiannon, przypuszczalnie widok jej rozmawiającej z tobą. To wystarczyło. Gwen chciała uderzyć w Rhiannon, ale nie mogła zrobić tego bezpośrednio, bo są przecież starymi kumpelkami i tak dalej, dobrała się więc do niej pośrednio, poprzez moją osobę, chociaż nie twierdzę, że nie dobrała się do mnie *eon*, że się tak wyrażę, *amore*. Ale nie ma sprawy. Zazdrość... i zawiść. A w tym wypadku nieco większa doza zawiści, bo rzecz dotyczyła innej kobiety w tym samym mniej więcej wieku i sytuacji. To jasne jak słońce. Zdarza się na co dzień.

Dał się słyszeć stłumiony śmiech Gartha. Umiarkowanie stłumiony. Malcolm powiedział:

- Dla mnie to brzmi trochę pokrętnie.
- Czemu, u licha, pokrętnie? Kiedy się...
- Przepraszam, chciałem powiedzieć: zawile.

– No, dobrze, czemu więc, u licha, zawile? Kiedy się... Chryste! Kiedy się porzuci perwersyjne, ośło uparte oczekiwanie, że kobiety powinny myśleć to, co mówią, i mówić to, co myślą, z wyjątkiem sytuacji, kiedy kłamią, takie rzeczy stają się całkiem zwyczajne. Zawile! Pokrętnie! W żadnym razie. Nic nie mogłoby być bardziej oczywiste i proste. – Głos Aluna złagodniał. – Wiem, że Gwen pod wieloma względami różni się od innych kobiet, ale też pod wieloma jest taka sama, i to jest ta właśnie okoliczność. Mam rację?

– Tak – odparł Malcolm niemal bez wahania. – Oczywiście, że masz rację. Trzeba tylko trochę czasu, aby do tego przywyknąć. Tak. Dzięki, Alun.

– Do usług, chłopcze. Tylko nie wspominaj jej więcej o tym, dobrze? Zachowuj się tak, jakby nic się nie stało. I bądź dla niej miły... ale przecież twoje własne doświadczenie i rozsądek wskażą ci drogę. Ale, ale! – zawołał, kiedy już wstawali od stołu. – Co ty zrobiłeś Rhiannon na tej wycieczce do Courcey, stary potworze? Ta dziewczyna po powrocie chodziła jak wniebowzięta.

– Żartujesz. – Malcolm odwrócił wzrok.

– Ależ tak, mówię uczciwie. Odmłodziła o jakieś dwadzieścia lat. No, chłopie, lepiej się pilnuj. Będę miał na ciebie oko.

Chryste! – Alun zerknął na zegarek. – Ale jeszcze zanim wyjdę, muszę powiedzieć, że cudownie było znowu posłuchać tych starych kawałków. Musimy urządzić sobie we dwóch muzyczny wieczór, bez takich filistrów i wielbicieli Ornette’a Colemana jak Peter. Był taki jeden, który szczególnie mi się podobał, trębacz o francuskim nazwisku... jakiś Matt, Nat...

– Natty Dominique, świetny facet. Tak, mam całkiem sporo jego nagrań. Zabawne, że go pamiętasz.

– Może moglibyśmy go posłuchać, jeszcze zanim wyjdę? Czy on przypadkiem nie współpracował dość często z George’em Lewisem?

– Chyba więcej z Doddsem.

Przeważająca część tej rozmowy toczyła się w drodze z kuchni do salonu, tak więc Malcolm nie mógł dostrzec na twarzy Aluna przelotnego, lecz wymownego wyrazu ulgi po nieznośnym napięciu, dziękczynienia składanego jakimś opiekuńczym duchom i lubieżnej radości. W salonie zastali głuchy gramofon – chociaż rubinowa kontrolka sygnalizowała, że jest włączony – oraz Gartha opowiadającego pozostałym, co kiedyś zrobił czy zobaczył. Po tym, jak raptownie zamilkł na ich widok, można było wnosić, że nie gadał ot, tak sobie, ale że dobrze wiedział, do czego zmierza. Peter siedział z zasznurowanymi ustami, lekko zde gustowany. Charlie wpatrywał się w martwy ekran telewizora, jeśli nie z nadzieją, że może on w każdej chwili ożyć, to przynajmniej z utkwionym tam wzrokiem. Percy, na wpół siedząc, na wpół opierając się o stolik pod gramofon, bez słów czy gestów dawał pozostałym do zrozumienia, że nie jest częścią towarzystwa, jednak w żadnym złośliwym sensie, ot, po prostu należy do jakiejś innej, pobliskiej paczki i właśnie się zbiera do wyjścia. Wyglądało na to, że nikt nie pije. Ich siły witalne zdawały się na wykończeniu.

– Proponuję, żebyśmy wysłuchali ostatniej płyty – rzekł Alun. – I może wypili małego strzemiennego.

– Ty sobie wysłuchaj albo wypij – odparł Percy. – Albo jedno i drugie. Dzięki za gościnę, Malcolm. Myślę, że nic się nie stanie, jeśli niektórzy z nas już sobie pójda, prawda? Peter, ty przyjechałeś samochodem...

Garth podniósł się z sapnięciem.

– Ja się przejdę – powiedział. – Zaczepnę świeżego powietrza.

– Dobra, pozostał tylko Charlie. Ja się nim zajmę. Zawiozę go do domu, bo i tak muszę tam pojechać po Dot.

– Masz na myśli mój dom? – spytał Charlie, wykręcając się gwałtownie w fotelu. – Skąd wiesz, że ona tam jest?

– Poszła rano do Sophie na kawę i drinka.

– Ale skąd wiesz, że jest tam nadal? Dzwoniłeś do Sophie?

– Poszła do Sophie na kawę i drinka – powtórzył Percy odrobinę głośniej, nie zmieniając jednak łagodnego, rzeczowego tonu.

– Ale nie dzwoniłeś do Sophie. – Odnosiło się wrażenie, że Charlie koniecznie chciał umieścić to czy coś w tym rodzaju w swojej kartotece.

– Zamknij się, Charlie – odezwał się Alun.

– Posłuchaj, im prędzej wyjdziemy – zaczął wyjaśniać Percy – tym szybciej będziemy mogli uderzyć w kimono.

Zaraz potem wyszli, wszyscy, nie wyłączając Aluna, po którym być może oczekiwano, że skorzysta ze świetnej okazji wysłuchania w spokoju kilku nagrań – on jednak wyszedł z innymi, mamrocąc pod nosem, że rano musi wcześniej wstać. Tak więc z niejaką – chociaż nie całkowitą – pewnością, że Alun udzielił mu prawdziwej odpowiedzi w kwestii Gwen, oraz z lekkim szmerkiem w głowie, Malcolm nalał sobie szklaneczkę cieniutkiej whisky z wodą i wysłuchał ostatniej płyty, tym razem bez ekscytacji i nie na stojąco, lecz w objęciach ciasnego, niewygodnego fotela.

Wybór padł na to, co swego czasu uchodziło za nie publikowaną wcześniej wersję *Goober Dance* (z Nattym Dominique, klarnet, w roli głównej). Co do głośności, to utrzymał ją na umiarkowanym poziomie, a to z obawy przed ewentualnym odwetem – doraźnym lub przyszłym – ze strony zakochanego w reggae pomocnika rzeźnika, który mieszkał po sąsiedzku. Kiedy *Goober Dance* dobiegł końca, Malcolm stwierdził, że właściwie może posłuchać jeszcze kilku kawałków, po czym zapadł w sen, usiłując myśleć o Rhiannon, ale zamiast tego tęskniąc do powrotu Gwen.

– Zapytałam tę przyjaciółkę Angeli, co to jest – powiedziała Dorothy – a ona mi wyjaśniła, że to taka potrawa Maorysów, no, wiecie, ludu, który przypłynął tam łodziami. Bardzo kulturalnego ludu. Wszystko mają własne. Na przykład...

Jej mąż, siedzący na drugim końcu kuchennego stołu Sophie, spojrzał na zegarek.

– Dwie minuty, kochanie – oznajmił.

– Co się zdarzy za dwie minuty? – spytał siedzący obok Peter. – Wprost płonę z ciekawości.

W istocie był dość ciekaw, a poza tym, prawdę mówiąc, czuł się nieco niezręcznie, kiedy tak siedział i nic nie mówił. Nie trzeba było wyjaśniać, że jego obecność stanowiła element norm postępowania, które obejmowały podążanie wszędzie tam, gdzie podejrzewał, że przebywa Muriel – na wypadek, gdyby potrzebowała podwiezienia do domu lub gdziekolwiek indziej. Rzecz jasna, w żaden sposób nie ograniczało to jej prawa do skorzystania z taksówki bez uprzedzania go o tym. Przecież gdyby musiała go uprzedzać, oszczędzając mu tym samym długich, bezcelowych podróży, czułaby się uwiązana. Dziś wieczór miał szczęście, jako że nadal była tam, dokąd się wcześniej udała, chociaż teraz akurat nie znajdowała się w polu widzenia.

– Zobaczysz, jeśli tu jeszcze będziesz – odpowiedział Percy.

– To prawie pewne. Dokończenie pogawędki z Gwen może potrwać nawet całą noc.

– Co? O, czy tym właśnie zajęta jest Muriel?

– A ty myślałeś, że czym?

– Nic nie myślałem, Peter, miałem co innego do roboty, jak zresztą zawsze, ale już niedługo. Tak, w porównaniu z niektórymi uważam się za szczęśliwca, mając żonę tak łatwą do opanowania.

Peter nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi. Widywał Percyego od wielu lat i nigdy nie zauważył w nim nic szczególnego, a teraz zreflektował się o parę sekund za późno, by zdążyć dostrzec ewentualną ironię. Facet był, oczywiście, Walijszczykiem. Kiedy Peter o tym rozmyślał od niechcienia, powoli otwały się drzwi i powoli stanął w nich Charlie. Zatrzymał się w progu, jakby gotowy wyjść, gdyby tego zażądano.

– Chyba pójde się położyć – oznajmił.

– Dobrze – odparł Peter, gdy nikt się nie odezwał.

Sophie, siedząca obok Dorothy w roli – jak zwykle – jej przydziałowej słuchaczki, odwróciła głowę w stronę drzwi. Poprzez czy ponad płynącymi z ust Dorothy informacjami na temat finansowania nowozelandzkiej służby zdrowia powiedziała:

– Sian jest w małym pokoju.

– Co ona tam robi? – zapytał Charlie nieco swarliwym tonem, jakim mówił już u Malcolma.

– Cóż, poszła się przespać.

– Nie może tego zrobić w domu?

– Nie ma już po co wracać do domu, jak wiesz.

– Tak długo, dopóki nie trzeba będzie przy niej nic robić.

– Och, zostaw ją.

Ta krótka wymiana zdań zakłóciła tok wypowiedzi Dorothy, wkrótce jednak płynność została przywrócona. Sophie zwróciła się znów w jej stronę, ponownie przywoławszy na twarz uprzejmy uśmiech. Charlie postąpił nieco w głąb kuchni.

– Alun jest w świetnej formie – powiedział.

Percy spojrział na niego badawczo, ale bez słowa. Peter chrząknął.

– Stanął na wysokości zadania. Świetnie się sprawdza w takich sytuacjach. Żeby przekonać takiego faceta jak nasz stary Malcolm, że wszelkie złe przecucia, jakie mu przychodzą do głowy w związku z jego... życiem osobistym, nie mają żadnych podstaw. Tak go ugłaskać. Mówię wam, wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, co tak naprawdę ci dwaj sobie powiedzieli. A wy?

– Myślę, że wyciągasz pochopne wnioski – odparł Peter, zerkając na Percy'ego.

– Być może. Najpierw wołają go do telefonu, a potem propozycja, żeby wpaść do Malcolma, tego starego nocnego marka i hulaki. Tak, przepowiadam katastrofę.

Kiedy kończył to mówić, Percy ponownie spojrział na zegarek, po czym spokojnym krokiem podszedł do żony i stanął tuż za jej krzesłem.

– Zachowali nawet własną, tradycyjną kuchnię – mówiła Dorothy. – Przyjaciółka Angeli ugotowała nam któregoś wieczoru maoryską potrawę. Były w niej surowe...

Nadal bez pośpiechu Percy pochylił się, wsunął ręce pod jej pachy i energicznie podciągnął do góry, używając przy tym znacznej, lecz nie nadmiernej siły. Dorothy stanęła na równe nogi gładko jak wyciągnięty obcęgi gwóźdź.

– Idziemy, kochanie – rzekł Percy, ciągnąc ją i popychając, Sophie zaś najpierw stała przez chwilę z boku, po czym ruszyła za nimi. Po krótkiej chwili Peter i Charlie usłyszeli, jak Percy mówi jeszcze w holu: „To drobiazg”, a potem stuknęły drzwi.

– Całkiem imponujące na swój sposób – zauważył Charlie.

– Nigdy wcześniej tego nie widziałem.

– Całkiem imponujące. Czasami wychodzi o własnych siłach, nie czekając, aż sędzia zacznie odliczanie. Ale to zależy oczywiście od jej samopoczucia.

– Pewnie, jednak w końcu raz na jakiś czas musi do tego dojść.

– Chyba pójdę się położyć – Charlie zwrócił się do Sophie, która wróciła właśnie do kuchni.

– Zrób tak, kochanie. Dobrze się czujesz?

– Najzupełniej. Naprawdę.

– Ja też niedługo przyjdę. Sian jest na gorze.

– Dam sobie radę. – Charlie pocałował żonę w policzek, po czym odwrócił się jeszcze do Petera. – Na razie, stary. Trochę się ululałem.

Ledwie wyszedł i ledwie Peter zdążył się zastanowić, jak tu się zabrać do tego, co mu zostało do zrobienia, weszła Muriel, a tuż za nią Gwen, której Peter nie widział jeszcze na oczy od momentu przyjścia. Obie miały w rękach puste kieliszki, a w sposobie, w jaki się poruszały, uderzało niezwykle podobieństwo: drobnymi kroczkami, posuwając się powoli i miękko, ze skulonymi ramionami, ale głowami uniesionymi i nieco zadartymi, wężąc spiczastymi nosami za butelką. Żadna ze stojących na widoku nie zawierała wina. Bez zbędnych komentarzy Sophie sięgnęła do kartonu obok lodówki rozmiarów budki wartownika po pełną – litrowego rieslinga Emerald. Przystępując do akcji, Muriel, z głową spowitą chmurą papierosowego dymu, z całą powagą uwolniła korkociąg od tkwiącego na nim korka. Gwen za pomocą nożyka do owoców zaatakowała folię wokół szyjki. Żadna się nie odezwała, dopóki alkohol nie popłynął do kieliszków.

– No, to Dorothy sobie poszła – zadeklamowała teatralnie Muriel. – Wszelako, trzeba zauważyć, nie przedwcześnie.

– Trzaśnięcie drzwi wejściowych było dla naszych uszu niczym muzyka – dorzuciła Gwen.

Muriel usadowiła się na swym poprzednim miejscu.

– Ale nasz drogi Percy bynajmniej nie połamał nóg, pędząc jej na ratunek, co?

– Przypuszczalnie potraktował to jako godzinę wychodnego – odparł Peter, który wciąż był pod wrażeniem sprawnie i elegancko przeprowadzonej akcji Percy’ego; nawet więcej: gdzieś w głębi swej nieugiętej istoty zazdrościł unoszącej się nad tamtym aury osamotnienia. – I moim zdaniem całkiem rozsądnie.

Trzy kobiety spojrzały na niego w milczeniu, Sophie jedynie przelotnie, w drodze do wyjścia, za to Gwen dość przeciągle. Spojrzenie Muriel znad kieliszka trwało tak długo, dopóki nie odstawiła go na stół.

– Mój drogi chłopcze – powiedziała – ty również masz teraz szansę na odrobinę swobody, bo moja przyjaciółka Gwen i ja zamierzamy właśnie uciąć sobie miłą siostrzaną pogawędkę, do której, szczerze mówiąc, nie przypuszczam, abyś mógł wiele wniesić, możesz więc od razu się stąd zabrać. Nie ma sensu, abyś tu tkwił, prawda? – Uśmiechnęła się albo raczej rozciągnęła usta i uniosła brwi.

Peter spodziewał się, że zostanie poproszony o cierpliwość, podczas gdy jego żona będzie piła jeszcze jeden kieliszek, a potem o jeszcze trochę cierpliwości, kiedy będzie piła kolejny. W takim układzie narażony byłby później na zarzut zatrucia całej przyjemności płynącej z rzeczono(ych) kieliszka(ów), a to z powodu jawnie okazywanego zniecierpliwienia – nieważne, jak bardzo i jak nieprzerwanie promieniałby uśmiechem ku wszystkim razem i każdemu z osobna. Po tym zarzucie przysłaby kolej na następny, a mianowicie, iż wywleka ją do domu w samym środku najlepszej zabawy. Muriel nie była nałogową pijaczką, ale kiedy już piła, robiła to według pewnych zasad. W związku z tym Peter zupełnie nie był przygotowany na wyproszenie go z domu Sophie.

– Och... nie ma sprawy – wybąkał. – To dla mnie żaden kłopot...

– Nie, nie, staruszk, nie miałabym sumienia cię zatrzymywać. – Muriel zaśmiała się drwiąco. – Widać po tobie, że przydałoby ci się pójść dziś wcześniej spać. Wprawdzie już nie jest zbyt wcześnie, ale dobre i to.

Bez zapalu zaprotestował jeszcze raz czy dwa, i już go nie było. Gwen pomachała mu na pożegnanie i posłała wymuszony uśmiech, z powodu którego zrobiło mu się dziwnie żal Malcolma, ale tylko przelotnie. W ubikacji w holu przyszło mu na myśl, jak zresztą już nieraz, że gdyby mieli jeszcze jeden samochód, na co mogli, albo raczej na co Muriel mogła sobie z powodzeniem pozwolić, wówczas wszystko to nigdy by się nie wydarzyło. Jednak czy aby na pewno wszystko? Przecież to zaledwie kropla w morzu. A poza tym zawsze pozostawałyby takie sytuacje jak dzisiejsza, kiedy to była zbyt pijana, albo na najlepszej ku temu drodze, aby móc prowadzić. Cóż, w przypadkach takich jak ten, kiedy rzeczywiście go potrzebowała, mogłaby po niego zadzwonić albo... Ależ o czym on mówi? Narazić się na poczucie uwiązania i w dodatku przepuścić doskonałą okazję, aby mu podokuczać? On chyba żartuje. Tak, do tego punktu także już nieraz dochodził.

Znalazłszy się w holu, niemal wpadł na Sophie, której głowę zdobił turkusowoniebieski szal, co było na tyle zaskakujące, że zapytał:

– Wybierasz się gdzieś? – Przypomniawszy sobie, że przed minutą czy dwiema słyszał cichy trzel telefonu.

– Owszem. Bo co? – Nie potrzebowała podostrząć swego normalnego tonu, aby zabrzmiał odpowiednio opryskliwie.

– Mam nadzieję, że z Charliem wszystko będzie w porządku?

– A czemu nie miałyby być?

– Cóż... – Peter przechylił głowę, pragnąc dać jej do zrozumienia, że jako stary przyjaciel siłą rzeczy orientuje się w problemach jej męża.

– Będzie przecież bezpieczny, prawda? W domu zostają w końcu trzy osoby.

– No tak. Oczywiście. Tak.

– Jeśli się niepokoisz, również możesz zostać.

Tym razem Peter przechylił głowę w nieco inny sposób, sądząc, że Sophie z niego żartuje.

– Ja także potrzebuję trochę oddechu, wiesz, tak od czasu do czasu – powiedziała.

Zanim zdążył pomyśleć o odpowiedzi, Sophie znikła w kuchni.

5

Gwen i Muriel podniosły głowy na dźwięk zamykanych po raz drugi drzwi wejściowych.

– Peter coś nie w sosie – zauważyła Sophie.

– Wiecie, alkohol mu chyba nie służy – powiedziała Muriel. – Zresztą nigdy nie służył.

– To pocziwe ze strony staruszka – rzekła Gwen – że tak się ujął za Percym. On okazuje ludziom dużo zrozumienia.

– A w każdym razie można przypuszczać, iż rozumie, że inni potrzebują trochę oddechu – rzekła Sophie i szybko dodała: – Wychodzę właśnie na pół godzinki do Rhiannon. Posiedzicie jeszcze troszeczkę, prawda? Lodówka jest pełna, gdybyście miały ochotę – dorzuciła jeszcze, chociaż na stole dość było wszelkiego dobra, aby obie mogły żuć bez przerwy przez parę godzin. – Jeśli chcecie, możecie zostać na noc. Jest jeszcze jedno łóżko w...

Muriel przerwała jej, mówiąc, że wezwie taksówkę, Gwen zaś przerwała Muriel, mówiąc, że ją odwiezie, i spierały się o to, dopóki Sophie nie wyszła, zdołały jednak podziękować za przyjęcie oraz przekazać pozdrowienia dla Rhiannon. Upewniwszy się, że naprawdę zostały same, Gwen zwróciła się do Muriel:

– A wracając do tego, o czym mówiłyśmy, wystarczy puszka, ale dobrej jakości, a do tego łyżka jogurtu i zamieszać...

– I odrobina posiekanej zielonej pietruszki.

– ...i już zaczynają cię pytać, jakich warzyw użyłaś, czy nie ma w tym endywii i czy przypadkiem nie będzie czuć selera. I koniecznie chcą wiedzieć, jak to zrobiłaś, bo na pewno rozpuściłaś wszystko w maśle. A ja im po prostu odpowiadam: uhm, tak jak zawsze, to jedyny właściwy sposób.

Muriel roześmiała się dużo bardziej żywiłowo, niż można by oczekiwać w przypadku prostej rozmowy o kuchennych rozwiązaniach.

– Zgadza się, bo cóż można na to odpowiedzieć. I oczywiście jeśli chodzi o kurczaka albo o szkocki bulion, albo cokolwiek, to wszystko sprowadza się do kostek i wody. Puszka zupy ogonowej plus kostka, plus łyżka stołowa whisky, i to wszystko. To nie tylko łatwiejsze, to nieporównanie łatwiejsze. I lepsze – dodała wyzywająco. – Lepsze pod każdym względem.

– Kiedy patrzę wstecz – zaczęła Gwen, opierając brodę na dłoni, w której trzymała zapalonego papierosa, i zezując na świeżą plamę po winie na serwecie – i myślę o tym całym zawracaniu głowy z jakimś cholernym garnkiem na wywar, żeby broń Boże nie zdjąć go z ognia, nie zmarnować ani kawałeczka, zupełnie jakby się myślało, że ścierwo kurczaka jest warte dziesięciokrotnie więcej niż sam kurczak i... Wiesz co, Muriel, nie uwierzysz, ale były takie czasy, kiedy chodziłam do rzeźnika po kości dla psa, chociaż nie mieliśmy psa, i wkładałam je prosto do tego cholernego gara razem ze ścięgnami wołowymi. I po co? Co nas opętało?

Tym razem odpowiedź Muriel była tyleż tkliwa, co pełna zrozumienia, a przynajmniej tak zabrzmiała. W normalnych warunkach stosunki pomiędzy nią i Gwen można było w najlepszym razie określić jako znośne – nawet wtedy, gdy Gwen nie wydawała się jej przebiegłą, a z kolei Gwen nie uważała jej za hałaśliwą lub dziwną, albo i taką, i taką – ale północ zdolna była wywołać pewne przyjazne odruchy. Częściowo wiązało się to ze zwykłym wspieraniem się podczas picia, co zresztą obie stwierdziły już wcześniej. Ale na tym nie koniec, przynajmniej nie tym razem.

Gwen odczekała chwilę, po czym dodała od niechcienia:

– W końcu nie chodzi wcale o to, że nikt na świecie nie ma ochoty tego dostrzec, nie mówiąc już o docenieniu, nawet najbardziej oczywistych...

– Nie rozśmieszaj mnie.

– Chcę tylko powiedzieć, że oni o tym nawet nie wiedzą.

– Oczywiście, że nie wiedzą, kochana. Można wiedzieć tylko coś, co się wiedzieć chce, a oni nie chcą. Oni swą cenną uwagą obdarzają inne kwestie, co zresztą musiałas chyba sama stwierdzić.

– Nie mogę znieść tego, jak oni...

– No bo jak to, mieliby się pofatygować, aby zauważyć, na czym polega codzienne życie w ich własnym domu, jak kręci się ten świat? Nie oni. Po co mieliby to robić? Oni są zwycięzcami.

Tymczasem stało się jasne, że ci, o których była teraz mowa, nie są tymi samymi, którzy pytali Gwen, jakich warzyw użyła. Niemniej czymkolwiek było to, o czym obie chciały rozmawiać, najwyraźniej nie zostało to jeszcze poruszone. Daj temu czas, jak zwykle się mawiać w południowej Walii, gdy w towarzystwie zalegała niespodziewana cisza. Tą, która zaczęła temat, okazała się Gwen.

– Oczywiście ona nadal jest bardzo atrakcyjna, dostrzegam to, chociaż nie nazwałabym jej piękną, bo nigdy jej za piękną nie uważałam, niemniej sędzę, że jest bardzo atrakcyjna. – Nie wymieniła żadnego imienia, ale wcale nie za sprawą jakiegoś walijskiego instynktu dyplomatycznego, lecz dlatego, że jej myśli uparcie krążyły wokół Rhiannon, i to od dobrych paru minut.

Niewykluczone, że myśli Muriel także, bo skwapliwie podchwyciła:

– O tak, zgadzam się, a wszystko to dzięki niezłej sumce wydanej na tapetę i masaże, i gabinety odnowy, i licho wie, co jeszcze. Plus to, że nigdy nie ubrudziła sobie rąk domowymi pracami.

– To prawda, ale takiej skóry nie można sobie kupić w tubce. I ta postawa. Albo się z nią rodzi, albo nie. Ale co do...

– Nie bardziej, niż tego wymaga dźwignięcie cholernego talerza, aby go położyć na suszarce.

– I dopiero kiedy rzecz dotyczy tej... jak to się nazywa? tej strony towarzyskiej, dopiero wtedy zaczynam... hm... odrobinę zmieniać front. W rozmowie...

– Mizdrzenie się i wdzięczenie w jej wieku.

– Chodzi mi o to, że całkiem miło się z nią rozmawia na poziomie luźnej pogawędki, w tym jest niezrównana, to trzeba przyznać, ale to tylko takie przelewanie z pustego w próżne. Rozumiesz, banały. Nie żądam, oczywiście, dyskusji o Wittgensteinie przy kawie i ciasteczkach, nic z tych rzeczy, wszystko przebiega miło i po koleżeńsku, ale na koniec pytasz samą siebie, co właściwie ona powiedziała. Nikt przecież nie wymaga jakichś oszałamiających popisów erudycji...

Przemowa ta dała Muriel czas, żeby dogonić wątek.

– Szczerze mówiąc, zawsze uważałam ją za trochę nudną – oświadczyła.

– Cóż, nie sądzę, żebym...

– Posłuchaj, czy ona nie... czy ty... czy nie byłaś...

– Czy nie byłam czym, słonko?

– No wiesz, na... tam, przy drodze... przecież wiesz!

– Chodzi ci o uniwersytet – domyśliła się Gwen.

– No właśnie, więc czy nie byliście tam razem sto lat temu? Ty i ona?

– Praktycznie rzecz biorąc, byliśmy, tak, dawno temu, jak powiedziałaś. – Gwen starała się przypomnieć sobie, na jakiej uczelni studiowała Muriel. Gdyby to był jakiś inny uniwersytet czy licząca się szkoła wyższa, Muriel z pewnością nieraz by już o tym napomknęła. Zatem musiały to być jakieś kursy dla nauczycieli albo równie podrzędne miejsce, gdzie ludzie zwykle nabawiają się kompleksów. Uświadomiła sobie, że nie pamięta. – Jeśli to w ogóle kogokolwiek dziś obchodzi – dodała.

– Przepraszam, byłam tylko ciekawa, w jaki sposób popisywała się jako studentka, no wiesz, z akademickiego punktu widzenia.

– Aha. – W przerwie, jaka nastąpiła, niedługoj zresztą i wypełnionej paroma cichymi beknięciami Muriel, Gwen przypomniała sobie, że była to jakaś szkoła plastyczna, nosząca nazwę jednego z miast przemysłowych w północnej Anglii i – jeśli sądzić po obrazach w domu Muriel – przypuszczalnie odpowiedzialna, przynajmniej w pewnym stopniu, za jej gust plastyczny. Myśl ta poprawiła jej samopoczucie na tyle, że mogła ciągnąć: – Cóż, właściwie, skoro o tym wspomniałaś, to rzeczywiście... hm, to dość ciekawe. Chodziła na wszystkie wykłady, co zresztą jest całkiem rozsądne, jeśli nie można liczyć na własne możliwości intelektualne, a tak było w jej przypadku. Pilnie pisała wypracowania, grzeczna dziewczynka, i prawdopodobnie dobrnęłaby szczęśliwie do dyplomu, bo na nic więcej nie liczyła, gdyby nie...

– Tak. A co ona... co studiowała?

– Studiowała... – Gwen przeciągnęła nieco to słowo, po czym szybko dokończyła: – ...biologię, a specjalizowała się w botanice, albo odwrotnie, nie pamiętam. I chyba trochę anglistyki na pierwszym roku.

– To niezbyt błyskotliwa kariera, jak rozumiem?

– Była sumienną studentką, ale poza zajęciami chyba nie interesowała się wcale swoim kierunkiem studiów. Odrabiała lekcje i na tym koniec, a później hulaj dusza. Ofert jej nie brakowało, jak sobie możesz wyobrazić. Ona... eee... ona nie brała raczej udziału w wymianie myśli, w dyskusjach do północy, w tej stronie uniwersyteckiego życia.

Muriel ucięła gestem rozważania na temat tej strony życia.

– I jak sądzę, miała powodzenie u nauczycieli.

– Cóż, jeśli masz na myśli jakieś...

– Ależ nie, nic zdrożnego, absolutnie tego nie sugeruję. Dziewczyna wcale nie musi posuwać się aż tak daleko, żeby się podobać swoim przełożonym. Wystarczy ujmujący sposób bycia i miła powierzchowność.

– Cóż – odezwała się znów Gwen, po czym zamilkła. Czuła, nie bardzo wiedząc czemu, silną potrzebę zdecydowanego przeciwstawienia się temu, co było tu insynuowane – być może dlatego, że głębokie pionowe bruzdy nad górną wargą Muriel wydały się jej nagle wyjątkowo nieładne. Miała wrażenie, że uwydatniły się jeszcze bardziej w ciągu ostatniej półminuty, to znaczy mniej więcej odkąd Gwen odkryła, że nie chce już dłużej dawać się unosić fali wiarołomstwa. Nagadała już i wypłała tyle, że przeszedł jej cały bunt, chociaż nie oznaczało to wcale, że ma już ochotę wracać do domu. A jeszcze dalsze to było od stwierdzenia, że z wolna zaczyna się czuć pogodzona z tym, co zaszło – do czego omal nie doszło – pomiędzy nią i Alunem. To była w zupełności jej wina: bo nie skorzystała z lekcji, jakiej udzielił jej przed wieloma laty, bo za wcześnie się tego dnia upiła, bo próbowała szczęścia z takim podłym łajdakiem. W przeszłości także nie umiała się zdecydować, czy Alunem należałoby gardzić, czy raczej uważać go za kogoś w rodzaju czarującego łotra. Cóż, jeśli były jeszcze jakieś wątpliwości, to wydarzenia, jakie miały miejsce wczesnym popołudniem owego dnia, to znaczy w dniu odsłonięcia pomnika u św. Dogmaela, definitywnie rozstrzygnęły sprawę. Nie ma sensu wracać do tego teraz, a może nawet nigdy.

Najwyraźniej dla Muriel również był to stosowny moment, aby wziąć oddech. Siedząc zgarbiona nad stołem, rysowała zapalką esy-floresy w sypkim popiele wypełniającym pojemną popielnicę z niebieskiego szkła i pogwizdywała cicho przez zęby, chyba w poszukiwaniu nowego tematu – jak się wkrótce okazało, na próżno.

– To nie ma najmniejszego znaczenia, czy jesteś bystra, czy tępa, czy przeciętna – stwierdziła. – Ich wcale nie obchodzi, co myślisz, co mówisz ani w ogóle jaka jesteś.

– Nawet tego nie zauważają. – Gwen doszła do wniosku, że powinna wtrącić swoje trzy grosze.

– Tak się z początku wydaje. A przynajmniej tak było ze mną. Powiedz nam, kochanie, co sądzisz, ale proszę, mów dalej, naprawdę jestem ciekaw. A kiedy się mówiło, to... cóż, wiele wody upłynęło, zanim zaczęłam zauważać tę szklistość ich spojrzenia. Byli przecież tacy mili, że pozwalali ci mówić. Możesz powiedzieć, co ci się podoba, bo cokolwiek powiesz, to i tak nie ma żadnego znaczenia. To tak samo jak w tych państwach satelickich Rosji – na Węgrzech czy gdziekolwiek indziej. Bez różnicy było, co kto mówił, dopóki nie brał się do czynu, to mogło być w Polsce. A kiedy dochodzi do krzyków i rzucania w nich przedmiotami, zaczynają się dziwić. Bo to diabelnie śmieszne, no nie? Nigdy tak o tym nie myślałam, ale to diabelnie przypomina sytuację, kiedy jakiś dysydent albo przedstawiciel mniejszości dochodzi do wniosku, że legalną drogą nic nie uzyska, więc bierze się do wysadzania w powietrze elektrowni. Oczywiście, nie trzymam strony ludzi, którzy działają tak w sensie dosłownym, ale na Boga, możesz mi wierzyć, że doskonale wiem, co czują.

– I nigdy nie odwzajemniają złości. To ty się wściekasz, oni zaś celowo tego nie robią, żeby ci pokazać, jak głupio i dziecinnie się zachowujesz, i jak dorośli i cudowni są oni sami.

I obiektywni.

– I oczywiście wszystko jest w porządku, gdy to oni pierwsi tracą cierpliwość, jak na przykład wtedy, kiedy się spóźniasz albo kiedy oni się spóźniają. Wolno ci się złościć wtedy, gdy oni się spóźniają z ważnego powodu, rozumiesz? Masz to przyjąć bez dyskusji.

– I demonstracyjnie wychodzą do klubu tak, jakby wcale za tym nie przepadali. – Gwen zaczęła znajdować w tym przyjemność. – Jakbyśmy były tego nieświadome.

– Po co my w ogóle tracimy czas na mówienie do nich, to mi się nie mieści w głowie.

– Właśnie. Często się nad tym zastanawiam.

– To gówniarze – stwierdziła Muriel. – A ci, którzy udają, że nimi nie są, są najgorsi.

– Chyba tak. Czasem wydaje mi się jednak, że jesteśmy dla nich zbyt surowe.

– Niech dranie mają za swoje.

W kuchni Sophie było bardzo cicho. Nawet w południowej Walii lat osiemdziesiątych nadal przestrzegano urzędowych godzin pracy, typowych dla okręgów przemysłowych: wcześniej, jeśli już w ogóle, zaczynało, wcześniej wracano do domów, wcześniej do pubu, wcześniej spać. Nadawało to siedzeniu do późna dodatkowego smaczku. Muriel napełniła kieliszki, mruczając coś o strzemiennym, a Gwen przyjęła swój z uniesioną ku przestrodze ręką, jak to robiła za każdym poprzednim razem. Zaraz potem, jakby pod wpływem nagłego olśnienia, Muriel sięgnęła po papierosa i zapaliła.

– Może to niezbyt budujący sposób na przetrwanie – rzekła z rozważą oraz demonstracyjnym machnięciem ręką – ale o ileż lepszy i zabawniejszy od tego, na co mogły sobie pozwolić nasze biedne matki u schyłku swoich lat. Bez samochodów i bankietów, bez telewizorów. W tamtych czasach miałaś tylko swój fotel i swoją robótkę na drutach, i swojego kota, i koniec.

– Och, przestań, Muriel – zawołała Gwen na tyle ostro, że przez twarz Muriel przemknął drobny skurcz. – Miałam okazję spotkać parokrotnie twoją matkę i pamiętam, że przy którejś z takich okazji czekała właśnie na kogoś, kto miał ją zabrać na partyjkę brydża. I wcale nie jestem pewna, czy przypadkiem nie miała w ręce szklaneczki ginu z tonikiem. Ładna mi robótką i kot.

Wyjąwszy grymas, który szybko opanowała, Muriel nie okazała najmniejszego zaniepokojenia czy oznak zmiany frontu.

– W porządku, miała szczęście. Którego nie miały tysiące innych. Mam na myśli czasy przedwojenne, rozumiesz? Pod każdym względem całkiem inny świat. Kompletnie inne podejście do życia. – Muriel mówiła teraz szybciej i była bardziej skupiona niż poprzednio – niczym ktoś, kto zawziął się, aby odeprzeć szereg zarzutów, które zgromadził w pamięci. – Na przykład do małżeństwa. Teraz przyjęło się sądzić, że tamto pokolenie nie dyskutowało na takie tematy. I w pewnym sensie to prawda, nie roztrząsano wszystkiego w takich śmiertelnie ważnych szczegółach, ale przecież wiadomo, że można drążyć temat tak długo, aż się dostanie zawrotów głowy, i na koniec wiedzieć o sprawie mniej, niż się wiedziało na początku. Mniej z tego rozumiejąc. Moja matka – oświadczyła z mocą i przyśpieszyła jeszcze bardziej – moja matka często mówiła o nieprzyjemnej stronie małżeństwa. Nie, nie mówiła, ona odnosiła się do niej, mówiła o niej „to”. A teraz spróbuj sobie wyobrazić sprzeciw, z jakim byś się spotkała w dzisiejszych czasach, gdybyś wyraziła się w podobnym duchu. I to ze strony wszystkich. Ale ciekawa jestem, ile kobiet, tak w głębi serca, nie zgodziłoby się z tobą.

Kiedy Muriel w końcu przestała, chociaż bynajmniej nie z powodu braku konceptu, Gwen spojrzała na nią zachęcająco i przygotowała się na pilne słuchanie. Cokolwiek miało teraz zostać powiedziane, zamierzała przy pierwszej sposobności przekazać to Rhiannon, i to nie tylko z oczywistych powodów, ale również dla wynagrodzenia za wcześniejsze zdrady. A poza tym wszelkie wiadomości z pierwszej ręki na temat stosunków pomiędzy Peterem i Muriel, które od dawna uchodziły za tak złe, że aż interesujące, mogły jej przysporzyć nie lada popularności wśród pozostałych żon.

Tymczasem Muriel ciągnęła, wcale nie wolniej niż poprzednio i dokładnie od punktu, w którym przerwała:

– Bo oni nigdy nie mieli czasu, aby do tego przywyknąć, przystosować się. To powinno przyjść w sposób naturalny, i przypuszczam, że w przypadku wielu z nich przychodzi, musi, ale nie wszystkich to dotyczy. I bez sensu jest mówić cokolwiek, bo oni tego nie zauważają, a nawet kiedy zauważają, to traktują to po prostu jak jakieś kobiece wybryki albo zgrywanie się, albo odgrywanie na nich za coś innego. Potem więc jest albo ogromna awantura, albo nadzieja, że następnym razem będzie lepiej, i to śmieszne, ale zawsze wszystko odbywa się dokładnie tak samo, czyż to nie zastanawiające? A potem... potem jest już oczywiście za późno, zupełnie jak wtedy, gdy rozmawiasz z kimś, czyjego nazwiska nie pamiętasz, ale nie pytasz, bo masz nadzieję, że sam ci je poda albo sobie przypomnisz, i nagle, zanim się zorientujesz, jest już za późno, aby spytać. Cóż, kiedy zabrniesz tak daleko, wtedy zupełnie nie pora pytać, bo faktycznie jest już za późno. Niektórym jednak udaje się całkiem dobrze porozumieć z dawnymi znajomymi po dłuższym, bo dwudziestoletnim niewidzeniu się. Sian mówiła, że nadal utrzymuje kontakty z dawną przyjaciółką, która, nie powiem ci dokładnie, jak dawno, ale kupę lat temu przeniosła się do Toronto.

Gwen nadal się nie odzywała. Zniechęcona, uświadomiła sobie, że nie będzie mogła, niestety, przekazać Rhiannon tego, co zdradziła jej Muriel – co najwyżej bąknie to czy owo, zasłaniając się amnezją. Amnezja ta zresztą może okazać się całkiem autentyczna, a bąknięcie tego czy owego może w gruncie rzeczy przerastać możliwości jej porannego wcielenia. Możliwe nawet, że Muriel na wpół świadomie liczyła na taki obrót spraw, wypróbując nową formę samoobjawienia, które wraz z nastaniem świtu wskoczy z powrotem do pudełka. Bo z pewnością ostatnie kilka zdań były właśnie takie, jakich można się spodziewać po kimś, kto pogrążył się nad ranem w skrajnej apatii. Nic się nie stanie, jeśli coś takiego puści się w obieg.

– Czy byłabyś tak dobra i zadzwoniła w moim imieniu po taksówkę? – poprosiła Muriel po minucie kompletnej ciszy. Znowu była opanowana. – Numer znajdziesz w mojej torebce, która gdzieś tu musi być.

Wciąż to samo, pomyślała Gwen, sięgając po torebkę, która leżała w zasięgu ręki. Postanowiła jednak mniej się w przyszłości przejmować, kiedy Muriel będzie się jej wydawać dziwna lub hałaśliwa. Oczywiście, jeśli zdoła zapamiętać powód.

*Czy to panienska Babs, której paskudny krab
wystraszył ojczulka Muldoon?*

*Ach, nie, toć to nie Babs,
to przecież pani Rosenbloom...*

Alun podśpiewywał cichutko – wcale nie ze względu na ostrożność, bo siedział samotnie za kierownicą swego samochodu, ale by nie dopuścić do dania upustu czemukolwiek, co choć trochę przypominałoby prostackie tryumfowanie. Opuściwszy dom Malcolma w nastroju mocno uzasadnionej satysfakcji, spostrzegł, że przejeżdża obok domu dawnej przyjaciółki. Aż do przyjęcia w Klubie Golfowym nie widzieli się od jakichś dwudziestu lat, a i wówczas zdążył jedynie powiedzieć jej, że świetnie wygląda i że jest mu przykro z powodu Griffa. W swoim czasie Griff był wziętym, acz kontrowersyjnym lekarzem, hojnie szafującym świeżo wprowadzonymi na rynek pigułkami odmładzającymi, i właścicielem obszernej willi z czerwonej cegły przy drodze do Beaufoy. Alun zapytał ją jeszcze wtedy, gdzie teraz mieszka, i dowiedział się, że nadal w tym samym domu – stary poczciwy Griff, można mu było zaufać, że dopilnuje, aby nie stała się jej krzywda. Skręcając w jej ulicę, Alun postanowił, że jeśli zobaczy zapalone światło, podjedzie pod dom i zatrąbi, albo jeszcze lepiej, muśnie dzwonek, ot tak, na wszelki wypadek. I traf chciał, że było zapalone.

Podjęmowanie podobnych kroków tak rychło po uniknięciu o włos poprzednich tarapatów, gdy właściwie tamto niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze całkowicie zażegnane, mogłoby się komuś wydawać dużą nieroztropnością. I właśnie czymś takim jawiło się Alunowi, dopóki nie zaproszono go na parę minut do środka. Później, a zwłaszcza gdy odjeżdżał już spod domu, przepełniało go uczucie, jakby właśnie przed chwilą wyprowadził swój lekki samolocik z lotu nurkowego. Co oczywiście wcale nie zmniejszało nieroztropności przedsięwzięcia. Absolutnie.

W wieku mniej więcej dwudziestu sześciu lat, kiedy to spostrzegł, że ani na jotę nie jest bardziej dojrzały czy mniej bez troski niż jako trzynastolatek, kamień spadł mu z serca po lekturze artykułu jakiegoś modnego podówczas psychologa, utrzymującego, iż dorastanie męskich osobników rodzaju ludzkiego może być procesem długotrwałym – pod pewnymi względami i w niektórych przypadkach przeciągającym się aż do wieku lat dwudziestu pięciu, a nawet trzydziestu. Zapewnienie owo dawało mu nadzieję i poczucie niejakiego spokoju przez prawie dziesięć lat, czyli do momentu, kiedy to przytrafiło mu się coś, co nawet w jego przypadku było wybitnym aktem samczej nieodpowiedzialności. Od tego czasu uczepił się pocieszającej myśli, że nic na to nie może poradzić.

Zbliżając się do swojego domu w Holland, dostrzegł w salonie światło, co niemile go zaskoczyło i wywołało łagodną irytację zmieszaną ze złym przeczuciem. Irytacja płynęła z takiej mniej więcej linii rozumowania: wracam do domu, zadawszy sobie tyle trudu, aby zostawić wszystkich tych ludzi samym sobie, dać im mnóstwo czasu na udanie się do łóżek, i mam oto stawić czoło Bóg wie jakim zaczepkom, zanim wolno mi będzie po ciężkim dniu również udać się na spoczynek. Złe przeczucie było nieco mniej jednoznaczne.

Kiedy Rhiannon zostawała sama, nie do pomyślenia było, żeby nie kładła się do tak późna, czyli do grubo po jedenastej, chyba że zachodziły jakieś szczególne okoliczności. Mogły to być dobre wieści, ale ze znacznie większym prawdopodobieństwem były złe. Mało tego, całkiem możliwe, że była z nią Rosemary, bo pewnie zdążyła już wrócić z randki (czy cokolwiek to było) z Williamem Thomasem, który zdawał się tam kręcić od samego świtu. Alun bez trudu mógł sobie wyobrazić tę cholerną dziewczynę, jak na odgłos silnika jego samochodu podnosi czujnie głowę i zajmuje pozycję obok matki, przewodniczącej tego dwukobiecego sądu nad jego niedawnymi poczynaniami oraz ogólnym zachowaniem. Albo też była to sama Rosemary, co stanowiło ewentualność wcale nie bardziej pożądaną. Wszelkie inne nie wchodziły raczej w rachubę, bo czyż mogła to być Gwen prezentująca rozszerzone wydanie swych skarg i zażaleń? Albo Malcolm ze skargą bardziej konkretną? Policjantów wykluczył od razu, chyba że zaszła jakaś pomyłka. Zajście w Harriston w 1950, w którym uczestniczyła pani sierżant oraz furgonetka patrolowa, mogło ich wówczas poważnie zbulwersować, ale teraz incydent taki z pewnością nie byłby wystarczającym powodem do nocnego nękania niekolorowych.

Takie to oraz inne domysły rodziły się w jego głowie, gdy podjeżdżał pod dom. Znalazłszy się nieco bliżej, zauważył zaparkowany przed domem samochód, który – mógłby przysiąc – gdzieś już widział, i to całkiem niedawno. Nic więcej nie potrafił sobie, niestety, skojarzyć. Dobrze wiedział, że umiejętność rozpoznawania samochodów należy do niezmiernie ważnych zdolności kogoś, kto jak on wiecie coś w rodzaju drugiego życia po godzinach, mimo to zanieczywał ćwiczenie owej sprawności, skutkiem czego był niebezpiecznie niedouczony. Idąc ku drzwiom, rozluźnił mięśnie karku, a oczom nadał nieobecny wyraz, zamierzając wkroczyć na scenę w charakterze pijanego. Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież chodzi o to, by zwieść Rhiannon, więc na ile było to możliwe, przybrał naturalną postawę. Poniewczasie też próbował wymyślić jakiś temat, dzięki któremu mógłby przejąć inicjatywę.

Wkroczywszy sprężyć się do salonu, stanął oko w oko z Rhiannon w narzuconym na nocną koszulę szlafroku oraz Sophie w stroju dziennym. Ani śladu Rosemary. Żadna z nich nie uśmiechnęła się ani nie odezwała. Bez zastanowienia, skupiwszy się jedynie na działaniu, Alun podszedł i pocałował je po kolei, po czym, kiedy jego umysł zaczął na powrót funkcjonować, cofnął się i posłał Sophie serię pytających poruszeń głową.

Zareagowała od razu.

– Właśnie mówiłam Rhiannon, że była u mnie Dorothy, a potem Muriel, która przypuszczalnie wciąż tam jest. To naprawdę jedna z tych jej nocy. Była okropna, tak okropna, jak nigdy wcześniej. Okrutna. Wiesz, ty jej takiej nie widzisz, Rhi. Później wpadła Gwen, więc zostawiłam ją z Muriel i wyskoczyłam na moment – zakończyła, mrugając porozumiewawczo do Rhiannon.

– Wcale ci się nie dziwię – odparł serdecznie Alun. Stara, poczciwa Soaph, pomyślał jeszcze bardziej serdecznie, zawsze można było na niej polegać. Niezbyt na ogół błyskotliwa – okazywała się nad podziw bystra, kiedy przychodziło do starych rozliczeń. Ta rzucona od niechcienia wzmianka o Gwen była dla niej typowa. Alun błyskawicznie zmienił temat: – Rosemary poszła już spać, prawda?

– Dosłownie przed chwilą. Ze też nie wpadłeś na Williama, kiedy podjechałeś pod dom!

– On ją po prostu wysadził przed domem i koniec, tak?

– Cóż, tak.

– Ach, tak.

Gdyby go zapytać, Alun nie potrafiłby wyjaśnić, o co mu chodziło w tym ostatnim pytaniu. Cokolwiek jednak miało ono wyrażać – zdziwienie, rezygnację, wściekłość, znudzenie, rozczarowanie, ojcowską troskę czy też z serca płynącą męską solidarność – on jeden spośród wszystkich ludzi na ziemi nie miał żadnego interesu w zadawaniu go w obecności tych dwu kobiet, o ile w ogóle gdziekolwiek. Myśl ta zaświtała mu w głowie, kiedy tak stał i rozważał odpowiedź. Potem nagle powiedział:

– Wiecie co, jeśli jakimś cudem utrzyma się ta idiotyczna pogoda, dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy się wybrali na parę dni do Birdarthur. Stary Dai Księgarz nadal ma ten domek nad urwiskiem. Sophie, byłaś tam kiedyś, prawda?

– Och, więc i ja miałabym pojechać?

– Czemu nie? Są tam dwie całkiem przyzwoite sypialnie, a Charlie mógłby na chwilę zostawić przy kasie Victoria, żeby pilnował interesu. Jeszcze nie w przyszłym tygodniu, bo kręcę coś dla telewizji. Dai mówił mi, że bywa tam tylko w weekendy. Nie udało mi się złapać go dziś w sklepie...

Byłby to cud, gdyby się udało, skoro nawet nie zbliżył się do sklepu Daia ani do niego nie dzwonił, a samo to nazwisko przyszło mu na myśl kilka sekund przed tym, nim je wymówił – pozostałe fakty były jednak zgodne z prawdą. Tak czy inaczej, przy jego zdolnościach do przekonywania, które mniej miały wspólnego z bezpośrednim naciskiem, a więcej z wywoływaniem wrażenia, że zanosí się na świetną zabawę, wkrótce uzyskał dla swego zamysłu aprobatę Sophie oraz zakładaną z góry aprobatę Charliego. Aprobata Rhiannon była zakładana z góry od samego początku.

– No to znikam – oświadczył w końcu. – Nie przerywajcie z mojego powodu zabawy.

– Nie myśl sobie, że się tak łatwo wykręcisz – odezwała się Rhiannon.

W Twoje ręce, o Panie, rzekł Alun w duchu. Jakkolwiek często mówił, dokąd idzie albo dokąd mógłby pójść, to nigdy nie zdarzało mu się mówić, gdzie był, ani też Rhiannon nie wypytywała go o to, dopóki... jeśli...

– Wyprowadź to stworzenie na dwór, a potem ułóż ją w koszyku w kuchni. I nie zapomnij zaczekać i się upewnić, zanim ją wpuścisz z powrotem.

Oslabiona całodziennym wysiłkiem, Nelly zareagowała na wejście Aluna jedynie paroma marnymi machnięciami ogonem oraz lunatycznym błyskiem kącików oczu. Teraz, słysząc, że o niej mowa, nieporadnie dźwignęła się do siadu i z piskiem ziewnęła tak szeroko, że nie powstydziliby się tego zwierz znacznie od niej większy. Alun wyprowadził ją, jak mu kazano, zrobił to jednak w taki sposób, żeby podkreślić, jak to pocziwie z jego strony i jak mało go obchodzi takie sprawy. I wcale nie dlatego, że nie lubił szczeniaczka, wręcz przeciwnie – nie mógł jednak pozwolić, aby ktokolwiek posądził go o pantoflarstwo. No bo czyż to było do pomyślenia, żeby się tak śpieszył z domu Griffa albo skądkolwiek po to tylko, żeby usłużyć temu cholernemu psisku?

Kiedy drzwi zamknęły się za Alunem, dały się słyszeć dwa westchnienia, z których żadne nie było aż tak głębokie, aby pretendować do westchnienia ulgi. Sophie usiadła na podłodze i ułożyła głowę na poręczy stojącego za nią fotela, po czym stwierdziła, że musi już iść. Rhiannon zaproponowała jeszcze trochę kawy, dodając, że nie zabierze to więcej niż minutkę, po czym usadowiła się wygodniej na sofie. Siedziały w urządzonej już mniej więcej kącie pokoju – w pozostałej części straszyły nagie deski i na wpół pomalowane ściany.

Do Sophie prawdopodobnie nie dotarła propozycja napicia się kawy.

– Wiesz co, Rhi, powinnaś częściej wychodzić – powiedziała.

– Ależ nie. To takie miłe nie musisz już tego robić. Po tylu latach, kiedy się to robiło z niechęcią.

– Byłoby łatwiej, gdybyś się nauczyła prowadzić.

– I ty też przeciwko mnie! – Rhiannon wyprostowała się raptownie. – Umiem prowadzić równie dobrze jak inni, jeśli jeszcze nie zapomniałam. W Londynie, kiedy nie najlepiej nam się powodziło, przez osiemnaście miesięcy jeździłam furgonetką pralni chemicznej. To nie o to chodzi, że nie umiem jeździć, tylko o to, że nie jeżdżę. Ale mamy tylko jeden samochód, i bez przerwy używa go Alun. A jak twierdzi, czy raczej jak twierdziłby, gdybym znowu wywołała ten temat, na drugi nas nie stać. Alun robi wszystkie zakupy, jakich nie mogę zrobić tu, na rogu, a gdybym chciała gdzieś pojechać, są przecież taksówki. To znacznie tańsze niż utrzymywanie jeszcze jednego samochodu. I nie ma problemu z parkowaniem. On też by to powiedział. Zresztą, sama go spytaj.

– Śmieszne, ale nigdy nie był z niego dusigrosz. To znaczy... – Sophie rozejrzała się, ale wokół było niewiele dowodów na rozrzutność, z wyjątkiem może wielkiego płótna Cydda Tomasa nad kominkiem, datowanego 1981 pod nazwiskiem twórcy. Było jednak na tyle atrakcyjne – przedstawiało z dużym prawdopodobieństwem wynurzającą się z morza głowę smoka – by bodaj z tego względu zasłużyć na swoje miejsce.

– Pewnie, pod tym względem bez problemów – odparła Rhiannon – ale nie o to chodzi, bo rzecz w tym, że kiedy on jeździ samochodem, nikt nie ma pojęcia, gdzie on jest, a ja nie jeżdżę, więc wszyscy wiedzą dokładnie, gdzie jestem, tylko że to nie jest nawet w części tak interesujące. Weźmy na przykład dzisiejszy wieczór.

– Uhm. Masz jakieś pojęcie, gdzie był?

– Najbledszego. A ty?

– Mam tylko nadzieję, że to był ktoś do rzeczy.

– Och, ja też. – Rhiannon zrobiła krótką pauzę, zanim podjęła: – A co u Gwen?

– Oo. Dochodzi do siebie, jak sądzę. Nadal się trochę boczy, ale wkrótce jej przejdzie, pod warunkiem że przez jakiś czas będzie się z nią obchodził jak z jajkiem.

– Gdyby jeszcze miał tyle rozsądku i postarał się, aby wszystko zostało w rodzinie.

– Tak – przyznała Sophie. – Święte słowa. Zwłaszcza tutaj. Bo tutaj to nie to samo co w Londynie.

– Absolutnie. To głupie z jego strony także z innego powodu. Kończy się na tym, że są takie sprawy, o których nie mogę z nim porozmawiać. Nie mam na myśli spraw ważnych, ale właśnie mało ważne, które jeśli się je doda do siebie, stają się całkiem istotne. Kto tam był i jakie robił wrażenie, i co powiedział... W każdym razie to bardzo wszystko utrudnia.

– Uhm. A jak myślisz, czy z nim wszystko w porządku, Rhi?

– W porządku? – powtórzyła zaniepokojona Rhiannon. – Co masz na myśli?

– Och, nic takiego, po prostu mam wrażenie, że ostatnio nieco zdziczała. Można by pomyśleć, że do tej pory zdążył się już przekonać, że z Gwen to niemożliwe: nagle obdarzyć ją zainteresowaniem, a potem spodziewać się, że na sucho ujdzie traktowanie jej jak...

– Nagle obdarzyć Gwen po raz kolejny zainteresowaniem, ale to doprawdy nie robi żadnej...

– O, nie wiedziałam, że oni byli...

– A tak. Śmieszne, ale nigdy nie miałam wrażenia, że jemu jakoś szczególnie na niej zależy. Prawdę mówiąc, zastanawiam się nawet, kto kim się zainteresował, tak wtedy, jak i teraz. Oczywiście, wtedy to było dla niej, jako bynajmniej nie jedyne go kamyczka na plaży, bardziej normalne. W jej życiu istniały wtedy jeszcze inne sprawy.

– Na przykład Malcolm – dodała Sophie.

– Taak.

Rozmowa urwała się. Sophie siedziała z dłońmi splecionymi wokół kolan. Jej kształtna, jedwabiście ciemna głowa pochylała się w stronę grubego kosmatego dywanika, a ona sprawiała wrażenie, jakby podążała za tokiem jakiejś myśli, co się jej raczej nieczęsto zdarzało. Rhiannon zapaliła papierosa, jak zwykle wciągając płomień zapalniczki na kilka milimetrów w głąb tytoniu. Już wcześniej zastanawiała się, co sprowadza Sophie o tak późnej porze – jeszcze chwila, a Sophie zastałaby ją w łóżku. Coś w związku z Alunem, jak się wkrótce okazało: Sophie wyraziła nadzieję, że zaczyna się już zdomawiać po przeprowadzce z Londynu. Nie wyraziła natomiast tego, o czym z pewnością musiała myśleć, a mianowicie nadziei, że jego ostatnie poczynania nie świadczą bynajmniej o tym, iż utraciła część swojej dawnej nad nim władzy, bez względu na to, jak bardzo nieładna mogłaby się owa część jawić w oczach świata. Z różnych powodów Rhiannon również miała taką nadzieję, czuła jednak, że tutaj, w Walii, nie uchodzi mówić takich rzeczy. Bez żadnej więc szczególnej intencji i chyba mniej natarczywie, niż kiedy wypytywała o Gwen, spytała, jak się ma Charlie.

– Ten facet tankuje jak czołg – rzekła Sophie, nie podnosząc wzroku.

– Tak, ale myślałam...

– Nie zdawałam sobie sprawy, ile on pije, dopóki któregoś dnia nie wrócił do domu trzeźwy. To było jak objawienie.

– Niezbyt miłe, jak przypuszczam.

– Nigdy się nie dowiem, co wtedy zaszło. W każdym razie to była piekielna noc. Musiałam siedzieć przy nim, dopóki nie zasnął, to znaczy do po drugiej, a potem, zaraz po czwartej, przylgnął do mnie ze wszystkich sił, zeszywniały i ciężko dyszący, wdech, wydech, wdech, wydech, jak lokomotywa. I nie chciał mi powiedzieć, co mu jest, o co chodzi. Pytałam go wiele razy, ale nie powiedział. Następnego dnia urznął się w trupa już przed szóstą, jak powiedział Victor.

– Skoro chce, abyś przy nim siedziała, i tak dalej, powinien ci powiedzieć, o co chodzi.

– Ale nigdy nie powiedział nic poza tym, że kiedy jest sam, czuje się jeszcze gorzej, a ciemność jest niedobra. Przestałam się już dopytywać, starać się wyciągnąć, co się z nim dzieje. Jedyne, czego mi się udało dowiedzieć, to, że z niczym nie ma to związku i że nic nie znaczy. Mam już dość. Powinien mi przecież coś powiedzieć. To takie przygnębiające, kiedy on tak nic nie mówi. Właściwie nie ma zbyt dużej różnicy pomiędzy nim, kiedy się urznie jak bela, i nim, kiedy traci kontakt z rzeczywistością. W każdym razie nawet kiedy jest przy mnie, to i tak go nie ma. Lubię go, lubię staruszka, albo raczej lubiłam, i tęsknię za nim, w jakimś sensie.

Rhiannon nie śpieszyła się z dopaleniem papierosa.

– Wygląda na to, że obojgu wam przydałby się jakiś mały odpoczynek. Przyjedziecie do Birdarthur, prawda? Mogłybyśmy sobie wreszcie pogadać. Alun również chciałby, żebyś przyjechała. Zawsze narzeka, że tak rzadko cię widuje. Sophie podniosła głowę.

– Nie, naprawdę?

– Tak, zawsze pyta, co porabiasz.

– Naprawdę?

– Jemu także dobrze zrobi, jeśli się wyrwie stąd na trochę. No, proszę, jest ktoś taki, kto, jeśli sobie życzysz, nie stroni od mówienia. Gdybyż tylko głuptasek nauczył się na tym poprzestawać.

ROZDZIAŁ VII

Alun

We wtorek, zaraz po ósmej rano, Alun uniósł tylną klapę pojazdu, który czasem – choć nigdy w obecności Rhiannon – nazywał „samochodem rodzinnym” albo nawet „naszym samochodem rodzinnym”. Mieli zaraz wyruszyć do Birdarthur. Ustalono, że Charlie i Sophie przyjadą do nich następnego dnia w porze lunchu, po czym cała czwórka wróci do domu późnym wieczorem w piątek. Jedynym ruchem, jaki wykonał Alun, by o szykującej się wycieczce powiadomić Cellan-Daviesów, było zatelefonowanie do nich dzień wcześniej – tylko raz i w samo południe. Z góry skazane to było na niepowodzenie, jako że Gwen umówiona była z Sian Smith na kawę, a Malcolm zdążył już wedle wszelkiego prawdopodobieństwa udać się do „Biblii” – zawsze jednak można było zasłonić się stwierdzeniem, że nie udało się z nimi skontaktować. Peterowi powiedziano, że ma przyjechać, kiedy zechce, byle tylko się pokazał, na co ten, bąknąwszy coś na temat cholernych walijskich zaproszeń, w końcu obiecał spróbować. Tarc Jones, który z początku kategorycznie odmawiał brania na siebie odpowiedzialności za kogokolwiek lub cokolwiek, zgodził się wreszcie zapisać numer telefonu ludzi o nazwisku Gomer, którzy mieszkali w pobliżu niestelefonizowanego siedliska Daia Księgarza.

Alun nie tyle uniósł klapę, ile ją chłopięcym ruchem podrzucił, co z taką samą ochotą uczyniłby również wtedy, gdyby wiedział, że jest obserwowany, obojętne: przez bezrobotnego nastolatka czy też wysoko postawionego pracownika telewizji. Najpierw karton z napojami: dwunastoletnia szkocka i woda źródłana, gin, toniki, dość rzadka butelka Linie-Aquavit z Oslo i nieco pospolitsza Bailey's Irish Cream, rzekomo dla Rhiannon, a faktycznie tylko między innymi dla niej, po jednej Asti Spumante i Golden Sweet Malaga, tym razem całkowicie i wyłącznie dla niej, a dla niego cztery duże i zimne piwa Special, owinięte mokrymi gazetami. Jeszcze odrobina likieru kawowego i jakiegoś innego świństwa, na którego wyrzucenie do śmietnika jakoś nie potrafił się zdobyć. Następnie pudło ze starannie dobranymi produktami: marynowane filety śledziowe, ponoć wędzone ostrygi, ikra z tasy niemieckiej tudzież inne frykasy, uważane za stosowne na zakąskę. Na wierzchu położył płaską papierową torbę z nowym pulowerem z żółtego kaszmiru oraz dwiema jeszcze nie rozpakowanymi sportowymi koszulami.

Wycieczki – wszelkie, nie wyłączając tych, których celem były pogrzeby – zawsze podnosiły Aluna na duchu. Ożywiała go ich perspektywa, i to nie tylko dlatego, że nigdy nie było wiadomo, na co można natrafić nawet w takim Blaenau Ffestiniog. Trzeba przyznać, że robiło się trochę za późno na podboje nowych terytoriów, bez względu na to, jak okrutnie pustoszył te już podbite. W dodatku ta mająca się właśnie odbyć wycieczka nie była najlepszą ku temu okazją, a poza tym w przeznaczonym tylko dla jego oczu notesie z adresami nie było żadnej wzmianki o okolicach Birdarthur. Znaczna część jego ożywienia brała się po prostu z podniecenia związanego z podróżą samochodem, co nie było wcale rzeczą codzienną w południowej Walii lat trzydziestych i późniejszych, o czym zwykł był przypominać kolegom w Londynie. W świetnym, błyskotliwym stylu przebrnął przez pierwszy etap pakowania, jak również przez drugi – nieco nudniejszy, bo związany z samymi bagażami oraz pościelą i poduszkami, które przygotowała Rhiannon, skontaktowawszy się uprzednio z Daiem w jego sklepie. Trzeci etap nieco go wyhamował.

Ten etap zaczynał się od maszyny do pisania, nie tej z gabinetu na piętrze – szlachtetnego, japońskiego, z urzędową czcionką i, co oczywiste, elektrycznego cacka – lecz pośledniejszego, włoskiego, przenośnego, wysoce „akustycznego” modelu, jak mógłby go określić, gdyby mu starczyło energii. Za maszyną podążyło kolejne pudło, nawet w przybliżeniu nie tak miłe jak pudło z napojami, a zawierające książki i papiery. Wśród książek znalazł się słownik *Concise Oxford*, rozsypujący się egzemplarz *Thesaurus*, *Y Geiriadur Mawr* Rogeta, czyli *Wielki słownik [walijsko-angielski i angielsko-walijski]* – kompilacja zasługująca na uwagę ze względu na swą *golygydd ymgynghorol*, a poza tym *Wyspa Courcey i jej kościoły* wilebnego Tydfila Mereditha, praca Seftona-Williamsa na temat mitologii celtyckiej oraz *Wiersze zebrane* Brydana. Ów wspomniany na końcu wolumin towarzyszył Alunowi niemal wszędzie w granicach rozsądku – a to pod wpływem udawanej potrzeby duchowej oraz fałszywej czci, co w przypadku tej wycieczki było raczej bezcelowe, jako że miał do oczarowania jedynie Charliego i Sophie, oraz, być może, Petera. Mimo to zabierał go z sobą. Papiery zaś składały się z czystych arkuszy papieru maszynowego, czterdziestu sześciu stron powieści, o których istnieniu wiedziała tylko Rhiannon, oraz pliku notatek.

Praca nad dalszym ciągiem tej powieści była jednym z nie wyartykułowanych motywów wyprawy do Birdarthur, który tkwił w podświadomości Aluna, jeszcze zanim przed paroma tygodniami rzucił propozycję wyjazdu. Uporał się z tymi cholernymi czterdziestoma sześcioma w sześć wiosennych dni, kiedy to pewien gnuśny łajdaczyzna z rozgłośni BBC odwołał program na temat walijskiego nonkonformizmu, w którego organizację i nagranie Alun mocno się zaangażował. Od tamtej pory w ogóle do nich nie zajrzał. Obecnie, przed narzuconą sobie dyscyplinę wynikającą z planów spędzenia jakiegoś czasu w częściowym odosobnieniu, bez pretekstu do wykrętów, miał oto oddać się nienawistnemu zadaniu dopisania kolejnych stron. W obecnym kształcie, co najwyżej po niewielkich korektach, miały one być, zamierzał z nich uczynić, jego gorącą nadzieją było uczynienie z nich wstępu do swego jedyne, naprawdę poważnego dzieła prozatorskiego, jakie miał popełnić od czasu ukończenia szkoły. Będąc w nieco pogodniejszym nastroju, zwykł określać to nieco łagodniej jako swoje bodaj najpoważniejsze etc. Tak czy inaczej, sporo – łącznie z widokami na powodzenie całego przedsięwzięcia – zależało od tego, jak uda mu się rozwinąć owe czterdzieści sześć stron w ciągu dwu lub trzech godzin.

Nic więc dziwnego, że kiedy umieszczał w bagażniku ów pojemnik z twórczością, jego zachowanie cechowała powaga.

Mimo wszystko odczuwał jednak swoiste podniecenie – nic szczególnie związanego z pisarską wena, a jeśli tak, to bardzo odległe, czuł po prostu wewnętrzną mobilizację, jak przed zrobieniem kroku w kompletną ciemność.

– Zawsze byłem myśliciem – mruknął butnie, po czym dodał nieco łagodniej: – Albo raczej lekkim bombowcem o średnim zasięgu, przeznaczonym zwłaszcza do nocnych operacji i zwiadów na niskim pułapie. I bardzo dobrze. – Miał wrażenie, że nigdy nie wyraził tego lepiej.

Później zaczęła się polka z przetransportowaniem cholernego szczeniaka do domu córki sprzątaczk, zawieszaniem prenumeraty gazet i wynoszeniem do samochodu zwykłych waliz i reszty utensyliów. Pochód zamykały ciężkie płaszcze nieprzemakalne i gumowce, niezbędne każdemu, kto odwiedza wiejskie tereny Walii o dowolnej porze roku. Na razie było właściwie pogodnie, aczkolwiek nie słonecznie, zapowiadano jednak przelotne opady. Rhiannon pojawiła się jak zwykle dokładnie w chwili wychodzenia z bloków startowych, ubrana we wzorzystą sukienkę, jak również buty, czego się Alun słusznie domyślił. I jak zwykle na początku każdej ich podróży, gdy tylko ruszyli, sięgnęła po jego rękę i uściśnięła ją mocno.

Na Courcey drogi były praktycznie rzecz biorąc puste – dzięki błyskawicznej rewolucji w dziedzinie gustów albo też za sprawą jakiejś katastrofy atomowej wolne od turystów. Nawet w samym Birdarthur ulice okazały się najzupełniej przejezdne – i ani śladu rozpoznawalnych wycieczkowiczów. W księgarni im. Brydana, uważanej przez Daia za jaskinię pazerności, jak również nieuczciwej konkurencji, nie było w tej chwili klientów. Żaden autokar z kontynentalną rejestracją nie blokował skręcającej ostro pod górę uliczki wiodącej do kościoła pod wezwaniem św. Cattwg, w którego cieniu zwykł niegdyś sypiać poeta. W pobliżu zajazdu „Pod Brydanem” dało się dostrzec niejaki ruch, ale taki sam panował tam późnym popołudniem również wtedy, gdy nad zajazdem wisiał jeszcze szyld „Pod Białą Różą”. Wraz z ustaniem funkcji portowej oraz zamknięciem stalowni i kopalni krzemionki Birdarthur zaczęło zdradzać oznaki bezrobocia, teraz jednak żadne z nich nie były widoczne. Jako że miasto zostało przemianowane albo raczej przerobione na strefę przedsiębiorczości, bezrobocie przeniosło się gdzie indziej.

Na rogu przy barze „Brydan Burger” Alun skręcił w drogę – od wieków nie naprawianą, wysypaną jedynie tłuczniem dla potrzeb ruchu turystycznego – która biegła ponad pasem plaży oraz rozleglejszą i głębszą częścią zatoki. Był szczyt przyływu, morze stało nieruchome i płaskie, szarobure, z delikatną domieszką zieleni i żółci. Widok zachodzącego słońca należał, jak się powszechnie sądziło, do ulubionych widoków Brydana, i rzeczywiście, jego chata, stojąca niemal na samym początku rzędu zwróconych ku wodzie domków, stanowiła niezły punkt obserwacyjny. Jak często jednak z tego korzystał, nawet jeśli był akurat w stanie pełnej świadomości, pozostaje w sferze domysłów. Po wykonaniu na terenie jego posiadłości zakrojonych na szeroką skalę prac remontowych, budynek przekształcono w muzeum oraz sklepik z pamiątkami – właściwie głównie sklepik. Nieco później w sąsiednim domu urządzono kawiarnię, w której, co było w tych okolicznościach raczej usprawiedliwione, nie sprzedawano żadnych wysokoprocentowych alkoholi. Kiedy przejeżdżali obok, spod wzmocnionych drzwi wejściowych kawiarni zawracała właśnie w zakłopotaniu jakaś starsza kobieta odziana w spadochroniarską kurtkę, co niechybnie wskazywało na Amerykankę.

Pojechali aż do końca rzędu chat, gdzie zaczynał się trójkąt nieużytków usianych wszelkim śmieciem, tak starym, jak i nowym. Prowadziła stamtąd żuźlowa ścieżka oznakowana drogowskazem „Ścieżka Brydana”, chociaż i w tym wypadku lokalna społeczność wątpiła, czy nasz bohater kiedykolwiek postawił na niej stopę, jako że nie wiodła do żadnej knajpy. Tak jak było wcześniej umówione, Alun wysłał Rhiannon pieszo ową dróżką, sam zaś zawrócił i wjechał za nią tyłem jakieś osiemdziesiąt jardów w głąb, aż do miejsca, w którym ścieżka zwęziła się tak bardzo, że nie można było dalej jechać. Zatrzymał samochód i zaczął się przyglądać, jak żona wypakowuje bagaże przez tylną klapę. Następnie wrócił do wspomnianego trójkąta, zaparkował tyłem na błotnistej i stromej dróżce, po czym pośpieszył dołączyć do Rhiannon.

– Musi być na to jakiś łatwiejszy sposób – powiedział, doganiając ją obładowaną kartonem z napojami – ale jakoś nie potrafię na niego wpaść.

– A ja potrafię. Mógłbyś się przeczołgać przez bagażnik, wyjść przez tylną klapę, rozładować bagażnik, pownosić wszystko do chaty i poukładać.

– Dziwne, jak łatwo wszystko się przypomina. Zanim wyjechaliśmy z domu, trudno mi było opisać, w którą stronę jedzie się do domku Daia, ale kiedy się tu znaleźliśmy, nawet się nie zawahałem.

– A ja pamiętałam ten szczegół bardzo dokładnie. Bardzo dziwne.

– Postaw to tutaj, a ja później po to wrócę, no, dalej. Och, no dobrze, cierp więc sobie. Co mamy na lunch?

– Pieróg wieprzowy i pieczoną fasolę.

– Zabrałaś musztardę?

– Tak, i hiszpańską cebulkę, i słodką marynatę.

– Jesteś aniołem.

Dotarli do domku Daia, wcale nie najładniejszego ani najlepiej położonego w tej części Birdarthur, ale za to niewątpliwie najbardziej wilgotnego i zalatującego stęchlizną, z dwoma pomieszczeniami na dole i dwoma na górze, przy czym z jednego na dole uszczknięto odrobinę na rzecz maleńkiej łazienko-ubikacji, tak wąskiej, że jedynie ktoś o szczupłych udach mógł z niej wygodnie korzystać. Rhiannon chodziła po domu i otwierała okna.

– Nietrudno zgadnąć, kto się wychował w cholernym mieście – rzekł Alun. – Szepnij tylko słówko, a wybiję dla ciebie dziurę w kuchennej ścianie.

– Możesz to wynieść do śmietnika? – Podąła mu tacę pełną nieświeżych produktów. – Jak długo nikt tu nie zaglądał?

– Hej, niektóre rzeczy są całkiem w porządku! Na przykład ten garnek z...

– Możesz jeść, co chcesz.

Skontaktowawszy się z Gomerami i ustalwszy, iż w ciągu ostatnich paru godzin nie zmaterializowały się żadne wielodolarowe prowizje, Alun zrobił na niewielkim stoliku pod oknem frontowego pokoju miejsce dla swej maszyny do pisania. Czynność ta wymagała usunięcia sporej liczby porcelanowych i wielce ohydnych piesków oraz innych stworzeń. Ich powierzchnia była popękana i sponiewierana, a kolory spełzłe jakby ktoś, być może z poduszczenia Muriel Thomas, użył w pewnej fazie ich produkcji miotacza płomieni. Alun zmiótł je wszystkie do tekturowego pudła, myśląc przy tym, że to trochę irytujące – przebyć taki szmat drogi, aż na południowo-wschodni kraniec Courcey, i na koniec natknąć się na kupę pretensjonalnych porcelanowych piesków.

Żeby trochę oddalić złowieszczą chwilę, przesunął wzrokiem po książkach Daia Księgarza i zorientował się wkrótce, że nie ma tam nic wymagającego usunięcia. Znajdowały się tam dzieła Brydana we wszystkich możliwych wydaniach, co sprawiło, że jego własny egzemplarz wydał się bagażem jeszcze bardziej zbędnym niż kiedykolwiek wcześniej. Podobnie jak każdy mieszkaniec południowej Walii, który przekroczył trzydziestkę, nie mówiąc już o wielu dużo starszych, Dai mógł się poszczycić osobistymi związkami z Brydanem. Na ścianie wisiało oprawne w ramki powiększenie sławnej, szerniałej już niemal, przedstawiającej ich dwóch fotografii, którą miał w swoim sklepie. Mawiał często, że Brydan raz czy dwa przychodził mu pomagać podczas szkolnych wakacji – Dai lubił myśleć, że zrobił coś dla tego chłopaka. W rzeczywistości jego zasadnicze związki z Brydanem zaczęły się trochę później, kiedy ten po drodze na dworzec wpadał czasem po parę egzemplarzy nowości, by je później odsprzedać, albo raczej sprzedać w sklepiku ze starzyzną przy jednej z przecznic Fleet Street. Alun potrząsnął głową na to wspomnienie. Wielki pisarz, pomyślał – co też często powtarzał w towarzystwie nie-Walijczyków – ale pod tyłoma względami taka żałośnie nędzna istota.

Odwracał się już od półki, kiedy jego wzrok padł na grzbiet okładki, którą rozpoznał – okładki tomiku zatytułowanego *Kwiat poezji Brydana*, wyboru wierszy dokonanego przez Aluna Weavera. Pewna alchemia, będąca kombinacją zręczności pośrednika, naiwności wydawcy, zbieżności z datą śmierci Brydana oraz historycznej recenzji w magazynie „Time” przemieniła owoc trzytygodniowej pracy w całkiem przyzwoitą i trwałą rentę: pięciotysięczny nakład w twardej oprawie w zeszłym roku w samych tylko Stanach Zjednoczonych oraz *Walia Brydana*, wciąż jak najbardziej żywa. Kiedy go o to pytano, Alun miał pokusę myśleć o sobie jako o kimś raczej z głową do robienia pieniędzy niż promowania własnej osoby, na co był osobistością zbyt mało wpływową i na co zbyt wiele w nim było ze zmysłowego Celta. Przez ostatnie tygodnie często zastanawiał się nad tym, jak też się spisywał w tej swojej roli tuby Walii w Walii. Być może mimo wszystko w Anglii był lepiej słyszalny, bo mniej liczne i mniej hałaśliwe były tam przejawy rywalizacji. Nie zdołał się dotąd otrząsnąć z wrażenia po znikomości powitania, jakie mu zgotowano na stacji przy Cambridge Street. Ale co tam – oto rozpościerała się przed nim sposobność, aby zaradzić temu raz na zawsze.

Siedział przy stoliku i spoglądał przez okno na plażę, kiedy weszła Rhiannon, ubrana... hm, przysięgłby, że się przebrała.

– Przepraszam, czy ty...

– Och, nie, myślę o niebieskich migdałach. Jak to się stało, że zasłużyły na złą sławę, co? Takie migdały to przecież całkiem kosztowne delikatesy.

– Pomyślałam, że pójde się rozejrzeć po mieście. Nie byłam tu od wieków.

– Świetnie. No to na razie, kochanie.

– Co myślisz o Ingrid?

– Ingrid?

– Ingrid Jenkins, czy jak tam się nazywa. No wiesz, córka Normy.

– Czyja... a, tak, oczywiście, naszej sprzątaczkii, córka sprzątaczkii. No przecież.

– Więc co o niej myślisz?

– Nie wiem, chyba nic o niej nie myślę. Zdaje się całkiem miła, widziałem ją tylko przez chwilę. A co? Czemu miałbym coś o niej myśleć?

– Och, nic. Czy robiła wrażenie kogoś, kto należycie zajmie się Nelly? Jak sądzisz?

– Chryste, przecież Nelly to szczeniak, prawda? Prawda. Cóż, wydaje mi się, że mieszkanie wyglądało całkiem przyzwoicie. Czyste. I tak dalej. Myślę...

– Och, to dobrze. – Zachowanie Rhiannon uległo zmianie. – Przecież nie mogłam jej tutaj przywieźć, prawda?

Alun pomyślał, że rozumie wreszcie, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Nie – odparł, chmurząc czoło na samą myśl o tym. – W żadnym razie. To nie ulega kwestii.

– W tym wieku nie można ich nawet na chwilę spuścić z oka. Musiałabym ją co rusz wyprowadzać albo przez cały czas siedzieć z nią w domu. Albo zmuszać ciebie.

– Wielkie dzięki. Nie, oczywiście, że nie mogłaś jej tu przywieźć i jednocześnie spodziewać się, że odpoczniesz. Nie ma o czym mówić.

– Uhm. Masz zamiar przejrzeć te swoje zapiski?

– Och, rzucę tylko okiem. – Z reguły informował ją na bieżąco o wszystkim, co dotyczyło pisarskiej strony jego życia. Co do nagrań, które wymagały czasem nagłych podróży tu i tam, służył informacją nieco mniej wyczerpującą.

– Powodzenia, kochanie. Wróć za godzinę.

Wyszła. Tak, potrzebne jej było moralne wsparcie, bo zepchnęła na kogoś innego opiekę nad bydłakiem. To normalne i zrozumiałe. Sięgnął po leżącą przed nim nienawistną, płowożółtą kopertę, ale zatrzymał się z jękiem w pół gestu. Rozmowę o psie poprzedziło coś paskudnego. Co to, do cholery, było? Coś w związku z Ingrid. Przecież ledwo spojrział na tę dziewczynę, no dobrze, kobietę, około czterdziestki, jak przypuszczał, drobną, bladą. Nic więcej. Więc, oczywiście, nie było nawet mowy, żeby...

Wydał stłumiony okrzyk, po czym, przypomniawszy sobie, że jest w domu sam, przestał go tłumić. Jego spojrzenie powędrowało w dół, ku podłodze, gdzie tuż obok stało pudło z książkami, a w nim *Thesaurus* w miękkiej, wystrzępionej zielonej okładce. Absurd, mruknął pod nosem, bezsens, niedorzeczność, koszałki-opałki, czcza gadanina, stek bzdur, brednie. *Ffwlbri*. Mowa-trawa. *Credat Judaeus Apella*. Jeśli Rhiannon sondowała go w ten sposób, czy aby nie zdradza zainteresowania ową Ingrid, jeśli faktycznie sądzi, że mógłby zamyślać porzucenie jej dla córki sprzątaczkii, to naprawdę musi mieć źle w głowie. Chyba że tego rodzaju podejrzenie – podejrzenie o coś na tym poziomie, choć w tym wypadku nieuzasadnione – samo w sobie nie jest wcale takie znowu niedorzeczne, już nie, a w takim wypadku to on ma źle w głowie. Czy w ten właśnie sposób miało to go dopaść – nie brak chęci czy możliwości, lecz zimny osąd i rozsądek?

Na tym rozdrożu myśli wyłoniło się kilka niezbyt przyjemnych wątków. Podążył w stronę refleksji, że każdy przy zdrowych zmysłach musi wiedzieć, jaki z niego, Aluna, szczęściarz, że ma przy sobie Rhiannon. Jemu jednak brakowało rozsądku albo nie miał go wystarczająco dużo, albo... Ale do tego wniosku dochodził już tysiące razy i nigdy nie zapuszczał się dalej. Miał nadzieję, że brak gotowej odpowiedzi na pytanie o Ingrid najlepiej dowodził jego niewinności, a jeśli nie, to i tak niczego więcej nie mógł na ten temat powiedzieć, było już zresztą za późno. Niemal ochoczo sięgnął po kopertę.

Kiedy przystąpił do wyjmowania jej zawartości, w jego ruchy i zachowanie wkradła się jakaś niepojęta obojętność. Z przechyloną na bok głową, z uniesionymi brwiami i przymrużonymi oczami, z opuszczonymi kącikami ust odchylił skrzydełko koperty, wysunął połowę pierwszej kartki i pozwolił sobie na przebiegnięcie wzrokiem pierwszych linijek maszynopisu, po czym, tak jak siedział, zaczął zapadać w sen. To, co przeczytał, obudziło go niczym kubeł zimnej wody i dało impuls do zrobienia tego, co miał zamiar zrobić chwilę wcześniej, a mianowicie do zerwania się z krzesła i wydudlenia duszkiem porcji szkockiej. Nie zapomniał o ponownym napełnieniu szklanki przed powrotem do biurka, gdzie opadł na krzesło, zapatrzył się w zatokę i spróbował podyskutować z samym sobą.

Oczywiście, że pierwszych parę zdań przypominało wstęp do tuzinów opowiadań i powieści napisanych przez Walijczyków, zwłaszcza tych z pierwszej połowy stulścia. Ale w tym cała rzecz. Chodzi o podkreślenie ciągłości, o przeciwstawienie się wszelkim modernistycznym zapędom i pokazanie, że ów stary temat – życie w wiejskich społecznościach, w owym swoistym południowowalijskim amalgamacie tego, co miejskie i wiejskie – nigdy się nie zdezaktualizował. W gruncie rzeczy nabrał w tych schyłkowych czasach nowych, ironicznych znaczeń. To warte zrobienia, zgoda, lecz czy udało mu się tego dokonać bodaj w części? Cóż, możliwe. Niczym Sokrates, który, gdy jego czas nadszedł (pamięta, że kiedyś o tym czytał), chętnie i radośnie spełnił swój kielich cykuty, położył maszynopis na stole i zaczął od początku.

Po jakichś pięciu minutach pozwolił sobie nieco rozluźnić usztywnioną pozę sapersą. Od czasu do czasu marszczył nagle brwi i robił poprawkę, wykrzywił twarz w grymasie bólu albo z niedowierzaniem wytrzeszczał oczy, ale też zdarzyło mu się parę razy pokiwać głową z aprobatą, a raz czy dwa nawet zaśmiać okrutnie.

Po upływie godziny wróciła Rhiannon i zastała go nad maszyną do pisania z czterema i trochę linijkami tekstu na początku kartki. Kiedy podniósł wzrok, zapytała:

– Jak poszło?

Rzucił jej gniewne spojrzenie i podniósł rękę z zaciśniętym kciukiem.

– Istnieje pewna szansa – odparł scenicznym szeptem, z wyrazistą dykcją – że nie każda sylaba tego tekstu jest absolutnie nie do przyjęcia.

– Och, to dobrze.

– Nie, nie, wcale nie dobrze, bo to zaledwie przypuszczenie. Trzeba jeszcze sporo nad tym popracować. Pomyślałem, że wykorzystam to, iż mam na to chęć, i popchnę rzecz nieco do przodu, zamiast cofać się i robić poprawki. Tylko się nie zbliżaj, dziewczyno! – zawołał, mając wrażenie, że Rhiannon zamierza ruszyć ku niemu, aby go uścisnąć i pogratulować. – Później, jeśli w ogóle.

– Ale dobrze ci idzie, prawda? – Stała dalej u dołu schodów. – Bo jest coś...

– Co? – warknął opryskliwie.

Rhiannon zrobiła płaczącą minę.

– Kiedy odprowadzałeś Nelly do Ingrid, zadzwoniła Dorothy... i zaprosiła nas do siebie na wieczór... i nie mogłam jej nie powiedzieć, dlaczego nie będziemy mogli przyjść... i wtedy ona zapytała, czy mogliby z Percym przyjechać tutaj jutro wieczorem... i nie umiałam jej odmówić... przepraszam...

Wypełniwszy wszystkie luki w jej relacji jękami i przekleństwami, Alun zrozumiał, że dalszego ciągu nie będzie, po czym powiedział:

– Czy jeszcze ktoś ma przyjechać? Może Sian albo Garth, albo stary Owen Thomas, albo ta cholerna rybiogęba Eirwen Spurling, albo... Bo jeśli jeszcze...

– Naprawdę nic nie mogłam na to poradzić.

– Nie, oczywiście, że nie mogłaś, głuptasie – powiedział, obejmując ją. – Będziesz potrzebowała dywizji pancernej ze wsparciem z powietrza, aby stawić czoło wspomnianej osobie. Ale damy sobie radę. Masz szczęście, że dobrze mi dziś poszło na literackiej niwie. A teraz napijmy się, proponuję gin z tonikiem. Śmiało, *mym*, jesteś przecież na wakacjach.

Dokończył akapit w ciągu tych paru minut, które zabrało jej przygotowanie w kuchni lunchu. Kiedy zjedli i – w jego przypadku tego – popili, Rhiannon oświadczyła, że nigdy by się nie spodziewała, że rozłąka z pieskiem będzie dla niej prawie tak samo przykra, jak kiedyś rozłąka z dziewczynkami, po czym poszła odpocząć. Alun znalazł w biblioteczce Daia tomik opowiadań o życiu w Cardiganshire w latach trzydziestych, napisanych przez jakiegoś Walijczyka, którego nazwisko ledwo rozpoznał – coś akurat dla niego, zwłaszcza w tym momencie – oraz powieść starego Alistaira McAlpine’a o nalocie na kwaterę gestapo w Holandii. Na jej podstawie, jak głosiła notka, nakręcono niedawno film, i zanim ponownie zapadł w drzemkę w sfatygowanym fotelu Daia przed miniaturowym kominkiem, pułkownik (Richard Burton) oraz dowódca dywizjonu (Trevor Howard) synchronizowali już zegarki przed planowaną akcją. Obudził się na chwilę, znowu zapadł w sen, po czym, ocknąwszy się raz jeszcze, zaniósł Rhiannon filiżankę herbaty. Następnie napisał z tuzin linijek dialogu, podczas gdy ona krzątała się w pokoju na górze, a potem wyszli na spacer.

Ląd i morze wyglądały nużąco normalnie – mysioszaro, ale pomiędzy chmurami gdzieś tam przezierają żółtawe i szaroniebieskie skrawki nieba, które mogły kiedyś w odczuciu tutejszych mieszkańców coś oznaczać. Poszli „Ścieżką Brydana” aż do końca, który nikł w karłowatych zaroślach i wysokich bladozielonych trawach, a potem w dół po zboczu na plażę, i z powrotem wzdłuż brzegu. Tutaj teren był częściowo zniwelowany, przypuszczalnie pod budowę jakiegoś obiektu. Z pół tuzina ptaków kręciło się w pobliżu linii wody, czapli albo ostrygojadów – Brydan wiedziałby jakich, a w każdym razie powiedziałby. Kilka żaglówek sunęło leniwie w stronę portu. Po niskich stopniach weszli na poziom ulicy i znaleźli się na High Street, gdzie słowo „Birdarthur” widniało na każdym niemal sklepie, biurze, plakacie i pocztówce. Na samym początku przewężenia ulicy, naprzeciwko budynku, w którym za ich ostatniej bytności mieściła się piekarnia, znajdował się pub, prawie nie zmieniony od jeszcze dawniej, tyle tylko że wyglądał na odnowiony. Jego szyld głośił połyskliwe złotymi literami na granatowym tle: „Hotel White’a”.

Wnętrze zdawało się jeszcze nowsze i bynajmniej nie było nie zmienione – do tego stopnia, że Alun skłonny byłby przysiąc, iż nigdy wcześniej tu nie gościł. Przywykł już jednak do tego, a cierpliwe tolerowanie muzyki – pospolitej chały pełnej świstów i brzęków, monotonnej niczym senna laguna – sprawiało mu nawet niejaką przyjemność. Na parapecie okna, tuż obok wielkiej donicy z jakąś rośliną, spoczywał przedmiot, którego Alun nie potrafiłby nawet nazwać: coś na kształt ekranu, po którego powierzchni prześlizgiwały się strumienie jaskrawego, kolorowego światła, a wszystko to w pewien nieokreślony, lecz niesamowity sposób zdawało się wykazywać związek z rozbrzmiewającą muzyką. Nie omieszka zrobić na ten temat notatki i umieścić jej w teczce z materiałami do książki *W poszukiwaniu Walii*, najpierw jednak posadził Rhiannon na czymś w rodzaju średniowiecznej ławy kościelnej, a sam poszedł do baru. Tutaj efektem zamówienia białego wina okazało się podanie kieliszka takowego trunku, nie zaś ponure wybałuszenie galów, czego można się było w takiej sytuacji spodziewać w tych stronach dawniej. Zapytano go także, jaką lubi whisky, zamiast założyć z góry, że taką, jaką ma przed sobą, co usłudźnie podsunęła mu wdzięczna pamięć.

Wróciwszy do Rhiannon, zastał przy stoliku jakiegoś staruszka, który siedział na wyściełanym stołku naprzeciw niej i poczynił sobie tak, jakby był ich starym dobrym znajomym, chociaż z jakiegoś powodu zabrakło mu w tym momencie języka w gębie. Z przodu wyglądał naprawdę bardzo staro – istny eksponat reprezentujący typ twardego, niezależnego Walijczyka, który orał okoliczną rolę i łowił w tutejszych wodach od niepamiętnych czasów. Było w nim jednocześnie coś z cholernego gamonia i głupca, którego w czasach, kiedy używano jeszcze syfonów, Alun chętnie by potraktował szprycą z wody sodowej w samo oko. Na białej głowie miał biały kapelusz, ale nie było wcale jasne, co to w ogóle mogło oznaczać i skąd się wzięło.

Siadając w ławce obok Rhiannon, Alun wymienił z nią kilka uwag na temat otoczenia i ludzi, dopóki się nie upewnił, że mężczyzna nie jest jej jakimś wcześniej nie ujawnionym wujem. Następnie, pomyślawszy, że nie darowałyby sobie, gdyby się dał odwieść od pierwotnego zamysłu, wyciągnął kołonotatnik i zaczął szkicowo opisywać ów z lekka musujący przedmiot.

Jeśli owemu facetowi w białym kapeluszu umknęło cokolwiek z tego, co działo się wokół niego przez ostatnie kilka minut, to naprawdę jedynie odrobineczka. Teraz odezwał się tubalnym głosem, który w uszach Aluna zabrzmiał jak doskonała parodia głosu pewnego właściciela tancbudy:

– Aha, więc jesteś pisarzem, tak?

– Tak – odparł Alun, gdy Rhiannon wymierzyła mu kuksańca.

– Tak. I przyjechałeś w związku z Brydanem, tak?

– Co? No, niezupełnie.

– Wielu z nich przyjeżdża tu z powodu Brydana. Brydan był sławnym poetą i mieszkał kiedyś w Birdarthur. Przychodził do tego pubu całkiem często, z Amerykanami. Nazywał go Klubem White’a. Bo tu jest jak w klubie, mawiał. Był Walijszym, ten Brydan, ale pisał po angielsku, rozumiesz?

– Tak, wiem. – Życie Aluna zdawały się coraz szczelniej wypełniać podawane w tempie dyktanda informacje, które już posiadał.

– Brydan sam był Walijszym, ale pisał... swą poezję... po angielsku.

– Faktycznie, w gruncie rzeczy jednak...

Ale był na wskroś Walijszym. I nie myśl sobie, że możesz zrozumieć Brydana – huknął stary, huśtając się na stołku w przód i w tył i uśmiechając z lekka, przy czym było oczywiste, że chodzi mu zwłaszcza o Aluna, a nie o świat w sensie ogólnym. – Mam na myśli zrozumienie Brydana, kiedy nie jest się Walijszym.

– Jeśli chce pan wiedzieć, to ja jestem Walijszym. Urodziłem się i wychowałem niespełna dwadzieścia mil stąd.

– Nie, nie, ja mówię, że nie będąc Walińczykiem, nie można zrozumieć Brydana. A to znaczy, że Walińczycy mogą, no nie? Docenić. Docenić to lepsze słowo. Tak, docenić. W pełni docenić.

– Ale... – Alunowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Świadomość, że Rhiannon posyła mu ukradkowe uciszające spojrzenia, wcale mu nie pomagała. Mógł, oczywiście, wymyślić tysiące odpowiedzi, ale żadna z nich nie zdawała się na tyle dobra, żeby nie miał poczucia, iż nie traci punktów z tej czy innej strony. – Ale...

– Pisarz, jak mówisz. Dla gazety?

– Nie. Tak. Czasami.

Facet wziął to chyba za odpowiedź pełną i zadowolającą, a przynajmniej wartą zastanowienia przed przystąpieniem do dalszego ciągu. Właśnie wyciągnął w stronę Aluna palec, kiedy w drzwiach pojawił się młodzieniec o bardzo krótkich, niemal bezbarwnych włosach, który pośpieszył w ich stronę. Miał szeroką twarz, nieco spoconą w okolicach nozdrzy i oczu. Spojrzał z ukosa na Aluna i Rhiannon, ni to ze zdziwieniem, ni to przepraszająco.

– Spóźniasz się, dziadku – powiedział głośno. – Herbata już pewnie na stole. Ruszajmy, Winstonie Churchill. – Po czym, nie ścisząc wcale głosu, dodał: – Mam nadzieję, że nie był zbyt upierdliwy.

Alunowi pozostawało jedynie odpowiedzieć, z niejaką szkodą dla własnego poczucia sprawiedliwości, że ucieli sobie całkiem miłą pogawędkę.

– Bez żartów? – Młodzieniec przyjrzał mu się uważniej, po czym jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu. – Hej, ja pana znam. Widziałem pana w telewizji, prawda? Zaraz, co to było... Jakieś walijskie coś... Walijski punkt widzenia? Niech mi pan powie, ten... jak mu tam? Bleddyn Edwards, czy to dobry pana znajomy?

– Raczej nie, nie sędzę nawet, żebym...

– Cóż, nie jestem znawcą, ale dla mnie jest oczywiste, że facet nie nadaje się do tej roboty. Pan to co innego! Całkiem inna rozmowa. – Młody człowiek powiedział to ze znawstwem i stanowczością, jaką musiałby uznać nawet jego szacowny przodek. – Nie ma porównania.

– To bardzo miło z pana strony.

– Nie ma o czym mówić. Cudownie było pana spotkać. Wszystkiego dobrego, i dzięki za dotrzymanie towarzystwa staruszkowi.

– Ależ nie ma za co – odparł Alun. Chwilę później on i Rhiannon wyszli z pubu. – W głowie się nie mieści.

Rhiannon przycisnęła do siebie jego ramię.

– Grzeczny chłopiec, nie nakrzyczał na tego starego pierdzielą.

Przez resztę wieczoru Alun czuł się całkiem zadowolony z życia. Ów podniosły nastrój trwał wystarczająco długo, aby popchnąć go do kochania się z Rhiannon, kiedy w stosownym czasie znaleźli się już w zaskakująco przytulnym, acz niewielkim łóżku.

Leżeli później chwilę przy zapalonym świetle i wydawali ciche, zwierzęce pomruki zadowolenia. Coś w lampce przy łóżku piszczało przeciągle i chrapliwie, mimo to słychać było uderzenia fal o brzeg, teraz nie tak znowu odległy, jako że przyływ osiągnął chyba apogeum.

– To był miły dzień – powiedział Alun. – Już zapomniałem, jak tu jest przyjemnie.

– To dobrze ze względu na twoją pracę.

Uciszył ją gestem, z mniejszym jednak przekonaniem niż wcześniej.

– Jeszcze nie zdołali tutaj wszystkiego zapaskudzić.

– To musi być dla ciebie duże pocieszenie, albo raczej pewne pocieszenie. Dobrze jest móc powiedzieć coś takiego.

– Co? A, tak, rano zajrzę tam jeszcze raz.

– Dobrze ci zrobi, jeśli pobędziesz trochę w jednym miejscu i przez kilka dni dasz odpocząć nogom.

– Hm, tak...

– Wiesz, wyglądasz chyba trochę mizernie, tak odrobinę. Czy coś cię aby nie trapi?

– Nie. – Nie zamierzał się przyznawać do sprawy z Gwen, nie teraz, nie bez jakiegoś zewnętrznego ogranicznika dla tej dyskusji. Będzie musiał wybrać na to odpowiedni moment, na przykład trzy minuty przed przybyciem ekipy telewizyjnej. – Skądże znowu. Jeśli nie liczyć niepewności, czy długo jeszcze będą produkować taką whisky, jaką lubię.

– To dobrze – odparła bez szczególnej ulgi.

Po chwili milczenia Alun zapytał:

– O której mają jutro przyjechać?

– Koło dwunastej. Najwyraźniej Charlie nie chce za wcześnie zaczynać picia.

– Hm, rozumiem. Cóż, lepiej, żebym zmrzął na chwilę oko, jeśli ma być ze mnie jakiś pożytek, kiedy już przyjadą.

Myśl o telewizji uruchomiła skojarzenie z czymś, co tymczasem odłożył sobie na później – chodziło mianowicie o tożsamość Bleddyna Edwardsa, o którym młodzieniec w pubie wyraził się jako o kimś od niego, Aluna, gorszym, niemniej jednak wymienił ich jednym tchem. Nazwisko to nie było Alunowi obce, ale twarz i cała reszta pozostawały w mroku niepamięci. Ze też musiał w środku nocy głowić się nad jakimś parszywym bubkiem. Zapadł w sen, zanim zdążył dojść do jakiegokolwiek wniosku.

Następnego ranka Alun wyszedł wcześniej po gazety. Wróciwszy, stanął w bladym słońcu twarzą do zatoki, wziął parę głębokich wdechów i pomyślał, że o ile kiedyś docierały tu jakieś smrodki przemysłowych zanieczyszczeń, to teraz nie było o tym mowy. Kiedy zaczęły przychodzić mu do głowy inne myśli, związane z czasem i wiekiem, i podobnymi sprawami, wszedł do środka na śniadanie – istną ucztę, składającą się z dwóch jaj na twardo, grzanek i smażonych ziemniaków oraz bekonu i pomidorów. Wcinając z apetytem, rozwiązywał z zapalem krzyżówkę w „Timesie”.

– O, skubany – mruzczał, wpisując rozwiązanie. – Ty... ty Świnio.

Siedząc później nad maszyną do pisania, bardzo pobieżnie, niemal symbolicznie, przebrnął przez następne pół strony dialogu. Miał trudności z koncentracją: rozpieierała go energia, słońce połyskiwało na wodzie, a Sophie i Charlie pewnie byli już w drodze. Kilkakrotnie zerkał znad stołu, gdy wydawało mu się, że ich słyszy lub widzi. Kiedy się w końcu zjawili, wybiegł na spotkanie z okrzykiem powitania na ustach, wyrwał im z rąk walizki i zapędził ich do środka. Jego znajomi zwykli mawiać, że nigdy nie jest bardziej przekonujący, niż kiedy okazuje, jak się cieszy na twój widok.

Podobnie jak wszyscy gorliwi gospodarze, Alun miał ściśle sprecyzowane wyobrażenie o tym, jak należy zorganizować świetną zabawę. We frontowym pokoju podano kawę i drinki, a prezenty Norrisów – świeży łososiopstrąg, zakupiony tego ranka na Hatchery Road, oraz butelka 57-procentowej słodowej whisky z Islay – zostały z wdzięcznością przyjęte. Kobietom nie przeszkadzono odejść do swoich spraw, na razie nie dalej niż do kuchni, po czym Alun ponownie napełnił szklaneczkę Charliego i powiedział:

– Jeśli pozwolisz, chciałbym cię prosić, abyś zrobił dla mnie coś szczególnego.

– Trzeba ci wiedzieć, iż jestem przyzwoitą dziewczyną i nigdy nie dotykam niczego podejrzanego.

– Ale to... – Alun przećwiczył wcześniej tę kwestię, lecz mimo wszystko musiał to z siebie wyduszać. – Rzecz w tym, że zacząłem pisać coś w rodzaju powieści. Ma to być poważna powieść, prawdziwa, bez żadnego kitu ani efekciarskich bajerów, tylko że mnie samemu trudno jest to ocenić. Więc gdybyś zechciał rzucić okiem na pierwsze strony... nie zwracając sobie głowy stylem albo jego brakiem, ale jedynie, żeby się przekonać, czy...

– Czy mogę przybić pieczętkę „bredniopodobne”.

– Dokładnie.

– Hm... – W spojrzeniu Charliego błysnął niepokój. Obecne tak często na jego twarzy znękanie zdawało się jeszcze głębsze, choć nie miał siniaków czy otarć naskórka, zupełnie jakby go systematycznie bito owiniętymi w materiał pałkami. – Ale jeśli nie będę mógł szczerze...

– Przecież ja ciebie nie proszę o jakąś cholerną laurkę! Oczywiście, że chcę usłyszeć, co naprawdę myślisz. Proszę cię, Charlie. No, chłopie, tylko ty możesz to zrobić.

– Ale tylko jeśli ty... No dobra, gdzie to masz?

– Tutaj, ale poczekaj. Za parę minut wyprowadzę nasze panie do wsi, gdzie na straganach i w sklepikach o szkaradnym wyglądzie i niskim standardzie usług wystawiane są towary rozmaite i pociągające w swym plugastwie. Bezużyteczne, ale do kupienia. Czegóż więcej może pragnąć kobiece serce? Później pójdę do „White’a” i spotkamy się tam za dwa lub trzy kwadransy. Jeśli zabraknie ci wody, krany są pełne.

Nałożywszy żółty kaszmirowy pulower, Alun wypełnił w sporej części to, co był obiecał, lecz zanim udał się do „White’a”, zajrzał do księgarni im. Brydana. Wyłumaczył sobie, iż nikomu to nie zaszkodzi, a poza tym nigdy nie należał do entuzjastów samotnego przesiadywania po knajpach. Gdy tylko znalazł się w środku, rozpoznano go i gremialnie poczęto ścisnąć mu dłonie. Przedstawiano mu klientów i wszyscy dopraszali się o autograf. Jakimś cudem pojawił się egzemplarz starego wydania jego *Celtyckich postaw*, który Alun bez oporów opatrzył swoim podpisem. Z zaplecza przyprowadzono jakąś starszawą panią – która oprócz fartucha opatrzonego nadrukiem „Księgarnia im. Brydana, Birdarthur, Walia” zdawała się nie mieć żadnych innych związków ze światem literatury – a to tylko po to, żeby mogła rzucić na niego okiem. Wyszedł stamtąd z nową książką o rozruchach na tle religijnym, za którą nie chciano przyjąć od niego pieniędzy, i powiedział sobie w duchu, że to, czym się tak strasznie trapi, nie jest warte funta kłaków.

Bar w „Hotelu White’a” zaczynał się już wypełniać, jemu jednak udało się zająć to samo miejsce co ubiegłego wieczoru. Skwapliwie, ale na próżno przeszukał wzrokiem otoczenie w nadziei na namierzenie faceta w białym kapeluszu, którego w obecnym stanie ducha chętnie by splewił – bez litości i wkładając w to minimum wysiłku, niczym mistrz karate. Właśnie kiedy zaczynał się zastanawiać, czy rozsądnym posunięciem było zostawić Charliego sam na sam z butelką whisky, ten stanął w progu. Jego twarz wygładziła się chyba nieco w ciągu ostatniej godziny, bez wątpienia dzięki ustąpieniu symptomów kaca. Trudno było z niej cokolwiek wyczytać.

– A więc strzelaj – rzekł Alun rażno, kiedy usiedli nad drinkami. – Niech się stanie.

– Nalegałeś na moją szczerą opinię...

Alun spuścił wzrok.

– Którą w ten sposób jasno dałeś do zrozumienia. Przez ile udało ci się przebrnąć?

– Przeczytałem uważnie dwadzieścia stron, a potem przeskoczyłem na koniec. – Charlie mówił z niezwykłym u niego brakiem zdecydowania. – Muszę podkreślić, że jest to jedynie mój osobisty...

– Proszę, oszczędź mi tego.

– Przykro mi. Cóż. Tu i tam dostrzegam, co usiłujesz zrobić, i uważam, że jest to warte zrobienia, i... chyba zrobiłeś to najlepiej, jak umiałeś, ale... nie jestem pewien, czy w ogóle można coś takiego zrobić... nie w latach osiemdziesiątych tego stulecia, zresztą nie wiem... Ale tobie się raczej nie udało, w każdym razie nie w tym, co przeczytałem.

– A co z bełkotem?

– Ogólny ton, podejście, cóż, jest tego rodzaju, że wymusza bełkot. Jeśli powiem, że zbyt przypomina Brydana, to nie będę miał na myśli Brydana jako takiego, ale cały ten styl pisania, a sądzę, że i myślenia, który skupia się na pisarzu, przyciąga do niego uwagę, odciągając ją od tematu. Którym wcale nie musi być Walia, ale jakoś tak się składa, że zawsze jest, i zawsze tak czy inaczej nie sposób zdobyć się na uczciwość. Jestem pewny, że ze wszystkich sił starałeś się nie pisać niczego, o czym nie jesteś przekonany albo co uznałbyś za granie pod publiczność, ale i tak wszystko w gruncie rzeczy do tego się sprowadziło.

Alun nadal patrzył w ziemię.

– I niczego nie da się ocalić?

– Niczego, co widziałem. Przykro mi.

– Mówisz więc, że osiągnąłem etap, kiedy już nie potrafię odróżnić bredni od niebredni.

– Nie. Nie powiedziałem nic takiego. Mówię tylko, że jeśli chcesz powiedzieć coś poważnego o tym miejscu i tych ludziach, będziesz musiał podejść do tego z całkiem innej strony, jakbyś nigdy w życiu nie przeczytał żadnej książki... nie, niezupełnie tak, ale...

Jeszcze zanim Charlie w ogóle zaczął mówić, Alun poczuł się tak, jakby miał zaraz zemdleć, ale jako że nigdy wcześniej nie zemdlał, trudno mu było być tego pewnym. Po kilku chwilach mu przeszło, zwłaszcza że sporą część swojej uwagi musiał skupić na tym, aby głowa nie chwiała mu się na boki, co również było dla niego dość nowym przeżyciem. Dodatkowo rozproszyło go również nagłe przypomnienie, kim jest Bleddyn Edwards – facet występujący na zakończenie wieczornych wiadomości w regionalnej telewizji walijskiej, który zawsze dwoi się i troi, usiłując w ciągu paru minut w zabawny sposób skomentować co pikantniejsze szczegóły lokalnych wydarzeń minionego dnia. Sekunduje mu dzielnie drugi gość, o nieco niższym poziomie intelektu i wrażliwości, który nazywa się Howard Howell, jest o jakieś trzydzieści lat młodszy od Aluna Weavera i nie odznacza się takim jak on dystyngowanym wyglądem, ale, jak się okazuje, z łatwością może zostać z nim pomyłony. Wielkie dzięki. Czyniąc usilne starania, aby skupić uwagę, Alun spostrzegł z niejakim zdumieniem, że Charlie nie tknął jeszcze swojego drinka. Cichutko, ze wszystkich sił starając się, aby zabrzmiało to jak trzeba, powiedział:

– Cóż, wygląda na to, że będę musiał cisnąć do kosza to, co dotąd napisałem, i zacząć jeszcze raz od nowa. Po prostu.

I przyznaję, że można z kretesem przesiąknąć Walią, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Charlie pociągnął teraz ze szklanki.

– Przykro mi, Alun – powtórzył.

– Och, daj spokój, o czym ty mówisz? Zaoszczędziłeś mi przecież co najmniej paru tygodni bezowocnej pracy. Chyba nie sądzisz, że wolałbym dostać zielone światło dla steku bzdur? Gdybyś jednak miał wątpliwości, to moja odpowiedź brzmi: nie. No dobrze, skoro mamy to już z głowy, możemy przystąpić do tego, co najważniejsze. Dokończ tego drinka i zamówmy jeszcze po jednym.

– Jeśli pozwolisz, pójdę najpierw zrobić dla niego miejsce.

Pozostawiony samemu sobie, Alun rozluźnił się i przygotował na atak ponurych myśli, lecz, o dziwo, rozjaśniło mu się w głowie. Inne sprawy jednak nie uległy wcale poprawie, w każdym razie niezupełnie, siedział więc i przekonywał siebie, że powinien przestać chlać jak głupiec i zacząć normalnie oddychać, i zdobyć się na przyznanie, iż w gruncie rzeczy już wcześniej zrodziło się w nim podejrzenie, że to, co pisze, może się okazać zupełnie bezwartościowe, więc powinien odczuwać niejaką ulgę, kiedy mu to bez ogródek powiedziano.

Charlie wrócił niebawem, niosąc dwie duże whisky.

– Ta nora wcale się nie zmieniła – stwierdził. – Nawet siuśki nadal nie spływają jak należy. Czy dobrze słyszałem, że Percy i Dorothy mają tutaj przyjechać?

Alun chciał odpowiedzieć, ale stwierdził, że nie może nic z siebie wydusić. Otwierał tylko i zamykał usta, i mrugał do Charliego.

– Dobrze się czujesz?

Kładąc rękę na piersi, Alun przytaknął energicznie głową i kilkakrotnie przełknął ślinę. Usiłował coś powiedzieć. Całkowicie panował nad ruchami głowy, tudzież zachował jasność myśli, ale zaczynał się trochę bać. Po chwili, nie włożywszy w to więcej wysiłku niż kiedykolwiek wcześniej, wydobył z siebie:

– Tak, Charlie, nie przesłyszałeś się, Percy i Dorothy rzeczywiście mają tutaj przyjechać. Późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem, o ile mam dobre informacje. Hej, do licha, co to było? Uff! Nie miałbym ochoty na powtórkę.

– Może coś ci przynieść?

– Mam, co trzeba. – Alun sięgnął po drinka i wziął tęgi łyk. Dopiero teraz zdawały się docierać do niego obrazy i dźwięki wypełniające zatłoczony już lokal, hałas prowadzonych podniesionym głosem rozmów i wybuchów śmiechu. – Ale cokolwiek to było, lepiej, żeby się nie powtórzyło, prawda? Bez względu na to, jak bardzo ten poskramiacz Weavera mógłby się spodobać w niektórych rejonach Dolnego Glamorgan, i jeszcze dalej.

– Jesteś trochę blady. Byłeś.

– Nic dziwnego, skoro na naszą cichą i szczęśliwą osadę zstąpić ma *dorothea omniloquens ferox*. Oto ktoś, kogo powinno nawiedzić parę ataków zaniemówienia. Pamiętajsz, kto o rozmowach Macaulaya powiedział...

Na obliczu Charliego nadal malowały się z troską i skrucha, które Alun starał się rozproszyć. Zanim mu się udało tego dopiąć, odzyskał dobry humor, i to do tego stopnia, że realnie zaczęło mu się jawić całkowite przerobienie *Powrotu do domu* i to zaraz po tych krótkich wakacjach: zachowa tytuł, a także maszynopis, bo przecież musi w nim być materiał, z którego da się coś niecoś uratować przy odrobinie wyobraźni. Albo tupetu.

Jego dobry nastrój trwał przez cały czas, kiedy siedzieli w pubie, kiedy pili drinki po powrocie do domku, kiedy jedli lunch składający się z marynowanej ryby, mnóstwa korniszonów i siekanej cebuli, suto zakropiony wódką i piwem i zaszpuntowany kieliszkiem Irish Cream. Kierując się dość wątpliwym rozsądkiem, użyli whisky do spłukania ze swych kieliszków resztek ciężkiego likieru.

Potem w sposób naturalny nastąpiła przerwa. Kobiety wyszły na spacer: Rhiannon mamrotała pod nosem, że mimo wszystko powinna była wziąć ze sobą szczeniaczka. Charlie wykonał na raty wspinaczkę po schodach, po czym przez jakiś czas słychać go było w całym domu, dopóki nie runął na łóżko w pokoju gościnnym. Alun, podobnie jak poprzedniego popołudnia, wybrał fotel i przyśniła mu się pani Thatcher, która wyznała, iż bez niego jej życie byłoby jedynie skorupą, pustym strąkiem. Gdy ocknął się raptownie, znalazł się twarzą w twarz z jakimś brodaczem, poruszającym bezgłośnie ustami (fonia była wyłączona) i rysującym w oszalałym tempie kreskówki na nie większym od pocztówki ekranie przenośnego telewizorka marki „Sony”, który tu ze sobą przywieźli.

W niespełną minutę później wróciły ze spaceru kobiety – zaróżowione, ochnocze, z zamiarem zrobienia sobie herbaty. Alun siedział i słuchał, jak pokrzykują i śmieją się, jak stukają drzwiczkami szafek i pobrzękują naczyniami. W pewnej chwili Sophie wypadła z kuchni i potupała hałaśliwie po schodach na górę, wołając coś przez ramię do Rhiannon. Jej wzrok prześlizgnął się po Alunie, jakby byli nieznanymi, którzy zatrzymali się w tym samym hotelu. To samo powtórzyło się w drodze powrotnej, kiedy zbiegała na dół z paczką herbatników w ręce. Wiedział, że nie zostało to podyktowane przekorą, chęcią dokuczenia czy podkreślenia w obraźliwy sposób kontrastu wobec męskiej ospałości – ilustrowało jedynie, być może bardziej przekonywająco niż cokolwiek innego, starą prawdę, iż kobiety są pijane przez połowę życia, nie korzystając z dobrodziejstw alkoholu. (Dzieci powyżej drugiego roku życia są, oczywiście, pijane bez przerwy, kiedy tylko nie śpią.) Wyjąwszy homoseksualistów, mężczyźni powyżej mniej więcej dwudziestego piątego roku życia nigdy nie bywają pijani, bez względu na to, jak bardzo się upiją. Wręcz przeciwnie, dodał w myślach, słysząc dobiegające z góry odgłosy człapania.

Charlie, zjawiwszy się wreszcie na dole, utkwiał w Alunie wzrok wyrażający mieszaninę błagania i wyrzutu, jakby ociekał krwią po stoczonej właśnie samotnej i zaciętej walce z przeważającymi siłami wroga. Jak dotąd, zważywszy jego stan, wyglądał raczej nieźle, cokolwiek to mogło w jego przypadku oznaczać. Jak dotąd i mając na względzie jego zwyczaje, zachowywał dużą powściągliwość w kwestii przyswajania trunków: nie stawiał kolejek w pubie, długo, bo czasami i dziesięć minut siedział nad pustą szklanką. Jeśli tak dalej pójdzie, noc głucha zapadnie, a on nadal będzie na chodzie. Alun czuł, że Charlie mógł to robić dla niego, i był wzruszony.

Wniesiono herbatę, grzanki z anchois i ciasteczka, nie podano jednak herbatników Sophie, które najpewniej wspólnie z Rhiannon pochłonęła łapczywie w kuchni. Zjedzono posiłek, sprzątnięto ze stołu, po czym wszystko jak w sennej marze zaczęło się od początku, bowiem przyjechała Dorothy z Percym oraz papierową torbą, z której wyjęła bułeczki, dżem truskawkowy, krem z Devonshire i eklery czekoladowe. Kiedy witała całą czwórkę w stylu spotykających się po latach weteranów wojny, okazało się, że zdradza spore zaległości w stosunku do swego zwykłego stanu przewidzianego na godzinę piątą po południu. Oznaczało to, że zanosi się na dłuższe niż zwykle posiedzenie, chociaż z drugiej strony jej dochodzenie do stadium nieznośności zajmie zapewne nieco więcej czasu, jakkolwiek zawsze może się zdarzyć, że padnie nieprzytomna przed jego osiągnięciem.

Niewielu ludzi nie obeznanym z Walią czy Walijczykami byłoby w stanie pogodzić obraz Dorothy takiej, jaką będzie później, z obrazem Dorothy w chwili, gdy ponownie rozstawiano zastawę do herbaty i przynoszono z kuchni butelkę białego Rioja. Zdawała się nie wiedzieć, o co chodzi, kiedy z lekko ściągniętymi brwiami obserwowała Rhiannon wyciągającą korek i nalewającą wino do trzech kieliszków. Po chwili namysłu delikatnie, jakby trochę nieśmiało wzięła do ręki butelkę i wyciągając szyję, od deski do deski przeczytała przez swe okulary w czarnej oprawce treść etykiety. Następnie, ostrożnie naśladowując ruchy koleżanek, podniosła kieliszek i upiła trochę, wyglądając na zaciekawioną i nawet mile zaskoczoną: a więc to jest wino!

Alun przyglądał się temu z pewnym zawodowym niesmakiem. Wiedział, że sam niekiedy nieco przeginał, ale w jego przypadku rzecz sprowadzała się do podtrzymywania dobrego nastroju i wynikała z animuszu, z dziecięcej potrzeby zabawy, podczas gdy stara Dot z całą powagą starała się stworzyć jakąś iluzję. Cóż, chyba jednak bez powodzenia, zwłaszcza na tym etapie życia i przed tą publicznością. Jej obecne zachowanie musiało się wywodzić z początków alkoholowo-artystycznej kariery, kiedy to mogła jeszcze udawać, że ledwo co wyprowadzano ją ze stanu absolutnej niewiedzy o alkoholu. Taki rodzaj zrytualizowanej wersji.

– Odwiedzimy grobowiec Brydana i złożmy mu hołd – zaproponowała Sophie.

– Kiedy ostatnio tam byłem, przypominał raczej mogiłę – odparł Charlie. – Mogli, oczywiście, zrobić tam mauzoleum. Albo kromlech, z uwagi na jego celtyckie korzenie.

– Dla mnie to grób i tyle – powiedział Alun.

Percy zwrócił się do Dorothy:

– Chciałabyś pójść, kochanie?

– Świetny pomysł. Minęło już chyba dwadzieścia lat, odkąd byłam tam po raz ostatni. Tylko dokończę.

– Obawiam się, że cmentarz zamykają o szóstej – zauważyła Rhiannon.

Sposób, w jaki to powiedziała, rozwiewał wszelkie wątpliwości co do spontaniczności propozycji Sophie. Aluna trawiła ciekawość, która z nich była tak naprawdę autorką tego pomysłu. Którakolwiek by to jednak była, nie zmieniało to faktu, że Dorothy została uziemiona, zagrożona oderwaniem od butelki, i to nie tylko na czas składania hołdu, ale i później. Bo przecież były jeszcze sklepy, które pozostaną otwarte do późna – och, do jak późna! – sklepy, o których wcześniej słyszała, że nie można przejść obok nich obojętnie. (Mężczyźni będą sobie wówczas w najlepsze siedzieli bezpiecznie w knajpie.) Przy odrobinie szczęścia oraz późniejszego zręcznego dowodzenia można nie dać jej okazji do spotkania z butelką przez najbliższe dwie godziny. Ale za to potem...

Kiedy towarzystwo zbierało się do wyjścia, przebaknięto coś o tym, co by było, gdyby zamiast na cmentarz udać się, na przykład, na parominutową przechadzkę, i wymieniono przy okazji kilka znaczących spojrzeń. Charlie chciał wiedzieć, czy Alun miał coś wspólnego z tym paskudnym projektem, Alun zaś usiłował dać do zrozumienia, że nie. Stojąc z boku, Percy obserwował sztywno, jak Dorothy jednym haustem dopija drinka, tylko dlatego, oczywiście, żeby nie kazać na siebie czekać. Sophie i Rhiannon nie dopiły. W spojrzeniu, jakie Rhiannon posłała Alunowi, było przyznanie się do współudziału, ale też w charakterze usprawiedliwienia udało jej się w nim zawrzeć tezę, iż wszelkie inne próby oderwania Dorothy od butelki skazane były na niepowodzenie. Z czym trudno się było nie zgodzić, zważywszy niezdarną i natrętną skwapliwość, z jaką Dorothy usiłowała wcisnąć gospodyni paczuszkę z podarunkiem w kształcie butelki wina, o której omal nie zapomniała, że w ostatniej chwili wrzuciła ją do walizki.

Na przekór okolicznościom letnie słońce oblewało promiennym blaskiem łagodne zbocze, na którym leżał cmentarz – ładny zakątek z troskliwie pielęgnowaną jaskrawą zielenią pomiędzy mogiłami, otwarty o tej porze roku, jak się okazało do siódmej. Grób Brydana znajdował się pod koniec rzędu nowszych mogił w południowo-wschodnim rogu. Nie różnił się niczym od sąsiednich: kamienny nagrobek ujęty w ramkę trawniczka obrzeżonego niskim kamiennym cokołem i trochę świeżych kwiatów w szklanym wazonie. Inskrypcja odznaczała się surową rzeczowością, jeśli nie liczyć pojedynczej linijki stosownego cytatu z utworu Brydana. Na pobliskich ścieżkach były tylko nieliczne ślady niepokojących je stóp, jakby rozeszła się wieść, że nie ma w tej części cmentarza niczego szczególnego do zobaczenia.

Cała szóstka stała w milczeniu, niemal tak, jakby naprawdę składała hołd. Jedynie Dorothy miała w sobie coś, co przywodziło na myśl odgrywanie filmowych scen. A przynajmniej taką nadzieję miał Alun, czując na sobie spojrzenie Charliego, kiedy z pochyloną głową usiłował skupić myśli na Brydanie, na którego zdarzyło mu się przy różnych okazjach natknąć osobiście, a raz nawet spędzić z nim sporą część wieczoru. Często porównywał charakter Brydana do cebuli: można w nim było odsłaniać kolejne warstwy, na przemian przerażającego gówna i całkiem przyzwoitego człowieczeństwa, by w końcu dotrzeć do serca. Cały kłopot w tym, że teraz akurat nie pamiętał i bez zaglądania do notatek absolutnie nie umiałby stwierdzić, z którą z tych warstw miało się do czynienia na końcu. Tego samego rodzaju problem dotyczył pisarstwa Brydana: czy była to pełna talentu szarlataneria, czy też głęboko ułomne dzieło geniuszu? A może oba przypuszczenia były całkowicie nietrafne?

We władczy sposób, dając pozostałym przykład, Dorothy obróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę cmentarnej bramy. Rhiannon i Sophie poszły za nią. Trochę z boku wznosił się niewielki pagórek zwany Kopcem Brydana, poprzednio i nieco mniej gustownie nazywany *twmp* albo hałda Brydana, chociaż rzadko spotykało się owe określenia poza przekazami drukowanymi. Poecie przypisywano przesiadywanie w kucki na tym pagórku i napawanie się widokiem miasta i zatoki, co było o tyle prawdopodobne, że z żadnego innego miejsca nie można było tego uczynić. Przesłankę wspierającą owo przypuszczenie stanowił fragment jednego z jego późniejszych wierszy, i w taki oto sposób celtyckie *twmp* zapewniło-sobie trwałe miejsce w leksykonie uczonych słów, jak również w przewodnikach.

Percy pożegnał zakątek przyjaznym machaniem ręką.

– Całkiem tu ładnie, nieprawdaż?

– Ktoś musiał tu stoczyć niezłą batalię – odparł Alun i dodał szybko: – Żeby nie dopuścić do przerobienia tego miejsca na atrakcję turystyczną. Chylę czoło przed tym kimś.

– O tak, oczywiście, teraz sobie przypominam, chodziłeś z Brydanem do szkoły, prawda?

– Cóż, są chyba tysiące ludzi, którzy mogliby...

– No, ale to przecież osobista więź. Musi ci dawać poczucie szczególnej bliskości, intymności, kiedy czytasz jego wiersze. Co, jak sędzę, pogłębia jeszcze poczucie pokrewieństwa, jako że sam jesteś poetą. Za coś takiego można tylko odczuwać głęboką wdzięczność wobec losu. Bo czyż nie jesteś świadom, i to przejmująco świadom, że masz szczególny wgląd w mentalność tego człowieka? W jego duszę?

– Nie wiem, może – odparł Alun, celowo nie patrząc na Charliego, który szedł z drugiej strony Percy’ego i wcale nie kwapił się, aby spojrzeć w bok.

– Ależ, Alunie, przestańże, na litość boską, mówić o sobie tak lekceważąco! – Żałobna powaga głosu oraz wyrazu twarzy Percy’ego stały się jeszcze bardziej wyraziste, co ocaliło go przed porwaniem z ziemi i przerzuceniem przez żywopłot, obok którego właśnie przechodzili. – To nie twoja zasługa, tylko cudowny przywilej.

– No tak, rozumiem.

– No bo spójrz prawdzie w oczy: w sensie artystycznym jesteś spadkobiercą Brydana. I to nie w żaden oczywisty, widoczny sposób, lecz... Niewątpliwie świadom jesteś przynajmniej tego, że macie ten sam rodowód, że wyrastacie z tych samych korzeni?

– Cóż, w krwi każdego Walijczyka z pewnością jest coś, czego nie sposób się wyprzeć, a co jednoczy go... – Alun starał się nie popaść w panikę, słysząc własny głos nieubłaganie dostrajający się do starych, wyćwiczonych tonów. Pozwolił mu zamrzeć na ustach.

Percy go nie przyciskał.

– Cóż, te sprawy zawsze będą takie, a nie inne – powiedział, nie uchylając się przed podjęciem obowiązku roztrząsania ogólnoludzkich z kolei dylematów. – Zobaczymy się później w pubie? Dobrze.

– A to sukinsyn – sapnął Alun, śledząc razem z Charliem wysokiego, siwowłosego Percy’ego zbiegającego ze wzgórza w pościgu za kobietami. – To znaczy, zakładam, że robił sobie jaja, prawda?

– Nie mam pojęcia.

– Na litość boską, Charlie, przecież musiał sobie robić jaja! Cudowny, cholera, przywilej! Całkiem nieźle mu poszło, nie ma co.

– I co z tego? Nie widuję go na tyle często, żeby to ocenić, ale jest mnóstwo ludzi, którzy gadają w ten sposób na poważnie albo na wpół poważnie, jak sam zresztą na pewno zauważyłeś. I to nie tylko w Walii.

– Co? To chyba nie bez związku z faktem, że jego żoną jest Dorothy. Coś takiego musi budzić drzemiące w człowieku prześmiewcze skłonności, nie sądzisz?

– Nie wiem.

– I czemu jest taki opalony? Wiem, że jest budowlańcem, ale to przecież nie musi oznaczać, że każdą chwilę spędza na budowie. I niemożliwe, żeby zdobył tę opaleniznę w Maroku, bo musiałby tam zabrać Dorothy, a gdyby ona tam była, na pewno byśmy już o tym usłyszeli. To kwarcówka. Ale dlaczego? – Alun dokończył kaznodziejskim tonem: – Na Boga, przyjaciele, dlaczego?

Charlie potrzęsła głową. Idąca przed nimi czwórka, z Percym najbliżej krawężnika, dotarła właśnie do ciągu sklepów. Chodziło przypuszczalnie o to, żeby zagrozić Dorothy drogę, w razie gdyby próbowała zboczyć do monopolowego. Percy dołączył do kobiet. Zapewne po to, aby temu zapobiec. Gdyby Dorothy przebiegła na drugą stronę ulicy, dzięki przewadze fizycznej oraz lepszej kondycji bez trudu by ją w porę dogonił. Coś powstrzymało jednak Aluna przed podzieleniem się tymi spostrzeżeniami z Charliem, który mówił właśnie:

– Zauważ, że to, co powiedział na koniec, nieważne, celowo czy też nie, było zbyt trafne, by mogło stanowić pocieszenie.

– No, ale...

– Nie wiem, co obecnie sądzisz o wierszach Brydana, i śmiem twierdzić, że ty także nie wiesz, i jestem przekonany, że z oburzeniem, a nawet ze smutkiem zaprzeczyłbyś tezie, jakobyś był jego spadkobiercą, ale to właśnie jego wpływ sprawia, że rzecz, którą mi dzisiaj pokazałeś, jest taka marna. Cóż, nie twierdzą, że nie jesteś w stanie stworzyć niczego marnego samodzielnie, ale rozumiesz chyba, co mam na myśli.

Alun nic nie odpowiedział.

– Nie wyraziłem tego wystarczająco dosadnie tam, w pubie, ale jeśli chcesz, aby *Pora zamykać* czy *Powrót do domu*, czy jaki tam nadałeś temu tytuł, aby miało to jakąkolwiek wartość, musisz wyrugować stamtąd wszelki ślad po Brydanie, żeby nie kojarzyło mi się z nim, choćby nieznaczenie, nawet jedno słowo. Bez względu na to, co o nim sądzisz, musisz pisać tak, jakbyś go serdecznie nienawidził i miał w pogardzie. Powiedziałaś, że chcesz znać moje szczere zdanie, więc teraz poznałeś je w całej rozciągłości.

Na to także Alun nic nie odpowiedział, ale tymczasem zdołali dogonić pozostałych, którzy zatrzymali się na chodniku, aby obejrzeć – Percy ze szczególną uwagą – wystawę sklepu papierniczego. Właściwie był to sklep o rozszerzonym asortymencie, bo oferowano w nim nie tylko artykuły i akcesoria piśmienne, ale również oprawne w ramki fotografie tutejszych okolic (zgadnijcie, z czym domkiem) i bibeloty na kominek, a wśród nich przedmioty rękodzieła artystycznego, kufle, popielnice, apaszki i serwetki, przeważnie z jakimś nadrukiem nawiązującym do Walii albo do samego Birdarthur.

– I co wy na to? – odezwał się Alun, gdy pozostałym, jak się zdawało, odebrało na ten widok mowę. – Czy ktoś chciałby coś kupić?

– Pomyśleliśmy, że może ty zechcesz – odparła z szelmowskim uśmiechem Dorothy.

– Ja? A cóż ja mógłbym chcieć kupić w takiej parszywej budzie jak ta?

– Och, różne rzeczy. – Dorothy przybrała lekko pobłaźliwy ton. – Co byś powiedział na ściereczkę, która byłaby ci wielce przydatna podczas nierzadkiego przecież zmywania?

Kiedy indziej Alun z pewnością zauważyłby w tych uwagach próby – nużące co prawda, lecz dalekie od złośliwości – sprowokowania go, zagrania łatwej do odbicia piłeczki, i przypuszczalnie by na nie odpowiedział. Tym razem jednak zmilczał, widząc wyczekujące spojrzenie Percy’ego, Rhiannon marzącą o gorącej kąpieli i odpoczynku, ledwo powłóczącą nogami Sophie, no i oczywiście Charliego. Zamierzał ruszyć dalej, ale zastąpiono mu drogę.

– Albo może ryzę papieru, bo zauważyłam, że coś tam stukasz.

– Powinnaś się napić – warknął niemal, i zaraz dodał: – Wszystkim nam by się przydało. Więc, na litość boską, ruszajmy stąd. No, dalej, jazda. – Potem odwrócił się do Percy’ego. – A ty, jeśli planowałeś zapytać, czy przypadkiem nie mam ochoty wpaść na chwilę do domku, żeby się zjednoczyć z cieniem mojego duchowego ojca, to radzę ci, abyś tego zaniechał.

W odpowiedzi rozległy się śmiechy, zdawkowe, acz wystarczające. Od Rhiannon Alun dostał ukradkowego, lecz bynajmniej nie symbolicznego szturchańca w okolicę łopatki, za to, że się rozgniewał. Przed wejściem do „White’a” Percy oświadczył, że pochodzi jeszcze trochę z dziewczynami, a potem dołączy do Aluna i Charliego.

– Kiedy już bezpiecznie wyprawi Dorothy do domu – skomentował Alun, przyniósłszy pierwsze dwa drinki na stolik. – To znaczy, do domku Daia.

– Gdzie jest tyle gorzały, że mógłby się na niej utrzymać krążownik – dodał Charlie. – A w każdym razie lekka kanonierka.

– To nie był mój pomysł, wiesz, ta cała ekspedycja kulturalna.

– Ale już po wszystkim, i nikomu nic się nie stało.

– Przyszło mi na myśl, że może czekają mnie baty za to, że wygnałem wszystkich na świeże powietrze.

Charlie spojrzał na niego przeciągle.

– Nie bądź śmieszny – powiedział.

Jak dotąd większość wieczoru upłynęła znośnie. Kiedy przyszło do zastanawiania się nad posiłkiem, dało się wyczuć, choć nie zostało to powiedziane wprost, że dobrze by było, gdyby Dorothy zachowywała się w miejscach publicznych z nieco większą powściągliwością – zamiast tego stwierdzono, że nie można pozwolić Rhiannon na jakiegokolwiek pichcenie, a zatem nici z pstrąga. Czy to wyczuwając szóstym zmysłem tę nie dopowiedzianą kwestię, czy też z powodu czystej nieporadności, Dorothy optowała za zamówieniem kolacji z dostawą do domu. Alun zgłosił zastrzeżenie, iż potrawy będą na pewno paskudne, ale jeśli się je spożyje na miejscu, zyska się przynajmniej okazję do zbesztania personelu. Przemknęli więc o zmierzchu obok baru „Brydan Burger” i wjechali na szczyt wzgórza. Cała szóstka swobodnie mieściła się w szwedzkiej limuzynie Percy’ego, w której unosił się dziwny, ale całkiem przyjemny zapach przywodzący na myśl fabrykę mikstury na kaszel.

Poniewczasie okazało się, że w wybranej przez nich restauracji odbywa się jakaś uroczysta kolacja z toastami i przemówieniami. Dorothy była przygaszona, nawet w połowie nie tak gadatliwa jak zwykle, co skłoniło Aluna do refleksji, że być może wcześniej potraktowali ją na tyle ostro, by teraz pozwolić sobie na zostawienie jej w spokoju. Posiłek okazał się przeciętnie paskudny, poniżej progu usprawiedliwiającego bezstanie obsługi. Zarówno Alun, jak i Charlie słynełi z refleksu przy chwytniu rachunku, tym razem jednak ubiegł ich Percy. Całą niemal drogę powrotną zajęła im – przynajmniej części z nich – sprzeczka o nazwę knajpy, z której właśnie wyszli. Pozostali – najpierw Rhiannon, a później Sophie i Charlie – zapadli w drzemkę albo pogrążyli się w milczeniu. Percy również mówił niewiele, prowadząc samochód szybko, ale w wielkim skupieniu. I nikomu jakoś nie chciało się podjąć dyskusji, kiedy Alun oświadczył, że kuchnia walijska niczym nie różni się od marnej kuchni angielskiej, a może po prostu od kuchni angielskiej.

To, o czym Dorothy rozprawiała później w pubie, mogło dotyczyć równie dobrze nowozelandzkiego systemu ulg podatkowych, jak i form czasu przyszłego w potocznej ruszczyźnie – nikt nie zdołał tego zapamiętać ani nawet nie usiłował. Cokolwiek to było, w mgnieniu oka nadrobiła stracony czas i osiągnęła punkt krytyczny w nie więcej niż kilka minut. Percy postawił ją na nogi, w czym sekundowała mu Sophie. Razem pokierowali Dorothy w stronę drzwi, co wcale nie było łatwe pośród tłumu opieszale reagujących wieśniaków.

– To naprawdę krzepiące – zauważył Charlie. – I jakie szykowne.

– Lepiej też z nimi pójdę, bo w przeciwnym razie Sophie nie zdoła się wyrwać – odparł Alun. – A poza tym będzie niezły ubaw.

– Naprawdę tak myślisz?

– Według mnie to niezwykle fascynujące. Ktoś, kto...

– Są gusta i guściki.

– Wracam za parę minut.

Alun założył, że trzeba najszybciej jak się da załadować Dorothy do limuzyny i odwieźć do miasta. Percy najwyraźniej przyjął podobne założenie, ale wyszło zupełnie inaczej. Dorothy najpierw uparła się, żeby pojechać po sweter, który zostawiła w domku Daia, a kiedy wreszcie udało się jej to wyperswadować, zapowiedziała, że nie ruszy się, dopóki nie powie gospodyni dobranoc, i chociaż ledwo stała na nogach, od tego akurat nie dało się jej odwieść. Skończyło się więc na tym, że zawlokła całą trójkę z powrotem do domku Daia Księgarza, odtrącając po drodze ich pomocne dłonie, ilekroć potykała się na nierównej i zupełnie nie oświetlonej „Ścieżce Brydana”. Księżyc ukrył się za wzgórzem.

Frontowy pokój był oświetlony, ale pusty, zaś na górze panowały ciemności. Najwyraźniej, jak to zresztą kilkakrotnie przewidywano głośno w ciągu ostatnich paru minut, Rhiannon poszła już spać. Ale, co zadziwiające wobec jej niedawnej determinacji, Dorothy jakoś wcale tego nie zauważyła. Z wyrazem zaaferowania na twarzy udała się do kuchni, wróciła stamtąd z butelką rieslinga Banat i jęła się rozglądać za korkociągiem, po czym znowu wyszła.

– Możecie już wracać do pubu – powiedział Percy. – Z następnym posunięciem dam sobie radę sam. Naprawdę nie musieliście fatygować się aż tutaj.

– Jesteś pewny, że sobie poradzisz?

– Ależ tak, jeszcze kieliszek lub dwa i powinna się uspokoić. Prosta sprawa.

– Wobec tego pójdę na jeszcze jednego szybkiego – stwierdził Alun. Nie miał wprawdzie wielkich nadziei na dobrą zabawę, ale przynajmniej mógł się jeszcze na trochę wyrwać. – Ta knajpiana szkocka jest dobra tylko wtedy, kiedy się nie ma innego wyboru.

– Zrób, jak uważasz.

Percy przesunął się z pochyloną głową wzdłuż półek z książkami. Raptem wydał pomruk zadowolenia, wyprostował się i wyjął książeczkę zatytułowaną – Alun widział to dokładnie – *Scaluj krew z moich rąk*. Otworzył ją i zaczął z uwagą czytać, usadowiwszy się w sfatygowanym fotelu i wydawszy kolejne pomruki ukontentowania. Kiedy ponownie zjawiała się Dorothy, która w potulnym milczeniu wręczyła mu wino i korkociąg, Percy rozłożył książkę płasko na poręczy fotela, by nie przerywać czytania w trakcie manipulacji z butelką. Dorothy usiadła na krześle obok stołu i zapatrzyła się w kieliszek. Jej milczenie nabrało cech błogiej zadumy.

Odczekawszy chwilę, Sophie zwróciła się do Aluna:

– Wiesz, myślę, że powinniśmy już iść do Charliego.

– Tak, tak, ruszajmy. – Alun był już teraz skłonny wyjść. Bo i po cóż miałby tu zostawać dłużej? – Hm, jesteś pewny, że dasz sobie radę?

– Tak, dzięki – odparł Percy, podnosząc wzrok i przewracając kartkę. – Miły wieczór. Do zobaczenia wkrótce. – Po chwili zawołał półgłosem: – Aha, Alun!

– Tak? – odezwał się Alun półgębkiem.

– Przemyśl... przemyśl to, co ci powiedziałem o Brydanie. I o twoim dziedzictwie.

– Zrobię to, nie ma obawy.

– Pamiętaj, żeby się tego trzymać, chłopcze. Dobranoc wam obojgu.

Ledwo razem z Sophie oddalili się pięć kroków od domku, Alun powiedział niezbyt głośno, lecz dobitnie:

– Ten facet to gówniarz. Cholerny głupiec i gówniarz. Gówniarz. Gówniarz.

– Co? O co chodzi? Co ci zrobił? Co powiedział?

– Przecież słyszałaś... Wcześniej też to mówił. Zresztą nieważne. To po prostu gówniarz.

– Ale co ci wcześniej powiedział?

– Och, na litość boską, nieważne. Nie chcę teraz do tego wracać – burknął i przyśpieszył gniewnie.

– A co takiego powiedział o Brydanie?

– Nieważne! Nie warto się w to zagłębiać.

Sophie pociągnęła go za rękaw, tak że musiał przystanąć.

– Nie warto się zagłębiać w nic, prawda? Nie ze mną? – Powiedziała to bardzo szybko i również gniewnie. – Uważasz mnie za jakąś cholerną idiotkę, czyż nie tak, Weaver? Zawsze uważałeś. Nawet nie zadasz sobie odrobiny trudu, żeby udawać. Jestem tylko kolejnym przystankiem na twojej stałej trasie. Jeszcze jedną zadowoloną klientką. Cóż, wielkie dzięki, kolego.

– Mów troszeczkę...

– Aja myślałam, że uważasz mnie za kogoś szczególnego. Co za cholerna głupota!

– Bardzo dobrze wiesz, że ja...

– Nie potrafisz zdobyć się nawet na to, żeby poświęcić mi w ciągu całego dnia choć odrobinę uwagi.

Kapryśność, zaczepność i manifestowanie temperamentu nie były, oczywiście, w przypadku starej Soaph niczym nowym, podobnie jak gwałtowność jej wybuchu. Tym, co nowe, było jej ostatnie stwierdzenie oraz słyszalne w głosie łzy. Nie musiał długo walczyć z sobą, by otoczyć ją wreszcie ramieniem.

– Ty głuptasie – szepnął czule.

Jeden krok pociąga za sobą następny. Niedaleko miejsca, w którym stali, pomiędzy „Ścieżką Brydana” a skrajem klifu, znajdował się niezmiernie pożyteczny, porośły trawą zakątek. Alun pamiętał go bardzo dobrze, tak dobrze, jakby to było wczoraj, ale za żadne skarby nie umiał sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zapoznał z nim Sophie. Prowadzić ją tam, a później udawać, że się je znalazło przypadkiem, wymagało zręczności i uwagi, chociaż w tej chwili było to chyba wybieganie za daleko w przeszłość.

- Co byś powiedziała na małe bara-bara?
- Nie wygłupiaj się.
- Od tygodni nie spadła tu kropla deszczu.
- Nie.

Sprawy przybrały ciekawy obrót, kiedy dotarło do nich z całkiem niedaleka głucho tąpnięcie czy łomot, z pewnością nie tak głośny jak u źródła, ale i tak wyraźnie słyszalny poprzez szum fal łagodnie bijących o brzeg u ich stóp. Hałas pochodził z rzędu domków, jakieś siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt jardów od miejsca, w którym stali w cieniu. Kiedy spojrzeli w tamtą stronę, w jednym z nich zapaliło się na piętrze światło – nie było wątpliwości, że to u Daia. Zerknąwszy na Sophie, Alun ruszył pośpiesznie z powrotem.

- Powinniśmy iść do... – zaczęła.
- Daj temu na razie spokój – przerwał jej niecierpliwie. – Chodźmy. Bóg jeden wie, co się tam stało.

Sophie wahała się przez chwilę, ale w końcu ruszyła za nim. Wrócili do domku. Odgadnięcie, co się tam wydarzyło, nie wymagało zbytnej przenikliwości: wyszedłszy z ubikacji, Dorothy spadła ze schodów, przewracając stojące obok drzwi krzesło z leżącymi na nim dwiema pustymi walizkami, co spotęgowało rumor. Nie doznała bynajmniej żadnych widocznych urazów ani też nie wyglądała na skonfundowaną tą przygodą – wręcz przeciwnie, robiła wrażenie orzeźwionej, wzmocnionej i skorej do stwierdzenia, że dobrze by jej zrobił drink.

Kiedy stało się jasne, że wszystko jest w porządku i że nic tam po nich, Sophie zwróciła się do Aluna:

– Naprawdę musimy już wracać do Charliego. Będzie się zastanawiał, co nas tak długo zatrzymuje.

Alun spojrział na zegarek.

– Wiesz co, jak się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że zanim tam dotrzemy, zrobi się tak późno, że cała ta wyprawa straci sens. Zostanie nam jakieś piętnaście minut, jeśli w ogóle.

– O której tu zamykają? – spytał Percy, który nie zainteresował się wcale, jakim cudem byli na tyle blisko, żeby usłyszeć hałas wielkiego upadku. – Na wsi obowiązują inne godziny, prawda? Wcześniejsze.

– Tak, chyba byśmy się minęli.

– On nie lubi ciemności – zauważyła Sophie. – A tutaj jest bardzo ciemno, zwłaszcza na tym ostatnim odcinku.

– Jeśli się spietra, może przecież zadzwonić, prawda? Nie rozumiem, co takiego...

– Nie może tutaj zadzwonić, najwyżej do sąsiadów – wtrąciła Rhiannon. Przez cały czas tam była, w kąpielowym szlafroku i robionych na drutach bamboszach. – A nie zna ich numeru.

– Na litość boską, przecież to zaledwie parę jardów, a poza tym muszą tam być jacyś ludzie...

Dorothy również wszystko słyszała i coś z tego musiało do niej dotrzeć.

– Przejdę się z tobą – oświadczyła, wychylając do dna kieliszek. – Łyk świeżego powietrza dobrze mi zrobi. Prawda, że tutaj robi się dość duszno? Kiedy dopisuje pogoda.

– A co z tym sąsiadem? – zainteresował się Percy, rzuciwszy swojej książce tęskne spojrzenie. – Jeśli to prawdziwy bliźni, mógłbym pójść i zadzwonić od niego do pubu.

Kiedy Rhiannon dała mu wskazówki, wyszedł za Dorothy i Sophie.

– Ten facet mnie w ogóle nie obchodzi – stwierdził Alun.
– To paskudne, jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę. Wredne. Cóż, najpierw musieliśmy ją wyprowadzić z pubu, później nie chciała wsiąść do samochodu, dopóki się z tobą nie pożegna, więc trzeba ją było tu sprowadzić. Potem, kiedy Sophie i ja byliśmy właśnie w drodze do Charliego, usłyszeliśmy huk i zobaczyliśmy światło na górze, więc popędziliśmy z powrotem.

Brzmiało to nad wyraz okropnie i Alun jął się zastanawiać, czy wszystko, co zawsze mówił, gdy miał coś do ukrycia, brzmiało równie nędznie. Mrucząc pod nosem bez przekonania, że następny na pewno go nie zabije, nalał sobie drinka, na którego wcale nie miał ochoty. Zobaczył, że Rhiannon, siedząca teraz na krześle zajmowanym przedtem przez Dorothy, z wyrazem skupienia na twarzy obraca w palcach jakiś drobiazg, może saszetkę z jednorazową porcją szamponu.

– Czemu się rozmyśliłeś? – zapytała.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie powrotu do Charliego.

– Och, po prostu wcześniej nie zauważyłem, która godzina. Wszystko się trochę poplątało. Skoczę na górę zrobić siusiu.

Będąc na górze, pomyślał o sprawach, o których nie mógł jej powiedzieć, rozmaitych sprawach, spośród których większość była prawdziwa, większość była już wiadoma, ale nadal nie do wyrażenia słowami. Miał okazję udać troskę o Charliego i wyjść z Sophie i Dorothy, ale wówczas w oczach Rhiannon wyglądałoby to na ucieczkę. Do cholery z tym wszystkim, pomyślał ze znużeniem. Potężne ziewnięcie omal nie wyłamało mu szczęki. Otarł oczy papierem toaletowym i zszedł na dół.

Dobrze wiedział, że Rhiannon nie mogła tutaj wytrzeć nosa, nie mówiąc już o pójściu dokądkolwiek, tak żeby nie było tego słychać w całym domu – mimo to czuł się niemile zaskoczony, kiedy zastał ją siedzącą na tym samym miejscu. Naraz przyszło mu coś do głowy, usiadł więc na krześle, na którym zasiadał rano, gdy pisał na maszynie.

– Zdumiewające, że Dorothy była w stanie nadążyć za tokiem rozmowy, zważywszy, ile w siebie wlała. W samej tylko restauracji musiała wypić...

– Hm, pewnie już wcześniej słyszała o tym, że Charlie boi się ciemności. Zresztą podobnie jak większość jego starych przyjaciół, nie wyłączając ciebie.

– A czemu to nie wyłączając mnie w szczególności?

– Bo ty zdajesz się nic sobie z tego nie robić. Popatrz na Percygo: poszedł zadzwonić, bez gadania, bez pytania, a przecież w porównaniu z tobą prawie Charliego nie zna.

– Ja naprawdę nie rozumiem, o co tyle zamieszania. Dobry Boże, skoro tak bardzo boi się ciemności, to przecież tam, gdzie jeżdżą samochody, ulice są jasno oświetlone, a i dalej nie jest wcale tak zupełnie ciemno. W końcu to tylko jakieś dwieście jardów. Nawet mniej.

– To całkiem sporo dla kogoś, kto się boi. Przypomnij sobie, co czułeś, kiedy byłeś małym chłopcem.

– Co? Przecież on jest dorosłym facetem. Z moich obserwacji wynika, że stary Charlie nieźle wychodzi na tym, że się boi tego lub owego. Jeździ się po niego, odwozi, przywozi, chucha na niego i dmucha, gdziekolwiek raczy się pojawić.

– Możliwe, że masz rację, nie pomyślałam o tym. – Rhiannon włożyła saszetkę do kieszeni szlafroka. – Pokazałeś mu to, co piszesz?

– Tak. Powiedział, że rzecz wymaga solidnych poprawek, co, jeśli pamiętasz, tylko potwierdza moją własną opinię.

– Tak – odparła. – To dobrze. Zrobię herbatę.

– Cudownie, bardzo chętnie się napiję.

Alun chwycił swoją whisky, mówiąc sobie, że mimo wszystko potrzeba mu tego, i spróbował się odprężyć, ale nie dane mu było strawić na tym wiele czasu, bo już po chwili zza okna zaczęły dobiegać zbliżające się głosy. Przez chwilę sądził, że należą do nieznajomych, ale niebawem rozpoznał głos Sophie, później Dorothy, chociaż nigdy wcześniej nie słyszał u żadnej z nich takiego tonu. Był jeszcze trzeci głos, jakieś piskliwe wycie czy zawodzenie o zmiennym natężeniu. Kiedy Alun uświadomił sobie, że to musi być Charlie, wyprostował się na krześle, nieźle przestraszony. Z kuchni przybiegła Rhiannon, otworzyła drzwi i stanęła w progu. Alun wstał i czekał.

Twarz Charliego miała dziwny kolor, jakby ktoś z natury rumiany nagle bardzo zbladł. W oczach miał panikę, a do ust z całych sił przyciskał obiema dłońmi brudną chusteczkę, przez którą i tak chwilami słychać było głośne zawodzenie. Sophie i Dorothy podprowadziły go do fotela, przemawiając do niego uspokajająco, Rhiannon uklękła obok i głaskała go po łysej głowie. Kiedy zdawał się już jako tako wyciszony, Sophie popędziła na górę, wróciła z pudełkiem pigułek i dała mu jedną. Alun stał z boku i sprawiał wrażenie gotowego na wszystko – w granicach zdrowego rozsądku. Dorothy, której słowa otuchy znacznie przewyższały produkcje innych, tak pod względem obfitości, jak i pomysłowości, w sytuacjach wymagających odpowiedzialności i współczucia najwyraźniej czuła się jak ryba w wodzie. Przynajmniej tak ocenił to Alun. Usiłował również ocenić, ile z tego wszystkiego będzie pamiętała następnego ranka. Niezmiernie jednak trudno było mu odpędzić natrętną myśl, że bez względu na to, co to było i jak do tego doszło, to właśnie on, Alun, mógł się uważać za sprawcę tego, przez co teraz przechodził Charlie.

Od czasu do czasu Charlie odrywał od ust chusteczkę i lamentującym tonem wyrzucał z siebie jedno czy dwa słowa, po czym szybko przykładał ją z powrotem. Parokrotnie mówił, że mu przykro, że dwa razy, że mu się wydawało, że wszystko z nim w porządku albo że da sobie radę, i raz, żeby wezwać Victora. To ostatnie zdanie padło właśnie wtedy, kiedy wrócił Percy, informując, że nie dodzwonił się do pubu. Nie miał nawet czasu, żeby zorientować się w sytuacji, bo Sophie odesłała go tam, skąd przyszedł, z instrukcją, żeby zatelefonował do „Glendower”.

Później przez jakieś pół godziny nie wydarzyło się nic zaskakującego ani brzemienne w skutki. Percy niebawem wrócił i oznajmił, że Victor jest już w drodze. Charlie miał jeszcze dwa lub trzy ataki, ale tym razem dużo łagodniejsze i cichsze. Siedząca obok niego na podłodze Dorothy zapadła z pochyloną na piersi głową w drzemkę albo stupor. Z relacji Sophie dowiedzieli się, że kiedy go znalazły, Charlie siedział skulony w załomie muru na skraju placu, na którym stały samochody, i najwyraźniej niezdolny był się ruszyć. Rhiannon krzątała się po pokoju i rozdawała filiżanki herbaty, nie patrząc na stojącego wciąż w tym samym miejscu Aluna – ani kiedy do niego podeszła, ani w żadnym innym momencie.

Wreszcie przyjechał Victor. Miał na sobie ciemną marynarkę i spodnie oraz czarne prążkowane polo, a z jego gładko wygolonej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Nie rozglądając się na boki, przemierzył pokój i wziął Charliego w ramiona. Potem wyprostował się i wyprosił z pokoju wszystkich z wyjątkiem Sophie, wyjmując jednocześnie z kieszeni marynarki skórzany lub plastikowy pojemnik wielkości etui na okulary.

W kuchni, dokąd pośpiesznie przeszli, Percy zaproponował Dorothy, żeby dłużej nie przeszkadzać i wymknąć się tylnymi drzwiami, a kiedy zaprotestowała, skwapliwie dobył z kieszeni *Szaluj krew z mych rąk* i usadowił się tuż pod snopem światła padającego z sufitu. Teraz dopiero Rhiannon rzuciła Alunowi spojrzenie, tylko jedno i przelotne, mówiące jedynie to, co już sam wiedział, a które mimo wszystko sprawiło, że nagle zabrakło mu tchu. Zrozumiał, że cokolwiek teraz powie czy zrobi, nie zdoła wpłynąć na to, by zmieniła zdanie. Ułożywszy w zlewie stos filiżanek, wyszła spokojnie z kuchni, zostawiając za sobą, jakby zapraszająco, ale raczej chyba tylko dlatego, że miała taki nawyk, na wpół otwarte drzwi. Alun uznał, że lepiej będzie, jak za nią pójdzie. Nadal nie przychodziło mu do głowy nic sensownego, ale wcześniej czy później będzie przecież musiał się odezwać.

Powietrze na zewnątrz było nieruchome i zdawało się mieć dokładnie tę samą temperaturę co w kuchni. Księżyc wyszedł zza wzgórza i oświetlił miejsca, których nie ocieniały młode drzewka i rozkrzewione zarośla. Tam właśnie Alun spodziewał się ujrzeć Rhiannon. Zrobił kilka niepewnych kroków po ścieżce prowadzącej w głąb ogrodu, w gąszcz chwastów i wybujałych traw, w stronę niskiego ogrodzenia, za którym zbocze zaczynało się wznosić tak stromo, że nie było po co tam chodzić bez naprawdę ważnego powodu. Nie słyszał wokół siebie żadnego ruchu. Dreptał właśnie po wąskiej ścieżynie obok domku, kiedy o brzeg gdzieś w dole rozbiła się większa niż zwykle fala. W tej samej chwili uświadomił sobie, że nie słychać już głosu Charliego, a w każdym razie nie słychać go przez ścianę i przez frontowe drzwi. Zbliżył się do miejsca, skąd jak na dłoni widać było „Ścieżkę Brydana” – nadal nikogo. Zawahawszy się przez chwilę, nacisnął cichutko klamkę i wszedł do środka.

Victor i Sophie, którzy rozmawiali przyciszonym głosem, przerwali i spojrzeli na niego wyczekująco. Charlie siedział rozwalony pomiędzy nimi i najwyraźniej spał.

– Można wejść? – spytał Alun.

Żadne z nich się nie odezwało, ale Victor skinął głową.

– Chyba się uspokoił, prawda? – Alun podszedł trochę bliżej. – Co mu... jak mu pomogliście?

– To się nazywa largactil – odparł Victor swym dźwięcznym głosem, świdrując Aluna przenikliwym wzrokiem. – Silny środek uspokajający. Wstrzykiwany domięśniowo.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. Można się tego nauczyć w dwie minuty.

Umówiliśmy się z Charliem, że ja będę to przechowywał. Obawiał się, że gdyby miał to przy sobie, mógłby po pijanemu próbować sam sobie wstrzykiwać. Całkiem rozsądnie z jego strony.

Alun miał na tyle oleju w głowie, żeby nie pytać, czemu przechowywanie tego specyfiku nie zostało powierzone Sophie.

– Co mu było?

– Nie zwariował, jeśli o to ci chodzi. To był atak depersonalizacji. Panika – wynikająca z tego, że jest się pozbawionym możliwości uzyskania natychmiastowej pomocy – która w końcu zaczyna się sama napędzać, tak jak w tym przypadku. Dość przerażające, jak sobie wyobrażam. No, ale my nie musimy sobie tego wyobrażać, prawda?

– Czy teraz już nic mu nie będzie?

Victor wstał nagle.

– Nie. Dziękuję. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Czuję się poniekąd odpowiedzialny...

– Tak – odparł Victor miękko. – Uhm. Wiedział pan, że Charlie nie lubi przebywać sam po zapadnięciu zmroku.

– Czy to pytanie? Nie, nie za dobrze, nie. – A to pedał, zatrząś się w środku Alun. Ciota. Fagot jeden. – To znaczy, nie wiedziałem zbyt dokładnie. – Figo-fago!

– Ale troszeczkę? Z tego, co... – Victor nieznacznym ruchem głowy zasygnalizował, że ma na myśli Sophie. Nie wyczuwało się w tym aluzji do jej związku z Alunem.

Przekonany, że wszyscy czekają, żeby dokończył, Alun powiedział:

– Przyznaję, wiedziałem wystarczająco dużo. Dość, aby móc przypuszczać, że napędzę mu niezłego stracha, gdy zostawię go, żeby wracał tu sam po ciemku. Zrobiłem to celowo, bo chciałem się zemścić. Byłem na niego wkurzony, bo powiedział, że to, co ostatnio napisałem, jest nic nie warte, ściągnięte od Brydana. Co on sobie wyobraża, pomyślałem. Chciałem go ukarać za...

Przerwał, bowiem nikt z obecnych najwyraźniej nie zwracał na niego uwagi.

Victor odwrócił głowę i z przesadną słodyczą w głosie powiedział:

– Ależ tak, oczywiście, jak najbardziej, naprawdę to doceniam. A teraz proponuję, żebyśmy wzięli się do dzieła.

Pierwszym dziełem, do jakiego przystąpiono, było pozbycie się Dorothy i Percy'ego, którym serdecznie, acz zwięźle podziękowano i wyprawiono w drogę, co nie przydarzało się im chyba zbyt często. Potem Victor oznajmił, że Sophie poprowadzi samochód Norrisów, a on pojedzie na tylnym siedzeniu z Charliem – który notabene przez cały czas siedział sobie najzupełniej spokojnie w fotelu – a później zajmie się sprowadzeniem swojego samochodu. Już przy drzwiach wyjściowych, w obecności Rhiannon, odezwał się nieco mniej gładko niż dotąd:

– Panie Weaver, poznaliśmy się, jak pan zapewne pamięta, w restauracji, która należy do mojego brata i do mnie. Niepokoiłem się, że nie ugościłem pana wówczas wystarczająco dobrze, i miałem wielką nadzieję, że uda mi się to kiedyś naprawić. Obawiam się jednak, że przy naszych obecnych kłopotach z zaopatrzeniem i obsługą, a zapewne słyszał pan również, że mamy problemy z rozruchem naszego nowego pieca... cóż, to wszystko sprawia, że na razie nie polecałbym panu zaglądania w nasze skromne progi aż do odwołania. Po prostu nie będziemy mogli panu służyć tym wszystkim, do czego pan przywykł w Londynie. Jestem przekonany, że pan to rozumie. *Nos da.*

– To najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem – powiedział Alun minutę później. – Wiem, że to niczego nie zmienia, ale bardzo bym chciał, żebyś uwierzyła, że zdaję sobie z tego sprawę.

– Och, wcale nie jestem tego taka pewna – odrzekła Rhiannon. – Czy mógłbyś dziś spać w pokoju gościnnym, jako że będzie wolny? Łóżko tu na dole jest bardzo wąskie, a chciałabym się wyspać.

Po upływie kolejnej minuty Alun podszedł do stolika, na którym wciąż stała maszyna do pisania i leżały jego papiery, i idiotycznie usiłując zrobić to od niechcienia, wyciągnął z koperty *Powrót do domu*, by przedrzeć go na pół. Przyszło mu jednak na myśl, że dobrze by było sprezentować parę stron kolejnemu niewypłacalnemu draniowi, który się do niego zgłosił z prośbą o tekst do jakiejś studenckiej gazety, albo ofiarować je na aukcję na cele dobroczynne, albo coś w tym guście. Nigdy nie wiadomo, na co się jeszcze mogą przydać. Oszczędziwszy własne dzieło, nie znajdował powodu do kontynuowania planów destrukcji, których ofiarą w dalszej kolejności miała paść fotografia Daia i Brydana, nie będąca wszak oryginałem. Nie zdobył się też w końcu, jak uprzednio zamierzał, na wepchnięcie swego egzemplarza *Wierszy zebranych* pomiędzy książki na półce, żeby go więcej nie oglądać. Najprawdopodobniej będzie musiał do niego zajrzeć przy najbliższej okazji, kiedy zasiądzie do pisania lub przygotowywania przemówienia, lub czegokolwiek, co pozostaje w jakimkolwiek cholernym związku z mistrzem. Zawsze mógł, oczywiście, przestać to robić. Ale, oczywiście, nie był w stanie.

ROZDZIAŁ VIII

Charlie

– Jeśli chodzi o mnie, to rzecz sprowadza się do tego... – rzekł Garth. – Różowy gin. Dzięki, Arnold. A więc: czy ktoś trzyma stronę Walii, czy też nie. Proste jak drut.

– Za pozwoleniem, Garth, obawiam się, że nie jest to aż takie proste – odparł Malcolm. – Człowiek może trzymać stronę Walii w taki sposób, że przewrotnie działa na jej niekorzyść, i przykro mi to mówić, ale w taki właśnie sposób robi to moim zdaniem Alun. On...

– Przepraszam, że przerwę – wtrącił się krępy mężczyzna z bujnym wąsem, o tureckich albo asyryjskich rysach, jakie czasem spotyka się u Walińczyków. Był rachmistrzem z Newcastle Emlyn i gościem starego Arnolda Spurlinga. – Czy nie uczył pan kiedyś angielskiego w szkole imienia Świętej Elżbiety? Przed laty?

– Nie – odparł Malcolm takim tonem, jakby wzięto go za emerytowanego dyrektora szkoły o jeden raz za dużo. – Absolutnie nie.

– Przepraszam za pomyłkę – rzekł gość Arnolda, a z jego głosu i wyrazu twarzy można było wnosić, iż wcale nie jest przekonany, że się pomylił.

Malcolm kontynuował z ożywieniem:

– Napisać w żartobliwym tonie artykuł do gazety na temat *eisteddfod*¹⁴ to jedno, a sportretować jego uczestników jako niepoważne figury to coś zupełnie innego.

– Zgadzam się – odparł Garth. – Absolutnie się zgadzam.

– Kiedy się ten... ten artykuł ukazał? – spytał gość Arnolda.

– Parę tygodni temu, może więcej. To był jeden z tych...

¹⁴ *Eisteddfod*, – walijski konkurs poezji i śpiewu (przyp. tłum.).

– Bo według mnie *eisteddfod* to okazja dla starych przyjaciół, aby się spotkać i wymienić wieści i plotki. – Ciemne, przenikliwe oczy gościa Arnolda prześlizgnęły się po zgromadzonych w poszukiwaniu wsparcia dla tej oczywistej prawdy. – Nie uczestniczyłem w czymś takim już od nie wiem jak dawna, ale kiedyś robiłem to regularnie i ciągle natykałem się na ludzi, których nie widziałem co najmniej od poprzedniego roku. A może miał pan na myśli międzynarodowy *eisteddfod*?

– Nie – odpowiedział Malcolm jeszcze bardziej szorstko. Sprawiał wrażenie zdeorientowanego.

– Tony Bainbridge. – Nie wstając, mężczyzna wyciągnął rękę. – Chyba się jeszcze nie przedstawiłem.

Malcolm powiedział swoje nazwisko bez zbytej skwapliwości, zwłaszcza kiedy je musiał powtórzyć.

– Aha – rzekł Tony Bainbridge, mrużąc oczy. – Hm.

Jeszcze słowo i byłby Malcolma aresztował, na co niemal miał nadzieję, siedzący z drugiej strony Gartha Charlie. Kłopot z Malcolmem polegał na tym, iż spodziewał się, że nie tylko on sam śledzi tok rozmowy, lecz że inni robią to samo. Nie brał poprawki na ich znudzenie, niezrównoważenie, głuchotę, tępotę czy stan upojenia alkoholowego, do którego doprowadzali się w jego obecności, a czego nigdy nie był świadom. Było tak i tym razem; Charlie przyglądał się, jak Malcolm rzuca ukradkowe oceniające spojrzenie na kieliszek Bainbridge'a, a później pełne zastanowienia na swój. I to po sześćdziesięciu paru latach spędzonych w Walii, czy może po prostu na Ziemi.

Zanim cisza stała się zbyt ciężka, znów pojawił się Arnold Spurling z sześcioma drinkami na tacy. Ten szósty przeznaczony był dla Petera, który od przyjścia nie odezwał się jeszcze ani razu, chociaż parokrotnie prychnął, kiedy poruszono temat *eisteddfod*. Od otwarcia „Biblii” nie upłynęło jeszcze wiele czasu, ale ponieważ chmury wisiały nisko i lało jak z cebra, miało się wrażenie, że nadciąga już zmierzch. Nieważne, że według kalendarza wciąż było lato – tutaj pogoda nigdy się do kalendarza nie stosowała.

Charliemu również nie przychodziło do głowy nic godnego powiedzenia. Jego dzisiejsze wyjście z domu bez osoby towarzyszącej było zaledwie drugie w ciągu dwóch tygodni, jakie minęły od powrotu z Birdarthur. Przez ponad połowę tego okresu domem tym było „Glendower”: rozkładana kanapa w mieszkaniu na zapleczu i bezpośrednia bliskość Victora. Wydarzenia tamtego wieczoru rysowały się dość mgliście w jego pamięci, ale jednego był pewien: że Sophie nie było obok niego, kiedy jej potrzebował. Ale pamiętał też, że sam źle ocenił swoje możliwości, sądząc, że da sobie radę bez niej, dlatego też nie żywił do niej urazy. Niemniej jednak odbudowa jego zaufania do żony będzie musiała trochę potrwać. Zastanawiał się czasem, jak długo.

– Słyszałem – zagadnął Garth, zniżając głos – słyszałem, że miałaś jakieś kłopoty w Birdarthur.

– Och, tylko drobny napad zawrotów głowy. Nic poważnego, jak mówi Dewi. – Dewi już nieraz mówił, że przypadek Charliego nie jest bynajmniej wyjątkowy i że na dobrą sprawę nie ma się czym przejmować. – Muszę się tylko przez jakiś czas oszczędzać. – Miało to usprawiedliwić rzadkie wychodzenie z domu.

– Przepisał ci coś?

Na co trzeba by się przez dłuższy czas uskarżać, żeby Dewi uznał, iż zachodzi konieczność przepisania czegoś, byłoby całkiem trafnym pytaniem – to nie Dewi, lecz pewien anonimowy znajomy Victora spełnił kiedyś rolę dostawcy largactilu i strzykawki. Nie to co za czasów starego Griffa, który ponoć nafaszerował połowę dzieciaków w Dolnym Glamorgan opium – w zbożnym celu ukojenia dolegliwości ich górnych dróg oddechowych podczas mroźnej zimy. Ale w końcu Griff należał do wymarłego już gatunku lekarzy, którzy uważali, że do ich obowiązków należy dążenie do poprawy samopoczucia pacjentów.

Garth przerwał te rozważania w stylu Petera, pytając:

- Czy zaproponował ci coś w związku z twoją nadwagą?
- Masz na myśli Dewiego? Nie, nic a nic. Czytałem...
- No, ale chyba będziesz usiłował coś z tym zrobić?
- Z czym?

– Coś takiego, taki atak zawrotów głowy czy jak tam to nazwiesz, to przecież ostrzeżenie. Głos natury. Memento. Przypomnienie, że nie można bez końca trzymać się starych przyzwyczajęń. Czy wiedziałeś, że siedmioletnia¹⁵ zaledwie nadwaga w znacznym stopniu skraca długość życia? Tylko siedem funtów. Siedem funtów wagi ciała. Mój metabolizm... mam szczęście... twój metabolizm... twój pech... biedny Roger Andrews... tłuszcz... cukier... sól...

¹⁵ Funt ang. = 0,454 kg (przyp. tłum.).

Większość ludzi uważała kazania Gartha za nudne albo wręcz obraźliwe – ale nie Charlie. To tylko część, mało ważna część wielkiej budowli. Życie było w pierwszej kolejności nudą, a w dalszej jeszcze większą nudą, o ile tylko układało się zgodnie z oczekiwaniami. Charlie czynił te oraz inne spostrzeżenia, podczas gdy Garth niestrudzenie kontynuował gdakanie. Pogrążony w dość wygodnym stanie połowicznej uwagi, Charlie poddał się działaniu whisky, kontemplując bankową pewność następnych paru godzin: najpierw jeszcze kilka drinków tutaj; potem bezpieczna podróż do „Glendower” pod opieką Petera, który orientował się w sytuacji; wreszcie Victor odwiezie go do domu, zapewniając, że Sophie nie zostawi go samego. Jako że sprawy nie zdradzały oznak pogarszania się, Peter również zdawał się poddawać ich biegowi. Garth zagłębił się w autobiograficzne szczegóły, a pozostała trójka wałkowała jakiś walijski temat.

I tak leniwie płynął im czas aż do chwili, kiedy zjawił się Alun. On również, jak Charlie sobie przypominał – albo raczej jak Victor raz czy dwa dał mu do zrozumienia – nie sprostął wówczas w Birdarthur jego oczekiwaniom. Cóż, nikt przy zdrowych zmysłach nie polegał na Alunie w niczym choćby trochę ważniejszym niż wskazanie drogi do ubikacji.

Alun prześliznął wzrokiem po nieznanym, po czym spojrzał na niego uważniej. Charlie z łagodnym obrzydzeniem obserwował, jak górna warga Tony'ego Bainbridge'a unosi się w szerokim uśmiechu, dociskając wąsy do nosa, a oczy znowu się zwięzają.

– Cześć, Alun – powiedział Bainbridge z uniesioną brodą i okropnie spokojną pewnością siebie.

Odliczywszy do trzech, Alun wykonał w zwolnionym tempie serię równie okropnych i nader widowiskowych min w stylu Grand Guignol: począwszy od graniczącego z lękiem niedowierzania, poprzez oznaki przypomnienia aż po radosne, Bogu niech będą dzięki, rozpoznanie, okraszone podwójnym uściskiem dłoni.

– Coś ty, do cholery, za jeden? – rzucił, ale dla wszystkich było jasne, że już Tony'ego zidentyfikował i gdyby dać mu chwilę do namysłu, podałby również nazwisko. – Ile to już? Trzydzieści lat?

– Och, nie aż tyle. Raczej piętnaście.

– Aha. Powiedz, gdzie teraz stacjonujesz?

Tony Bainbridge odpowiedział, dodał co nieco i uzyskał w zamian informację na ten sam temat. Pozostali siedzieli w milczeniu, kręcąc się ostrożnie na krzesłach, zupełnie jakby to wszystko było nagrywane.

– Miałeś... zaraz, niech sobie przypomnę, zdaje się, dwie dziewczynki?

– Trafione. – Alun skinął głową z uznaniem. – Jedna już zamężna, a druga w Oksfordzie.

– Oksford! No, proszę! Ależ ten czas leci.

– Obawiam się, że nie umiałbym...

– A więc masz córkę w Oksfordzie. Ja nie mam. Nie mam nikogo. Czego się napijesz?

– Nie, ja stawiam.

W tym momencie otwarły się drzwi i do sali wkroczył Tarc Jones, ubrany w ciężki rozpinany sweter, którego, jak wszystkim było wiadomo, nigdy nie zdejmował. W ręce trzymał zadrukowaną zielonym tuszem kartkę papieru, najwyraźniej jakieś pismo urzędowe. Rzucił ją na blat stolika, wokół którego siedzieli, tuż przed nosem Petera. W ciszy, jaka zapadła, potoczył oskarżycielskim spojrzeniem od twarzy do twarzy.

– A więc to tak, to w takie bagno zamienia się nasza demokracja – rzekł z goryczą, z naciskiem akcentując odpowiednie wyrazy. – Czy którykolwiek z was wie, co dotarło do mnie za pośrednictwem poczty Jej Królewskiej Wysokości?

Najwyraźniej żaden z nich nie wiedział. Garth mrugnął do Tony’ego Bainbridge’a, by dać mu do zrozumienia, że to nie od niego oczekiwano wyjaśnienia tej kwestii.

– Przedsiębiorstwo Wodno-Kanalizacyjne Dolnego Glamorgan – ciągnął Tarc równie jak wcześniej nieśpiesznie – zwraca się z prośbą o dostarczenie w ciągu dwudziestu ośmiu dni (decyduje data stempla pocztowego) informacji, ile pomieszczeń w niniejszej posesji wyposażonych jest w urządzenia wodne, jakie to są urządzenia, jakie jest ich wykorzystanie oraz przeciętne dzienne zużycie wody (w galonach). Dla urządzeń na zewnątrz budynku – patrz na odwrocie. Przeciętne! Tutaj z radością i wdzięcznością dostrzegam szczytę zdrowego rozsądku. Mogli przecież zażądać pomiarów z dokładnością do trzeciego miejsca po przecinku. Ale nie. Zrezygnowali z tego. Wystarczy im pomiar przybliżony. Co do ćwierci kwarty.

Jego słuchacze, nie wyłączając Aluna, zdawali się tym przedstawieniem kompletnie zdegowani. Nie padło ani jedno słowo, kiedy Tarc rzucił spojrzenie na prawo i lewo, po czym zbliżył się jeszcze bardziej do stolika.

– Władza – powiedział szeptem, który zabrzmiał jak pomruk pумы. – Oto, w czym rzecz. Jakiś drobny urzędniczyna zachłystuje się władzą, produkując te świstki i zarzucając nimi całą okolicę, aby napędzić nam wszystkim stracha. Pytam więc was: jak ja mam na to zareagować? Co mam robić?

Alun obrócił się w krześle i spojrzał na niego.

– Co masz robić? Jeśli naprawdę nie wiesz, co robić, to niech Bóg ma cię w swojej opiece. Ale powiem ci, czego masz nie robić, żebyś na przyszłość wiedział chociaż tyle, zgoda? Masz się nie zachowywać tak, jakby cię zawiadomili, że przyjdą cię zabrać do komory gazowej, i masz nie wygłaszać przez pół godziny kabaretowych monologów, zamiast zanudzać nas na śmierć cenami wody, tak jak to robią wszyscy porządni knajpiarze. Tego właśnie masz nie robić, rozumiesz?

Odpowiedź ra wyrażnie Tarca rozwścieczyła. Gwałtownym ruchem porwał ze stolika swoją kartkę i zaczął zasypywać Aluna pytaniami. Jak śmiał? Co miał na myśli? Co sobie wyobraża? Z kim mu się wydaje, że rozmawia? I chyba wcale nie był ciekaw odpowiedzi. Podczas tego monologu, a także później, zawzięcie, niemal obsesyjnie, usiłował środkowym palcem wydłubać z kącika oka jakiś oporny paproch.

– Nie muszę wysłuchiwać tutaj od nikogo takich obelg – zawołał w przyпыływie pewności siebie. – A już najmniej od jakiegoś drugorzędnego, podrabianego Brydana.

Później Charlie często się zastanawiał, w jakim stopniu Tarc był świadom sensu tej uwagi. Alun wysłuchał go z uśmiechem i dokończył:

– A gdybyś chciał wiedzieć, z kim mi się wydaje, że rozmawiam, to ci powiem: bynajmniej nie z żalonym idiotą, lecz z tym typem idioty, który jest przyczyną upadku Walii. – Charlie już wcześniej słyszał, jak Alun określał tym mianem dwa lub trzy typy ludzi. – Zamienia ją w coś w rodzaju balu przebierańców, zabawy, miejsca słynącego z porów i chleba z suszonych wodorostów, z kaplic i cudownych staruszków, którzy przemawiają dziwacznym, niezwykle barwnym i często zdumiewająco uczonym językiem. Turyści czasami...

– On sobie stroi z ciebie żarty – wtrącił Garth. – Nie zwracaj na niego uwagi. Swoiste poczucie humoru.

Tarc puścił to mimo uszu.

– Wynocha – powiedział, wyciągając przed siebie rękę z wycelowanym w drzwi palcem wskazującym, żeby nie było wątpliwości, o co mu chodzi. – Wynoście się stąd wszyscy. No, dalej. Wynocha. Ale już!

– Uspokój się, Tarc, na litość boską. Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło. Napij się.

– Dotyczy to całej waszej bandy. Zaczynając od ciebie, szanowny panie Weaver. I nie wyłączając ciebie, pedantyczny profesorku dwojga nazwisk, Cellan-Davies. I ciebie, braciszku Garth. Jazda! I tych dwóch cholernych moczymord. – To jakże krzywdzące określenie miało zapewne dotyczyć Petera i Charliego. -I ciebie, Spurling, i ciebie, jak ci tam... Nie, przepraszam, wycofuję, to nie twoja wina, sir, ale wyświadczysz mi przysługę, jeśli również sobie pójdiesz. Z łaski swojej.

Gaith uczynił ostatni wysiłek.

– Gzy nie moglibyśmy...

– Wynocha. Jeśli się nie wyniesiecie w ciągu dwu minut, przyślę tu moich chłopców, a wtedy popamiętacie. I możecie zabrać ze sobą te żałosne pseudoklubowe śmieci. Co do sztuki. Spalę wszystko, czego nie zabierzecie, obiecuję. Nie mogłem się doczekać, kiedy się was wreszcie pozbędę, pacany, więc teraz zamierzam skorzystać z okazji. Po namyśle zgadzam się, żeby jeden z was przyszedł po te rupiecie rano. Oczywiście, jeśli uważacie, że warto się trudzić. A teraz jazda stąd! Przypominam, macie dwie minuty.

Odprowadzani nienawistnym spojrzeniem, wymaszerowali z pokoju i stłoczyli się komiczną grupką w prowadzącym do wyjścia korytarzyku, ozdobionym cętkowanymi roślinami i starymi, posępnymi fotografiami i zaśmieconym resztkami jakichś opakowań, przypuszczalnie po butach albo ubraniach. Tam rozwiązały im się języki.

– Cóż za oburzające zachowanie – rzekł Malcolm. – O tobie mówię, Alun. Tego się nie da niczym usprawiedliwić. Powinieneś być świadom.

– Przykro mi, ale nie mogę ścierpieć tego rodzaju pozy – odparł Alun.

– Za to wobec innego rodzaju nie masz żadnych zastrzeżeń – wtrącił Peter. – W każdym razie dzięki za likwidację naszego kącika spotkań.

– Porozmawiam jutro z Tarkiem – powiedział Garth.

– Chodźmy stąd – rzucił zdecydowanym głosem Arnold Spurling. Wyszedł razem z Tonym Bainbridge'em, by długo nie pokazywać się w tych rejonach.

Tymczasem z baru dobiegł ryk gremialnego śmiechu, a Charlie ujrzał, jak przez okienko bufetowe barmanka Doris gapi się na nich zza swych brudnych szkieł okularów.

– To niedopuszczalne, żeby wykształcony człowiek zniżał się do awantur – powiedział Malcolm.

– Powiedziałem, że jest mi przykro.

– Och, w takim razie wszystko w porządku – odparł Peter.

– Wiecie co – odezwał się Garth – jeszcze za wcześnie na pakowanie manatków. Każdemu z nas dobrze by zrobił kieliszeczek i, powiedzmy, mała przerwa na pozbieranie myśli. Może byście wpadli do mnie? To zaraz za rogiem. Angharad pojechała do matki – dodał. – Dziewięćdziesiąt jeden już jej stuknęło.

Nastąpiła pauza – przypuszczalnie dla namysłu nad Angharad albo może jej matką. W końcu z nutką zaczepności w głosie odezwał się Alun:

– Dobrze. Czemu nie? Ja z chęcią wypiję kropelkę. Dzięki, Garth.

– A ty, Peter? – spytał Charlie. – Chyba że chciałbyś...

– Nie. Chodźmy. Czemu nie.

– Ja powinienem wracać do domu – rzekł Malcolm.

– Och, na litość boską – nalegał Garth. – Przecież nigdy jeszcze nie zwiedzałeś posiadłości Pumphreyów, prawda?

– Dalej, jazda, wy stare pryki – ponaglał Tarc, a jego donośny głos preraźliwie dudnił i odbijał się echem w ciasnym korytarzyku. – Fora ze dwóra, bo zaczynacie mnie już wkurzać!

Nie oglądając się za siebie, wyszli pośpiesznie w dżdżysty i wietrzny mrok. Jedyne światła, jakie go rozpraszały, pochodziły z okien sklepów i domów oraz refleksów na asfalcie. Charlie widział, jak ciężkie ciała ładują się do samochodów, jak zniemacka rozbłyskują reflektory, słyszał głucho pomruki i trzaśnięcia drzwiczek, i zawodzenie rozruszników. Teraz czas mógłby się cofnąć. Ale nie, pozostał na swoim miejscu. Tuż obok Peter z głębokim westchnieniem wrzucił bieg.

– Dobrze się czujesz, Charlie?

– Świetna zabawa.

– Akurat.

– Nie żartuję.

Zamilkli. Myśli Charliego zdryfowały gdzieś w bok. Starożytna świątynia Odwiecznych Bóstw, pomyślał. Nie, kiedy prastara twierdza Starożytnych jest... jest zagrożona przez nieznaną moc, jej strażnik, olbrzym Tarc (bas), staje przed nimi, by prosić o radę (*Ach, was muss ich?*). W odpowiedzi najślawniejszy spośród nich, Alun (baryton), karci Tarca za jego przypuszczenia (*Vergesseti nun Sie*). Burzliwa wymiana zdań pomiędzy nimi, którą głupiec Garth (alt) na próżno usiłuje załagodzić, wprowadza żalobną atmosferę przygnębienia i porażki. W kulminacyjnym... W rytualnym, wielkiej siły i piękna monologu (*Heraus Sie alles sofortig*) Tarc powołuje się na nieśmiertelne prawo wypędzenia Starożytnych z ich ostoji, zarządza i dopilnowuje ich odejścia oraz wzywa ich do usunięcia stamtąd ich trofeów. Akt kończy się chórem Starożytnych, głoszących...

– Obudź się, Charlie. Jesteśmy na miejscu. Jak sądzę.

Dom Pumphreyów, którego Charlie nie mógł pamiętać, bo go nigdy wcześniej nie widział, tonął w ciemnościach. Kamienne płyty ogrodowej ścieżki pokryte były śliskimi, mokrymi liśćmi. Charlie omal się nie potknął o jakiś płożący się konar – krzaka róży czy czegoś w tym rodzaju. Pokonawszy pół tuzina wytartych kamiennych schodków, wgramolili się na wiktoriański ganek z majaczącymi niewyraźnie witrażami. Charlie zatupał po posadzce.

– Nie pomyliłeś się? – zapytał. – Bo jeśli nie, to gdzie jest Garth?

– Myślę, że zabrał się z Malcolmem. Nawet on nie zamierza fatygować się tu pieszo, mam na myśli Gartha.

– No cóż, jesteśmy tu i pobędziemy jeszcze do północy. Hę? Chyba że Garth zgubił drogę. Ty jesteś bystry, bo nie zgubiłeś. Ale to na pewno tutaj, prawda? Na pewno, bo jeszcze nie przekroczyłem progu, a już przechodzą mnie dreszcze. Zupełnie jak w zakładzie pogrzebowym.

Peter owinął się ciasniej deszczowcem.

– Już są. I Alun też. A tak nawiasem mówiąc, myślisz, że mu odbiło?

– Nie, po prostu miał dość, bo... Później o tym pogadamy.

Od razu przy wejściu Garth pozapalał światła, najpierw nad ich głowami na ganku, a potem dwa w holu. Wszystkie były, jak się zdawało, małej mocy i nie przyczyniały się zbytnio do rozweselenia wnętrza pełnego ciężkich mebli, odziedziczonych chyba po rodzicach, a może i dziadkach, ani też nie ułatwiały rozszyfrowania treści płaskorzeźb, które pokrywały górną część ścian. Charlie zauważył cylindryczny stojak pełen staromodnych parasoli i lasek. Kiedy wszyscy weszli już do środka, Garth zgasił światło na ganku i zapalił na klatce schodowej lampę wskazującą drogę do ubikacji na półpiętrze, po czym ją wyłączył i poprowadził kompanię do pokoju na tyłach domu.

Panował tam dotkliwy chłód, co sugerowało, że nie grzano tu już od jakiegoś czasu. Garth włączył mały przenośny podgrzewacz elektryczny, z którego natychmiast uderzył smród palonych kłaczek kurzu. Od czasu do czasu rozlegały się trzaski metalu, rozszerzającego się pod wpływem ciepła. Do dyspozycji było, przynajmniej teoretycznie, kilka ogromnych foteli oraz kanapa, ale bynajmniej nie wyglądały one zapraszająco. Mężczyźni stłoczyli się wokół kredensu z czarnego nie polerowanego drewna, na którym stało kilka butelek i szklaneczek.

Widok ów przyciągnął uwagę Charliego już w chwili wejścia i niemal w tej samej chwili obudził w nim niepokój: wszystkie butelki, zarówno te z portwajnem i sherry, jak i te z ginem, szkocką, brandy i wódką, zaopatrzone były w przytwierdzone do szyjek dozowniki, zupełnie takie same, jakie się widuje w pubach. Zaraz jednak rozchmurzył się na myśl, że Angharad nie jest bynajmniej jedyną żoną, która próbuje ograniczyć pijaństwo męża, chociaż ten sposób wydał mu się dość radykalny. Nigdzie jednak nie było widać kasy, a kiedy nadeszła jego kolej, Garth podał mu podwójną whisky i oddalił się bez słowa. Woda do rozcieńczenia pochodziła z na wpół opróżnionej plastikowej butelki, na której ściankach osadziły się bąbelki nie wiadomo jak starego powietrza.

– Witajcie w moich skromnych progach – rzekł Garth, gdy wszyscy dzierżyli już w rękach drinki. Jako że nikt nie wyrwał się z uwagą „jak tu miło”, ani żadną podobną, gospodarz podjął: – Przykro pomyśleć, że trzeba było aż awantury w „Biblii”, żeby ściągnąć tutaj całą waszą paczkę. Ale nie sądzę, żebyśmy musieli rozpaczać z tego powodu. Wpadnę tam z rana i zobaczę, jak sprawy stoją.

Czy jego słowa podniosły na duchu towarzystwo, czy też nie, potępienie dla uczynku Aluna zda się osłabło nieco albo nawet wygasło i przerodziło w apatyczną akceptację – w każdym razie nie dano wyrazu niczemu więcej. Po upływie kilku minut Charlie zerknął na Petera i poprowadził go w stronę fortepianu, który najwyraźniej nie zmienił miejsca od czasów Brahmsa. Jego wieko oraz ściana tuż za nim ozdobione były najróżniejszych rozmiarów fotografiami.

– Boże, cóż za obfitość – westchnął Charlie, przechodząc od podobizny jednego brodatego faceta w surducie z wysokim kołnierzem do drugiego. – Niemożliwe, żeby to byli rodzice Gartha albo Angharad czy ich wujowie. Są zbyt archaiczni.

– Może to oni za młodu. To było wystarczająco dawno.

– No tak, ale... nie, spójrz na tę jęzdę. Jak myślisz, czy to strusie pióra? Kiedy noszono coś takiego? Nawet nie w czasach wojny burskiej, raczej zuluskiej... Kiedy to było? W latach osiemdziesiątych zeszłego wieku?

– Cóż...

– Wiesz, nie wydaje mi się, żeby ci tutaj mieli cokolwiek wspólnego z Pumphreyami. Myślę, że są częścią wyposażenia domu, że zostali nabyci razem z nim, podobnie jak dywany i zasłony. No i meble, jeśli sądzić po wyglądzie. Coś tu... Nie wydaje ci się tu dziwnie?

– O co ci chodzi, Charlie?

– Nie widać, żeby ktokolwiek tu mieszkał. Ani śladu rzeczy osobistych. Możliwe, oczywiście, że ten pokój przeznaczony jest wyłącznie dla gości. W końcu w tych stronach nie jest to wcale taki idiotycznie przedpotopowy pomysł. Ale podobnie czułem się, kiedy pewien facet nazwiskiem Lionel Williams, być może spotkałeś go kiedyś, tak czy owak, facet ten zaprosił mnie kiedyś po wyjściu z pubu do siebie, do Kinver Hill, na wieczornego drinka, i wtedy odniosłem dość podobne wrażenie. Całkiem podobne. Później okazało się... zakładałem, oczywiście, że to, no wiesz, małżeńskie mieszkanie, ale okazało się, że żona się z nim rozwiodła, i to jakieś piętnaście lat wcześniej, a on nadal mieszkał w tym domu, tyle że jako jej lokator, bo dom należał do niej. I miało się tam podobne uczucie, atmosfera była podobna. Tak mi się wydaje. Ale tutaj nic takiego chyba nie zaszło, prawda, Peter? Niemożliwe, żeby Garth mieszkał tu jako... jako lokator Angharad, prawda?

– Niemożliwe – uciął ostro Peter. – To absurd.

– Co? Ależ tak, masz rację. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak śmiertelnie poważnie. Ale wtedy, u tego Lionela, czułem się strasznie dziwnie. Wiesz, ta atmosfera.

Ze szklaneczką w ręce Charlie przeszedł od fotografii na fortepianie do tych wiszących na ścianie. Trochę dalej, nie opodal kredensu, Alun zdołał wycisnąć z Malcolma dość oporny uśmiech, a z Gartha skrzekliwy falset śmiechu. Chęć rozbawienia Gartha była dla Charliego oznaką wielkiego samoponiżenia Aluna. Albo może ponadprzeciętnej próżności. Mimo to cieszył się z jego obecności, i pozostałych również. Żaden pokój nie był wystarczająco dobry, aby się w nim samotnie zamykać, chociaż ten w Birdarthur, w którym został, aby przeczytać rękopis Aluna, nie był wcale taki zły – właściwie całkiem znośny, choć natchnął go złudną wiarą w siebie. Tutaj nic podobnego bjr się nie zdarzyło.

Przywołał się do porządku, po czym zignorował podkolorowaną grafikę przedstawiającą pustynię o wschodzie lub zachodzie słońca, z nieodzownymi wielbłędami, palmami i piramidami, której wierną kopię, założyłby się o tysiąc funtów, widział przed pięćdziesięciu laty w nadmorskim pensjonacie w Porthcawl. Ale to, co ujrzał później, sprawiło, że stanął jak wryty.

– Na Boga, co to takiego? Hej, były czasy, kiedy sam chętnie dałbym się jej we znaki. Niezłe ziółko, widać to po rysunku ust. Nikt nie potrafiłby jej zmusić do zrobienia czegoś, czego by nie chciała. Nigdy. Kto to, u licha, może być?

Zauważył, że Peter siedzi na pobliskiej kanapie i wpatruje się w podłogę.

– To Angharad. Nie sądziłem... Nie przyszło mi do głowy, że...

– Co?

– Tak wyglądała Angharad, zanim zachorowała.

Charlie osunął się na kanapę obok Petera i postawił szklaneczkę na małym wielokątnym stoliku o orientalnej stylistyce. Skórzane albo syntetyczne obicie natychmiast poraziło jego uda chłodem, a nawet wilgocią.

– Co?

– Mam za swoje, że tu przyszedłem. To zdjęcie nie oddaje w pełni jej urody. W każdym razie nie z czasów, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz. To dla niej, nie dla Muriel, zostawiłem Rhiannon. Muriel była później. Nie chciałem porzucać Rhiannon...

Peter gwałtownie poczerwieniał na twarzy i mocno przycisnął dłonie do piersi. Przez chwilę dyszał ciężko, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Może coś ci przynieść? – spytał Charlie.

– Gdybyś zechciał usiąść i oprzeć się, tak żeby inni mnie nie widzieli. – Peter szybkim ruchem wydobył z zanadru małą fiolkę i wyjął z niej białą pigułkę. – Możesz trochę ze mną posiedzieć? Za chwilę mi przejdzie.

Trzymając pigułkę pod językiem, Peter siedział wyprostowany i z zamkniętymi oczami. Od czasu do czasu krzywił się gwałtownie, raz nawet tak bardzo, że Charlie zadrżał z obawy o jego życie. Charlie również się nie ruszał. Trzymał rękę w pogotowiu, na wypadek gdyby Peter chciał ją chwycić, i czujnie nasłuchiwał przerw w rozmowie pozostałych albo jakichś przejawów zainteresowania, chociaż nie miał pojęcia, co w razie czego zrobić. Grzejnik elektryczny wciąż buczał. Po niedługiej chwili twarz Petera nabrała normalnego koloru. Zaczął bardziej normalnie oddychać. Zaraz potem otworzył oczy, uśmiechnął się blado bez rozchylania warg, jak to ostatnio zawsze czynił, żeby nie pokazywać zębów, i wziął łyżeczek ze swojej szklaneczki. Była to whisky z wodą – teraz jego ulubiony trunek, w miejsce ginu (który, jak twierdził, wprawiał go w przygnębienie) i toniku (zawierającego nadmierną ilość kalorii).

– To by było na tyle. Na czym to stanąłem?

– Co? Aha, mówiłeś o Angharad. Jesteś pewny, że chcesz...

– Tak, już nic mi nie jest. Dzięki, że posiedziałaś przy mnie, Charlie. Tak. Angharad powiedziała... proszę, pozwól, że ci o tym opowiem... nalegała, żebym zerwał z Rhiannon. Należała do bardzo upartych i wymagających, jak zresztą bezbłędnie odgadłeś na podstawie fotografii. Cóż, dziewczyna taka jak ona, chyba możesz zrozumieć, a zrozumiesz jeszcze lepiej, kiedy pomyślisz o facecie, który jest egoistycznym draniem i rajcuje go sama myśl o tym, w co się pakuje. Niedługo potem Angharad znowu zaczęła nalegać, tylko że tym razem nalegała, abym przestał się z nią widywać. Jakiś inny facet miał... cóż...

Kiedy przerwał i spojrzał na swoją pustą szklaneczkę, Charlie zaproponował:

– Przynieść ci jeszcze jednego?

– Nie. Nie odchodź, Charlie. Czy mógłbym dopić twój? Tylko ten jeden raz.

– Ale ostrzegam, nie traktuj tego jako precedens.

– Dzięki. Wtedy, oczywiście, powinienem był wrócić do Rhiannon albo chociaż spróbować. Ale nie mogłem jej spojrzeć w oczy. Teraz, być może, trochę trudno to zrozumieć. I muszę z przykrością przyznać, że było w tym jeszcze trochę tchórzostwa związanego z moją pracą, co znacznie łatwiej zrozumieć. Teraz wszystko jest takie oczywiste, ale wtedy poznałem już Muriel. Była przyjaciółką Angharad, jeśli możesz w coś takiego uwierzyć. Wszystko to wydarzyło się grubo przed tym, nim Angharad zachorowała. Rak macicy, jak się w końcu okazało. Dość rzadki przypadek w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Usunęli jej wszystko. To rewolucja dla systemu hormonalnego i dla całej reszty, a w każdym razie można tak przypuszczać. Nie widziałem jej przez jakieś cztery czy pięć lat, a kiedy ją w końcu zobaczyłem, wyglądała prawie tak samo jak teraz. Ot, i cała historia. W tamtych czasach nie wiedziano zbyt wiele o tych sprawach. Nie chcę przez to powiedzieć, że teraz wiadomo dużo więcej, ale wtedy funkcjonował pogląd, że takie dolegliwości są skutkiem nadmiernej swawoli seksualnej, jak by to wtenczas określono. A przynajmniej, że nie pozostaje ona bez wpływu. Cóż, nawet wówczas rozumiałem, że śmieszne byłoby przypuszczać, iż to ja byłem sprawcą całego nieszczęścia, ale możliwe, że miałem w nim swój udział do spółki z jeszcze jednym czy dwoma innymi. Tak. Nie ulega kwestii, że coś takiego człowiek

stara się usunąć ze świadomości, jeśli ma choć trochę zdrowego rozsądku i jeśli nie wzrastał pośród cholernych metodystów i kalwinistów, i kalwińskich metodystów. W każdym razie dzięki, że mnie wysłuchałeś, Charlie. Przypuszczam, że wiele z tego słyszałeś po raz pierwszy.

– Tak, częściowo. Wszyscy gdybali, ale były sprawy, o których nikt nie wiedział.

– Mówi się, że w Walii nie sposób niczego utrzymać w tajemnicy, ale w przypadku naprawdę brzydkich rzeczy to żaden problem. Walińczycy dobrze wiedzą, jacy naprawdę są, jacy z nich paskudni plotkarze. Ale hipokryzja bywa również pożyteczna. Każdy dostał za swoje, można by powiedzieć.

– Ale Muriel wiedziała?

Peter niemal się roześmiał.

– O tak. I kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, najtrudniej jest mi chyba uwierzyć w to, że ją poślubiłem. Zaraz na drugim miejscu po tym, że ona poślubiła mnie. Była oczywiście napalona. I niezupełnie dziewicza, ale na tyle bliska dziewiczości, że się to nie liczyło. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że naprawdę nie przywiązywała wówczas wagi do faktu, iż przyszło jej zająć trzecie miejsce: po Angharad i Rhiannon. I jeśli tak było, to łuski spadły jej z oczu w...

– Rekordowym tempie.

– Iz bolesnym zrozumieniem. I z poczuciem nieodwracalności. I z całą resztą. Cóż, dobrze mi zrobiło rzucenie tego ciężaru z piersi. – Peter oddychał teraz normalnie, a napomknąwszy o piersi, przestał wreszcie przyciskać do niej dłoń. – Inna sprawa, że nie wiadomo, jak długo to będzie jeszcze trwało. O Boże, znowu zaczynam, jęki i jęki. Pora zatankować.

Kiedy z uczuciem ulgi wstawali z kanapy, Charlie zapytał:

– Ile z tego wie Rhiannon?

– Chyba wszystko. Hm, nie wszystko, co ci powiedziałem. Od tamtej pory nie rozmawiałem z nią o tym.

– Pewnie, domyślam się.

Charlie usiłował to sobie uporządkować. Pomyślał, iż nie można od niego oczekiwać, żeby tak od razu połapał się w tym wszystkim. Dla starego opoja to i tak niezła porcja jak na jeden wieczór. Zaczynał już nabierać ochoty do wyjścia – jeszcze po jednym, a później zaproponuje Peterowi, żeby się urwali do „Glendower” coś przegryźć i przepłukać gardło. Grzejnik nie zdołał w zadowalający sposób ocieplić pokoju, za to pojawił się przyprawiający o ból głowy odór stęchlizny z domieszką zapaszku nieświeżej wody z wazonu. Gdyby jednak Garth miał nie mieszkać w tym domu, to gdzie mieszkał? I czy to rzeczywiście możliwe, żeby był tutaj lokatorem?

Peter i Charlie właśnie podchodzili do pozostałych, gdy Garth rzucił pytanie:

– Kto teraz stawia?

Zupełnie jakby się wcześniej umówili, najpierw Alun i Malcolm, a później Charlie i Peter spojrzeli po sobie. Podobnie jak nieraz w przeszłości, Malcolmowi przypadło w udziale wyrazić to, co innym przyszło na myśl, lecz nie chciało przejść przez gardło.

– Przepraszam, Garth, chyba cię nie zrozumiałem. O co chodzi z tym stawianiem? Przecież nie jesteśmy w pubie.

– Nie, chłopie, oczywiście, że nie, oczywiście – odparł Garth, uspokajającym gestem kładąc dłoń na ramieniu Malcolma. – Ale dzisiaj ceny są tak wysokie, że nie możemy sobie pozwolić na nieograniczoną gościnność. Bardzo byśmy chcieli, ale nie możemy. A więc? – Potoczył wkoło pytającym spojrzeniem.

– W porządku, jeśli mamy stawiać, to ja stawiam pierwszy. – Alun nadal sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Brawo. Podwójną szkocką, prawda? – Garth dwukrotnie przechylił butelkę, podczas gdy reszta towarzystwa uważnie się temu przyglądała. – Proszę bardzo. Częstuj się wodą albo sodówką.

– Chcesz powiedzieć, że są za darmo? O, to świetnie, świetnie, nieprawdaż?

Garth bez słowa, ze wzrokiem utkwionym w kieszonkowy kalkulator, który pojawił się na kredensie przed nim, skinął głową.

– Tylko nie zapomnij policzyć pierwszej kolejki – dorzucił Alun.

Garth odsunął od siebie kalkulator, chociaż niezbyt daleko.

– Uważam tę uwagę za wybitnie niezasłużoną, Alun – powiedział z żalem w głosie. – A nawet za absolutnie niczym nie uzasadnioną. Te pierwsze drinki w żadnym razie nie były jakąś kolejką. Były dobrowolnym przejawem mojej szczerzej gościnności. Dobry Boże, człowieku, czy ty mnie masz za jakiegoś sknerę?

W tym momencie Alun zakrztusił się pierwszym sporym łykiem whisky z wodą. Zanosząc się od kaszlu, z trzaskiem odstawił szklaneczkę drżącą ręką na blat kredensu, zrobił krok czy dwa i runął jak długi na jedną z kanap, z nogami rozrzuconymi na tanim dywanie. Nawet jak na niego była to mocno przerysowana karykatura człowieka, którego poraził atak szału lub odrazy. A przynajmniej tak to widział Charlie. Jako że znajdował się najbliżej, podszedł do kanapy i pochylił nad Alunem. Peter zrobił to samo.

Alun oddychał przez usta, głośno, głęboko i chrapliwie. Oczy miał szeroko otwarte i utkwione w jeden punkt, którym wszelako nie był Charlie czy Peter ani Garth, który również się nad nim pochylił. Cicho, ale całkiem wyraźnie wypowiedział kilka słów bez związku i poruszył ustami. Potem powieki mu opadły i przestał robić cokolwiek.

– Myślę, że to koniec – powiedział Garth.

– Co? – Charlie był kompletnie oszołomiony.

– Myślę, że on nie żyje – odparł Garth, nie przerywając jednak rozluźniania krawata Aluna i odpinania guzika przy kołnierzyku. – Tak, obawiam się, że odszedł.

Minęło parę chwil, zanim Peter zapytał, gdzie jest telefon, po czym wyszedł do holu. Tuż za nim pośpieszył Malcolm. Charlie pomógł Garthowi ułożyć Aluna na kanapie w nieco bardziej naturalnej pozycji. Teraz nie było już raczej wątpliwości, że Alun jest martwy.

Peter wrócił po niespełna minucie.

– Już jadą – powiedział. – Malcolm próbuje odszukać Rhiannon. Tak. A to dopiero. – Tkwił niezdecydowanie w drzwiach.

– Napij się. – Garth usiadł na poręczy kanapy obok Aluna. – Charlie również. Na koszt firmy. Choć może waszym zdaniem brzmi to ironicznie. Śmiało, częstujcie się.

– Co to było? Czy ktoś w ogóle wie, co to było? – Zza odległego rogu kredensu, dokąd się instynktownie wycofał, Charlie zerknął na ciało Aluna. – Było. Chryste!

– Serce. Albo wylew. Chyba jednak nie serce, bo nie sprawiał wrażenia cierpiącego, przynajmniej na moje oko. W końcu to trwało tylko parę sekund. Ale w przypadku zawału nie pada. się tak błyskawicznie, z reguły nie.

Charlie żałował, że Alun nie może teraz wtrącić: „Chyba masz na myśli owce albo byki. Z reguły nie”. Jego szklaneczka była pusta, więc nalał sobie potrójną porcję. Kolejną potrójną.

– Czy miewał ostatnio jakieś dziwne przypadłości? – spytał Garth. – Bóle głowy albo...

Było coś takiego parę tygodni wcześniej, ale Charlie nie potrafił sobie tego przypomnieć. Potrząsnął głową. Wszedł Malcolm i powiedział, że nie udało mu się znaleźć Rhiannon ani dowiedzieć się, gdzie jest. Jeśli pozostali nie mają nic przeciwko temu, chciałby pojechać karetką do szpitala i stamtąd dalej próbować się z nią skontaktować. Zanim mogli pomyśleć o jakimś innym rozwiązaniu, przyjechało pogotowie. Ekipa odmówiła orzeczenia zgonu Aluna, ale i nie stwierdziła, że żyje. Z niestosownym niemal pośpiechem położono go na noszach i wyniesiono z domu. Malcolm pożegnał się zdawkowo i ruszył za nimi.

– I pomyśleć, że dziesięć minut temu stał tutaj żywy, jak ty czy ja – westchnął Garth. – Wydał już ostatnie tchnienie.

Charlie nie zareagował. Z całych sił pragnął wydostać stamtąd Petera i samego siebie, ale w takiej sytuacji nie wypadało odwrócić się na pięcie i wyjść. Peter przypuszczalnie czuł to samo. Tkwili tam więc dalej, nie opuszczając kącika tuż przy kredensie.

– Niezły był z niego miłośnik trunków – rzekł Garth. – Można to stwierdzić bez obawy, że ktoś zaprzeczy. I niezły nalewacz.

– Niezły kto?

– Ciągłe nalewał. Drinki. To on zawsze zachęcał do picia. Charakterystyczne, że nawet w swoich ostatnich niemal słowach dopraszał się, żeby mu nalać. To zawsze mu się podobało.

Tyle tylko, że w swoich ostatnich słowach mieszał cię z błotem za to, że żądasz zapłaty za drinki, które podajesz we własnym, jak twierdzisz, domu, co mu się zapewne podobało jeszcze bardziej, pomyślał Charlie. Później złagodniał nieco: Garth właśnie znowu napełnił im szklaneczki, i to bez pytania. Z drugiej jednak strony trzeba by wykazać się nie lada charakterem, żeby teraz, po tym, jak Alun wykręcił się od uiszczenia, pytać, kto zamierza wysupłać gotówkę.

– Czy sądzisz, że to, cokolwiek to było, stało się na skutek kłótni z Tarkiem?

– Nie. – Garth pogładził palcem brodę. – Nie sądzę. Nie, takie rzeczy zdarzają się jedynie w filmach. Nie, to zdarzyłyby się tak czy inaczej. Prawdę mówiąc, jest to jedyna pociecha w całej tej historii. Ani on sam, ani nikt inny nie mógł tu nic poradzić. Nic a nic.

– Och, znakomicie – rzekł Peter, przerywając długie milczenie. – To faktycznie wielka ulga. Prawdziwe szczęście w nieszczęściu, można by powiedzieć. – Zrobił pauzę, żeby powrócił nastrój powagi, z nadzieją, że wybaczone mu będzie, iż nie wygłosi jakichś szczególnych formułek pożegnalnych. – Cóż, na nas już czas – powiedział z naciskiem. – Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Dzięki za poczęstunek.

Garth westchnął głośno i uściśnął obie dłonie Petera. Charlie z przerażeniem zdał sobie sprawę, że Garth zamierza wznieść toast ku czci odchodzącego wielkiego Walińczyka. Zanim jednak padło jakiegokolwiek słowo, gdzieś w domu rozległ się stłumiony dźwięk, właściwie nie dźwięk, tylko wstrząs. Cokolwiek to było, sprawiło, że Garth odwrócił się, puścił dłonie Petera, spojrzął na swój zegarek, a później na zegar ścienny, przy czym okazał pewne zaniepokojenie, o umiarkowanym wszelako natężeniu, stosownym dla sali bilardowej albo spiżarni w pałacu Drakuli. Cała trójka zastygła, jakby w oczekiwaniu na wybuch, kiedy drzwi się otwarły i stanęła w nich Angharad.

Z jakiegoś powodu Charliemu trudno było na jej widok powstrzymać dreszcz oraz jęk przerażenia i rozpacz. Miała na sobie ciemne ubranie w nieokreślonym kolorze, z długimi rękawami i zapięte aż pod szyję, a na wierzchu rodzaj nieprzemakalnego płaszcza, który bardzo wolno rozpięła, zdjęła i przewiesiła sobie przez ramię. Kiedy minęło pierwsze osłupienie, jej wygląd i postawa przywiodły Charliemu na myśl oglądane całkiem niedawno fotografie, może nawet jedną konkretną. Sądząc po oczach i rysunku ust, postarzała się znacznie, odkąd ją ostatnio widział. Nawet nie spojrzała w jego czy Petera kierunku.

– Wcześniej wróciłaś, kochanie – rzekł Garth, uśmiechając się do niej.

Angharad odparła rażno, głosem zupełnie do niej nie pasującym, stosownym raczej dla kobiety co najmniej o połowę młodszej:

– Nie było po co siedzieć tam dłużej, nie ulegało kwestii, że mnie nie rozpoznaje. Już od jakiegoś czasu się na to zanosilo. Mówiłam jej wyraźnie raz po raz, kim jestem, powtarzałam w kółko swoje imię, wyjaśniałam, że jestem jej córką, a ona słuchała, ale nic do niej nie docierało. Nic a nic. Więc sobie poszłam. Ta kobieta, pani Jeffreys, opiekuje się nią bardzo dobrze, a poza tym chciałam zobaczyć w telewizji *Wielkie ogrody świata*, które naprawdę trzeba oglądać w kolorze, a tam jest tylko czarno-biały. Nawet nie mogłabym się skupić. – Ona również spojrzała na zegarek i dodała: – Dzwoniłam, ale było zajęte.

– Tak, cóż...

– A więc robimy sobie małe przyjętko?

– Niezupełnie. – W głosie Gartha nie dawało się wyczuć zadowolenia czy choćby śladu złej woli. – Alun Weaver padł trupem, mniej więcej tam, gdzie teraz stoisz, a było to... kiedy dzwoniłaś, Peter właśnie wykrywał 999. I... to wszystko.

– Aha. – Przyjęła wyjaśnienie do wiadomości, po czym ciągnęła: – Zatem to bardziej stypa.

– W pewnym sensie.

Charlie żałował, że nie ma z nimi Malcolma – zapewne wyliczyłby, których z czynności przez nich wykonywanych nie można by zaliczyć do ceremonii czuwania nad zwłokami. Obserwował, jak Angharad, zakończywszy zdejmowanie okrycia, staje pomiędzy nim a drzwiami i naciągając mankiety na usiane plamkami dłonie, obrzuca wzrokiem blat kredensu, zapewne szukając na nim pieniędzy, które Garth powinien był ściągnąć od swych klientów. Wreszcie dała za wygraną.

– Cóż – rzekła, poruszając energicznie szczęką w górę i w dół. – Pójdę już. – I ruszyła do drzwi.

– A ja mam ochotę na to, co zwykle – powiedział w jej stronę Garth, z czymś w rodzaju mrugnienia.

Na pięciomilowy truchcik? Magisterium na uniwersytecie w Aberystwyth? Kurczaka z frytkami? Nie mając zamiaru zostawać, aby się tego dowiedzieć, Charlie pociągnął Petera przez hol na ganek, gdy tylko nadarzyła się ku temu sposobność. Deszcz ustał i wokół słychać było wielkie kapanie i pluskanie, bowiem to, co spadło z nieba, ściekało teraz z drzew i dachów. Jako że się rozchmurzyło, było jaśniej niż kiedy przyjechali.

– Charlie – odezwał się Peter, gdy stali na szczycie schodów. – Ja po prostu...

– Tak, wiem. Posłuchaj: jestem zbyt pijany, aby prowadzić, i ty jesteś również... zbyt pijany, aby prowadzić. Jak być może zauważyłeś, a może nie zauważyłeś, tuż za rogiem jest pub. Bez względu na to, jak byłby okropny, na pewno handlują w nim alkoholem i mają telefon. Kiedy będziesz pił bardzo dużą whisky, ja sprowadzę Victora. Potem kilka kanapek i własna butelka w mieszkaniu przy „Glendower”, a twój samochód sprowadzi się później. Co ty na to, szefie?

– Och... no dobra. Bo na dodatek...

– Oczywiście. Powiesz mi później. Teraz za furtką w lewo, a potem jakieś osiemdziesiąt jardów za rogiem. Nie więcej.

ROZDZIAŁ IX

Peter

1

– Dzwonił William – powiedział Peter. – Jeszcze nie jest ubrany. Mówi, żebyśmy jechali sami. Spotkamy się w kościele.

– Wcale mnie nie zaskoczył. – Muriel siedziała przed toaletką i przymierzała kapelusz. – Nie pamiętam, żebym go wyjmowała z szafy od dnia, kiedy wręczano mu dyplom. – Z ociąganiem odwróciła wzrok od swego odbicia w lustrze. – I co o tym myślisz?

Peter pomyślał, że większość ludzi oglądających ich jako parę małżeńską będzie się zastanawiać, cóż to za okrutne zrządzenie losu połączyło tę stosunkowo dobrze prezentującą się kobietę, nadal szczupłą i zadbaną jeśli idzie o cerę i włosy, z takim opasłym, steranym życiem, starym flejtuchem. A wracając do pytania, pomyślał, że ledwie widoczny rowek czy zmarszczenie na rondzie kapelusza nadaje mu nieznacznie oklapnięty wygląd. Ale to przecież nie miało znaczenia. Skupił uwagę.

– Świetnie – powiedział, otwierając szeroko oczy i kiwając głową. – Świetnie.

– Jest jeszcze ten. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek miałam go na sobie od chwili, gdy wyszłam z nim ze sklepu.

Wyglądał jak solidna dekoracja na torcie: blad różowy, z denkiem wzmocnionym drucianą siateczką. Tym razem, nie znajdując słów, pokiwał głową nieco wolniej.

– Który twoim zdaniem jest lepszy?

Przez chwilę usiłował wzbudzić w sobie zdolność jasnowidzenia, lecz w końcu ostro upomniał siebie w myślach: być może, na przekór wszystkiemu, co do tej pory razem przeżyli, nadszedł wreszcie dzień, kiedy jego żona pyta go o zdanie, bo chce wiedzieć, co on naprawdę myśli. Na nic się to jednak nie zdało. Starając się nie okazywać zbytniego zadowolenia z własnej przebiegłości, powiedział:

– Przypuszczam, że niektóre panie wystąpią kapeluszach, prawda? Ale wydaje mi się, że nawet na ślubach zwyczaj ten zaczyna zanikać. Oczywiście, żaden ze mnie...

– Och, w Anglii noszenie kapeluszy trąci już myszką. W Londynie w ogóle się ich nie widuje.

– Hm, wobec tego...

– Ale nie jesteśmy w Anglii.

– Jestem pewien, że będziesz wyglądała świetnie. Nikt nie będzie miał ci nic do zarzucenia.

– Cóż, nie chciałabym urazić miejscowych dam, naruszając jakieś tutejsze odwieczne tabu.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał ten zwrot, mniej więcej w czasach konfliktu sueskiego, wydał mu się nawet dość zabawny.

– Nie sądzę, abyś musiała się tego obawiać.

Poczuł się nieco rozczarowany, kiedy zdjęła tortowy kapelusz i położyła na toaletce.

– A jak wyglądam bez niego? Śmiało.

– Dobrze – odrzekł z powagą. – Wyglądasz dobrze. – No pewnie, zamierzała to ciągnąć aż do końca.

– W porządku. To przeważało szalę. Cóż, lepiej zacznę już...

– Mamy jeszcze trochę czasu.

– Tutaj istotne jest, żeby być na miejscu, kiedy należy.

Sentencja ta w jej ustach zdumiała go nieco, ale powiedział tylko:

– W porządku, pójdę więc teraz po samochód. A ty zejdziesz na dół, kiedy będziesz gotowa.

Niemal zbiegając po schodach, utwierdził się w przekonaniu, że sprawą najwyższej wagi jest teraz to, aby wziąć się w garść. Gdyby miał działać nadal w takim napięciu, co rusz zmieniając kurs, w błyskotliwym stylu udając faceta, któremu faktycznie zależy na tym, aby jego żona wyglądała jak najlepiej, niebawem źle by skończył. Od chwili, kiedy na samym początku roku William oznajmił im, że chce poślubić Rosemary Weaver, w Petera wstąpiło nowe życie. Za każdym razem, gdy sobie o tym przypominał, czuł się tak, jakby właśnie przeczytał komunikat o rozgromieniu parszywych wrogów.

Już w holu, poruszając się z wyjątkową jak na swą tuszę oraz stan zdrowia szybkością, opadł na stojące koło telefonu krzesło stylizowane na chippendale i pochylił się w samą porę, żeby pierdnąć bulgotliwie w stronę ogromnej zielonopłowej gęby, ulepionej z mieszaniny farby i błota, a wiszącej na bocznej ścianie schodów. Wstając z krzesła w znacznie lepszym nastroju, dostrzegł butelkę Famous Grouse stojącą na zwykłym miejscu, na szafce w kuchni. Dostrzeżenie jej okazało się tym, czego mu było trzeba. Nie kłopotząc się o to, że tego jedyne dnia spośród wszystkich innych dni i tak dalej, gołnął sobie tylko jednego szybkiego, a potem jeszcze jednego szybkiego. Zupełnie bez związku z sytuacją przypomniało mu się, jak usłyszał kiedyś od Charliego, że fornale czy zagrodnicy, czy inni tego typu ludzie żyjący na szkockich wyżynach wypijają regularnie sporą szklankę whisky przed udaniem się do swych codziennych zajęć. Tak przynajmniej twierdził Charlie, wychylając niewielką jej ilość, która miała mu pomóc znieść ich dwudziestominutową podróż do pewnej kancelarii adwokackiej w walijskim St. Hilarys.

Był piękny, słoneczny, wczesnomarcowy poranek, jeden z tych, które się raczej wspomina, niż faktycznie doświadcza w tych stronach: powietrze spokojne i łagodne wzdłuż całej nadmorskiej niziny i śródlądowych wód. W dni takie jak ten londyńscy ogrodnicy, ale nie tylko oni, zwykli opowiadać, jak to znacznie bardziej zaawansowane jest wszystko w Walii: żonkile, rododendrony, azalie, nawet lepkie pąki na kasztanowcach były dwa lub trzy tygodnie do przodu w stosunku do tego, co się widziało w londyńskich parkach i na skwerach. Stojące wciąż jeszcze dość nisko nad horyzontem słońce kładło długie cienie i słało światło niewiele intensywniejsze niż w letni wieczór – czyste, ale nie jaskrawe, o dziwnej miękkości, która przemija wraz z nadejściem maja. Cwmgwyrdd połyskiwało łagodnie w słońcu, i Peter pomyślał, otwierając garaż, że nie jest to wcale takie najgorsze miejsce do życia.

– Dobrze wyglądam? – spytał Muriel, gdy zjawiała się w holu.

– Całkiem stosownie do okoliczności.

– Miałem na myśli plamy, no wiesz, krem, czekolada i tym podobne rzeczy. Niewiele innych możliwości wchodzi tu w grę.

– Nie, wszystko w porządku. Krawat mógłby być ciaśniej zawiązany.

Poprawiając krawat, obrzucił ją taksującym spojrzeniem i powiedział:

– Bez kapelusza znacznie lepiej, nie ma dwóch zdań.

Wsiedli do samochodu i ruszyli do miasta. Rozmyślał nad odbytą przed chwilą w holu wymianą słów oraz nad fragmentami tej wcześniejszej, w sypialni. Ostatnimi czasy dość często rozmawiali w ten sposób – z wystudiowaną normalnością, niczym angielska para przebywająca w którymś z państw socjalistycznych, obawiająca się podsłuchu i odgrywająca wzajemne znużenie. Pod powierzchnią kryło się jednak bardzo wiele. Kiedy go pytała o kapelusze, nawet na niego nie spojrzała – podobnie jak on na nią, gdy odpowiadał. Jego rozbawienie niektórymi częściami tej łamigłówki było szczere, ale też zabarwione histerią. Pora zacząć zachowywać się rozważnie.

– Nie mogliby sobie wymarzyć piękniejszego dnia – powiedziała Muriel.

– Nie zapowiadają deszczu aż do jutra.

– Myślę, że jest dostatecznie ciepło, aby posiedzieć na świeżym powietrzu.

– Zobaczmy, jak się wszystko potoczy.

To taka wprawka, pomyślał nagle. Seria prób przed występem w roli teściów, wyobrażenie o parze przyzwoitych, zamożnych i nade wszystko zwyczajnych starszych ludzi, którzy dość nieoczekiwanie przywróceniu zostają na łono rodziny, w sytuacji gdy już od pewnego czasu wygasły w nich wszelkie zauważalne więzi tego rodzaju. Ale oczywiście ograniczenie się do przybrania pozy teściów wtedy, gdy wydaje się ona stosowna, byłoby czymś nader mało starannym i ryzykownym. Tutaj potrzeba czegoś solidniejszego. Gdyby odwołać się do przykładu pary przebywającej w jakimś kraju Europy Wschodniej, byłby to okres treningu przed zrzutem. Peter ujrzał agenta służb specjalnych, jednego z tych modnych dziś wyniosłych, lecz ognistookich, mówiącego im, że zanim z nimi skończy, będą myśleli, czuli, a nawet śnili jak rasowi szpiedzy. Tak, ten nowy styl rozmów, który tak naprawdę był nowy jedynie pod względem ilości i proporcji, stał się zauważalny akurat wtedy, albo zaraz po tym, jak William powiedział im, że on i Rosemary mają zamiar się pobrać.

– Cóż, gdy ten dzień wreszcie nadszedł, odnosi się wrażenie, że wszystko to stało się tak nagle – zauważyła Muriel.

– Tak, w pewnym sensie tak.

– I czyż to nie dziwne, że prawie wcale tego nie omawialiśmy?

– Nie, bo też nie było zbyt wiele do omawiania, nieprawdaż?

– A teraz jest już za późno, bez względu na to, do jakich wniosków byśmy doszli.

W odczuciu Petera to właśnie wyróżniało ów dzień spośród wszystkich innych i stanowiło o jego wyjątkowości. Mimo to powiedział, wcale nie starając się zachować rozwagi:

– Och, wcale nie byłbym tego taki pewien. Bo nie zaprzeczysz chyba, że nadal jesteśmy w Walii.

– O czym ty mówisz?

– Tu niedaleko, w Caerhays, mieszkali ludzie zwani Nie Odwiedzanymi Thomasami, chyba spokrewnieni z kuzynem mojego ojca. W każdym razie mieli córkę, Gladys, kilka lat starszą ode mnie. Otóż ta Gladys znalazła sobie jakiegoś Amerykanina, nie mam pojęcia, jak się to jej udało w tamtych czasach w Caerhays, ale się udało. Było to chyba w 1937. W końcu Gladys postanawia poślubić swego Amerykanina, wszystko już przygotowane i ustalone, tylko brać ślub. Nie opowiadałem ci wcześniej tej historii, prawda? Nie. A więc w nocy poprzedzającej ślub moi rodzice dostają telefon od Gladys, po czym wsiadają do pociągu i jadą do Caerhays – w tamtych czasach można to było zrobić. Szkoda, że nie pojechałem z nimi. Mieli wpłynąć na mamę Gladys, która nie chciała dopuścić do tego małżeństwa.

– I wpłynęli?

– Tak. Niesamowite, tych dwoje działających w imię postępowych...

– Ale cóż takiego mogła zrobić ta jej matka? W jaki sposób mogła ich powstrzymać?

– Przyznaję, że nie mogła powstrzymać ich w sensie dosłownym, nawet w Caerhays w 1937, ale mogła im przysporzyć wielkich przykrości, a tak przysporzyła tylko drobnej. Co w tej historii ciekawe, to powód, dla którego opowiedziała się przeciwko temu Amerykaninowi. On był Amerykaninem.

– Słyszałam.

– Nie, chodzi mi o to, że to był powód. To dlatego mamuśka była przeciwna, przynajmniej według tego, co sama twierdziła. Nie, żeby to nie był całkiem poważny zarzut sam w sobie, ale w tym przypadku facet był w porządku, niczego mu nie można było zarzucić. Nazywał się Foster, Ralph Foster. Zabawne, jak dobrze człowiek pamięta rzeczy, które go nie dotyczą. Profesor fizyki na uniwersytecie w Yale. Bóg jeden wie, czego mógłby szukać w Caerhays w 1987, a co dopiero w 1937. Do tego stopnia był w porządku, że w niewiele lat później padł trupem z emocji na meczu baseballowym, ale do tego czasu Gladys była już dobrze urządzona w Stanach.

W połowie tej historii Muriel zaczęła się wykręcać na siedzeniu, by sięgnąć po biało-niebieskie pudełko chusteczek higienicznych leżące na półce za tylnymi siedzeniami. Chwyciwszy je, zaczęła stopniowo wracać do pozycji wyjściowej, którą osiągnęła, gdy Peter doszedł do meczu baseballowego.

– Słucham, słucham – powiedziała.

– Ale to wszystko.

– Co? – Opuściła klapkę nad przednią szybą i wlepiała wzrok w przymocowane tam podłużne lustro, wyciągając z pudełka kolejne chusteczki. – Co? Co w tym szczególnego?

– Hm. Scenka z życia Walii. Myślałam, że lubisz takie historie. Podpis: w Walii wszystko może się zdarzyć.

– Chcesz powiedzieć, że gdybym wcześniej pomyślała, spróbowałabym nie dopuścić do ślubu z tą... jak jej tam... Rosemary? No bo jak inaczej mam to rozumieć?

– Ależ nie. Nie. Jesteś, oczywiście, tak samo zadowolona jak ja. Ale ona urodziła się w Londynie, a ty, jak zauważyłem, z wiekiem coraz bardziej identyfikujesz się z Walią. Byłem zdumiony, szczerze zdumiony, kiedy powiedziałaś, że istotne jest, aby być na miejscu, kiedy należy. Nie sposób wymyślić nic bardziej walijskiego, w każdym razie nie na poczekaniu. Oczywiście, miałaś na myśli kaplicę.

Muriel nagle otworzyła szeroko usta i nasunęła wargi na zęby, komentując być może w ten sposób jego wypowiedź, choć bardziej prawdopodobne było, że przygotowuje tę część twarzy do przyłożenia wyjętej z pudełka chusteczki. Nadal nie odpowiadała.

– Hm, eee... a jaką linię byś przyjęła, gdybyśmy wcześniej zaczęli omawiać sprawę tego małżeństwa?

– Żadną szczególną – odparła, nie odrywając wzroku od lusterka. – A poza tym nie ma sensu kłócić się o to teraz.

Chyba nie, w każdym razie teraz nie miało to więcej sensu niż pięć minut wcześniej, i w końcu nie spodziewał się przecież usłyszeć, że miałaby ochotę udusić go na myśl o tym, że jej syn, jedyne dziecko, żeni się z córką kobiety, którą chciałby mieć za żonę jej własny mąż, a byłby to dopiero początek listy zażaleń. Uświadomił sobie jednak, że zadanie tego pytania powinno być ostatnim przejawem niebezpiecznej euforii, która go nagle ogarnęła. Uspokój się, na miłość boską. Ostrożnie.

Wykonawszy przy ustach coś trudnego do określenia, Muriel odłożyła chusteczkę.

– Zrobiłeś się ostatnio dość zaczepny. Hardy, wiesz. – Powiedziała to tonem umiarkowanej aprobaty, jakim się informuje kogoś, że daje dowody erudycji albo sympatii dla zwierząt. I jakim raczej rozmawia się z nieboszczykiem, a nie strofuje męża za to, że cieszy się czymś, co jej sprawiło przykrość.

– Masz rację, byłem trochę podekscytowany i ożywiony, widząc, że William jest taki szczęśliwy.

– To nie tylko to. Zaczęło się jeszcze wcześniej. A rozkręciło na dobre w okolicy Bożego Narodzenia.

– Naprawdę? Nie mam pojęcia czym to tłumaczyć – odparł, chociaż wcale nie zamierzał niczego tłumaczyć.

Jeśli nawet Muriel znała jakieś wyjaśnienie, to i tak nie powiedziała na ten temat ani słowa. Przejechali w milczeniu przez stary, ostatnio odnowiony most, obok pozbawionych dachów zabudowań huty, przez St. Advent, koło stacji Victoria, w górę Strandu, obok Muzeum Sztuk Pięknych Trevora Knudsen, domu towarowego „Marks & Spencer”, „Glendowter”, Królewskiej Fundacji Walijskiej, boisk do gry w krykieta i rugby oraz uniwersytetu. Później okrążyli szpital i skierowali się w stronę Holland.

– Peter – odezwała się Muriel, kiedy byli już o kilka minut od kościoła. – Sprzedaję dom.

– Co?

– Tym razem naprawdę. William już się urządził, a tym samym zniknął ostatni powód czy wymówka, aby tu siedzieć. Tak, wracam do Middlesbrough, i jeśli masz ochotę jechać ze mną, zawsze znajdzie się tam dla ciebie miejsce. Możliwe jednak, że zamiast przeprowadzać się do słonecznego Yorkshire czy Cleveland, czy jak tam to teraz zwaą, będziesz wolał zostać tutaj i żyć sobie na własną, jak to się mówi, rękę. Cóż, i takie rozwiązanie jest do przyjęcia. Wybór należy do ciebie.

To tyle, jeśli chodzi o zademonstrowanie ciepłej, rodzinnej atmosfery. Muriel mówiła ze zwykłą, może nawet nieco większą niż zwykle rzeczowością. Peter zdał sobie sprawę, że obecność Williama oraz jego drużby, jak było pierwotnie planowane, niczego by nie zmieniła – już ona by się postarała, żeby mu to zakomunikować jeszcze przed wejściem do kościoła. A właśnie do niego dojeżdżali, mijając zmierzających doń pierwszych gości weselnych. Peter zauważył wysiadającego z samochodu starego Owena Thomasa wraz z rodziną.

– Niewiele więcej można tu dodać – podjęła Muriel. – Ci ludzie są może dobrzy, może źli, i nie mogę powiedzieć, żebym nie lubiła tego czy owego, ale oni nie są moi, zamierzam więc to zmienić, póki jeszcze czas. Dlatego zmieniam lokal. Dom będzie wystawiony na sprzedaż w poniedziałek od rana. To wszystko. W porządku? Zrozumiałeś? Żadnych odwołań, żadnych warunków, żadnych podziaków, żadnych kompromisów, żadnych praktyczniejszych rozwiązań. Klamka zapadła. I mogę się znowu całkowicie mylić, bo ty od nie wiadomo jak dawna spodziewałeś się takiego obrotu spraw, ale jeśli się tym razem nie mylę, to dam ci jedną dobrą radę: zacznij się od razu oswajać z tą myślą. Na twoim miejscu skręciłabym w lewo i stanęła na parkingu przed sądem.

– Skręciła i...

– O tej porze nie ma tam wielkiego tłoku.

Co okazało się prawdą. Muriel ledwo zdążyła zająć u boku Petera pozycję matki pana młodego, gdy znaleźli się pomiędzy starym Tudorem Whittinghamem z małżonką, synem i córką, i zięciem, i dwojgiem wnucząt, i zamężną siostrą, i siostrzenicą. Chyba dobrze zrobił, że ich przyprowadził, skoro mieszkali teraz razem. Było ich wszystkich więcej, dużo więcej, przez całą drogę do kościoła i na szerokiej asfaltowej ścieżce wokół niego. Jedni, jak Percy i Dorothy, Malcolm i Gwen, stary Vaughan Mowbray i jego chora na artretyzm przyjaciółka, kilkoro mgliście rozpoznawanych znajomych z uniwersytetu czy Klubu Golfowego, różni młodzi, najwyraźniej albo przypuszczalnie związani z Williamem, podchodzili i odchodzili; inni, jak Garth, Sian Smith, Arnold Spurling i jego zadzierająca nosa Eirwen oraz dwie raczej niezależne od siebie pary w żałobnych strojach – nieznajome, milczące i przygnębiające – podchodzili i stawali w pobliżu. Ani śladu krewnych któregoś z rodziców. Ci ze strony Muriel mieszkali, oczywiście, w Anglii i najwyraźniej tam pozostali. Peter miał dwóch żyjących jeszcze braci, ale obecnie nie umiałby powiedzieć nawet, gdzie mieszkają.

Z ponurą miną, jakby dając do zrozumienia, że owa uroczystość to nie żadna tam zabawa, zakrystian wskazał im dwojgu drogę i poprowadził do środka. W ostatniej chwili, tuż przed wejściem, Peter spostrzegł zbliżającą się do kościelnej furty Rhiannon i pomachał, ale nie był pewien, czy widziała. Ta drobna zwłoka sprowokowała zakrystiana do potrząśnięcia głową ze zniecierpliwieniem, co było gestem dość ryzykownym, zważywszy jego połykliwą i ogromną jak misa perukę. Jego zachowanie mogłoby sugerować, że uczestniczy w pochówku. Gdyby tak było, nie odbiegałby szczególnie od nastroju sporej części zgromadzonych, którzy bez optymizmu przyglądali się przechodzącym właśnie rodzicom pana młodego, jakby czekali tylko, aż któreś z nich dostanie czkawki albo się złowieszczo potknie. Ci jednak bez przygód dotarli do frontowej ławki i usiedli obok Charliego i Sophie.

Peter, jeśli dobrze pamiętał, nie był tam nigdy wcześniej. Przez bezbarwne fragmenty witraży wpadało do środka dosyć światła, aby miejsce to wyglądało jasno i nader czysto, właściwie jak nowe. Wystrój z jasnego drewna wydał mu się znajomy, jakoś osobiście z nim związany, i zaraz uświadomił sobie, że przypomina rodzaj mebli, o których mówiło się, że inspirowane są tradycją skandynawską, a które modne były w czasach, kiedy on i Muriel się pobierali.

I tak, dotarłszy doń okrężną drogą, wspomnienia z tamtych i późniejszych czasów, sięgających aż do teraźniejszości i obejmujących również ten dzień, okazały się niemożliwe do odpędzenia. Były to nie tyle wspomnienia, co mieszanina strzępków wspomnień i uczuć. Owe strzępki, choć dojmujące, były zasnuwane mgłą i rozproszone. Przewijały się tam Angharad i Rhiannon, obok Muriel i całej plejady bynajmniej nie zapomnianych twarzy i miejsc, których nie potrafiłby nazwać. Spośród uczuć najbardziej dotkliwe były skrucha i rozżalenie. Chociaż znał je dobrze, nigdy nie nauczył się, jak sobie z nimi radzić, wstawał więc teraz i siadał, na próżno starając się skoncentrować uwagę na ceremonii ślubnej swojego syna, na którą cieszył się jak dziecko od pierwszego momentu, kiedy o tym usłyszał, i którą postanowił z pietyzmem chłonąć minuta po minucie. Niestety, to, co się wokół niego działo, drogą na skróty poprowadziło go na manowce przeszłości. Jak zresztą często w ciągu ostatnich lat.

Przez większą część ceremonii trwał w stanie pod wieloma względami zbliżonym do znudzenia. Jednocześnie, nie będąc w centrum uwagi, mógł rejestrować szczegóły tego, co się dzieje. Tak więc słyszał śpiew zgromadzonych – oczywiście, żadnego chóru, bo ktoś tam wyjechał na wakacje albo miał coś innego do roboty – i wydał mu się on anemiczny, ochrypły, zdominowany przez mężczyzn śpiewających nierzadko o oktawę za nisko. Cały ten występ mogłaby usprawiedliwić jedynie próba pokazania ewentualnemu Anglikowi, gdyby się tu taki znalazł, jak bardzo się myli, oczekując czegoś zwyczajnego w wykonaniu Walińczyków śpiewających na żywo, w przeciwieństwie do tego, co się ogląda w telewizji. A w każdym razie tak mógłby powiedzieć, gdyby go ktoś zapytał. Charlie wyraźnie się wyróżniał – trzymał melodię i nie fałszował w trakcie hymnów, a w psalmach, które są dużo lepszym sprawdzianem umiejętności, wypadł całkiem dobrze. Peterowi przypomniało się, jak przed laty Charlie wymykał się na próby jakiegoś chóru w Harriston czy Emanuel, obiecując, że wróci najdalej przed pół do dziesiątej i zrewanżuje się kufelkiem.

Peter zauważył, że ceremonię odprawia dwóch lub więcej księży i że odziani są w bogato haftowane ornaty z jakiejś białej tkaniny, na pewno nie bawełny. Niektóre części liturgii były intonowane. Z niejaką radością powitał owe przejawy skłaniania się ku High Church¹⁶, jako że mogły urazić co poniektórych członków zgromadzenia, gdy nagle zorientował się, że jeden z pomocniczych księży, którego wziął za dość zniewieściałego młodzieńca, jest kobietą, młodą niewiastą, w dodatku niczego sobie. O Boże! A on myślał, że tutaj, w Walii, chodzi przede wszystkim o to, aby uniknąć tego typu zjawisk, przynajmniej na razie. Ogarnął go wielki smutek, pragnienie, by mieć już to wszystko za sobą, ale i to wkrótce minęło. Potem, na zakończenie, kiedy William i jego wybranka przyjmowali błogosławieństwo, poczuł dłoń Muriel szukającą jego dłoni i spostrzegł ślad łyż na jej policzku. Złożył to na karb okoliczności, traktując jako część przedstawienia, nie mógł jednak nie uścisnąć jej ręki, i żeby nie dać się zaskoczyć, przybrał dziarski wyraz twarzy na wypadek, gdyby zwróciła się w jego stronę, co zresztą okazało się niepotrzebne.

16 High Church – nurt eklezjalny Kościoła anglikańskiego, podkreślający znaczenie sakramentów oraz sukcesji apostoelskiej (przyj. tłum.).

Organy huknęły Mendelssohna – na galerijce był zatem facet (albo, oczywiście, kobieta, niech to lichy), który nie wziął sobie wolnego. Przechodząc przez kościół, William zerknął na rodziców. Chociaż nie drgnął mu żaden muskuł twarzy, Peter bez trudu zdołał wyczytać wprawdzie radośnie zawstydzone, niemniej jednak – wyznanie kapitulacji. Ciekawe, jakie też on ma wyobrażenie na temat tego, co jego matka sądzi o tym małżeństwie i o jego żonie, pomyślał nagle Peter. Rhiannon posłała mu uśmiech, zbyt przyjazny, aby go nazwać bezosobowym, a jednak pozbawiony osobistego piętna. Pora wstać i ruszyć do wyjścia. Ci, którzy wciąż trwali w ławkach, przyglądali się Peterowi jak przedtem, bez śladu zadowolenia z tego, co tymczasem zaszło.

– Cóż, chyba połączyliśmy młodych w dobrym stylu – mruknął Charlie. – Nie wiem, jak tobie, ale mnie dobrze by zrobił kieliszeczek.

W odpowiedzi na te słowa, a może na sposób ich wypowiedzenia, Peter patrzył przez chwilę uważnie na Charliego.

– Tak, mnie również – powiedział w końcu.

Charlie uśmiechnął się lekko.

– Aż tak źle, he? To przez te cholerne pigułki nasenne od Dewiego. Najlepsza jakość, jak twierdzi, żadnych efektów ogólnoustrojowych, rozumiesz, jak na przykład wyłączenie całego organizmu. Już my dziś wieczór wyłączymy ten organizm. Słuchaj, jeśli zechcesz się później wymknąć, możemy wpaść na parę kolejek do „Glendower”. W każdym razie tam mnie znajdziesz. Tylko jedno zastrzeżenie: nie bierz ze sobą Gartha. W tym szczęśliwym dniu... tym dniu typowo walijskich, serdecznych uczuć rodzinnych oraz koleżeńskich, nasze myśli... ciśnie się nam na usta propozycja... aby powiesić Gartha Pumphreya, FRCVS17, na gałęzi przed „Biblią”. Jezu, oto i on.

– Ktoś przecież musi powiedzieć te wszystkie rzeczy.

– O nie, nieprawda. Chociaż może masz rację. W życiu potrzeba tyle wypełniaczy.

– W każdym razie ten nasz chłoptaş Garth posiada jedną niezaprzeczalną zaletę, jak zresztą sam zauważyłeś jakiś czas temu: kiedy jest w pobliżu, można mieć pewność, że się nie natknie na Angharad.

– Kiedy powiedziałem coś takiego? Mam przynajmniej nadzieję, że mówiłem to żartem. Przepraszam, Peter.

17 FRCVS = Fellow of the Royal College of Veterinary Surgeons – Członek Królewskiego Kolegium Lekarzy Weterynarii (przypr. tłum.).

– Bzdura, miałeś całkowitą słuszność. Nawet się nie domyślałeś, jak wielką. I nigdy widoczną bardziej niż dzisiaj.

– Tak, chyba tak. – Charlie przyglądał się z powagą swoim stopom, kiedy zatrzymali się w przedsionku. – Ona była niczym więcej, jak tylko... – Zaczął już następne słowo, ale przerwał.

– Zmorą na przyjęciu, dokładnie. Jeszcze raz świetnie to ująłeś. Wiesz co, zabawna rzecz...

– O co chodzi? Myślę, że mógłbym...

– Po prostu od tamtego wieczoru u Gartha mam takie...

– Zobaczymy się na miejscu. Ale...

Zostali poniesieni do przodu i na zewnątrz, prosto w słoneczny blask, razem z cizbą ciał popychających albo stawiających opór, nie sposób więc było ciągnąć rozmowę. W pobliżu majaczyły Sophie i Dorothy – Sophie nie patrząca na nikogo, milcząca, chyba zapłakana, Dorothy ściskająca skórzaną torebkę, która mogłaby pomieścić dziecięcy kij do krykieta oraz ochraniacze, ubrana w coś, o czym z całą pewnością można było powiedzieć jedynie, że jest jasnozielone i że uszyła to sama. Charlie wepchnął Petera za niewielki załom muru i wydał stłumiony skowyt, uderzywszy kostką o wystający z podłogi metalowy przyrząd do oskrobywania podeszew z błota.

– Hm, jest coś, co dobrze by było, żebyś powiedział Rhiannon, gdybyś miał okazję mówić z nią na osobności.

– Tak? – Peterowi zdawało się, że wie, o co chodzi, bo myśłami wciąż błędził wokół wydarzeń u Gartha.

– Wiesz, Victor i ja jesteśmy organizatorami tego przyjęcia i z pewnych względów chcemy jej wystawić rachunek na pełną kwotę, na papierze, jak to się mówi, ale w przyszłym miesiącu dostanie pocztą rabat, którego nie musi wykazywać w rozliczeniach, dobrze?

– O, wspaniale – odparł Peter, śmiejąc się w duchu z przyzierności i małostkowości swego domysłu. – Wprost wybornie!

– Bo Victor... pomyśleliśmy, że lepiej, aby to usłyszała od ciebie. Gdybyś był łaskaw.

– Nie omieszkam.

– No, to na razie. Do zobaczenia na miejscu. – Charlie uczeplił się czyjejs poły i zniknął w tłumie.

Peter miał teraz chwilę, aby bez większego zainteresowania przyrzeć się dziesiątkom ludzi snujących się po dobrze utrzymanych trawnikach i ścieżkach, szukających się z zadartymi głowami albo błakających się niezdecydowanie, Williamowi stojącemu w otoczeniu swych przyjaciół i Rosemary pośród swoich, młodym małżeństwom ciągnionym tam i siam przez swe latorośle, starszym parom, składającym się zwykle z mniej lub bardziej apatycznego byłego chłopaka i żwawej, czujnie czegoś wypatrującej byłej dziewczyny w okularach i kapeluszu – tak, w kapeluszu, i to zupełnie bez związku ze ślubem jako takim, stanowiącym po prostu część umundurowania – samotnikom zastanawiającym się, co, u licha, ich podkusiło, żeby tu przyjść, Rhiannon w szarościach z białym kołnierzykiem i mankietami, stojącej przy furcie u boku otyłego i wcale nie uśmiechającego się brata Aluna, który przyjechał z Londynu, aby poprowadzić do ołtarza pannę młodą, oraz w otoczeniu wianuszka ciotek i wujów z Breconshire i okolic, mówiącej właśnie niepewnym głosem do mikrofonu, który jej podsunął jakiś krępy mężczyzna w białym deszczowcu, podczas gdy wokół nich krążył fotograf – wszystkiemu temu Peter przypatrywał się w zamyśleniu, dopóki nie usłyszał znajomego głosu.

– Powiedz nam teraz, kiedy ma się urodzić maleństwo? – Głos Gartha jeszcze bardziej niż zwykle przywodził na myśl głos jakiegoś walijskiego komika.

– Nie ma mowy o dziecku, to znaczy na razie, o ile mi wiadomo – odparł Peter, żałując, że nie potrafi odpalić z grubej rury, jak Charlie czy inni.

– O, doprawdy? To elegancko.

– To szykownie – poprawił towarzyszący Garthowi Tudor Whittingham.

Tudor zdołał się jakoś uwolnić od ciągnących się za nim ogonów i wciąż rozglądał się nerwowo, czy go aby nie dopadają. Zdumiewający brak choćby odrobiny zbędnej tkanki tłuszczowej czynił jego sylwetkę niemal ażurową, a to z kolei w odległej przeszłości czyniło z niego znakomitego gracza w squasha. Owa szczupłość obejmowała także czaszkę, która z pokolenia na pokolenie stawała się niestosowna dla stosownej ilości tkanki mózgowej mogącej się tam pomieścić bez konieczności niejakiego ściśnięcia. W szkole, a należał do rocznika o rok starszego od Petera, nazywano go Tudor Totemowa Pała.

– Elegancko czy szykownie, co za różnica – rzekł Garth, po czym nagle zwrócił się do Petera ściszym głosem: – Tarc mówił wczoraj wieczorem, iż ma nadzieję, że wpadniesz dziś na jednego, jeśli ci czas pozwoli. Nieczęsto tam zagładasz, odkąd Alun, biedaczysko, nas opuścił, prawda? – Boleściwie przewrócił oczami.

– Nie, chyba nie.

– No właśnie. Hm, brakuje nam ciebie, Peter. Wszystkim, a zwłaszcza Tarcowi. Nadal paskudnie się czuje z powodu tego cholernego wieczoru, kiedy rozpędził nas wszystkich na cztery wiatry. Nie, żeby się czuł jakoś szczególnie odpowiedzialny za... za to, co się później wydarzyło – udało mi się chyba mu to wyperswadować. Moim zdaniem gnębi go, że rozstał się z Alunem w takiej przykłej atmosferze. A tobie jak się wydaje, Tudor?

– Racja, bez dwóch zdań.

– No i oczywiście nigdy poważnie nie mówił, żebyście zabrali stamtąd swoje pamiątki. Wtedy był wzburzony. Można powiedzieć, że sam to przyznał, kiedy poszedłem tam następnego ranka. Zresztą chyba ci już mówiłem.

Zwracając się do Petera, ale i wytykając w ten sposób niedopatrzenie Garthowi, Tudor powiedział:

– Ceremonia była bardzo udana, a młoda para wyglądała naprawdę uroczo. Mam nadzieję, że będą ze sobą szczęśliwi.

– O tak. O tak. – Garth dał do zrozumienia, że pomiędzy nim a Peterem takie sprawy nie wymagają ceregieli. – Stary Tarc naprawdę szanował naszego biednego Aluna. Zresztą chyba wszyscy go szanowali. Bo jeszcze się przecież taki nie narodził, który by wszystkim dogodził. A ze wszystkimi jego wadami i zaletami świetny był z niego kumpel, czy nie tak?

Ktoś to musi powiedzieć, pomyślał Peter.

– Tak, chyba masz rację.

Słyszając to, Tudor rzucił mu pełne niedowierzania spojrzenie.

– Właściwie – ciągnął Garth – właściwie, gwoli ścisłości, nie wszyscy go szanowali. Pamiętacie ten artykuł w „Western Mail”? Z tak zwanymi wyrazami uznania? Paskudny. Określiłbym go jako wredny. Przesiąknięty wrednością. A może czytaliście polemikę w... chyba w „Timesie”? Chwileczkę. – Sięgnął do kieszeni na piersi, ale rozmyślił się w pół gestu. – Nie, niestety, odłożyłem to już do kartoteki. Eee... „można by go określić mianem naśladowcy Brydana, gdyby się w ten sposób nie sugerowało pewnej siły i witalnego...” czegoś tam. Wyjątkowo paskudne. Zrobię kopię i prześlę wam.

– William i Rosemary wyjeżdżają gdzieś na trochę, prawda? – W głosie Tudora dała się wyczuć pewna stanowczość.

Chociaż Peter miał gotową odpowiedź i chciał jej udzielić, nie zdołał tego uczynić, bowiem został porwany do pozowania do rodzinnych fotografii. Miał tylko nadzieję, że Tudorowi opłacało się porzucenie rodziny.

W pełnym słońcu, plecami do kościelnego muru, ustawili się już wszyscy zainteresowani. Peter chciał podejść chyłkiem i zająć miejsce na skraju, tuż koło Muriel, ale kazano im się objąć – oczywiście, nie z pozbawionym uśmiechu bratem, który kiwał bez uśmiechu głową, ani nie z Muriel. Ta jednak się uśmiechnęła, ale dość przelotnie, więc na jedno wyszło. Nie, nie miał zamiaru zacząć babrać się w tym od nowa, ale jedno można było z całą pewnością powiedzieć: ani on, ani nikt inny nie mógł nic na to poradzić. Nic a nic. Kto wypowiedział do niego prawie dokładnie te same słowa wcale nie tak dawno temu? O czym lub o kim?

Przez kilka minut trójka lub czwórka fotografów – wśród nich jedna kobieta, albo raczej dziewczyna, a wszyscy strojem oraz uczesaniem demonstrujący coś, co można by wziąć za niezdrową pogardę dla imprez w rodzaju ślubów – tasowała bez większego powodzenia sześć głównych postaci dramatu: rozsuwała, przestawiała, wyciągała z szeregu i cofała, niecierpliwym gestem odpędzała postronnych. Nie uszło uwagi Petera, że dzięki postępowi techniki zrobiono dziesięciokrotnie więcej zdjęć, niż kiedyś wydawało się konieczne, a zamierzano jeszcze podwoić tę liczbę. Tak jest znacznie łatwiej, wywnioskował, a poza tym zabawniej: bezkarnie porozstawiać po kątach gromadkę nieznamomych. To całkiem zrozumiałe. Sam na ich miejscu robiłby to samo.

Wreszcie osiągnięto konsensus w kwestii niecelowości przedłużania owej sesji fotograficznej, skutkiem czego bez słowa komentarza towarzystwo się rozlazło. Wkrótce potem zarządzono odwrót ku domowi Weaverów, co oznaczało kilkusetmetrowy spacer. Jakby zgodnie z przygotowanym z góry planem, Muriel podpłynęła miękko do młodych, wsunęła rękę pod ramię Williama, drugą zaś objęła kibić Rosemary i torując im drogę przez półkole gości, powiodła ku bramie. Mając przed sobą co najmniej sześcioro weselników stojących zwartym szeregiem pierś w pierś, Peter znalazł się w drugim szeregu, pomiędzy bratem Aluna, który podczas ich pierwszego, krótkiego spotkania poprzedniego wieczoru przedstawił się jako Duncan, a jego nagle ujawnioną żoną, a jakże, w okularach i kapeluszu, a ponadto wyróżniającą się nad wyraz czerwonymi ustami i niesamowicie dużymi zębami.

Rhiannon stała przy bramie z jakąś ciotką albo kuzynką, Peter zaś utknął, jak się okazało, na dobre, pośród jej szwagrostwa. Zawsze uważał się za człowieka, który w takiej sytuacji potrafi zachować się w sposób wyważony i nic na świecie nie zdoła go skłonić do tego, aby się pierwszy odezwał. Jednakowoż po czterech minutach kompletnego milczenia, z czego trzy upłynęły na jałowym przestępowaniu z nogi na nogę, z własnej i nieprzymuszonej woli zapytał ową damę, czy wraz z... eee... Duncanem zamierzają zostać do następnego dnia albo dłużej, czy też jeszcze tego samego wieczoru będą wracać do Londynu.

Kobieta skwapliwie zwróciła się w jego stronę.

– Och, musimy wracać, bez dwóch zdań – odparła z akcentem wskazującym na jakieś niezbyt ładne miejsce w Anglii. – Niech mi pan wierzy, że sporo musieliśmy się wszyscy naprosić, nim zgodził się przyjechać tu chociaż na tę jedną noc.

– Obowiązki zawodowe, jak sędzę. – Peterowi mgliście majaczyło coś o spółce finansowej czy oszczędnościowej kasie budowlanej.

– A gdzie tam, to już przeszłość. Będzie już z jakieś cztery lata – wyjaśniła z ponurą satysfakcją. – Nie, on się nigdzie nie chce ruszać, jeśli to tylko możliwe. Wie pan, co on teraz robi, panie Thomas? Czeką, aż wszyscy pójdą gdzie trzeba, żeby mógł przemknąć się bokiem, przez nikogo nie zaczepiany.

– Aha. – Nie odwracając głowy, Peter skierował wzrok na Duncana, który kiwał się w przód i w tył, rytmicznie prychnając wydętymi wargami.

– A w każdym razie tak sobie umyślił. Nie lubi, kiedy ludzie do niego mówią, bo zwykle oczekują odpowiedzi. To dlatego nie robi zbyt miłego wrażenia. Mówię mu, że powinien nosić aparat słuchowy, bo nikt nawet nie próbuje nagabywać kogoś, kto nosi coś takiego, ale on nie chce. Mówi, że to tylko przyciąga uwagę. – Odchyliła przetykany złotą nitką mankiet. – Wielkie nieba, babcia już chyba zdążyła dotrzeć na miejsce, i pani Brown także. – Stając teraz naprzeciw męża, zwróciła się do niego okropnie głośno, robiąc przy tym całe mnóstwo min, których Peter wprawdzie nie widział, lecz domyślał się na podstawie brzmienia głosu. – Chodźmy już, tatuśku. Będą się zastanawiać, gdzieśmy się podziali. Chodźże, staruszk. Tędy.

Słowom towarzyszyła bogata gestykulacja. Duncan skinął głową i ruszył. Cała trójka przeszła przez ulicę i skręciła na drogę prowadzącą do miejsca przeznaczenia.

– Sama nie wiem, po co nadal krzyczę do niego w ten sposób. To takie przyzwyczajenie. Nerwy są przecież odcięte, po obu stronach, więc choćby nie wiem co, i tak niczego nie usłyszy. Wirus, jak powiedzieli. Taak. Rhiannon musiała panu powiedzieć, czyż nie? – Zona Duncana przekreśliła nieco imię szwagierki. – To znaczy, musiała o tym wspomnieć.

Całkiem możliwe.

– Owszem – odrzekł.

– Niewiele można tu zdziałać, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. On nie potrafi się zmusić do nauki czytania z ust i języka migowego, bo mówi, że każdy robi to inaczej, więc co to za sens. Na szczęście w telewizji są te napisy. No i lubi zjeść, co widać po jego... – Po raz pierwszy przerwała, ale zaraz podjęła stanowczo: – Wie pan, czuję się, jakbym robiła mu świństwo, wlokąc go tu i narażając na spotkanie z tymi wszystkimi ludźmi, których nie zna, ale dostałabym kręćka, gdybym się od czasu do czasu gdzieś nie wyrwała.

– Oczywiście – zmusił się do przytaknięcia. – To zrozumiałe i całkiem rozsądne.

Przed furtką do domu Rhiannon ponownie przystanęli. Ręka żony na ramieniu była dla Duncana sygnałem do zatrzymania się.

– Niech pan posłucha mojej rady, panie Thomas – powiedziała kobieta – i niech pan nie głuchnie. Miło mi było z panem porozmawiać. Uroczy chłopak z tego Williama. Niech pan już idzie i dobrze się bawi. My niedługo przyjdziemy.

Duncan skinął mu głową na pożegnanie – i w podzięce za to, że Peter nie próbował nic do niego mówić.

Pierwszą osobą, którą Peter zobaczył w środku, była Gwen, z agresywnie przechyloną głową słuchająca, co jakiś wysoki i dystyngowany stary głupek w niefortunnie zielonym garniturze sący jej do ucha. Był to chyba kuzyn Malcolma. Łatwo sobie wyobrazić, jak marszczyłaby czoło i łypała złośliwie okiem, słuchając relacji z rozmowy z żoną Duncana – relacji, której jednak nigdy nie usłyszy. Peter rozejrzał się w poszukiwaniu Charliego, wszelako bez powodzenia, udał się więc w stronę barku, czyli blatu ustawionego na kozłach i przykrytego śnieżnobiałym obrusem, na którym zgromadzono liczne butelki, ze zdumiewająco dużą, jak się zdawało, przewagą napojów bezalkoholowych. Wydzielaniem napitków zajmowała się rumianolica dziewczoja z koktajlbaru w „Glendower”, i trzeba przyznać, że robiła to sprawnie. Na składanym metalowym krzeselku pod ścianą siedział zgarbiony młody człowiek, prezentujący całkiem odmienny typ. Jego twarz nie była w żadnym razie rumiana i miał rozpięty kołnierzyk. Nieźle, jak na tak wczesną porę, pomyślał Peter.

Choć przyszedł tylko trochę później niż pozostali, towarzystwo zdążyło się już rozgościć, w znacznej mierze w ogrodzie, a wszyscy piali z zachwytu nad przychylnością aury i dudlili kieliszek za kieliszkiem w tempie, które, gdyby miało się utrzymać, niechybnie doprowadziłoby ich niebawem do legnięcia pokotem na pasie trawy wokół ogrodu. Peter przyglądał się temu z progu drzwi na taras. Po wyciągniętej szyi oraz kaczym chodzie bez trudu rozpoznał w tłumie odwróconą tyłem Muriel. Przechadzała się wzdłuż trawnika pośród domniemanych przyjaciół Williama, którzy mieli co najmniej trzynaście stóp, i właśnie kiedy ją dostrzegł, obrzucała krytycznym wzrokiem wszystko, co rosło – a przypuszczalnie nie było tego wiele – na sąsiedniej grządce. Spojrzenie było długie, jakby chciała się upewnić, że sprawy mają się aż tak źle, jak na pierwszy rzut oka wyglądają, po czym odwróciła się niby to ze skruchą, a wszystko to w jakże znany mu sposób, który rozpoznałby z dziesięciokrotnie nawet większej odległości. Widzieć to, widzieć, samemu nie będąc widzianym, przyłapać starą jędzę chociażby na takim drobiażdżku, stanowiło nie lada rozkosz.

Właśnie się odwracał, chcąc napełnić szklaneczkę, która przez ostatnią minutę opróżniła się w tajemniczy sposób, gdy całkiem niedaleko dostrzegł Rhiannon. Rozmawiała w grupce kilkunastu kobiet i mężczyzn, przenosząc wzrok od jednego mówcy do drugiego. Były tam Sophie i Sian oraz jeszcze kilka osób, które znał z widzenia, ale kim byli pozostali?

A kim, na litość boską, mogli być, ty stary głupcze – jej przyjaciółmi, pomyślał. Bo kimże innym? Ale czemu nie było to dla niego oczywiste? Dlatego, że zapomniał już, jeśli w ogóle kiedykolwiek to rozumiał, jak niewielką rolę w ludzkim życiu odgrywają inni ludzie i jak niewiele ludzie wiedzą o innych, nawet jeśli codziennie ich widują. W czasie, jaki upłynął pomiędzy śmiercią Aluna a dzisiejszym rankiem, często, a w każdym razie parokrotnie, rozmyślał nad Rhiannon i jej życiem, nad tym, jak sobie radzi w towarzystwie Sophie, Sian, Gwen, Dorothy, wreszcie Muriel – choć żadna z tych kobiet nie była właściwie w jej typie, o czym wiedział od dość dawna – a także w towarzystwie swoich córek czy londyńskich przyjaciół. To, na co teraz patrzył, dawało mu pewne, jednak mimo wszystko niewielkie wyobrażenie. Mógłby powiedzieć, że o miłości również zapomniał, ale przynajmniej w tym momencie musiałyby przyznać, że zdarzyło mu się przeżyć kilka tygodni, podczas których inny człowiek odgrywał w jego życiu wielką rolę i dużo o tym człowieku wiedział – zanim na powrót pochłonęła go reszta świata.

Przy barku, gdzie teraz urzędował Victor, musiał odczekać, aż przetoczy się fala czekających na dolewkę. Podczas tego antraktu przyglądał się, jak jakiś wąsаты mężczyzna nagabuje innego mężczyznę, tyle że z całkiem innym zarostem. Nim nadeszła jego kolej, Victor podał mu ponad czyimś ramieniem dużą szklanę szkockiej z wodą, a towarzyszący temu gest zdawał się mówić, że wszelkie związane z Alunem zaszłości to przeszłość, i, och, niech łaskawie pamięta, żeby szepnąć słówko Rhiannon. Pozbawiony rumieńców młodzieniec gdzieś tymczasem zniknął, na horyzoncie zaś pojawił się inny, w osobie pana młodego.

– Tato, gdzie się ukrywałeś?

– Byłem na świeżym powietrzu. Jestem zbyt duży, aby się rzucać w oczy.

– Och, daj spokój. Chodź, poznasz paru facetów.

Faceci byli całkiem niedaleko, o jakieś pięć kroków od barku, i Peterowi nawet dobrze się z nimi rozmawiało. Wzruszył go i wzbudził uznanie dla syna dyskretny sposób, w jaki William potrafił pokierować sytuacją, dając mu poczucie, że poznaje wszystkich albo większość z nich, a jednocześnie powierzając go pieczy paru dość gadatliwych i niezawodnych kolegów. W jakiś czas później William powiedział, bez obawy, że w panującym tam zgiełku ktoś postronny może go usłyszeć:

– Wiesz, to cudowna dziewczyna. Co ci zresztą będę mówił, sam to widzisz. Mówiła mi, że przez ostatnie tygodnie prawie cię nie widywała, to znaczy do dziś.

– Tak... cóż, w pewnym sensie nie było wcale tak wiele do...

– Faktycznie. Ale to cudowna dziewczyna. Na pewno słyszałeś, jak ludzie mówią, że to wspaniale, kiedy ktoś jest na początku nieodgadniony i trudno z nim znaleźć wspólny język, a potem daje się lepiej poznać, i że to znacznie lepiej, niż gdy jest inaczej. Co?

– Tak. To znaczy słyszałem.

– Ja też. I możliwe, że to prawda, ale dla mnie, jeśli mam być szczery, brzmi to trochę głupio. Bo w naszym przypadku było właśnie inaczej. Od samego początku żadnych przeszkód, żadnych problemów. Mój Boże, od razu wiedziałem, że to miłość. Czyż nie brzmi to idiotycznie?

– Nie – odpowiedział Peter.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której William, zamiast czynić aluzje do małżeństwa swoich rodziców, wziął potężny łyk szampana.

– Tak, to cudowna dziewczyna. Jeśli chcesz zamienić z nią słowo, lepiej teraz jej poszukaj, bo zamierzamy wymknąć się zaraz po toastach. Nie mamy ochoty utknąć tu pośród tych wszystkich pijanych drani.

– O nie, pewnie, że nie.

– Chyba sam się trochę wstawiłem. Posłuchaj, zobaczymy się zaraz po naszym powrocie. Na pewno. Przepraszam, że nie starałem się z tobą spotkać, jak obiecałem, pamiętasz? Zaraz przed tym, nim poznałem Rosemary. Obawiam się, że to właśnie z tego powodu. To w pewnym sensie odsunęło wszystko inne na plan dalszy.

– Tak, znam to uczucie. Cóż, domyślam się, że jesteście...

– Co u ciebie, tato? Ja też prawie cię przez ten czas nie widywałem.

– U mnie wszystko w porządku. Nawet lepiej. Te bóle, o których wspominałem, chyba już... tak, jestem dobrej myśli.

– Słyszałem, że byłeś tam wtedy, no, kiedy umarł.

– Tak. To dość okropne, co teraz powiem, ale jakoś udało mi się przez to przebrnąć.

– Wtedy jednak musiał to być szok. Okropność.

– Cała sytuacja była raczej nieprzyjemna.

Jak na komendę „prezentuj broń” William podstawił kieliszek pod szyjkę krążącej butelki szampana.

– Cóż, przynajmniej nie będę musiał się z nim dogadywać.

– On nieszczególnie wymagał dogadywania się. Jeśli nie było się jego żoną.

– Ach tak. Ale był z niego kawał drania, prawda? Oczywiście, prawie go nie znałem.

– Domyślam się. Im dłużej żyję, tym trudniej mi to powiedzieć o kimkolwiek. Może o Himmlerze. Albo o Eichmanie, o tego rodzaju ludziach. Oczywiście, jako przyjaciel, Alun pozostawiał wiele do życzenia. No wiesz, cholerny był z niego Walińczyk.

– Więc z tobą wszystko gra? Na pewno? Nic ci nie dolega? – William wpatrywał się w ojca poważnym wzrokiem.

Peter odwzajemnił się tym samym.

– Absolutnie nic, masz moje słowo. A teraz, jeśli pozwolisz, pójdę wysłedzić twoją żonę, póki jeszcze czas. I zamienić z nią słówko, zanim się ulotnicie.

– Ostatnio widziałem ją w ogrodzie z moją teściową. Jezu Chryste.

Tymczasem przeszli do jadalni, gdzie stoły ugiwały się pod ciężarem półmisków z szynką, pasztecikami z cielęciną i szynką, angielskimi kiełbaskami i kiełbaskami przyrządzonymi na modłę europejską, salaterek z tradycyjną sałatką oraz całym wachlarzem marynat: cebulek w trzech kolorach, korniszonów w dwóch rozmiarach orzechów włoskich w occie i buraczków, a ponadto czterech rodzajów ostrych sosów korzennych, trzech rodzajów musztardy, sześciu różnych butelkowanych sosów – słowem, poczęstunek w najprawdziwszym walijskim stylu, w dodatku imponująco urozmaicony, bo brakowało jedynie owoców z puszki. W odwodzie czekały zapasy kanapek oraz niezliczone rodzaje serów, a niemal na każdej płaskiej powierzchni stały w zasięgu ręki butelki fetorowego czerwonego lub białego wina po specjalnej cenie. Można się było nim częstować, kiedy wlało się już w siebie kilka szybkich kieliszków szampana i cztery czy pięć dużych ginów z tonikiem oraz zagryzło salami z musztardą, piklami, Chlebem czosnkowym, marynowaną cebulką i sałatką. Victor stał u szczytu stołu i własnoręcznie rozdawał talerzyki i sztucce, próbując zaprowadzić odrobinę ładu pośród rozgadanej, cisnącej się dojadła czeredy.

Przecisnąwszy się obok tłumu, Peter skierował się zgodnie z instrukcją do ogrodu. Powszechna migracja ku zakąskom objęła również te rejony, tak więc kilkoro spóźnionych z wolna gromadziło się u przeszklonych drzwi tarasu. Jedną z nich była Rosemary, jednak Peter posłał jej jedynie przepaszający uśmiech, po czym zwrócił się do towarzyszącej jej Rhiannon:

– Czy mógłbym zamienić z tobą słówko na osobności? Chcę ci przekazać pewną wiadomość.

– Mam nadzieję, że to nic przykrego.

– Ależ nie, w żadnym razie. Chciałbym tylko chwilę porozmawiać.

Kiedy oddalili się o kilkadziesiąt jardów od domu, Rhiannon zatrzymała się i stanęła z nim twarzą w twarz. Uśmiechała się, ale była zaniepokojona.

– Charlie poprosił mnie, abym ci przekazał, że on i Victor wystawią ci rachunek na pełną kwotę, ale później przyślą rabat, którego masz nie potwierdzać.

Rhiannon odczekała chwilę, po czym powiedziała:

– O! A czemu miałyby to służyć?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że jakimś rozliczeniem. Jakaś sztuczka podatkowa czy coś w tym rodzaju. Zupełnie nie wiem.

– Aha. Ale to nie wszystko, prawda?

– Nie wszystko. Mam jeszcze jedną wiadomość. Tym razem od Aluna. Nie, nie, spokojnie, to nic przykrego, naprawdę. – A że stała nadal bardzo spokojnie, ciągnął: – Na moment przed śmiercią, w ostatnich sekundach życia, powiedział coś, tylko kilka słów, ale całkiem wyraźnie. Powiedział: „Moja mała”. Charlie również musiał to słyszeć, wątpię jednak, żeby zrozumiał. Ale ja mam wrażenie, że zrozumiałem. Alun myślał o tobie, zwracał się do ciebie. – Peter miał ochotę wziąć ją za rękę, lecz brakowało mu odwagi. – Żegnał się z tobą przed śmiercią.

– Możliwe – odparła Rhiannon. – Być może się żegnał. Nazywał mnie... – Jej usta i broda drgnęły w sposób, który, niespodziewanie i bardziej wyraziście niż cokolwiek innego, przywiódł mu na myśl ją za młodu. Spojrzała na niego. – Ale to nadal nie wszystko, prawda?

– To wszystko, co chciałem o nim powiedzieć, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Poczekaj chwilkę. Zostań tutaj.

Patrzył, jak śpiesznie idzie po trawniku, tam gdzie pod oknami wciąż stała Rosemary w towarzystwie jakiejś młodej kobiety. Uświadomił sobie nagle, że może to wyglądać na wścibstwo, więc odwrócił głowę. Jego wzrok padł na trawiasty trójkąt, do którego najwyraźniej nie docierało słońce, dzięki czemu pozostał wilgotny od rosy. Nieco dalej w słonecznym blasku przysiadł drżąco na granicznym płocie brązowawy motyl. W oddali, aż po horyzont, rozciągał się nakrapiany wątlą zielenią pas lasu.

Kiedy Rhiannon wróciła, odezwała się bezbarwnym głosem, patrząc gdzieś ponad jego ramieniem:

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś. Nie gniewaj się, że nie chcę dłużej ciągnąć tego tematu, ale nie potrafię jeszcze mówić o nim spokojnie. Miło jednak, że się tym ze mną podzieliłeś.

Znów zrobiła pauzę, a Peter złapał się na tym, że nie ma pojęcia, jak zacząć i do czego w ogóle zmierza.

– Zostaniesz tu, prawda? Czy może...

– Tak, przynajmniej jakiś czas. I będę chyba musiała poszukać sobie czegoś mniejszego. Ale tu, w okolicy. Rosemary i William chcą się przenieść do Londynu, ale ja...

– Naprawdę? Kiedy? Willie nie wspomniał mi o tym ani słowem.

– Być może jeszcze nie jest pewien. Na jesieni. Ze względu na aplikanturę Rosemary. – Z wyrazu jej twarzy wyczytał prośbę, żeby nie wypytywać o tę aplikanturę.

– Oczywiście. Ale czy nie byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś się także przeniosła? Mieszkałaś tam przecież tak długo.

– Nie, skoro już wróciłam. Jestem tutaj i chcę zostać. Pewnie pomyślisz, że to głupio brzmi. Słyszałam, jak sam wyrzekałeś na okropne...

– Możliwe, że brzmi głupio, ale głupie nie jest. Tego nie można wytłumaczyć.

– Nie można wytłumaczyć komuś, kto nie jest Walińczykiem. Z kimś takim trudno nawet o tym rozmawiać.

– Z Walińczykiem też trudno. Może nawet zwłaszcza z nim. Walia to temat, którego nie należy poruszać. Chyba że zamierza się piętrzyć łgarstwa i samooszukiwanie się, i sentymentalne banialuki. Bo tylko to się wokół słyszy.

– Ale kiedy się tak myśli w głębi duszy, wtedy to ma sens. Wtedy to jest w porządku – odrzekła z nadzieją.

– Tak, masz rację. Ale tylko wtedy.

– Uhm. Uważasz więc, że rozsądnie będzie zostać. Zrobiłbyś tak na moim miejscu.

Peter się zawahał. Rhiannon patrzyła na niego w szczególny sposób – z uczuciem, z uwagą, z niepokojem. Tak patrzyła na niego wtedy, na chwilę przed tym, zanim powiedział jej owo ostateczne, nikczemne kłamstwo: że wszystko pomiędzy nimi w porządku, że nadal jest dla niego jedyną. Ponad jej ramieniem dostrzegł teraz, jak Rosemary, bez wątpienia działając zgodnie z instrukcją, zawraca ku domowi zmierzającą w ich stronę jedną ze zwieńczonych kapeluszem niewiast, przyciskającą do piersi krawędź pełnego po brzegi talerzyka. Z nagłym niepokojem zastanowił się, ile jeszcze czasu upłynie, zanim pewna inna dama zauważy ich nieobecność i ruszy na poszukiwania, i wreszcie ich dopadnie. W niejakiu popłochu powiedział:

– Właśnie o tym chciałem i tobą porozmawiać. Muriel uważa, że skoro William się ożenił, to ona może opuścić Walię, o czym zawsze marzyła, zresztą sam nie wiem, i wrócić do Yorkshire. Kiedy mi to komunikowała, nie wiedziała, że Willie zamierza przenieść się do Londynu, bo na pewno by o tym wspomniała. Cóż, będę musiał wyjechać i ja. Nie chcę, mam na to ochotę nie większą niż ty, spędziłem tu całe życie. I, jak mówiłaś, nie tylko z tego powodu. Ale nie mam pojęcia, co innego mógłbym zrobić. Dom i wszystko inne należy do niej, ja nie mam ani grosza. Jedynie emeryturę, która ledwie wystarczyłaby na owsiankę. Wiem, że nie brzmi to zbyt ambitnie, ale trudno się zdobyć na ambicję, kiedy nie ma się pieniędzy i dobiega się siedemdziesiątki.

– Ale ty tego nie wytrzymasz! – zawołała Rhiannon z przerażeniem.

– Będę musiał. To wcale nie musi być takie okropne. Wszędzie trzeba się trudzić. Czy to nie wszystko jedno gdzie?

– Doprawdy? Zabawne, ale coś takiego nigdy nie przyszło mi do głowy. Tak się tylko mówi.

– Żeby dobrze zabrzmiało. To prawda.

Rhiannon potrząsnęła głową, usiłując się skupić.

– Muriel zmieni zdanie. W jej wieku to bardzo śmiały krok.

– Nie zmieni. Oznajmiła to nader stanowczo, wymieniając daty i tak dalej. Dobrzeję znam. Możesz mi wierzyć, nie ma na co liczyć. – W jego głosie słychać było determinację. – Bardzo mi to nie w smak, ale będę musiał z nią jechać.

– Nie możesz. Myślałam, że teraz zaczniemy się znowu widywać. Obiecałeś, że zadzwonisz, i nie zadzwoniłeś.

– Chciałem, ale kiedy przyszło co do czego, nie umiałem się na to zdobyć.

– Ale sądziłam, że być może pomyślałeś, że teraz to już będzie w porządku. Kiedy dzieci się usamodzielnily i tak dalej. Miałam nadzieję, że tak pomyślisz.

– Po tym wszystkim, co ci zrobiłem? Po tym, jak cię potraktowałem?

– Tak. Miałam ci za złe tylko to, że cię straciłam. Inne rzeczy się nie liczyły, w każdym razie po jakimś czasie. Nie mówiłam ci tego, kiedy się spotkaliśmy na przyjęciu w Klubie Golfowym? Musiałeś nie słuchać. Boże wielki,” a może rzeczywiście tego nie powiedziałam. Ale chciałam ci wtedy powiedzieć, że zawsze będziesz... Teraz też nie umiem. Kiedyś to przychodziło tak łatwo. Teraz jest z tym tak samo jak z mówieniem o Walii.

Powoli, żeby dać jej czas na wycofanie się, gdyby miała taki zamiar, i ukradkiem, żeby Rosemary i pozostali tego nie widzieli, Peter wyciągnął rękę. Rhiannon ją uścisnęła. Spojrzał na nią, również ukradkiem, i zobaczył, że i ona próbuje na niego spojrzeć. Tak, zmieniła się zupełnie: ani śladu pewności siebie w oczach.

– Pozwól, żebym spróbował – powiedział z czułością. – Chociaż być może w to wątpisz, a na pewno był taki czas, kiedy ja sam o tym zapomniałem, zawsze cię kochałem i kocham do dziś. Przepraszam, wiem, że brzmi to idiotycznie, bo jestem taki gruby i brzydki, i wcale nie jestem miły ani nawet zabawny, ale mówię poważnie. Szkoda tylko, że to tak mało warte.

– Zadzwoń do mnie. Tylko tym razem na pewno. – Na wpół odwrócona do niego plecami dodała: – Przepraszam, teraz nie mogę dłużej o tym mówić.

– Mam ci tyle do powiedzenia.

Znów patrzył, jak się oddala, wcale nie spieszniej niż poprzednio, a już na pewno nie biegiem. Jedną z cech wyróżniających ją spośród innych kobiet było to, że biegła wyłącznie wtedy, kiedy chciała złapać autobus, nigdy zaś po to, aby świat poznał jej nieujarzmioną naturę albo by dać wyraz chwilowej emocji. Widząc ją, Rosemary puściła obrożę śmiesznego czarnego pieska, który niezdarnie podskakując, koziółkując niemal przy lądowaniu, wszedł za Rhiannon do domu.

Peter zrobił to samo, tyle że z większą godnością. Czuł się pijany bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Zanim dotarł do stołu, lwia część potraw, a przynajmniej dania główne, dawno została już zmieciona. Ostało się jednak trochę rezerw. Kanapki okazały się wyśmienite, zwłaszcza te z serem i marynatami oraz z jajkiem i pomidorem. Smakowały jeszcze wyborniej popite dla ulżenia zębom sporą ilością Vin Rouge de Pays, przysiągł więc nigdy więcej nie zgrzeszyć niedocenianiem Victora, co mu się nieraz wcześniej zdarzało. Wygłosił nawet głośną pochwałę.

– Kanapeczki pierwsza klasa – powiedział. – Zwłaszcza te z jajkiem i piklami.

– Chyba jeszcze nie zdążyłem ich skosztować – odrzekł Garth.

Kiedy Peter wziął się do ciasta i portwajnu, rozeszła się wieść, że za pięć minut mają zostać wygłoszone toasty. Natychmiast, co było do przewidzenia, ci o słabszych pęcherzach ruszyli w stronę toalet. Pozostali albo zrobili to samo, albo byli już tam wcześniej. Pośród licznych zgromadzonych pod drzwiami toalety obok kuchni Peter rozpoznał Percy'ego Morgana.

– Co za szczęśliwy dzień – zagadnął.

– Och, właśnie to samo chciałem powiedzieć. – Percy zdawał się zaskoczony, że słyszy coś takiego od Petera. – Ta twoja świeżo upieczona synowa wygląda na bardzo miłą dziewczynę. Trochę ją widywałem, no wiesz, w towarzystwie jej matki. Żadnych wysokoków, absolutnie żadnych. Nie wdała się w ojca, mówię to szczerze. I nie brała jego strony. Ja sam nigdy nie darzyłem zbytnią sympatią ludzi, którzy chępią się swoją walijskością, walijskim dziedzictwem i takimi tam sprawami. Nie wiem, czy się ze mną zgodzisz, Peter, ale moim zdaniem takie zachowanie, jeśli się przesadzi, może być bardzo żenujące.

– Jak najbardziej. Właśnie przed chwilą mówiłem...

– Zostanę, oczywiście, do toastów, ale potem już sobie pójdę. To naprawdę budzi wspomnienia, prawda?

– Masz na myśli...

– To stanie w kolejce do siusiania. Zaraz przypominają się te noce po meczach rugby. W każdym razie mnie się przypominają. Rzuciła to, dokładnie tydzień po rozmowie z Dewim.

Ostatnią uwagę oddzielała od poprzednich niewielka, ale wyraźna pauza, i Peter pomyślał, że może na parę sekund Percy'emu urwał się film.

– Ach tak – pokiwał głową, starając się zdobyć na zachęający uśmiech.

– Wątroba – wyjaśnił Percy. – Jeszcze parę miesięcy takiego trybu życia i... – Przesunął grzbietem dłoni po krtani i wydał donośny gardłowy dźwięk. – Oczywiście, cieszę się, że z tym zerwała, ale też czuję się jakoś nieswojo. Zawsze byłem facetem, który ma nieznośną żonę i który jest w stosunku do niej taki cudowny, to była moja rola, więc co mam teraz robić, kiedy ona nagle stała się taka znośna?

– Tak, rozumiem. Chyba spróbuję na górze.

Na górze zastał pod drzwiami ubikacji Sian Smith, Duncana Weavera i jakiegoś mężczyznę, którego powinien skądś znać – może nawet gościł go kiedyś u siebie. Myśl, by wejść jeszcze wyżej, na samą górę, wydała mu się całkiem rozsądna, choć śmiała. Korytarz na górze biegł przez całą szerokość domu i na jego odległym końcu Peter spostrzegł na wpół rozebraną siwowłosą kobietę z przewieszonymi przez ramię częściami garderoby, która przemknęła i znikła mu z oczu: Trzasnęły drzwi i zazgrzytał klucz w zamku. Po chwili otwarły się inne drzwi i wyrżał z nich stary Vaughan Mowbray, który zwrócił się w stronę Petera i z wyrazem zdumienia cofnął pośpiesznie. Peter pomyślał, że chyba raczej zejdzie na niższe piętro.

Zastał tam sytuację właściwie nie zmienioną, tyle że Sian przesunęła się do okienka na półpiętrze i teraz przechylała się przez parapet, przypuszczalnie w chęci zaczerpnięcia świeżego powietrza. Zmienił zdanie, kiedy podszedł na tyle blisko, że mógł usłyszeć wydawane przez nią dźwięki. Duncan Weaver również się jej przyglądał, chociaż bez szczególnego zainteresowania, bo z powodu głuchoty nie miał powodu odrzucać hipotezy o zaczerpywaniu świeżego powietrza. Jednocześnie Peter usłyszał, już po raz drugi tego dnia, donośne pierdnięcie – na pewno autorstwa Duncana, chyba że drgnięcie, spłoszony wzrok i gwałtowne potrząsanie klamką w wykonaniu drugiego mężczyzny były przejawem wytrawnego aktorstwa. Peter zamyślił się nad niesamowitością świata bez dźwięków.

W pobliżu kuchni nadal stała kolejka, chociaż składała się z całkiem innych osób, Peter przypomniał sobie jednak o małej ubikacji obok drzwi wejściowych, gdzie jeszcze nie próbował szczęścia. W przejściu zauważył, jak Arnold Spurling wraz z drużbą wyprowadzają za drzwi, dość brutalnie go poszturchując, Tony'ego Bainbridge'a, który, zanim zniknął, cisnął parę przekleństw i w staroświeckim stylu powymachiwał pięścią.

Toasty zaczęły się i skończyły. Picie trwało dopóty, dopóki nie okazało się, że nie ma już nic, co można by nalać do kieliszków, nawet wina. Victor pakował naczynia do kartonowych pudeł i wynosił do małej brudnobiałej furgonetki. Jeszcze przed chwilą Petera otaczali różni ludzie, a teraz nagle znalazł się sam na sam z Rosemary – Rosemary Thomas, jak się obecnie nazywała i jak się do niej parokrotnie zwrócił.

– Przypuszczam, że zamierza się pan widywać z moją matką – powiedziała. Miała nieco większe płatki uszu niż Rhiannon.

– Zamierzam? To znaczy owszem, ale skąd wiesz?

– Powiedziała mi. – Rosemary spojrzała mu w oczy i rzekła może niezbyt poważnym tonem, lecz mimo to wystarczająco serio: – Proszę się teraz grzecznie sprawować, zgoda?

– Słucham? Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, żeby się pan nie zachowywał niegrzecznie.

– Co takiego? Jakbym mógł?

– Każdy kolega Aluna umiałby znaleźć jakiś sposób. Sądząc po tym, co dzisiaj widziałam. Ale poważnie, miałam na myśli zachowanie bardzo niestosowne. Na przykład, sprawienie jej zawodu. Jeśli pan to zrobi, William i ja zabijemy pana, rozumiemy się? I chyba nie przedstawiłam panu jeszcze Catriony Semple, która również studiuje prawo w Oksfordzie. Catriono, to jest mój teść.

ROZDZIAŁ X

Malcolm

– Jak ona sobie tam radzi?

Gwen przewróciła jedną ze starannie zapisanych stron.

– Och, wygląda na to, że się znakomicie bawi. Co wieczór przyjęcia, dom zawsze pełen ludzi, weekendy na wsi. Zaraz, zaraz, na wsi? Na jakiej znowu wsi? Przecież tam wszystko jest wsią.

– To całkiem spore miasteczko, mniej więcej takie jak nasze. Musi tam znać wielu ludzi, a niektórzy są na pewno dosyć zamożni, nawet dziś, kiedy środowisko jest tak zdewastowane przez przemysł.

– Z tego co słyszałam, Muriel nigdy nie utrzymywała z nimi specjalnych kontaktów. Teatr? O czym ona mówi? Teatr w Middlesbrough? To nie może być żaden poważny teatr w rozumieniu cywilizowanych ludzi. I wyścigi? Czy w tamtych stronach jest jakiś tor wyścigowy?

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia – odparł Malcolm, uśmiechając się i rozkładając ręce. – Nie moja dziedzina.

– Nie, wiem, że nie. Pomyślałam tylko, że może coś obilo ci się o uszy. Albo może miała na myśli wyścigi chartów.

– Cóż, miło słyszeć, że się jej raczej dobrze powodzi.

– Świadczy to tylko o jej dumie – to, że się wysiła, aby zrobić takie wrażenie.

– Obawiam się, że cię nie rozumiem.

– Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, to ci powiem, że to jest zanadto entuzjastyczne. Życie okazało się wcale nie takie zabawne – bo niby jak ma być zabawne w takiej dziurze – ale ona prędzej pęknie, niż się przed kimkolwiek przyzna do tego, że popełniła błąd. Tak to z grubsza wygląda.

– Cóż, możliwe. – Malcolm starał się, żeby to zabrzmiało jak częściowe przyznanie racji. – A co pisze o Peterze?

– Niewiele. Jeszcze raz powtarza, że dobrze zrobiła, że się z nim rozstała. Aha, i powiedz temu leniwemu draniowi, jak się z nim zobaczysz, żeby napisał do niej parę słów, bo nie rozpieszcza jej zbyt.

– Musi za nim mimo wszystko tęsknić.

– To nie za nim tęskni, na litość boską, ale za faktem posiadania męża jako towarzyskiej gwarancji jakości. A poza tym nie w smak jej, że jego tam nie ma, bo przecież w jakimś sensie on nadal do niej należy. Niektóre kobiety nie lubią się rozstawać z żadną częścią swego inwentarza, nawet jeśli te części nie są już tak samo przydatne jak kiedyś.

– Jesteś zdumiewająca w tym, jak postrzegasz pewne sprawy. Ja nigdy nie zdołałbym tak wnikliwie zgłębić jej motywów. – Przeoczył ostre spojrzenie, jakie mu rzuciła, i ciągnął z wahaniem: – Ale nie wyobrażasz sobie, żeby miała tu wrócić.

Gwen wydała stłumione westchnienie.

– Prędzej Peter tam pojedzie, niż ona się przyzna do błędu, ot i wszystko. Pozwolisz, że pierwsza skorzystam z łazienki?

– Ależ proszę bardzo.

Kiedy został sam, nalał sobie ostatnią filiżankę herbaty i zapalił jedyne go papierosa, na jakiego sobie codziennie pozwalał. Odkładając na później „Western Mail”, zwrócił uwagę na rubrykę „Walijskie nowiny”, zajmującą zaledwie ćwierć strony, albo i mniej, a był to przecież dziennik wydawany w walijskiej stolicy. Rzecz sama w sobie znacząca. Trudno jednak było długo podsycać w sobie uczucie oburzenia, zwłaszcza po spędzeniu dobrych dziesięciu minut na czytaniu artykułu o skandalu w policji w południowym Londynie oraz kolejnego – o perspektywach sukcesu angielskiej drużyny krykieterów podczas wyprawy do Australii.

Owe kontrowersje przy śniadaniu silniej niż kiedykolwiek przypomniały mu inne śniadania, te przy Baker Street 221B.

I tam, podobnie jak tutaj, jedna ze stron w dobrej wierze przedstawiała pobieżne wyjaśnienia dotyczące różnych przejawów ludzkiego zachowania, druga zaś wytykała pierwszej naiwność, niekompetencję, skłonność do uproszczeń i szkodliwe wręcz oderwanie od rzeczywistości. Tam jednak, w przeciwieństwie do tego, co miało miejsce tutaj, przytyki łagodzone były pobłażliwością, jaką się ma dla ucznia-ulubieńca, albo nawet sporadycznie urozmaicane okrzykiem: „Wyśmienicie!” lub „Punkt dla ciebie, Watsonie!” I nigdy nie zdarzało się Holmesowi, żeby połowa jego wypowiedzi ujmowana była w domyśle w cudzysłów czy wyrażana za pomocą kursywy, tłustego druku albo pisma technicznego. Czyżby Gwen zaczęła ostatnio naginać fakty? A może zaczęła to robić, żeby zwrócić na siebie jego uwagę? W końcu od tak dawna już byli małżeństwem.

Wziął do ręki list od Muriel. Jej pewne, zamaszyste pismo, którego chyba nigdy przedtem nie widział, zrobiło na nim wrażenie i wywołało żal, ledwie uchwytny i przelotny, że mogła przecież dać z siebie znacznie więcej, niż dała. Pomijając konwencjonalne zapytania o zdrowie i inne grzeczności, przystępowała od razu do sedna sprawy, którym było mocno udramatyzowane, lecz niezbyt klarowne sprawozdanie z czyichś gdzieś tam odwiedzin. Bardziej rzeczowe wiadomości następowały później. Pośród nich Malcolm zauważył informację, której mu Gwen nie przekazała: do spółki z dwiema przyjaciółkami oraz córką jednej z nich Muriel zamierzała otworzyć i prowadzić w podmiejskim centrum handlowym coś, co nazwała kawiarnią. Ze sposobu, w jaki o tym pisała, Malcolm wnosił, iż było wysoce nieprawdopodobne, aby miała to być jedynie odtrutka na nudę i samotność, bez względu na to, co sądził o tym jakiś cholerny Sherlock.

Sprzątnął ze stołu, po czym załadował i włączył zmywarkę. Ostatnimi czasy w jej monotony pomruk co jakiś czas zakradało się klekotanie i co kilka sekund łapały ją gwałtowne drgawki. W czasach, kiedy nikt już niczego nie naprawiał, najlepszym pomysłem było chyba pozostawić ją własnemu losowi, dopóki się nie rozleci.

Z gazetą pod pachą ruszył wolnym krokiem do ubikacji. Drobną zwłoką, żadnego większego zawracania głowy, prawdę mówiąc, wszystko było w porządku – przynajmniej o ile mu było wiadomo. Nie, było w porządku. Pytany, jak tam zdrowie, zaczął odpowiadać, że o ile mu wiadomo w porządku, ale zorientował się, że to przecież na jedno wychodzi, i przestał. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Siedząca przy toaletce Gwen już prawie skończyła; spryskała płynem antystatycznym szkła przyciemnianych okularów i sięgała właśnie po impregnowaną szmatkę do przecierania. Pomyślał, że przy tych ruchach jej ręce wyglądają nieco grubo.

– Nie ma przeszkód, żebyśmy wzięła samochód? Ty masz zamiar zajrzeć dziś do „Biblii”, prawda?

– Owszem, zastanawiałem się nad tym.

– Jeśli spotkasz tam Petera, mógłbyś przekazać mu wiadomość od Muriel.

– Co? A, tak. Właściwie on tam nie przychodzi od tygodnia czy dwóch.

– Trudno się oprzeć domysłom... – Siedziała naprzeciw niego na owalnym wyściełanym stołeczku i spoglądała pod światło na szkła okularów. – Wspomniał może kiedyś, czy płaci za spanie i wyżywienie? Dokłada się do utrzymania?

– Nie. Nikt go nie pytał, nawet Garth. Chwilowa gościna u Rhiannon, tak to się na razie nazywa.

– Coś długa ta chwila. Ile to już? Trzy miesiące? Niesamowite. W Walii. Pod jednym dachem z bezbronną kobietą, wdową. I pomyśleć, że to dwudziesty wiek.

– Ja im życzę wszystkiego najlepszego.

– Naprawdę? Ja, oczywiście, także. I to samo chciałabym powiedzieć pod adresem przedstawicieli młodszego pokolenia. Domyślam się, że ten chłopak będzie sobie radził w Londynie nie gorzej niż w tych stronach. Byle tylko wyrwać się z tej dziury.

– Możesz to sobie nazywać, jak chcesz – odparł Malcolm – ale moim zdaniem żadne miejsce, w którym dwoje ludzi potrafi się w sobie zakochać, nie może być aż takie złe.

– Kogo masz na myśli? No powiedz.

– Williama i Rosemary.

– Aha. Oczywiście. Malcolmie drogi, ja tylko... Chciałam powiedzieć, że William mógł tak to widzieć: jako dziurę, z której trzeba się wyrwać. Co do mnie, to dziękuję, ale jestem tu całkiem wygodnie urządzona. – Uśmiechnęła się do niego.

– Przepraszam – powiedział. Oczywiście, zapomniał dołączyć „dźwiękowy” cudzysłów, kiedy ją przedrzeźniał.

Gwen wstała i wygładziła przód sukienki w kratę.

– Hm. Pozdrów ode mnie Charliego.

– Dobrze, jeśli przyjdzie. On także od pewnego czasu tam nie bywa.

– Martwię się o niego, naprawdę się martwię. Tamtego wieczoru u Dorothy ty nie zauważyłeś w nim niczego szczególnego, ale moim zdaniem wyglądał okropnie. Okropnie.

Jedną z cech charakteru Gwen było nie tylko wiedzieć wszystko lepiej w ogóle, ale również wiedzieć lepiej niż ktoś, kto miał lepsze po temu dane, bo, na przykład, bliżej znał daną osobę. A przynajmniej takie wrażenie było niejednokrotnie udziałem Malcolma, który teraz powiedział:

– Mówił mi, że już od roku albo dłużej nie sypia najlepiej.

– A widzisz. Pojadę już. Nasza pyskata Eirwen nie odmówi sobie na pewno paru słów komentarza na wystawie walijskiej kultury alternatywnej w Centrum Sztuki „Dafydd ap Gwilym” – nawiasem mówiąc, przydałoby się opracować jakiś nowy system symboli tonicznych, aby zapisać coś takiego. A później filiżanka kawy i może szklanka lemoniady u Sian. No, to na razie.

Malcolm poszedł umyć zęby, co stało się zajęciem mniej wyczerpującym, odkąd ten dziurawy z dolnej szczęki rozpadł się na kawałki podczas odgryzania porcji weselnej szynki. Goląc się, rozmyślał o tym, że odkąd przyniósł wiadomość o śmierci Aluna, Gwen ani razu o nim nie wspomniała. Z początku złożył to na karb wstrząsu czy innego stanu przejściowego, ale teraz przecież takie wytłumaczenie raczej nie wchodziło w rachubę. Zauważył, że od miesięcy każda najmniejsza choćby aluzja do Aluna, celowa czy przypadkowa, natychmiast zamyka rozmowę, ale nie znajdował zbyt często okazji do zastosowania tej broni. Nie umiał sobie do końca wyobrazić, jakiego rodzaju karę czy umartwienie miało nieść ze sobą owo milczenie, ale jeśli chciała w ten sposób usunąć wątpliwości, jakie mógł żywić na temat jej ewentualnego romansu z Alunem, to dopięła swego w znakomitym stylu. Malcolm nie do końca utracił nadzieję, że pewnego dnia jakieś przypadkowe wymówienie tego imienia wywoła równie przypadkową aluzję do owego romansu, a wtedy będzie mógł jej powiedzieć, że to nie ma żadnego znaczenia, nigdy nie miało. Prawdopodobieństwo takiego obrotu spraw uznał jednak za nader nikłe. I zdumiewające, że ustanowienie jednej, całkiem mało istotnej kwestii tematem tabu rzuciło w rezultacie cień na tyle innych spraw.

Załatwiwszy sprawy łazienkowe, zabrał się do przenoszenia swych płyt z muzyką jazzową z salonu, gdzie spoczywały od wieków, z powrotem do białej szafki w swoim gabinecie na piętrze. Zanim zasiadł za biurkiem, wyjrzał przez okno. Niebo, które zdołał zobaczyć pomiędzy dachami, było zachmurzone, zwiastujące deszcz – prawdziwie walijską jesienną pogodę. Przed wyjściem do „Biblii” miał jeszcze z godzinę, aby popracować nad przekładem długiego wiersza *Heledd Cariad* – którego autorem był Cynddelw Mawr ap Madog Wladaidd (13207-1388) – a właściwie raczej adaptacją, jako że w ramach rozmaitych przeróbek zmienił również fizyczne cechy głównej postaci, aby uczynić ją bardziej zbliżoną do wyglądu Rhiannon. Cieszył się, że dzięki Peterowi odnalazła miłość, bo sam nie miał jej nic do ofiarowania. Jednak ona dała coś jemu. Ten wiersz – jego wiersz – będzie najlepszym hołdem, na jaki go stać, złożonym jedynej kobiecie, która płakała z jego powodu.